

Posiadłość Blackwood

Anne Rice



calibre 0.9.27

ANNE RICE

POSIADŁOŚĆ BLACKWOOD

Blackwod Farm

Przekład Paweł Korombel

Poświęcam mojemu synowi,

Christopherowi Rice'owi

„Minęło już życie, z nim plany

i dążenia mojego serca.

Noc chcę zamienić w dzień:

«światło jest bliżej niż ciemność».

Mam ufać? Szeol moim domem,

w ciemności rozłożę swe łożę,

grobowi powiem: Mój ojczu,

matko ma, siostru - robactwu.

Właściwie, po cóż nadzieja,

Kto przedmiot ufności zobaczy?

Czy zejdzie do królestwa Szeolu?

Czy razem do ziemi pójdziemy?»

Job 17, 11 - 16

Lestacie,

Gdy tylko znajdziesz ten list w swoim domu przy rue Royale - a szczerze wierzę, że go znajdziesz - zdasz sobie sprawę, że złamałem Twoje zasady.

Wiem, że Nowy Orlean to ziemia zakazana łowców krwi i że zniszczysz każdego, kogo tam znajdziesz. I w przeciwieństwie do całej hołoty, której już się pozbyłeś, rozumiem Twoje powody. Nie chcesz, aby wytropili nas członkowie Talamaski. Nie chcesz wojny z czcigodnym Zakonem Śledczych Zjawisk Nadprzyrodzonych, zarówno ze względu na zakon, jak i na nas.

Ale proszę Cię, błagam, zanim zaczniesz mnie ścigać, przeczytaj to, co mam do powiedzenia.

Nazywam się Quinn. Mam dwadzieścia dwa lata i niecały rok jestem łowcą krwi, jak nazywał tę kondycję mój stwórca. Że tak powiem, stałem się sierotą i dlatego zwracam się do Ciebie o pomoc.

Zanim jednak przedstawię moją sprawę, proszę, zrozum, że wiem o Talamasce, że wiedziałem o niej, zanim w ogóle otrzymałem mroczną krew, że wiem o wrodzonej dobroci i legendarnej neutralności członków Zakonu w sprawach zjawisk nadnaturalnych i zadam sobie wiele trudu, aby mnie nie zauważyli, gdy będę Ci dostarczał ten list.

Nie wątpię, że twoje telepatyczne umiejętności pozwalają Ci sprawować straż nad Nowym Orleanem. Nie wątpię, że znajdziesz to

pismo.

*Jeśli faktycznie przybędziesz wymierzyć mi sprawiedliwość,
bezwłocznie ukarzesz mnie za nieposłuszeństwo, daj słowo, że zrobisz
wszystko, co w Twojej mocy, aby zniszczyć ducha, który od dziecka był
moim towarzyszem. Ten stwór, ten mój duplikat, który rósł ze mną od
poczęcia, teraz zagraża nie tylko mnie. Ludziom również.*

Pozwól, że wytłumaczę, o co mi chodzi.

*Jako chłopiec nazwałem go „Goblin”, chrzcząc go tym imieniem dużo
wcześniej, nim zaczęto czytać mi wiersze czy bajki, w których występują
takie postaci. Czy sam się tak nazywał, tego nie wiem. Jednakże
wystarczyło mi pomyśleć, powiedzieć, zawołać: „Goblin!”, a pojawiał się
przy mnie. Wiele razy czynił to z własnej woli i nie dał się odpędzić. Często
bywał moim jedynym przyjacielem. Z biegiem czasu stał się nieodłącznym
towarzyszem, dojrzewając wraz ze mną, i nauczył się wyrażać swoje
życzenia. Można powiedzieć, że przydałem mu sił i ciała, niechcący
tworząc potwora.*

Prawdę mówiąc, nie wyobrażam sobie życia bez niego. Ale muszę.

Muszę z nim skończyć, zanim całkowicie wymknie się spod kontroli.

*Dlaczego nazywam go potworem - to stworzenie, które kiedyś było
moim najbliższym towarzyszem? To proste. Od kiedy zrobiono mnie łowcą
krwi - a zrozum, nie miałem w tej sprawie żadnego wyboru - Goblin sam
zasmakował we krwi. Po każdym karmieniu bierze mnie w objęcia i
wysysa ze mnie krew tysiącem drobniutkich ranek, stając się bardziej
widoczny i wydzielając łagodną woń, której nigdy wcześniej nie miał.*

Nabiera sił z każdym miesiącem i przysysa się do mnie na coraz dłużej.

Już nie potrafię go odpędzić.

Chyba nie zdziwi Cię informacja, że jego napaści dostarczają mi nieuchwytną przyjemność, chociaż nie tak wielkiej jak spożywanie ludzkiej krwi, i nie zaprzeczam, że czuję wtedy dreszcz słodki jak orgazm.

Teraz jednak nie o siebie się boję, nie przeraża mnie własna bezbronność. Boję się przemiany, która w nim zachodzi.

Tak się składa, że przeczytałem od deski do deski Twoje „Kroniki wampirów”. Zostały mi przekazane przez mojego stwórcę, wiekowego łowcę krwi, który przekazał mi również, jak sam twierdzi, ogromną siłę.

W swoich opowieściach mówisz o powstaniu wampirów, cytując egipskiego krwio pijcę sprzed tysięcy lat, Starszego, który opowiedział tę historię mędrcom, Mariusowi, który z kolei przed wiekami przekazał ją tobie.

Nie wiem, czy Ty i Marius wpleśliście zmyślenia w swoje historie. Być może Ty i Twoi towarzysze, Sabat Wymownych,” jak się teraz nazywacie, faktycznie macie skłonność do folgowania wyobraźni.

Ale nie sądzę. Jestem żywym dowodem, że łowcy krwi istnieją - bez względu na to, czy nazwie się ich krwio pijcami, wampirami, dziećmi nocy czy dziećmi milenium - a sposób, w jaki zostałem stworzony, potwierdza Wasze opisy.

Więcej, chociaż mój stwórca nazywał nas częściej łowcami krwi niż wampirami, używał określeń, które pojawiły się w Twoich opowieściach.

Przekazał mi umiejętność swobodnego przemieszczania się w powietrzu i

nazwał ją darem chmur, umiejętność telepatycznego wynajdywania grzesznych ofiar i nazwał ją darem umysłu, umiejętność rozpalania ognia w żelaznym piecu, który zapewnia mi ciepło, i nazwał ją darem ognia. Tak więc wierzę, że Wasze opowieści są prawdziwe. Wierzę, że faktycznie istniejecie.

Wierzę, gdy mówisz, że Akasza, pierwszy z wampirów, została stworzona, gdy zły duch przeniknął każdą jej tkankę, i że zanim ją zaatakował, zasmakował w ludzkiej krwi.

Wierzę, gdy mówisz, że ten duch, Amel, jak nazywały i go dwie czarownice - Maharet i Mekare - które miały moc widzenia i słyszenia tego rodzaju istot, egzystuje teraz w nas wszystkich, gdy jego niewidzialne ciało, jeśli można je tak nazwać, rozrosło się niczym bujne pnącze i rozkwitło w każdym, kolejno stwarzanym łowcy krwi, aż do obecnych czasów.

Wiem również z Waszych opowieści, że gdy Mekare i Maharet stały się łowcami krwi, straciły umiejętność widzenia duchów i rozmawiania z nimi. I co więcej, mój stwórca powiedział mi, że i ja stracę tę moc.

Zapewniam Cię jednak - nic takiego się nie stało. Nadal przyciągam duchy jak magnes. I to być może ta moja zdolność, ten rodzaj wrażliwości i wcześniejszy pociąg do Goblina dały mu dręczycielską siłę, z którą teraz mnie prześladowuje, wysysając moją wampirzą krew.

Lestacie, jeśli ta kreatura nabierze jeszcze większej siły, a wygląda na to, że nic jej przed tym nie powstrzyma, czy zdoła wejść w człowieka, jak przed tysiącami lat zrobił to Amel? Czy to możliwe, że z wampirzego

pnia powstanie kolejny gatunek, a z tego pnia kolejne pnącze?

Nie wyobrażam sobie, że mógłbyś pozostać obojętny na ten problem, na tę możliwość, że Goblin stanie się zabójcą ludzi, chociaż teraz jeszcze jest na to o wiele za słaby.

Myślę, że mnie zrozumiesz, kiedy powiem, że lękam się o tych, których otaczam miłością i troską - o moją śmiertelną rodzinę - jak również o każdego obcego, którego Goblin mógłby zaatakować.

Nielatwo mi pisać te słowa. Przez całe życie kochałem Goblina i pogardzałem każdym, kto z niego kpił, mówiąc, że to tylko „zmyślony towarzysz zabaw” albo „niemądra obsesja”. Ale on i ja, długo ukryte przed światem bliźniacze dusze, jesteśmy teraz wrogami i panicznie boję się jego napaści, bo czuję jego rosnącą siłę.

Goblin wychodzi ze mnie, gdy nie poluję, i pojawia się tylko wtedy, kiedy mam w żyłach świeżą krew. Nasz duchowy związek runął. Spala go zazdrość o to, że stałem się łowcą krwi. Jego infantylny umysł odrzucił wszystko, czego kiedyś się nauczył.

To wszystko jest dla mnie męczarnią.

Pozwól, że powtórzę; nie piszę ze strachu o siebie. Boję się tego, w co Goblin może się przemienić.

Oczywiście, że chcę Cię zobaczyć na własne oczy. Chcę z Tobą porozmawiać. Chcę zostać przyjęty, jeśli to możliwe, do grona wymownych. Chcę, żebyś Ty, istota zdolna złamać wszelkie zasady, wybaczył mi to, że zламаłem Twoje.

Chcę, abyś Ty, porwany i stworzony wampirem wbrew woli, spojrział

na mnie łaskawie, ponieważ mnie spotkało to samo.

Chcę, abys wybaczył mi włamanie do twojego domu przy rue Royale, gdzie, mam nadzieję, ukryję ten list. Chcę, abys również wiedział, że nie polowałem w Nowym Orleanie i nigdy nie będę tam polować.

A skoro mowa o polowaniu, to wiedz, mnie również nauczono polować na złoczyńców i chociaż moja lista osiągnięć nie jest doskonała, uczę się z każdym karmieniem. Opanowałem również sztukę drobnych łyżków, jak to elegancko nazywasz, i bywam na hałaśliwych zabawach śmiertelnych, i nikt nie widzi, jak szybko i zręcznie siorbię z jednego po drugim.

Przeważnie jednak wiodę samotną, gorzką egzystencję. Gdyby nie moi śmiertelni krewni, byłaby nie do zniesienia. Co się tyczy mojego stwórcy, unikam go i jego otoczenia. I nie bez powodu.

Oto, co chciałbym Ci opowiedzieć. Prawdę mówiąc, chciałbym Ci opowiedzieć o wiele więcej. Modlę się, aby moje opowieści wstrzymały Twoją karzącą dłoń. Wiesz, chętnie podjąłbym pewne ryzyko.

Spotkalibyśmy się, zacząłbym mówić, i, trrrach!, zabiłbyś mnie, gdybym tylko Cię czymś obraził.

Ale poważnie, Goblin mnie martwi.

Pozwól, że zanim skończę, dodam, iż czytając od roku Twoje

„Kroniki” i ucząc się z nich, często czułem pokusę, by udać się do

Macierzystego Domu Talamaski w Oak Heaven pod Nowym Orleanem. Dla takiego nieopierzonego łowcy krwi jak ja to pokusa nie lada. Często korciło mnie, by poprosić Talamaskę o radę i pomoc.

Kiedy byłem chłopcem - czyli prawie wczoraj - znalazł się członek Talamaski, który widział Goblina tak wyraźnie jak ja - łagodny, wyrozumiał Anglik, Oliver Stirling; radził mi względem moich mocy i sygnalizował, że mogą mnie przerosnąć, że nie zdołam nad nimi zapanować. Nie minęło wiele czasu, a pokochałem Stirlinga.

Bardzo pokochałem również dziewczynę, jego znajomą, rudą piękność o wybitnych paranormalnych zdolnościach. Ona także widziała Goblina. Talamaska otworzyła przed nią swoje szczodre serce.

Ta dziewczyna jest teraz poza moim zasięgiem. Pochodzi z rodu Mayfair, co chyba ci coś mówi, chociaż ona zapewne do dzisiaj nie ma pojęcia o twojej przyjaciółce i towarzysze, Merrick Mayfair.

Niewątpliwie pochodzi z tej rodziny potężnych mediów, której kobiety uwielbiają nazywać siebie czarownicami, i przysiągłem nigdy więcej nie oglądać jej na oczy. Zbyt wiele widzi, aby nie dostrzec, że spotkała mnie katastrofa. A nie mogę pozwolić, aby zło, które mi towarzyszy, wyrządziło jej krzywdę.

Kiedy czytałem Twoje „Kroniki”, byłem nieco zaskoczony tym, że Talamaska zwróciła się przeciwko łowcom krwi. Mój stwórca mi o tym powiedział, ale mu nie wierzyłem, dopóki nie przeczytałem tego w Twoich książkach.

Nadal trudno mi sobie wyobrazić, że ci łagodni ludzie odrzucili swoją tysiącletnią neutralność i teraz ostrzegają przed wszystkimi osobnikami naszego gatunku. Wydawali się tak dumni ze swojej wieloletniej życzliwości, tak przywiązani do swojej świeckiej, pełnej wyrozumiałości

postawy.

Oczywiście, teraz nie mogę się udać do Talamaski. Gdyby mnie rozpoznali, staliby się moimi zaprzysięgłymi wrogami. Są moimi zaprzysięgłymi wrogami! I z racji moich dawnych kontaktów, wiedzą dokładnie, gdzie mieszkam. Ale co ważniejsze, nie mogę szukać ich pomocy, ponieważ Ty tego nie chcesz.

Ty i inni członkowie Sabatu Wymownych nie chcecie, aby ktokolwiek z nas wpadł w ręce śledczych, którzy aż się palą, - żeby nas wziąć pod lupę.

Co do mojej ukochanej rudowłosej Mayfair, to pozwól mi powtórzyć, że nie śmiem się do niej zbliżyć, chociaż czasem się zastanawiałem, czyjej niezwykle zdolności nie pomogłyby mi skończyć raz na zawsze z Goblinem.

To jednak kosztowałoby ją zbyt wiele strachu i wprawiło w zbyt wielką konsternację. Poza tym nie zamierzam przerywać jej ludzkiego bytu, jak przerwano mój. Wydaje mi się jeszcze bardziej niedosiężna niż kiedyś.

Tak więc, nie licząc moich kontaktów ze śmiertelnymi, jestem samotny.

To nie powód, abym oczekiwał Twojej litości. Ale może zrozumiesz moją sytuację i nie zlikwidujesz natychmiast mnie i Goblina.

Nie wątpię, że możesz nas znaleźć. Jeśli „Kromki” są prawdziwe choćby w połowie, to jest jasne, że twój dar umysłu nie ma granic.

Niemniej jednak pozwól, że ci powiem, gdzie przebywam.

Moim prawdziwym domem jest drewniana Samotnia na Wyspie Słodkiego Czarta, głęboko na Bagnach Słodkiego Czarta w północno-wschodniej Luizjanie, niedaleko brzegów Missisipi. Bagna Słodkiego

Czarta żywi zachodnia odnoga rzeki Ruby, odchodząca w Rubyville.

Te rozległe, głębokie cyprysowe trzęsawiska należą od pokoleń do mojej rodziny i żaden śmiertelnik nie znalazł nigdy drogi do wyspy, jestem tego pewien, na której mój praprapradziadek Manfred Blackwood zbudował dom, w którym teraz siedzę, pisząc do ciebie.

Naszym rodzinnym gniazdem jest dwór Blackwood, majestatyczny, jeśli nie przesadnie wielki dom w klasycystycznym stylu, wsparty na wielu ogromnych, olśniewających korynckich kolumnach, niebywała budowla na wzgórzu.

Z racji pyszałkowatej urody brak mu wdzięku i godności nowoorleańskich domów, za to jest doprawdy pretensjonalnym pomnikiem chciwości i marzeń Manfreda Blackwooda. Wzniesiony w latach osiemdziesiątych XIX wieku i pozbawiony towarzystwa plantacji, która uzasadniałaby jego obecność, miał jedynie sprawiać przyjemność tym, którzy w nim mieszkali. Cała własność, bagna, ziemia i monstrualnej wielkości dom, jest znana jako posiadłość Blackwood.

Dom i ziemię wokół niego są nawiedzane przez duchy, to nie legenda, to fakt. Goblin niewątpliwie jest z nich najpotężniejszy, ale nie jedyny.

Czy pożądamy mojej mrocznej krwi? Przeważnie wydają się zbyt słabe, aby w ogóle móc o tym myśleć, ale kto powiedział, że duchy nie widzą i się nie uczą? Bóg wie, że mam jakąś przeklętą zdolność przyciągania ich uwagi i obdarzam je witalnością. Zawsze tak było.

Nadwyreżyłem twoją cierpliwość? Na Boga, mam nadzieję, że nie.

Ten list to moja jedyna szansa nawiązania kontaktu z Tobą. Tak więc

powiedziałem to, co dla mnie ważne.

*A gdy dostanę się do Twojego domu przy rue Royale, zrobię
wszystko, co w mojej mocy, aby ukryć ten list w takim miejscu, w którym
tylko Ty go znajdziesz.*

Wierząc, że mi się to uda, składam swój podpis

Tarquin Blackwood, znany zawsze jako

Quinn

*PS Pamiętaj, że mam ledwie dwadzieścia dwa lata i jestem trochę
nieporadny. Nie mogę się jednak powstrzymać, aby nie poprosić Cię o
jeden drobiazg. Jeśli faktycznie zdecydujesz się mnie odnaleźć i zniszczyć,
czy mógłbyś uprzedzić mnie godzinę wcześniej, tak żebym zdążył się
pożegnać z jedną jedyną śmiertelną krewną, którą kocham?*

*W części „Kronik wampirów” zatytułowanej Merrick napisano, że
nosisz okrycie z kameami zamiast guzików. Czy to prawda, czy literacka
fantazja?*

*Jeśli nosisz te kamee - a więcej, jeśli wybrałaś je starannie i z
miłością - to przez wzgląd na nie pozwól mi, zanim zostanę zniszczony,
pożegnać się ze starszą panią o niewiarygodnym wdzięku i dobroci, która
uwielbia każdego wieczoru rozkładać setki kamei na marmurowym
stoliku i ogląda je w świetle lampy. To moja cioteczna babka i
nauczycielka we wszystkich dziedzinach życia, kobieta, która obdarzyła
mnie wszystkim, co niezbędne i cenne.*

*Teraz nie jestem godzien jej miłości. Nie jestem istotą żyjącą. Ale ona
o tym nie wie. Moje nocne wizyty u niej wymagają wielkiej ostrożności,*

bez nich poczułaby się jednak nieszczęśliwa i opuszczona. I gdybym został jej odebrany bez ostrzeżenia i słowa wyjaśnienia, byłoby to okrucieństwo, na które nie zasługuje.

Ach, mógłbym ci opowiedzieć dużo więcej o jej kameach - i roli, którą odegrały w moim życiu.

Na razie pozwól mi tylko przedłożyć Ci to błaganie. Pozwól mi żyć i pomóż mi zniszczyć Goblina. Lub połóż kres istnieniu nas obu.

Twój Quinn

Skończyłem list i długo trwałem bez ruchu. Siedziałem, wsluchany w odgłosy wiecznie żywych Bagien Słodkiego Czarta, bezwiednie rejestrując wzrokiem moje nijakie, regularne pismo. Mdłe światło lamp odbijało się w marmurach podłogi, uchylone okiennice przepuszczały nocny powiew.

W moim piccolo palazzo na bagnach panował wzorowy porządek.

Śladu Goblina. Śladu jego zachcianek ani wrogości. Do moich czujnych uszu wampira docierały same naturalne, dalekie dźwięki, słabe odgłosy z dworu Blackwood, gdzie ciotka Queen właśnie wstawiała z łóżka przy czulej pomocy Jasmine, naszej gospodyni, przed nocą wypełnioną nie wymagającymi wysiłku wydarzeniami. Wkrótce w telewizji pojawią się czarujące czarno - białe filmy. Dragonwyck lub Laura, Rebeka lub Wichrowe wzgórza. Może za jakąś godzinę ciotka Queen spyta Jasmine: „Gdzie mój synek?”

Na razie był czas dla odważnych. Czas kontynuacji tego, co się już rozpoczęło.

Wyjąłem z kieszeni i obejrzałem kameę. Rok temu, gdy byłem jeszcze śmiertelnikiem - żywą istotą - musiałbym przysunąć ją do lampy, ale teraz nie. Widziałem ją wyraźnie.

To był wizerunek mojej głowy, półprofil z ręcznie wyrzeźbiony w kawałku dobrego dwuwarstwowego sardonixu, precyzyjna miniatura w bieli. Tło lśniło czernią bez skazy.

To była ciężka kamea, znakomity okaz sztuki grawerskiej. Kiedyś

podarowałbym ją mojej ukochanej cioci Queen, bardziej dla żartu niż z jakiegoś innego powodu, ale zanim nadarzył się właściwy moment, przekazano mi mroczną krew. Teraz ten moment należał bezpowrotnie do przeszłości.

Co widziałem? Smutną, owalną twarz i zbyt delikatne rysy - zbyt wąski nos, okrągłe oczy i półkoliste brwi, buźkę w ciup jak u dwunastolatki. Nie miałem dużych oczu, wysokich kości policzkowych, twardej szczęki. Wszystko bardzo ładne, tak, za ładne i to dlatego na większości fotografii mam naburmuszoną minę; ale ten artysta nie pokazał mojego naburmuszenia. Przeciwnie, obdarzył mnie lekkim uśmiechem. Krótkie kręcone włosy ułożył w gęste kędziory, rozrzuconą czuprynkę olimpijskich bogów. Z taką samą gracją wyrzeźbił kołnierzyk koszuli, połę marynarki i węzeł krawata.

Oczywiście kamea nie mówiła nic o moim wzroście, sięgającym sześciu stóp i czterech cali, kruczoczarnych włosach, niebieskich oczach ani delikatnej budowie. Mam długie szczupłe palce pianisty i czasem użytkuję je do gry na tym instrumencie. A mój wzrost mówił ludziom, że mimo zbyt delikatnej twarzy i kobiecych rąk w rzeczywistości jestem młodym mężczyzną.

Taka więc była ta enigmatyczna postać, oddana jak najwierniej.

Postać prosząca o sympatię. Postać mówiąca z przekorą: „No, pomyśl o tym, Lestacie. Jestem młody, jestem głupi. I jestem przystojny. Popatrz na kameę. Jestem przystojny. Daj mi szansę”.

Umieściłbym te słowa maczkiem na odwrocie, ale tam znajdowała

się owalna oprawka na fotografię i mój wizerunek, także czarno - biały, potwierdzający dokładność awersu. Na złotym brzeżku, tuż pod kameą, wyryto „Quinn”; wiernie imitując ten bezpłciowy charakter pisma, którego zawsze nie cierpiałem do szpiku kości - ja, mańkut udający normalnego, medium mówiące: „Jestem zdyscyplinowany i przy zdrowych zmysłach”.

Zebrałem zapisane kartki, przeczytałem je szybko, krzywiąc się kolejny raz z powodu mojego nijakiego charakteru pisma, potem złożyłem je i razem z kameą włożyłem do wąskiej koperty, którą zakleilem.

Wsunąłem kopertę do wewnętrznej kieszeni czarnej luźnej kurtki.

Zapiąłem kołnierzyk białej garniturowej koszuli i poprawiłem węzeł gładkiego krawata z czerwonego jedwabiu. Quinn dandys. Quinn materiał na bohatera „Kronik wampirów”. Quinn, który tak się wystroił, że wyżebrze wpuszczenie go za próg.

Siadłem wygodniej, nasłuchując. Ani śladu Goblina. Gdzie był

Goblin? Jego nieobecność podkreślała moją samotność i sprawiała mi ból.

Poczułem pustkę nocy. Czekał na moje łowy, czekał na świeżą krew. Ale nie miałem zamiaru dziś polować, chociaż dokuczał mi lekki głód. Wybierałem się do Nowego Orleanu. Wybierałem się, być może, na śmierć.

Goblin nie mógł odgadnąć, co się dzieje. Goblin zawsze był niedorostkiem. Goblin wyglądał jak ja, to prawda, na każdym etapie mojego życia, ale był wiecznym niedorostkiem. Kiedy usiłując pisać, prowadził moją lewą rękę swoją prawą, wychodziły dziecięce bazgroły.

Pochyliłem się i dotknąłem pilota na marmurowym blacie. Światło

kinkietów osłabło i z wolna zgasło. Ciemność przyszła do Samotni. Dźwięki jakby stały się głośniejsze; nocny krzyk czapli, delikatny szmer zgniłych mrocznych wód, chrobot małych zwierząt w splątanych koronach cyprysów i eukaliptusów. Czulem woń aligatorów, które obawiały się wyspy tak samo jak ludzie. Czulem gnilny żar.

Księżyc był w pełni i stopniowo dostrzegłem kawałek nieba, jasną, metaliczną, niebieską półkulę.

Bagna wokół wyspy były najgęstsze - tysiącletnie cyprysy otaczały sękatymi korzeniami brzeg, hiszpański mech zwisał z kalekich konarów. Można by pomyśleć, że chciały ukryć Samotnię, i niewykluczone, iż taki był ich cel.

Tylko pioruny ośmielały się atakować tych starych wartowników.

Tylko pioruny nie bały się legend, które głosiły, że jakieś zło zamieszkuje na Wyspie Słodkiego Czarta; wylądujesz na niej i nigdy nie wrócisz.

Opowiadano mi te legendy, gdy miałem piętnaście lat. I mając ich dwadzieścia jeden, słyszałem je w kółko, ale próżność i fascynacja zwabiły mnie do Samotni, skusiła jej tajemniczość - potężnego jednopiętrowego domu, będącego jakimś tajemnym mauzoleum - ale teraz nie było prawdziwego „potem”. Była tylko nieśmiertelność, ta kipiąca we mnie moc, odgradzająca mnie od terażniejszości lub od czasu.

Człowiek w pirodze potrzebowałby dobrej godziny, by się stąd wydostać, przedzierając się między korzeniami drzew do pomostu przy wzgórzu, na którym stał dwór Blackwood, nieskończenie arogancki i wyniosły.

Nie przepadam za Samotnią, chociaż jej potrzebuję. Nie przepadam za ponurym mauzoleum ze złota i granitu o dziwnych łacińskich napisach, chociaż muszę się w nim ukrywać przed słońcem dnia. Uwielbiam za to dwór Blackwood, darząc go irracjonalną i zachłanną miłością, którą tylko wielkie domy potrafią w nas wzbudzić - domy, które powiadają: „Byłem tu, zanim ty się urodziłeś, i będę tu, po tym kiedy ty odejdziesz”; domy, które w równej mierze narzucają nam obowiązki i sycą marzeniami. Historia dworu i jego arogancka, przesadna uroda wywarły na mnie potężny wpływ. Spędziłem tu całe życie, nie licząc cudownych chwil za granicą.

Nie wiem, jak różnym stryjom i ciotkom udało się przez lata opuścić Blackwood, ale ci nieznajomi nie liczyli się w moim życiu, odjechali na północ i tylko od czasu do czasu spotykałem ich na pogrzebach.

Poddawałem się przemożnemu urokowi tego domu.

Rozmyślałem. Czy uda mi się powrócić, aby znów zwyczajnie przejść amfiladą pokojów? Czy uda mi się powrócić i odnaleźć wielką sypialnię na tyłach parteru, w której moja ukochana ciotka właśnie zasiadała w swoim ulubionym fotelu? Przecież nadal miałem kameę w kieszeni kurtki, kameę kupioną z myślą o niej zaledwie kilka nocy temu w Nowym Jorku, i powinienem ją jej dać, prawda? To był cudowny egzemplarz, jeden z najwspanialszych...

Nie. Nie dla mnie zdawkowe pożegnanie. Nie potrafiłem ot tak sobie dać do zrozumienia, że coś może mi się przydarzyć. Nie potrafiłem wstąpić ze złośliwą radością w tajemnicę, w której już byłem pogrążony po uszy;

Quinn, nocny gość, Quinn, który teraz lubi przyciemnione pokoje i unika światła lamp, jakby cierpiał na jakąś egzotyczną chorobę. Co dobrego przyniosłoby zdawkowe pożegnanie mojej ukochanej, łagodnej ciotce Queen?

Gdybym przegrał tej nocy, powstałaby kolejna legenda: „Ten niepoprawny Quinn. Wyprawił się na sam środek Bagien Słodkiego Czarta, chociaż wszyscy mu odradzali; pewnej nocy popłynął na tę przeklętą wyspę, do Samotni, i nigdy więcej nie wrócił”.

Prawdę mówiąc, nie wierzyłem, że Lestat zdmuchnie płomyk mojej egzystencji. Nie wierzyłem, że to zrobi, nie pozwoliwszy mi przedstawić mojej opowieści, całej lub przynajmniej w części. Może po prostu byłem zbyt młody, aby w to uwierzyć. Może zbyt mocno przeżyłem lekturę „Kronik” i gdy Lestat stał się mi bliski, uznałem, że ja mogę stać się bliski jemu.

Najpewniej oszalałem. Obsesyjnie pragnąłem znaleźć się jak najbliżej Lestata. Nie wiedziałem, z którego miejsca i jak pilnuje Nowego Orleanu. Nie wiedziałem również, kiedy i jak często odwiedza swój dom w dzielnicy francuskiej. Ale list i mój onyksowy wizerunek miały tam dotrzeć.

W końcu podniosłem się z krzesła ze złota i skóry.

Wyszedłem z domu o cudownych marmurowych posadzkach i wystarczyło mi pomyśleć, a uniosłem się powoli z ciepłej ziemi, doświadczając rozkosznej lekkości, aż z chłodnych wyżyn dostrzegłem ogromną, długą, czarną płataninę mokradel i światła wielkiego domu,

Isniące jak latarnia na gładkich trawnikach.

Siłą woli skierowałem się do Nowego Orleanu. Używając najbardziej niesamowitej mocy, daru chmur, przebyłem wody jeziora Pontchartrain i udałem się ku osławionej rezydencji przy rue Royale, która, jak wiedzieli łowcy krwi, była domem niezwyciężonego Lestata. „Diabeł z niego jakich mało - powiedział o nim mój stwórca. - Zachował nieruchomości na swoje nazwisko, chociaż Talamaska za nim węszy. Zamierza ich przetrwać. Jest litościwszy ode mnie”.

Oto, na co liczyłem. Na litość. Lestacie, gdziekolwiek jesteś, bądź litościwy. Nie kieruje mną brak szacunku. Potrzebuję cię; przekonasz się, czytając mój list.

Opadłem powoli w dół, w dół, znów w balsamiczne powietrze, ulotny cień dla wścibskich oczu, jeśliby takie się znalazły, aż stanąłem na tylnym dziedzińcu rezydencji, blisko mruczącej fontanny. Uniosłem wzrok ku krętym żelaznym schodom, prowadzącym do tylnych drzwi.

W porządku. Jestem tu. Zasady zostały więc złamane. Jestem więc na dziedzińcu samego smarkatego księcia. Przed oczy napłynęły mi opisy z „Kronik”, bogate jak pędy bugenwilli, wspinające się wykutymi w żelazie kolumnami podtrzymującymi schody. Poczulem się jak w świątyni.

Wszędzie wokół słyszałem gwar dzielnicy francuskiej; brzęki z restauracyjnych kuchni, rozweselone głosy turystów na chodnikach.

Słyszałem najdelikatniejsze dźwięki jazzowych zespołów, wysnuwające się z knajp przy Bourbon Street. Słyszałem pełzający, głuchy łoskot samochodów, sunących leniwie przed rezydencją.

Sam dziedziniec był mały, zwarty i piękny; już wysokość jego

ceglanych murów sprawiła mi niespodziankę. Lśniące zielone bananowce

miały niespotykane rozmiary; woskowe korzenie tu i tam wysadzały

purpurowe płyty. Nie było to jednak opuszczone miejsce. Ktoś tu bywał,

ściął zwiędłe liście kęp bananowców. Ktoś zrywał wyschłe owoce tych

drzew, które zawsze marniały w Nowym Orleanie, nim zdążyły dojrzeć.

Ktoś przycinał wszechobecne róże i porządkował patio. Nawet woda,

spadająca z gulgotem z konchy w kamiennej dłoni cheruba do fontanny

była świeża i czysta.

Wszystkie te słodkie szczególiki wyrzucały mi gorzko, że jestem

intruzem, ale, do cholery!, byłem zbyt głupi i roznamiętniony, aby się bać.

Wtedy dostrzegłem światło ćmiące się z okienka na piętrze, słabe

światelko z serca domu.

To mnie wystraszyło, ale równocześnie podbechtalo rosnące

szaleństwo. Czy uda mi się porozmawiać z samym Lestatem? A co, jeśli na

mój widok nie zawaha się użyć daru ognia? List, onyksowa kamea, moje

gorzkie prośby, to zbyt wątła tarcza.

Powinienem był dać ciotce tę nową kameę. Powinienem złapać ją w

objęcia i ucałować. Powinienem jej powiedzieć. Czekala mnie śmierć.

Tylko skończony idiota mógł przeżywać takie uniesienie. Lestacie,

kocham cię. Oto przybywa Quinn, twój przyszły uczeń i niewolnik!

Pobiegłem schodami najciszej jak umiałem. Gdy tylko znalazłem się

na balkonie, poczułem bijącą ze środka daleką woń człowieka. Człowiek.

Co to znaczy? Przystanąłem i użyłem daru umysłu. Niech przeszuka

pokoje.

Od razu dowiedziałem się czegoś niejasnego. Niewątpliwie był tam człowiek i wszedł po kryjomu, poruszał się z pośpiechem, boleśnie świadomy, że narusza prawa właściciela. I ten ktoś, ten człowiek, zdawał sobie sprawę, że ja tu jestem.

Przez chwilę nie wiedziałem, co robić. Włamując się, przyłapałem na gorącym uczynku innego włamywacza.

Poczułem

się

dziwnie

odpowiedzialny za ten dom. Nieznajomy zakłócił mir domowy Lestata. Jak on śmiał? Co to za patałach? I skąd wiedział, że ja tu jestem i że mój umysł przeszukuje jego umysł?

Więcej, dar umysłu tej dziwnej, niepożądaney istoty był niemal

równie silny jak mój. Zapytałem o jego nazwisko i dowiedziałem się:

Stirling. To był Oliver Stirling, mój stary przyjaciel z Talamaski. W chwili, w której odkryłem jego tożsamość, poczułem, że on rozpoznał mnie.

„Quinn?”, powiedział w myśli, jakby zwracał się do mnie. Co Stirling

o mnie wiedział? Od naszego ostatniego spotkania minęło kilka lat. Czy już

wyczuł zmianę, która się we mnie dokonała? Dobry Boże, musiałem

wyrzucić to z głowy. Był jeszcze czas opuścić ten dom, czas wrócić do

Samotni i pozostawić Stirlinga jego tajemnemu śledztwu, czas uciec, zanim mógłby się dowiedzieć, kim się stałem.

Tak, odejść - natychmiast - niech myśli, że stałem się śmiertelnym czytelnikiem „Kronik”, i wrócić, gdy go nie będzie.

A jednak nie mogłem odejść. Byłem zbyt samotny. I za bardzo zależało mi na konfrontacji. Tak wyglądała prawda. Tam oto był Stirling i - być może - wrota do serca Lestata.

Kierowany impulsem, zrobiłem coś absolutnie zakazanego.

Uchyliłem drzwi, które okazały się niezamknięte na klucz, i wszedłem do środka. Wstrzymując oddech, stanąłem na sekundę w ciemnym

eleganckim holu, ogarnąłem wzrokiem krzyczące impresjonistyczne

obrazy, a potem, mijając puste sypialnie, poszedłem korytarzem i

znalazłem Stirlinga we frontowym pokoju - ostentacyjnie oficjalnym

salonie, pełnym złoconych mebli. Zastłonięte koronkowymi firanami okna wychodziły na ulicę.

Stał przy wysokim bibliotecznym regale po lewej stronie, z książką w

ręce. Spojrzał na mnie bez słowa, gdy wkroczyłem w światło żyrandola.

Co zobaczył? Przez chwilę nie starałem się tego dowiedzieć.

Pochłaniałem go wzrokiem i czułem, że jednak nie uwolniłem się od

miłości, którą darzyłem go jako widzący duchy osiemnastolatek, i że nadal

prezentował się identycznie - miał delikatne siwe włosy luźno szesane z

wysokiego czoła i duże, szare, patrzące przyjaźnie oczy. Wyglądał na

sześćdziesiątkę z okładem, nie więcej, jakby czas się go nie miał, pozostał

szczypty i rześki. Wystroił się w białe - niebieski lniany garnitur.

Niebawem, choć nie od razu, wyczułem, że się mnie boi. Unosił ku mnie wzrok - z racji mojego wzrostu prawie każdy, kto chce mi spojrzeć w oczy, musi unieść wzrok - i mimo pozorów godnej pewności siebie, a miał jej pod dostatkiem, dostrzegł we mnie zmiany i chociaż nie był pewien ich istoty, to jednak instynktownie czuł, że powinien mieć się na baczności.

Tak się składa, że przeciętni ludzie zwykle nie zdają sobie sprawy, że jestem łowcą krwi, ale ten człowiek nie był kimś przeciętnym, poza tym miał dar telepatii. Robiłem, co w mojej mocy, aby zamknąć mu drogę do mojego umysłu. Nauczył mnie tego mój stwórca, twierdząc, że jest to osiągalne tylko siłą woli.

- Quinn, witaj - powiedział Stirling. - Coś z tobą nie tak? - Łagodny brytyjski akcent w okamgnieniu przeniósł mnie cztery i pół roku w przeszłość.

- Wszystko jest ze mną nie tak, Stirling - odpowiedziałem machinalnie. - Ale co ty tu robisz? - I od razu przeszedłem do rzeczy, urodzony nedorajda. - Lestat dał ci klucze od domu?

- Nie - odpowiedział natychmiast. - Muszę wyznać, że nie ma pojęcia, że tu jestem. A ty, Quinn? - spytał z przejęciem. - Czemu ty tu jesteś?

Odłożył książkę i zrobił ku mnie krok, na co ja cofnąłem się w cień korytarza.

Jego dobroć sprawiła, że kolana niemal ugięły się pode mną.

Równocześnie sytuacja skomplikowała się w sposób nieunikniony. Stirling roztaczał wyraźny, smakowity zapach, zapach człowieka, i nagle wszystko, co o nim wiedziałem, co do niego czułem, co chroniło go przede

mną, stało się nieważne. Ujrzałem w nim ofiarę.

*Między nami rozwarła się przepaść, w którą runęła pamięć
łączących nas uczuć i czułem tylko głód, głód, ponieważ powiew jego
dobroci niósł woń krwi tętniącej w jego żyłach.*

*Stirling nie był jednak złoczyńcą. Nie był zwierzyną. Kiedy na niego
patrzyłem, czułem, piskłę, że tracę wszelki zdrowy rozsądek. Pchała mnie
dotkliwa samotność. Głód doprowadzał do szaleństwa. Chciałem
jednocześnie się nim nakarmić i powierzyć mu wszystkie swoje smutki i
żale.*

*- Nie zbliżaj się, Stirling - wyjąkałem, usiłując przemówić tonem
pewności siebie. - Nie powinieneś tu być. Nie masz prawa. Skoro z ciebie
taki cholerny mądrała, czemu nie wpadłeś tu za dnia, gdy Lestat nie mógł
cię zatrzymać?*

*Woń krwi doprowadzała mnie do szaleństwa, woń krwi i dzika
żądza. Chciałem się z nim zespolić - siłą mordy lub siłą miłości.*

*- Nie potrafię tego racjonalnie wyjaśnić, Quinn - powiedział. Mówił z
brytyjskim akcentem, starannie dobierając słowa, ale coś ścisnęło go za
gardło. - Niemniej jednak jesteś ostatnią osobą, której bym się tu
spodziewał. Quinn, pokaż się, proszę.*

Znów potrząsnąłem odmownie głową. Miałem dreszcze.

*- Stirling, nie próbuj mnie omotać tym twoim wdziękiem i czarem -
kontynuowałem. - Mogłeś tu trafić na kogoś znacznie niebezpieczniejszego
niż ja. A może nie wierzysz w opowieści Lestata? Nie wmawiaj mi, że
twoim zdaniem wampiry istnieją tylko w książkach.*

- Jesteś jednym z nich - powiedział cicho. Zmarszczył brwi, ale po

chwili się rozpogodził. - Czy to robota Lestata? On cię przemienił?

Mimo całej uprzejmości był zdumiewająco śmiały. Z drugiej strony

był dużo starszy ode mnie, od dawna nawykł działać z pełnym wdzięku

autorytetem, ja zaś byłem boleśnie niedojrzały. Kolejny raz wezbrała we

mnie fala miłości, chęć schronienia się pod jego skrzydła, i kolejny raz

złączyła się z falą głodu. To było głupie, ale nie miałem na to wpływu.

- To nie sprawka Lestata - wyjaśniłem mu. - Więcej, on nie ma z tym

nic wspólnego. Przyszedłem go odnaleźć, Stirling. Ale wyszła z tego

drobna tragedia. Wpadłem na ciebie.

- Tragedia?

- A co innego, Stirling? Wiesz, kim jestem. Wiesz, gdzie mieszkam.

Wiesz wszystko o mojej rodzinie, dziedzicach na Blackwood. Czy

wyobrażasz sobie, że wyjdiesz stąd jakby nigdy nic, po tym jak cię

zobaczyłem, a ty mnie? - Dusiło mnie pragnienie. Przestałem jasno

widzieć. Usłyszałem, jak mówię: - Nie próbuj mi wmówić, że Talamaska nie

będzie mnie napastować. Nie próbuj mi wmówić, że ty i twoi poplecznicy

nie rozpełzniecie się na prawo i lewo, chcąc mnie odnaleźć. Wiem, że to

nieuchronne. I potworne, Stirling.

Jego lęk rósł, ale próbował z nim walczyć. A mój głód stał się

silniejszy ode mnie. Gdybym popuścił mu cugli, gdybym pozwolił mu

zaszaleć, doszłoby nieuchronnie do czynu, a że ten wydawał się

nieuchronny, zacząłem godzić się z tym, że jest konieczny. Nie mogłem

jednak do tego dopuścić, nie mogłem pozbawić życia Olivera Stirlinga.

Byłem beznadziejnie skołowany.

Zanim uświadomiłem sobie, co robię, zbliżyłem się do niego. Teraz nie tylko czułem jego krew, widziałem ją. I popełnił fatalny błąd. Cofnął się odruchowo. Cofnął się krokiem ofiary. Ten ruch podziałał na mnie jak płachta na byka.

- Stirling, nie powinieneś być tu przychodzić - powtórzyłem. - Jesteś intruzem. - Głód odebrał mojemu głosowi wszelką siłę, słowom - znaczenie.

Intruz, intruz, intruz.

- Nie skrzywdzisz mnie, Quinn - rzekł spokojnym, rozsądnym tonem - nie zrobisz mi tego. Zbyt wiele nas łączy. Zawsze cię rozumiałem. Zawsze rozumiałem Goblina. Czy teraz zdradzisz to wszystko?

- To stary dług - powiedziałem. Mój głos opadł do szeptu.

Wiedziałem, że stoję teraz w jasnym świetle żyrandola i że Stirling widzi subtelne spotęgowanie się przemiany. Przemiana to coś niesamowitego, zupełnie niesamowitego. I w moim opętaniu wydawało mi się, że jego strach osiągnął poziom bezrozumnej paniki, a panika uwydatnia słodką woń krwi.

Czy psy czują strach? Wampiry go czują. Wampiry na niego liczą. To ich nektar i ambrozja. Nie potrafią się mu oprzeć.

- To nie w porządku - powiedział, ale również szeptał, bo samo moje spojrzenie odbierało mu siły, jak jest zawsze w przypadku śmiertelnych, i wiedział, że nie ma sensu walczyć. - Nie rób tego, mój chłopcze - wymamrotał. Mówił ledwo zrozumiałym głosem.

Bezwiednie wyciągnąłem rękę i gdy go dotknąłem, przeszył mnie

prąd. Zmiażdż go. Zmiażdż mu kości, ale najpierw połknij jego duszę wraz z krwią.

- Nie zdajesz sobie sprawy... - urwał i odczytałem resztę jego myśli.

Talamaska będzie jeszcze bardziej rozjuszona i obie strony na tym stracą.

Wampiry, łowcy krwi, dzieci milenium, wszyscy opuścili Nowy Orlean. W mrok rozproszyły się wampiry. Jest stan zwieszenia broni. A teraz ja chcę go złamać!

- Ale widzisz, oni znają mnie w innej postaci - wytłumaczyłem mu - w innej, nie w tej. Tylko ty wiesz, kim jestem, mój stary przyjacielu, i na tym polega okropność tego wszystkiego. Wiesz, kim jestem, i dlatego to nieuchronne.

Pochyliłem się nad nim i pocałowałem go w szyję. Mój przyjaciel, mój były najlepszy przyjaciel. I teraz przeżyjemy to zespolenie. Pożądanie stare i nowe. Chłopiec, który go kochał. Czuję krew prącą arterią.

Objąłem go. Nie krzywdź go. Nie potrafił się odsunąć. Nawet nie próbował.

- To nie będzie bolało, Stirling - szepnąłem. Wbiłem jednocześnie oba kły i krew powoli napelniła mi usta, a z nią nagle chlusnął potok jego życia i marzeń.

Testem niewinny”. Te słowa paliły poprzez rozkosz. Wynurzał się w świetlistym nurcie postaci i głosów, roztrącając tłum, Stirling, ten człowiek, błagał mnie w myślach, mówiąc: „Jestem niewinny”. Byłem chłopcem z przeszłości, a Stirling mówił: „Jestem niewinny”. Nie potrafiłem przerwać rozpoczętego zespolenia.

Ktoś inny zrobił to za mnie.

Poczułem żelazny uścisk na ramieniu i zostałem oderwany od

Stirlinga. Zatoczył się, niemal przewrócił, a potem potknął i runął bokiem na fotel za biurkiem.

Padłem na regał. Zlizywałem krew z warg, walcząc z zawrotami głowy. Żyrandol się kołysał, plamy kolorów na obrazach płonęły.

Silna dłoń spoczęła na mojej piersi, uniosła mnie, podtrzymała.

I zdałem sobie sprawę, że patrzę na Lestata.

Szybko odzyskałem równowagę. Przyglądał mi się, a ja nie miałem najmniejszego zamiaru odwracać od niego oczu. Pochłaniałem go wzrokiem od stóp do głów, ponieważ nie potrafiłem się opanować i ponieważ przedstawiał sobą zapierający dech w piersiach widok, zgodny z tym, jak zawsze siebie opisywał, i widziałem go, naprawdę go widziałem, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, którą oglądałem przed uniecznieniem.

Miał cerę koloru bladego złota, cudownie podkreślającą fiołkowe oczy, i istną złotą grzywę, rozrzuconą i układającą się w pukle na ramionach. Kolorowe okulary o szklach niemal w tym samym fiołkowym odcieniu co oczy wetknął wysoko we włosy i wpatrywał się we mnie, lekko marszcząc złote brwi, może czekając, aż dojdę do siebie. Szczerze mówiąc, nie miałem pojęcia.

Szybko zauważyłem, że ma na sobie tę czarną aksamitną marynarkę z małymi kameami zamiast guzików, którą opisano w Merricku, kamee prawie na pewno z sardonksu, marynarka bardzo wymyślna, wcięta w pasie i rozszerzająca się u dołu. Płócienna koszula rozpięta pod szyją; szare spodnie nie rzucały się w oczy, podobnie czarne buty.

W pamięć wryła mi się jego twarz - o regularnych rysach i gładkiej skórze, wielkich oczach i pięknie ukształtowanych, wydatnych ustach, ostro zarysowanej szczęce. Całość o znakomitszych proporcjach i bardziej czarująca niż mógłby to kiedykolwiek opisać. Prawdę mówiąc, jego

autoportrety nie oddawały mu sprawiedliwości, bo o jego niewątpliwie wybitnej urodzie decydował w pierwszym rządzie wewnętrzny ogień.

Patrzył na mnie bez nienawiści. Już cofnął pomocną dłoń.

Przeklinałem sam siebie w głębi serca, że jestem wyższy, że dosłownie musiał podnosić ku mnie wzrok. Mógłby wykończyć mnie z radością choćby z tego tylko powodu.

- List - wydukalem. - List! - Szeptalem, ale chociaż starałem się go wymacać ręką i umysłem, nie potrafiłem sięgnąć do wewnętrznej kieszeni kurtki. Telepało mną ze strachu.

Kiedy tak stałem, rozdygotany i zlany potem, włożył mi rękę pod kurtkę i wyjął list. Błysnęły lśniące paznokcie.

- To do mnie, prawda, Tarquinie Blackwood? - spytał. Miał lekki francuski akcent, leciutki. Nagle się uśmiechnął i miał wtedy taką minę, jakby nawet muchy nie potrafił skrzywdzić. Był zbyt atrakcyjny, zbyt przyjacielski, zbyt młody. Uśmiech zniknął jednak równie szybko, jak się pojawił.

- Tak - powiedziałem, a raczej wyjąkałem. - List, proszę, przeczytaj go. - Głos mi się załamał. Po chwili mówiłem dalej: - Zanim... zanim zdecydujesz.

Wcisnął list do kieszeni, a potem odwrócił się do Stirlinga, który siedział oszołomiony i bez słowa, z nieprzytomnym wzrokiem, zaciskając ręce na oparciu fotela. Trzymał to oparcie jak tarczę, chociaż, jak wiedziałem, było zupełnie bezużyteczne.

Lestat znów zmierzył mnie wzrokiem.

- Nie karmimy się członkami Talamaski, młodszy braciszku - pouczył mnie. - Ale ty - spojrzal na Stirlinga - prawie dostałeś to, na co zasłużyłeś.

Stirling patrzył przed siebie, niezdolny wydusić słowa, i tylko potrząsnął głową.

- Po co pan tu przyszedł, panie Oliverze? - spytał go Lestat. Stirling znów tylko potrząsnął głową. Dojrzałem kropelki krwi na jego wykrochmalonym białym kołnierzyku. Poczulem przemożny wstyd.

Obezwładnił mnie, tak głęboki i bolesny, że startł najdrobniejszy posmak nieudanej uczty.

Rozszalał się w mnie bezsłowny lęk.

Stirling mało nie umarł, i to z powodu mojego pragnienia. Stirling żył. Stirling był w niebezpieczeństwie, niebezpieczeństwie grożącym ze strony Lestata. Oto Lestat, żywy płomień przede mną. Tak, mógł uchodzić za człowieka, ale jakiego człowieka! O magnetycznej sile i naładowanego energią, gdy nadal sprawował nad nami komendę.

- Panie Oliverze, mówię do pana - powiedział łagodnym, niemniej jednak władczym tonem. Złapał Stirlinga za kłapy i ciągnąc go jak worek, przeniósł w kąt salonu, gdzie cisnął go na wybijany satyną fotel.

Stirling spodziewał się wszystkiego najgorszego - kto by się nie spodziewał? - i nadal nie potrafił skupić wzroku.

Lestat usiadł blisko niego, na pluszowej kanapce. O mnie chwilowo kompletnie zapomniano, tak przynajmniej zakładałem.

- Panie Oliverze - powiedział Lestat - pytam pana: Co popchnęło pana, aby wejść do mojego domu?

- Nie wiem - odparł Stirling. Zerknął na mnie, a potem na pytającego i bezwiednie patrzyłem jego oczami, widząc to, co on - wampira o jaśniejszej, chociaż opalonej skórze i płonących oczach.

Sławna uroda Lestata działała z mocą narkotyku. A aureola, którą tworzyło wokół jego głowy światło żyrandola, była bezlitosna lub cudowna, to zależało od punktu widzenia patrzącego.

- Ależ wiesz, po co tu przyszedłeś - powiedział przytłumionym głosem Lestat. Francuski akcent tylko dodawał mu uwodzicielskiego uroku. - Talamasce nie wystarczyło wypędzić mnie z miasta. Jeszcze musicie nachodzić domy, które do mnie należą?

- Nie należało tego robić - przyznał Stirling z westchnieniem.

Zmarszczył brwi i mocno zacisnął usta. - Nie powinienem był. - Po raz pierwszy spojrział Lestatowi prosto w oczy.

Lestat zerknął na mnie.

Pochylił się, wsunął palce za zakrwawiony kołnierzyk koszuli

Stirlinga - ten drgnął zaskoczony - i spojrział na mnie roziskrzonym wzrokiem.

- Nie rozlewamy krwi podczas posiłku, braciszku - powiedział, posyłając mi szelmowski uśmieszek. - Jeszcze wiele musisz się nauczyć.

Te słowa uderzyły mnie z siłą ciosu i poczułem, że brak mi słów. Czy znaczyły, że wyjdę stąd żywy?

„Nie zabijaj Stirlinga”, tylko to kołatało mi w głowie. Nagle Lestat roześmiał się krótko, nie przestając na mnie patrzeć.

- Tarquin, obróć ten fotel - polecił, wskazując biurko - i usiądź.

Przyprawiasz mnie o zdenerwowanie, kiedy tak stoisz. Jesteś cholernie wysoki. Stirling też się denerwuje.

Poczułem wielką ulgę, ale gdy usiłowałem wykonać jego polecenie, ręce tak mi się trzęsły, że znów ogarnął mnie wstyd. W końcu udało mi się usiąść, twarzą do tamtych dwóch, ale z zachowaniem uprzejmego dystansu.

Stirling przyglądał mi się z niewielkim marsem na czole, ale był pełen życzliwości, choć nadal wytrącony z równowagi. Nie wypilem tyle krwi, abym doprowadził go do oszołomienia. Sprawił to sam czyn, tyk z jego serca. Czyn i pojawienie się Lestata. Lestat nam przerwał, Lestat był tutaj i znów pytał go twardo: Stirling, po co wszedłeś do mojego domu?

- Mogłeś wejść za dnia - zauważył, zwracając się do niego ze spokojem. - Strażnicy, żywi ludzie, pilnują domu od wschodu do zachodu słońca, ale Talamaska wie, jak przekupić strażę. Czemu zlekceważyłeś to, że strzegę mojej własności, gdy tylko słońce zajdzie? Nie postuchałeś zalecenia własnego generała. Nie postuchałeś własnego zdrowego rozsądku.

Stirling skinął głową, uciekając wzrokiem, jakby nie miał argumentów, a potem słabym, ale godnym tonem powiedział:

- Drzwi były niezamknięte na klucz.

- Nie obrażaj mnie - rzekł cierpliwym i spokojnym głosem Lestat. - To mój dom.

Stirling kolejny raz uniósł wzrok. Spojrzał ze spokojem, a potem rzekł nieco pewniejszym głosem:

- Nie powinienem był tego robić i przyłapałeś mnie. Tak, to prawda, nie posłuchałem zalecenia generała. Przyszedłem, bo nie mogłem się oprzeć. Przyszedłem, bo nie do końca wierzyłem w twoje istnienie. Nie wierzyłem mimo wszystko, co czytałem i co mi powiedziano.

Lestat pokręcił z naganą głową i znów parsknął tym swoim krótkim śmiechem.

- Spodziewam się łatwowierności po śmiertelnych czytelnikach

„Kronik” - powiedział. - Nawet spodziewam się łatwowierności po takich pisklętach jak ten braciszek. Ale nie spodziewam się jej po Talamasce, która z tak wielkim ceremoniałem wypowiedziała nam wojnę.

- Cokolwiek znaczył ten gest - powiedział Stirling, jakoś zbierając siły

- nie przyszedłem tu z jego powodu. Wyraziłem swój sprzeciw, gdy tylko się o nim dowiedziałem. Byłem za zamknięciem Macierzystego Domu, tu w Luizjanie, jeśli byłaby taka potrzeba. Ale cóż... Byłem za tym, żeby pogodzić się ze stratami i wycofać do naszych zagranicznych bibliotek.

- Wypędziliście mnie z mojego własnego miasta - powiedział Lestat. -

Odpytywaliście moich sąsiadów. Grzebaliście we wszystkich moich aktach własności i w publicznych archiwach. A teraz się włamujesz i mówisz, że zrobiłeś to dlatego, że nie wierzyłeś w moje istnienie? To wymówka, ale nie przyczyna.

- Przyczyną było to, że chciałem cię zobaczyć - powiedział Stirling

silniejszym głosem. - Chciałem tego, co udało się innym w zakonie.

Chciałem cię zobaczyć na własne oczy.

- A teraz, kiedy mnie zobaczyłeś - odparł Lestat - co dokładnie

zrobisz? - Znów na mnie zerknął, posyłając błysk rozpromienionych oczu i uśmiech, który zaniknął w chwili, w której wrócił wzrokiem do mężczyzny w fotelu.

- To, co zawsze robimy - powiedział Stirling. - Napiszę o tobie, przedstawię raport starszym, złożę kopię w aktach wampira Lestata... to znaczy, jeśli pozwolisz mi stąd wyjść, jeśli taka będzie twoja decyzja.

- Nie skrzywdziłem żadnego z was, czy nie tak? - spytał Lestat. -

Pomyśl o tym. Kiedy skrzywdziłem aktywnego członka Talamaski? Nie obwiniaj mnie za czyny innych. A od czasu wypowiedzenia przez was wojny, od kiedy usiłujecie mnie wypędzić nawet z domu, okazywałem daleko idącą wstrzeźliwość.

- Nie okazywałeś - spokojnie odparł Stirling.

Byłem wstrząśnięty.

- Co masz na myśli? - spytał z naciskiem Lestat. - Na niebiosa, co masz na myśli? Wydawało mi się, że pod tym względem zachowywałem się po dżentelmeńsku. - Po raz pierwszy uśmiechnął się do niego.

- Tak, zachowywałeś się po dżentelmeńsku - odparł Stirling. - Ale moim zdaniem trudno nazwać twoje zachowanie wstrzeźliwym.

- Czy wiesz, co to dla mnie znaczy, być wypędzonym z Nowego Orleanu? - spytał Lestat, nie tracąc opanowania. - Czy wiesz, co to dla mnie znaczy, nie móc się przejść po dzielnicy francuskiej z obawy przed waszymi szpiegami w Café du Monde, nie móc się wmieszać w tłum odwiedzający wieczorem sklepy przy rue Royale, tylko dlatego że któryś z waszych osławionych plotkarzy również może się tam przechadzać?

Wiesz, jak mnie to rani, że musiałem opuścić jedyne miasto na świecie, które naprawdę kocham?

Stirling wyprostował się na te słowa.

- Ale czy zawsze nie byłeś dla nas zbyt sprytny? - spytał.

- Ależ oczywiście - odparł Lestat, wzruszając ramionami.

- Poza tym nie zostałeś wypędzony - ciągnął dalej Stirling. -

Pozostałeś w Nowym Orleanie. Byłeś widziany przez naszych członków, siedziałeś zuchwale w Café du Monde, nad gorącą filiżanką cafe au lait, i dodam, że nawet nie zamoczyłeś w niej ust.

Byłem osłupiały.

- Stirling! - szepnąłem. - Na litość boską, nie stawiaj się. Lestat znowu spojrzał na mnie, ale bez gniewu. Odwrócił się do Stirlinga. Ten nie skończył. Ciągnął dalej ze zdecydowaniem:

- Nadal karmisz się włóczęgami - powiedział. - Władze się tym nie przejmują, ale my rozpoznaliśmy sprawcę po okolicznościach. Wiemy, że to ty.

Byłem zażenowany. Jak Stirling śmiał mówić takim tonem? Lestat prychnął nieodparcie zaraźliwym śmiechem.

- I mimo to przyszedłeś nocą? - spytał. - Miałeś czelność, wiedząc, że możesz mnie tu spotkać?

- Myślę... - Stirling zawahał się i mówił dalej: - Myślę, że chciałem rzucić ci wyzwanie. Jak powiedziałem, myślę, że popełniłem grzech pychy.

Dzięki Bogu za to wyznanie, pomyślałem. „Popełniłem grzech pychy”, naprawdę trafnie dobrane słowa. Miałem dreszcze, obserwując

tych dwóch, poruszony nieustraszoną Stirlinga.

- Szanujemy cię - powiedział Anglik - bardziej, niż na to zasługujesz.

Zatchnęło mnie.

- Och, zechciej mi to wyjaśnić! - powiedział Lestat, uśmiechając się. -

Powinienem znać źródło tego szacunku. Jeśli naprawdę jestem waszym dłużnikiem, powinienem wam podziękować.

- Chodzi o kaplicę pod wezwaniem Świętej Elżbiety - rzekł Stirling.

Teraz mówił bez zająknięcia. - Budynek, który użytkujesz od wielu lat,

śpiąc na posadzce. Nigdy nie staraliśmy się wejść do środka ani zobaczyć,

co się tam dzieje. Mimo że, jak powiedziałaś, bardzo dobrze umiemy

przekupywać strażników. Twoje „Kroniki” ujawniły wszem i wobec, gdzie

sypiasz. I wiemy, że moglibyśmy spenetrować ten budynek. Mogliśmy

przyjrzeć ci się w dzień, gdy spałeś bezbronny na marmurowych płytach.

Co to była za przynęta - śpiący wampir, który już nie kryje się w

sarkofagu. Zabójczy mroczny odpowiednik śpiącego króla Artura

czekającego, aż Anglia znów wezwie go w potrzebie. Ale nie zakradliśmy

się do twojego gigantycznego leża. Jak powiedziałem, myślę, że

uszanowaliśmy cię bardziej, niż na to zasługujesz.

Na chwilę zacisnąłem powieki, pewien nieszczęścia. Lestat

odpowiedział tylko kolejnym chichotem, który przeszedł w głośny śmiech.

- Czysty nonsens - powiedział. - Ty i twoi koledzy mieliście zwykłego

stracha. Nigdy nie zbliżyliście się do Świętej Elżbiety, za dnia ani w nocy,

bo po prostu baliście się naszych wiekowych braci, którzy mogli

zdmuchnąć płomyk waszego życia jak świeczkę. Baliście się również

wampirzej hołoty, która zjawiała się na przeszpiegi i nie szanowała na tyle imienia Talamaski, żeby obchodzić was z daleka. A co się tyczy dziennych odwiedzin, to nie wiedzieliście, co wasz czeka - czy nie wykończą was dobrze opłacani bandyci i nie zamurują waszych trupów pod podłogą. Wstrzymywały was tylko względy praktyczne. Stirling zmrużył oczy.

- Tak, musieliśmy być ostrożni - przyznał. - Niemniej jednak były chwile...

- Bzdury - przerwał mu Lestat. - Tak naprawdę mój niesławny sen zakończył się, zanim ogłosiliście wojnę z nami. I co z tego, że faktycznie pokazałem się, siedząc „bardzo zuchwale” w Café du Monde?! Jak śmiesz mówić „zuchwale”? Dajesz do zrozumienia, że nie miałem do tego prawa!

- Karmisz się ludźmi, swoimi braćmi - wytknął mu ze spokojem Stirling. - Na serio o tym zapomniałeś?

Szalałem ze strachu. Tylko uśmiech na twarzy Lestata upewniał mnie, że Stirling nie zmierza prosto ku śmierci.

- Nie, nigdy nie zapomnę, co robię - powiedział łagodnie Lestat. -

Ale chyba nie zamierzasz czepiać się wszystkiego, co robię, żeby przetrwać! Musisz pamiętać, że nie jestem człowiekiem - daleko mi do tego gatunku, coraz dalej z każdą kolejną przygodą i każdym kolejnym rokiem.

Zwiedziłem niebiosy i piekło; pozwól, że zapytam, czy to pamiętasz?

Przerwał, jakby sam zamierzał sobie to przypomnieć i Stirling usiłował odpowiedzieć, ale po prostu nie mógł. Lestat ciągnął dalej opanowanym głosem:

- Byłem w ludzkim ciele i odzyskałem to ciało, które teraz widzisz

przed sobą. Byłem kochankiem stworzenia, które inni nazywali boginią. I tak, karmię się moimi ludzkimi braćmi, bo taka jest moja natura, i wiesz o tym, i wiesz, jak troszczyć się o każdy śmiertelny kąsek, żeby nie uległ skażeniu, zatruciu i nie zaszkodził ludzkiemu życiu. Mówię to wszystko, aby wykazać, iż wasza wymierzona w nas deklaracja była złym pomysłem.

- Zgadzam się z tobą; Deklaracja Wrogości była głupotą. Nigdy nie powinna być ogłoszona.

- Deklaracja Wrogości, tak ją nazwaliście? - spytał Lestat.

- Takie' chyba było oficjalne określenie - potwierdził Stirling. -

Zawsze byliśmy autorytarnym zakonem. Można rzec, że nie mamy pojęcia o demokracji. Kiedy mówiłem, że wyraziłem swój sprzeciw, nie miałem na myśli faktycznego głosowania, wyrażałem się metaforycznie. Deklaracja Wrogości, tak, chyba takiego sformułowania użyto. Był to krok ze wszechmiar naiwny i błędny.

- Ach, naiwny i błędny - powtórzył Lestat. - Ładnie powiedziane. I

może wyszłoby wam na dobre, gdybyście sobie zapamiętali, że ta cała wasza Talamaska to banda pretensjonalnych rozrabiaków, nie wyłączając starszyszy.

Ogarnięty fascynacją Stirling chyba się rozluźniał, ale ja nie mogłem. Za bardzo obawiałem się tego, co mogło się lada chwila wydarzyć.

- Mam teorię co do Deklaracji Wrogości - powiedział Stirling.

- Jaką mianowicie? - spytał Lestat.

- Myślę, że w czcigodnych umysłach starszyny, a Bóg wie, że nie znam ich czcigodnych umysłów, zaświtała myśl, iż Deklaracja nakłoni do powrotu niektórych naszych członków, którzy zostali wyniesieni na wysokie szczeble waszej hierarchii.

- Och, urocze. - Lestat się roześmiał. - Czemu nie mówisz wprost? Czy to ze względu na tego chłopca?

- Tak, być może ze względu na niego owijam sprawę w bawełnę - przyznał Stirling - ale doprawdy my, członkowie Talamaski, nawet myśląc, używamy takiego języka.

- No cóż, w takim razie wbijcie sobie raz na zawsze do głowy, że nie mamy hierarchii - powiedział Lestat. - Wręcz przeciwnie, rzekłbym, iż nieodłączną cechą naszego gatunku jest skrajny indywidualizm, wielość międzyosobniczych różnic, swoista płynność takich pojęć jak przyjaźń, jedność, wspólnota dusz. Spotykamy się w ramach niewielkich sabatów i potem znów rozbiegamy się jak szaleni na wszystkie strony. Rzadko zdarza się nam żyć w przyjaźni. Nie mamy hierarchii.

To było intrygujące i poczułem, jak mój strach topnieje. Tymczasem Stirling znów odezwał się ostrożnym, uprzejmym tonem.

- Rozumiem to - rzekł. - Ale wracając do bieżącej sprawy, mianowicie do tego, dlaczego starszyna ogłosiła tę Deklarację, myślę, że naprawdę wierzyła, iż te wampiry, które niegdyś były członkami zakonu, spróbują się z nami porozumieć i moglibyśmy skorzystać na kontaktach z takimi istotami jak ty. Moglibyśmy podnieść naszą wiedzę o was na wyższy poziom.

- To bardzo scholastyczne podejście - zauważył Lestat.

- Tak. I z pewnością zdajesz sobie sprawę, co dla nas znaczyło, utracić swoich członków na rzecz waszej kolektywnej mocy, bez względu na to, co było tego przyczyną, i jak się to stało. Byliśmy wstrząśnięci każdą zdradą i nie potrafiliśmy zrozumieć, jak doszło do dialogu między wami, jeśli rzeczywiście doszło, i co go poprzedziło. Widzisz, chcieliśmy się czegoś nauczyć. Chcieliśmy... wiedzieć.

- No cóż, i nie wypaliło, prawda? - powiedział Lestat, nie tracąc spokoju. - A same „Kroniki” wam nie wystarczyły, prawda? Jest w nich wszystko o tym dialogu. Ale ty i starszyzna chcieliście ujrzeć prawdę na własne oczy.

- Nie, nie wypaliło - przyznał mu rację Stirling, odzyskując całą swoją godność i siły. Jego szare oczy patrzyły bez mrugnięcia. -

Przeciwnie, sprowokowaliśmy cię do jeszcze większej bezczelności.

Ośmieliłeś się opublikować kolejny tom „Kronik” i wprowadziłeś postać nazwaną „Merrick Mayfair”. Ośmieliłeś się na ten krok, chociaż rodzina Mayfair, wybitna rodzina, po dziś dzień mieszka w tym mieście i jego okolicach. Nie obchodziło cię to, kiedy to zrobiłeś.

Poczułem ostre ukłucie w sercu. Moja kochana Mayfair przemknęła mi przed oczami. Stirling wkrótce znów okazał się lekkomyślny w całym tego słowa znaczeniu.

- Bezczelność...! - powtórzył Lestat. Uśmiechnął się szerzej, gdy przyglądał się Stirlingowi. - Ty oskarżasz mnie o bezczelność! Żyjesz i oddychasz tylko dlatego, że ja tego chcę.

- W to nie wątpię, ale jesteś bezczelny - powiedział z uporem Stirling.

Myślałem, że zemdleję.

- Bezczelny i dumny z tego - odpalił mu Lestat. - Wyją - śnijmy sobie jedną rzecz. Nie jestem jedynym autorem „Kronik”. Wińcie waszego wszechstronnie uzdolnionego Davida Talbota. To on opisał życie i dokonania Merrick Mayfair. To David opowiedział jej historię. Merrick pożądała mrocznego daru. Merrick Mayfair była wiedźmą, zanim w ogóle stała się wampirzycą. Kto mógł być lepiej zorientowany, co go czeka? Tu nikt nikogo nie wprowadzał w błąd. I, że dodam, to David zdecydował się podać jej imię i nazwisko, jak również imię Talamaski. Jaki to wszystko ma związek ze mną?

- Nie zrobiłby tego bez twojego błogosławieństwa - powiedział ze zdumiewającą pewnością siebie Stirling.

- Tak ci się wydaje? - zapytał retorycznie Lestat. - A czemu miałyby mi zależeć na jakiejś śmiertelnej rodzinie czarowników i wiedźm? Kim są dla mnie ci wielcy Mayfairowie? Jakie to ma znaczenie, że są wybitną rodziną, bogatą rodziną, proszę, wytłumacz mi to łaskawie. Wampiry nienawidzą wiedźm, bez względu na to, czy są bogate czy biedne. A dlaczego ich nienawidzą, to zrozumie każdy, kto przeczyta historię Merrick Mayfair. Co nie przeszkadza temu, że Merrick jest teraz książniczką wśród nas. Poza tym nasi zapaleni czytelnicy myślą, że to wszystko fikcja, a skąd ty wiesz, co jest prawdą, a co nie?

Plakałem w duchu, myśląc o mojej rudowłosej. A oni gadali jak najęci.

- Dzięki Bogu, że twoi czytelnicy biorą to za fikcję - powiedział z nieco większą zajadłością Stirling - i że rodzina Mayfair jest nieświadoma spraw, które rozgłosiliście; a ta wielka rodzina istnieje od wieków i ceni sobie więzy miłości. Co poza tym? Wy zawsze szukacie rodziny, zawsze i wszędzie. Widzę to w waszych „Kronikach”.

- Dość, nie będę cię słuchał - zareagował ostro, ale nie podnosząc głosu Lestat. - Nie jestem tu po to, żebyś mnie sądził. Ulegliście zepsuciu. Wiesz o tym. I ja sam dobrze o tym wiem. A teraz dowiaduję się, że uległeś zepsuciu, złamałeś zakaz swoich starszych, przychodząc tutaj. Myślisz, że przekazałbym ci mroczną krew?

- Nie chcę jej - powiedział z hamowanym zdziwieniem Stirling. - Nie szukam. Chciałem cię zobaczyć i usłyszeć twój głos.

- A teraz, gdy już zobaczyłeś i usłyszałeś, co zrobisz?

- Powiedziałem ci. Napiszę o tym. Wyspowiadam się przed starszyzną. Opiszę to wszystko.

- O nie, nie zrobisz tego - powiedział Lestat. - Opuścisz najistotniejszy fragment.

- Któryż to? - spytał Stirling.

- Ależ z was godna podziwu banda - powiedział, kręcąc głową, Lestat.

- Nie zgadujesz, który?

- Staramy się zasłużyć na podziw. Starsi mnie potępia. Być może nawet zostaną odwołany z Luizjany, chociaż wątpię, żeby do tego doszło.

Mam inne ważne zadanie do wykonania.

Poczułem kolejne uklucie w sercu. Pomyślałem o „wybitnej rodzinie

Mayfair". Pomyślałem o mojej rudowłosej ukochanej, mojej czarownicy,

której miałem nigdy więcej nie oglądać. Co to było za ważne zadanie?

Całym sercem chciałem go o to zapytać.

*Lestat badał wzrokiem Stirlinga, który zamilkł, wpatrując się w
swojego rozmówcę i być może zapamiętując wszystkie szczegóły, które
później miał opisać. Członkowie Talamaski przechodzili specjalne
szkolenie, aby opanować tę umiejętność.*

*Usiłowałem przejrzeć jego myśli, ale ukrył je przede mną, a nie
śmiałem przejrzeć myśli Lestata. Ten by się zorientował, co robię.*

Lestat przerwał milczenie.

- Odwołaj Deklarację Wrogości - zażądał.

Stirling był zaskoczony. Zastanawiał się chwilę, po czym rzekł:

*- Nie mogę. Nie należę do starszyny. Mogę im powiedzieć, czego ode
mnie zażądałeś. To wszystko, na co mnie stać.*

Spojrzenie Lestata złagodniało. Przez moment przyglądał się

*Stirlingowi, potem mnie. Długą chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, aż
uległem i grzecznie opuściłem oczy.*

*Kiedy tak patrzyliśmy na siebie, dostrzegłem pewien szczegół, o
którym „Kroniki” milczały.*

*Oczy Lestata nieznacznie różniły się od siebie. Jedno było nieco
większe od drugiego i lekko przekrwione. Nie jestem pewny, czy jako
śmiertelny dostrzegłbym tak drobną różnicę. Ogarnęło mnie zmieszanie.*

*Jeśli Lestat uznawał tę różnicę za skazę, znienawidziłby mnie za to, że ją
zauważyłem.*

Tymczasem wpatrywał się w Stirlinga.

- Zawrzemy umowę, ty i ja - zaproponował.

- Co za ulga to usłyszeć - powiedział Stirling. Z jego głosu przebijała wciąż ta sama lekka arogancja.

- To prosty układ, ale jeśli go odrzucisz albo jeśli wystąpisz przeciwko mnie, ja wystąpię przeciwko tobie. Mogłem to wcześniej zrobić, na pewno o tym wiesz.

- David Talbot nie pozwoli ci nas skrzywdzić - powiedział Stirling niepozobawionym wigoru tonem. - I jest pewna wiekowa wampirzyca, przedwieczna, jedna z najwspanialszych w waszych opowieściach, i ona, ten wielki autorytet, też nie pozwoli nas skrzywdzić, nie mam racji?

- Stirling! - szepnąłem, zanim zdążyłem się powstrzymać. Lestat nie poświęcił jego słowom wiele namysłu.

- Mimo wszystko mógłbym cię skrzywdzić - powiedział. - Trzymam się tylko własnych zasad, niczyich innych. A co do przedwiecznych, to nie bądź taki pewny, że chcą rządzić. Myślę, że zależy im tylko na całkowitym odosobnieniu i spokoju.

Stirling rozważył jego słowa i szybko przyznał mu rację.

- Rozumiem, co masz na myśli.

- Teraz mnie nienawidzisz, prawda? - spytał ze wzruszającą szczerością Lestat.

- Bynajmniej - odparł natychmiast Stirling. - Przeciwnie, doceniam twój urok. Wiesz o tym. Przedstaw mi ten układ. Czego ode mnie chcesz?

- Po pierwsze, wrócisz do waszych starszych i powiesz im, że muszą

oficjalnie odwołać Deklarację Wrogości. Ja nie przywiązuję do niej wielkiego znaczenia, ale inni tak, a poza tym wiem, że gdy przysięgniesz na honor, że w przyszłości będziesz tylko obserwatorem, nie będziesz się nam naprzykrzał, to dotrzymasz słowa, a to wiele dla mnie znaczy. Nie cierpię, gdy ktoś mi się naprzykrza. To budzi mój gniew i złośliwość.

- Znakomicie.

- Drugie żądanie wypływa z pierwszego. Zostawisz tego chłopca w całkowitym spokoju. To właśnie on jest tym najistotniejszym elementem, który musisz pominąć w raporcie. Oczywiście, możesz wspomnieć, że zaatakował cię jakiś krwiopijca. Wiesz, opisz wszystko z sensem i wiernie. Na pewno uważasz to za fascynujące. Ale musisz mi obiecać pod słowem honoru, że ten chłopiec pozostanie anonimowy... I jest coś jeszcze.

Stirling milczał.

- Wiesz, jak on się nazywa - ciągnął Lestat - wiesz, gdzie mieszka, znasz jego rodzinę. Wszystko to było mi wiadome, zanim udaremniłem jego niezdarny atak. Teraz wiesz, że jest jednym z nas, jak się to mówi. Nie tylko musisz go wykreślić z waszych akt, musisz również dać mu całkowity spokój.

Stirling chwilę patrzył mu w oczy, a potem skinął głową.

- Zaatakujesz tego chłopca - zagroził mu Lestat - zaczniesz prężyć muskuły jego kosztem, a Bóg mi świadkiem, że zmiotę was wszystkich z powierzchni ziemi. Pozabijam. Zostaną po was tylko puste biblioteki i przepelnione krypty. Zacznę od Domu Macierzystego w Luizjanie, a potem dobiore się do wszystkich Domów na całym świecie. To dla mnie pestka.

Wybiję was po kolei. Nawet gdyby przedwieczni ruszyli wam z pomocą, to nie zrobią tego natychmiast, natomiast ja mogę od zaraz wyrządzić wam ogromne szkody.

Mój strach ustąpił miejsca zdumieniu.

- Rozumiem cię - rzekł Stirling. - Oczywiście, że chcesz go chronić.

Niebu niech będą za to dzięki.

- Obyś łaskawie zrozumiał mnie do końca - powiedział Lestat. Znów na mnie spojrzał. - To młodzieniaszek, niewinny, i ja zdecyduję, czy przetrwa czy nie.

Stirlingowi chyba zaparło dech w piersiach.

Co do mnie, to poczułem kolejną falę ulgi, a następnie kolejny przyływ nie pozbawionego podstaw lęku. Lestat wskazał na Stirlinga i zapytał:

- Czy muszę dodawać, że teraz masz się stąd wynieść i nigdy więcej nie wolno ci przekraczać granic mojej posesji?

Stirling natychmiast się podniósł, ja również. Stirling popatrzył na mnie i kolejny raz uświadomiłem sobie w pełni, że byłem o krok od odebrania mu życia. Powrócił straszliwy wstyd.

- Do widzenia, przyjacielu - pożegnałem go na tyle pewnym głosem, na ile było mnie stać. Niezręcznie odszukałem jego dłoń i uściskałem ją gorąco. Spojrzał na mnie i twarz mu złagodniała.

- Quinn - powiedział - mój dzielny Quinn. - Odwrócił się.

- Żegnaj, Lestacie de Lioncourt. Myślę, że wyrażę dogłębnie, co czuję, mówiąc, że jestem twoim wielkim dłużnikiem.

- To prawda, ale mnie wiecznie otacza chmara dłużników - rzekł

Lestat, uśmiechając się szelmowsko. - Szerokiej drogi, panie Oliverze.

Dobrze, że jedna z waszych stale krążących limuzyn czeka na ciebie

zaledwie kilka przecznic stąd. Nie wydaje mi się, byś nadawał się do

długiego spaceru ani samodzielnego prowadzenia samochodu.

- Masz po stokroć rację - powiedział Stirling. Nie mówiąc nic więcej,

ruszył szybko korytarzem i minął drzwi. Usłyszałem jego ciężkie, szybkie

kroki na żelaznych stopniach.

Lestat również wstał, podszedł do mnie i gestem wskazał, abym znów

usiadł. Objął moją głowę dłońmi. Nie ścisnął jej; nie zadał mi bólu. Jego

gest był pełen delikatności.

Czułem jednak tak wielki strach, że tylko patrzyłem na niego w

milczeniu i znów dostrzegłem tę drobną różnicę między jego oczami.

Starłem się o tym nie myśleć. Starłem się powiedzieć mu bez słów:

„Zrobię, co zechcesz” i bezwiednie zamknąłem powieki, jak wtedy, gdy się

spodziewamy, że ktoś uderzy nas w twarz.

- Myślisz, że zamierzam cię zabić, prawda? - usłyszałem.

- Mam nadzieję, że nie - powiedziałem rwącym głosem.

- Chodź, braciszku - rozkazał - czas zostawić ten śliczny domeczek

tym, którzy tak wiele o nim wiedzą. A ty, mój młody przyjacielu, musisz się

nakarmić.

I wtedy poczułem jego ramię, opasujące mnie mocno. Czułem pęd

powietrza. Tulilem się do niego, chociaż chyba niepotrzebnie, i byliśmy na

dworze, w objęciach nocy, i sunęliśmy ku chmurom.

To było jak podróżowanie z moim stwórcą - pęd, zawrotna wysokość i silny uścisk obejmujących mnie ramion. Oddałem się im z całym zaufaniem.

Potem nastąpiło nagle opadanie.

Byłem oszołomiony, gdy mnie wypuścił, i ledwo utrzymałem równowagę, zanim opanowałem zawroty głowy.

Staliśmy na balkonie. Częściowo otwarte przeszklone drzwi dzieliły nas od oświetlonego pokoju. Urządzono go ze smakiem, typowymi nowoczesnymi meblami - beżowe pluszowe fotele i kanapy, obowiązkowy wielki telewizor, lampy z mlecznymi kloszami i stoliczki z metalu i szkła.

Były tam dwie ładne brunetki, jedna zajęta walizką leżącą na niskim stoliku, druga czesząca długie włosy przed lustrem. Nosiły obcisłe, krótkie jedwabne sukienki, znakomicie i modnie skrojone, hojnie odstawiające ciemnooliwkowe ciała.

Lestat objął mnie ramieniem i lekko uścisnął.

- Co mówi ci umysł? - spytał szeptem.

Uwolniłem dar umysłu, badając kobietę przy lustrze, i od razu wyczułem posmak morderstwa. Druga jeszcze bardziej przywykła do zabijania i wyglądała na to, że obie są współniczkami zbrodni popełnionej właśnie gdzieś daleko od tego miejsca.

Ten budynek to był elegancki hotel. Dostrzegłem sypialnię w głębi.

Poczułem zapach dżinu w szklance na jednym ze stolików, świeżych

kwiatów i oczywiście wszechobecną woń pięknej zwierzyny.

Ogarnęło mnie pragnienie. Zasnęło mi oczy. Czulem krew, jakbym już ją pił, i otchłanną rozpaczliwą pustkę, jak zawsze przed ucztą. „Nic nigdy cię nie napelni - przemknęło mi przez głowę. - Nic nigdy nie odpędzi tego ohydneho głodu”.

- Piękna zwierzyna, zaiste - zauważył cicho Lestat. - Ale nie damy im cierpieć, choćbyśmy sięgnęli szczytów brutalności.

- Nie, panie - powiedziałem uniżenie. - Czy mogę dostać tę przed lustrem?

- Czemu ją? - spytał.

- Bo widzę jej odbicie w lustrze i wiem, że jest okrutna.

Skinął głową. Odsunął drzwi i weszliśmy do chłodnego klimatyzowanego pomieszczenia. Chłód wnętrza nie mógł ugasić pragnienia. Było przemożne.

Kobiety od razu podniosły krzyk. Skąd się wzięliśmy? Kim jesteśmy?

Wulgarne słowa, groźby.

Ostatnim odruchem umysłu zanotowałem, że walizka jest pełna pieniędzy, ale jakie to miało znaczenie? O ileż bardziej interesujący był wielki wazon pełen kwiatów, przy oknie w głębi, tryskający barwami. O ileż bardziej interesująca była krew.

Lestat mignął obok mnie i złapał kobietę, która uciekała na prawo.

Wściekły potok słów z jej ust nagle się urwał.

Druga rzuciła się do kanapy i zobaczyłem broń, którą starała się rozpaczliwie dosięgnąć. Dopadłem ją, zanim zdążyła położyć rękę na

*pistolecie, i przyciągnąłem ją do siebie, zmiażdżyłem, patrząc w jej czarne
oczy. Obrzuciła mnie stekiem przekleństw po hiszpańsku i pragnienie
urościło we mnie jeszcze gwałtowniej, podbechtane jej obelgami. Odsunąłem
gęste czarne włosy zasłaniające szyję i dotknąłem kciukiem arterii.*

Kobieta szalała, pełna nienawiści.

Powoli wgryzłem się w krynicy krwi.

*Przypomniały mi się lekcje mojego stwórcy. „Kochaj jej grzechy, idź
za nią, niech jej zło stanie się twoim złem i nie uczynisz zła”. Staralem się
wypełniać jego zalecenia, podczas gdy jej umysł otworzył się przede mną.
Szukałem morderstw i znalazłem je, niejedno, okrutne i zawsze z powodu
białego proszku; i bogactwo, które wyniosło ją z dna zaplutej slumsów
do przepychu i majątku ku tym, którzy oklaskiwali jej piękność i spryt;
znalazłem morderstwo za morderstwem jej admiratorów, również
pokrytych krwią. „Tak, kocham cię”, szeptałem, kocham samą wolę i
wiecznie obecny gniew; tak, daj mi go, ten gniew płynący w słodkiej ciepłej
krwi, i nagle przy płynęła ku mnie ona, bezgraniczna miłość.*

*Bez słów powiedziała: „Poddaję się!” Bez słów powiedziała: „Widzę
je!”, i odsłoniło się całe jej życie, nieprzerwana struga szlamu, a wydartą z
ciała dusza z ogromniała i w przerażający, nieuchronny sposób jej serce
oczyściło się ze zbrodni, gdy niebiańska dłoń wyrywała je jak chwasty.*

*Mój głód został zaspokojony, byłem jej pełen, posiadałem ją i
prostowałem się, całując punktowe ranki, wysysając kropelki krwi,
usuwając ślady, chwilowo zmożony sennaścią. Z nieskończoną
łagodnością złożyłem ją w jednym z identycznych foteli. Ucałowałem jej*

usta. Ukląłem przed nią. Wbiłem język między wargi, rozchyliłem je, ssalem język, nakluwając go delikatnie zębami, i znów popłynął strumyczek krwi. W końcu nic jej nie pozostało.

Palcami lewej dłoni zamknąłem wielkie puste oczy. Czulem je pod powiekami, gdy jej krew płynęła przeze mnie. Pochyliłem się i pocałowałem jej piersi. Krew wywoływała we mnie kolejne wstrząsy. Wypuściłem ją z objęć.

Ogarnięty zwykłym odurzeniem odwróciłem się i zobaczyłem czekającego Lestata, królewską postać; przyglądał mi się, jakby pogrążony w myślach, jego złote włosy wydawały się niemal białe w świetle lampy, fiołkowe oczy były szeroko otwarte.

- Tym razem zrobiłeś to jak należy, braciszku - pochwalił mnie. - Nie uroniłeś ani kropli.

Chciałem mu tak wiele powiedzieć. Chciałem opowiedzieć o jej życiu, o jego wielkiej panoramie, którą zgłębiłem, o jej rozliczeniach z losem; o tym, jak bardzo starałem się wypełnić zalecenia mojego stwórcy, żeby nie tylko pochłonąć krew, ale pochłonąć zło, zanurzyć głęboko język w złu, ale ona była całkowicie nieważna. Była ofiarą. Ona, która nigdy nie była podmiotem w zdaniach układanych przez życie, teraz wypadła z jego księgi.

Krew była moją panią. Ciepło - panem. Pokój stał się fantasmagorią.

Kobieta Lestata leżała martwa na podłodze. Pieniądze w walizce nie znaczyły nic, nie mogły kupić niczego, zmienić niczego, uratować nikogo.

Kwiaty były zuchwałe i rozjarzone, różowe sypiące pyłek lilie i

ciemnopurpurowe róże. Wszystko w pokoju na zawsze odnalazło swoje miejsce i zastygło.

- Nikt nie będzie po nich rozpaczal - powiedział łagodnie Lestat. Jego głos zdawał się dobiegać z daleka, nieosiągalny dla moich uszu. - Nie ma potrzeby szukać grobu na łapu - capu.

Pomyślałem o moim stwórcy. Pomyślałem o czarnych wodach Bagien Słodkiego Czarta, gęstych rżesach wodnych, okrzykach sów.

W pokoju zaszła jakaś zmiana, ale Lestat o niej nie wiedział.

- Wróć do mnie - powiedział Lestat. - To ważne, braciszku. Nie pozwól, żeby krew osłabiała cię potem, choćby była nie wiem jak słodka.

Skinąłem głową. Coś się jednak działo. Nie byliśmy sami.

Widziałem niewyraźną postać mojego sobowtóra, formującą się za plecami Lestata. Widziałem Goblina ukształtowanego na mój obraz i podobieństwo. Widziałem jego obląkańczy uśmiezek.

Lestat okręcił się na pięcie.

- Gdzie on jest? - spytał szeptem.

- Nie, Goblinie, zakazuję ci - powiedziałem. Ale nie było sposobu, by go zatrzymać. Postać ruszyła ku mnie z szybkością błyskawicy, niemniej jednak zachowując ludzki kształt. Tuż przede mną wydawał się tak samo cielesny jak ja; a potem poczułem wszechobecne mrowienie, gdy łączył się ze mną, drobne ukłucia na szyi i twarzy. Miotalem się jak w przezroczystej sieci.

Z głębin ciała ruszyła fala krwi jak przed orgazmem, druzgocące wszystko inne uczucie, że jesteśmy jednym, że nic nas nie rozdzieli, że go

chcę, tak, chcę, abyśmy zawsze byli razem, chociaż mówiłem coś innego.

- Odejdź ode mnie, Goblinie. Goblin, musisz słuchać. To ja, ja

nadałem ci życie. Słuchaj mnie.

Na próżno. Dygotałem jak rażony prądem i widziałem wizerunki nas obu jako dzieci, jako chłopców, jako mężczyzn, pędzące zbyt szybko, abym mógł skupić na nich wzrok, abym mógł potwierdzić, że są prawdziwe lub fałszywe. Słońce wpadało przez otwarte drzwi; widziałem kwiatowy wzór linoleum. Słyszałem śmiechy niemowląt i czułem smak mleka.

Wiedziałem, że się przewracam albo zaraz się przewrócę, że podtrzymuje mnie silna ręka Lestata, bo nie byłem w rozjaśnionym słońcem pokoju, jedynie go widziałem, i był tam Goblin, mały Goblin, baraszkujący, roześmiany i ja też się śmiałem. „Kocham cię, aha, potrzebuję cię, oczywiście, ty, my, razem”. Opuściłem wzrok i zobaczyłem moją tłuściutką dziecięcą rękę trzymającą łyżkę i bębniącą tą łyżką. Na mojej ręce ręka Goblina. I wciąż, i wciąż bębniła łyżka o drewniany blat, a słońce, przepiękne słońce, wpadało przez drzwi, ale linoleum było wytarte, kwiaty zniknęły.

Wtem Goblin przepadł tak samo nagle, jak się zjawiał. Za ledwie przez sekundę miał ludzki kształt, wielkie oczy, rozdziawione usta; potem ten wizerunek napęczniał, rozsnuł się i zniknął.

Firanki zafalowały, wazon z kwiatami nagle się przewrócił, zaszemrał strumyczek wody i wazon spadł na puszysty dywan.

Widziałem rozsypane kwiaty jak przez mgłę. Lilie o różowych gardziolkach. Chciałem je podnieść. Piękne ranki na całym ciele

sprawiwały mi ból. Byłem na niego wściekły. Po co przewrócił flakon, po co rozsypał lilie.

Spojrzałem na kobiety, na jedną, na drugą. Wydawało się, że śpią.

Nie było śmierci.

Mój Goblin, mój skrzacik. To jedno wibrowało mi w głowie. Mój nieodstępny duszek, mój wieczny współnik; ty jesteś mój, ja jestem twój.

Lestat trzymał mnie za ramiona. Ledwo mogłem ustać na nogach.

Upadłbym bez jego pomocy. Nie mogłem oderwać oczu od różowiutkich gardziolków lilii.

- Nie musiał strącać kwiatów na podłogę - wymamrotałem. - Uczyłem go, żeby nie niszczył niczego, co ładne. Uczyłem go tego, gdy byliśmy mali.

- Quinn - powiedział Lestat - otrząśnij się! Mówię do ciebie. Quinn!

- Nie widziałeś go - szepnąłem. Cały drżałem. Ranki na rękach już się goiły. Zadrapania na twarzy również. Otarłem ją. Miałem smużki krwi na palcach.

- Widziałem krew - powiedział Lestat.

- Co widziałeś? - spytałem. Odzyskiwałem siły. Budziłem się z zamroczenia.

- Ludzki kształt - odparł Lestat - kształt naszkicowany krwią, wiszący przez sekundę w powietrzu, a potem chmura kropelek zawirowała w powietrzu i szybko wyleciała przez drzwi jak wyssana na zewnątrz.

- Więc wiesz, dlaczego cię szukałem - powiedziałem. Zdałem sobie jednak sprawę, że w istocie nie ujrzał ducha, nie ujrzał samego Goblina.

Owszem, krew widział, bo krew była widzialna, ale duch, który zawsze mi

się ukazywał, dla niego był niewidzialny.

- Tak naprawdę nie może ci wyrządzić krzywdy - rzekł czule i

serdecznie. - Tak naprawdę nie może wysysać z ciebie większej dawki krwi.

Zabrał tylko cząstkę tego, co ty wzięłaś tej kobiecie.

- Ale wróci, kiedy tylko zechce, i nie mogę go odpędzić, i przysięgam,

za każdym razem bierze trochę więcej.

Opanowałem już zawroty głowy i puścił mnie, gładząc po włosach.

Ten przelotny gest uczucia w połączeniu z jego olśniewającą urodą -

płomiennie spoglądającymi oczami, doskonale proporcjonalnymi rysami -

oszołomił mnie, podczas gdy mijало oszołomienie spowodowane przez

Goblina.

- Znalazł mnie - powiedziałem - a ja nawet nie wiem, gdzie jestem.

Znalazł mnie i może mnie znaleźć wszędzie, i jak ci powiedziałem, za

każdym razem wysysa trochę więcej krwi.

- Z pewnością zdołasz go odpędzić - rzekł pocieszająco. Był przejęty i

opiekuńczy. Tak bardzo go potrzebowałem, tak bardzo go kochałem, że

wzbierał we mnie płacz. Udało mi się jednak powstrzymać.

- Może nauczę się go odpędzać - powiedziałem - ale czy to wystarczy?

- Rusz się, zostawmy ten cmentarz - odpowiedział. - Musisz mi o nim

opowiedzieć. Musisz mi opowiedzieć, jak do tego doszło.

- Nie wiem, czy będę umiał - wyznałem. - Ale to niezła historia.

Wyszedłem za nim na balkon i świeże powietrze.

- Lećmy do dworu Blackwood - zaproponowałem. - Nie znam innego

równie spokojnego miejsca, w którym moglibyśmy porozmawiać. Dziś w

nocy jest tam tylko moja ciotka i mili ludzie, którzy się nią opiekują, i może moja matka. Nie będą nas niepokoić. Znają mnie tak dobrze, że nic ich nie zdziwi.

- A Goblin? - spytał. - Czy nie nabierze sił, jeśli tam wrócisz?

- Jeszcze przed chwilą był silny jak zawsze - odparłem. - Myślę, że to ja będę silniejszy.

- W takim razie dwór Blackwood to dobry pomysł - rzekł. Jego silne ramię znów mnie objęło i wystrzeliliśmy w górę.

Niebo się rozpostarło, pełne chmur, a potem przedarliśmy się jeszcze wyżej, pod same gwiazdy.

W ciągu paru chwil znaleźliśmy się przed wielkim domem i poczułem falę zażenowania, patrząc na ogromny piętrowy portyk.

Oczywiście, włączono ogrodowe światła, tak że kanelurowane kolumny lśniły pod sam architrav. Również wszystkie pokoje były rozświetlone. Prawdę mówiąc, takie było moje zarządzenie, które wprowadziłem, jeszcze będąc chłopcem. Nakazywałem zapalać wszystkie żyrandole z wybiciem godziny czwartej i chociaż już nie byłem tamtym młodzieniaszkiem i zmrok nie wywoływał we mnie depresji, żyrandole rozżarzały się o tej porze, którą wyznaczyłem dawno temu.

Cichy śmieszek Lestata wytrącił mnie z zamyślenia.

- Czemu jesteś tak zażenowany? - zapytał sympatycznym tonem,

łatwo czytając w moich myślach. - Ameryka burzy swoje wielkie domy.

Niektóre nie przetrwały nawet stu lat. - Jego obcy akcent był teraz słabszy.

Mówił bardziej poufałym tonem. - Wspaniały dom - rzucił. - Lubię wysokie

kolumny. Wspaniała sprawa ten portyk i fronton. Idealny klasycyzm. Jak możesz się tego wstydzić? Dziwny z ciebie osobnik, taki łagodny i zupełnie nie przystający do swoich czasów.

- A jak mogę do nich przystawać? - spytałem. - Biorąc pod uwagę

mroczną krew i wszystkie związane z nią cudowne atrybuty. Co ty sobie myślisz? - Od razu się zawstydziłem, że wyrażam się tak bezpośrednio, lecz on ani się tym przejął.

- Jasne - odpowiedział z miejsca - ale miałem na myśli, że czuleś się

wyobcowany ze współczesności, jeszcze zanim otrzymałeś mroczny dar, prawda? Nitki twojego życia nie oplatały się wokół żadnego wątku. -

Wyrażał się przyjaźnie i wprost.

- Myślę, że masz rację - odparłem. - Więcej, masz świętą rację.

- Kiedyś opowiesz mi o tym wszystkim, prawda? - spytał. Jego złote brwi odbijały się od opalonej skóry; zmarszczył je, równocześnie się uśmiechając. To dodawało mu mądrości i uroku, chociaż nie wiedziałem, dlaczego tak mi się wydaje.

- A chcesz? - zapytałem.

- Oczywiście, że chcę - odparł. - Poza tym sam tego chcesz i musisz to zrobić. - Kolejny szelmowski uśmieszek i kolejne zmarszczenie brwi. - Jak, wchodzimy?

- Oczywiście - powiedziałem, czując wielką ulgę. Nie tylko mówił jak przyjaciel, również zachowywał się po przyjacielsku. Nie mogłem uwierzyć, że mam go przy sobie. I nie tylko go znalazłem - chciał mnie wysłuchać, był po mojej stronie.

Weszliśmy po stopniach na marmurową werandę i otworzyłem

drzwi. Mieszkaliśmy na wsi, więc nigdy nie zamykano ich na klucz.

Przed nami był główny hol, wyłożony marmurowymi płytami, tworzącymi białe - czarne gwiazdy. W głębi tylne drzwi, identyczne jak frontowe. Część przestrzeni zajmował najwspanialszy element dworu, kręcone schody. Lestat patrzył na nie z czystym zachwytem.

Przyjemnie się stało w chłodnym, klimatyzowanym powietrzu.

- Ależ są boskie - powiedział, spoglądając na wdzięczne tralki i

delikatne balustrady. Zadarł głowę do sufitu. - Niech mnie, piękny ślimak, aż do samej góry.

- Nad piętnem jest poddasze - powiedziałem. - Skarbiec pełen kufrów i starych rupieci. Zdradził mi kilka swoich tajemnic.

Przebiegł oczami po ściennym malowidle, włoskim sielankowym krajobrazie, rozświetlonym słońcem. Wyżej było granatowe niebo, którego jasna barwa dominowała na całej przestrzeni i dolnego, i górnego holu.

- Ach, coś cudownego - powiedział, spoglądając na wysoki sufit. - I te stiuki. Ręczna robota, prawda? Skinąłem głową.

- Nowoorleańskich rzemieślników - uzupełniłem informację. -

Wykonana w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Mój praprapradziadek był zaprzysięgłym romantykiem i półwariatem.

- Ale salon - powiedział, zaglądając w prawo przez łukowate przejście. - Pełny starych, pięknych mebli. Jak się mówi na ten styl, Quinn? Rokoko? Czuję się, jakbym śnił jakiś cudowny sen o przeszłości.

Znów skinąłem głową. Szybko przeszedłem od zażenowania do żenującej dumy. Całe moje życie ludzie kapitulowali przed dworem Blackwood, dosłownie dławili się z zachwytu. Teraz dziwiłem się, dlaczego tak okropnie bałem się tej chwili. Niemniej jednak ta istota, to dziwnie pociągające i przystojne indywiduum, w którego ręce złożyłem to, co miałem najcenniejszego, swoje istnienie, wychowała się w zamku i obawiałem się, że wybuchnie śmiechem na widok mojego rodzinnego gniazda.

A jednak się nie śmiał, był zachwycony złotą harfą i starym

pleyelem. Spojrzał na wielki, tchnący surowością portret Manfreda

Blackwooda, mojego sędziwego przodka. Potem, nie śpiesząc się, ruszył z entuzjazmem do jadalni, będącej po drugiej stronie holu.

Gestem zaprosiłem go do środka.

Antyczny kryształowy żyrandol hojnie rozjaśniał długi stół dla około trzydziestu biesiadników, wykonany specjalnie do tego pomieszczenia.

Złocene krzesła niedawno świeżo obito zielonym adamaszkiem o satynowym splocie i te same kolory powtarzały się na wyścielającym całą podłogę dywanie, złote zawijasy na zielonym tle. Złocene pomocniki, intarsjowane zielonym malachitem, stały pod dłuższą ścianą, między wysokimi oknami.

Znów poczułem się w obowiązku przeprosić za ten bogaty wystrój, gdyż Lestat miał taką minę, jakby nie wiedział, co powiedzieć o tym wszystkim.

- Ten dwór to prawdziwa przesada - powiedziałem. - Tylko i ciotka

Queen i ja mieszkamy tu na stałe, i mam uczucie, że ktoś się zjawi i każe nam przeznaczyć go na sensowniejszy cel. Oczywiście, są inni członkowie rodziny - no i służba, która sama z siebie jest tak cholernie zamożna, że wcale nie musi pracować. - Przerwałem zawstydzony, że tak plotę bez ładu i składu.

- A co może być bardziej sensownego? - spytał tym samym

przyjaznym tonem, który przyjął wcześniej wobec mnie. - Czemu twój dom nie miałby być rozległy i piękny?

Patrzył na wielki portret młodziutkiej ciotki Queen - roześmianej dziewczynki w obszywanej paciorkami białej nocnej koszuli bez rękawów, żywej, jakby wczoraj uchwyconej przez malarza, a nie siedemdziesiąt lat temu - i na inny, Virginii Lee Blackwood, żony Manfreda, pierwszej pani na Blackwood.

Ten drugi portret pokryła patyna, ale namalowano go z rozmachem i nie bez uczucia. Modelka, blondynka o bławatkowych oczach, robiła bardzo przyjemne wrażenie, skromna, uśmiechnięta, o drobnych rysach twarzy i niewątpliwej urodzie. Nosila ciężką, bogato zdobioną suknię, modną w okresie wiktoriańskim, w kolorze lazuru, wykończoną wysokim kołnierzykiem i długimi rękawami z bufkami na ramionach. Włosy miała upięte wysoko. Była babką ciotki Queen - zawsze dostrzegałem pewne podobieństwo między nimi, identyczność oczu i rysów twarzy, chociaż inni twierdzili, że nie są podobne. Ale oni...

Te portrety budziły we mnie nie tylko przelotne skojarzenia, zwłaszcza obraz Virginii Lee. Ciotka Queen nadal towarzyszyła mojemu życiu. Ale Virginia Lee... Zadrzałem, odsunąłem jednak od siebie nieprzychylnie wspomnienia groteskowych zjaw i upiorów. Zbyt wiele cisnęło mi się do głowy.

- Tak, czemu ten dom nie miałby być twój i służyć ci za skarbnicę pamiątek po przodkach? - zauważył niewinnie Lestat. - Nie rozumiem.

- No cóż, kiedy dorastałem - odparłem - babcia i dziadek żyli i to był jakby hotel. Wtedy mówiło się na to „hotel ze śniadaniem”. Ale podawano również kolacje, w jadalni. Przewijało się mnóstwo turystów, chętnych

spędzić tu trochę czasu. Co roku urządzaliśmy bożonarodzeniowe przyjęcie, chór stał na schodach i śpiewał na koniec bankietu, podczas gdy goście zbierali się w holu. To idealne miejsce na takie okazje. Zeszłego roku urządziłem tu przyjęcie wielkanocne, rozpoczynające się o północy, dzięki czemu sam również mogłem być na nim obecny. - Wróciło dawne wspomnienie, porażając mnie i przerażając swoją siłą i witalnością. Mówiłem dalej, starając się zagłuszyć świeższymi wspomnieniami poczucie winy. Jakie teraz miałem prawo do przyjemności, do wspomnień? - Uwielbiałem kolędy. Zawsze płakałem z dziadkami, kiedy sopran zaczynał Cicha noc, święta noc. W takich momentach dwór Blackwood jest potęgą - miejscem, które odmienia ludzkie życie. Nie da się ukryć, że jego urok nadal na mnie działa.

- W jaki sposób odmienia ludzkie życie? - spytał szybko, jakby zafascynowany tym stwierdzeniem.

- Och, tylu ludzi wzięło tu ślub... - Głos ugrzął mi w gardle. Śluby. Ohydne wspomnienie, świeże wspomnienie przestłoniło wszystko inne, haniebne, straszliwe wspomnienie - krew, weselna suknia, smak... - ale wyrzuciłem to z głowy. Mówiłem dalej: - Pamiętam uroczyste wesela i jubileusze. Pamiętam piknik na trawnikach, na cześć staruszka, który właśnie skończył pięćdziesiąt lat. Pamiętam ludzi odwiedzających po latach miejsce, w którym się pobrali. - Znowu wspomnienie jak cios sztyletem: panna młoda, panna młoda okryta krwią. W głowie mi się zakręciło.

Głos: „Ty żaloszny durniu, zabiłeś ją. Nie miałeś prawa jej zabijać i

popatrz teraz na jej suknię”.

Jeszcze nie byłem gotów tego rozpamiętywać. Jeszcze nie byłem gotów unieść tego brzemienia. Kiedyś wyznam to wszystko Lestatowi, ale jeszcze nie teraz.

Musiałem kontynuować. Zaciąłem się na pierwszym słowie.

Przemogłem się.

- Gdzieś tu leży stara księga gości ze zniszczonym gęsim piórem, pełna wpisów tych, którzy bez ustanku przewijali się przez ten dom. Nadal się przewijają. To płomień, który nie wygasa.

Skinął głową i uśmiechnął się lekko, jakby to sprawiało mu

Przyjemność. Znów spojrzałem na portret Virginii Lee.

Ogarnęło mnie drżenie. Czy portret się zmienił? Odniosłem mętne wrażenie, że jej cudowne bławatkowe oczy patrzą w dół. Na mnie. Ale ona nigdy nie miała ożyć, aby mi się ukazać, prawda? Oczywiście, że nie. Jej cnotliwość i dobre serce były sławne. Co teraz miałyby nas łączyć?

- Cenię wysoko ten dom - ciągnąłem, przyspieszając moją skromną opowiastkę - tak jak cenię wszystkie związki z moimi śmiertelnymi krewnymi. Przede wszystkim z ciotką. Ale są inni, inni, którzy nigdy nie powinni się dowiedzieć, kim jestem.

Przyglądał mi się z uwagą, jakby rozważał moje słowa.

- Sumienie masz delikatne jak sen dziecka - rzekł z namysłem. - To naprawdę sprawia ci przyjemność, ci obcy pod twoim dachem, goście na Boże Narodzenie, na Wielkanoc?

- Jest weselej - przyznałem. - Jest zawsze jasno, ruch. Słyszeć głosy,

schody wieczne dudnią. Czasem goście narzekają, że owsianka jest wodnista albo sos się zwarzył, a za dawnych czasów babunia płakała z powodu skarg, dziadek wpadał do kuchni i tłukł pięścią w stół, ale przeważnie goście czują się tu cudownie... Od czasu do czasu ogarnia cię jednak samotność, melancholia i zniechęcenie, choćby wszystkie żyrandole płonęły. Myślę, że kiedy dziadkowie umarli i tamto życie się skończyło, ogarnęła mnie... głęboka depresja, nierozłączna z dworem Blackwood, chociaż nie potrafiłbym go opuścić i nie opuszczę go z własnej woli.

Kiwał głową, słuchając tych słów, jakby rozumiał moje uczucia.

Patrzył na mnie z taką uwagą, z jaką ja patrzyłem na niego. Oceniał mnie wzrokiem, jak ja oceniałem jego.

Myślałem, wciąż o tym myślałem, jak bardzo jest atrakcyjny z tymi długimi, gęstymi złotymi puklami, które wdzięcznie podwijały się na kołnierzu marynarki, i wielkimi, fiołkowymi ciekawymi oczami. Niewiele jest stworzeń na świecie, które mają naprawdę fiołkowe oczy. Ich lekka asymetria nie miała żadnego znaczenia. Naturalnie opalona skóra była bez skazy. Co widziało jego pytające spojrzenie, tego nie wiem.

- Wiesz, ten dom to labirynt - powiedziałem z niepokojem, nadal poruszony tym, że zdobyłem jego ciekawość. - Wędrujesz z pokoju do pokoju i ukazują ci się duchy. Czasem nawet turyści widzą duchy.

- Boją się? - spytał z autentyczną ciekawością.

- Och, nie, są strasznie napaleni na pobyt w nawiedzonym domu. Są zachwyceni. Zwidują im się różne rzeczy, których naprawdę nie ma.

Proszę, żeby zostawić ich samych w pokojach, w których straszy.

Roześmiał się cicho.

- Upierają się, że słyszą dzwonki, kiedy naprawdę nic nie dzwoniło - mówiłem, odpowiadając uśmiechem na uśmiech - czują zapach kawy, kiedy nie podano żadnej kawy, czują woń egzotycznych perfum. Niektórzy turyści autentycznie się wystraszyli, w hotelowych czasach kilku natychmiast spakowało walizki, ale w zasadzie ta reputacja napędzała gości. No i oczywiście byli tacy, którzy faktycznie widzieli duchy.

- A ty, ty naprawdę je widzisz - zauważył.

- Tak. Większość z nich to wątłe istoty, zaledwie opar, ale są wyjątki... - zawahałem się. Zgubiłem się na chwilę. Czulem, że moje słowa mogą wywołać jakąś okropną zjawę, ale za bardzo chciałem mu się zwierzyć. Niezdarnie brnąłem dalej: - Tak, niezwykle wyjątki... - Urwałem.

- Chcę, żebyś mi o nich opowiedział - rzekł. - Macie na górze pokoje, prawda? Spokojne miejsce, w którym moglibyśmy pogadać. Ale czuję tu jeszcze kogoś.

Spojrzał w kierunku holu.

- Tak, ciotka jest w tylnej sypialni - powiedziałem. - Wizyta u niej zajmie mi tylko chwilę.

- Dziwne miano, ciotka Queen - zauważył, znów rozjaśniając się w uśmiechu. - W cudownym stylu Południa. Pozwolisz, że też ją odwiedzę?*

- Ależ oczywiście - odpowiedziałem bez ceregieli. - Jej pełne imię i nazwisko to Lorraine McQueen. Wszyscy tutaj zwracają się do niej „panno Queen” albo „ciociu Queen”.

Poszliśmy do holu i kolejny raz rzucił wzrokiem na kręcone schody.

Poprowadziłem go dalej; jego buty stuknęły ostro na marmurze.

Zatrzymaliśmy się przed otwartymi drzwiami pokoju ciotki.

Oto była, mój skarb, olśniewający skarb, bardzo zajęta i bynajmniej nie przejęta naszym najściem.

** Queen (ang.) - królowa (wszystkie przypisy od tłumacza).*

Siedziała przy marmurowym stolczku tuż po prawej stronie

toaletki. Całość tworzyła literę „L” i była miejscem, w którym ciotka czuła się najszczęśliwsza na całym świecie. Wyglądała cudownie w blasku stojącej lampy i światła bijącego spod falbanek abażurów lampek na toaletce. Przed sobą miała kilkanaście kamei, a w ręce oprawioną w kość słoniową lupę.

Wydawała się niezwykle krucha w białym, pikowanym satynowym szlafroku, ściśniętym paskiem w szczupłej talii. Na szyi miała białą jedwabną apaszkę wsuniętą za szalowy kołnierz szlafroka i ulubiony naszyjnik z brylantów i pereł. Delikatne siwe włosy w sposób naturalny wity się wokół twarzy, a drobne oczy tryskały życiem, gdy wpatrywały się w kamee. Poniżej rąbka szlafroka, w rozchyleniu pół dostrzegłem szpilki z różowymi cekinami. Niebezpieczna sprawa. Kazanie cisnęło mi się na usta. Wysokie szpilki to zawsze niebezpieczna sprawa.

Tytuł królowej pasował do niej jak ulał i instynktownie poczułem dumę na jej widok. Zawsze była moim aniołem stróżem. Lestat był mocno opalony i nie obawiałem się, że dostrzeże w nim coś nienormalnego poza jego fantastyczną urodą. Ta chwila przepelniała mnie niewysłowioną

radością.

Cały pokój tworzył uroczy widok, gdy patrzyłem na niego oczami

Lestata. Po lewej łoże z baldachimem. Niedawno wymieniono na nim

obrębek w ząbki z różowej satyny i ozdobiono je ciemniejszym paskiem.

Było już zasłane, co nie zawsze się zdarzało o tej porze, okryte kapą z

grubej satyny i różnego rodzaju dekoracyjnymi poduszkami, cieńszymi i

grubszymi, tworzącymi wzgórek. Obita różowym adamaszkiem kanapa i

swobodnie rozstawione fotele były w tej samej tonacji co baldachim łożka.

W głębi, w cieniu stała Jasmine, nasza gosposia od niepamiętnych

czasów, niezwykle urodziwa, o gładkiej ciemnej skóra i delikatnych

rysach, podobnie jak ciotka Queen. Była niestłuchanie szykowna, w

czerwonej wąskiej sukni, szpilkach i z perłowym naszyjnikiem na szyi. To

ja jej podarowałem te perły, czy nie tak?

Jasmine skinęła mi ręką i wróciła do porządkowania drobiazgów na

bocznym stoliczku, a gdy ciotka uniosła wzrok i przywitała mnie, wołając

z nutką ekstazy w głosie: „Quinn!”, Jasmine przerwała pracę i ruszyła w

kierunku wyjścia, mijając nas po drodze.

Chciałem ją uściskać. Minęło wiele nocy od naszego ostatniego

spotkania. Ale się bałem. A potem pomyślałem: „Nie, zrobię to, póki mogę,

póki jestem nakarmiony i ciepły. Kierowany chciwym odruchem serca,

tyłem nadmiarem miłości, ile pragnieniem udowodnienia samemu sobie, że

nie jestem przeklęty, cofnąłem się i złapałem Jasmine w objęcia.

Była cudownie zbudowana, miała uroczą karnację, barwy mlecznej

czekolady, oczy migdałowe, nieprawdopodobną ilość kędziorków na

głowie, zawsze pięknie utlenionych i krótko przyciętych.

- Ach, mój paniczyk - powiedziała, oddając mi uścisk. Byliśmy w cieniu korytarza. - Mój tajemniczy paniczyk - powtórzyła, tuląc mi się do piersi i składając na niej głowę. - Mój wędrujący synek, którego prawie w ogóle nie oglądam.

- Jesteś moją dziewczyną na zawsze - szepnąłem, całując czubek jej głowy. W takim zbliżeniu krew zmarłych dobrze mi służyła. A poza tym byłem pełen nadziei i lekko szalony.

- Chodź tu, Quinn! - zawołała ciotka.

Jasmine z ociąganiem wypuściła mnie z objęć i ruszyła do tylnych drzwi.

- A, masz ze sobą przyjaciela - powiedziała ciotka, gdy posłuchałem jej wezwania i wszedłem z Lestatem u boku. W pokoju było cieplej niż w pozostałej części domu.

Głos ciotki Queen był wiecznie młody, jeśli nie wręcz młodzieńczy, i dźwięczał w nim wyraźny, rozkazujący ton.

- Bardzo się cieszę, że masz towarzystwo - oświadczyła. - Ach i cóż to za znakomity młodzian - rzekła pod adresem Lestata, żartując z samej siebie. - Podejdź tu, żebym mogła ci się przyjrzeć. Ależ z ciebie przystojniak. Chodź do światła.

- A pani, droga damo, jest doprawdy zjawiskowa - zrewanżował się Lestat. Jego francuski akcent zabrzmiał o ton wyraźniej, jakby dla większej emfazy. Skłonił się nad marmurowym stolikiem i pocałował dłoń ciotki.

Niewątpliwie była zjawiskowa. Jej twarz jaśniała ciepłem i urodą mimo bagażu lat, będąc nie tyle ściągnięta, co naturalnie wyszczuplona. Różowa szminka zręcznie rozjaśniała zwięzające się z wiekiem usta. Kurze łapki w kącikach oczu nie odejmowały żywości błękitowi tęczynek. Brylanty i perły na piersi zapierały dech, a kilka dużych brylantowych pierścionków zdobiło długie palce. Zawsze silna i władcza znakomicie wyglądała w biżuterii, a wiek tylko jej służył. Zawsze tchnęła słodyczą kobiecości.

- Podejź, syneczku - powiedziała do mnie.

Zbliżyłem się do jej boku i pochylilem, aby ucałować ją w policzek.

Taki miałem zwyczaj, od kiedy wystrzeliłem na niebotyczne sześć stóp i cztery cale, a ona często tuliła moją głowę i droczyła się ze mną, nie chcąc mnie wypuścić. Ale nie tym razem. Za bardzo zaprzętała jej uwagę urzekająca postać stojąca przy stoliku i jej kordialny uśmiech.

- A cóż to za okrycie - powiedziała do niego - cudowne. Przecież to rozcinany surdut! Ze też udało ci się zdobyć coś takiego. Zapinany na kamee, wręcz idealny. Chodź tu zaraz i pokaż mi je. Sam widzisz, że mam absolutnego bzika na punkcie kamei. W moim wieku mało co więcej mnie obchodzi.

Odsunąłem się, a Lestat zbliżył się do jej stoliczka. Nagle się przestraszyłem, bardzo się przestraszyłem, że ciotka coś wyczuje, ale ledwo to pomyślałem, zdałem sobie sprawę, że Lestat całkowicie panuje nad sytuacją.

Czyż inny krwiopijca, mój stwórca, nie oczarował ciotki Queen w ten

sam sposób?

Podczas gdy uważnie przyglądała się kameom, stwierdzając, że na każdej z nich jest inna z dziewięciu muz, Lestat przyglądał się ciotce, szeroko uśmiechnięty, jakby autentycznie stracił dla niej głowę, i byłem mu za to bezgranicznie wdzięczny. Kochałem ciotkę Queen jak nikogo innego na świecie. Mieć tych dwoje razem to był nadmiar szczęścia.

- Tak, prawdziwy surdut - powiedziała.

- Hm, jestem muzykiem, madame - wyjaśnił Lestat. - Niech pani sobie wyobrazi, że w tej epoce muzyk może włożyć surdut, skoro tylko ma na to ochotę, tak więc folguję sobie. Mam skłonność do teatralnych gestów i chorobliwego uporu. Nie znam umiaru, gdy chodzi o przesadę i ekscentryczność. Lubię zmiatać z drogi wszystkie przeszkody, gdzie tylko się pojawią, i jestem zupełnie sfiksowany na punkcie staroci.

- Nie ma piękniejszej fiksacji - przytaknęła mu wyraźnie zachwycona. Tymczasem Lestat się cofnął i dołączył do mojego boku. - Ale z was śliczni chłopcy. Na pewno wiesz, że matka Quinna jest piosenkarką, chociaż co tam śpiewa, trudno mi powiedzieć.

Lestat nie wiedział o tym. Posłał mi zaciekawione spojrzenie i lekko uszczypliwy uśmiezek.

- Śpiewa country - wtrąciłem szybko. - Nazywa się Patsy Blackwood.

Głos jak dzwon.

- Piąta woda po kisielu, a nie country - poprawiła mnie ciotka z lekką nutą nagany w głosie. - Chyba mówią na to country pop. Wielce znaczące określenie. Ale ma dobry głos i od czasu do czasu napisze niezły tekst.

Dobrze wychodzą jej smętne ballady, jakby celtyckie, chociaż nawet o tym nie wie. Przepada za brzmieniem country and western i gdyby robiła to, co lubi, a nie to, co według siebie powinna lubić, to pewnie osiągnęłaby taką sławę, o jakiej marzy. - Westchnęła.

Byłem zaskoczony, nie tylko z powodu celności tego, co powiedziała, ale dziwnej nielojalności, bo ciotka Queen nie należała do tych, którzy krytykują swoich bliskich. Wydawało się jednak, że spojrzenie Lestata poruszyło w niej jakąś strunę. Może wypróbował na niej jakiegoś czaru i ujawniała swoje najskrytsze myśli.

- Co do ciebie, młody człowieku, to od tej pory jestem i na zawsze będę dla ciebie ciotką Queen - oświadczyła - to na pewno. A ty jak się nazywasz?

- Lestat, madame - odpowiedział, kładąc akcent na drugą sylabę, „Les - dot!” - Ja również nie jestem sławny. I prawdę mówiąc, już nie śpiewam, poza tymi momentami, gdy szaleję za kierownicą mojego czarnego porsche albo pędzę na złamanie karku motocyklem. Wtedy robi się ze mnie prawdziwy Pavarotti...

- Och, ale nie powinieneś tak ganiać! - wykrzyknęła ciotka, nagle okazując świętą powagę. - To dlatego straciłam mojego męża, Johna McQueen. Miał nowe bugatti, wiesz, co to bugatti - (Lestat skinął głową) - i był z niego taki dumny, ze swojego świetnego, sportowego europejskiego autka, i pędziliśmy autostradą wzdłuż Pacyfiku, aż koła piszczały na zakrętach, w dół, do Big Sur. Stracił panowanie nad kierownicą i wyleciał przez przednią szybę. Trup na miejscu. A gdy oprzytomniałam, wokół był

tłum i tylko kilka cali dzieliło mnie od urwiska. Spadało prosto do morza.

- Przeróżające - powiedział bez cienia kpiny Lestat. - Dawno się to wydarzyło?

- Oczywiście, wieki temu, kiedy byłam na tyle głupia, że robiłam takie rzeczy. I nigdy więcej nie wyszłam za mąż. My, Blackwoodowie, tylko raz idziemy do ołtarza. John McQueen zostawił mi fortunę, zawsze to jakieś pocieszenie, bo nigdy nie znalazłam innego, który by mu dorównał, miał taką pasję i tyle radosnych złudzeń, ale też za bardzo się nie rozglądałam. - Pokręciła głową, jakby tego żałowała. - To ponury temat, cała ta sprawa. Spoczywa w grobie Blackwoodów na cmentarzu Metairie. Mamy tam wielki grobowiec, coś jakby kapliczkę, pobudzający do rozmyślań, i ja wkrótce też tam trafię.

- Och, mój Boże, nie - szepnąłem z nieco przesadnym strachem.

- Cicho, ty - powiedziała, rzucając mi spojrzenie. - I Lestacie, mój drogi Lestacie, opowiedz mi o swoich ciuszkach i o twoim dziwnym i zuchwałym guście. Strasznie mi się podobasz. Muszę przyznać, że kiedy wyobrażę sobie ciebie w tym surducie, pędzącego motorem, to mało nie pęknę ze śmiechu, możesz być pewien.

- No cóż, madame - powiedział, śmiejąc się cicho - przestałem śnić i marzyć o estradzie, ale z szykownych ciuchów nie zrezygnuję. Nie potrafię. Mówiąc szczerze, jestem niewolnikiem kapryśnej mody i dziś wieczór ubrałem się całkiem zwyczajnie. Koronki i diamentowe spinki to dla mnie bzdet i zazdroścę Quinnowi tej skórzanej kurtki, którą ma na sobie. Myślę, że można by mnie nazwać Gotem. - Spojrzał na mnie zupełnie

niewinnie, jakbyśmy byli zwykłymi ludźmi. - Czy nie nazywają nas, którzy wkładamy eleganckie szmaty z dawnych wieków, Gotami, Quinn?

- Chyba tak - odpowiedziałem tym samym tonem.

Jego przemówionko sprawiło, że ciotka śmiała się do rozpuku.

Zapomniała Johna McQueena, który prawdę mówiąc, dawno temu trafił do grobu opowieści.

- Co za niezwykle imię, „Lestat” - rzekła. - Czy coś znaczy?

- Bynajmniej, madame - odparł. - Jeśli pamięć mnie nie zawodzi, a czyni to coraz częściej, to imię składa się z pierwszych liter imion wszystkich moich sześciu starszych braci, których całą paczkę i ich imiona na dokładkę znienawidziłem szczerze i serdecznie.

Ciotka znów się roześmiała, wyraźnie zaskoczona i bez reszty zachwycona jego osobą.

- Siódmy syn - powiedziała. - Z tym idzie pewna moc, która budzi mój głęboki szacunek. A twoja elokwencja jest godna podziwu. Wydajesz mi się znakomitym materiałem na przyjaciela Quinna i obyś go rozruszał.

- To jest moją ambicją, zostać jego przyjacielem - powiedział natychmiast i szczerze Lestat - ale nie chciałbym dłużej się pani narzucać.

- Nie ma mowy o narzucaniu się - zareagowała na to ciotka. - Jesteś mile widziany pod moim dachem. Podobasz mi się. Czuję to. A ty, Quinn, gdzie się ostatnio podziewałeś?

- Tu i tam, ciociu Queen - odparłem. - Złe licho nosi mnie Jak Patsy, tu i tam... cóż ci powiem.

- A przywiozłeś mi kameę? - spytała. - Taki jest nasz zwyczaj, Lestacie

- wyjaśniła mu i znów zwróciła się do mnie: - Tydzień minął, od kiedy do mnie zajrzałeś, Tarquinie Blackwood. Chcę moją kameę. Musiałeś ją przynieść. Nie dam ci spokoju.

- O, tak, wiesz, prawie o niej zapomniałem - powiedziałem. (I nie bez przyczyny!) Wymacałem w kieszeni kurtki mały, owinięty w bibułkę pakunek, który wsunąłem tam kilka nocy wcześniej. - Ta kamea jest z Nowego Jorku, cudowny okaz z konchy perłowej.

Rozwinąłem bibułkę i położyłem przed ciotką kameę, demonstrując w całej wspaniałości jeden z największych okazów, który miał wejść do jej kolekcji. Sam wizerunek był naturalnie z białej muszli, a tło miało ciemnopurpurowe zabarwienie. Całość tworzyła idealnie owalny kształt.

Wyjątkowo

zręczne

karbowania

zdobiły

ramkę

z

dwudziestoczerokaratowego złota.

- Meduza - stwierdziła z wyraźną satysfakcją ciotka, od razu rozpoznając profil potwora po uskrzydłonej głowie i szalejących wężach, które miał zamiast włosów. - I jaka wielka, i jak dokładnie wyrzeźbiona.

- Przerażająca - powiedziałem. - Najlepsza Meduza, jaką kiedykolwiek widziałem. Zwróć uwagę na rozpiętość skrzydeł i to oranżowe zabarwienie na krawędziach. Chciałem ją przynieść wcześniej.

Żałuję, że tego nie zrobiłem.

- Och, nie ma czego, kochanie. Nie żałuj, kiedy mnie nie odwiedzisz.

Mam wrażenie, że czas się mnie nie ima. Teraz jesteś tu i pamiętasz o mnie.

To się liczy. - Spojrzała niecierpliwym wzrokiem na Lestata. - Znasz opowieść o Meduzie, prawda? - zapytała.

Lestat zawahał się, odpowiadając tylko uśmiechem. Wyraźnie wolał słuchać, niż mówić. Był nią zachwycony, co zdradzał jego promienny wzrok, a ona rewanżowała mu się szerokim uśmiechem.

- Kiedyś piękność, potem monstrum - obwieściła ciotka, wyraźnie rozanielona rolą mentorki. - Jej spojrzenie zamieniało ludzi w kamień.

Perseusz ją odszukał, wypatrzywszy jej oblicze w swojej wypolerowanej tarczy, i gdy tylko odciął jej głowę, z kropli krwi, które upadły na ziemię, zrodził się skrzydlaty koń, Pegaz.

- I to jej głowę - dodał Lestat tonem zwierzenia - potem Atena umieściła na swojej tarczy.

- Dokładnie tak.

- Stała się amuletem, tarczą tarczy - rzekł cicho Lestat. - Oto, w co się przemieniła po śmierci. Kolejna cudowna metamorfoza, można powiedzieć, z piękności w monstrum, z monstrum w amulet, tarczę tarczy.

- Tak, masz pod każdym względem rację - potwierdziła ciotka. -

Tarcza tarczy - powtórzyła. - Chodź tu, Quinn, pomóż mi zdjąć te ciężkie brylanty i wyjmij złoty łańcuszek. Chcę ją nosić na szyi.

To była prosta przysługa. Obszedłem toaletkę i zdjąłem naszyjnik, przy okazji kradnąc ciotce całusa, po czym włożyłem naszyjnik do

skórzanego puzderka, w którym zwykle spoczywał. Leżał po prawej ręce ciotki. Złote łańcuszki były w skrzynce w górnej szufladzie, każdy w osobnym plastikowym pudełeczku.

Wybrałem łańcuszek z jasnego złota, dobrze przylegający do szyi.

Przeplotłem go przez kabłączek kamei, a potem założyłem ciotce łańcuszek na szyję i zatrzasnąłem zapinkę.

Po paru kolejnych szybkich pocałunkach, posmakowawszy pudru i wrażenia, jakbym całował figurkę z bielutkiego mialkiego cukru, znów stanąłem przed ciotką. Kamea znalazła idealne gniazdko na posłaniu z apaszki i wyglądała tyleż efektownie, ile dostojnie.

- Muszę przyznać, że to prawdziwa zdobycz - oceniła mój świeży zakup ciotka. - Meduza w całym swoim szatańskim przepychu, nie tylko ładne dziewczę ze skrzydełkami i węzami na głowie, a to rzadkość.

- Tak - zgodził się z nią Lestat - i prawdziwy amulet.

- Tak myślisz? - spytała go ciotka. Dostojeństwo, którym emanowała, było lepszym tłem dla kamei niż bijących po oczach brylantów. - Dziwny z ciebie młodzieniec. Mówisz powoli i z namysłem, masz głęboki tembr głosu. To mi się podoba. Quinn jest moim księżkowym i tykał mitologię pełnymi garściami, gdy tylko nauczył się czytać, i zauważył, że przestał ją tykać dopiero bardzo niedawno. A ty skąd znasz się na mitologii, bo przecież się znasz? I nie da się ukryć, że na kameach też, twój surdut to zdradza.

- Wiedza wpływa mi do głowy jednym uchem, wypływa drugim - wyznał Lestat, nie ukrywając lekkiego smutku i kręcąc głową. - Pożeram

ją, potem zapominam i gdy czasem przeszukuję głowę, nie znajduję tam nic użytecznego. Wtedy popadam w przygnębienie, ale nagle przypominam sobie wszystko albo znajduję nowe źródło wiedzy.

Byłem zdumiony wspólnotą dusz, która połączyła tych dwoje. A potem znów poczułem gorzkie ukłucie, przypomniałem sobie mojego stwórcę, odrażającą osobowość, przeklętą osobowość, kiedyś znajdującą wspólny język z ciotką w tym samym pokoju i z taką samą swobodą. Tematem rozmowy też były kamee. Kamee. Ale to był Lestat, nie mój stwórca, nie tamta znienawidzona istota. To mój bohater gościł pod moim dachem.

- A więc kochasz książki - mówiła ciotka. Należało się skupić.

- O, tak - potwierdził Lestat. - Czasem to jedyna rzecz, która trzyma mnie przy życiu.

- Takie słowa dziwnie brzmią w ustach osoby w twoim wieku - roześmiała się.

- Ależ rozpacz nawiedza istoty w każdym wieku, nie uważa pani?

Młodość to epoka wiecznej rozpacz - rzekł szczerze. - A książki... to źródło nadziei, wszechświaty otwierające się między okładkami: wpadając w nie, jesteśmy uratowani.

- O, tak, zgadzam się co do słowa - odpowiedziała ciotka z niemal złośliwą satysfakcją. - Tak powinno być z ludźmi i czasem bywa. Wyobraź to sobie - każda osoba całym wszechświatem. Czy myślisz, że możemy sobie pozwolić na taką otwartość wobec innych? Jesteś mądry i bystry.

- Myślę, że nie chcemy sobie na to pozwolić - odparł na to Lestat. -

Zbyt wiele w nas zazdrości i lęku. Ale powinniśmy sobie na to pozwolić, a wtedy nasza egzystencja byłaby cudowna, gdybyśmy wędrowali od jednej duszy do drugiej.

Ciotka roześmiała się pogodnie.

- Och, ależ z ciebie okaz - powiedziała. - Skąd ty się wziąłeś? Och, jak żałuję, że nie ma tu guwenera Quinna, Nasha. Byłby tobą zachwycony. I że mały Tommy jest poza domem, w szkole. Tommy to wujek Quinna, co jest nieco mylące, jako że Tommy ma dopiero czternaście lat, a jest jeszcze Jerome. Gdzie ten mały Terome? Pewnie mocno śpi. Ach, musimy się zadowolić mną...

- Czy zechciałaby mi pani powiedzieć, panno Queen - spytał Lestat - czemu tak bardzo uwielbia pani kamee? Muszę przyznać, że się nie przykładałem, wybierając te guziki, ani nie mam obsesji na ich punkcie. Nie wiedziałem, że to dziewięć muz, dopóki pani mi nie powiedziała, i za to jestem pani dłużnikiem. Pani przeżywa tu jednak uroczy romans. Co było u jego początku?

- Czy własne oczy nic wam nie mówią? - zapytała. Podsunęła mu kameę z konchy z Trzema gracjami.

Uniósł ją, przyjrzał się jej uważnie i położył z szacunkiem przed ciotką.

- To dzieła sztuki - powiedziała. - Dzieła sztuki wyjątkowego rodzaju. To obrazki, zamknięte obrazeczki, to się liczy. Drobne, szczegółowe i pełne życia. Skorzystajmy jeszcze raz z metafory wszechświata. Wiele z tych drobiazgów to takie wszechświaty. - Była w uniesieniu. - Można je nosić,

ale to nie obniża ich rangi. Sam przed chwilą mówiłeś o amulecie. -

Dotknęła Meduzy na piersiach. - I, oczywiście, w każdej, która trafia w moje ręce, znajduję coś wyjątkowego. Więcej, można powiedzieć, że ich

różnorodność jest nieskończona. No, popatrz - powiedziała, wręczając

Lestatowi inny egzemplarz. - Widzisz, scena mitologiczna, Herakles

walczący z bykiem, w tle bogini i wdzięczna kobieca postać na pierwszym

planie. Nigdy nie widziałam drugiej takiej jak ta, chociaż mam setki

mitologicznych obrazków.

- Tak, są niezwykle pełne życia - przyznał Lestat. - Doskonale

rozumiem, co pani ma na myśli, są naprawdę boskie, tak.

Chwilę oceniała go wzrokiem, a potem sięgnęła po inną kameę I

wręczyła mu ją.

- A to Rebeka u studni - powiedziała. - Często scena umieszczana na

kameach, biblijny motyw, sam wiesz, z Księgi Rodzaju.

Abraham wysłał posłańca, żeby znalazł żonę jego synowi, Izaakowi, i

Rebeka wyszła przywitać posłańca u studni.

- Tak, znam tę historię - rzekł ze spokojem Lestat. - I to również

doskonała kamea.

Spojrzała na niego, zarówno w oczy, jak i na dłonie, wykończone

lśniącymi paznokciami.

- To jedna z pierwszych kamei, które zobaczyłam - powiedziała,

zabierając ją z jego rąk - to właśnie od Rebeki u studni zaczęła się moja

kolekcja. Dostałam dziesięć innych poświęconych temu samemu

motywowi, chociaż wszystkie okazy różniły się sposobem podania tematu.

Mam je tu co do jednej. Oczywiście, jest z nimi związana pewna opowieść.

Był wyraźnie zaciekawiony i sprawiał takie wrażenie, jakby czas

wcale się dla niego nie liczył.

- Proszę ją opowiedzieć - rzekł po prostu.

- Och, ale pięknie się zachowałam! - wykrzyknęła nagle. - Pozwoliłam

wam tak stać, jak niegrzecznym uczniom przed dyrektorem. Wybaczcie

mi, musicie usiąść. Och, rozum mi odebrało, że też tak się zapomniałam w

moim własnym buduarze! Co za wstyd!

Już miałem ją uspokoić, powiedzieć, że to niepotrzebne, ale

dostrzegłem, że Lestat chce ją lepiej poznać, a ona świetnie się bawi.

- Quinn - rozkazała - przynieś tamte dwa krzesła. Siądziemy sobie w

miłym kółeczku, Lestacie, jeśli mam wam przedstawić opowieść.

Wiedziałem, że wszelki protest nie ma sensu. Poza tym byłem

boleśnie podniecony faktem, że tych dwoje tak przypadło sobie do serca.

Znów ogarnęło mnie szaleństwo.

Zrobiłem to, o co mnie poprosiła, przeszedłem przez buduar, wziąłem

dwa krzesła stojące przy okrągłym stoliku do pisania, umieszczonym

między oknami w głębi, i ustawiłem je dokładnie tam, gdzie staliśmy, tak

że mieliśmy ciotkę przed sobą.

Zanurzyła się w przeszłość.

- To nastąpiło w tym właśnie pokoju, tu zaczęła się moja namiętność

do kamei - powiedziała, przenosząc wzrok to na jednego z nas, to na

drugiego, aby w końcu zatrzymać go na Lestacie. - Miałam wtedy dziewięć

lat i mój dziadek umierał, okropny patriarcha, Manfred Blackwood, wielki

potwór w historii naszej rodziny, człowiek, który zbudował ten dom, człowiek, którego wszyscy się bali. Mój ojciec, jego jedyny żyjący syn, William, starał się mnie trzymać z daleka od niego, ale któregoś dnia ta stara bestia była sama i zobaczyła, jak zerkam przez próg.

Rozkazał mi wejść i za bardzo się bałam, aby go nie usłuchać, a poza tym byłam ciekawa. Siedział w tym miejscu, w którym ja teraz siedzę, tylko że nie było tu tej frymuśnej toaletki. Tylko jego fotel bujany i tkwił na nim, z kocem na kolanach, trzymając obie ręce na lasce ze srebrną gałką. Był wiecznie nieogolony i nosił jakby śliniak, bo ślina wciąż ciekła mu z kącika ust.

Och, co to za przekleństwo dożyć takiego wieku, że człowiek ślini się jak buldog. Za każdym razem, kiedy o nim myślę, wyobrażam sobie buldoga. I pamiętajcie, że pokój chorego w tamtych dniach, choćby był nie wiem jak zadbany, to nie to samo co pokój chorego w dzisiejszych czasach!

Cuchnęło, mówię wam. Jeśli kiedyś tak się posunę w latach i zacznę się ślinić, Quinn, masz moje pozwolenie, żeby strzelić mi w głowę z mojego własnego rewolweru z rękojeścią wykładaną macicą perłową albo uspić mnie morfiną! Pamiętaj o tym, syneczku.

- Oczywiście - rzuciłem w odpowiedzi, puszczając do niej oko.

- Ach, ty diabelku, mówię poważnie. Nie potraficie sobie wyobrazić, jakie to może być odpychające, i proszę tylko o to, żebym mogła odmówić różaniec, zanim wykonasz wyrok, i już mnie nie będzie. - Spojrzała na

kamee, potem rozejrzała się wokół i wróciła wzrokiem do Lestata. -

Patriarcha, tak, patriarcha - powiedziała - i wpatrywał się w pustkę,

zanim mnie zobaczył, mamrocząc do siebie, zanim zaczął do mnie mamrotać. Obok niego stała mała komódka, w której podobno trzymał pieniądze, ale skąd się tego dowiedziałam, nie mam pojęcia.

Jak wam mówiłam, stary potępieniec kazał mi wejść, a potem otworzył z klucza najwyższą szufladkę komody i wyjął małe aksamitne puzdro, upuszczając laskę na podłogę, i wepchnął mi je do rąk. „Otwórz, i to migiem - powiedział. - Bo jesteś moją jedyną wnuczką i chcę ci to dać, a twoja matka jest za głupia, żeby to docenić. Migiem, powiedziałem”. No i zrobiłam dokładnie to, co mi kazał, a w środku były te wszystkie kamee i byłam nimi zafascynowana, widząc te wszystkie małe ludziki i złote oprawki.

„Rebeka u studni - mamrotał. - Wszystkie opowiadają tę samą historię, o Rebecce przy studni. - A potem nagle zmienił ton: - Jak ci powiedzą, że ja ją zamordowałem, to będzie prawda. Kamee, perły i brylanty jej nie wystarczały, nie takie. Zabiłem ją albo mówiąc prawdę, a jest czas na prawdę, zawlokłem ją ku śmierci”.

Oczywiście, byłam wstrząśnięta jego gadaniem, ale nie wzbudziło we mnie podejrzeń ani przerażenia, tylko poczułam się pochlebiona, że mówi mi takie rzeczy. A on gadał i gadał, ślina ciekła mu na brodę. Powinnam mu pomóc, otrzeć mu twarz, ale byłam za mała na taki gest współczucia.

„To było dawno - powiedział mi - a ona nosiła te jedwabne bluzki z stójką i wyglądała uroczo z kameą na szyi. Była urocza, kiedy ją tu przywiozłem. Wszystkie na początku są urocze, a potem gniją. Z wyjątkiem mojej biednej martwej Virginii Lee. Moja kochana,

niezapomniana Virginia Lee. Niechby żyła wiecznie, moja jedyna Virginia Lee. Ale inne gnily, mówię ci, żarły je chciwość i zgnilizna. Ona jednak sprawiła mi największy zawód - rzekł, mierząc mnie swoim wrednym spojrzeniem. - Rebeka i Rebeka u studni. To on dał mi pierwszą kameę dla niej, kiedy usłyszał jej imię, opowiedział mi historię tego kamienia, to o n przyniósł mi kilka następnych, wszystkie z Rebeką, wszystkie w podarunku dla niej, tak powiedział, prawdziwy szpieg zła, wciąż nas podpatrywał, wszystkie pochodziły od niego, wszystkie te kamee, po prawdzie wszystkie są od niego, chociaż nie są zbrukane, a ty jesteś dopiero dzieckiem”.

Ciotka Queen przerwała, chyba czekając na kiwnięcie głowy Lestata, na znak, że ma wiernych słuchaczy, a gdy zobaczyła, że obaj słuchamy jej jak urzeczeni, mówiła dalej.

- Pamiętam wszystkie tamte słowa. Oczywiście w moim dziewczęcym sercu pragnęłam tamtych czarujących kamei. Chciałam je mieć, całe puzdro! Więc przyciskałam je do piersi, gdy on ciągnął dalej, wyszcze kiwał słowa czy nawet wypluwał jak przeżute, trudno powiedzieć. „Z czasem zaczęła uwielbiać te kamee - bredził stary potwór - tak długo, jak mogła marzyć i jednocześnie nasycać swoją zachłanność. Ale zachłanność kobiet nie zna granic. I to on zabił ją dla mnie, złożył krwawą ofiarę, tym się stała, jego ofiarą, można powiedzieć, jestem gotów się pod tym podpisać, ale to ja ją do niego zawlokłem. I to nie pierwszy raz, kiedy założyłem jakiejś biednej kalekiej duszyczce te zakrwawione kajdany, na pewno nie”.

Zadygotałem. Te słowa trąciły we mnie jakąś mroczną strunę.

Miałem wiele sekretów, ciężących mi jak góra kamieni. Bezradny tylko słuchałem w jakimś dziwnym oszołomieniu, gdy mówiła dalej.

- Pamiętam tamte słowa „te zakrwawione kajdany” i wszystkie inne słowa, kiedy tak labiedził. „Po prawdzie nie dała mi wyboru”. Niemal się darł. „Teraz weź te kamee i noś je, bez względu na to, co o mnie myślisz.

Mam tu dla ciebie coś miłego i drogiego, a ty jesteś dopiero małą dziewczynką i moją wnuczką i masz je wziąć, i nosić”.

Oczywiście, nie miałam pojęcia, co mu odpowiedzieć. Nie wydaje mi się, abym przez chwilę wierzyła, że jest prawdziwym mordercą, a już na pewno nie miałam pojęcia o jego dziwnym wspólniku, o którym wspominał, o tym, o którym mówił z taką tajemniczością, nazywając go on. Nigdy się nie dowiedziałam, kim był tamten człowiek, nie wiem tego do dzisiaj. Ale on wiedział. I mówił dalej, jakbym nacięła ranę. „Wiesz, spowiadam się, na okrągło - powiedział - i księdzu, i szeryfowi, ale żaden mi nie wierzy, szeryf mówi, że przepadła jakieś trzydzieści pięć lat temu i coś mi się zwiduje, a co do niego, to nieważne, że za jego złoto zbudowano ten dom, to złodziej i kłamca i zostawił mi ten dom na więzienie, na mauzoleum i już nie mogę do niego pływać, chociaż Wlemze tam jest, siedzi na Bagnach Słodkiego Czarta, czuję go, czuję jego wzrok w nocy, kiedy podchodzi bliżej. Nie mogę go złapać. Nigdy mi się nie udawało. I nie mogę się tam wybrać, skłąć go w żywe oczy, jestem teraz za stary i za słaby”.

Och, to była wstrząsająca tajemnica - powiedziała ciotka Queen. -

„Nieważne, że za jego złoto zbudowano ten dom”. Zachowałam w sekrecie

to, co powiedział. Nie chciałam, żeby matka zabrała mi te kamee.

Oczywiście, nie była z Blackwoodów i zawsze tak się o niej mówiło: „Ona nie jest z Blackwoodów”, jakby to tłumaczyło jej inteligencję i zdrowy rozsądek. Rzecz w tym, że mój pokój na górze był pełen gratów. Łatwo ukryłam kamee. Wyjmowałam je w nocy, oglądałam i opętały mnie. Tak zaczęła się moja obsesja.

Dziadek zmarł po kilku miesiącach. Wytoczył się prosto ze swojego pokoju i na trzęsących się nogach dobiegł do pirogi, i odpychając się drągiem, popłynął na Bagna Słodkiego Czarta. Oczywiście służba i pracownicy darli się, żeby się zatrzymał, ale on popłynął i przepadł. Nigdy więcej nikt o nim nie słyszał. Nigdy. Przepadł jak kamień w wodę. Ogarnęło mnie ukryte drżenie, może bardziej serca niż ciała.

Przyglądałem się ciotce i widziałem jej słowa, jakby ktoś zapisał je na koronkach przeciąganych przez moją głowę.

Pokręciła głową. Przesunęła kameę z Rebeką u studni. Nie odważyłbym się odczytać jej myśli, byłoby to równe temu, jakbym ją uderzył lub zelżył. Czekałem ogarnięty miłością i dobrze znanym od lat przerażeniem.

Lestat robił wrażenie opanowanego i oczarowanego, chyba czekał, aż ciotka znowu zacznie mówić, i się doczekał.

- Oczywiście, w końcu uznano go oficjalnie za zmarłego i wkrótce, kiedy jeszcze go szukali - chociaż nikt nie wiedział, jak dostać się na wyspę, nikt nawet nie miał pojęcia, gdzie ona jest - wyznałam matce wszystko, co mi powiedział. Ona powiedziała ojcu. Ale oni nic nie wiedzieli o jego

spowiedziach ani o jego dziwnym wspólniku, tym tajemniczym onym, tylko że zostawił dużo pieniędzy w licznych skrytkach w różnych bankach. Otóż, gdyby mój ojciec nie był takim prostodusznym i praktycznym człowiekiem, zainteresowałby się tym wszystkim, ale się nie zainteresował, ani moja ciotka, drugie i ostatnie dziecko Manfreda. Oni nie widzieli duchów, ojciec i ciotka. - Powiedziała to takim tonem, jakby zakładała, że ta cecha ich osobowości wyda się dziwna Lestatowi. - I oboje mieli silne przeświadczenie, że posiadłość Blackwood jest po to, żeby na niej pracować, bo bez pracy nie ma kołaczy. Przekazali to przeświadczenie mojemu bratu, Gravierowi, pradziadkowi Quinna, a on przekazał Thomasowi, dziadkowi Quinna, i to zajmowało tych mężczyzn, wszystkich trzech, praca, praca, praca w majątku Blackwood, od rana do świtu, i tym samym zajmowały się ich żony, zawsze przy kuchni, zawsze wyznające ci swoją miłość, stawiając pełny talerz pod nos, takie były. Mój ojciec, brat i kuzyn wszyscy byli chłopami do ostatniej kropli krwi. Pieniądze były zawsze, pieniądze po patriarsze, i wszyscy wiedzieli, że zostawił fortunę i że nie olej drzewny i nie mleczne krowy przyczyniły się do wspaniałości tego domu. Przyczyniły się pieniądze, które zostawił mój dziad. W tamtych czasach ludzie tak naprawdę nie pytali, skąd masz pieniądze. Władz to nie obchodziło jak w dzisiejszych czasach. Kiedy ten dom w końcu przypadł mnie, przejrzałam wszystkie zapiski, ale nie znalazłam żadnej wzmianki o tajemniczym onym ani o żadnym innym wspólniku dziadka.

Westchnęła i spoglądając na przejętą twarz Lestata, kontynuowała,

teraz trochę szybciej, w miarę jak otwierała się przeszłość.

- A co się tyczy pięknej Rebeki, to mój ojciec miał o niej okropne wspomnienia, podobnie jak ciotka. Rebeka była towarzyszką życia dziadka, kobietą podejrzanego konduity, wprowadzoną do tego domu, po tym jak umarła jego żona, świętej pamięci Virginia Lee. Ta Rebeka to była zła macocha co się zowie, za młoda na objęcie obowiązków matki, niedobra i gwałtowna w stosunku do mojego ojca i do ciotki, którzy byli tylko małymi dziećmi, a poza tym niedobra dla wszystkich innych domowników.

Mówili, że przy kolacji, bo dopuszczano ją do stołu, mimo całego jej widocznego bezwstydu, wyśpiewała na głos wierszyki mojej biednej cioci Camille, które tamta ukrywała przed wszystkimi, tylko po to, żeby jej pokazać, że zakradła się do jej pokoju i zajrzała do jej pamiętnika, i chociaż ciocia Camille Blackwood była wcieleniem łagodności, pewnego wieczoru wstała i cisnęła Rebecę w twarz całym talerzem gorącej zupy.

Ciotka przerwała, wzdychając z powodu tamtego dawnego wybuchu, i mówiła dalej:

- Wszyscy nienawidzili Rebeki, tak przynajmniej się mówiło. Biedna ciocia Camille. Mogła być drugą Emily Dickinson albo Emily Brontë, gdyby tamta wstrętne Rebeka nie wykradła jej wierszy. Biedna ciotka Camille podarła je wszystkie, po tym jak tamte oczy je zobaczyły i usta wygłosiły, i nigdy więcej nie napisała ani linijki. Na złość całemu światu obcięła swoje długie włosy i spaliła je w kominku.

Pewnego dnia jednak, po wielu innych koszmarach awanturach

przy kolacji, ta wstrętna Rebeka zniknęła. A że nikt za nią nie przepadał, nikogo nie ciekawiło, dlaczego zniknęła ani gdzie. Jasmine mówi, że znaleziono na strychu jej ubrania. Quinn też to mówi. Kufer czy dwa pełne rzeczy Rebeki. Quinn je przejrzał. Quinn wyszperał tam te kamee i zniósł je na dół. Quinn uparł się, żebyśmy je zatrzymały. Ja nigdy bym ich nie zniosła. Jestem na to za przesądna. A łańcuchy...! - Rzuciła mi poufale i znaczące spojrzenie. Rzeczy Rebeki. Nie mogłem opanować rozdygotania. - Wybacz mi, Quinn, że mówię tak wiele. A zwłaszcza o Rebecce. Nie zamierzam cię wyprowadzać z równowagi tymi starymi historiami. Może najlepiej zrobimy, dając spokój Rebecce. Czemu nie spalić jej ubrań? Nie myślisz, że tu chłodno w tym pokoju, przy tej całej klimatyzacji, i że przydałby się jakiś ogienek w kominku? - Roześmiała się, wykpiwając ten pomysł, ledwo go rzuciła.

- Czy ten temat wyprowadza cię z równowagi, Quinn? - spytał cicho Lestat.

- Ciociu Queen, nie bój się - powiedziałem. - Nic, co powiesz, nie może sprawić mi przykrości. Bez przerwy mówię o zjawach i duchach - ciągnąłem. - Czemu rozmowa o żywych stworzeniach, o Rebecce, w której było aż za dużo życia i okrucieństwa wobec wszystkich, miałyby wyprowadzić mnie z równowagi? Nie sądzę, żeby obecny tu mój przyjaciel zdawał sobie sprawę, jak wiele dowiedziałem się o Rebecce. Ale opowiem mu, jeśli później jeszcze zechce wysłuchać kolejnych opowieści.

Lestat skinął głową i wyraził półgłosem zgodę.

- Bardzo na to liczę - powiedział.

- Wygląda na to, że gdy ktoś zobaczy zjawę, to nie wie, co to jest. - Jakże dobrze to rozumiem. musi o tym opowiedzieć - zauważyła ciotka. - Jakże dobrze to rozumiem.

Nagle coś przyszło mi do głowy.

- Ciociu Queen, znasz moje opowieści o zjawach i duchach lepiej niż wszyscy, może poza Oliverem Stirlingiem - rzekłem ze spokojem. - I mówię o moim starym przyjacielu z Talamaski, ponieważ on też je zna. I bez względu na to, co o mnie sądzisz, zawsze traktowałaś mnie łagodnie i z szacunkiem, co doceniam całym sercem...

- Oczywiście - powiedziała krótko i zdecydowanie.

- Ale czy naprawdę wierzysz w to, co opowiedziałem o zjawie Rebeki?

- spytałem. - Nawet teraz nie znam twojego zdania. Ludzie znajdują miliony sposobów, żeby odrzucić nasze historie o duchach. I duchy fascynują ich w różnym stopniu, tak że nigdy nie byłem pewien twojego stanowiska. Teraz jest dobra pora, aby o nie zapytać, nieprawdaż?, kiedy jesteś w nastroju do opowieści. - Poczerwieniłem, wiedziałem o tym, i głos mi się łamał, czego nie lubiłem. Och, lawino duchów i ich mniejszych braci. Zatrzyj obraz Olivera Stirlinga w moich morderczych ramionach i zakrwawionej panny młodej leżącej w łóżku. Błędy, błędy!

- Jakie jest moje stanowisko... - powiedziała z westchnieniem, przenosząc wzrok od Lestata na mnie i znów na niego. - Ależ twój przyjaciel gotów pomyśleć, że trafił do domu wariatów, jeśli nie damy sobie z tym spokoju. Quinn, przysięgnij mi teraz, że nie wrócisz do Talamaski. Ta myśl doprowadza mnie do hysterii. Będę Przeklinać tę noc za to, że opowiadałam takie historie tobie i twojemu przyjacielowi, jeśli

wysłuchawszy ich, wrócisz do Talamaski.

- Nie, nie wrócę, ciociu Queen - obiecałem, czułem jednak, że ta bolesna rozmowa doprowadziła mnie do kresu wytrzymałości i wystarczy jedno słowo, a będę musiał zdradzić coś, czego nie chcę i nie powinienem ujawniać. Staralem się odnaleźć wcześniejszą radość, wywołaną tym, że byliśmy tam wszyscy razem, ale umysł miałem zajęty przerażającymi obrazami. Siedziałem nieruchomo, starając się ukryć to wszystko w sercu.

- Nie płyn na te bagna, Quinn - powiedziała ciotka, nagle apelując do mnie z głębi serca. - Nie płyn na te przekłete Bagna Słodkiego Czarta. Znam twoją awanturniczą duszę, Quinn. Nie bądź dumny ze swoich odkryć. Nie płyn tam. Musisz się trzymać daleko od tego miejsca.

Byłem zraniony nie z jej winy. Modliłem się, abym wkrótce mógł się wypowiadać Lestatowi albo komuś z tego świata, że jej ostrzeżenia były już spóźnione. Kiedyś były aktualne, ale welon okrył całą przeszłość, raptownie i bezpowrotnie. Tajemniczy on, który nie był dla mnie żadną tajemnicą.

- Nie myśl o tym, ciociu - powiedziałem z całą łagodnością, na jaką było mnie stać. - Co ci powiedział twój ojciec? Że na Bagnach Słodkiego Czarta nie ma żadnego czarta.

- Ach, tak, Quinn - odparła - ale też mój ojciec nigdy nie wybrał się na te mroczne wody, nie włóczył się po tej wyspie, jak ty to robisz. Nikt nigdy wcześniej na nią nie trafił. Dopiero ty, Quinn. Takie niepraktyczne przedsięwzięcia nie leżały w naturze mojego ojca, czyli twojego pradziadka. Och, polował przy brzegach, łowił raki, jak teraz to robimy.

Ale nigdy nie wybrał się na poszukiwanie tej wyspy i chce, żebyś raz na zawsze dał sobie z tym spokój.

Niezwykłe silnie poczułem, że jestem jej potrzebny, tak silnie jak nigdy wcześniej.

- Za bardzo cię kocham, żeby cię opuścić - zapewniłem ją szybko.

Słowa wypadły mi z ust, zanim zastanowiłem się dokładnie nad ich znaczeniem. I równie nagle dodałem: - Nigdy cię nie opuszczę, przysięgam.

- Moje kochanie, moje drogie kochania - powiedziała w zamyśleniu, bawiąc się kameami, ustawiając obok siebie Rebeci u studni, pierwszą, drugą, trzecią, czwartą i piątą.

- Nie są zbrukane, ciociu Queen - powiedziałem, spoglądając na te szczególne kamee, nie wiedzieć czemu, ale wyraźnie sobie przypominając, że upiory mogą nosić kamee. Zastanawiałem się, czy duch ma wybór. Czy duch splądrował swoje kufry na strychu?

Ciotka skinęła głową i uśmiechnęła się. - Mój chłopiec, mój syneczek - powiedziała. Potem znów spojrzała na Lestata. Jego zachowanie, jego serdeczność wobec niej nie zmieniły się ani trochę. - Wiesz, Lestacie, nie mogę już podróżować - wyznała z całkowitą powagą, zasmucając mnie. - I czasem nachodzi mnie ta straszna myśl, że moje życie jest skończone.

Musisz wiedzieć, że mam osiemdziesiąt pięć lat. Już nie mogę nosić moich ukochanych szpilek, przynajmniej nie za progiem tego pokoju. -

Popatrzyła na swoje stopy, które nadal nam demonstrowała, na niebywale, obsypane dżetami szpilki, z których była tak dumna. - Nawet wyjazd do Nowego Orleanu, do jubilerów, którzy znają mnie jako

kolekcjonerkę, to dla mnie cała wyprawa. Chociaż kiedyś, za dawnych czasów, miałam największą limuzynę, jaką można sobie wyobrazić, z pewnością najdłuższą w całej okolicy, i dżentelmenów, którzy mnie obwozili, towarzyszyli mi i Jasmine, oczywiście, kochanej Jasmine. Ale gdzie ty się teraz podziewasz, Quinn? Wygląda na to, że kiedy budzę się o uczciwej porze i wyznaczam ci spotkanie, nie można cię odszukać.

Miałem w głowie zamęt. To była noc wstydu i jeszcze raz wstydu.

Chociaż siedziałem o krok od ciotki, czułem między nami nieprzekraczalną barierę, i znów pomyślałem o Stirlingu, o smaku jego krwi i o tym, jak niewiele brakowało, a połknąłbym jego duszę. Zastanawiałem się znów, czy Lestat nie rzucił na nas jakiegoś czararu - na ciotkę i na mnie - abyśmy ujawnili zwykle skrywane myśli i uczucia.

To mi się jednak podobało. Ufałem Lestatowi i nagle przyszyła mi do głowy szalona myśl, że gdyby zamierzał mnie skrzywdzić, nie wysłuchiwałby ciotki tak długo.

Ona kontynuowała z uroczym ożywieniem; jej głos był jeszcze przyjemniejszy, chociaż słowa pozostały smutne.

- I tak siedzę sobie z moimi małymi talizmanami, i oglądam moje stare filmy - wskazała duży telewizor - licząc na to, że Quinn przyjdzie, ale rozumiem go, kiedy nie przychodzi. Staram się nie skarżyć na moje słabości. Miałam bogate, pełne życie. A moje kamee przynoszą mi wiele radości. Sama obsesja na ich punkcie to już radość. Zawsze tak było, naprawdę. Zbieram kamee od tamtego dnia z zamierzchłej przeszłości.

Rozumiecie, o co mi chodzi?

- Tak - powiedział Lestat - doskonale panią rozumiem. Cieszę się, że panią poznałem. Cieszę się, że zostałem przyjęty w pani domu.

- Staromodnie to ująłeś - powiedziała wyraźnie oczarowana i jej twarz rozjaśniła się w uśmiechu, podobnie jak głęboko osadzone oczy. - Jesteś tu jak najmilej witany.

- Dziękuję, madame - odparł Lestat.

- Ciociu Queen - poprawiła go.

- Ciociu Queen, kocham cię - odpowiedział ciepło.

- Teraz idźcie sobie, wy dwaj - powiedziała. - Quinn, odstaw te krzesła na miejsce, bo jesteś duży i silny, a Jasmine będzie musiała wlec je po dywanie, i jesteście wolni, obaj, moi młodzi panowie, a ja czuję się bardzo przygaszona, że zakończyłam tę uduchowioną rozmowę w smutnym nastroju.

- W podniosłym nastroju - poprawił ją Lestat, podczas gdy ja z łatwością przeniosłem krzesła do okrągłego stolika. - Nie myśl, że nie czuję się zaszczycony dopuszczeniem przez ciebie do konfidencji. Spotkałem tu wielką damę i, wybacz mi te śmiałe słowa, urzekającą damę.

Wybuchła radosnym chichotem i gdy znów obszedłem toaletkę i ujrzałem jej błyszczące szpilki, w których jej stopy wyglądały na stopy nieśmiertelnej, tak, jakby mogły ją zanieść wszędzie, nagle porzuciłem wszelkie formy, ukląknęłam i przyłożyłam usta do jej buczków.

Nie było to niecodzienne zachowanie w naszych kontaktach, często zdarzało mi się pieścić jej stopy, całować je i łaskotać, lubiłem gładzić ich podbicie i je również często całowałem, zakrytą nylonem skórę, ale gdy

pocałowałem ją w obecności Lestata, uznała to za niesłychanie zabawne. I śmiała się, i śmiała wysokim, delikatnym głosikiem, który przywodził mi na myśl rozhuśtaną srebrną sygnaturkę na tle błękitnego nieba.

- Wynoście się - powiedziała, gdy wstałem. - Udzielam wam oficjalnego zwolnienia z obowiązku towarzyszenia mi. Nie ma was.

Podszedłem pocałować ją ostatni raz; dotyk jej ręki na mojej szyi był niezwykle delikatny. Poczucie, że ten śmiertelny owoc dojrzał, odebrało mi siły. W uszach zadźwięczało mi echo jej słów o starości. I doznałem gorącej mieszanki emocji - miałem świadomość, że zawsze dawała mi poczucie bezpieczeństwa, ale wydało mi się, że teraz sama nie jest bezpieczna, i opłynęła mnie fala głębokiego smutku.

Lestat skłonił się przed nią i opuściliśmy buduar.

Jasmine czekała w korytarzu, ciepły, wyrozumiały cień, i spytała mnie, w jakiej części domu będzie można mnie znaleźć. Jej siostra, Lolly, i ich babka, Baba Ramona, były w kuchni, gotowe przygotować nam wszystko, na co mielibyśmy ochotę.

Powiedziałem, że na razie niczego nam nie trzeba. Nie ma się czym przejmować. I że idziemy do moich pokoi.

Zapewniła mnie, że później wpadnie pielęgniarzka ciotki, promyk słońca z aparatem do mierzenia ciśnienia, Cindy, z którą ciotka zapewne będzie tego wieczoru oglądać film, jak już ogłoszono, Gladiatora w reżyserii Ridleya Scotta. Jasmine, Lolly i Baba Ramona oczywiście również go obejrzą.

Gdyby ciotka tylko chciała, w jej buduarze na wieczornym seansie

pewnie zjawiloby sie jeszcze kilka pielęgniarek. Szybko nawiązywała z nimi przyjaźnie, oglądała fotografie ich dzieci, dostawała kartki na urodziny, słowem, potrafiła zebrać wokół siebie rój młodych dziewcząt chętnie spieszących jej z pomocą.

Naturalnie miała również przyjaciół, mieszkających w lasach, w górę i w dół drogi, w mieście i poza nim, ale byli równie starzy jak ona i nie za bardzo mogli sobie pozwolić na wieczorną wyprawę do jej buduaru. Z tymi paniami i tymi panami spotykała się na klubowych lanczach.

Wieczór należał do niej i jej dworu.

To, że 'miałem tam stałe stanowisko, zanim otrzymałem mroczną krew, było oczywiste. Od tamtego momentu pojawiałem się jednak nieregularnie, potwór wśród niewinnych, nękany i rozjuszony wonią krwi.

Tak więc Lestat i ja opuściliśmy ciotkę, a noc - chociaż do tej pory już mało nie zamordowałem Stirlinga, nakarmiłem się bez żadnych wyrzutów sumienia nieznaną kobietą i wysłuchałem opowieści ciotki - była całkiem młoda.

Podeszliśmy do schodów i Lestat dał mi znak, abym wskazywał drogę.

Przez chwilę myślałem, że słyszę szelest Goblina. Wydało mi się, że czuję jego nieuchwytną obecność. Zastygłem, modląc się całym sercem, aby się ode mnie oddalił, aby znikł, jakbym miał do czynienia z szatanem.

Czy zasłony w holu się poruszyły? Wydało mi się, że słyszę cichutką muzykę kryształków żyrandoli. Jakiż to byłby koncert, gdyby wszystkie

się zakotłowały. A on robił takie sztuczki, może nawet niecelowo, gdyż będąc kiedyś bardzo cichy, teraz pojawiał się i znikał z pewną niezgrabnością, być może większą, niż zdawał sobie z tego sprawę.

Bez względu na to, czy zmienił się i pod tym względem czy nie, nie przybył. Żadnych duchów, żadnych zjaw. Tylko świeże, schłodzone powietrze, wylatujące z lekkim poświstem z duktów.

- Nie ma go tu - powiedział spokojnie Lestat.

- Wiesz na pewno? - spytałem.

- Nie, ale ty wiesz - odparł.

Miał rację.

Poszedłem pierwszy kręconymi schodami. Czulem wyraźnie, że na dobre czy na złe mam teraz Lestata dla siebie.

W górnym holu po prawej stronie było troje drzwi, a ponieważ po lewej kończyły się schody, tam było ich tylko dwoje. Pierwsze drzwi po krótszej stronie prowadziły do moich apartamentów, składających się z dwóch pokoi, a kolejne do sypialni na tyłach domu.

Lestat zapytał, czy może zobaczyć pokoje, i powiedziałem mu, że prawie wszystkie. Dwie z trzech sypialni po prawej były teraz niezamieszkane - jedna należała do mojego małego wujka Tommy'ego, który przebywał w Anglii w szkole z internatem, druga była zawsze zarezerwowana dla jego siostry Brittany. Prezentowały się widowiskowo, każda z ozdobnym dziewiętnastowiecznym łóżem z baldachimem, aksamitnymi lub taftowymi zasłonami i wygodnymi chociaż przerafinowanymi fotelami i kozetkami, przypominającymi buduarowe meble ciotki Queen.

W trzecim - niedostępnym - pokoju błękała się moja matka, Patsy, której miałem nadzieję nie napotkać.

Wszystkie marmurowe półki nad kominkami - jedna śnieżnobiała,

inne czarno - złote - były indywidualnie wykończone, wszędzie wisały lustra w złożonych ramach i wielkie dumne portrety moich przodków - Williama i jego żony, ślicznej Grace; Graviera i jego żony, świętej pamięci Alice; i Thomasa, mojego dziadka, do którego wszyscy też mówili „dziadku”, i mojej babuni, którą dziadek nazywał Skarbeczkiem, ale która naprawdę miała na imię Rosę.

Górne oświetlenie zapewniały zelektryfikowane gazowe lampy, mosiężne pająki z rżniętymi kryształowymi kloszami, zwyczajniejsze, niemniej jednak stwarzające przytulniejszą atmosferę niż wystawne kryształowe żyrandole parteru.

Ostatnia sypialnia po prawej również była dostępna, schludna i ładna. Należała do mojego guwernera, Nasha Penfielda, który kończył swoją pracę doktorską w katedrze literatury angielskiej na jednym z uniwersytetów Zachodniego Wybrzeża. Zawsze pasował jak ulał do tego pomieszczenia. Stało w nim łóżko z baldachimem i zasłonami z niebieskiego jedwabiu. Czyste, sprzątnięte biurko czekało na jego powrót. Ściany były zastawione książkami, jak u mnie. Przed kominkiem, również jak u mnie, stała para eleganckich, nieco zniszczonych foteli obitych adamaszkiem.

- W starych, hotelowych czasach goście zawsze mieszkali po prawej stronie korytarza - wyjaśniłem - a tu, w pokoju Nasha, spali dziadkowie. Nash i jak spędziliśmy ostatni rok, czytając sobie Dickensa. Bardzo się pilnuję w jego towarzystwie i jak do tej pory wszystko układało się wzorowo.

- Lubisz tego człowieka, prawda? - spytał Lestat. Wszedł za mną do

sypialni. Uprzejmie zlustrował regały.

- Oczywiście, że go lubię. Ale wcześniej czy później może się zorientować, że coś ze mną jest nie tak. Jak dotąd miałem niezwykle szczęście.

- Podstawa to śmiałość - powiedział Lestat. - Zdumiałbyś się, wiedząc, ile śmiertelni są w stanie zaakceptować, jeśli po prostu zachowujesz się, jakbyś był człowiekiem. Pewnie już to wiesz, prawda? - Wrócił z szacunkiem do książek, nie biorąc żadnej do ręki, tylko wskazując regał. - Dickens, Dickens i jeszcze raz Dickens - uśmiechał się. - I chyba wszystkie jego biografie, które stworzono.

- Tak, czytałem je na głos Nashowi - potwierdziłem - powieść po powieści, niektóre właśnie tu, przy kominku. Czytaliśmy je od deski do deski, a potem zwyczajnie zanurzałem się w którąś z nich - Magazyn osobliwości, Maleńką Dorrit, Wielkie nadzieje - i w ich język. To było cudowne, oszalamiające, to było tak, jak powiedziałeś ciotce Queen. Idealnie to określiłeś. To było jak zanurzenie się w cały samoistny wszechświat, tak, właśnie tak. - Przerwałem. Uświadomiłem sobie, że nadal mam zawroty głowy po wizycie u ciotki, po jego słowach i zachowaniu; a co się tyczy Nasha, to tęskniłem za nim i wyczekiwałem jego powrotu.

- Był znakomitym nauczycielem - podsunął mi łagodnie Lestat.

- Uczył mnie wszystkich przedmiotów - wyznałem. - Jeśli mogę się nazwać człowiekiem wykształconym, a nie wiem, czy mam do tego prawo, to dzięki trójce nauczycieli, których miałem - pani Lynelle, Nashowi i

ciotce. Nash nauczył mnie, jak należy czytać książki, jak oglądać filmy i jak należy podchodzić do nauk ścisłych, które potrafią być cudowne, chociaż szczerze mówiąc, żywię wobec nich lęk i niechęć. Wywabiliśmy go z college'u wysoką pensją i wielkim objazdem po Europie. I niesłuchanie na tym zyskaliśmy. Dawniej czytał ciotce. Uwielbiała to. - Podszedłem do okna wychodzącego na kamienny taras za domem i usytuowany w odległości jakichś dwustu stóp jednopiętrowy bungalow. Na piętrze miał werandę podtrzymywaną szeroko rozstawionymi kolumnami. - Tam jest nasz, jak to mówimy, barak - wyjaśniłem. - Naszych pracowników nazywamy fernalami, chociaż tak naprawdę kochamy ich i traktujemy jak członków rodziny, nie wyrobników. To ludzie do wszystkiego, posłańcy, szoferzy, ochrona. Żyją tam, w swoich kwaterach.

Tam stoi wóz ciotki i mój, którego już nie używam. Słyszę teraz fernali. Pewnie ty też. Zawsze mamy ich dwóch. Nie ma takiej rzeczy na świecie, której by nie zrobili dla ciotki. Nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobili dla mnie. Wyżej widzisz drzwi, to małe sypialnie, to znaczy małe w porównaniu z tymi tutaj, chociaż też są w nich szerokie łóżka z baldachimem, stare komódki i ukochane fotele ciotki, wyściełane satyną. Za dawnych czasów służyły gościom, oczywiście za mniejsze pieniądze, niż musieliby zapłacić, zatrzymując się we dworze. Tam mieszkała moja matka, kiedy dorastałem. Mieszkała tam, od kiedy sięgam pamięcią. Na dole, po lewej robiła próby, tam była jej rupieciarnia, studio, ale już nie ćwiczy i zajmuje frontową sypialnię, przy wejściu. Teraz jest bardzo chora. - Nie lubisz jej, prawda? - spytał Lestat.

- Bardzo się boję, że ją zabiję - powiedziałem.

- Proszę...? - spytał.

- Bardzo się boję, że ją zabiję - powtórzyłem. - Nienawidzę jej i chcę ją zabić. Marzę o tym. Bronię się przed tym. To tylko zły sen, który mnie nachodzi.

- A teraz, braciszku, zabierz mnie w takie miejsce, w którym chcesz porozmawiać - powiedział i poczułem delikatny uścisk jego palców na ramieniu.

- Dlaczego jesteś dla mnie taki dobry? - spytałem.

- Jesteś przyzwyczajony do tego, że ludzie zajmują się tobą za pieniądze, prawda? - spytał. - Nigdy nie miałeś do końca pewności co do Nasha, zgadza się? Czy kochałby cię chociaż w połowie tak samo, gdyby nie dostawał za to pieniędzy? - Przebiegł oczami po pokoju, jakby to pomieszczenie mówiło mu o uczuciach Nasha.

- Duża pensja i dodatki potrafią zamącić w głowie - przyznałem. - Nie wyzwalają najlepszych cech, nie wydaje mi się. W przypadku Nasha...? Myślę, że było inaczej. Napisanie dysertacji zabrało mu cztery lata, ale jest znakomita i po obronie będzie usatysfakcjonowany. - Głos mi drżał. To doprowadzało mnie do wściekłości. - Poczuje się niezależny i to dobrze. Wróci i będzie towarzyszem życia i opiekunem ciotki. Znowu będzie jej czytał. Wiesz, oczy już jej nie służą. Będzie zachwycona. Bardzo jej tego życzę i nie mogę się doczekać jego powrotu. Zabierze ją wszędzie, gdzie tylko będzie chciała. Bardzo jej tego życzę. To przystojny mężczyzna.

- Stoisz przed potężną pokusą - zauważył Lestat, oceniając mnie

zmrużonymi oczami.

- Potężną pokusą? - spytałem. Byłem wstrząśnięty, a nawet trochę

oburzony. - Chyba nie myślisz, że posilam się tymi, których kocham?

Przyznaję, popełniłem kolosalny błąd wobec Stirlinga. Dopuściłem się

potworności i Stirling otarł się o śmierć, ale przeżyłem kompletne

zaskoczenie, strach, strach, bo on się dowiedział, kim jestem, a znał mnie,

rozumiesz, i kiedy się dowiedział...

Głos: „Kompletne zaskoczenie”.

Zakrwawiona suknia ślubna, zakrwawiona panna młoda.

Głos: „Ty głupcze, nie wolno ci zabijać niewinnych, a ona na dodatek

czekała na noc poślubną. To jedyna panna młoda, którą miałeś i którą

będziesz miał”.

- Nie to miałem na myśli - odparł Lestat. To mnie ocuciło, obudziło z

bólu i rozpacz. - Chodź. Teraz do twojego pokoju, zgadza się, braciszku?

Tam możemy porozmawiać. Masz dwu - pokojowy apartament przy

schodach.

Ogarnął mnie spokój połączony z przecuciem bliskiej, wyzbytej

gwałtu radości. Ten nastrój był jego zasługą.

Poprowadził, a ja udałem się za nim bez słowa. Weszliśmy do mojego

saloniku, którego okna wychodziły na stronę frontową. Za rozsuwanymi

podwójnymi drzwiami widać było sypialnię, ogromne królewskie łóżce,

baldachim z pikowanej czerwonej satyny, dobrane kolorystycznie

czerwone fotele, ciężkie i usłużne, rozstawione między sypialnią a

salonem. Pod oknem salonu stało biurko z komputerem, a gigantyczny

telewizor, do którego byłem przywiązany jak nikt, okupował kąt pokoju, przy ścianie działowej.

Pod żyrandolem, na środku, stół z dwoma krzesłami, ustawionymi naprzeciwko siebie. Tu często siadałem, prosto i wygodnie, i czytałem. Tu pisałem w moim dzienniku, jednym okiem zerkając na telewizor. To tu chciałem zasiąść z Lestatem. Nie w fotelach przy kominku, który był wygaszony o tej porze roku.

Od razu zauważyłem, że komputer jest włączony.

Lestat wyczuł moje zaniepokojenie i też dostrzegł wiadomość, zielone wielkie czcionki na czarnym tle.

LESTAT PRECZ

Na sam ten widok poczułem wstrząs. Bezzwłocznie podszedłem do urządzenia i wyłączyłem je.

- Od Goblina - powiedział Lestat.

Skinąłem głową i stałem jak na warcie, czekając, aż się włączy, ale to nie nastąpiło. Przeszła mnie fala gwałtownych dreszczy. Odwróciłem się.

Byłem mgliście świadomy, że Lestat stoi po drugiej stronie stołu i obserwuje mnie, ale ledwo mogłem skupić na nim uwagę. Ciężkie story na oknach się kołysały, lampa nad moją głową zaczęła się kiwać.

Rozdzwoniły się kryształowe klosze i żarówki. Widziałem wszystko jak przez mgłę.

- Zostaw mnie - szepnąłem. - Nie zobaczę cię, zamknę oczy,

przysięgam. - I zrobiłem to, zacisnąłem kurczowo powieki jak dziecko, które udaje, że śpi, ale utraciłem równowagę i musiałem otworzyć oczy,

aby nie upaść.

Zobaczyłem Goblina. Stał po mojej prawej ręce. Nieprzezroczysty, wyrazisty, mój sobowtór. Komputer był włączony i seria bezsensownych sylab przelatowała przez monitor, podczas gdy z głośniczków dobiegał przytłumiony stukot.

Znów spróbowałem zamknąć oczy, ale byłem za bardzo urzeczony jego widokiem - wyglądał zupełnie jak ja, także miał na sobie skórzaną kurtkę i czarne spodnie - i jego oszalałą twarzą, która na pewno nie była odbiciem mojej. Oczy błyszczały mu złowrogo, triumfalnie, usta rozdziawiał w szerokim uśmiechu klauna.

- Mówię ci, idź, Goblinie - powiedziałem, ale to tylko dodało mu sił.

Zaczął się rozplywać, rósł.

- Pozwól, bym zadał mu ból! - powiedział z naciskiem Lestat. - Daj mi pozwolenie.

Ogarnięty zamętem nie potrafiłem wydusić słowa, chociaż słyszałem nalegania Lestata. Poczulem na całym ciele uścisk, jakbym trafił w objęcia boa dusiciela, tak przynajmniej mi się wydawało, i straciłem zdolność widzenia, wstrząsany gwałtownymi spazmami, nad którymi nie potrafiłem zapanować. Czulem drobne uklucia na twarzy i dłoniach. Gdy chciałem unieść ręce, aby się bronić, sparaliżował je ból. Bolał mnie każdy odsłonięty kawałek ciała, nawet kark.

Ogarnęła mnie panika, bo czulem się, jakbym trafił w rój os.

Zaatakowały nawet powieki i upadłem na podłogę, ale nie wiedziałem, gdzie jest góra, a gdzie dół. Czulem pod sobą dywan, ale nie potrafiłem się

podnieść.

- Braciszku, pozwól, bym zadał mu ból - powtórzył Lestat. I

usłyszałem swój głos, jakby dochodził z ust kogoś innego.

- Niech go piekło pochłonie, zadaj mu ból.

*Wtedy poczułem to magnetyczne zespolenie, Goblin i ja, niepodzielni,
i zobaczyłem słoneczny pokój, w którym dziecko stoi w drewnianym kojcu
zasypanym zabawkami, niemowlak o kręconych włoskach, w śpioszkach,
wiedziałem, że to ja, a obok mój sobowtór, obaj się śmiejemy, razem,
beztroszy - popatrz na czerwone kwiatki na linoleum, na słońce, na
łyżeczkę wirującą w powietrzu - a zaraz potem przewinęły się inne obrazy
i przypadkowe chwile; śmiech w szkolnej sali i wszyscy chłopcy patrzą na
mnie i szepcą, a ja mówię: „On tu jest, mówię wam”, jego ręka na mojej
ręce i piszę ołówkiem te jego bazgroły, Kocham cię, Goblin i Tarquin,
wstrząsy czystej rozkoszy wyzwały mnie z ciała, wyzwały mnie z duszy.*

Tarzałem się po podłodze, czy tak?

- Goblin - chyba szepnąłem. - Ten, do kogo należę i zawsze należałem.

Nikt mnie nie zrozumie, nikt tego nie pojmie. - Goblin, Goblin, Goblin.

*Rozkosz wzrastała z niewysłowioną słodyczą i ustąpiła w falach
błogości.*

*Wycofywał się, zostawiał mnie zziębniętego, obolałego i zupełnie
samotnego, rozpaczliwie, katastrofalnie samotnego - porzucił mnie.*

*- Zadaj mu ból! - wykrzyczałem, ile tchu w piersiach, przerażony, że
mnie nie słychać, i otworzyłem oczy, i zobaczyłem nad sobą wielki płaski
wizerunek samego siebie, twarz falującą i groteskową, która nagle cała*

zapłonęła punkcikami ognia!

Lestat wysłał dar ognia, aby spalić krew, którą zabrał mi Goblin, i usłyszałem bezdźwięczne wycie Goblina, bezdźwięczny szalejący wrzask.

Och, nie, nie należało tego robić, nie mojemu Goblinowi, jak mogłem to zrobić, jak mogłem go zdradzić! Jego krzyk był jak syrena alarmowa.

Spadł na mnie deszcz drobniutkiego popiołu, dokładnie biorąc, jakby ktoś cisnął we mnie garściami popiołu, I znów rozległ się przesywający uszy wrzask.

W powietrzu unosił się smród spalenizny, palonych ludzkich włosów.

Wielki bezkształtny wizerunek kołysał się w górze, zbiegając się na jeden pamiętny moment w mojego cielesnego sobowtóra, zatrzymującego światło, który rzucił się na mnie i przeklinał - „Zły diabeł Quinn, zły!

Niedobry. Niedobry!” - a potem zniknął, uciekł przez drzwi, łańcuch lampy kołysał się, dzwonił, żarówki mrugały, wiatr przeleciał po firankach, robiło się cicho i spokojnie.

Leżałem na podłodze. To mrugające światło było nie do zniesienia.

Lestat podszedł, pomógł mi wstać i pogładził mnie po włosach.

- Nie mogłem nic zrobić, dopóki z ciebie nie wyszedł - powiedział - bo ogień też by cię spalił.

- Rozumiem - wymamrotałem. Byłem jak w gorączce. - Nigdy na to nie wpadłem, żeby ukarać go ogniem, ale pomyśl, teraz będzie przygotowany. Szybko się uczy. Teraz wie to, co dla nas jest oczywiste, wie, że kiedy będę próbował go spalić, kiedy któryś z nas się na to odważy, znów może się ze mną połączyć i ogień spali także mnie.

- Może tak postąpić - przyznał mi rację Lestat, prowadząc mnie do

krzesła przy stole. - Ale myślisz, że chce twojej śmierci?

- Nie, nie może tego chcieć - odparłem. Byłem bez tchu jak po biegu. -

Czerpie ze mnie życie. Nie mam pojęcia, czym był wcześniej, zanim ja się napatoczyłem. Teraz jednak to moje przywiązanie do niego, moja miłość dają mu siłę. I, niech to szlag, nie mogę przestać go kochać, zdrada za dużo by mnie kosztowała, i właśnie moja miłość utrzymuje go przy życiu!

Światła przestały mrugać. Firanki znieruchomiały. Dreszcz przebiegł mi po plecach. W głośniczkach rozległy się trzaski wylądowań i komputer nagle zgasł.

Jąkając się, opowiedziałem Lestatowi o obrazach, które zobaczyłem, o sobie w kojcu, starym linoleum, które na pewno było w kuchni, Goblinie przy mnie, i że nie były to obrazy z mojej pamięci, ale były na pewno prawdziwe.

- Pokazał mi te obrazki wcześniej, podczas ataku, obrazki mnie samego, gdy byłem niemowlęciem.

- I zawsze zachowywał się w ten sposób?

- Nie, atakuje mnie dopiero teraz, po mrocznym darze, łącząc się ze mną tak jak ja z ofiarą. Chodzi mu o mroczną krew. To wymuszona wymiana. Wampirza krew to zapłata za wspomnienia. Chce dać mi do zrozumienia, że zachował te wspomnienia z czasów, gdy go widziałem, i widząc, dodawałem mu energii. Zanim jeszcze nauczyłem się mówić.

Lestat usiadł po przeciwnej stronie stołu i na ułamek sekundy ogarnął mnie przesądny lęk: wyobraziłem sobie, że siedząc tyłem do

otwartych drzwi, wystawia się na atak. Podeszedłem do drzwi, zamknąłem je i wracając, wypiąłem komputer z gniazdka. Spytałem Lestata, czy mógłbym przestawić krzesła. Kiedy chciałem to zrobić, złapał mnie za rękę.

- Cierpliwości, braciszku - powiedział. - Ten stwór pozbawił cię resztek zdrowego rozsądku.

Znów usiedliśmy naprzeciwko siebie, Lestat tyłem do frontu domu, ja - do sypialni.

- On chce zostać łowcą krwi, nie rozumiesz? - powiedziałem. - Gdy myślę o nim i o tym, co może zrobić, ogarnia mnie paniczny lęk. -

Podniosłem wzrok, by sprawdzić, czy żarówki mrugają. Nie. Spojrzałem na komputer, by sprawdzić, czy ekran jest pusty. Tak.

- Nie może zostać łowcą krwi - powiedział ze spokojem Lestat. -

Przestań się telepać, Quinn. Spójrz mi w oczy. Teraz ja jestem tu z tobą.

Jestem, żeby ci pomóc, braciszku! On przepadł i nie sądzę, żeby chciało mu się wracać zaraz po tym, jak go przysmażyłem.

- Ale czy czuje fizyczny ból? - spytałem.

- Oczywiście, że czuje. Czuje krew i rozkosz, prawda?

- Nie wiem - plotłem dalej. - Och, mam nadzieję, że się nie mylisz. -

Zbierało mi się na płacz. „Braciszek”. Uwielbiałem to słowo, było mi tak drogie, tak słodkie jak „syneczek” w ustach ciotki.

- Weź się w garść, Quinn - rozkazał Lestat. - Zaraz się rozmażesz na moich oczach. - Uściskał mi ręce. Czulem twardość jego ciała. Poznałem, przynajmniej po części, jego siłę. Okazywał mi jednak łagodność, jego

skóra była jedwabista w dotyku, a w oczach miał samą dobroć.

- A co z opowieścią o pierwszych wampirach, tą z „Kronik”? -

spytałem. - O tym, że byli ludźmi, dopóki nie wszedł w nich duch? Co zrobić, żeby to się nie powtórzyło?

- Z tego, co wiem, nigdy więcej się nie powtórzyło - powiedział Lestat

- a mówimy teraz o wydarzeniach sprzed tysięcy lat, o epoce przed

starożytnym Egiptem. Wielu łowców krwi, jak ich nazywasz, było

duchami i wielu było ludźmi. Tak naprawdę wiemy niewiele więcej poza

tym, co mówią nam stare posłania. Był potężny duch i wstąpił w swojego

karmiciela, człowieka, któremu zadano śmiertelne rany. Czy myślisz, że

twój Goblin ma dość sprytu i mocy, aby dokonać tak doskonałego

połączenia?

Musiałem przyznać, że to nie wydaje mi się możliwe.

- Ale kto by pomyślał, że będzie zdolny pić ze mnie? - spytałem. - Kto

by pomyślał, że zdobędzie się na taki wyczyn? W noc, w którą zostałem

stworzony, mój stwórca powiedział, że Goblin mnie porzuci, że duchy mają

awersję do łowców krwi i niebawem się przekonam, że zostałem sam.

„Koniec z twoimi upiornymi koleżkami”, powiedział. Zgryźliwie

powiedział. Bo wiesz, nie mógł ich zobaczyć. Och, co to był za demon!

Lestat skinął głową. Patrzył na mnie bez słowa, ale ze współczuciem.

- Zasadniczo tak jest - powiedział. - Duchy zawsze unikają

krwiopijców, jakbyśmy budzili w nich przerażenie. To zrozumiałe, chociaż

nie potrafię tego do końca wytłumaczyć. Wiesz, nie zawsze tak jest. Wiele

wampirów widzi duchy, chociaż muszę otwarcie przyznać, że ja do nich nie

należę. Zdarzyło mi się tylko parę naprawdę wyjątkowych sytuacji.

- Chcesz powiedzieć, że tak naprawdę nie widzisz Goblina -

zasugerowałem.

- Powiedziałem ci wcześniej, że go nie widzę - rzekł cierpliwie Lestat. -

Nie widzę go, dopóki nie napije się krwi. Krew, wypełniając go, ujawnia zarys postaci. Tak było tym razem i wiedziałem, gdzie skierować ogień. Co będzie, gdy znowu cię zaatakuje? Nie wydaje mi się, żeby te płomyczki mogły cię spalić. Są zbyt wątłe. Na wszelki wypadek użyję innej mocy, gdyby się znów zjawił, mocy, którą ty również posiadasz, daru umysłu, jak go niektórzy nazywają. Nie zamierzam odczytywać jego myśli, ale będę go odpychał, odrzucał, działając na odległość, aż osłabnie, ulegnie mi i zostanie zmuszony do ucieczki.

- Jak można odepchnąć coś niematerialnego? - spytałem.

- On jest materialny - poprawił mnie Lestat. - Jest zbudowany z substancji, której nie znamy. Pomyśl trzeźwo.

Skinąłem głową.

- Już próbowałem go odepchnąć - wyznałem. - Ale wtedy coś się dzieje, coś w mojej głowie, on wstępuje we mnie, i czuję tętnienie rozkoszy, grzesznej rozkoszy, gdy on i ja jesteśmy razem, czuję dreszcze w całym ciele i w duszy, nabierają zniewalającego rytmu, potężnego rytmu, i jestem jego sługą. - Kiedy to mówiłem, poczułem, jak ogarnia mnie rozkoszne odrętwienie, ostatni błędzący dygot zjednoczenia. Spojrzałem na ręce. Wszystkie ranki zniknęły. Dotknąłem twarzy i znów ujrzałem wspomnienia. Czulem obecność Goblina, łączące nas tajemnice i zależność,

z której nie potrafiłem się otrząsnąć. - On staje się moim wampirem.

Jestem jego posiłkiem, wżera się we mnie. Jestem... tak, jestem jego niewolnikiem.

- Niewolnikiem, który chce się pozbyć swojego pana - rzekł z

namysłem Lestat. - Czy ta grzeszna rozkosz przybiera na sile z każdym atakiem?

- Tak, tak, właśnie - wyznałem. - Były lata, ważne lata w moim życiu,

kiedy był moim jedynym przyjacielem. Jeszcze przed zjawieniem się Nasha Penfielda. Zanim pojawiła się moja nauczycielka, Lynelle. A nawet potem,

gdy tu była, ja i Goblin zawsze trzymaliśmy się razem. Kiedy ktoś nie

tolerował moich rozmów z nim, zaczynała się walka. Patsy nie cierpiała

naszych kontaktów. Patsy to moja matka, pamiętasz? Czasem to

prowadziło do autentycznej komedii, ale nie dało się jej uniknąć. Patsy

tupała i wrzeszczała: „Jak nie przestaniesz gadać z tym cholernym

duchem, to ja się wynoszę!” Ciotka była natomiast idealna, cierpliwa, tak

cierpliwa, że mógłbym przysiąc, że czasem sama widziała Goblina, chociaż

się do tego nie przyzna.

- Czemu się nie przyzna? - spytał.

- Oni wszyscy myśleli, że Goblin mi szkodzi, nie rozumiesz? Wszyscy

myśleli, że nie powinni tego popierać, nie rozumiesz? To dlatego byli

przeciwni moim kontaktom z Talamaską. Myśleli, że Stirling i Talamaską

będą podsycać tę godną potępienia zdolność widzenia duchów i zjaw, tak

więc, jeśli ktoś z nich widział Goblina, jeśli dziadkowie go widzieli, nie

przyznawali się do tego.

Lestat zastanowił się przez chwilę. Kolejny raz zwróciłem uwagę na różnicę między jego oczami. Staralem się o tym nie myśleć, ale nie mogłem się pozbyć wrażenia, że jego jedno oko jest nieco jaśniejsze niż drugie i na pewno przekrwione.

- Myślę, że nadszedł czas, abym przeczytał twój list, nie sądzisz? - rzekł.

- Zapewne. - Tylko tyle potrafiłem powiedzieć.

Wyjął kopertę z kieszeni surduta i rozerwał ją. Onyksowa kamea wypadła mu na dłoń. Uśmiechnął się na jej widok. Spojrzał szybko na mnie, na nią, po czym delikatnie przetarł kciukiem kamień.

- Mogę to zatrzymać? - spytał.

- To mój prezent dla ciebie, jeśli ci się podoba - powiedziałem. - Tak, dla ciebie. Postanowiłem ci ją dać, gdy myślałem, że nigdy nie spotkamy się osobiście. Zatrzymaj ją. Przyznaję, że zamówiłem ją z myślą o ciotce, ale po tym, jak otrzymałem mroczną krew, zrezygnowałem z tego zamiaru. Nie wiem, czemu tyle o tym gadam. Będę zaszczycony, jeśli zechcesz ją zatrzymać. Jest twoja.

Wsunął ją do bocznej kieszeni surduta, a potem otworzył list i przeczytał go uważnie, tak przynajmniej mi się wydawało.

Czytał moją prośbę o pomoc w zniszczeniu Goblina, błaganie o wyrozumiałość, gdyż w moich poszukiwaniach byłem gotów przybyć do Nowego Orleanu, lekceważąc jego zakazy, sprawozdanie z tego, jak poznałem i pokochałem Talamaskę, wyznanie, które teraz wycisnęło mi krew na policzki, gdy pomyślałem o Stirlingu, i o tym, czego byłem bliski

zaledwie tej nocy. Czytał o mojej miłości do ciotki i pragnieniu pożegnania się z nią, gdyby zdecydował się ukarać mnie śmiercią za złamanie ustanowionych przez niego zasad.

Zdałem sobie sprawę, że w taki czy inny sposób już dowiedział się o wielu rzeczach wymienionych w liście i że jest on tylko ich pisemnym potwierdzeniem.

Starannie złożył kartki, raz i drugi, po czym wsunął je do kieszeni, jakby chciał je zatrzymać, chociaż nie miałem pojęcia po co. Kopertę zostawił na stole. Długą chwilę przyglądał mi się w milczeniu - szczerość i wyrozumiałość, które towarzyszyły temu spojrzeniu, idealnie pasowały do jego twarzy - po czym rzekł:

- Wiesz, byłem na tropie Olivera Stirlinga, gdy na ciebie trafiłem.

Wiedziałem, że mnie nachodzi - zrobił to nie raz - i uznałem, że czas dobrać mu się do skóry. Nie byłem pewien, jak to zrobię, wiedziałem tylko, że się ujawnię, i ni stąd, ni zowąd trafiłem na ciebie, gdy dobierałeś się do pana Olivera w sposób ostateczny. Co prawda miałeś w głowie mętlik, ale udało mi się dowiedzieć, po co przyszedłeś.

Skinąłem głową i dodałem pośpiesznie:

- Nie miał żadnych złych zamiarów, sam widzisz. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem ci wdzięczny za to, że mnie powstrzymałeś.

Chyba bym nie przeżył, gdybym go zabił. Na pewno nie. To byłby koniec.

Przeraża mnie moja niezdarność, tak zamordować... Musisz wiedzieć, że nie miał złych zamiarów wobec żadnego z nas...

- O, tak, teraz mało ze skóry nie wyskoczysz, żeby go ratować. Już się

nie przejmuj. Atakowanie Talamaski jest zabronione, powiedziałem ci.

Poza tym zrobiłem to, na czym im zależało, nie rozumiesz?

- Tak, pokazałeś się jednemu z nich, porozmawiałeś z nim. - Zgadza się i będą to przeżuwać, będą pisać listy do starszych, a doskonale wiem, że nie mogą zrobić nam nic złego. A on i jego poplecznicy nie zjawią się tutaj, żeby cię szukać. Są honorowi jak jasna cholera. Muszę cię jednak o coś zapytać, bo może nie doceniasz ich jak należy. Czy za dnia leżysz w dobrej kryjówce?

- Bardzo dobrej - powiedziałem szybko. - Na Wyspie Słodkiego

Czarta. Nie wyobrażam sobie, że mogliby ją znaleźć. Ale masz zupełną rację, Stirling spełni obietnicę i nie przyjedzie mnie szukać. Wierzę mu święcie. To dlatego czuję się tak upiornie. Mało go nie skrzywdziłem, mało nie odebrałem mu życia.

- I doprowadziłbyś rzecz do końca? - spytał. - Nie panujesz nad sobą, kiedy raz zaczniesz?

- Nie wiem, na ile nad sobą panuję. - Byłem jedną kupką nieszczęścia.

- W noc, w którą mnie stworzono, popełniłem błąd, zabrałem życie niewinnej istocie...

- W takim razie to był błąd twój twórcy - odparł ostro. -

Powinien być z tobą, uczyć cię.

Kiwnąłem głową.

- Pozwól mi marzyć, że puściłbym wolno Stirlinga. Rzecz nie w tym, że się go bałem, bo dowiedział się o mnie. Chciałem jego śmierci, bo byłem głodny. Nie jestem pewien, co by się stało. Walczył ze mną elegancją

umysłu. To jego cecha, elegancja umysłu. Tak, myślę, że odebrałbym mu życie. To, że go kochałem, tylko doprowadzało mnie do jeszcze większego obłędu. Byłbym potępiony na zawsze i znalazłbym sposób, aby zaraz skończyć z sobą. Jestem potępiony za to, że prawie to zrobiłem. Jestem potępiony za wszystko. Żyję... żyję na dnię rozpacz.

- Jakże to? O co ci chodzi? - zapytał, ale nie był zaskoczony tym, co powiedziałem.

- Czuję się tak, jakbym wiecznie przeżywał ostatni rytuał albo dyktował moją ostatnią wolę. Umarłem tej nocy, w którą mój stwórca przeprowadził mnie na drugą stronę; jestem jak jeden z tych żalonych duchów z Blackwood, które nawet nie wiedzą, czy żyją. Nie mogę wrócić do życia.

Skinął głową, unosząc brew.

- No cóż, wiesz, taki stan wróży dłuższą egzystencję niż nieogłędne i nie liczące się z niczym zachowanie.

- Nie, nie wiedziałem - odparłem szybko. - Wiem tyle, że ty tu jesteś i pomogłeś mi z Goblinem. Rozumiesz, na co go stać. Rozumiesz, że Goblin musi zostać... musi zostać zniszczony. I może ja też.

- Nawet nie masz pojęcia, jakie bzdury opowiadasz - odparł ze spokojem. - Wcale nie chcesz zostać zniszczony. Chcesz istnieć wiecznie. Po prostu tylko nie chcesz zabijać, żeby przetrwać, to wszystko.

Poczułem, że zaraz się rozplaczę. Wyjąłem chusteczkę i otarłem oczy, wysiakałem nos. Nie ukrywałem swojego stanu, nie odwróciłem się. To byłoby tchórzostwo. Ale opuściłem wzrok i gdy go znów podniosłem,

pomyślałem, że siedzę w towarzystwie powalająco pięknej istoty.

Już same oczy Lestata były niesamowite, jego uroda wszakże nie ograniczała się tylko do nich, miał gęste jasne włosy, doskonale ukształtowane usta, tchnął mądrością i inteligencją. W świetle lampy wyglądał jak prawdziwe bożyszcze i patrząc na niego, czułem się wyniesiony poza czas i przestrzeń, rozkoszowałem się jego urodą, a on jakby nie mógł lub nie chciał wiedzieć, że jest obiektem mojej admiracji.

- Ach ty moja beczasowa istoto - powiedział łagodnym, silnym głosem, bez cienia nagany. - Widzę cię tu w wybornym otoczeniu zwierciadeł i złota, miłości ludzi i godnej tradycji, a równocześnie w istocie odartego ze wszystkiego, co piękne i dobre, okradzionego przez jakiegoś nie dbającego o nic demona, który cię osierocił i skazał na udręki... nie, na tortury... osadzając wśród śmiertelnych, których nadal rozpaczliwie potrzebujesz.

- Nie - wyznałem. - Uciekłem mojemu stwórcy. Szukałem jednak ciebie i teraz cię mam, chociażby na jedną noc. Kocham cię, kocham tak szczerze, jak kocham ciotkę Queen i Nasha, I Goblina. Tak, kocham cię tak bardzo jak Goblina. Wybacz, nie Potrafiłem się powstrzymać.

- Nie ma co wybaczać - powiedział Lestat. - W twojej głowie wrowi się od obrazów. Migają mi, przeblyskują, kiedy się tłoczą, starając się ułożyć w jakiś spójny ciąg. Tak więc musisz mi wszystko opowiedzieć, musisz mi opowiedzieć całe swoje życie, nawet to, co wydaje ci się nieważne.

Opowiedz mi wszystko. Niech to wypłynie z ciebie, a wtedy ustalimy, co należy zrobić z Goblinem.

- A ze mną? - spytałem. Byłem w uniesieniu. Byłem oszalały. - Czy

ustalimy, co należy zrobić ze mną?

- Nie snuj takich przerażających wizji, braciszku - powiedział z

nieskończoną dobrocią. - Najgorsze, co mógłbym ci zrobić, to cię zostawić,

zniknąć ci z oczu, jakbyśmy nigdy się nie widzieli. I teraz nie myślę o

niczym takim. Myślę raczej o tym, żeby cię poznać, że mi się podobasz i

zaczynam cię cenić, doceniam blask twojego sumienia. Powiedz, czy już cię

nie zawiodłem? Teraz z pewnością nie wydaję ci się takim bohaterem, za

jakiego mnie brałeś.

- Co? - spytałem zdumiony. - Jesteś tu, jesteś ze mną. Uratowałeś

Stirlinga. Powstrzymałeś katastrofę.

- Nie potrafiłem zniszczyć twojego ohydneho fantomu - powiedział,

wzruszając z wdziękiem ramionami. - Nawet nie potrafię go zobaczyć, a

liczyłeś na mnie. Ciskając zaś w niego ogniem, użyłem całej swojej siły.

- Och, ale dopiero co zaczęliśmy - odparłem. - Pomożesz mi i

poradzimy sobie z nim, prawda? Razem zrozumiemy, o co w tym

wszystkim chodzi.

- Tak, to właśnie zrobimy - odparł. - Ta istota jest wystarczająco

silna, aby zagrozić innym, co do tego nie ma wątpliwości. Jeśli potrafi

pokonać ciebie, tak jak to zrobiła, potrafi też atakować innych - tyle mogę

powiedzieć. Podlega jednak prawu grawitacji, co dobrze wróży naszym

zamiarom.

- Co masz na myśli? - spytałem.

- Kiedy z ciebie wyszła, nastąpił ruch powietrza - wytłumaczył. - Jest

materialna. Mówiłem ci. W jakiś sposób jest uzależniona od materialnego świata. Zapewne wszystkie duchy są zbudowane z materii. Są tacy, którzy wiedzą o tym więcej niż ja. Kiedyś spotkałem ducha człowieka, rozmawiałem z duchem człowieka, spędziłem godzinę z duchem i przerażał mnie do obłędu.

- Tak - odparłem - to był Roger, prawda? Ten, który przybył do ciebie w „Kronice” Diabeł Memnoch. Czytałem o waszej rozmowie, o tym, jak cię przekonał, abyś zaopiekował się jego śmiertelną córką, Dorą.

Przeczytałem każde słowo. Uwierzyłem w nie. Wierzę, że widziałeś Rogera, że byłeś w niebiosach i w piekle.

- Ach, musisz wierzyć - powiedział. - Nigdy nie skłamałem na tamtych stronach, chociaż ktoś inny je podyktował. Byłem u diabła Memnocha, chociaż nadal nie wiem, kim był naprawdę, diabłem czy figlarnym duchem. - Przerwał. - Widzę, że zauważyłeś różnicę między moimi oczami.

- Przepraszam, nie potrafiłem się oprzeć - odparłem szybko. - To wcale cię nie szpeci.

Zbył przeprosiny machnięciem ręki i miłym uśmiechem.

- Prawe oko zostało mi wydarte tak, jak to opisałem - powiedział. -

Zrobiły to duchy, które udaremniły moją ucieczkę z piekła Memnocha.

Zostało mi zwrócone tu, na ziemi, i czasem mam wrażenie, że widzi dziwne stworzenia.

- Jakie dziwne stworzenia? - spytałem.

- Anioły - rzekł w zamyśleniu - albo te stworzenia, które nazywają

siebie aniołami czy też chciałyby mnie przekonać, że są aniołami.

Przybywały do mnie długie lata po tym, jak uciekłem Memnochowi.

Zjawiały się u mnie, gdy leżałem jak uśpiony na posadzce kaplicy pod wezwaniem Świętej Elżbiety, tego budynku w Nowym Orleanie, który został mi przekazany w spadku przez córkę Rogera. Wygląda na to, że moje ukradzione oko, moje przywrócone oko, moje nabiegłe krwią oko to ogniwo łączące mnie z tymi istotami, i mógłbym ci o nich opowiedzieć nie lada historię, ale teraz nie czas na nią.

- Skrzywdziły cię, prawda? - spytałem, wyczuwając to w jego zachowaniu.

Skinął głową.

- Podrzuciły moje ciało do kaplicy, żeby moi przyjaciele go pilnowali

- wytłumaczył i po raz pierwszy, odkąd się spotkaliśmy, wyglądał na wzburzonego, niezdecydowanego, wręcz zbitego z tropu - ale zabrały z sobą mojego ducha. I w królestwie tak namacalnym jak ten pokój przymuszały mnie, abym czynił wedle ich woli, grożąc mi, że jeśli ich nie wysłucham, na zawsze pozbawią mnie oka.

- Zawahał się, kręcąc głową. - Myślę, że właśnie to oko - ciągnął - to oko dawało im władzę nade mną, możliwość osiągnięcia mnie w tamtym królestwie i ujęcia w niewolę - to sprawa oka, ukradzionego w innym dominium, a potem zwróconego na ziemi oczodołowi, któremu sprawiedliwie się należało. Można by powiedzieć, że gdy patrzyły w dół ze swych wyniosłych niebios, jeśli to były niebiosy, widziały to jasne, lśniące oko przez mgły ziemi. - Westchnął, jakby ogarnięty nagłą rozpaczą.

Spojrzał na mnie badawczo. - To zranione oko, to wydarte oko -

kontynuował - było kompasem, który nakierował je na mnie, ich prawdziwą bramą między dominiami, i zeszyły na dół, wbrew mojej woli wzywając mojego ducha na swoje usługi.

- Dokąd cię zabrały? Co ci zrobiły?

- Och, gdybym tylko wiedział, że to były istoty niebiańskie -

powiedział cichym, nabrzmiiałym od emocji głosem. - Gdybym tylko wiedział, że diabeł Memnoch i ci, którzy mu służyli, pokazali mi prawdę!

Wszystko ułożyłoby się inaczej i jakoś uratowałbym swoją duszę!

- Ale nie wiesz. Nigdy cię nie przekonali - powiedziałem z naciskiem.

- Jak mogę pogodzić się ze światem pełnym niesprawiedliwości, a zaplanowanym wedle ich wzniosłych wskazówek? - Kolejny raz pokręcił głową, uniósł ją, opuścił, jakby szukał czegoś, na czym mógłby skupić

wzrok, i znów skierował go na mnie. - Nie mogę zaakceptować w całości wszystkiego, czego dowiedziałem się od Memnocha - podjął na nowo - i od

tych, którzy zjawili się potem. Nigdy nie opowiedziałem nikomu o mojej ostatniej duchowej wyprawie, chociaż inni, krwiopijcy, którzy mnie

kochają - wiesz, moja pożądliva banda kochana, tak ich teraz nazywam: banda kochana - wiedzą, że coś się wydarzyło, aż za dobrze to wyczuwają.

Nawet nie wiem, które moje ciało jest prawdziwe - to, które leży na posadzce Świętej Elżbiety, czy też to, które się włóczy z tak zwanymi aniołami. Byłem nieświadomym przemytnikiem wiedzy i iluzji - Opowieść o mojej ostatniej wyprawie, mojej tajnej, nieznannej światu wyprawie, wyprawie, z której nie zwierzyłem się nikomu, ciąży na mojej duszy,

jakbym miał wydać moje duchowe tchnienie.

- Możesz mi teraz opowiedzieć o tej wyprawie? - spytałem.

Na jego twarzy ukazał się wyraz takiego poniżenia, takiej słabości i cierpienia, że pomyślałem, iż musi być istotą o niezwykłej mocy, skoro go stać na taką otwartość.

- Nie - powiedział. - Brak mi jeszcze siły, aby ujawnić tę opowieść, taka jest najzwyczajniejsza prawda. - Wzruszył ramionami, pokręcił głową i ciągnął: - Potrzeba mi czegoś więcej niż siły. Potrzebuję odwagi do tej spowiedzi, a w tej chwili moje serce jest rozgrzane twoją obecnością. Tak, masz mi coś do opowiedzenia lub też mamy coś wspólnie do przeżycia. W tej chwili moje łakome serce jest przykute do ciebie.

Byłem obezwładniony. Plakałem jak słabe niemowlę. Wytarłem nos i starałem się zachować spokój. Żywa krew na chusteczce. Żywe ciało. Żywy umysł. Błysk jego skierowanych na mnie oczu. Fiołkowych.

- Powinienem uwierzyć w mój szczęśliwy los - powiedziałem - i nie kwestionować go, ale nie mogę się oprzeć. Co cię powstrzymuje przed zniszczeniem mnie, ukaraniem za to, że wdarłem się do twojego domu, za to, co zrobiłem Stirlingowi? Muszę wiedzieć.

- Czemu musisz wiedzieć? - spytał, śmiejąc się łagodnie. - Czemu to takie ważne?

Pokręciłem głową, wzruszyłem ramionami. Znow otarłem oczy.

- Czy to próżność z mojej strony, domagać się odpowiedzi na takie pytanie?

- Zapewne - odpowiedział, szczerząc zęby. - Ale czy nie powinienem

tego rozumieć? Ja, najbardziej próżna ze wszystkich istota? - Zachichotał.

- Nie widziałeś, jak puszyłem się przed twoją ciotką?

Skinąłem głową.

- W porządku - powiedział. - Oto litania powodów, które sprawiają,

że cię nie zabiję. Podobasz mi się. Podobasz mi się, bo masz kobiece rysy

twarzy i ciało mężczyzny; ciekawskie chłopięce Oczy i szerokie, leniwe

gesty mężczyzny, szczery język dziecka i głos mężczyzny, najokropniejsze

maniery i autentyczny wdzięk. - Uśmiechnął się do mnie trochę

wyzywająco i mrugnął prawym okiem, po czym mówił dalej: - Podoba mi

się to, że kochałeś Stirlinga. I podoba mi się to, że traktujesz z taką czcią i

szczerością swoją cudowną ciotkę. - Uśmiechnął się szelmowsko. - Może

nawet podoba mi się to, że padłeś na kolana i całowałeś jej stopy, chociaż

jeśliby mnie ktoś pytał, to uważam, że zdecydowałeś się na ten gest trochę

późno. Podoba mi się to, że kochasz tak wiele osób wokół siebie. Podoba mi

się to, że jesteś hojniejszy ode mnie. Podoba mi się to, że nienawidzisz

mrocznej krwi i że twój stwórca cię skrzywdził. Więc... czy to nie urocze?

Czy to nie dość? Przepelniał mnie słodki deliryczny dreszcz wdzięczności.

- Nie myśl, że jestem tu z dobrego serca - ciągnął z nieco większym

żarem w głosie i rozwierając szerzej powieki - bo to nieprawda. Potrzebuję

cię, inaczej by mnie tu nie było. Potrzebuję tego, żeby być ci potrzebnym.

Potrzebuję twojej pomocy, jak najdosłowniej. Chodź, braciszku,

zaprowadź mnie daleko w głąb swojego świata.

- Mojego świata - szepnąłem.

- Tak, braciszku. Ruszajmy dalej razem. Opowiedz mi historię, którą

odziedziczyłeś, i życie, które przeżyłeś. Opowiedz mi o paskudnym i zniewalającym Goblinie i o tym, jak zdobył twoją siłę. Chcę usłyszeć wszystko.

- Jestem w tobie zakochany - odpowiedziałem na to. Roześmiał się swoim najbardziej uwodzicielskim i łagodnym śmiechem.

- Oczywiście, nie masz wyjścia - odparł. - Rozumiem to doskonale, bo sam jestem w sobie zakochany. Potrzebuję niebywalej samodyscypliny, aby nie zamrzeć w zachwycie przed pierwszym lepszym lustrem, które mi się trafi.

Teraz na mnie przyszła kolej się roześmiać.

- A że mnie kochasz, musisz mi opowiedzieć o sobie i o Blackwood.

Zacznij od historii rodziny i przejdź do swojej.

Westchnąłem. Zebrałem siły. I dałem nura w przeszłość.

W dzieciństwie żyłem między dwoma biegunami - światem Goblina i światem dorosłych. Goblin i ja byliśmy jedynymi dziećmi na dworze Blackwood, bo turyści, którzy do nas przyjeżdżali, prawie nigdy nie zabierali ze sobą dzieci, tak więc nauczyłem się szybko słownika dorosłych i uwielbiałem bawić się w kuchni. Słuchałem ich niekończących się opowieści i kłótni lub włóczyłem się za przewodnikami - pradziadkiem Gravierem, a później dziadkiem - gdy szli przez dom, wyliczając jego bogactwa i legendy, poświęcając wiele miejsca ponurej opowieści o wspaniałym patriarsze, Manfredzie.

Pradziadek Gravier najlepiej się spisywał w tej roli, miał głęboki, dźwięczny głos i wyglądał bardzo godnie w czarnym surducie i białym jedwabnym krawacie do białej koszuli, ale był bardzo stary, kiedy byłem mały, i pojechał do szpitala, i umarł tam, chyba zanim skończyłem pięć lat, i nie pamiętam dobrze jego pogrzebu. Sam Gravier wywarł na mnie jednak niezatarte wrażenie.

Od razu stał się sławnym rodzinnym duchem, co zawdzięczał tylko i wyłącznie mnie, jako że pewnego dnia zszedłem na dół i zobaczyłem go stojącego przed drzwiami wejściowymi. Uśmiechał się do mnie łagodnie i machał mi ręką. Potem prawie natychmiast zniknął.

Wszyscy mi mówili, żebym przestał opowiadać takie historie, pradziadek Gravier jest w niebie i przecież na pewno o tym wiem, i powinniśmy mu zapalić świeczkę przed kuchennym ołtarzykiem

Najświętszej Marii Panny, co zrobiliśmy, dokładając kolejną do kilkunastu innych, tak że paliły się tam zupełnie jak w jakiejś chińskiej pralni. I co więcej, mówiono mi, że nie powinienem tak straszyć ludzi.

Niemniej jednak każdy oprowadzający opowiadał każdej turze gości na dworze Blackwood, że pokazał mi się pradziadek Gravier, a tamci chętnie płacili za tę historyjkę.

Dziadek, jedyny syn Gravier, z entuzjazmem przejął obowiązki przewodnika po śmierci Gravier i chociaż wyrażał się o wiele prościej i był nieco szorstki w obejściu, to jednak okazał się znakomitym opowiadaczem.

Gravier miał na swoim koncie wiele osiągnięć, prowadził przez lata praktykę adwokacką, a nawet był miejscowym sędzią. Ale dziadek był przede wszystkim posiadaczem ziemskim, którego ambicje nie wykraczały poza dwór Blackwood, chociaż jeśli to oznaczało, że ma oprowadzać gości, oprowadzał ich.

Czasem powoływano pod broń babunię, całkowicie wbrew jej woli, jako że zawsze była unurzana po łokcie w mące i proszku do pieczenia, ale знаła wszystkie rodzinne legendy i chociaż była zażywna, ślicznie wyglądała w znakomicie uszytej czarnej gabardynowej sukience, z bukietkiem purpurowych orchidei na lewej piersi i w naszyjniku z perel.

Była jedną z tych kobiet, które właśnie dzięki skłonności do tycia zachowują do końca swoich dni gładką cerę, bez jednej zmarszczki.

Korzystano też z pomocy Jasmine, naszej ukochanej murzyńskiej gosposi, którą poznałeś, a która potrafiła w mgnieniu oka rzucić

kuchenny fartuch i wbić się w małą czarną i bluzkę w panterkę, a do tego szpilki, z których ciotka Queen byłaby dumna, i oprowadzała każdego po pokojach, z gracją wzbogacając koktajl opowieści wstawkami o tym, jak to sama widziała ducha swojego prapradziadka Williama w jego sypialni, która była na prawo, patrząc od frontu, lub po przeciwnej stronie holu, patrząc od nas, jak też ducha mojej ciotecznej prapraprabki Camille, idącego na paluszkach na strych.

Nie wiem, czy zauważyłeś, jak dobrze Jasmine wyglądała w tej czerwonej obcisłej sukience, ale ma figurę modelki, jest chuda jak szczapa, szeroka w ramionach i dysponując całym szafami ciuchów po ciotce Queen, znakomicie wypada w roli przewodniczki, jej bladozielone oczy dosłownie płoną, gdy z przyjęciem snuje opowieści o duchach, wzdycha przed portretami lub prowadzi przejętych, zasluchanych gości na strych.

To był znakomity pomysł Jasmine, włączyć strych do zwykłej tury.

Zabierała gości na samą górę i mogli wciągnąć w płuca cudowny zapach rozgrzanych krokwi, zobaczyć stare kufry podróżne, niektóre otwarte, pełne futer i pereł, jak rekwizyty z Tramwaju zwanego Pożądaniem, i wiklinowy fotel na kółkach, w którym prapradziadek William spędził swoje ostatnie dni na dworze. Zanim sam przekopałem się przez strych, co kiedyś musiało nastąpić, wydawał mi się dzikimi ostępami, pełnymi rzadkich, antycznych wiklinowych mebli, z których każdy był ośrodkiem jakiejś opowieści.

Wróćmy jednak do spraw ogólnych.

Goście hotelowi zapewniaли mi towarzystwo i inspirację, gdyż byli

przeważnie przyjacielscy i interesujący - zwykle uważam większość ludzi za interesujących, aż coś się wydarzy i udowodni mi, że tak nie jest - i często zapraszali mnie do swoich pokoi lub do wielkiego stołu, przy którym jedli śniadanie, i chcieli rozmawiać o dworze, jak pretensjonalnie go nazywaliśmy, a ja się do nich garnąłem. Goblin też uważał ich za interesujących, bo gdy mówiłem o nim lub z nim, a robiłem to na okrągło, goście uważali Goblina za najbardziej intrygujące stworzenie na świecie. „Więc masz za przyjaciela małego duszka!”, powiedziała triumfalnie jedna z turystek, jakby odkryła zakopane złoto Konfederacji. „Opowiedz nam o swoim duszku”, poprosił inny turysta i gdy pieściłem lub drapałem Goblina, mówiąc o nim, był naprawdę przeszczęśliwy. Od dawna potrafił się ukazywać w cielesnej postaci, a stawał się przezroczysty i rozpływał zupełnie w powietrzu tylko wtedy, kiedy musiał, co zresztą napawało go smutkiem.

Nie spisałbym się lepiej, gdybym był wynajętym artystą, którego jedynym zadaniem jest powiększać aurę tajemniczości wokół Blackwood. I uwielbiałem to. A jak mówiłem, goście dodawali swoje z własnej i nieprzymuszonej woli, widzieli patriarchę Manfreda patrzącego ponuro z lustra lub słodką Virginie Lee snującą się po pokojach w poszukiwaniu osieroconych dzieci.

To był elementarz, z którego się uczyłem, te niekończące się barwne opowieści, z których utkana jest historia naszego domu, i uczyłem się od dorosłych, jak myślą i czują dorośli, a Goblin łatwo dawał sobie radę, dopasowując się do każdych okoliczności. Wcześniej zacząłem się uważać

za osobę równie wybitną i niezależną jak patriarcha naszego rodu.

Manfred przybył w te strony w roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym pierwszym, wraz ze swoją poślubioną krótko wcześniej żoną, Virginią Lee. Zaczynał jako zarządca baru w Irish Channel - dzielnicy Nowego Orleanu, a dorobił się fortuny, prowadząc handel w całym mieście. Ponieważ jednak nie udało mu się znaleźć tam domu, który odpowiadałby jego wizjom wielkości, udał się na północną stronę jeziora Pontchartrain, na niezamieszkane tereny.

Znalazł i wykupił obszar składający się ze wzgórza, na którym mógł zbudować bajeczny dwór z pomieszczeniami dla służby, stajniami i tarasami, ziemi na pastwiska oraz dwustoma akrami trzęsawisk, na których mógł polować. Do tego dochodził uroczy zaniedbany cmentarzyk z ruinami kościółka, pamiątka po tych, którzy dawno wymarli albo się wyprowadzili.

Manfred wysłał architektów, aby obejrzelі najładniejsze domy w Natchez i wybrali najlepsze elementy, dopilnował, aby jego dwór zbudowano w stylu klasycystycznym, sam projektując kręcone schody i malowidła na ścianach.

Wszystko to robił z miłości do Virginii Lee, która szczególnym uczuciem darzyła cmentarzyk i czasami chodziła do opuszczonego kościoła modlić się.

Cztery dęby, które strzegą cmentarza, już wtedy miały słuszną wysokość, a pobliskie mokradła z wyciągającymi chciwe konary koszmarnymi cyprysami i niekończącymi się kłębowiskami oplątwy,

hiszpańskiego mchu, potęgowały i potęgują ogólny nastrój melancholii.

Virginia Lee nie była jednak głupiutką wiktoriańską dziewczuszką.

Była wykształconą pielęgniarzką i z oddaniem zajmowała się Manfredem w nowoorleańskim szpitalu, gdzie leżał złożony żółtą febrą i mało nie umarł na tę chorobę, co zresztą spotkało wielu Irlandczyków. Z wielkimi oporami zrezygnowała ze swojego powołania, opieki nad chorymi, ale Manfred, który był od niej dużo starszy i bardzo wymowny, zdołał ją przekonać.

To dla niej kazał zamówić swój portret, który teraz wisi w holu, i o ile wiem, zawsze wisiał. Liczył sobie czterdzieści lat, gdy został sportretowany, ale już pod pewnymi względami przypominał buldoga: miał wydatną szczękę, zadarte nieczule usta i szeroko rozstawione, smutne niebieskie oczy. Już wtedy, około roku osiemdziesiątego piątego, miał siwe włosy, ale nie utracił ich - podczas tamtego dziwnego spotkania czterdzieści lat później, gdy wręczył ciotce Queen kamee, zanim zniknął na bagnach, wciąż miał bujną grzywę.

Na tym portrecie nie wygląda na potwora. Prawdę mówiąc, zawsze robił na mnie dziwnie pociągające wrażenie, gdyż musiał być człowiekiem wyzbytym próżności, skoro pozwolił, aby tak prawdziwy obraz jego osoby zawisł w jego domu.

Virginia Lee była niewątpliwie piękna, co potwierdza jej portret w jadalni. Widziałeś tę kobietę o dziewczęcej urodzie, jasnoblonde włosach i bławatkowych oczach. Podobno miała żywe poczucie humoru i zawsze czujny, chociaż łagodny zmysł ironii, i kochała bez pamięci swoje dzieci, Williama i Camille. Nigdy też nie zapomniała o tych, które zmarły na tęzec

i influencę, Isabel i Philipie.

Galopujące suchoty i malaria zabrały Victorię Lee, ale stawiała im dzielnie opór, sama ubierając się każdego dnia, również w niedzielę, w którą zgasła, wcześniej prowadząc żywą konwersację, jak zawsze wesola, tryskająca autoironicznym humorem, gdy leżała na sofie w salonie.

Wyzionęła ducha koło południa. Pochowano ją w niebieskiej sukni, którą nosi na portrecie. I jeśli nasza rodzina ma swoją świętą, to jest nią Virginia Lee. Nie wstydzę się do niej modlić.

Mówiło się, że gdy Virginia Lee zmarła, Manfred popadł w obłąkanie.

Wył i bełkotał. Nie mogąc znieść widoku jej grobu na cmentarzyku - a poza tym chyba prawo zabraniało pochówków tak blisko domu - kupił duży rodzinny grobowiec na cmentarzu Metairie w Nowym Orleanie i członkowie naszej rodziny są tam chowani po dziś dzień.

Widziałem to mauzoleum dwa razy - gdy chowano babunię i dziadka.

Sądzę, że mała Isabel i Philip też zostali tam przeniesieni z miejsca, w którym ich pochowano, ale szczerze mówiąc, nigdy o to nie zapytałem.

Nasze rodzinne mauzoleum to prostokątna kapliczka z marmuru i granitu. Dwa wysokie na pięć stóp granitowe anioły strzegą krat z brązu.

Z tyłu jest witrażowe okienko. Po obu stronach wąskiego przejścia są trzy stanowiska.

Pewnie wiesz, jak funkcjonują takie groby. Zapelnia się je trumnami, a gdy wszystkie stanowiska zostaną zajęte i ktoś umiera, otwiera się najstarszą trumnę, prochy wrzuca do podziemnej komory, a trumnę niszczy i wyrzuca. Nowa trumna ląduje w honorowym miejscu nad ziemią.

Zawsze myślałem, że zostanę tam pochowany, ale teraz wygląda na to, że przeznaczenie nie pozwoli na ten luksus, a rozpoczęta kiedyś długa przygoda też nie doprowadzi mnie do tego miejsca. Kto wie? Może moje śmiertelne szczątki kiedyś spoczną w tym grobie, gdy zdobędę się na tę odwagę i zakończę życie własną ręką.

Wróćmy do Szalonego Manfreda, jak zaczęto nazywać w gminie mojego nieszczęsnego przodka, który nabrał zwyczaju wyprawiać się samotnie na Bagna Słodkiego Czarta, mrużąc i przeklinając. Bywało, że nie wracał stamtąd przez kilka dni.

Towarzyszyło temu ogólne poruszenie, bo bagna nigdy nie zostały opisane na mapach, cholerstwa były prawie nie do przepłynięcia pirogą i krążyły legendy, że polują tam niedźwiedzie, kuguary i rysie, a nawet gorsze stwory, wyjące nocą.

To, że Manfreda nieraz ugryzły żmije i przeżył, jeszcze zwiększyło jego fatalną reputację. Mówiono, że postrzelił obcego, którego wysłedził kawałek od domu, i że przywiózł go, rannego klusownika, i cisnął na brzeg, klnąc się na wszystko i ostrzegając zjadliwie fornali, że to przestroga dla każdego, kto chciałby zakraść się na jego ziemię, albo na jego mokradła.

Niebawem rozeszła się wieść, że jest tam wyspa i to na nią udaje się Manfred, mieszka w namiocie, a żywi się tym, co upoluje. Wyobraź sobie tego faceta, rozszarpującego zębami ptactwo.

Nie robił sekretu ze swojego sanktuarium, tylko znów ostrzegał, że nikomu nie wolno iść za nim do jego „leża”, jak je nazwał, groził każdemu,

kto by się tam zakradł, i przechwalał się, że już postrzelił, a nawet zabił kilka niedźwiedzi.

Plotka głosiła, że wyspa jest przeklęta i Manfred jest przeklęty, a swoje złoto zdobył nieczystym sposobem z hazardu, jeśli nie jeszcze występniejszymi sposobami, natomiast imię przywdział, wzorując się na postaci ze sztuki Byrona i sygnalizując innym wielbicielom demonów, że sprzedał duszę diabłu na długo przed tym, zanim skierował oczy na skromną i słodką Virginie Lee, i że była jego ostatnią nadzieją na zbawienie.

Jego malutkie dzieci, Williama i Camille, wychowali krewni Jasmine - zachowały się takie godne szacunku imiona jak Ora Lee i Jerome - Kreole z domieszką francuskiej krwi, potomkowie ciekawych przodków, wolnych rzemieślników sprzed wojny secesyjnej.

Dla Ory Lee i Jerome'a Manfred zbudował ten bungalow w głębi po prawej, iście kreolski budynek, z głęboką werandą, fotelami na biegunach i wygodnymi pokojami, rozlokowanymi na obu kondygnacjach.

Członkowie tego klanu od dawna zdobywają co najmniej średnie wykształcenie i pracują w wolnych zawodach, ale zawsze któryś z nich zostaje w posiadłości. Mają własne ogródki warzywne, Kwietne i jeśli chcą, mogą żyć we własnym kręgu. Kiedy byłem dzieckiem, trzymali krowę i kurczęta, ale teraz łatwiej im kupić żywność w sklepie czy na targu.

To uroczy dom, rodzaj tropikalnego dworzyszczca, pełen cennych antyków, szydełkowych robótek i robionych na miejscu mebli. Jest tam

również pełno mebli usuniętych z domu. Ciotka słynie z przemeblowań salonów i przekazywania wszystkiego Jasmine, jakby ta miała magazyn, a nie dom mieszkalny. Jej siedziba jest na ludzką skalę. Dwór Blackwood zbudowano dla „gigantów na ziemi”.

Zanim przodkowie Jasmine przybyli do Nowego Orleanu, w ich genach splotło się dziedzictwo afrykańskie, hiszpańskie, francuskie i anglosaskie, a potem wymieszało jeszcze bardziej w wyniku związków z ludźmi wszystkich ras, tak że jej bliscy mają skórę we wszystkich możliwych odcieniach żółci, czerwieni, brązu i czerni.

Jasmine wygląda jak Murzynka i ma bajeczne zielone oczy. Tleni swoje krótkie kędziorki, co w połączeniu z zielonymi tęczęwkami nadaje jej jakiś niezwykle czar.

Jej starsza siostra, Lolly, mogłaby uchodzić za Hiszpankę lub Włoszkę, a brat, Clem, ma bardzo ciemną skórę i afrykańskie rysy.

Prowadzi wóz ciotki Queen i zajmuje się naszymi samochodami, w tym czarnym porsche, które kupiłem, małpując ciebie, i myśląc o twoich przygodach opisanych w „Kronikach wampirów”.

Mała Ida, matka Jasmine, miała idealnie czarną skórę, niebywale wyraziste rysy i małe czarne oczy. W późnym wieku wyszła za mąż za białego, a gdy umarł na raka, wróciła tu z Jasmine, Lolly i Clemem. Mała Ida aż do śmierci była moją opiekunką, spała ze mną, dopóki nie skończyłem trzynastu lat, i umarła w moim łóżku.

Mówię o tym, żebyś wiedział, jak wiele zawdzięczam Jasmine, Lolly, Małej Idzie i Babie Ramonie, matce Małej Idy - nie mniej niż ciotce,

dziadkowi czy babuni. Jasmine, jak ci powiedziałem, wyczuwa zjawy na odległość i zawsze się boję, że zda sobie sprawę, że naprawdę nie jestem żywą istotą, ale jak do tej pory się nie zorientowała. A ja wpijam się w moją rodzinę jak pitbul.

Wracając do mojej opowieści, gdyby nie wspomniani Ora Lee i Jerome, William i Camille pewnie utopiliby się w dzieciństwie w mokradłach albo zaniedbani umarli z głodu.

Manfred nie miał żadnych kłopotów z opłacaniem służby, tylko ciskał garście pieniędzy do kuchennego szaflika. Jerome pilnował, aby właściciel nie został obrabowany, i zajmował się Williamem, Camille i wszystkimi robotnikami rolnymi.

W tamtych dniach hodowano kurczęta, krowy i oczywiście konie.

Kilka zgrabnych powozików stało w szopie z tyłu, obok samochodu.

Manfred nigdy jednak nie dosiadał niczego poza jednym czarnym wałachem, którego czasami wyprowadzał, by jeździć tam i z powrotem po szerokich trawnikach i pastwiskach, krzycząc, mrucząc i przeklinając do siebie.

Oświadczając

swojemu

stajennemu

(najprawdopodobniej

Jerome'owi, który doprawdy był człowiekiem do wszystkiego), że nie umrze i nie dołączy do Virginii Lee, dopóki stulecia nie miną, że będzie się błąkał po ziemi, zwodząc śmierć i czcząc pamięć zmarłej żony.

Tak głośiły rodzinne legendy, których nauczyłem się na pamięć, jak pewnie zgadujesz.

Pewnej wiosny, kilka lat po owdowieniu, Manfred ściągnął stolarzy, cieśli i rozpoczął powolny proces budowy tajemniczej Samotni na Wyspie Słodkiego Czarta.

Niewielkimi

pirogami

transportowano

samo

najlepsze,

wysezonowane drewno cyprysowe oraz inne rozliczne materiały, w tym

wielkie ilości węgla do rozpalania odlewniczego pieca, a pracowali tylko

sami zamiejscowi robotnicy, tacy, którzy mieli się wynieść po zakończeniu

budowy, co też zrobili, śmiertelnie bojąc się szepnąć choćby słowo na

temat lokalizacji wyspy lub przebiegu prac.

Czy istniała naprawdę jakaś wyspa? Czy naprawdę powstała na niej

jakaś samotnia? Kiedy dorastałem, wszyscy uważali, że to tylko legenda.

Czemu jednak nie zabierano turystów na bagna, nie szukano tajemniczej

Wyspy Słodkiego Czarta, skoro wszyscy tak bardzo chcieli ją obejrzeć? To

był charakterystyczny widok, turyści na przystani, wypatrujący oczy i

rozważający na głos wyprawę przez bagna. Ale jak powtarzano w kółko i

do znudzenia, mokradła były prawie nie do przejścia. Wszędzie wielkie

milczące cyprysy z opadającymi gałęziami, karłatki i cuchnąca woda. I

wszechobecne wycie kuguarów i niedźwiedzi. To nie żarty.

Oczywiście, dziadek i ja łowiliśmy tam ryby i urządzaliśmy polowania. W mojej chłopięcej głupocie raz ubiłem łanię i na zawsze straciłem ochotę do polowań, widząc, jak zdycha. Podczas wszystkich naszych wyczynów, do których należało również łowienie raków tuzinami, zawsze jednak trzymaliśmy się brzegu. Już z dwudziestu stóp trudno było wypatrzeć drogę powrotną.

Dziadek nie wierzył w prawdziwość legendy o Samotni na Wyspie Słodkiego Czarta i przypominał ciekawskim turystom, że gdyby nawet taki budynek został kiedyś wzniesiony, to dawno osunąłby się w błoto. Zachowały się opowieści o kłusownikach, którzy zniknęli bez śladu, i o ich żonach, które przybiegały z płaczem do szeryfa, błagając o wszczęcie poszukiwań, ale jakie były szansę odnalezienia kogokolwiek na bagnach pełnych niedźwiedzi i aligatorów?

Najbardziej złowroga opowieść związana z tą dziwną, prywatną dżunglą dotyczy wszakże samego Szalonego Manfreda, który w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym zniknął na mokradłach, o czym już wspomniała ciotka. Natomiast przewodnicy po dworze jeszcze nieodmiennie dodawali, że przed tą ostatnią wyprawą patriarcha włożył frak, muszkę, koszulę z żabotem i eleganckie skórzane pantofle i pienił się, i przeklinał samego siebie, stojąc godzinę przed lustrem, zanim wypadł za próg i popędził do przystani.

Oczywiście, służba rzuciła się na poszukiwania, jako że nasz patriarcha przeszedł dwuletni okres choroby przed tą niesłychaną i rozpaczliwą wyprawą, ale nigdy nie znaleziono żadnej wyspy i musiano

zastrzelić wiele aligatorów, żeby po prostu nie dać się pożreć. Wrócono z wieloma ubitymi aligatorami, których skóry wystawiono na sprzedaż, ale bez Manfreda.

I tak zrodziło się przekonanie, że nie ma żadnej wyspy. Ze patriarcha po prostu utopił się, mając dość swojego mizernego życia, rżenia i duszenia się, bo niewątpliwie był u progu śmierci, gdy popędził do pirogi i runął przed siebie, jakby chciał przepłynąć Styks.

Potem, jakieś siedem lat później, gdy w końcu otworzono jego ostatnią wolę, znaleziono w niej zapis dotyczący wszystkich)

Blackwoodów i nie - Blackwoodów, domowników i obcych, surowo wzbraniający łowienia ryb i polowania poza mulistymi brzegami Bagien Słodkiego Czarta. Było tam też własnoręcznie sporządzone ostrzeżenie Manfreda, że Wyspa Słodkiego Czarta zagraża nie tylko ludzkiemu życiu, ale również ludzkiej nieśmiertelnej duszy. Bardzo dobra kopia tego testamentu, podpisana notarialnie w roku tysiąc dziewięćsetnym, wisi oprawiona w salonie. Zawsze wprawiała gości w zachwyt. Pamiętam, jak moi nauczyciele, zwłaszcza Nash, po prostu dusili się ze śmiechu, gdy ją czytali. A gdy dorosłem, nie miałem wątpliwości, że wszyscy, adwokat, notariusz i Szalony Manfred, mieli bajroniczne zacięcie i zmówiwszy się ze sobą, spłodzili ten dokument. Teraz jednak myślę co innego.

Pozwól, że będę kontynuował. Po Williamie, jedynym synu Manfreda, którego nie zmożły choroby wieku dziecięcego, i Camille, jego jedynej córce, zostały tylko wielkie portrety w salonie, bardzo ładne portrety, oraz jak najbardziej prawdziwa opowieść, że William często

ukazuje się rodzinie i gościom, przeszukując biurko w salonie.

Samo biurko to piękny egzemplarz, Ludwik Piętnasty, jak sędzę, z intarsjami i okuciami z pozłacanego brązu, na wygiętych nóżkach. Sam kiedyś widziałem Williama, jak się przy nim krzątał.

Nie wątpię w świadectwo własnych oczu, ale powrócę do tego, gdy będę opisywał moje stosunki z Goblinem. Na razie powiem tyle, że nie znalazłem w biurku niczego. Żadnych skrytek ani dokumentów.

Duch Camille ukazuje się wyłącznie na schodach strychowych. Ma postać dobrze uczesanej siwej damy, w czarnej sukni i butach na grubym słupku, jakie zwykle noszą starsze panie. Na szyi ma podwójny sznur pereł, nie zwraca uwagi na tych, którym się pokazuje, i znika w drzwiach prowadzących na strych.

W górnym holu słysząc tupot dziecięcych nóżek, przypisywany córeczce Manfreda, Isabel, która umarła, mając trzy lata, i jego synowi, Philipowi, który nie dożył nawet tego wieku.

Po reszcie rodziny zostały tylko eleganckie portrety. Zwłaszcza Gravier został znakomicie oddany, co mogę potwierdzić, jako że widziałem Gravierę na własne oczy, prawda? Ale jego żona, ślicznie sportretowana Alice, i dziadek i babunia, którzy niechętnie pozwolili do portretów, bo to nie było w ich naturze, nigdy nie pokazali się nikomu. Jak do tej pory...

Poza tym mamy żywą legendę w osobie ciotki Queen - panny Queen dla wszystkich w tej gminie. Goście uwielbiali słuchać ojej niesłychanych podróżach po całym globie, że „przebywa obecnie w Bombaju” albo „świętuje Nowy Rok w Rio”, „zażywa odpoczynku w swojej willi na

Santorynie” lub „robi zakupy w Rzymie”. To ekscytowało ich równie mocno jak historie o duchach. Równie powszechnie wiadano, że ciotka jest wielką kolekcjonerką kamei, i w tamtych czasach, gdy dwór był turystyczną atrakcją, w kącie salonu stała delikatna gabłota na cienkich nóżkach, w której eksponowano najdoskonalsze okazy.

Z ulgą mogę powiedzieć, że goście hotelowi nigdy żadnej nie ukradli - myślę, że więcej uwagi poświęcali domowym wypiekom, konfiturom i architekturze - a do mnie należała okresowa wymiana kamei w gabłocie. Z czasem je polubiłem. Zacząłem je rozróżniać. Babunia nie zwracała na nie uwagi. A dziadek cały boży dzień spędzał na dworze.

Ciotkę można by nazwać żywą zjawą lub duchem opiekuńczym. W okresie mojego dzieciństwa była dla mnie nie byle kim, wystarczyło mi o niej pomyśleć i czułem się bezpieczny, a jej odwiedziny były jak pojawienie się świętej.

Inni umarli w tym domu. Dziecko Graviera i świętej pamięci Alice; czasem przysiągłbym, że słyszę jego płacz. Goście też go słyszą i bywa, że wspominają o tym, nie zdając sobie sprawy, co to może być.

Gravier miał młodszego brata, Patricka, który spadł z konia i zmarł w górnej środkowej sypialni na wstrząs mózgu. Portret Patricka wisi w tym pokoju nad kominkiem. Jego żona, Regina, dożyła swoich dni w domu, uwielbiana przez całą kuchnię, piekąc, smażąc, krojąc i siekając ramię w ramię z innymi kobietami.

Ich jedyna córka, Nanette, przed laty wyprowadziła się do Nowego Orleanu. Tam, w tanim umeblowanym pokoju w dzielnicy francuskiej

wypiła całą butelkę bourbona, zagryzając go kilkoma garściami aspiryny, i umarła. To wszystko, co o niej wiem. Jeśli jej zjawą gdzieś się przechadza, to nie po dworze Blackwood. Patrick spoczywa w spokoju w rodzinnym grobowcu. Jego żona podobnie.

Pewnego razu przyjechali do Blackwood zawodowi łowcy duchów, wykryli liczne zjawy i dokonali niesłychanie ciekawej prezentacji dla gości zgromadzonych na Halloween, co zrodziło tradycję Weekendu z Duchami.

Zawsze była to okazja do świetnej zabawy. Na tarasach i trawnikach rozstawiano pawilony, podawano schłodzonego szampana i krwawą mary.

Wynajmowano

specjalistów

od

tarota,

wróźb

z

ręki,

przepowiadaczy przyszłości i media spirytystyczne, a ukoronowaniem

wszystkiego był bal kostiumowy, na który zjeżdżali się ludzie z całej

okolicy.

Jeśli tak się złożyło, że ciotka była w domu, co trafiało się niebyt

często, mnóstwo jej przyjaciół włączało się do zabawy, a kostiumy były

cudownie bogate. Dom zapelniali książęta i księżniczki wszelkiej maści,

eleganckie wampiry, więdźmy w spiczastych czarnych kapeluszach,

czarownice, egipskie królowe, bogini księżycy, a ambitniejsi goście od czasu do czasu przebierali się za mumie, powiewające białymi bandażami.

Uwielbiałem Weekendy z Duchami, co łatwo zgadnąć po tym, jak się nad nimi rozwodzę. I nie zaskoczę cię, mówiąc, że doświadczeni łowcy duchów ani razu nie zauważyli Goblina, chociaż tańczył wokół nich i robił tę ohydłą sztuczkę z rozciąganiem ust.

Oczywiście, Goblin nie jest duchem żywej osoby, ale eksperci bez trudu umieli wysledzić poltergeisty, które delikatnymi sygnałami zakłócały spokój w kuchni i spiżarni, wysyłając serie ledwo słyszalnych dźwięków, imitując radio, muzykę lub tylko elektryczne trzaski. Ale, jak wiem, poltergeisty to czyste duchy.

Tak wyglądało moje życie, gdy dorastałem - do tego dochodziły bożonarodzeniowe bankiety, o których ci już wspominałem, śpiewanie kolęd i oczywiście uroczysta kolacja, podczas której serwowano pieczonego indyka, gęś, szynkę oraz wszystkie zwyczajowe dodatki.

Czasem było tak chłodno, że panie mogły włożyć stare futra, pachnące naftaliną, a panowie przyłączali się do śpiewaków nie szczędząc gardel.

Kiedy słuchałem męskich głosów, zbierało mi się na płacz. Śpiew pań był czymś naturalnym, ale gdy włączali się panowie, mężczyźni w każdym wieku, i robili to z sercem, było to niezwykle krzepiące i piękne. Płakałem każdego roku. Tak to na mnie działało, męski chór i delikatny sopran śpiewający Cicha noc i Co to za Dziecię? Oczywiście, ja też przyłączałem się do chóru.

Żebym nie zapomniał o jeszcze jednym. Było Święto Wiosny, gdy

rozkwitwały azalie, zasadzone wszędzie wokół dworu, różowe, białe i czerwone. Na cześć wiosny urządzaliśmy na trawnikach wielkie przyjęcie na stojąco, prawie tak efektowne jak weselne. Na Wielkanoc też było takie przyjęcie.

Powinienem jeszcze chyba wspomnieć o weselach i zamieszaniu, które im towarzyszyło, i o ślicznych kelnereczkach, które spotykałem w kuchni i które wszystkie czuły „wibracje” świadczące o duchach, i o histeryzujących pannach młodych, bo ich fryzury się rozsypały, a fryzjerki już wyjechały. Moja kochana babunia, korpulentna i zawsze troskliwa, sapiąc i dysząc, biegła schodami na pomoc, porywała swoją elektryczną lokówkę i wiedziała, jak doprowadzić wszystko do porządku.

Świętowaliśmy też Mardi Gras. Pokoje były rezerwowane do ostatniego, mimo że jesteśmy półtorej godziny drogi od Nowego Orleanu. Dwór był wówczas przystrojony w tradycyjne barwy: purpurę, zieleń i złoto.

Czasem, bardzo rzadko, na Mardi Gras jechałem do miasta obejrzeć paradę. Siostra babuni, ciotka Ruthie, mieszkała przy St. Charles Avenue, którądy, jak wiesz, przechodzi główna parada. Ciotka nie była z Blackwoodów, a jej synowie, chociaż przeciętni, wydawali mi się potworami, zarośnięci włosami na całym ciek i mówiący przesadnie grubymi głosami, tak że nie czułem się tam przyjemnie.

Rozumiesz więc, że Mardi Gras w Nowym Orleanie nie robił na mnie zbyt wielkiego wrażenia. Lubiłem tylko zabawy tu w naszym domu, i obowiązkowy bal kostiumowy, urządzany w Ostatki. To niesamowite, ilu

imprezowiczów trafiła do nas z Nowego Orleanu, po wielu godzinach przyglądania się różnym stowarzyszeniom i niekończącym się paradom, aby wieczorem paść z przepicia przy naszym barze.

Oczywiście, od czasu do czasu spotykałem tu inne dzieci - szczególnie na przyjęciach halloweenowych i bożonarodzeniowych, a czasem na weselach - ale nie lgnąłem do nich. Robiły wrażenie upiornych małych ludzików. Teraz, gdy sobie przypomnę, co o nich myślałem, chce mi się śmiać. Jak powiedziałem jednak, mój świat składał się z duchów i dorosłych i po prostu nie umiałem się zachować w obecności dzieci. Chyba bałem się, że coś knują i że mogą być niebezpieczne. Goblinowi bardzo się nie podobało, jeśli długo z nimi przebywałem. Nie wiem, dlaczego mu się to nie podobało, ale tak było. Kręciłem się więc przy dorosłych, czując do nich naturalny pociąg serca i umysłu.

Teraz, gdy rozmawiamy, nie potrafię się opędzić od wspomnienia pewnego wesela, z którym wiąże się jedno upiorne zdarzenie. Będę musiał ci się z czegoś wypowiadać - z czegoś, co wydarzyło się daleko od dworu Blackwood, w noc, w którą mnie stworzono. Wiem, że ta chwila spowiedzi nadejdzie.

Taka jest rodzinna historia, którą mi przekazano, gdy byłem niewinny i chroniony przez dziadka, babunię i ciotkę Queen, wróżkę spływającą do nas tylko od czasu do czasu na niewidzialnych skrzydłach i noszącą niewiarygodnie wysokie szpilki.

Byli inni członkowie rodziny - ze strony dwóch kolejnych żon a.

Pierwsza była matką Graviera, a druga matką ciotki . Była również żona

Graviera i oczywiście krewni babuni. I chociaż od czasu do czasu spotykałem się z kuzynami, nie należą do tej historii i nie mają na mnie żadnego wpływu, może Poza tym, że za ich sprawą czuję się dziwadłem, na zawsze wytrąconym poza nawias zwykłego życia.

Teraz czas, żebym przeszedł do opowieści o mnie, o Goblinie i o tym, jak przebiegała moja edukacja.

Zanim to zrobię, pozwól, że prześlę drzewo genealogiczne

Blackwoodów, cokolwiek to znaczy. Manfred był patriarchą, a William jego synem. William spłodził Graviera. Gravier spłodził mojego dziadka. A dziadek w późnym wieku, kiedy wraz z babunią rozpaczali, że nie mają dziecka, spłodził Patsy. Ona, mając szesnaście lat, urodziła mnie i dała mi imiona Tarquin Anthony. Co się tyczy ojca, to muszę powiedzieć głośno i bez owijania w bawełnę, że takowego nie mam.

Patsy nie bardzo pamięta, co się z nią działo podczas tygodni, w których zostałem poczęty, poza tym, że śpiewała z zespołami w Nowym Orleanie, podając inne nazwisko i wiek niż w rzeczywistości, aby móc pracować w klubie, i że razem z całą czeredą muzyków, piosenkarzy i piosenek kotłowali się w jakimś mieszkaniu przy Esplanade Avenue.

Jak mówiła, „było w cholere marychy, wina i towarzysza”.

Często się zastanawiałem, dlaczego Patsy nie zrobiła skrobanki.

Pewnie udałoby się jej to zorganizować. I dręczy mnie podejrzenie, że Patsy liczyła na to, iż jako matka zostanie uznana za osobę dorosłą, a dziadek i babunia dadzą jej wolność i pieniądze. Nie dostała ani jednego, ani drugiego. Tak więc miała szesnaście lat i dziecko na głowie, które

równie dobrze mogłoby być jej bratem, za to kompletnie brakowało jej pojęcia, co ze mną zrobić, jako że w dalszym ciągu marzyła o karierze piosenkarki i o własnej kapeli.

Staram się o tym pamiętać, gdy o niej myślę. Staram się panować nad nienawiścią do niej. Chciałbym nie czuć bólu za każdym razem, gdy o niej myślę. Kolejny raz przyznaję ze wstydem, że chciałbym ją zabić.

A teraz opowieść o mnie i o Goblinie, i o tym, jak wyglądała moja edukacja i jak ja edukowałem jego.

Powiedziałem, że Goblin jest moim sobowtórem, i pozwól, że to podkreślę, ponieważ zawsze jest moją idealną repliką, tak że przez całe życie miałem w nim lustro, w którym mogłem się oglądać, jeśli nie rozpoznawać.

A osobowość Goblina? Jego pragnienia? Jego temperament? Pod tym względem było zupełnie inaczej, jako że potrafił być istnym diabłem, źródłem upokorzenia i wstydu. Rzadko miałem nad nim kontrolę, chociaż wcześniej się nauczyłem, że jeśli będę go całkowicie ignorował, co wymagało z mojej strony niezwykłego wysiłku woli, jest szansa, iż się rozplynie i zniknie.

Czasem nie musiałem nawet podchodzić do lustra, aby się przekonać, jak wyglądam, wystarczyło mi tylko spojrzeć na Goblina, a gdy w moim wyglądzie zaszła jakaś zmiana, na przykład obciąłem włosy, Goblin zaciskał dłonie w pięści, strasznie się krzywił i tupał bezgłośnie. Dlatego przeważnie zapuszczałem włosy. W miarę upływu lat zwracał coraz większą uwagę na to, jak się ubieramy, i czasem rzucał na podłogę dres, który chciał, abym włożył, czy koszulę.

Wyprzedzam jednak wypadki i opowiadam nie po kolei.

Pierwsze, co pamiętam, to moje trzecie urodziny w towarzystwie babuni, Jasmine, Lolly, Małej Idy i Baby Ramony. Jesteśmy w kuchni. One wszystkie siedzą na wysokich stołkach albo na krzesłach, przy wielkim, wyłożonym białymi płytkami stole, i przyglądają mi się, podczas gdy ja

zajmuję miejsce przy moim dziecięcym stolczku, z Goblinem u boku.

Rozmawiam z nim, Uczę go, jak powinien trzymać widelczyk i jeść nim tort.

Miał swoje krzeselko po mojej lewej stronie, swoje nakrycie mleko i tort, wszystko jak ja. W pewnej chwili złapał mnie za lewą rękę - jestem lewo - , a on praworęczny - i rozbabrał cały mój tort po talerzyku.

Zacząłem płakać, bo nie wiedziałem, że jest taki silny - naprawdę ciągnął moją rękę, chociaż chyba za bardzo mi się to nie podobało - i nie chciałem, żeby rozsmarował mi tort, chciałem go zjeść i w kuchni wybuchło jedno wielkie zamieszanie, wszystkie kobiety zerwały się na równe nogi, babunia ocierała mi łzy i jednocześnie lajała mnie za to, że „napaskudziłem”.

Goblin był tak samo nieprzezroczysty jak ja, z okazji moich urodzin obaj mieliśmy na sobie marynarskie ubranka i już wtedy jakoś niejasno zdawałem sobie sprawę, że tego dnia Goblin ma wyjątkową moc. Nie dlatego wszak, że były moje urodziny, tylko dlatego że na dworze lało jak z cebra.

Uwielbiałem kuchnię w takie deszczowe dni, uwielbiałem stać przy tylnych siatkowych drzwiach i przyglądać się falującym płachtom deszczu; kuchnia była ciepła, wypełniona jasnym elektrycznym światłem, z radia leciały złote przeboje albo dziadek grał na harmonijce, było pełno dorosłych, których kochałem i którzy mnie kochali, a z pieca dolatywały smakowite zapachy.

Ale wróćmy do tamtych trzecich urodzin. Goblin wszystko popsuł i

ryczałem jak bóbr. A ten kretynek robił zęza, kiwał na boki głową, a potem wsadził sobie palce do buzi i rozciągnął ją tak potwornie, że zacząłem krzyżeć. Ja nigdy nie robiłem tego grymasu, ale on powtarzał go wiele razy tylko po to, żeby doprowadzić mnie do dzikiego przerażenia.

Potem zniknął, całkowicie, a ja zacząłem się drzeć, wzywając go po imieniu.

Ostatni obraz, który został mi w pamięci po tym całym wydarzeniu, to cztery pocieszające mnie Murzynki, będące dla mnie tak dobre jak babunia, i dziadek, który przyszedł, wycierając głowę ręcznikiem i pytając, co się dzieje.

Ja zawodziłem w kółko: „Goblin, Goblin!”, ale on nie wracał.

Ogarnęła mnie groza, jak zawsze, kiedy znikał, nie mam jednak pojęcia, jak się to wtedy skończyło.

Zapamiętałem to wszystko jak przez mgłę, ale na zawsze, pamiętam wielką trójkę na urodzinowym torcie i to, że wszyscy z dumą mówili, że mam już trzy lata, i Goblina, który okazał się taki silny i taki niedobry.

Poza tym dostałem od dziadka harmonijkę i nauczył mnie na niej grać.

Przez chwilę siedzieliśmy i graliśmy, i od tej pory robiliśmy to każdego wieczoru, zaraz po kolacji, zanim dziadek poszedł na górę, bo kładł się wcześniej.

Następna jest seria wspomnień o Goblinie i o mnie, o naszych zabawach w dzieciennym pokoju. Szczęśliwe, szczęśliwe wspomnienia.

Bawiliśmy się klockami, stawiając cudowne budowle, pełne kolumn i łuków, budynki przypominające nasz dwór, i potem je burzyliśmy.

Używaliśmy do tego celu ślicznych małych wozów strażackich albo zwykłych samochodzików lub też robiliśmy to po prostu rękami czy nogami.

Goblin na początku był zbyt wątpliwy, sam nie potrafił zburzyć domu z klocków, ale z czasem nabrał sił. Wcześniej robił to moimi rękami albo puszczał samochodziki, a potem się śmiał, zrywał na nogi i tańczył wkoło.

Dokładnie pamiętam wygląd pokoi. Mała Ida spała obok mnie w wielkim łóżu, jako że byłem już za duży na kołyskę, a Goblin spał z nami.

Ten pokój służył za bawialnię i miałem mnóstwo wszelkiego rodzaju zabawek.

Byłem pobłażliwy wobec Goblina, a on nie miał powodu okazywać mi swoich humorów. Niemniej jednak mimo młodego wieku już wtedy dostrzegałem, że nie chce się mną dzielić i jest najszczęśliwszy, gdy poświęcam mu całą uwagę. To dodawało mu sił.

Nie chciał nawet, abym grał na harmonijce, bo wtedy go zanieczyliwałem, chociaż uwielbiał tańczyć do muzyki z radia lub piosenek, które śpiewały kobiety w kuchni. Wtedy śmiałem się z niego albo tańczyłem razem z nim. Gdy jednak grałem na harmonijce, Płaszczka z dziadkiem, byłem w innym świecie. Oczywiście, naszyłem się grać na harmonijce specjalnie dla niego. Kiwałem mu głową i mrugałem do niego (już jako brzdąc potrafiłem puszczać oko, robiąc to równie dobrze lewym i prawym), gdy tańczył, tak że z czasem przestało mu to przeszkadzać.

Przeważnie robił to, co chciał. Mieliśmy stół, przy którym rysowałem kredkami. Pozwalałem mu rysować za mnie: prowadził moją lewą rękę

swoją prawą, ale jemu wychodziły tylko bazgrały, podczas gdy ja chciałem rysować patykowate ludziki albo kółczkowe ludziki, o twarzach z kółczkami zamiast oczu. Uczyłem go rysować patykowate ludziki albo jajczkowe ludziki, jak nazywała je Mała Ida, i ogród z wielkimi okrągłymi kwiatami, co dla mnie nie było żadnym problemem.

Po raz pierwszy odezwał się właśnie przy tym dziecinnym stoliczku, wydając słabiutki głosik. Nikt oprócz mnie go nie słyszał, ja zaś odbierałem go pod postacią poszatkowanych myśli, nagle przelatujących mi przez głowę. Naturalnie ja mówiłem do niego głośno, ale czasem mruczałem i pamiętam, że Mała Ida i Baba Ramona zawsze wtedy mnie pytały, o co mi chodzi, i powtarzały, że nie mówię jak należy.

Czasem, gdy byłem z nim w kuchni i rozmawialiśmy, dziadek lub babunia reagowali tak samo, pytając, co, na Boga, mówię i czy nie potrafię wyraźniej, i upominając, żebym wypowiadał całe wyrazy, bo przecież wiedzą, że umiem się wystawiać jak należy.

Uświadomiłem Goblinowi, że trzeba dać sobie spokój z tym popiskiwaniami, że musimy mówić całymi wyrazami, ale jego głos nie przekroczył progu rwanego telepatycznego przekazu i ogarnięty frustracją Goblin zrezygnował z tego sposobu komunikacji. Dopiero po latach znów zaczął się odzywać.

Co się tyczy jego dalszego dziecięcego rozwoju, to potrafił odpowiadać ruchami głowy na zadawane pytania i śmiał się po wariacku, kiedy mówiłem albo robiłem coś, co mu się podobało. Gdy pojawiał się po raz pierwszy danego dnia, był dość widoczny, ale potem, w miarę upływu

czasu, stawał się coraz bardziej przezroczystry. Wyczuwałem jego obecność, nawet gdy był niewidzialny, i nocą czułem jego objęcia - lekkie choć namacalne wrażenie, którego do tej chwili nie opisałem nikomu. Uczciwość nakazuje dodać, że gdy nie robił głupich min j nie błaznował, obdarzał mnie wielką miłością. Może byłem silniejszy, gdy przebywał gdzieś dalej, ale jeśli nie pokazywał się często za dnia i nocą, płakałem za nim i byłem bardzo nieszczęśliwy. Czasem, kiedy biegałem po trawie albo wlażyłem na któryś z cmentarnych dębów, czułem, jak do mnie lgnie, wsiada mi na barana i cały czas z nim rozmawiałem, bez względu na to, czy go widziałem czy nie.

Pewnego słonecznego dnia, gdy kręciłem się po kuchni, babunia nauczyła mnie pisać takie słowa, jak „dobry” i „zły”, „wesoly” i „smutny” i nauczyłem też Goblina, jak ma je pisać, prowadząc moją rękę. Oczywiście, nikt nie rozumiał, że to Goblin pisze, a gdy starałem się to wytłumaczyć, wszyscy się śmiali, poza dziadkiem, który nigdy go nie lubił i zawsze się martwił, że „te całe gadki o Goblinie nie doprowadzą do niczego dobrego”.

Patsy niewątpliwie była stale obecna, ale nie pamiętam jej wyraźnie, dopóki nie osiągnąłem czwartego, piątego roku życia i chyba nawet wtedy nie wiedziałem, że jest moją matką. Nigdy nie zajrzała do mnie do pokoju, a gdy już spotkałem ją w kuchni, zawsze się bałem, że zaraz wybuchnie awantura między nią a dziadkiem.

Kochałem dziadka i nie bez powodu, bo on mnie kochał. Od zawsze był wysoki, chudy i siwowłosy, zawsze pracował, przeważnie fizycznie. Był wykształcony i ładnie się wysławiał, podobnie jak babunia, ale

uwielbiał wiejskie zajęcia i życie. I tak jak babunia, kiedyś ozdoba nowoorleańskiego balu debiutantek, panien z dobrych domów wchodzących w życie towarzyskie, została połknięta przez kuchnię, tak gospodarstwo połknęło dziadka.

Komputer, który miał w swoim pokoju, służył mu do prowadzenia ksiąg hotelowych. I chociaż od czasu do czasu wkładał białą koszulę i surdut, żeby oprowadzić gości po domu, nie lubił tego zajęcia. Wolał strzyć trawniki swoją ulubioną kosiarką albo zajmować się innymi fizycznymi pracami na dworze.

Był najszczęśliwszy, kiedy miał „robotę” i mógł pracować do zachodu słońca ramię w ramię z fernalami - krewnymi Jasmine - i nigdy nie widziałam go w żadnym innym pojeździe z wyjątkiem pikapa, dopóki nie zmarła babunia i nie pojechał do miasta limuzyną jak wszyscy.

Chociaż to przykre, to muszę powiedzieć, że dziadek chyba nie kochał Patsy, chociaż była jego córką. A jeśli ją kochał, to nie bardziej niż ona mnie, czyli prawie wcale.

Patsy przyszła na świat późno, teraz to wiem, choć jako dziecko nie zdawałem sobie z tego sprawy. I gdy teraz patrzę na to z dystansu, opowiadając ci tę historię, widzę, że nie było dla niej miejsca w życiu naszej rodziny. Gdyby została wprowadzona w świat jak babunia, miała swój bal debiutantek, może sprawy ułożyłyby się inaczej. Ale Patsy jednocześnie zaczęła śpiewać country i przeżywać burzę hormonów, a tej mieszanki dziadek nie mógł znieść, mimo że do jego stylu życia nic nie pasowało lepiej niż muzyka country.

Dziadek potępił każdy szczegół jej życia i zachowania, od tapirowanych włosów do minisukienek. Nie cierpiał noszonych przez nią białych kowbojek i mówił jej to, i powiedział, że jej piosenki to stek idiotyzmów i że ona i jej kapela nigdy się nie wybija. Kazał zamykać rupieciarnię, w której ćwiczyła, też żeby „łomoty” nie przeszkadzały gościom hotelowym. Nie mógł ścierpieć wyzywającego makijażu Patsy i powiedział jej, że wygląda jak pomiotło. Odgryzała mu się, mówiła, że zarobi forszę, i ucieknie z domu w cholerę. Kiedyś podczas kłótni zbiła słój na cukierki - na dodatek pełen czekoladowych ciągutek babuni - a gdy wychodziła z kuchni, nigdy nie omieszkała trzasnąć drzwiami.

Patsy była dobrą piosenkarką, tyle wiedziałem od początku, bo fornale to przyznawali i Jasmine, i Mała Ida, i nawet Baba Ramona.

Prawdę mówiąc, sam też lubiłem jej muzykę. Temu wszystkiemu towarzyszyła niekończąca się procesja młodych chłopaków do drzwi rupieciarni, chętnych grać z Patsy na gitarze albo na perkusji - chociaż było wiadomo, że dziadek ich nie cierpi - a kiedy bawiłem się na dworze, po kryjomu skradałem się do tego jej studia, nie chcąc, aby mnie zobaczyła, i podstuchiwałem ją, gdy śpiewała z zespołem.

Czasem Goblin tańczył do muzyki Patsy i jak to bywa z wieloma duchami, wpadał w trans, kołysał się na boki, pociesznie machał rękami i tak wywijał nogami, że zwykły śmiertelny chłopak dawno by się potknął i wywrócił. Wyglądał jak bąk, zataczał się, ale nigdy nie upadał na ziemię, a ja wprost umierałem ze śmiechu, oglądając te błazenady.

Polubiłem te jego tańce i towarzyszyłem mu, starając się naśladować

jego kroki. A gdy Patsy wychodziła na papierosa, kuciała przede mną, całowała mnie i mówiła, że jestem „kochaniutkim, cholernie słodkim chłopczykiem”. Dziwnie akcentowała to określenie, jakby wyrażała w ten sposób jakiś sprzeciw, chociaż nie było nikogo, kto mógłby się z nią nie zgodzić, poza nią samą.

Brałem ją za moją kuzynkę, dopóki wysłuchawszy jej pełną wrzasków awanturę z dziadkiem, nie zrozumiałem, jak jest naprawdę. Teraz żarli się o pieniądze, bo dziadek nigdy nie chciał jej dać ani centa, a oczywiście teraz wiem, że pieniędzy było w bród, zawsze pod dostatkiem. Dziadek zmuszał Patsy do walki o każdego dolara; teraz rozumiem, że uważał, że nigdy z niej nic nie będzie. Ich kłótnie czasem doprowadzały mnie do łez.

Któregoś razu, gdy siedzieliśmy z Goblinem w kuchni, przy moim stolyczku, i wybuchła kolejna awantura między Patsy a dziadkiem, Goblin wziął mnie za rękę i napisał kredką „fuj”. Byłem szczęśliwy, bo słusznie napisał. Potem przysunął się do mnie i starał się objąć mnie ramieniem, chociaż w tamtych czasach przychodziło mu to z trudnością, bo miał bardzo nieelastyczne ciało. Rozumiałem jednak jego intencje, nie chciał, żebym płakał. Tak bardzo pragnął dodać mi otuchy, że nie miał już sił się pokazać, ale czułem, że tuli się do mojego boku.

Podczas innych awantur Patsy o pieniądze Goblin starał się mnie odciągać i nie musiał bardzo się wysilać. Biegliśmy do mojego dzieciennego pokoju, do którego nie docierały odgłosy kłótni.

Babunia była za bardzo podporządkowana dziadkowi, aby się mu

sprzeciwić, ale dawała córce jakieś pieniądze. Widziałem to. Patsy zawsze zasypywała babunię pocałunkami i mówiła:

„Mamuś, nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła”. A potem jechała do miasta, wskoczywszy na tylne siodelko motocykla jakiegoś chłopaka albo do swojego vana, bardzo poobijanego vana, który miał wypisane sprayem po obu stronach „Patsy Blackwood”, i nie widziało się Patsy ani nie słyszało jej muzyki przez trzy dni.

Pierwszy raz uświadomiłem sobie, że Patsy i mnie łączy tak bliski związek, gdy pewnego straszego wieczoru ona i dziadek zaczęli się na siebie drzeć i dziadek rzekł po prostu i zwyczajnie: „Nie kochasz Quinna. Nie kochasz własnego synka. Nie byłoby żadnego Goblina w tym domu, nie potrzebowałby Goblina, gdybyś była taką matką jak należy”.

Od razu wiedziałem, że to prawda, że jest moją matką. Słowa dziadka wzbudziły we mnie jakiś oddźwięk i chciałem się dowiedzieć czegoś więcej o Patsy, chciałem poprosić dziadka, żeby mi wytłumaczył, o co mu chodzi. Równocześnie poczułem się boleśnie zraniony, poczułem ból w piersiach i w brzuchu na myśl, że ona mnie nie kocha, chociaż wcześniej wcale mnie to nie obchodziło.

A gdy dziadek powiedział: „Jesteś złą matką i na dodatek gotowaś puścić się z byle kim”, Patsy złapała wielki nóż. Rzuciła się na dziadka, a on złapał ją za oba przeguby jedną ręką. Nóż upadł na podłogę i Patsy powiedziała dziadkowi, że go nienawidzi, że gdyby mogła, toby go zabiła, żeby lepiej spał z jednym okiem otwartym i że to on nie kocha swojego własnego dziecka.

Potem pamiętam, że znalazłem się na dworze, światło padało z rupieciarni, a Patsy siedziała na werandowym fotelu przed swoim otwartym studiem i zanosila się od płaczu, a ja podszedłem do niej i pocałowałem ją w policzek. Wtedy ona się odwróciła i przytuliła mnie. Czulem, że Goblin chce mnie od niej oderwać, ale ja chciałem ścisnąć Patsy. Nie chciałem, żeby była nieszczęśliwa. Powiedziałem Goblinowi, żeby ją pocałował.

„Przestań mówić do tego czegoś!” zawołała. Zmieniła się w kogoś innego - to znaczy w kogoś aż za dobrze mi znanego - i wrzeszczała na mnie. „To mnie wykańcza, kiedy mówisz do tego stworzenia. Nie wytrzymam przy tobie dłużej, kiedy będziesz do niego gadał. A oni jeszcze mówią, że jestem złą matką!”. Więc przestałem mówić do Goblina i przez jakąś godzinę albo dłużej tylko ją ścisnąłem i całowałem. Lubilem siedzieć u niej na kolanach. Lubilem, jak mnie kołysała. Ładnie pachniała i jej papierosy też. I chociaż myślałem jak dziecko, to zrozumiałem tyle, że tego wieczoru coś się zmieniło.

Nie tylko na lepsze. Gdy tuliłem się do Patsy, czulem rozwierający się przede mną mrok. Ogarnęła mnie rozpacz. Mówiono mi, że w tym wieku nie mogłem doznawać takich uczuć, ale to nieprawda. Czulem rozpacz. Tuliłem się do Patsy, nie zwracając uwagi na Goblina, chociaż tańczył wokół mnie i szarpał za rękaw.

Tamtego wieczoru Patsy przysłała tu na telewizję. Dołączyła do mnie, Goblina i Małej Idy, chociaż wcześniej nigdy tego nie robiła. Śmialiśmy się do rozpuku, nie pamiętam z czego. Nagle uznałem, że Patsy jest moją

przyjaciółką i pomyślałem, że jest bardzo piękna, zawsze tak myślałem, ale kochałem też dziadka i nigdy nie potrafiłem między nimi wybrać.

Od tamtego dnia ja i Patsy całowaliśmy się i ściskaliśmy jak nigdy wcześniej, i to już było coś. W Blackwood zawsze było dużo całowania i uścisków, a teraz przynajmniej również między mną i Patsy.

Od mniej więcej szóstego roku życia miałem do swojej dyspozycji całą posiadłość i byłem dość mądry, żeby nie bawić się w pobliżu mokradel, które otaczają dwór od zachodu i trochę od południa. Gdyby nie Goblin, siedziałbym wiecznie na starym cmentarzyku, który, jak ci już powiedziałem, był ukochanym zakątkiem mojej prapraprababki Virginii Lee.

Jak opisałem, goście uwielbiali to miejsce i opowieść o tym, jak to Szalony Manfred odrestaurował każdy grobowiec, aby uspokoić sumienie Virginii Lee. Wymyślne ogrodzenie z kutego żelaza wyremontowano i pomalowano na czarno, a pusty kościółek o dziurawym, spiczastym dachu każdego dnia sprzątano z liści. W kościółku był pogłos i lubiłem wchodzić do środka i wołać: „Goblin!” Wiedziałem, kiedy do mnie wraca, i pokłada się ze śmiechu, chociaż nic nie było słychać.

Korzenie tamtych czterech dębów oplótły niektóre grobowce jak również niewysokie ogrodzenie, ale co można zrobić dębowi? Nikt z mojej rodziny nie ściałby żadnego drzewa, to pewne a cztery olbrzymy nawet miały swoje imiona.

Virginia Lee rosła po drugiej stronie cmentarza, między ogrodzeniem a mokradłami, Manfred tuż obok niej, a od strony dworu

były William i Ora Lee, wszystkie fantastycznie grube z wielkimi ciężkimi konarami, opadającymi do ziemi.

Uwielbiałem się tam bawić, dopóki Goblin nie rozpoczął swojej kampanii.

Musiałem mieć około siedmiu lat, gdy zobaczyłem pierwsze duchy na cmentarzu, widzę je bardzo dokładnie teraz, gdy to mówię.

Dokazywaliśmy tam z Goblinem i z daleka słyszałem dudnienie zespołu Patsy. Wybiegliśmy z cmentarza i wdrapywaliśmy się na jeden z długich konarów Ory Lee, dębu, który rośnie najbliżej domu, co wcale nie znaczy, że blisko.

,i Nie wiedzieć czemu, obejrzałem się w prawo i zobaczyłem nie - wielką grupkę ludzi, dwie kobiety, chłopca i mężczyznę. Unosili się nad osłoniętymi dębami, stłoczonymi grobami. Wcale się nie wystraszyłem.

Przeciwnie, pomyślałem tylko: Och, więc to są te duchy, o których wszyscy mówią, i przyglądałem im się znieruchomiały i milczący, dziwiąc się, że wszystkie są stworzone z tej samej przezroczystej substancji i że unoszą się nad ziemią, jakby były z powietrza.

Goblin zobaczył je później i przez chwilę się nie ruszał, tylko patrzył tak samo jak ja, a potem wpadł w gorączkę, zaczął gestykulować jak oszalały, wskazując, żebym zszedł z drzewa i biegł do domu. Już znałem wszystkie jego sygnały, tak więc rozumiałeś go bez kłopotu, ale nie miałem zamiaru nigdzie iść.

Wpatrywałem się w duchy, oceniając z ciekawością ich puste twarze, bezbarwną materię, z której były zbudowane, proste ubiory) zdziwiony, że

wszystkie tak się na mnie patrzą.

Ześlizgnąłem się na dół i podszedłem do ogrodzenia. Nad pochłaniały mnie wzrokiem, chociaż gdy teraz przywołuję tamte obraz, mam świadomość, że ich nastrój uległ pewnej zmianie - I spojrzenia stały się ostre, nawet wyzywające. Oczywiście wtedy tak bym ich nie określił, nie znałem jeszcze tych słów.

Duchy stopniowo się rozplynęły i ku mojemu wielkiemu zawodowi zniknęły zupełnie. Cisza, które zapadła, dzwoniła mi w uszach, i poczułem nastrój jakiejś głębokiej tajemnicy, gdy przesunąłem wzrok z cmentarza na wielkie, górujące nade mną dęby. Miałem przedziwne, a równocześnie jednoznaczne wrażenie - że mnie obserwują i wiedzą, że widziałem duchy, i są czujnymi strażnikami, obdarzonymi własną osobowością.

Te wszystkie drzewa obudziły we mnie prawdziwą grozę, gdy spojrzałem w dół stoku, ku napierającym z bagien ciemnościom, i poczułem, że gigantyczne cyprysy również wiodą jakieś własne tajemne życie, obserwują wszystko wokół siebie, oddychając miarowo i powoli, tak że tylko inne drzewa widzą to lub słyszą.

Ogarnęły mnie zawroty głowy. Mdłości. Dostrzegłem, że gałęzie się poruszają, a potem bardzo powoli uformował się obraz już widzianych przeze mnie duchów, równie bladych i wstrętnych jak poprzednio.

Przeszywały mnie wzrokiem, a ja wytrzymywałem go, nie reagując na gorączkowe znaki Goblina, aż nagle zrobiłem krok w tył, mało się nie przewracając, i uciekłem do domu.

Jak zawsze poszedłem prosto do drzwi kuchennych, Goblin

podskakiwał i biegał obok mnie, i opowiedziałem wszystko babuni, co natychmiast wzbudziło jej najżywszy niepokój.

W tym czasie była już bardzo gruba i pracowała w kuchni od świtu do nocy, jak ci to opisałem. Wzięła mnie w ramiona i powiedziała, patrząc mi prosto w oczy, że na cmentarzu nie ma żadnych duchów i że powinienem trzymać się jak najdalej od tego miejsca. Mimo że byłem dzieckiem, uznałem, iż jest w tym jakaś grzeczność, a na dodatek wiedziałem, co widziałem, i nikt nie mógł tego usunąć z mojego umysłu. Dziadek zajmował się gośćmi przed domem i nie pamiętam, czy kiedykolwiek powiedział coś na ten temat.

Baba Ramona, która pracowała w kuchni z babunią, była tak bardzo ciekawa duchów i wyciągnęła ode mnie wszystkie Zegoły, włącznie z deseniem na sukniach kobiet i z tym, że mężczyzna nie nosił kapelusza.

Dobrze wiedziałem, że wierzy w duchy, i była tak przejęta, że rozpoczęła sławną opowieść o tym jak to widziała w salonie ducha mojego prapradziadka Williama, przeszukującego szuflady biurka.

Wracając do tamtych ludzi z cmentarza, zatraconych dusz, jak zacząłem je nazywać, babunia była wciąż nimi wystraszona i powiedziała, że czas, abym poszedł do przedszkola, gdzie poznam inne dzieci i będę się bawił.

I tak pewnego ranka dziadek zawiózł mnie pikapem do prywatnej szkoły w Ruby River City. Wyrzucono mnie po dwóch dniach. Za dużo mówienia o Goblinie, mamrotania, mruczenia, wyrażania się szczątkami słów i niechęci do współpracy z innymi maluchami. Poza tym Goblin nie

cierpiał przedszkola. Goblin przedrzeźniał przedszkolankę. Goblin rysował za mnie i łamał kredki.

Wróciłem do tego, do czego chciałem - do szpiegowania Patsy i słuchania jej muzyki, do pracy z dziadkiem, gdy sadił grządkę uroczych bratków wzdłuż domu, do wylizywania miski po torcie lodowym, podczas gdy babunia, Baba Ramona i Mała Ida śpiewały Idź, powiedz ciotce Rodie albo Pracowało się na kolei, albo inne piosenki, które dawno zapomniałem, które dawno uleciały mi z pamięci, ku mojemu wielkiemu wstydowi.

Potem jeszcze kilka razy widziałem zatracone dusze na cmentarzu, również zeszłego roku. Nie zmieniły się. Ani drgną, gapią się i nic więcej. Wydają się ze sobą sprzęgnięte, unosząca się masa, z której żaden pojedynczy osobnik nie może się oderwać. Nawet nie jestem pewien, czy mają osobowość, jak to jest w przypadku ludzi. Świadczy o tym tylko ich wzrok, którym za mną podążają.

Wydalono mnie już chyba z czterech szkół, gdy wróciła ciotka Lorraine McQueen. Nie pamiętam, bym kiedykolwiek wcześniej oglądał ją na oczy, chociaż zjawiała się w domu kilka razy, gdy byłem maleńki, i oznajmiła mi to z wielkim entuzjazmem, obsypując przy tym słodkimi całusami, zostawiając ślady pachnącej szminki na policzkach oraz częstując przepysznyimi wisienkami w czekoladzie) które wyjmowała z wielkiego, fantastycznego białego pudełka.

Zajmowała ten sam pokój co obecnie i nie pamiętam, kiedykolwiek poświęcił mu uwagę, stało się to dopiero tego dawno minionego dnia, w

którym zabrano mnie do niej na wizytę, i gdy wzięta mnie na kolana.

*Ciotka Queen była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek
widziałem, włączając w to urocze turystki, które przewinęły się przez
Blackwood. Jej szpilki z paseczkiem na kostce bardzo mi się podobały, były
efektowne, jak bym teraz powiedział. Bardzo lubiłem zapach jej ciężkich
perfum i dotyk delikatnych, siwych włosów.*

*Wyliczyłem, że w tamtych czasach musiała mieć około
siedemdziesiątki, ale wyglądała młodziej niż dziadek, który był jej
stryjem, czy babunia - oboje wtedy koło pięćdziesiątki.*

*Ciotka ubierała się w szyte na miarę sukienki z białego jedwabiu, bo
taki był jej ulubiony materiał i kolor, i pamiętam, jak upuściłem na taką
sukienkę wisienkę w czekoladzie, a ciotka tylko rzuciła lekkim tonem, że
nie muszę się przejmować, ma tysiąc sukienek z białego jedwabiu,
zaśmiała się w najbardziej uroczy sposób na świecie i powiedziała mi, że
stałem się „kapitałny”, co dawno mi przepowiedziała.*

*Pokój miała cały urządzony na biało, baldachimem łóżka z białych
koronek i jedwabiu, długie marszczone firanki z jedwabnej siateczki,
przewiązane wysoko, i nawet futro z białych lisów, z lebkami i ogonkami,
które przerzucała przez krzesło.*

*Wyznała mi, że uwielbia wszystko, co białe, i pokazała pola -
kierowane na biało paznokcie i kameę przypiętą do bluzki, białą na tle
blad różowego koralu, mówiąc, że przez ostatnie trzydzieści lat, od
śmierci męża, Johna McQueena, chciała mieć wszystko tylko białe.*

- Myślę, że mam tego dość - powiedziała niesłychanie drastycznym i

interesującym tonem. - Niezwykle kochałam twojego wujka, Johna McQueena. Nigdy wcześniej nie kochałam żadnego mężczyzny. I nigdy więcej nie wyjdę za mąż. Ale teraz jestem gotowa utonąć w kolorach. Twój wuj, John McQueen, z pewnością by pochwalił mój zamysł. Jak myślisz, Tarquin? Powinnam kupić różnokolorowe sukienki?

Te słowa to był pozytywny wyznacznik w moim młodym życiu Nikt nigdy wcześniej nie zadał mi takiego dorosłego pytania Więcej, odezwała się do mnie tak, jakbym był całkiem dorosły. Od tamtych chwil uwielbiałem i uwielbiam ją z bezgraniczną lojalnością.

Przez tydzień pokazywała mi bele barwnego adamaszku i jedwabiu, pytając, który kolor moim zdaniem jest najweselszy i najśłodszy, i musiałem przyznać, że żółty wydaje mi się najweselszy ze wszystkich.

Wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem do kuchni, by pokazać żółte zasłony, na co wybuchła śmiechem i powiedziała że żółty kojarzy się jej z masłem.

Ale urządziła pokój na żółto! Użyła lekkich materiałów, kojarzących się z latem, zwiewnych jak poprzednie biele, ale cały pokój w żółciach zrobił się czarodziejski i szczerze powiem, że nigdy nie podobał mi się tak bardzo jak po tamtej zmianie.

Przez lata wiele razy zmieniała wystrój pokoju, obicie łóżka, draperie, obicia foteli, zmieniała również garderobę. Tamtego pierwszego dnia jednak, gdy ujrzałem ją w czystej bieli, wydała mi się prawdziwie królewską postacią; pamiętam zachwyt jej urodą, nieskazitelnymi manierami i sposobem wyrażania się.

Co się tyczy kamei, to wszystko mi wytłumaczyła - była na niej

*mityczna Hebe podająca puchar Zeusowi, królowi bogów, który
przyjąwszy postać orła, zanurzał dziób w pucharze i pił z niego.*

*Tymczasem Goblin tylko plątał się naburmuszony przy drzwiach,
wbijając ręce w kieszeń, aż zwróciłem się do niego, mówiąc, aby podszedł
bliżej, gdyż chcę go przedstawić ciotce Queen. Opisałem go najwierniej jak
umiałem, ponieważ z tego, co wiedziałem, poza mną nikt nigdy go nie
widział. Mógłbym przysiąc, że spojrzęła obok mnie i miałem przeczucie,
cień przeczucia, że faktycznie go widzi, przynajmniej w chwili, w której
zmrużyła powieki.*

*Przyjrzała mi się uważnie, tak jakby dokonywała jakiegoś
porównania, i spytała bardzo łagodnie:*

- Czy jesteś z nim szczęśliwy?

*To pytanie zupełnie mnie zaskoczyło, tak jak wcześniejsze. Chyba coś
wybąkałem, że Goblin jest zawsze przy mnie poza tymi momentami, w
których się ukrywa, jakby to, czy jestem z nim szczęśliwy czy nie, nie miało
znaczenia. Wtedy on zaczął szarpać urnie za rękaw, próbując wyciągnąć
mnie z pokoju.*

*- Zachowuj się, Goblin! - powiedziałem, tak jak czasem mówiła do
mnie babunia: „Zachowuj się, Quinn!” i Goblin, wydymając usta i robiąc
miny, zniknął.*

*Zacząłem płakać. Na to ciotka bardzo się zaniepokoiła i spytała,
dlaczego płaczę, a ja powiedziałem jej, że teraz Goblin nie pokaże się przez
długi czas. Będzie czekał w nieskończoność, a ja będę dotąd płakał, aż
zachce mu się wrócić.*

Ciotka zastanawiała się długą chwilę i powiedziała, że nie wolno mi płakać.

- Wiesz, co myślę, Quinn? - rzekła. - Myślę, że jeśli będziesz cicho siedział i udawał, że go nie potrzebujesz, Goblin wróci.

To był sposób. Kiedy pomagałem jej i Babie Ramonie rozpakowywać walizki i bawiłem się kameami, które ciotka rozłożyła na swoim sławnym marmurowym stolyczku, Goblin się pojawił. Zerknął przez drzwi, a potem, wydymając usta i chmurząc się, wszedł do środka.

Ciotce nie przeszkadzało, że do niego mruczę, wyjaśniając mu, kim ona jest i że wszyscy mówią do niej „panno Queen”, ale my mamy się do niej zwracać „ciociu Queen”, a gdy Baba Ramona zaczęła mnie poprawiać i kazała mi milczeć, ciotka powiedziała:

- Nie, niech mówi. - Po czym zwróciła się do niego: - Ale ty, Goblinie, nie uciekaj więcej.

Kolejny raz byłem pewien, że go widzi, ale powiedziała, że nie, i tylko wierzy mi na słowo, że Goblin jest w pokoju.

Podczas całego pobytu mówiła do mnie jak do dorosłego, ćpałem w jej łóżku obok niej. Kazała kupić w mieście duże białe Podkoszulki i używałem ich jako koszul nocnych. Przytulałem się do niej jak do Małej Idy i spałem tak twardym snem, że na - Wet Goblin nie potrafił mnie obudzić, dopóki ona nie kazała mi wstawać.

Ida była z tego powodu troszeczkę urażona, bo spaliśmy t razem od zawsze, ale ciotka umiała ją rozchmurzyć i przestała się dąsać. Wolałem oglądać jej białą baldachim niż tamten w moim pokoju.

Pozwól, że przejdę do innego wspomnienia, które musi pochodzić z tego samego okresu. Pojechaliliśmy wielką limuzyną ciotki do Nowego Orleanu. Nigdy nie siedziałem w takim samochodzie ale z całej przejażdżki zapamiętałem tylko tyle, że Goblin siedział po mojej prawej stronie, a ciotka po lewej. Goblin usiłował być nieprzezroczysty, ale wielokrotnie się rozmywał.

Najlepiej zapamiętałem z tego dnia obrazek bocznej uliczki długi ceglany mur i chodnik zasłany w całości różowymi płatkami. To był jeden z najpiękniejszych widoków w moim życiu. Żałuję, ale nie wiem, gdzie jest ta uliczka. Pytałem ciotkę, ale nie pamięta.

Nie wiem, czy te płatki spadły ze szpaleru lagerstremii czy japońskich magnolii. Myślę, że to były lagerstremie po deszczu. Nigdy nie zapomnę tamtego długiego chodnika i cudownej ścieżki płatków, jakby ktoś rozrzucił je celowo, żeby ludzie mogli po nich chodzić, przeniesieni z rzeczywistości w sen.

Nawet teraz, gdy nie mogę znieść mojej egzystencji, myślę o tamtym chodniku, wspominam senne światło, poczucie, że czas się zatrzymał, i piękno różowych płatków. Wtedy oddycham.

To nie ma żadnego związku z moją opowieścią, może tylko świadczyć, że dostrzegam takie rzeczy i jestem na nie wrażliwy. Istotne jest to, że poszliśmy do domu bardzo afektowanej i pretensjonalnej pani, która miała cały pokój zabawek i pierwszy dom dla lalek, jaki widziałem w życiu. Nie wiedząc, że chłopcom nie wypada się bawić lalkami, oczywiście byłem go ciekawy i nie chciałem zająć się niczym innym.

*Jak sobie przypominam, tamta pani lubiła ustawiać wszystko po
swojemu,
bombardowała
mnie
pytaniami,
mówiąc
słodkim,
afektowanym, sztucznie dziecinnym głosem. Interesował ją przede
wszystkim Goblin, który wściekły i ponury wlepił w nią oczy Nie podobał
mi się jej przymilny ton, gdy pytała: „Czy Goblin zachowuje się
niegrzecznie?” i „Czy momentami czujesz, że Goblin robi coś, na co miałbyś
ochotę, chociaż ci tego nie wolno?”*

*Mimo że byłem mały, wyczułem, o co w tym wszystkim chodzi, i nie
byłem zaskoczony, gdy ciotka zatelefonowała z auta i powiedziała
dziadkowi, zupełnie się nie przejmując Goblinem ani mną: „To tylko
urojony towarzysz zabaw, Thomasie. On z tego wyrośnie, to kapitalny
dzieciak, pozbawiony kolegów. Dlatego mamy tego Goblina. Zupełnie nie
ma powodu się przejmować”.*

*Wkrótce dziadek zawiózł mnie do nowej szkoły. Nie cierpiałem jej
serdecznie, tak jak wcześniejszych, bez przerwy rozmawiałem z Goblinem,
używając wojowniczego tonu, i nie minęło południe, a odesłano mnie do
domu.*

*Następnego tygodnia dziadek odbył ze mną długą drogę do Nowego
Orleanu, do zerówki w zamożnej dzielnicy, ale wynik był ten sam. Goblin*

wykrzywił się do dzieci, a ja ich nie cierpiałem. Głos nauczycielki doprowadzał mnie do żywej pasji, gdy zwracała się do mnie jak do idioty, i dziadek niebawem zajechał pikapem, aby zabrać mnie tam, gdzie chciałem być.

Potem mam żywe, chociaż fragmentaryczne wspomnienie, bardzo zniekształcone i pełne sprzecznych odczuć. Wsadzono mnie do jakiegoś szpitala, najpierw do ciasnej klitki, potem znów do wielkiej bawialni, w której był dom dla lalek, i wiedziałem, że jestem obserwowany przez ludzi stojących za lustrem, bo Goblin dał mi znać, że tam są. Nie cierpiał tego miejsca. Ludzie, którzy zadawali mi pytania, mówili, jakby byli moimi wielkimi przyjaciółmi, co oczywiście daleko odbiegało od prawdy.

„Gdzie nauczyłeś się tych wszystkich mądrych słów?”, tak brzmiało jedno konkursowe pytanie, a drugie: „Mówisz, że jesteś szczęśliwy, bo jesteś niezależny. Wiesz, co znaczy słowo niezależność?” Oczywiście, że wiedziałem, i wytłumaczyłem im: to znaczyło być panem samego siebie, nie chodzić do szkoły i nie siedzieć w tym budynku. I niebawem stamtąd wyszedłem, mając Poczucie, że odzyskałem wolność tylko dlatego, że się uparłem i nie chciałem być miły. Ale byłem ciężko wystraszony i rozplakałem się histerycznie, kiedy rzuciłem się w ramiona babuni, która łkała i łkała.

Może tego wieczoru, którego wróciłem do domu, a może i wkrótce potem - nie wiem - ciotka zapewniła mnie, że nigdy więcej nie zostawią mnie w „szpitalu”. Innego dnia dowiedziałem się, że to był wymysł ciotki, bo Patsy głośno krytykowała ją w mojej obecności i miałem straszny

*mętnik w głowie, ponieważ ogromnie kochałem ciotkę Queen i bez niej
czułem się nieszczęśliwy.*

*Kiedy potrząsnęła głową i przyznała, że źle zrobiła, posyłając mnie
do szpitala, ogarnęła mnie wielka ulga. Ciotka zauważyła to, pocałowała
mnie i spytała o Goblina, a ja jej powiedziałem, że jest przy mnie.*

*Znów go widziała, mógłbym przysiąc, i nawet zauważyłem, że się
nadął i zrobił dumną minę na jej użytek. Ale powiedziała tylko, że skoro
kocham Goblina, to ona też go będzie kochać. Zalałem się łzami szczęścia i
wkrótce Goblin też płakał jak szalony.*

*Potem pamiętam, jak ciotka siedzi ze mną przy stoliku w tym pokoju
i uczy mnie pisać nowe słowa - dokładnie biorąc, widzę wielką listę
rzeczowników, nazwy wszystkich rzeczy w sypialni. Ciotka przyglądała mi
się cierpliwie, gdy uczyłem Goblina tych wszystkich słów - łóżko, stół,
krzesło, okno i tak dalej.*

*- Goblin pomaga ci zapamiętać - powiedziała z powagą. - Myślę, że
Goblin sam jest bardzo mądry. Jak sądzisz, czy zna słowo, którego ty nie
znasz? Słowo, którego do tej pory się nie nauczyłeś?*

*Byłem zaskoczony. Już miałem powiedzieć, że nie, kiedy Goblin
położył rękę na mojej ręce i swoimi spiczastymi kulfonami napisał „Stop” i
„Zwolnij”. A potem „Szkoła”.*

Roześmiałem się, taki byłem z niego dumny. On jednak nie skończył.

Krótkimi kanciastymi ruchami napisał „Ruby River”.

Słyszałem, że ciotkę zatchnęło.

- Wytłumacz mi te słowa, Quinn - poprosiła.

Chociaż potrafiłem wytłumaczyć „stop” i „zwolnij”, bo widziałem je pod znakami na drodze, to nie umiałem przeczytać „szkoła” ani „Ruby River”.

- Spytaj Goblina, co to znaczy - powiedziała ciotka.

Zrobiłem, co mi kazała, i Goblin wyjaśnił mi wszystko bez słów, wkładając myśli do głowy. „Stop” znaczyło „zatrzymaj samochód zwolnij”

- „jedź wolniej”, „szkoła” - „uważaj na dzieci” a „Ruby River” to była nazwa rzeki, nad którą się przejeżdżało, do szkoły albo na zakupy.

Nigdy nie zapomnę wyrazu powagi, który pojawił się na twarzy ciotki.

- Spytaj Goblina, jak się tego nauczył - powiedziała.

Gdy go spytałem, on tylko robił zęza, kiwał na boki głową i tańczył.

- Chyba sam tego nie wie - odrzekłem - ale wydaje mi się, że patrząc i słuchając.

Wydawała się bardzo ucieszona tą odpowiedzią i byłem ogromnie zadowolony.

- Ach, to brzmi niezwykle rozsądnie - stwierdziła. - I powiem ci coś.

Czemu Goblin nie miałby cię uczyć nowych słów, po kilka każdego dnia.

Mógłby zacząć teraz, żebyśmy oboje się czegoś nauczyli.

Musiałem jej wytłumaczyć, że Goblin dziś już nic więcej nie robi.

Nigdy nie lubił poświęcać niczemu zbyt wiele czasu. Opadał z sił.

Dopiero teraz, gdy to relacjonuję, zdaję sobie sprawę, że Goblin mówił sensownie w mojej głowie. Kiedy to się zaczęło? Nie wiem.

Podczas kolejnych miesięcy ciotka i Goblin nauczyli mnie pisania

mnóstwa powszechnie używanych słów. Każdy, nawet dziadek i babunia, uważali, że to dobra rzecz. I cała kuchnia śledziła w zachwycie mój dalszy rozwój.

Pisałem koślawymi literami: ryż, coca - cola, mąka, lód, deszcz,

Policja, szeryf, ratusz, poczta, Teatr Miejski, Artykuły Żelazne, apteka,

Wal - Mart - podając znaczenie tych słów, zgodnie z tym, co Goblin wkładał mi do głowy, a wkładał mi nie tylko sens i wymowę, ale też wizerunki.

Widziałem ratusz. Widziałem pocztę. Teatr. Natychmiast kojarzyłem dźwięki ze znaczeniem i to była zasługa Goblina.

Kiedy wspominam tamten dziwny proces, rozumiem, co oznaczał.

Goblin, którego uważałem za dużo głupszego od siebie, za diabelskie utrapienie, nauczył się czytać, pisać i był przede mną. I wyprzedzał mnie jeszcze przez długi czas. Jak tego dokonał? Tak jak powiedział. Patrzył, słuchał i otrzymując niewielki zasób surowego materiału do obróbki, zaszedł całkiem daleko.

Dlatego mogę powiedzieć, że uczył się szybko i powinienem dodać, że w sposób nieprzewidywalny i nie do skontrolowania. Muszę też dodać, że chociaż kuchenny gang powiedział mi, że Goblin to cud na ziemi, skoro nauczył mnie tych wszystkich słów to nadal w niego nie wierzył.

Pewnego wieczoru towarzyszyłem rozmowie dorosłych w pokoju

ciotki i usłyszałem słowo „podświadomość”, raz, a potem drugi. Kiedy usłyszałem je po raz trzeci, przerwałem im i spytałem, co to znaczy.

Ciotka wytłumaczyła mi, że Goblin żyje w mojej podświadomości, i

gdy dorosnę, prawdopodobnie zniknie. Nie powinienem teraz się nim

martwić. Później nie będę go już tak bardzo potrzebował i „problem” sam się rozwiąże.

Wiedziałem, że to nieprawda, ale za bardzo kochałem ciotkę, aby się jej sprzeciwić. A poza tym niebawem wyjeżdżała. Wzywały ją podróże.

Przyjaciele ciotki zjeżdżali do pałacu w Madrycie, na wyjątkowe przyjęcie, i gdy o tym myślałem, chciało mi się płakać.

Ciotka Queen wkrótce wyjechała, ale przedtem najęła młodą panią, która miała mnie uczyć w domu, i robiła to, przyjeżdżając każdego dnia do Blackwood. Ta nauczycielka okazała się mało skuteczną osobą i moje rozmowy z Goblinem napawały ją strachem, tak więc szybko odeszła.

Kolejne były nie lepsze.

Goblin nie cierpiał tych nauczycielek podobnie jak ja. Kazały mi robić nudne kolorowanki, wycinać kawałki stron z czasopism i naklejać na karton. I przeważnie nie wyrażały się szczerze, co, jak sądzę z dzisiejszej perspektywy, wyływało z założenia, że dziecko myśli inaczej niż dorośli.

Nie mogłem tego znieść. Szybko się nauczyłem, jak można je wystraszyć.

Nie miałem żadnych zahamowań w tym względzie, byle tylko pozbawić je władzy nade mną. Chciałem, żeby się wyniosły. Z całą furią jedynaka, który miał własnego ducha, chciałem, żeby się wyniosły.

Chociaż przewinięło się ich sporo, wkrótce znów zostałem sam z

Goblinem. Jak zawsze mieliśmy dla siebie całą posiadłość i czasem odwiedzaliśmy fornali, by oglądać w telewizji boks, sport, który zawsze uwielbiałem - prawdę mówiąc, jedyny, który lubię oglądać i nadal oglądam - i kilka razy widzieliśmy duchy na starym cmentarzu.

Co się tyczy ducha Williama, widziałem go przynajmniej trzy razy przy biurku w salonie - nie zwracał na mnie uwagi, podobnie jak ciotka Camille na schodach na strych.

Mała Ida czytała mi bogato ilustrowane książeczki dla dzieci nie przejmując się wcale tym, że Goblin też słuchał i patrzył, wszyscy troje w jednym łóżku, oparci o wezglowie. Dzięki niej nauczyłem się trochę czytać, a Goblin potrafił czytać mi książkę, jeśli miałem cierpliwość go słuchać, nastawić się na odbiór cichego głosiku, brzęczącego w mojej głowie. Jak wspomniałem,

w

deszczowe

dni

jego

postać

była

naprawdę

nieprzezroczysta. A kiedy biegaliśmy w letnim deszczu, był doskonale widoczny przez godzinę.

Musiałem mieć dziewięć lat, gdy nastąpiła rzecz nieunikniona.

Goblin ujął mnie za rękę i zaczął pisać bardziej skomplikowane teksty, niż kiedykolwiek mi się udało. W kuchni, gdzie już siedziałem razem z dorosłymi przy dużym stole, nabazgrał coś w tym stylu: „Quinn i ja chcemy pojechać autem dziadka. Chcemy znów pojechać na walki kogutów. Chcemy zobaczyć, jak się piorą. Chcemy obstawiać”.

Była przy tym Mała Ida, Jasmine też. Żadna nie powiedziała, a babunia tylko pokręciła głową. Dziadek początkowo też się nie odezwał. Potem zrobił coś sprytnego.

- Słuchaj, Quinn - powiedział - mówisz nam, że to Goblin napisał, ale my widzimy tylko, że to twoja ręka się rusza. Żeby było jasne, przepis nam te słowa. Powiedz Goblinowi, niech pozwoli ci je przepisać. Chcę się przekonać, że macie różny charakter pisma.

Oczywiście, ciężko mi się pisało, ale moje pismo było znacznie Porządniejsze i równiejsze, zwłaszcza że pisałem drukowanymi literkami, tak jak nauczyła mnie Mała Ida. Dziadek cofnął się zdumiony.

Wtedy Goblin znów złapał mnie za rękę i napisał swoimi charakterystycznymi kulfonami: „Nie bójcie się. Kocham Quinna”.

Byłem upojony tym, co się wydarzyło, i pamiętam, że powiedziałem wszystkim obecnym, że Goblin jest najlepszym nauczycielem, jakiego miałem. Nikt się nie ucieszył z tego powodu, więc Goblin znów złapał mnie za rękę, bardzo mocno, i napisał, mało nie łamiąc kredki: „Nie wierzcie, że jestem. Quinn wierzy”.

Dla mnie było całkiem jasne, że Goblin jest samodzielną istotą i że wszyscy powinni to wiedzieć, ale nikt nie zamierzał przyznać tego na głos.

Niemniej jednak dziadek i ja pojechaliśmy w najbliższy weekend na walki kogutów i kiedy zbliżaliśmy się do Rubin River City, dziadek spytał, czy Goblin jest z nami w samochodzie. Powiedziałem, że tak, Goblin wczepia się we mnie, niewidzialny, oszczędza siły na podskakiwanie w przejściach między rzędami podczas walki, ale nie ma się co martwić, jest

tuż obok.

Na miejscu dziadek spytał: „Co Goblin zamierza?”, na co odparłem, że jest „w kolorze”, przez co miałem na myśli, że jest nieprzezroczysty i że biega przy mnie wokół całej areny, zbierając wygrane z zakładów dziadka. Oczywiście, musieliśmy też wypłacić kilka przegranych.

Może nigdy nie widziałeś walk kogutów, więc pozwól, że ci opiszę, jak to wszystko wygląda. Walki toczą się w klimatyzowanym budynku za miastem. Najpierw jest byle jaki hol z hamburgerami, hot dogami i napojami. Z holu przechodzi się na arenę, która jest okrągła i ma tylko dwa wejścia, dla publiczności z jednej strony i z drugiej dla kogutów i ich właścicieli. W środku tej areny jest wielka klatka wysypana ziemią, cała zabezpieczona gęstą siatką aż do sufitu. W klatce walczą koguty.

Dwaj ludzie wchodzą na ring ze swoimi kogutami, stawiają je na piasku i koguty rzucają się na siebie, gdyż są wojownik z natury. Kiedy jeden z nich osiągnie przewagę, są zabierane na zaplecze i tam walczą do śmierci. Hodowcy robią wszystko, żeby pomóc swoim pupilom. Łapią je za gardło i wysysają im krew prosto z dziobów, żeby złapały drugi oddech, i słyszałem też, że dmuchają im do tyłka.

Dziadek nigdy nie zaglądał na zaplecze. Jest tam brudno i kurz, i to dlatego większość ludzi na walkach kogutów, choćby nie wiem jak dobrze ubrana, zawsze wygląda tak, jakby wytarzała się w kurzu. Dziadek lubił pierwszą część walki, często zrywał się na równe nogi i dopingował na całe gardło swoich faworytów, a ja biegałem i zbierałem pieniądze, jak już mówiłem. Na te walki kogutów przychodzi trochę kobiet i dużo dzieci,

które zbierają i wypłacają wygrane, i jest to taki amerykański folklor, który pewnie się kończy.

Ja osobiście za nim przepadałem, Goblin też, jak już wyjaśniłem.

Koguty były fantastyczne, z długimi kolorowymi piórami, a kiedy skakały w powietrze, zmagając się z przeciwnikiem, czasem na trzy stopy albo wyżej, opadały i znów się podrywały, to było nie lada widowisko.

Dziadek znał tam wszystkich. Jak powiedziałem, był chłopem, i opowiadając teraz tę historię, uświadamiam sobie, że był chłopem z wyboru, połączywszy swój los z losem wiejskiej społeczności, chociaż mógł wybierać coś innego.

Skończył prawo na Loyola University w Nowym Orleanie, tak jak jego ojciec, Gravier. Mógł zostać kimś innym. Ale zdecydował się na takie a nie inne życie.

Hodował koguty bojowe, zanim przyszedłem na świat, i wszystko mi o nich opowiedział, o tym, że przez dwa lata są karmione najlepszym ziarnem i nabierają swojego cudownego upierzenia, żeby przeżyć kilka minut sławy na ringu. O ptactwie domowym powiedział, że rozmnaża się byle jak, jest traktowane byle jak i nie ogląda trawy ani świeżego powietrza. Kogut bojowy to żyje.

No cóż, taki był dziadek. Potrafił wrócić do domu z walk kogutów, wziąć prysznic, włożyć czarny garnitur i iść sprawdzić, czy przygotowano jak należy porcelanę Royal Doulton do kolacji i wzywał Małą Idę albo Lolly, żeby równiej rozłożyły srebro. Puszczął kasety z muzyką na harmonijkę w swoim pikapie i sprowadzał klasyczne tria i kwartety na

koncerty w salonie.

Umiał się znaleźć w różnych światach i przekazał mi to, Co najlepsze w każdym z nich, ale czemu nie cierpiał Patsy za to, że się tak poświęciła country, tego nie pojmuję.

Przeskoczmy teraz do momentu, w którym miałem dziesięć lat, i kiedy pojawiła się moja najlepsza domowa nauczycielka, niezrównana uroczą pani Lynelle Springer, która wybornie grała na pianinie, mówiła kilkoma obcymi językami, „uwielbiała” Goblina i często z nim rozmawiała, całkiem bez mojego udziału, co nawet budziło moją lekką zazdrość.

Oczywiście, wiedziałem, że to gra, ale Goblin nie miał o tym pojęcia i figlował, i popisował się sztuczkami przed Lynelle, które opisywałem jej szeptem. Wszystko, czego nauczyła mnie Lynelle przekazałem Goblinowi, a przynajmniej usiłowałem przekazać. I Goblin tak pokochał Lynelle, że skakał jak szalony, gdy każdego wieczoru pojawiała się w domu.

Była wysoka, szczupła, o wijących się kasztanowych włosach, które niedbale spinała z tyłu głowy, odsłaniając twarz. Używała perfum Shalimar i ubierała się, jak to mówiła, „romantycznie”, w szerokie sukienki z wysokim stanem, przywołujące w pamięci czasy króla Artura, jak mi wyjaśniła, i uwielbiała błękit. Była urzeczona Virginią Lee, jej portretem w jadalni i dlatego często nosiła błękitną suknię.

Nosiła też bardzo wysokie szpilki - co ciotka Queen na pewno pochwaliby całym sercem - miała niezwykle bujne piersi i wąską talię.

Była oczarowana dworem Blackwood. Tańczyła w wielkich pokojach. Żywo się wszystkim interesowała i była bardzo miła dla gości,

choć miała z nimi tylko przelotne kontakty.

Z miejsca oświadczyła, że posiadam „rzadki intelekt”. Otworzyłem przed nią ramiona - a w moim świecie, jak widzisz, uściski i pocałunki były na porządku dziennym, i Lynelle przyswoiła sobie te zwyczaje bez żadnych zahamowań. Oczarowała mnie. Bałem się, że ją utracę, bałem się, że mogę ją zrazić, jak celowo zraziłem inne nauczycielki, i przeżyłem największą zmianę nastawienia w sprawach dotyczących mojego świata.

Lynelle mówiła tak szybko, że dziadek i babunia narzekali cichu, że nie mogą jej zrozumieć. I pamiętam zażartą kłótnię wywołaną faktem, że ciotka płaciła jej trzy razy więcej niż innym nauczycielkom, tylko dlatego że poznały się w jakimś angielskim zamku.

I co z tego? Lynelle była wyjątkowa. Lynelle wykorzystwała talenty

Goblina; poprosiła go, aby nauczył mnie nowych słów, zasypywała nas kaskadami pięknie dobranych wyrażen, głosem, który był jeszcze piękniejszy niż słowa, gdy zwracała się do nas, jej „elfów”.

To, że Lynelle miała sześcioro małych dzieci, że była nauczycielką francuskiego, że wróciła do college’u przygotowującego do studiów medycznych, że była naukowym geniuszem, a do tego dawała recitale fortepianowe - to wszystko tylko wzmagalo podejrzliwość dziadka i babuni. Ale ja wiedziałem, że Lynelle jest jedyna w swoim rodzaju. Nie mogłem się mylić.

Przychodziła pięć razy w tygodniu na cztery godziny i w ciągu miesiąca podbiła wszystkich w Blackwood - swoją energią, urokiem, optymizmem i żywiołowością. Dosłownie zmieniła moje życie.

To ona nauczyła mnie elementarza - składania liter, budowy zdania, tak że pojąłem sens gramatyki, i tych zasad arytmetyki, które, muszę przyznać, stanowią całą moją matematyczną wiedzę.

Nauczyła mnie na tyle francuskiego, że rozumiałem wiele filmów z napisami, które oglądaliśmy, i nafaszerowała mnie historią i geografią, układając swoje płynne i cudownie interesujące wykłady wokół historycznych postaci, ale czasem analizując całe okresy pod względem osiągnięć w sztuce i rozstrzygnięć na polach bitew.

- Wszystko sprowadza się do sztuki i wojny, Quinn - powielala mi raz, gdy siedzieliśmy tu po turecku na podłodze - i to wstrząsający fakt, ale większość wybitnych mężów była szalona. Była tak staranna, że zwróciła się do Goblina po imieniu, gdy wyjaśniała, że Aleksander Wielki był skrajnym egocentrykiem, Napoleon miał zaburzenia obsesyjno - kompulsywne, a Henryk Ósmy był poetą, pisarzem i despotycznym potworem.

Pełna niewyczerpanych pomysłów Lynelle przytargała cały karton edukacyjnych i dokumentalnych kaset wideo, jak również uświadomiła mi, że w epoce telewizji kablowej nikt nie jest odcięty od źródeł edukacji. Nawet samotny chłopiec mieszkający w posiadłości Blackwood powinien wiedzieć wszystko po prostu z telewizji.

- Ludzie mieszkający w przyczepach odbierają te kanały, Quinn, pomyśl o tym. Kelnerki oglądają biografie Beethovena, a monterzy telefoniczni wracają do domu, oglądać dokumenty o drugiej wojnie światowej.

Wydawało mi się, że prości ludzie traktują telewizję raczej jako źródło rozrywki niż wiedzy, ale dostrzegłem potencjał tego medium i gdy przekonałem dziadka, aby kupił mi gigantyczny telewizor, nie posiadałem się z radości.

Kazała mi oglądać filmy popularnonaukowe, na które normalnie nie zwróciłbym uwagi, i wskazała mi wspaniały film, Wieczną miłość, w którym Gary Oldman gra Beethovena z taką maestrią, że płakałem za każdym razem, kiedy go oglądałem. Potem był Amadeusz z Tomem Hulce'em jako Mozartem i F. Murrayem Abrahamem jako Salierim, arcydzieło sztuki filmowej, zapierające dech w piersiach. Potem sięgnęła do historii po Pamiętną pieśń z Cornelem Wilde'em jako Szopenem i Merle Oberon jako George Sand i Dziś śpiewamy, o Solu Huroku, wielkim impresario. Były dziesiątki innych filmów, za pomocą których otworzyła przede mną świat.

Oczywiście pokazała mi Czerwone trzewiczki, które rozpały we mnie gorącą chęć poznania czarujących ludzi kultury, i Opowieści Hoffmana, które przemieniły moje sny. Ale te filmy wzbudziły we mnie prawdziwy fizyczny ból, tak rozwibrowany, tak wzniosły, tak pełen ekstazy był ich świat. Ach i teraz czuję ból, gdy o nich myślę, gdy widzę je w głowie. To boli. Dwa ostatnie obrazy odcisnęły na mnie niezatarte piętno.

Wyobraź sobie mnie i Lynelle na podłodze w tym pokoju, oświetlonym tylko ekranem telewizora i te filmy, te czary działające na nasze zmysły. I Goblin, Goblin wpatrujący się w telewizor, ogłupiały

ideami, które wyrastały mu przed oczami, i milczący, chociaż równocześnie usiłował zrozumieć, dlaczego jesteśmy tacy przejęci i cisi.

Kiedy krzyknąłem z bólu, Lynelle powiedziała z niewysłowioną łagodnością:

- Nie rozumiesz, Quinn? Mieszkasz w szalonym domu i jesteś ekscentryczny i utalentowany jak ludzie w tych filmach. Ciotka Queen wciąż cię zaprasza, żebyś odwiedził ją w Europie, a ty nie chcesz. I to źle, Quinn. Nie ograniczaj swojego świata.

Prawdę mówiąc, ciotka nigdy mnie nie zapraszała do Europy lub, dokładniej mówiąc, nie wiedziałem, żeby mnie zapraszała! Bez wątpienia dziadek i babunia wiedzieli o tym. Ale nie wyznali mi tego.

- Musisz dalej mnie uczyć, Lynelle - odparłem. - Naucz mnie tyle, żebym mógł być towarzyszem podróży cioci.

- Nauczę cię, Quinn - powiedziała. - Nic prostszego. Niemal jej uwierzyłem, że to takie proste. I pracowała dalej, przebiegając przez odkrycia archeologii, teorię ewolucji i książki o czarnych dziurach, od których czytania można było dostać zawrotów głowy.

Nauczyła mnie grać proste utwory Szopena i kilka ćwiczeń z Bacha. Przeszła ze mną całą historię muzyki, a potem mnie odpytywała, aż potrafiłem określić okres i styl. W przypadku utworów Mozarta rozpoznawałem nawet kompozytora.

Z Lynelle było jak w niebie.

Nauczyła mnie wielu łacińskich słów, wskazując, że są rdzeniami słów angielskich. Nauczyła mnie walca, two - stepa i tanga, chociaż tango

tak mnie śmieszyło, że przewracałem się podczas każdej próby.

Ona również wniosła pierwszy komputer do mojego pokoju, razem z pierwszą drukarką, i chociaż było to na długo przed Internetem, nauczyła mnie korzystać z komputera i szybko pisać trzema palcami każdej ręki.

Goblin był urzeczony komputerem. Od razu złapał mnie za rękę i wystukał: „Kocham Lynelle”. To sprawiło jej wielką przyjemność, a tymczasem ja poczułem, że on nadal trzyma mnie mocno za rękę i zmusza do pisania całej litanii słów bez spacji. Dałem mu sójkę w bok i kazałem się wynosić. Oczywiście, Lynelle ugłaskała go miłymi słówkami.

Goblin dopiero długo potem odkrył, że może pisać na komputerze bez mojej pomocy.

Wróćmy do Lynelle. Kiedy tylko umiałem wystukać list na komputerze, napisałem do ciotki, która siedziała w Indiach, odbywając tam coś w rodzaju pielgrzymki. Wyznałem, że Lynelle jest wysłannikiem niebios i jej wysłannikiem. To sprawiło ciotce tak wielką przyjemność, że zaczęliśmy wymieniać listy dwa razy w miesiącu.

Przeżyłem z Lynelle wiele wypraw.

W sobotę popłynęliśmy pirogą na bagna, złożywszy przysięgę, że znajdziemy Wyspę Słodkiego Czarta, ale na widok pierwszego jadowitego węża Lynelle mało nie wyzionęła ducha ze strachu i krzycząc, kazała nam wracać na ląd. Miałem rewolwer i mogliśmy zastrzelić węża, gdyby się zbliżył, do czego zresztą wcale się nie palił, ale Lynelle była przerażona, więc zrobiliśmy, co kazała.

Nie posłuchaliśmy dziadka, który radził nam włożyć koszule z

długimi rękawami, i pogryzły nas komary. Tak więc nigdy więcej nie powtórzyliśmy tej wycieczki. Ale w chłodne wieczory siadywaliśmy na nagrobkach i patrzyliśmy na bagniska, aż mrok i komary przegoniły nas do domu.

Oczywiście, któregoś dnia mieliśmy się udać na wyprawę i znaleźć tę cholerną wyspę, ale zawsze były pilniejsze rzeczy do zrobienia.

Kiedy Lynelle odkryła, że nigdy w życiu nie byłem w muzeum, zapakowała nas do swojej ryczącej sportowej mazdy. Odkręciliśmy radio na pełno regulator i słuchając techno - rocka objechaliśmy jezioro. W Nowym Orleanie obejrzełiśmy cudowne muzeum, nowe akwarium, po czym wałęsaliśmy się po galeriach i dzielnicy francuskiej dla samej zabawy.

Wiesz, trochę znałem Nowy Orlean. Często jeździliśmy na mszę i wspaniałego kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny na rogu Josephine i Constance, bo to była parafia babuni i jeden z tamtejszych księży był jej kuzynem, a więc i moim krewnym - A w okresie Mardi Gras czasem jeździliśmy oglądać nocne parady z frontowej werandy domu siostry babuni, ciotki Ruthie. Kilka razy nawet zostaliśmy u niej na dłużej.

Z Lynelle naprawdę poznałem to miasto, włóczyliśmy się bobrowaliśmy w antykwariatach przy Magazine Street albo zaglądaliśmy do katedry Świętego Ludwika, żeby zapalić świeczkę i zmówić modlitwę. Lynelle przygotowała mnie do pierwszej komunii i bierzmowania, a obie te ceremonie odbyły się w Wielką Sobotę w kościele Marii Panny.

Zjawiała się cała rodzina ze strony babuni, w tym jakieś pół setki ludzi, których do tej pory nie widziałem na oczy. Ale byłem zadowolony, że stałem się członkiem Kościoła jak należy, i przeszedłem okres łagodnej fascynacji wiarą, oglądałem kasety o Watykanie, historii Kościoła i żywotach świętych.

Szczególnie zaintrygowało mnie to, że święci i święte mieli wizje, że niektórzy widzieli anioły i nawet z nimi rozmawiali. Zastanawiałem się, czy Goblin, nie będąc aniołem, przypadkiem nie pochodzi z piekła.

Lynelle powiedziała, że nie. Nigdy nie miałem odwagi ani wyraźnej potrzeby zapytać księdza o Goblina. Wyczuwałem, że zostanie uznany za wytwór chorej wyobraźni, i czasem sam tak o nim myślałem.

Lynelle spytała mnie, czy Goblin namawiał mnie do złego.

Powiedziałem, że nie.

- Więc nie musisz o nim opowiadać księdzu - wytłumaczyła. - Nie wiąże się z grzechem. Pracuj głową i sumieniem. W sprawie Goblina ksiądz wcale nie będzie mądrzejszy niż inni.

To teraz może brzmieć dwuznacznie, ale wtedy tak tego nie odebrałem.

Myślę, że te sześć lat z Lynelle to był jeden z najszcześniejszych okresów w moim życiu.

Naturalnie oddaliłem się od dziadka i babuni, ale byli ze mnie dumni i czuli ulgę, widząc, że nabywam wiedzę, i wcale tak bardzo za mną nie tęsknili. Poza tym nadal spędzałem trochę czasu z dziadkiem, grając na harmonijce po lanczu i rozmawiając o „starych dobrych czasach”, chociaż

dziadek wcale nie był żadnym starcem. I lubił Lynelle.

Nawet Patsy uległa urokowi Lynelle i przyłączała się do nas podczas niektórych wypadów, tak że musiałem wbijać się w ciasny tylny fotel sportowego samochodu, gdy dwie panie paplały z przodu. Moje najbardziej przejmujące wspomnienie związane z naszymi wyprawami z Patsy dotyczy Goblina. Rozmawiałem z nim cały czas i pamiętam, jaki szok przeżyła Lynelle, gdy Patsy zwymyślała mnie, żebym przestał się odzywać do tego obrzydliwego ducha.

Patsy czuła pokorę i respekt wobec Lynelle, a gdy oglądam się na tamte lata, widzę jeszcze jedno. Szacunek, który okazywała mi Lynelle, małemu Tarquinowi Blackwoodowi, który był kimś, nie tylko przyjacielem Goblina, sprawił, że i Patsy zaczęła patrzeć na mnie z szacunkiem i rozmawiać ze mną szczerzej niż wcześniej.

Moja własna matka traktowała mnie per nogam, dopóki Lynelle nie zwróciła na mnie jej uwagi i zdawkowe zainteresowanie zastąpiło pełną wyższości, arogancką litość wobec „biednego słodkiego maleństwa”, którą okazywała wcześniej.

Lynelle uwielbiała filmy, zwłaszcza, jak je nazywała, „gotyckie” czy „romantyczne”, ale przynosiła wszystkie taśmy, jakie tylko wpadły jej w ręce, od Robocopa do Ivanhoe, i oglądała je ze mną wieczorami, co czasem ściągało Patsy do mojego pokoju. Patsy podobał się Człowiek mroku i Kruk, a nawet Piękna i bestia Jeana Cocteau.

Wiele razy obejrzelśmy Córkę górnika, bo grała tam Loretta Lynn, śliczna gwiazdka country and western, uwielbiana przez Patsy.

Zauważyłem, że Lynelle potrafi bez trudu rozmawiać z Patsy językiem fanów country. To wzbudziło moją zazdrość. Chciałem mieć moją romantyczną i tajemniczą Lynelle tylko dla siebie.

W tamtych latach dowiedziałem się o Patsy czegoś, co powinienem był wcześniej przewidzieć. Patsy czuła się głupsza od Lynelle i ich znajomość zaczęła kuleć, w pewnej chwili była nawet o krok od zerwania.

Patsy nie mogła znieść towarzystwa, w którym czuła się głupsza, brakowało jej otwartości umysłu, żeby uczyć się Nowych rzeczy.

To, że Patsy odwróciła się od nas, nie zaskoczyło mnie i nie miało dla mnie znaczenia. (Myślę, że to Siódma pieczęć Bergmana okazała się bombą, która rozsadziła nasz trójkącik kinomanów.) Ale wydarzyło się również coś dobrego. Lynelle polubiła muzykę Patsy i spytała, czy moglibyśmy wpaść jej posłuchać, a potem bardzo chwaliła Patsy za to, co robiła ze swoim jednoosobowym zespołem, „przyjacielem” Seymourem, który grał na harmonijce i perkusji. (Seymour był oportunistycznym palantem, tak przynajmniej go wtedy osądzałem. Los miał w zapasie karę dla Seymoura.)

Patsy była tym wyraźnie zaskoczona i uradowana i wysłuchaliśmy sporo koncertów w rupieciarni, chociaż uczestniczyłem w nich bardziej ze względu na Lynelle niż na Patsy. Co oczywiste, Goblin był zachwycony i tańczył do upadłego albo raczej do zupełnego rozplynięcia się w powietrzu.

Kiedy o tym mówię, zdaję sobie sprawę, że Lynelle miała z góry przygotowany plan. Wyczuła, że Patsy się jej obawia i zaczyna od nas stronić - „Jesteście parą jajogłowych” - tak więc zaprowadziła mnie do

Patsy, bardzo mądrze tworząc nową płaszczyznę porozumienia.

Zrobiła coś więcej. Zabrała mnie na publiczne występy Patsy. To było gdzieś w Missisipi, za granicą stanu, podczas jakiegoś jarmarku.

Nigdy nie widziałem mojej matki na scenie, oklaskiwanej I nagradzanej okrzykami i to otworzyło mi oczy.

Ufarbowana na blond, utapirowana i wypacykowana Patsy wyglądała jak typowa plastikowa piękność, ale miała mocny, dźwięczny głos. Dobrze się czuła w klimacie country and western, ma grała na bandžo, a facet, którego oglądałem pierwszy raz w życiu, zasuwał na skrzypcach smutne melodie. Seymour tworzył pewną jednoosobową sekcję rytmiczną.

To wszystko było przesłodka i zrobiło na mnie ogromne wrażenie, ale kiedy Patsy zaczęła kolejny numer, ostry kawałek w typie Byłeś dla mnie wredny, draniu!, widownia wręcz oszalała Nie mogli się nasłuchać mojej młodziutkiej mamy i zbiegali się z całego jarmarku. Patsy jeszcze bardziej podniosła temperaturę swoim największym przebojem Zatruteś mi studnię, zrobię ci to samo. Niewiele więcej pamiętam. Pomyślałem sobie tylko, że jest materiałem na gwiazdę i że nie zmarnowała życia.

Ale nie potrzebowałem Patsy. Chyba nigdy jej nie potrzebowałem.

Może w oczach buraków była gwiazdą, ja jednak żyłem dziewiątą symfonią Beethovena. I miałem Lynelle. Najbardziej się cieszyłem, kiedy sami jechaliśmy do Nowego Orleanu, tylko Lynelle, Goblin i ja.

Nigdy nie znałem żadnego normalnego człowieka, który jeździłby szybciej od Lynelle, ale miała jakiś dar unikania policji, a kiedy raz nas

zatrzymano, opowiedziała wzruszającą historyjkę o tym, że śpieszymy się do kobiety, która rodzi, i nie tylko nie dostała mandatu, ale musieliśmy wyłgać się od eskorty, którą policjant chciał nas uszczęśliwić.

Lynelle była piękna. Nie da się tego inaczej określić. Przyjechała do Blackwood do wiejskiego smyka, który nie potrafił zdania napisać, a gdy rozstała się ze mną sześć lat później, byłem znakomicie wyedukowanym chłopakiem.

W wieku szesnastu lat zdałem wszystkie egzaminy do liceum, a na egzaminach do college'u też byłem w czubie.

Podczas naszego ostatniego wspólnego roku Lynelle nauczyła mnie również prowadzić samochód. Dziadek był cały za tym i wkrótce rozbijałem się pikapem po naszym majątku i wszystkich bocznych drogach w okolicy. Lynelle postarała się, żebym dostał prawo jazdy, a dziadek dał mi na własność starego pikapa.

Myślę, że Lynelle zrobiłaby ze mnie także pożeracza książek, gdyby tylko Goblin nie był taki zazdrosny o moje lektury, gdyby tylko tak mu nie zależało, żeby wiedzieć wszystko to, co ja, gdyby nie zmuszał mnie do czytania mu wszystkiego na głos i wysłuchiwania tego, co miał mi do powiedzenia. Dopiero mój drugi wielki nauczyciel, Nash, nauczył mnie umiejętności dawana nura w książki.

Tymczasem Goblin jakby karmił się Lynelle, tak samo jak karmił się mną, chociaż wtedy tak bym tego nie nazwał, i cały czas nabywał sił fizycznych.

Wielki wstrząs. Niedziela. Lało jak z cebra. Miałem z dwanaście lat.

Siedziałem przy komputerze, a Goblin wściekł się na mnie i maszyna zgasła. Sprawdziłem wszystkie kable, znów odpaliłem kompa, a Goblin znów swoje, wyłączył go.

- To twoja robota, prawda? - powiedziałem, oglądając się w jego kierunku.

Stał sobie przy drzwiach, mój idealny sobowtór, w dżinsach i biało - czerwonej koszuli w kratę. Różnił się ode mnie tylko tym, że skrzyżował ręce na piersi i miał na twarzy wyraz pogardliwej wyższości.

Patrząc na niego, znów włączyłem komputer, a wtedy on pokazał palcem lampę. Sprawił, że zamrugala.

- W porządku, znakomicie - rzuciłem. (To był jego ulubiony komplement od wielu lat.) - Ale nie waż się wyłączać prądu w tym domu.

Powiedz, czego chcesz.

Dał znak, że chce wyjść na deszcz.

- Nie, jestem na to za dorosły - powiedziałem. - Chodź tu zaraz i pracuj ze mną.

Przystawiłem mu krzesło, a gdy usiadł obok, wytłumaczyłem mu, że piszę do ciotki, i przeczytałem mu na głos list, chociaż to nie było konieczne. Dziękowałem ciotce za to, że ostatnio zaproponowała Lynelle, by korzystała z jej sypialni, gdy chciała się odświeżyć, przebrać lub zostać na noc.

Kiedy doszedłem do końca, Goblin złapał mnie za rękę i jak zawsze napisał

bez

spacji

„Jestem Goblini Quinn jest Goblini Goblini Quinnkochając cię Queen”.

Przerwał, rozplynął się.

Wiedziałem dobrze, że się wyczerpał, wyłączając komputer.

Poczułem się bezpiecznie. Resztę dnia i noc miałem dla siebie.

Innym razem, krótko potem, gdy Lynelle i ja tańczyliśmy do walca

Czajkowskiego - wirowaliśmy na parkiecie, kiedy wszyscy goście poszli już

do łóżek - Goblin walnął mnie w brzuch tak mocno, że zabrakło mi tchu, a

potem się rozplynął. Nie dlatego, że chciał, ale dlatego, że musiał. Zniknął

w sekundzie, a ja płakałem czując mdłości.

Lynelle była tym poruszona, ale uwierzyła mi bez wahania gdy jej

powiedziałem, że to robota Goblina, po czym usiedliśmy, by rozmawiać

otwarcie i szczerze, po dorostem, i wyznała mi że kilka razy czuła, jak

Goblin szarpie ją za włosy. Początkowo próbowała to ignorować, ale teraz

nabrała pewności, że to on.

- Silnego masz ducha - powiedziała.

Ledwo wyrzekła te słowa, a lampa zaczęła się kołysać. Nigdy

wcześniej nie widziałem tej sztuczki, tego nieznacznego ruchu ciężkich

mosiężnych ramion i kryształowych kloszy, ale za diabła nie mogłem

zaprzeczyć świadectwu własnych oczu. Lynelle wybuchła śmiechem. A

potem krzyknęła cicho, jakby czymś zaskoczona. Powiedziała, że coś ją

uszczyknęło w ramię. Znow się roześmiała i chociaż ja niczego nie

widziałem, zaczęła uspokajać Goblina, mówiąc, że jest z niego tak samo

dumna jak ze mnie.

Zobaczyłem Goblina - czternastoletniego, rozumiesz, bo wtedy miałem czternaście lat - stojącego przy drzwiach sypialni i patrzącego na mnie z dumą. Widziałem doskonale, że jego twarz stała się wyraźniejsza, niż była w przeszłości, głównie dlatego, że pojawiał się na niej zupełnie nowy wyraz - lekkiej pogardy. Szybko się zdematerializował i to potwierdziło moją wcześniejszą opinię, że gdy wchodził z kontakt z materią, tracił energię i się rozpływał. Niewątpliwie jednak stawał się silniejszy.

Kiedyś poprzysiągłem, że go „zabiję” za to, iż sprawił ból Lynelle, i po tym jak odjechała swoją błyszczącą mazdą, napisałem do ciotki, że Goblin robi „niesłychane” rzeczy, dręcząc innych ludzi. Opowiedziałem jej też, że bardzo mocno uderzył mnie w brzuch. Wysłałem ten list ekspresem, tak że doszedł po kilku dniach, chociaż była wtedy w Indiach.

W tamten weekend starałem się zabawić Goblina, czytając mu na głos godzinami Zagubione światy, cudowną książkę o archeologii, prezent od ciotki.

Kiedy tylko ciotka dostała mój list, zadzwoniła i powiedziała, że muszę kontrolować Goblina, muszę jakimś sposobem powstrzymać jego zachowania, zagrozić mu, że nie będę na niego patrzył albo nie będę z nim rozmawiał. I muszę być konsekwentny.

- Chcesz powiedzieć, ciociu, że w końcu w niego wierzysz? - spytałem.

- Quinn, jestem teraz na drugiej półkuli - odpowiedziała. - Nie mogę rozprawiać z tobą o Goblinie. Chodzi mi to, że musisz go powstrzymać, bez względu na to, czy jest prawdziwy i istnieje niezależnie od ciebie, czy jest

tylko częścią twojego „ja”.

Zgodziłem się z nią i powiedziałem, że wiem, jak nad nim zapanować.

Ale skupię się na tym, by dowiedzieć się jeszcze więcej. Tymczasem będę ją informował o przebiegu wydarzeń.

Zachwycała się logiką i stylem mojego listu, i tym, że wykazuję wielkie postępy. Zaslugi za to przypisywała bezpośrednio Lynelle.

Zastosowałem się do wskazówek ciotki i Lynelle też się do nich zastosowała. Jeśli Goblin zrobił coś niewłaściwego, wygłaszaliśmy mu kazanie, a potem nie zwracaliśmy na niego uwagi, aż zaprzestał swoich słabych, żalonych ataków. To był sposób.

Goblin wszak coraz bardziej chciał pisać i wzniósł się na nowy poziom koncentracji: umieszczał komunikaty na ekranie. W tym celu posługiwał się moją ręką. To było coś zupełnie niesamowitego, widok jednej, lewej ręki biegającej po całej klawiaturze. Lynelle przyglądała się temu z mieszanką lęku i fascynacji, ale dokonała zdumiewającego odkrycia.

Kiedyś mianowicie okazało się, że może się ze mną porozumiewać w sposób niepojęty dla Goblina, pisząc napuszonym staromodnym stylem.

Tamtego dnia wystukała coś takiego:

„Nasz pełen galanterii i czujnością wslawiony Doppelgänger być może nie jest mocen przejrzeć wielu cerebralnych procesów, toczących się w podczaszkowych sferach jego ulubieniem spętanego i po częstokroć niegodziwie traktowanego Tarquina Blackwooda”.

Tępa mina Goblina zdradzała, że Lynelle trafiła w dziesiątkę. Mimo

ze kiedyś był znacznie lepszy ode mnie, takich wiadomości potrafił

rozszyfrować. Lynelle pisała dalej, mniej więcej tak:

„Pojmijże, Tarqunie drogi, iż skoro twój Doppelgänger tylko

wchłonie całość tego, coś ty wchłonął, oprzeć się może o granice swych

mocy, zacne dzielenie włosa na czworo, tak że gdy zapragniesz,

przeniesiesz się do ogrodu pięknej wolności, niedostępnej pragnieniom i

żądaniom innych”.

Przejąłem klawiaturę i śledzony podejrzliwie przez Goblina który był

bardzo nieprzezroczysty i bardzo zaciekawiony, napisałem, że

zrozumiałem wszystko i że teraz komputer będzie nam służył do

dwojakiego rodzaju szybkiej łączności. Goblin będzie mi posyłał proste

wiadomości, pisząc moją ręką, a Lynelle i ja będziemy się komunikować za

pomocą szerszego słownictwa, niedostępnego dla Goblina.

Zaraz potem Lynelle starała się wytłumaczyć te mechanizmy Patsy,

ale usłyszała tylko: „Lynelle, jesteś bardziej stuknięta niż Quinn, I powinni

zamknąć was oboje w domu bez klamek”. A gdy Lynelle zwróciła się do

dziadka i babuni, chyba nie zrozumieli, jak ważne jest to, że Goblin nie wie

o wszystkim, co się dzieje w mojej głowie.

Bo prawda wyglądała tak: Goblin niekoniecznie potrafił czytać moje

myśli! Teraz, kiedy sobie przypomnę to odkrycie, wydaje mi się czymś

wstrząsającym, ale żeby nie skłamać, powinienem dawno do niego dojść.

Co się tyczy dziadka i babuni, to wcale nie byli zachwyceni

wiadomością, że Lynelle wierzy w Goblina, gdyż wcześniej ukrywaliśmy to

przed nimi, i oświadczyli sztywno, że „nie należy rozwijać tej strony

osobowości Quinna” i że tak doskonale wykształcona nauczycielka jak Lynelle chyba się z nimi zgodzi w tym względzie. Dziadek mówił coraz twardszym tonem, a babunia zaczęła płakać.

Pozbyłem się reszty towarzystwa i kiedy zostaliśmy sami w kuchni, babunia i ja, pomogłem jej otrzeć łzy fartuchem, zapewniając, że wcale nie zwariowałem.

Ten moment zapadł mi głęboko w pamięć, bo babunia, która zawsze mówiła o wszystkich tylko dobrze, wyszeptała mi do ucha, że „Patsy w głowie się zmąciło” i że nie chce, żeby ze mną sta się podobnie.

- Moja córeczka mogła mieć przyjęcie na szesnaste urodziny - powiedziała babunia. - Mogła być na balu debutantek w Nowym Orleanie. Mogła należeć do najlepszych klubów w mieście. Mogła mieć to wszystko - Ruthie i ja urządziłybyśmy wszystko - ale ona zdecydowała się zostać tym, kim jest.

- Ze mną jest wszystko w porządku, babuniu - zapewniłem ją. I nie bój się o Lynelle ani o mnie. - Całowałem ją i całowałem. Otarłem jej łzy i znów ją ucałowałem.

Mógłbym jej powiedzieć, że oczarowana Blackwood sama też zrezygnowała z tego całego wytwornego nowoorleańskiego życia, że spędziła życie w kuchni, z której wychodzi tylko po to, żeby przywitać gości hotelowych. Ale to byłoby niegodziwe z mojej strony. Tak więc poprzestałem na zapewnieniu, że Lynelle nauczyła mnie więcej niż ktokolwiek inny.

Goblin stał się włącznie naszym problemem, Lynelle i moim - no i

ciotki. Nie pytaliśmy innych o radę, nie narzekaliśmy na nasz los, a Lynelle wierzyła mi, kiedy mówiłem, że czasem nie mam sił się przed nim bronić.

Na przykład, kiedy chciałem poczytać, obojętnie, długo czy krótko, musiałem czytać na głos Goblinowi. Dlatego, myślę, do dziś czytam tak wolno. Nigdy nie nauczyłem się pokonywać tekstu tak szybko jak należy. Wypowiadam każde słowo w głowie. A dawniej omijałem te słowa, których nie potrafiłem wymówić. Przebrnąłem przez Szekspira dzięki Lynelle, która przynosiła mi filmy zrobione na podstawie jego dramatów - szczególnie lubiłem te, które zrealizował aktor i reżyser Kenneth Branagh - i zapoznała mnie trochę z Chaucerem, ale oryginalna średniowieczna angielszczyzna okazała się bardzo trudna, nie mogłem jej ugryźć I Poprosiłem, żebyśmy dali sobie z tym spokój.

Są dziury w mojej edukacji, których nikt nigdy nie uzupełni. To nie ma jednak dla mnie znaczenia. Nie muszę znać nauk ścisłych, algebry ani geometrii. Moje namiętności to literatura, muzyka, malarstwo i historia. To dziedziny, które nadal jakoś podtrzymują mnie przy życiu w chwilach ciszy i samotności. Pozwól, że zakończę historię mojej miłości do Lynelle.

Tuż przed rozstaniem nastąpiło cudowne zwińczenie nasze” znajomości. Ciotka Queen, będąc w kraju podczas jednej ze swoich rzadkich wizyt, zadzwoniła z Nowego Jorku i spytała, czy Lynelle mogłaby mnie tam dostarczyć, i oboje - Goblin też - nie posiadaliśmy się z radości. Babunia i dziadek byli zadowoleni, że czeka nas taka przyjemność, ale sami nie mieli ochoty opuszczać posiadłości. Rozumieli, że na razie nie

chce przyjeżdżać do domu ale przekazali ciotce wiadomość, że spełniono jej życzenie, urządzając cały jej pokój w ulubionych błękitach Lynelle.

Wytłumaczyłem Goblinowi, że wyjeżdżamy daleko, o wiele dalej niż do Nowego Orleanu, że musi trzymać się blisko mnie znacznie bliżej niż dotychczas. Oczywiście, miałem nadzieję, że zostanie w Blackwood, ale nie liczyłem na cud. Czemu, nie wiem. Może dlatego, że gdy wyjeżdżaliśmy do Nowego Orleanu, zawsze nam towarzyszył. Ale co nim kierowało, tego nie wiem.

Niemniej jednak nie bacząc na swoje nadzieje, uparłem się, aby Goblin dostał miejsce obok mnie w samolocie. Lecieliśmy wszyscy pierwszą klasą i stewardesy uprzejmie obsługiwały Goblina. Z ciotką spotkaliśmy się w hotelu Plaża przy Central Parku i przez dziesięć wspaniałych dni obejrzeliliśmy wszystkie cuda, jakie się tylko dało, muzea, widoki i tym podobne. Chociaż mieliśmy pokoje tak wielkie jak ciotka, zawsze pełne kwiatów i bombonierek z jej ukochanymi wisienkami w czekoladzie, Goblin i ja spaliśmy z ciotką jak dawniej.

Miałem wtedy szesnaście lat, ale w moich stronach nie ma znaczenia, że nastolatek albo nawet dorosły mężczyzna śpi w jednym łóżku ze swoją cioteczną babką czy nawet babką, takie są nasze zwyczaje. Szczerze mówiąc, nadal spałem z matką Jasmine, Matyldą, chociaż była już bardzo słaba i czasem zdarzało się jej trochę zmoczyć w łóżku.

O czym to ja...? Tak, o Nowym Jorku. W Plazie spałem z moją cioteczną babką w jednym łóżku.

Goblin był z nami cały czas, ale działo się z nim coś szczególnego. Z

dnia na dzień stawał się coraz bardziej przezroczysty - Nie potrafił przybrać cielesnej postaci. Nie miał też siły poruszać moją ręką. Przekonałem się o tym, gdy poprosiłem go, żeby mi napisał jak mu się podoba Nowy Jork. Nie potrafił. A to znaczyło też, że je mogło być mowy o szczypaniu i szarpaniu za włosy, tym bardziej że już bardzo go karałem za takie zachowania - milczeniem obojętnością. Zastanawiałem się nad tym, nad tą jego niezwykłą przezroczystością, ale tak naprawdę nie Goblin mnie zajmował. Chłonałem Nowy Jork.

Wielkim wydarzeniem podczas naszej wyprawy była wizyta w Metropolitan Museum.

Nigdy nie

zapomnę, choćbym

żył w

nieskończoność, jak Lynelle prowadziła mnie i Goblina od obrazu do obrazu i tłumaczyła związane z nimi okresy historii, biografie komentowała cudowności, które pochłanialiśmy wzrokiem.

Po trzech dniach spędzonych w muzeum Lynelle posadziła mnie na ławce w sali pełnej impresjonistów i spytała, do jakich wniosków doszedłem, oglądając to wszystko. Długo się zastanawiałem i powiedziałem jej, że według mnie to wojny światowe, pierwsza i druga,

odebrały malarstwu kolor. Powiedziałem, że może teraz, i dopiero teraz, jako że nie mamy trzeciej wojny światowej, kolor znów pojawi się na obrazach. Lynelle była bardzo zaskoczona, zastanowiła się nad tym, co powiedziałem, i stwierdziła, że może mam rację.

Pamiętam inne wydarzenia podczas tej wyprawy - wizytę w katedrze Świętego Patryka, w której płakałem, długi spacer po Central Parku, przechadzkę po Greenwich Village i SoHo, dreptanie w sprawie paszportu, na wypadek gdybym miał się wybrać do Europy - ale poza jedną sprawą nic nie zapadło mi szczególnie w pamięć. Otóż Goblin był przez cały czas absolutnie posłuszny i mimo że był całkowicie przezroczysty, wydawał się niesłychanie szczęśliwy i pobudzony, podobnie jak ja, chłonął wszystko szeroko wytrzeszczonymi oczami. Nowy Jork jest oczywiście tak zatłoczony że kiedy mówiłem do niego w restauracjach czy na ulicach, nikt nawet tego nie zauważał.

Po części spodziewałem się, że będzie go widać obok mnie na Portowej fotografii, ale jestem na niej sam.

Kiedy wróciliśmy, Goblin znów objawiał się w cielesnej postaci, psikusy, rozradowany tańczył, aż się wyczerpał i zniknął.

Czułem ogromną ulgę. Bałem się, że wyprawa będzie dla niego śmiertelnym ciosem - że to moja nieuwaga jest przyczyną jego znikania, a może nawet śmierci. Ale go odzyskałem. I były chwile, w których nie chciałem być z nikim innym.

Tuż po moich siedemnastych urodzinach przyszedł czas rozstania z Lynelle. Znalazła pracę w nowoorleańskiej klinice Mayfair Medical. I już

nie mogła pogodzić tej pracy z obowiązkami nauczycielki. Miałem szczęście, że wcześniej poświęciła mi tyle czasu.

Płakałem, ale wiedziałem, co Mayfair Medical znaczy dla Lynelle. To był nowiutki ośrodek badawczy, ufundowany przez niesłychanie zamożną nowoorleańską rodzinę Mayfair - znasz przynajmniej jednego jej członka - a tamtejsze laboratoria i wyposażenie już stały się legendą. Lynelle marzyła o badaniach nad hormonem wzrostu, prowadzonych pod kierunkiem sławnej lekarki, Rowan Mayfair, i przyjęcie do tego rewolucyjnego ośrodka było jej życiowym triumfem.

Kiedy się rozstawaliśmy, powiedziałem, że ją kocham. I mówiłem to z głębi serca. Mam nadzieję, że uwierzyła, iż byłem jej nieskończenie wdzięczny za wszystko. Modlę się o to.

Pewnego dnia pojechała na Florydę z dwiema koleżankami z pracy.

Wyrwały się na długi babski weekend do Key West, bez mężów i bez dzieci.

Zginęła w wypadku drogowym.

Ona, demon szybkości, nawet nie siedziała za kółkiem. Prowadziła jedna z koleżanek. Nad drogą, którą jechały, przeszło oberwanie chmury.

Samochód wpadł w poślizg i wjechał w tira. Kierująca kobieta została zdekapitowana. Lynelle początkowo uznano za martwą, potem, w szpitalu, przywrócono jej funkcje życiowe. Dwa tygodnie leżała w śpiączce. Twarz miała zmiażdżoną w ponad pięćdziesięciu procentach.

Dowiedziałem się o wypadku dopiero wtedy, gdy rodzina Lynelle

zawiadomiła nas o mszy za jej duszę, która miała być odprawiona w

Nowym Orleanie. Lynelle została już pogrzebana w Baton Rouge, gdzie

mieszkali jej rodzice.

Godzinami chodziłem jak błędny, powtarzając „Lynelle” Szalałem -

Goblin gapił się we mnie, kompletnie nie wiedząc, co myśleć. Mnie

brakowało słów. Mówiłem tylko jedno. „Lynelle”.

Dziadek i babunia zabrali mnie na mszę - odprawiono ją

nowoczesnym kościele przy cmentarzu. Goblin ukazał się cielesnej postaci

i zrobiłem mu miejsce koło siebie w ławce, ale bardzo mi przeszkadzał,

domagając się wyjaśnień, co się dzieje. Słyszałem jego głos w mojej głowie.

Wciąż gestykulował, wzruszał ramionami, unosił ręce, trząsł głową i

wciąż pytał bezgłośnie: „Gdzie Lynelle?”

Mszę odprawiał wiekowy ksiądz i obrządek miał swoistą elegancję,

ale dla mnie to był koszmar. Kiedy ludzie podchodzili do mikrofonu, by

wspominać Lynelle, wiedziałem, że powinienem zabrać głos, powinienem

powiedzieć, ile dla mnie znaczyła, ale nie mogłem opanować strachu, że

nie wykrztuszę słowa albo się rozplaczę. Przez całe moje śmiertelne życie

żałowałem, że wtedy nie zabrałem głosu.

Poszedłem do komunii i jak zawsze po jej przyjęciu powiedziałem

zwyczajnie i ze złością Goblinowi, że ma się zamknąć.

Potem wydarzyło się coś strasznego. Może się tego nie spodziewasz,

ale jestem szczerym katolikiem i wierzę w trans - substancjację - w to, że

ksiądz podczas mszy przemienia hostię i wino w ciało i krew Chrystusa. Po

komunii ukląknę w ławce i kazałem Goblinowi się zamknąć, a gdy się

odwróciłem, zobaczyłem, że klęczy tuż obok mnie, ramię przy ramieniu,

ma twarz równie żywą i rumianą jak ja i wbija we mnie wzrok. Wtedy po

raz pierwszy w życiu przestraszyłem się go. Wydał mi się tak pobudzony i sprytny, że ciarki przeszły mi po plecach.

Odwrociłem się, starając się nie czuć naporu jego ramienia jego ręki na moją rękę. Modliłem się. Myślałem nie wiedzieć o czym, aż otworzywszy oczy, zobaczyłem go znów - niesamowicie namacalnego - i obleciał mnie jeszcze silniejszy strach, jak mroźne tchnienie.

Ten strach nie ustępował. Przeciwnie, czułem wyraźnie obecność wszystkich ludzi w kościele, widząc z jakąś zdumiewającą dokładnością siedzących przede mną, nawet rozejrzałem się na boki, a potem przez ramię, na sąsiadów z tyłu. Oni byli normalni. Czułem to. Gdy jednak spojrzałem na tę cielesną zjawę obok, na te lśniące oczy, krzywy uśmiezek, ogarnęła mnie rozpaczliwa panika.

Chciałem się go pozbyć. Chciałem jego śmierci. Chciałem żeby podróż do Nowego Jorku go zabiła. Ale komu miałbym to powiedzieć? Kto by mnie zrozumiał? Czułem żądzę mordu i własną nienormalność. A Lynelle nie żyła.

Usiadłem w ławce. Ogarnął mnie spokój. On nadal usiłował przyciągnąć moją uwagę. Był po prostu Goblinem. A gdy przyłgnął do mnie, gdy zrezygnował z cielesności i niewidzialny owinął się cały wokół mnie, poczułem, że uspokajam się w jego objęciu.

Ciotka wróciła do kraju na mszę, ale że podróżowała z Sankt Petersburga i samolot miał opóźniony wylot z Newark w New Jersey, nie zdążyła na czas. Gdy zobaczyła, że jej pokój został urządzony w ulubionych błękitach Lynelle, wybuchła płaczem. Padła na błękitną

narzutę i odwróciła się na plecy. W szpilkach, wielkim kapeluszu i z nieobecny wyrazem zapłakanej twarzy wpatrywała się w baldachim, zupełnie bezsilna jak jedna z lalek, których miała pełno w buduarze.

Byłem tak zdruzgotany śmiercią Lynelle, że nie odzywałem się do nikogo, i chociaż zdawałem sobie sprawę, że moje otoczenie bardzo się mną przejmuje, nie potrafiłem wydobyć z siebie nawet jednego dźwięku. Siedziałem u siebie w pokoju, czytałem w fotelu przy kominku i tylko myślałem o Lynelle.

Goblin szalał z powodu mojego stanu. Bez przerwy mnie szczypał i szarpał za rękę, ciągnął mnie do komputera i dawał znaki, że chce pisać. Pamiętam, jak się w niego wpatrywałem, gdy stał przy biurku, wzywając mnie, i zdałem sobie sprawę, na co go naprawdę stać. Jego uszczypnięcia wcale nie stały się silniejsze, potrafił tylko minimalnie przygaszać światła, a kiedy ciągnął mnie za włosy, ledwo to czułem, i wiedziałem, że mogę go ignorować, nie obawiając się konsekwencji.

Kochałem go jednak. I nie chciałem go zabić. Nie chciałeś I przyszła chwila powiedzieć mu, co się wydarzyło. Zwlokłem się z fotela, podszedłem do komputera i wystukałem:

„Lynelle nieżywa”.

Czytał tę wiadomość bardzo długo, a gdy powtórzyłem ją na głos, nie zareagował w żaden sposób.

- No, Goblin, pomyśl. Ona nie żyje - powiedziałem. - Jesteś duchem i teraz ona też jest duchem.

Nadal nie reagował.

Nagle poczułem uścisk na mojej ręce, zaciskające się palce, i

wystukał na monitorze:

„Lynelle. Lynelle odeszła?”

Kiwnąłem głową. Plakałem i chciałem zostać sam. Powiedziałem mu,

że ona nie żyje. Znów ujął mnie za rękę i patrzyłem na poruszające się

klawisze i słowa na ekranie:

„Co to nieżywa?”

Rozdrażniony i jeszcze smutniejszy, wystukałem:

„Już jej tu nie ma. Odeszła. Nie żyje. Ciało straciło życie. Jej ciało nie

ma ducha. Ciało jest same. Ciało zakopano w ziemi. Jej duch odszedł”.

On po prostu nie mógł zrozumieć. Znów złapał mnie za rękę i napisał:

„Gdzie jest Lynelle nieżywa?” i „Gdzie Lynelle odeszła?”, a w końcu

„Dlaczego płaczesz za Lynelle?”

Ogarnął mnie zimny spokój, chłód wypływający ze skupienia.

Napisałem: „Smutny. Koniec Lynelle. Smutny. Płaczę. Tak”. Inne jednak

myśli dojrzywały mi w głowie.

Znów porwał mnie za rękę, ale osłabł z powodu wcześniejszych

wysiłków i zdołał tylko wypisać jej imię.

W tamtej chwili, gdy wpatrywałem się w czarne tło monitora i

zielone litery, zobaczyłem jakby świetlny punkcik i zastanawiając się, co

to może być, poruszyłem głową, żeby zasłonić źródło światła lub obejrzeć

je dokładniej. Przez sekundę zobaczyłem wyraźne światło świeczki.

Widziałem zarówno knot, jak i płomyk.

Natychmiast się odwróciłem i rozejrzałem po pokoju. Nie zobaczyłem

niczego, co mogłoby spowodować takie odbicie. Absolutnie niczego. Nie muszę dodawać, że nie mam świeczek. Jedyne świece palą się na ołtarzu w dolnym holu. Odwróciłem się do monitora. Świetlny punkcik zniknął. Zniknął płomyk świeczki. Znów poruszałem głowę, obejrzałem monitor pod wszelkimi możliwymi kątami. Żadnego światła. Żadnego odbicia płomyka świeczki.

Byłem zdumiony. Siedziałem długi czas bez ruchu, nie ufając własnym zmysłom, a potem, nie mogąc zaprzeczyć temu, co zobaczyłem, zapytałem Goblina, pisząc na komputerze: „Widziałeś płomyk świeczki?” Zadał kolejne, monotonne, wyrażające panikę pytania: „Gdzie Lynelle?” Lynelle odeszła. „Co to odeszła?”

Wróciłem na fotel. Goblin na moment zarysował się niewyraźnie, a potem poczułem uszczypnięcia i szarpanie za włosy, ale leżałem, nie zwracając na niego uwagi, tylko modliłem się, jakbym mógł zmienić przeszłość. Modliłem się o to, aby Lynelle nie wiedziała, jak ciężko została ranna, aby nie cierpiała w śpiączce, aby nie zaznała bólu. A co, jeśli widziała, jak samochód wpadał pod ciężarówkę? A co, jeśli słyszała słowa jakiejś bezdusznej pielęgniarki, która stojąc przy łóżku, mówiła, że jej twarz, jej piękna twarz, została zmiażdżona?

W ogóle nie cierpiała. Taka była wersja oficjalna.

W ogóle nie cierpiała. Tak przynajmniej twierdzono.

Na pewno widziałem światło świeczki! Widziałem je wyraźnie na monitorze.

- Ty mi powiedz, gdzie ona jest, Goblin - zamruczałem. - Powiedz mi,

czyjej duch zamienił się w światło.

Nie było odpowiedzi. Nie rozumiał, o co chodzi. Nie wiedział.

- Jesteś duchem - naciskałem go. - Powinieneś wiedzieć. Jesteśmy stworzeni z ciała i duszy. Jestem ciałem i duszą. Lynelle była ciałem i duszą. Dusza to duch. Gdzie poszedł duch Lynelle?

Coś tam bredził po dziecinnemu. Tylko na to było go stać.

W końcu podszedłem do komputera. Napisałem: „Jestem ciałem i duszą. Ciało szczypiesz. Dusza to to, co mówi do ciebie, co myśli, co patrzy na ciebie moimi oczami.

Milczenie. Powoli uformowała się zjawą, przezroczysta, wioną wyraźnych rysów twarzy, i znów się rozplynęła.

Dalej pisałem na komputerze: „Dusza to ta część mnie, kto mówi do ciebie, kocha cię i zna - to część czegoś, co się nazywa «duch». A kiedy moje ciało umrze, mój duch, czy moja dusza opuszczą ciało. Rozumiesz?”

poczułem jego dłoń zaciskającą się na mojej. Nie wychodź z ciała - napisał.

- Nie umieraj. Będę płakał”

Długo się zastanawiałem. Skojarzył. Tak. Ale chciałem dowiedzieć się więcej i poczułem szpony straszliwego niepokoju, nieomal panikę.

Jesteś duchem - napisałem. - Nie masz ciała. Jesteś czystym duchem.

Nie wiesz, gdzie odszedł duch Lynelle? Musisz wiedzieć. Powinieneś wiedzieć. Musi być miejsce, w którym mieszkają duchy. W którym są duchy. Na pewno wiesz!”

Zapadła długa cisza, ale wiedziałem, że jest tuż przy mnie.

Poczułem jego uścisk. „Nie wychodź z ciała - powtórzył. - Będę płakał

i płakał”.

„Ale gdzie jest dom duchów? - odpisałem. - Gdzie jest to miejsce, w którym mieszkają duchy, taki dom jak ten, w którym ja mieszkam?”

To nie odniosło skutku. Zadałem to samo pytanie, formułując je na kilkanaście sposobów. Nie potrafił zrozumieć. I niebawem zaczął pytać:

„Czemu duch Lynelle wyszedł z ciała?”

Opisałem mu wypadek. Zamilkł. W końcu jego zapas energii się wyczerpał, a że nie padał deszcz, co mogłoby go wzmocnić, zniknął.

Samotny, zmarznięty i wystraszony skuliłem się na fotelu i zasnąłem.

Jakiś czas temu między mną i Goblinem otworzyła się przepaść.

Poszerzała się przez te wszystkie lata, podczas których miałem przy sobie Lynelle, i teraz stała się niezmierna. Mój sobowtór kochał mnie i był do mnie przywiązany, ale już nie wiedział, co się dzieje w mojej duszy. A co jeszcze bardziej upiorne, nie wiedział, kim jest. Nie wyobrażał sobie, że jest duchem. Gdyby tak było, mówiłby o sobie jako o duchu. Ale nie. Nie potrafił tego dostrzec.

Po kilku ciągnących się w nieskończoność dniach ciotka zaczęła się szykować do wyjazdu do Sankt Petersburga, do Rosji. Czekają tam na nią dwie kuzynki. Naciskała na mnie, żebym z nią pojechał.

Byłem oszołomiony tą wizją. Sankt Petersburg, Rosja.

Przekonywała mnie najśłodziej jak umiała, że albo powinienem iść do college'u, albo poznawać świat.

Powiedziałem jej dobitnie, że nie jestem gotów ani na jedno, ani na

drugie. Nadal byłem załamany śmiercią Lynelle. Powiedziałem, że chcę podróżować i w przyszłości z nią pojadę, jeśli mnie wezwie, ale na razie nie mogę rozstać się z domem. Potrzebuję roku w domowym zaciszu. Muszę przeczytać i zgłębić wiadomości przekazane mi przez Lynelle (tym sposobem odniosłem zwycięstwo!) i mogę to zrobić tylko w domu.

Chciałem pomóc dziadkowi i babuni przy gościach. Zbliżał się Mardi Gras. Pojadę z babunią do Nowego Orleanu, obejrzę paradę z balkonu jej siostry. A potem zapowiadał się najazd gości w domu. Z kolei było Święto Azalii i tłum na Wielkanoc. I muszę być w domu na Boże Narodzenie. Nie mogę myśleć o zwiedzaniu świata.

Kiedy teraz zastanawiam się nad tamtym okresem, widzę, że wpadłem w stan głębokiego niepokoju, z którego nic nie potrafiło mnie wyciągnąć, w którym nic nie potrafiło mnie uspokoić. Weselość gości wydawała mi się czymś niepojętym. Bałem się zmierzchu. Widok flakonów z kwiatami napawał mnie dreszczem. Goblin był czymś nieważnym i zwyczajnym, prymitywny duch, który nie mógł mi zapewnić żadnej pociechy ani towarzystwa. Myślałem z obawą o tych szarych, pozbawionych słońca dniach, które miały nadejść w sposób nieunikniony. A może przeczuwałem okropne czasy, które miały nastąpić.

Nie minęło pół roku, a Mała Ida umarła w moim łóżku podczas snu.

Znalazła ją Jasmine, która przyszła obudzić mnie na śniadanie, zdziwiona, czemu jej matka nie zeszła jeszcze na dół. Zostałem wyrwany z łóżka, czemu towarzyszyły dzikie wymachiwanie rękami, wezwania i tępe spojrzenia Goblina. W końcu dziadek wyciągnął mnie z pokoju. A ja, zepsuty gówniarz, który dopiero co się obudził, byłem wściekły.

Godzinę potem, gdy przyjechali lekarze i przedsiębiorca pogrzebowy, wreszcie powiedziano mi, co zaszło. Mała Ida była takim samym aniołem stróżem mojego dzieciństwa jak babunia i umarła cichutko, bez hałasu.

Była bardzo drobna w trumnie, jak wycieńczone dziecko.

Pogrzeb odbył się w Nowym Orleanie. Mała Ida została pochowana w grobowcu numer jeden u Świętego Ludwika, który jej rodzina miała od ponad stu pięćdziesięciu lat. Przybyło mnóstwo żałobników i na szczęście płacz, a nawet głośny szloch były czymś jak najbardziej na miejscu.

Oczywiście wszyscy biali - a zjawilo się ich sporo z naszej strony - byli nieco bardziej opanowani niż Murzyni, ale zacni żałobnicy nie szczędzili łez.

Co się tyczy mojego materaca, to Jasmine i Lolly przewróciły go na drugą stronę. I na tym się skończyło.

Oprawilem moją najlepszą fotografię Małej Idy, zrobioną u ciotki

Ruthie podczas Mardi Gras, i powiesilem ją na ścianie.

W kuchni nastal powszechny płacz, Jasmine i Lolly pociagały nosem,

gdy tylko wspomniały matkę, a Baba Ramona, mama Małej Idy, przestała się odzywać i opuściła duży dom; przesiadywać całymi tygodniami na swoim bujanym fotelu.

Kursowałem do niej z zupą, usiłując przemówić jej do rozsądku.

Usłyszałem tylko: „Matka nie powinna chować do grobu własnego dziecka”.

Płakałem od czasu do czasu. Nieustannie myślałem o Lynelle a teraz do tych myśli doszły wspomnienia o Małej Idzie i miałem wrażenie, że Ida jest z każdym dniem bardziej nieżywa i coraz dalej od nas.

Goblin pogodził się z jej śmiercią, ale Goblin nigdy nie był do niej przywiązany - na pewno bardziej kochał Lynelle - tak więc nieźle to zniósł.

Pewnego dnia siedziałem w kuchni, przeglądając katalog wysyłkowy, i zobaczyłem flanelowe pidżamy dla mężczyzn i koszule nocne dla kobiet z tego samego materiału. Zamówiłem całą furę jednych i drugich, a kiedy je dostarczono, włożyłem pidżamę, wziąłem koszulę i poszedłem do Ramony.

Pozwól, że wyjaśnię, że Baba Ramona jest nazywana „Baba” nie dlatego, że jest niemłą babą czy wielką babą, ale dlatego, że jest najstarszą babcią w posiadłości; babunię też można by tak nazwać, gdyby na to pozwoliła i gdyby to do niej pasowało.

Tak więc, kontynuując, poszedłem do tej drobnej kobiety, która już splotła siwe włosy w warkocz, szykując się do snu, i powiedziałem: - Chodź, śpij ze mną. Jesteś mi potrzebna. Jestem sam z Goblinem, odkąd Mała Ida odeszła.

Baba Ramona tylko długo mi się przyglądała. Jej oczy lśniły jak dwa pieniążki. Nagle zapłonął w nich ogień, wzięła ode mnie tę nocną koszulę, obejrzała ją, stwierdziła, że jest przyzwoita, i poszła za mną do domu. Od tej pory spaliśmy przytuleni w tym wielkim łóżu, flanelowy wnuczek i flanelowa babcia, i dzieliła je ze mną jak wcześniej Mała Ida.

Baba Ramona miała najładniejszą skórę na świecie i długie zawsze gęste włosy, które zaplatała w warkocz, siedząc na skraj łóżka. Nabrałem zwyczaju siadania przy niej, gdy wypełniała ten rytuał - w tym czasie omawialiśmy wszystkie błahostki, które przyniósł miniony dzień, a potem odmawialiśmy modlitwę. Tak się składa, że Mała Ida i ja klepaliśmy modlitwy, jakby as diabeł gonił, ale Baba Ramona modliła się za wszystkich i za każdego z osobna, mówiąc trzy zdrowaśki, trzy ojczenasz i nigdy nie zapominając o zmarłych: „A światłość wiekuista niechaj im świeci i niech spoczywają w pokoju”.

Potem rozmawialiśmy, jakie to było błogosławieństwo dla Małej Idy, że nie zaznała prawdziwych udręk starości, nie chorowała i że na pewno jest tam, z Bogiem. Tak samo Lynelle. W końcu po tym wszystkim Baba Ramona pytała, czy Goblin jest z nami, a potem mówiła: „No, to powiedz Goblinowi, że czas iść spać”, a on siadał obok, wtapiał się we mnie i natychmiast zasypiałem.

Minęło kilka miesięcy i dzięki Babie Ramonie stopniowo odzyskałem spokój. Odkryłem ze zdumieniem, że dziadek, fornale, a nawet Jasmine i Lolly chwalili mnie za serce, które okazałem Ramonie w czasie żałoby. Ale to była żałoba nas wszystkich. Baba Ramona uratowała mnie zaś przed

mroczną paniką, która zagościła we mnie od śmierci Lynelle, by następnie urósł jeszcze bardziej wraz z utratą Małej Idy.

Wy pływałem z dziadkiem na bagna i wędkowaliśmy, za czym wcześniej wcale tak nie przepadałem. Zaczęło mi się tam podobać, kiedy przebijaliśmy się pirogą, a czasem wyprawialiśmy daleko, poza nasze zwykle terytorium. Mokradła budziły moją nieokiełznaną ciekawość i rozglądałem się za wyspą Manfreda Blackwooda, ale jej nie znaleźliśmy.

Pewnego późnego popołudnia natrafiliśmy na wielki stary cyprys, oznaczony wyrytą w korze strzałką i owinięty zardzewiałym łańcuchem, który częściowo wżarł się w pień. To był bardzo wiekowy cyprys, a łańcuch wykuto z dużych ogniw. Chciałem popłynąć w kierunku wskazanym strzałką, ale dziadek powiedział, że nie, jest późno, a zresztą tam nic nie ma i możemy się zgubić, jeśli popłyniemy dalej.

Specjalnie mi na tym nie zależało, bo nie za bardzo wierzy - m w te wszystkie historie o Manfredzie i Samotni, a poza tym cały się lepiałem, bo panowała tam straszna wilgotność, tak więc wróciliśmy do domu.

Potem nadszedł Mardi Gras, co znaczyło, że babunia musi jechać do swojej siostry, chociaż tamtego roku naprawdę nie miała ochoty ruszać się z domu. Twierdziła, że źle się czuje nie ma apetytu nawet na kingcake, wielkie brioszki w kształcie wieńca, obsypane różnokolorowym cukrem, które już codziennie dostarczano z Nowego Orleanu, i myślała, że dopadła ją grypa, W końcu jednak zdecydowała się jechać do miasta ze względu na te wszystkie parady i Ruthie, która liczyła na jej przyjazd, i nie chcąc zawieść całego tłumu ciotek, wujków i kuzynów.

Nie pojechałem z nią, chociaż chciała mnie mieć przy sobie i chociaż jej kaszel pogarszał się z każdym dniem (codziennie dzwoniła do dziadka i zwykle ja też z nią rozmawiałem), to jednak została do końca.

W środę popielcową, pierwszy dzień postu i dzień jej powrotu, poszła do lekarza, nie mówiąc nic nikomu. Po prostu kaszel nie dawał jej spokoju.

*Myślę,
że
rozpoznali
raka,
gdy
tylko
zobaczyli
zdjęcia
rentgenowskie, ale kazali jej zrobić tomografię, a potem bronchoskopię, a w końcu biopsję. To oznaczało całe dni męki w szpitalu, ale zanim przyszła ostateczna diagnoza patologa, babunia miała takie kłopoty z oddychaniem, że „była na czystym tlenie” i dostawała morfinę, „żeby nie męczyła się z oddychaniem”. Cały czas leżała w półśnie.*

W końcu na korytarzu, przed jej pokojem, przedstawiono nam diagnozę. Miała chłoniaka w obu płucach i przerzuty, co znaczyło, że rak rozszerzał się na cały organizm. Nie spodziewano się, by wytrzymała dłużej niż kilka dni. Sama nie mogła zdecydować, czy poddać się chemoterapii. Zapadła w głęboką śpiączkę, jej oddech i ciśnienie słabły z każdą chwilą.

Moje osiemnaste urodziny minęły bez wydarzeń, poza tym dostałem nowego pikapa i zaraz pojechałem do szpitala, dotrzymywać towarzystwa babci.

Dziadek był w nieustannym szoku. Ten potężnie zbudowany mężczyzna, który zawsze decydował o życiu naszego domu, stał roztrzęsionym cieniem samego siebie. Podczas gdy siostra, ciotki i wujowie pojawiali się i wychodzili, dziadek siedział bez słowa, niepokieszony. Zmienialiśmy się z nim w pokoju, ja, Jasmine i Lolly. W końcu babunia otworzyła oczy i nie zamknęła ich, a jej oddech stał się mechaniczny, jakby nie miała żadnego wpływu na rytmiczne wznoszenie się i opadanie klatki piersiowej. Nie zwracałem uwagi na Goblina. Wydawał mi się bezrozumną częścią dzieciństwa, którą należało odrzucić. Sam jego wygląd i bezmyślnie niewinny, pytający wzrok doprowadzały mnie do szału. Czulem, że płacze się w pobliżu. W końcu, kiedy nie mogłem tego dłużej znieść, zszedłem do auta i powiedziałem Goblinowi, że to, co się dzieje, jest smutne. Ze dzieje się to, co wydarzyło się Lynelle i Małej Idzie, że babunia odchodzi.

- Goblin, to jest niedobre - powiedziałem mu. - To jest straszne.

Babunia się nie obudzi.

Wydawał się zasmucony i zobaczyłem łzy w jego oczach, ale może tylko mnie naśladował.

- Odejdź, Goblin - powiedziałem. - Zachowuj się z szacunkiem i poważnie. Bądź cicho, tak żebym mógł opiekować się babunią jak należy.

To chyba odniosło jakiś skutek, zmienił swoje zachowanie i przestał

mnie dręczyć, ale czułem go obok siebie dzień i noc.

Kiedy zakręcono tlen, który jedyny podtrzymywał babunię przy życiu, dziadek nie potrafił znieść tego widoku. Wyszedł.

Byłem w pokoju, a czy Goblin też tam był, nie potrafię powiedzieć.

Ciotka Ruthie i pielęgniarka dostały polecenia od lekarza. Towarzyszyły nam Jasmine, Lolly i Ramona. Baba powiedziała mi żebym stanął przy wezglowiu i wziął babunię za rękę.

Zdjęto maskę tlenową i babunia się nie dusiła. Tylko nabrała powietrza, unosząc wysoko klatkę piersiową, a potem rozchyliła nieco usta. Wyciekła z nich strużka krwi, plamiąc podbródek. To był straszny widok. Nikt się tego nie spodziewał. Ciotka Ruthie zupełnie się rozsypała i trzeba było ją uspokajać. Ja zająłem się babunią. Złapałam stos chusteczek higienicznych i zaczęłam zbierać krew, mówiąc: „Już, już, babuniu”. Krwi płynęło jednak coraz więcej, kapiała z podbródka. Spomiędzy warg wysunął się język i krwotok był coraz silniejszy. Ktoś podsunął mi zmoczony ręcznik. Zebrałem krew, mówiąc: „Już dobrze, babuniu, już się tym zajmę”. Wkrótce starłem całą krew. A potem, po kilku płytkich oddechach, babunia przestała oddychać. Baba Ramona kazała mi zamknąć oczy babuni i zrobiłem to. Wszedł lekarz i stwierdził zgon.

Wyszedłem na korytarz. Poczulem koszmarne uniesienie, coś przerażającego, szaleństwo, kiedy patrzę na to z dystansu, odrażające poczucie bezpieczeństwa, spotęgowane widokiem dyżurki pielęgniarek.

Śmierć, która zabrała babunię, mnie nie mogła osiągnąć w tej gigantycznej szpitalnej otulinie, przeświecionej jarzeniowym światłem. To

uczucie niosło nieokiełznaną rozkosz, uwalniało od wszelkich ziemskich ciężarów. Niemal unosiłem się nad podłogą.

Patsy stała nieopodal. Podpierała ścianę, wyglądając aż nazbyt typowo z długimi jasnymi włosami, w jednym ze swoich skórzanych kostiumów z frędzelkami. Na paznokciach miała opalizujący lakier, na nogach białe kowbojki.

Dopiero w tej chwili, patrząc na jej wymalowaną jak maska twarz, zdałem sobie sprawę, że Patsy ani razu nie przyszła do szpitala. Nie mogłem wydusić słowa.

- Nie żyje - powiedziałem wreszcie.

- Nie wierzę! - wykrzyknęła gwałtownie. - Dopiero co widziałam ją na Mardi Gras.

Wyjaśniłem jej, że wyłączono tlen i że była bardzo spokojna; nie dusiła się, nie była świadoma niebezpieczeństwa ani bólu.

Patsy nagle wpadła we wściekłość. Wyszczała głośnym szeptem (ze względu na pielęgniarki), że chce wiedzieć, dlaczego nie powiedziano jej, że wyłączamy tlen, jak mogliśmy jej coś takiego zrobić (miała na myśli siebie); babunia była jej matką, kto dał nam prawo decydować?

Przyszedeł dziadek, wynurzając się zza rogu poczekalni dla gości.

Nigdy nie widziałem go w takiej złości. Załapał Patsy za ramię przyciągnął do siebie i powiedział, że ma się wynosić ze szpitala albo ją zabije, a potem odwrócił się do mnie, trzęsąc się cały, dławiąc, i już bez słowa, drżący, poszedł do separatki babuni.

Patsy ruszyła za nim, ale się zatrzymała, odwróciła do mnie i

wyrzuciła z siebie cały strumień okropności. Były tam takie sformułowania jak: „Ty zawsze jesteś oczkiem w głowie całej rodzinie. Ty tam byłeś, no nie? O, tak, Tarquin, wszystko dla Tarquina”. Nie pamiętam dokładnie jej słów. Zbierało się wielu krewnych i znajomych babuni. Patsy wyszła.

Opuściłem szpital, wsiadłem do pikapa, ledwo zdając sobie sprawę, że Jasmine wsiada obok mnie, i pojechałem do restauracji Cracker Barrel, zamówiłem stos naleśników z orzeszkami hikorowymi, oblałem je masłem i jadłem, aż prawie mnie zemdlilo.

Jasmine siedziała naprzeciwko mnie, grzejąc dłonie kubkiem czarnej kawy i paląc papierosa za papierosem. Jej gładka twarz wyrażała tylko spokój, gdy powiedziała z godnością:

- Cierpiała może dwa tygodnie. Mardi Gras był dwudziestego siódmego lutego. Była na paradach. A dziś jest czternasty marca. Tyle cierpiała, a to wcale nie tak źle.

Nie mogłem mówić, kiedy jednak zjawila się kelnerka, zamówiłem kolejną porcję naleśników i znów zalałem je masłem. Jasmine paliła. Tak upływał nam czas.

Przedsiębiorca pogrzebowy w Nowym Orleanie spisał się na medal i babunia wyglądała pięknie w obitej satyną trumnie. Makijaż miała w sam raz, brwi lekko zaznaczone ołówkiem, tak jak zawsze sama to robiła, usta tylko muśnięte szminką Revlonu, za którą przepadała. Była w beżowej gabardynowej sukience, którą wkładała, oprowadzając wiosną gości, w klapie miała białą orchideę.

Ciotka Queen była niepokieszona. Siedzieliśmy lub staliśmy

Przytuleni do siebie przez prawie cały obrządek.

Zanim zamknięto trumnę, dziadek zdjął perły z szyi babuni i ślubną obrączkę z palca. Powiedział, że chce zachować te rzeczy, westchnął ciężko, pochylił się i pocałował ją - ostatni z nas wszystkich - i zatrzaśnięto wieko.

Ledwo się to stało, a Patsy wybuchła szlochem. Cały makijaż się jej rozmazał. Po prostu przestała nad sobą panować. Kiedy płakała bez przerwy, wołając „Mamo, mamo”, była to najbardziej rozdzierająca pieśń żałobna. Żałobnicy unieśli trumnę i ruszyli do wyjścia. „Mamo, mamo”, powtarzała, płacząc, a ten idiota Seymour ścisnął ją, jakby to on miał do tego prawo, prawie na niej wisząc. Miał głupi wyraz twarzy.

Podaliśmy jej ramię, a ona objęła mnie bardzo mocno. Płakała całą drogę na cmentarz Metairie i trzęsła się gwałtownie, a potem powiedziała, że nie jest w stanie wyjść z auta i patrzeć na złożenie trumny do grobu. Nie wiedziałem, co zrobić. Obejmowałem ją i zostałem przy niej. Słyszałem i widziałem ludzi na cmentarzu, ale zostałem z Patsy w samochodzie.

Patsy wyplakala się podczas długiej jazdy do domu. Zasnęła, oparłszy o mnie głowę, a gdy się ocknęła, uniosła ku mnie twarz - miałem wtedy już około sześciu stóp - i jeszcze otumaniona snem powiedziała cicho:

- Quinn, ona była jedyną osobą, której na mnie kiedykolwiek zależało.

Tamtego wieczoru Patsy i Seymour grali najbardziej ogłuszającą muzykę, jaka kiedykolwiek dolatywała z ich rupieciarni, a Jasmine i Lolly

gotowały się z wściekłości. Co się tyczy dziadka, to chyba niczego nie słyszał albo było mu wszystko jedno.

Po jakichś dwóch dniach ciotka gruntownie przepakowała walizki i powiedziała, że chce mnie wysłać do college'u. Zamierzała znaleźć mi kolejnego nauczyciela - kogoś równie błyskotliwego jak Lynelle, kto przygotowałby mnie do najlepszych szkół.

Powiedziałem jej, że nigdy nie wyjadę z Blackwood, a ona tylko się uśmiechnęła i oświadczyła, że wkrótce zmienię zdanie.

- Nie masz jeszcze zarostu, mój mały - rzekła - ta koszula, którą teraz nosisz, jest już na ciebie za mała, a twoje buty mają rozmiar dwanaście, jeśli się znam na tych sprawach. Wierz mi, czekają cię ekscytujące przeżycia.

Uśmiechnąłem się na to wszystko. Nadal czułem to mgliste uniesienie, to okrutne podniecenie, które towarzyszyło mi podczas pogrzebu babuni, i nie obchodziło mnie dorosłe życie ani nic innego.

Kiedy testosteron naprawdę runie ci do krwi - kontynuował - zapragniesz poznać cudowny szalony świat i Goblin przestanie być dla ciebie tak fascynujący.

Następnego przedpołudnia wyjechała do Nowego Jorku, potem poleciała do Jeruzalem, którego nie odwiedziła od wielu lat Nie pamiętam, dokąd stamtąd pojechała - tylko to, że nie było jej długo.

Jakiś tydzień po pogrzebie dziadek przedstawił ręcznie spisany testament, który leżał w szufladce gotowalni babuni. Patsy dostała całą biżuterię i wszystkie ubrania babuni. Zebraliśmy się w kuchni, gdy czytał

słowa: „Dla mojej jedynej najśłodziej córce”. Wręczył Patsy testament i miał w oczach ten sam przygaszony metaliczny blask, jaki widziałem w oczach Baby Ramony zaraz po śmierci Małej Idy. Ten blask towarzyszył mu już do końca.

Dziadek wymamrotał, że Patsy otrzymała również fundusz powierniczy na swoje nazwisko, ale trzeba załatwić papierki w banku.

Podał jej kopertę z małymi polaroidowymi fotografiami klejnotów rodowych babuni, każdą podpisaną z przodu i z tyłu.

- No, ten fundusz to prawie nic - powiedziała Patsy, upychając zdjęcia do torebki. - Tysiąc miesięcznie. Kiedyś to mogła być forsa, ale teraz na kawę i papierosy nie starczy. I mówię od razu, że chcę rzeczy mojej matki.

Dziadek wyjął z kieszeni sznur pereł, położył go na stole i pchnął ku niej, a ona go wzięła, ale gdy wyjął obrączkę, powiedział: „To zatrzymuję”, a ona tylko wzruszyła ramionami i wyszła z kuchni.

Cale noce i dni dziadek nie robił nic albo prawie nic, tylko siedział przy kuchennym stole, odsuwał stawiane przed nim jedzenie i nie odpowiadał na pytania, podczas gdy Jasmine, Lolly i Clem zajmowali się posiadłością.

Ja też trochę pomagałem, wdrażając się stopniowo do pracy, gdy prowadziłem pierwsze grupy po posiadłości. Starłem się jak mogłem oczarować turystów, zdając sobie sprawę, że tamto szaleńcze uniesienie, które pozwoliło mi znieść przejmujący ból po śmierci babuni, załamuje się. Znow wróciła mroczna panika. Czyhała tuż za moimi plecami,

gotowa objąć nade mną władzę. Robiłem wszystko, byle się czymś zająć.

Przeglądałem menu z Jasmine i z Lolly, próbowałem sosów, holenderskiego i berneńskiego, dobieierałem porcelanę rozmawiałem z gośćmi, którzy przyjeżdżali do nas kolejny raz by świętować swoje rocznice, i gdy grafik tego wymagał, nawet sprzątałem sypialnie i strzygłem trawniki.

Gdy patrzyłem na fornali leżących w kwiatach pełni wiosny - niecierpkach, cyniach i hibiskusach - opanowywała mnie rozpaczliwa sentymentalna furia.

Staralem się myśleć tylko o dworze Blackwood i o tym, co znaczył.

Chodziłem długą hikorową aleją, oglądając się na dwór, rozkoszując jego widokiem i wyobrażając sobie, jakie wrażenie robi na nowych gościach.

Przechodziłem z pokoju do pokoju, sprawdzając wyposażenie łazienek i toalet, poprawiając poduszki i porcelanowe figurki na półkach nad kominkami, i portrety, zwłaszcza sławne portrety, a gdy w sposób nieunikniony pojawił się portret babuni - namalowany z fotografii przez nowoorleańskiego malarza - zdjąłem lustro w tylnej prawej sypialni i powiesiłem ten portret na jego miejscu.

Patrząc wstecz, myślę, że było okrucieństwem pokazać go dziadkowi, ale spojrzal na niego tym samym tępym wzrokiem, którym spoglądał na wszystko inne.

Potem któregoś dnia spytał cicho, odchrząknawszy, czy Jasmine i Lolly mogłyby zabrać wszystkie ubrania i całą biżuterię babuni z ich pokoju i złożyć to w pokoju Patsy na piętrze. „Nie chcę rzeczy Patsy w

moim pokoju”.

Wśród rzeczy babuni były dwa futra z norek i piękne kreacje balowe, z czasów gdy babunia była panną na wydaniu i chodziła na bale w okresie Mardi Gras. Była tam też suknia ślubna i stroje modne dziesiątki lat wcześniej. Wśród biżuterii były brylanty i szmaragdy, w większości odziedziczone po matce babuni, a przedtem po jej babce. Były tam rzeczy, które babunia nosiła podczas urządzanych u nas wesel, i jej ulubione perły, które wkładała każdego dnia.

Pewnego wczesnego poranka, gdy dziadek na wpół drzemał nad talerzem wystygłej owsianki, Patsy cichutko załadowała to wszystko do vana i odjechała. Nie wiedziałem, co o tym sądzić, dawałem sobie jedynie sprawę, że Seymour, włóczęga, akompaniator Patsy i jej kochanek, miał kąt do spania w Nowym Orleanie, uznałem, że Patsy zawozi to wszystko do niego. Dwa tygodnie później Patsy zjechała do domu nowiutkim vanem.

Miała już wymalowane swoje nazwisko na karoserii, Patsy i Seymour wyładowali nową perkusję i nową elektryczną gitarę. Zamknęli drzwi studia i zaczęli próbę na pełny regulator. Głośniki też mieli nowe.

Dziadek dowiedział się o tym wszystkim, bo Jasmine i Lolly stały przy drzwiach, komentując całe wydarzenie, a gdy Patsy weszła po kolacji do kuchni, złapał ją za ramię i zażądał, żeby mu wytłumaczyła, gdzie zarobiła pieniądze na te nowe rzeczy. Głos miał chrapliwy, bo długo się nie odzywał, wyglądał na zaspanego i wściekłego. Wtedy doszło do najgorszej awantury między nimi.

Patsy nie ukrywała, że sprzedała wszystko, co babunia jej zostawiła,

nawet suknię ślubną i rodowe klejnoty, i inną biżuterię. Gdy dziadek się na nią rzucił, kolejny raz złapała za nóż.

- Kazalesz cisnąć te manele do mojej sypialni! - wrzasnęła. - Kazalesz wpakować je do kartonów i wepchnąć do szaf, jakby to były łachmany!

- Sprzedałaś suknię ślubną swojej matki, sprzedałaś jej brylanty! - ryczał dziadek. - Ty potworze. Nie powinnaś była w ogóle się urodzić.

Biegałem między nimi, błagając, żeby przestali, ostrzegałem, że goście ich usłyszą; mówiłem, że to się musi skończyć. Dziadek tylko pokręcił głową. Wyszedł tylnymi drzwiami. Poszedł do araku i później widziałem go tam, na bujanym fotelu. Tylko palił i wpatrywał się w ciemność.

Co się tyczy Patsy, to usunęła część ubrań z górnej frontowej sypialni, którą zajmowała od czasu do czasu. Zażądała, bym jej; pomógł, a kiedy odmówiłem - nie chciałem, żeby widziano mnie przy niej - nazwała mnie rozpuszczonym smarkaczem, małym lordem Fauntleroyem, maminsynkiem i pedziem.

- To nie był mój świetny pomysł, żeby cię mieć! - wrzeszczała idąc w stronę schodów i oglądając się przez ramię. - Powinnam się ciebie pozbyć.

Cholerna szkoda, że nie zrobiłam tego, co chciałam!

W tej samej chwili się potknęła. Przez sekundę zobaczyłem tuż obok

Goblina, plecami do niej. Uśmiechał się do mnie. Krzyknęła' „Och!”

Ubrania poleciały na schody, a ona z wielkim trudem odzyskała

równowagę, stojąc na pierwszym stopniu. Podbiegłem jej pomóc.

Odwróciła się, mierząc mnie wściekłym spojrzeniem, a ja ze zgrozą

uświadomiłem sobie, że Goblin ją pchnął czy też w inny sposób pozbawił równowagi.

Zesztywniałem ze zgrozy. Szybko pozbierałem jej fatalaszki i powiedziałem:

- Zejdę z tobą na dół.

Nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, połączenia zmęczenia i ekscytacji lub nienawiści i pełnego grozy szacunku. Co działo się w jej sercu - tego nie wiem.

Bałem się Goblina. Bałem się tego, co może zrobić.

Pomogłem Patsy załadować rzeczy do vana, tak by Goblin wiedział, że nie życzę jej źle. A potem wyjechała, oświadczając, że nigdy więcej nie wróci, ale oczywiście wróciła po dwóch tygodniach, domagając się pokoju w dużym domu, bo była splukana i nie miała się gdzie podziać.

Tego wieczoru, gdy tylko Patsy znalazła się w bezpiecznej odległości od Blackwood, zapytałem stanowczo Goblina:

- Coś ty zrobił? Mało brakowało, a strąciłbyś ją ze schodów!

Nie mogłem wydobyć od niego odpowiedzi. Chyba się ukrywał, ale gdy wróciłem do swojego pokoju i usiadłem przy komputerze, od razu złapał mnie za rękę i wystukał:

„Patsy robi ci krzywdę. Nie lubię Patsy”.

„To nie znaczy, że ty możesz ją krzywdzić”, napisałem i powtórzyłem to na głos.

Natychmiast moja ręka została pochwycona z niezwykłą siłą.

„Przytrzymałem Patsy”, odpowiedział.

„Mało jej nie zabiłeś! - napisałem. - Nigdy więcej nie krzywdź nikogo.

To nieśmieszne”.

„Nieśmieszne - powtórzył. - Ona przestała cię krzywdzić”. Tak

będziesz krzywdził innych - napisałem - nie będę cię kochał”.

W pokoju zrobiło się cicho i zimno, a komputer został wyłączony siłą

jego woli. Potem poczułem uścisk, a z nim łagodne kochające ciepło.

Poczułem, że w jakiś sposób nienawidzę tej przyjemności czy rozkoszy,

którą wzbudził we mnie ten uścisk, i poczułem strach, że ma coś wspólnego

z erotyką. Nigdy wcześniej nie przeżywałem tego strachu.

Wcześniej Patsy nazwała mnie pedziem. Może jestem pedziem,

pomyślałem. Może zmierzam w tym kierunku. Może Goblin o tym wiedział.

Goblin i ja razem. Strach wzrósł. Takie uczucie wydało mi się śmiertelnym

grzechem.

- Nie bądź smutny, Goblinie - szepnąłem. - Już jest za dużo smutku w

domu. Teraz odejdź, Goblinie. Odejdź i daj mi pomyśleć w samotności.

Podczas następnych tygodni Patsy ani razu nie popatrzyła na mnie

tak jak dawniej, ale że nie chciałem przyznać się do niczego w sprawie

incydentu na schodach, nie mogłem jej spytać, co wtedy poczuła.

Tymczasem wszyscy się dowiedzieli, że wymiotuje w łazience w

domu i ma ranne mdłości, a w kuchni tylko obijała się o ściany i mówiła, że

nie ma na nic ochoty. Dziadek, nie chcąc spotykać się z nią przy stole,

spędzał długie godziny w baraku.

Nie rozmawiałem z nim. On nie rozmawiał z nikim. Gapił się w

telewizor, pił korzenne piwo, ale niczego nie widział ani nie słyszał.

Potem pewnego wieczoru Patsy przyjechała późno i weszła do kuchni, narzekając, że źle się czuje. Kazała Jasmine przygotować coś do jedzenia. Dziadek siedział przy stole naprzeciwko niej i polecił mi, żebym wyszedł.

- Nie, niech zostanie, jeśli masz mi coś do powiedzenia - warknęła

Patsy. - No, jazda, wyrzucić, co masz na wątrobie.

Nie za bardzo wiedziałem, co zrobić, więc wyszedłem na korytarz i oparłem się o tylne drzwi. Widziałem twarz Patsy, plecy dziadka i słyszałem każde słowo, które padło.

- Dam ci za to pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powiedział dziadek.

Patsy gapiała się na niego całą minutę, a potem powiedziała.

- O czym ty gadasz?

- Wiem, że jesteś w ciąży - powiedział. - Pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

I zostawisz dziecko u nas.

- Ty zwariowany staruchu - ona na to. - Masz sześćdziesiąt pięć lat.

Co zrobisz z dzieckiem? Myślisz, że jestem gotowa jeszcze raz przechodzić przez to wszystko dla pięćdziesięciu kawałków?

- Sto tysięcy dolarów - powiedział ze spokojem. A potem dodał: -

Dwieście tysięcy, Patsy Blackwood, w dniu, w którym przyjdzie na świat i zrzekniesz się go na moją rzecz.

Zerwała się od stołu. Biegała tam i z powrotem, patrząc na niego z wściekłością.

- Do diabła, dlaczego nie powiedziałaś mi tego wczoraj! - wrzasnęła. -

Dlaczego, do diabła, nie powiedziałaś mi tego rano! - Zacisnęła dłonie w

pięści i tupnęła. - Ty zwariowany staruchu. Niech cię szlag trafi. -

Odwróciła się i wybiegła z kuchni. Siatkowe drzwi strzeliły o framugę, a dziadek opuścił głowę.

Wszedłem do kuchni i stanąłem przy nim.

- Już się go pozbyła - powiedział. Spuścił głowę jeszcze niżej.

Wyglądał na pokonanego. Nigdy więcej nie wrócił do tego słowem - Stał się milczący jak dawniej.

Patsy leżała chora przez kilka dni, Jasmine w tym czasie robiła jej jeść i ogólnie się nią zajmowała, po czym Patsy wstała, wsiadła do nowego vana i ruszyła na serię koncertów na wiejskich jarmarkach.

Byłem bardzo zaciekawiony. Czy Patsy zaszłaby natychmiast w ciążę tylko po to, żeby zarobić dwieście tysięcy dolarów? Jak by to było mieć malutką siostrzyczkę albo brata? Naprawdę chciałem wiedzieć.

Dziadek zajął się prostymi pracami wokół domu. Kiedy trzeba było, malował płoty na biało, przycinał azalie. Zasadził więcej wiosennych kwiatów. Poszerzył rabatki i jaśniały teraz kolorami k nigdy wcześniej.

Najbardziej lubił czerwone geranium i chociaż e wytrzymało długo w gorącu, sadził je całymi grządkami, często sprawdzając, jak się prezentuje na tle całego ogrodu.

Przez chwilę, krótką chwilę, wyglądało na to, że życie jakoś ułoży.

Radość nie całkiem opuściła dwór Blackwood. Goblin zachowywał się grzecznie, ale jego twarz odzwierciedlała moje napięcie i rosnący we mnie konflikt. Strach brał we mnie górę.

Czego się bałem? Śmierci, jak mi się wydaje. Bardzo pragnąłem

zobaczyć ducha Małej Idy, ale się nie zjawiał, a Baba Ramona powtarzała, że ludzie się nie pokazują, kiedy już pójdą do nieba, chyba że mają jakiś bardzo poważny powód. Chciałem jeden, ostatni raz zobaczyć Małą Idę. Wiedziałem, że babunia się nie pojawi, ale miałem jakąś dziwną wiarę w powrót Idy. Zadawałem sobie pytanie, jak długo leżała martwa w moim łóżku.

Tymczasem dwór Blackwood funkcjonował dalej. Baba Ramona, Jasmine i Lolly prowadziły perfekcyjnie kuchnię, jak to zawsze one, z równym szykiem zajmując się turystami, a dziadek szalał przy naprawach, remontach i renowacjach, byle tylko mieć zajęcie, tak że o ósmej wieczór padał nieprzytomny do łóżka.

Baba Ramona robiła, co mogła, aby wszystkim dogodzić, wyciągała swoje tajne przepisy, i nawet udało się jej kilka razy namówić Patsy do pozostania i zjedzenia ze mną obiadu (kiedy dziadek załatwiał sprawy poza domem), jakby uważała, że Patsy jest mi potrzebna, co, szczerze mówiąc, nie zgadzało się z prawdą.

Przez dom przewijali się ciekawi goście, ciotka pisała pełne miłości listy, a w niedzielę wielkanocną urządziliśmy wielkie przyjęcie ogrodowe dla przyjezdnych z całej okolicy i tańce na trawie.

Dziadek nie za bardzo się przyłożył do tej uczty, ale wszyscy rozumieli dlaczego. Pojawił się jednak, tyle że siedział bez słowa, rany w elegancki, biały lniany garnitur i przyglądał się tańcom. Wyglądał jak bez życia, jakby jego duch zeń umknął. Oczy miał zapadnięte, skórę żółtawą. Wyglądał jak człowiek, który zobaczył zjawę i dla którego życie utraciło

swój czar.

Gdy patrzyłem na niego, w gardle mnie ścisnęło. Czulem bicie serca.

Nawet słyszałem je w uszach. Niebo było idealnie czyste powietrze

łagodne, muzyka małej orkiestry cudowna, a mnie zęby szczękały.

Na samym środku parkietu tańczył Goblin. Był zupełnie

nieprzezroczysty, w białym garniturze z kamizelką tak jak ja. Nie

przejmował się, czy go widzę. Znikał między tancerzami i wracał. Nagle

utkwiał we mnie wzrok i posmutniał. Znieruchomiał i wyciągnął ku mnie

ręce. Na twarzy miał smutek. I wiedziałem, że to nie jest odbicie mojej

twarzy, gdyż czulem, iż strach starł z niej wszelki wyraz.

- Nikt nie może cię zobaczyć! - szepnąłem. I nagle wszyscy wydali mi

się obcy tak jak ludzie zebrani na mszy za duszę Lynelle albo raczej ja sam

wydałem się sobie potworem, skoro widziałem Goblina, skoro on był moją

bratnią duszą. Wydało mi się, że na całym świecie nie znajdę pocieszenia

ani ciepła.

Pomyślałem o babuni w grobie w Nowym Orleanie. Gdybym zbliżył

się do drzwiczek grobowca, czy poczułbym formaldehyd.' A może jakiś

gorszy smród?

Oddaliłem się. Poszedłem na cmentarzyk. Było tam całkiem sporo

ludzi i Lolly serwowała im szampana. Nie zobaczyłem duchów.

Zobaczyłem tylko żywe istoty. Kuzyni babuni coś do mnie mówili. Nie

słyszałem ich. Wyobraziłem sobie, że idę na górę do sypialni dziadka,

wyjmuję jego rewolwer z szuflady, przykładam go do skroni i pociągam za

spust. Pomyślałem: Jeśli to zrobisz, to groza się skończy.

Wtedy poczułem niewidzialne ramiona Goblina. Poczulem, jak mnie obejmuje. A potem bicie jego serca i duchowe ciepło. Nie po raz pierwszy poczułem jedno i drugie. Ostatnio napawało mnie poczuciem winy. Tyle że teraz było mi rozpaczliwie potrzebne.

I wróciło uniesienie, szaleńcze uniesienie, które poczułem w drzwiach separatu babuni, i łzy spłynęły mi po policzkach. Stałem pod dębem, zastanawiając się, czy smutne cmentarne duchy widzą tych wszystkich żywych ludzi. Płakałem.

- Chodź ze mną do środka, Quinn - powiedziała Jasmine. Potrząsnęła mnie za ramiona. - Chodź, Tawqin, no chodź. - Zwracała się do mnie pełnym imieniem, wymawiając je „talklin”, tylko wtedy, kiedy była bardzo poważna. Poszedłem za nią. Kazała mi usiąść przy stole w kuchni i nalala mi kieliszek szampana. Tako wiejski chłopak już pijałem wino i whiskey, chociaż nigdy wiele, ale siedząc przy kuchennym stole - po tym jak Jasmine wyszła - w ciszy i spokoju wygolilem całą butelkę szampana.

W nocy okropnie rzygałem, głowa pękała mi z bólu, przyjęcie wielkanocne się skończyło, a Baba Ramona stała przy mnie, wiszącym nad ubikacją, oświadczając jednoznacznie i dobitnie, że Jasmine nigdy więcej nie będzie wolno podać mi kieliszka wina.

Podczas następnych tygodni czułem się lepiej. Myślę, że nie można stale żyć w stanie czystej paniki. Wariujesz. Panika napływa falami i musisz sobie powiedzieć, no cóż, kiedyś się skończy.

Powróciłem do ciężącej jak ołów rozpacz, z którą dało się łatwiej żyć, i czasem nawiedzały mnie wspomnienia babuni, jak śpiewała, jak gotowała, drobiazgi, nieważne, cząstkowe sprawy, o których mówiła lub o których miała powiedzieć, a potem ogarniała mnie groza, jakby ktoś wystawił mnie za okno, na gzyms osiem pięter nad ulicą.

Nie zapomniałem, jak nazwała mnie Patsy - maminsynkiem, małym lordem Fauntleroyem, pedziem. Ponieważ oglądałem telewizję, filmy i czytałem książki, doskonale wiedziałem, co znaczą to określenia, a że byłem nastolatkiem, nie mogłem się uwolnić od przekonania, iż są prawdziwe.

Zrozum, byłem zbyt dobrym katolikiem, aby eksperymentować sam ze sobą w sprawach seksu, i nie trafiła mi się żadna okazja, żeby eksperymentować w sprawach romantycznych z kimś innym. Nie wierzę, że samogwałt prowadzi do ślepoty, ale jako katolik wstydzilem się przejść od rozważań do czynu. Niemniej jednak miałem mokre sny. I chociaż budząc się, czułem niepokój i poniżenie, i odpędzałem je od siebie, tak jak wspomnienia tego, co je sprowadziło, to głęboko podejrzewałem, że były o mężczyznach.

Nic dziwnego, że dziadek zaproponował Patsy dwieście tysięcy za

dziecko. Myślał, że nigdy się nie ożenię, nigdy nie będę miał dzieci.

Wiedział, że tak będzie. Wystarczyło mu na mnie popatrzeć. Wiedział, że jestem pedałem, bo jak mogłem normalny, skoro nie potrafiłem wbić gwoźdźcia w deskę? Co miał mnie pomyśleć, kiedy przy kolacji piałem z zachwytem nad takimi filmami) jak Czerwone trzewiczki i Opowieści Hoffmana? Wiedział, jestem pedałem. Do diabła, pewnie każdy, kto mnie spotkał, wiedział o tym.

Goblin wiedział. Goblin czekał. Goblin był głęboką tajemnicą pełną niewidzialnych macek i pulsującej mocy. Goblin był pedałem!

A co miałem sądzić o natrętnych uściskach Goblina, o tym, że czasem wywoływały rozkoszną gęsią skórę na całym moim ciele jakby ktoś gładził na mnie wszystkie włoski i mówił mojemu ciału: „Obudź się...”?

Czułości Goblina były tak intymne, że musiały być grzeszne.

Bez względu na to, jak było naprawdę, nic nie zrobiłem, tylko się zadręczałem i starałem czymś zająć, a panika rosła we mnie, wznosiła się i opadała, i najbardziej dawała mi się we znaki o zmierzchu każdego dnia.

Gdy zbliżało się lato i dni stawały się coraz dłuższe, te fale paniki też się wydłużały - czasem utrzymywały się od czwartej po południu do ósmej wieczór. Wyobrażałem sobie siebie przykładającego broń do głowy i myślałem, że kula zakończy ból. Potem myślałem, czym by to było dla dziadka i ciotki, i odpędzałem ów obraz.

Mniej więcej w tym okresie kazałem zapalać lampy o czwartej po południu, bez względu na wszystko i bez względu na to, czy we dworze byli jacyś goście czy nie.

Stawałem się panem na Blackwood - kimś w rodzaju małego lorda Fauntleroya.

Każdego wieczoru jak obłąkany włączałem muzykę klasyczną w salonach i jadalni, a potem sprawdzałem, czy w wazonach są świeże kwiaty, czy meble stoją jak należy i czy wszystkie obrazy wiszą prosto. Wtedy panika trochę ustępowała i siadywałem w kuchni z dziadkiem.

Uff wciąż się jednak nie odzywał. Siedział na krześle wpatrzony w pustkę za siatkowymi drzwiami. To było straszne. Jego oczy były coraz bardziej puste. Nie otrząsnął się jak Baba Ramona. Nie mogłem go pocieszyć, a on nie mógł pocieszyć mnie.

Pewnego wieczoru, kiedy panika przygniatała mnie do podłogi, dokładając się do przygnębienia i strachu, że jestem pedałem a głównie do przygnębienia, spytałem dziadka:

- Myślisz, że Patsy zajdzie znów w ciążę, żeby tylko wycia, gnąc od ciebie pieniądze za dziecko?

Takie pytanie z mojej strony było czymś bardzo niezwykłym Dziadek i ja zwykle rozmawialiśmy dość sztywnym tonem. I nigdy o Patsy.

- Nie. Wtedy tylko mnie coś naszło - odpowiedział cichym, płaskim głosem. - Pomyślałem sobie, że mógłbym je uratować. Pomyślałem, że to byłby jakiś cel, wychować dziecko. Ale po prawdzie, nawet nie myślę, że donosiłaby ciążę, choćby i chciała. Spędziła zbyt wiele płodów, a od tego macica im słabnie.

Byłem zdumiony i pełen podziwu dla jego bezpośredniości.

Zastanawiałem się, dlaczego ja żyję. Może dał jej pieniądze, żeby mnie

donosiła. Nic nie powiedziałem. Wolałem się bać prawdy, niż wiedzieć, jak faktycznie było. A głos dziadka brzmiał zbyt martwo i metalicznie.

Rozmowa z nim była ciężka. Przykra. Było mi go żal. Żaden z nas nie wspomniał więcej tego tematu.

A potem, w końcu - w końcu - przychodziła godzina ósma i mogłem usiąść na krawędzi łóżka obok Baby Ramony, gdy rozczesywała swoje długie siwe włosy i powoli zaplatała je w warkocz, i byłem bezpieczny, bezpieczny w cieniach, i rozmawialiśmy, a potem szliśmy spać.

Pewnego popołudnia, około trzeciej, siedziałem na stopniach wejściowych domu, patrząc na długą hikorową aleję i zmieniające się światło. Był wtorek i jestem prawie pewien, że nie mieliśmy gości, ostatni weekendowi turyści wyjechali, a następni jeszcze się nie pojawili.

Nienawidziłem bezruchu i spokoju. Wyobraziłem sobie, że strzelam sobie w głowę. Pytałem samego siebie: Co zrobić, żeby przestać o tym myśleć? Było za późno, żeby wypłynąć na ryty pirogą, zresztą nie chciałem się upaćkać na bagnach, a w domu wszystko, absolutnie wszystko, było zrobione, gdzieś przepadł. Nauczył się mnie unikać, kiedy miały mnie te posępne nastroje, kiedy wpadałem w kompletny bezwład i nie potrafił mnie nakłonić do zrobienia niczego. I chociaż pewnie przyszedłby, gdybym go zawołał, nie chciałem go oglądać.

Kiedy myślałem o tym, żeby strzelić sobie w łeb, zastanawiałem się, czy jedna kula zabiłaby nas obu.

Nie, nie chciałem towarzystwa Goblina.

Wtedy przyszło mi do głowy, że chociaż już jestem panem domu, to

nie zająłem się strychem; że pozostał niezbadanym terytorium, a ja jestem zbyt dorosły, aby można mi było zabronić tam wstępu, nie potrzebuję na to niczyjego pozwolenia. Wróciłem więc do środka i poszedłem na górę. O trzeciej mansardowe okna wpuszczały na strych dużo światła i widziałem wszystkie wiklinowe meble - cały komplet, kanapki, foteliki i tak dalej - i różne kufry.

Przejrzałem stojący kufer, który należał niegdyś do Graviera

Blackwooda, a teraz był otwarty. Wszystkie wieszaczki i szufladki były puste i czyste.

Były tam walizy ze starymi ubraniami, które wcale mnie nie interesowały, i kolejne kufry, wszystkie oznaczone „Lorraine McQueen”. Z nowymi rzeczami. Co tam jeszcze mogło być ciekawego? Z pewnością były i starsze rzeczy, może należące do żony Manfreda, świętej pamięci Virginii Lee.

Wtedy natrafiłem na wielki, obity płótnem kufer ze skórzanymi paskami, tak ogromny, że pokrywa sięgała mi niemal do pasa, a miałem już wtedy sześć stóp wzrostu. Ta pokrywa była nieco uchylona, a ubrania wysypywały się na zewnątrz, rozsiewając silną won stęchlizny. Na nalepce został wyblakły napis atramentem: - „Rebeka Stanford” i „Posiadłość Blackwood”.

- Rebeka Stanford - powiedziałem na głos. Kto to mógł być?

Usłyszałem za sobą wyraźny szelest. A może przed sobą? Zamarłem i słuchałem. Oczywiście, to mogły być szczury, ale tak naprawdę we dworze nie było szczurów. Potem miałem wrażenie, że ten szelest to był szmer

głosów, mężczyzny i kobiety, którzy się spierali. „...Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają”. Usłyszałem te słowa bardzo wyraźnie, a potem kobiecy głos. „...Uwierz, on to zrobi!”

To jej nazwisko jest na nalepce, pomyślałem. Spakowała kufer podpisała nalepkę. Czekala na niego, żeby ją zabrał. Panna Rebeka Stanford. Ale skąd te myśli przyszły mi do głowy?

Znów rozległ się ten sam szelest. To był odgłos człowieka, nie starego domu, nie szczurów. Włosy na karku mi się zjeżyły. To była przyjemna ekscytacja. Rozkoszna. O niebo lepsza niż depresja i rozpacz, myśli o rewolwerze i śmierci.

Pomyślałem: Zaraz przyjdzie duch. Głosy. Nie, szelest. Będzie wyraźniejszy niż zjawa Williama. Będzie wyraźniejszy niż mgliste duchy unoszące się nad grobami. Przyjdzie z powodu tego kufra. Może to będzie ciotka Camille, którą tak często widywano na schodach, wchodzącą na strych.

- Kim jesteś, Rebeko Stanford? - szepnąłem.

Cisza. Otworzyłem kufer. W środku było przerośnięte pleśnią kłębowisko ubrań i innych rzeczy, wymieszanych ze strojami - szczotka do włosów ze srebrną rączką, srebrny grzebień, wyschnięta buteleczka perfum i srebrne lusterko, całe w plamach i pociemniałe, nie nadające się już do niczego.

Uniosłem kłęb ubrań, tak że drobniejsze spadły na dno kufra i odkryłem masę biżuterii - perły, broszki i kamee - wszystko wymieszane z ubraniami, jakby nikomu na nich nie zależało, co było zaskakujące, bo

wziąwszy perły do ręki, przekonałem się, że są prawdziwe. Obejrzałem po kolei kamee i okazało się, że to dzieła sztuki, które na pewno spodobałyby się ciotce Queen i wszystkie - wszystkie trzy - miały złote ramki, pięknie kontrastujące z ciemną konchą.

Zastanawiałem się, dlaczego tam leżą, w takim zaniedbaniu, zapomnieniu. Kto je cisnął między te pleśniejące suknie i kiedy.

Znów rozległ się szelest i inny cichy dźwięk, jakby odgłos kroków, tak że się odwróciłem w miejscu, ku drzwiom.

Stał tam Goblin. Wpijał się mnie alarmującym wzrokiem, wyraźnie potrząsał głową i mówił bezgłośnie: „Nie”.

- Ale ja chcę wiedzieć, kim ona była - powiedziałem.

Zniknął bardzo powoli, jakby był słaby i wystraszony. Poczulem powiew zimnego powietrza, jak często po jego zniknięciach, zastanowiło mnie, dlaczego był taki słaby.

Jak się domyślasz, już tak się przyzwyczaiłem do Goblina, że zupełnie ranie nie interesował. Czułem swoją wyższość. W tamtej chwili w ogóle o nim nie myślałem.

Wziąłem się do pracy. Rozłożyłem całą zawartość kufra na wieku kufra stojącego obok. Najwyraźniej ubrania ciśnięto do środka jak leci i poza kameami i perlami wszystko uległo zniszczeniu. Były tam dwie śliczne bluzki o szerokich rękawach i wąskich mankietkach, z pewnością należące do epoki długich spódnic, i inne koronkowe bluzeczki, niestety zgnite, z których kilka miało śliczne kamee z konchy u kołnierzyka, oraz kilka jedwabnych szlafroczków. Niektóre z tych ubrań rozpadały mi się w

rękach. Wszystkie kamee miały motyw Rebeka u studni.

- Więc uwielbiałaś tylko ten motyw - powiedziałem głośno. - Czy dlatego, że nosiłaś to imię?

Znów usłyszałem szelest i poczułem na szyi delikatne dotknięcie, jakby kot się o mnie otarł. Potem nic. Nic, tylko ciche umierające popołudnie i paraliżujący lęk, przed którym musiałem uciec.

Nie miałem nic lepszego do roboty poza przeglądnięciem kufra.

Były tam nocne pantofle, tak teraz sztywne i poskręcane, jakby zrobiono je z wylowionego z wody drewna. Otwarta puderniczka, która zachowała dawny zapach. Kilka porozbijanych flakoników z perfumami i oprawiony w skórę, gruby, zapisany pamiętnik, ale atrament tak wyblakł, że był niemal niewidoczny. Litery przypominały purpurowe pajęczyny.

Pleśń dostała się wszędzie, niszcząc wszystkie świetne toalety, niekiedy przeżerając je na wskroś śluzowatą czernią.

- Przecież to czyste marnotrawstwo - powiedziałem głośno. Zabrałem trzy naszyjniki z pereł i wszystkie pięć kamei, wliczając w to dwie, które odpiąłem od starych bluzek. Zszedłem na dół z tymi skarbami, poszukać Jasmine, która akurat myła w zlewie kilka dużych papryk na kolację. Powiedziałem jej, co znalazłem, i rozłożyłem biżuterię na kuchennym stole.

- No, nie powinieneś chodzić tam na górę! - oświadczył. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu wpadła w pasję. - Po prostu ostatnio zupełnie się rozbestwiłeś, masz pojęcie? Czemu wcześni mnie nie zapytasz, zanim wleziesz tam na górę, Tarquinie Blackwood? - I ciągnęła rozjuszona w tym

stylu.

Niewiele się nią przejmowałem. Oglądałem kamee.

- Wszystkie mają ten sam motyw - powtórzyłem - Rebeka u studni i wszystkie są prześliczne. Czemu wrzucili je do kufra z tamtymi rzeczami?

Nie myślisz, że ciotka Queen miałyby na nie ochotę?

Oczywiście, ciotka miała co najmniej dziesięć kamei z Rebeka u studni, dobrze o tym wiedziałem, chociaż nie miałem pojęcia, w jakich okolicznościach dostała pierwszą, i gdybym wiedział byłbym bardziej przejęty.

Przy kolacji opowiedziałem wszystko dziadkowi i pokazałem mu swoje łupy, ale nie okazał większego zainteresowania, a gdy Jasmine przywoływała mnie do porządku, opisując, co grozi tym, którzy pchają nos w nie swoje sprawy, dziadek tylko powiedział swoich głuchym głosem:

- Możesz wziąć wszystko, co tam znajdziesz - na co Jasmine od razu ucichła.

Przed pójściem spać pokazałem perły Babie Ramonie, ale powiedziała, że nie jest przekonana, czy powinna brać je do ręki, że wiąże się z nimi pewna historia, tak jak ze wszystkim, co było w tamtym kufrze.

- Zachowaj je na dzień, w którym będziesz się żenił - poradziła mi. - I daj swojej przyszłej żonie. Najpierw przypilnuj, żeby ksiądz je pobłogosławił. Pamiętaj. Nie dawaj ich, dopóki ksiądz ich nie pobłogosławi.

- Pierwszy raz słyszę coś takiego - powiedziałem. - Ksiądz ma pobłogosławić naszyjnik z pereł?

Błagałem ją, żeby opowiedziała mi tę historię, zdawałem sobie sprawę, że wiele wie, ale nie chciała, uparła się, że nie opowie, że i tak jej dobrze nie pamięta, chociaż czułem, że to wymówka. Wkrótce kazała mi odmowie wieczorny pacierz.

Tamtej nocy wpadła na taki świetny pomysł, żebyśmy odmówili różaniec, więc zrobiliśmy to, medytując nad tajemnicami bolesnymi, a potem uczyniliśmy również akt skruchy. Wszystko robiliśmy w intencji dusz czyśćcowych, a potem jeszcze odbiliśmy litanie do Świętego Michała Archanioła, żeby bronił s przed złym duchem, i wreszcie poszliśmy spać.

Następnego dnia napisałem do ciotki o moim odkryciu i powiedziałem, że dołożyłem kamee do jej kolekcji w gablocie, a perły są w jej gotowalni, gdyby miała ochotę je włożyć. Spytałem, czy nie zechciałaby mi opowiedzieć tej historii, której Ramona nie chciała mi zdradzić. Kim była Rebeka Stanford? Jak jej rzeczy znalazły się w naszym domu?

Wróciłem na strych i przeszukałem cały. Oczywiście, były tam piękne rzeczy - stare lampy w stylu art déco, stoliki, tapicerowane fotele i sofki, niestety już gnijące, a nawet parę wiekowych czarnych maszyn do pisania, ważących z tonę. Parę kłębów starych ubrań wydawało się zupełnie zwyczajnych i nadawało na szmaty. Wiekowy odkurzacz powinien wylądować w muzeum.

Wiklinowe meble kazałem znieść i odnowić pod warunkiem uzyskania aprobaty dziadka. Udzielił jej bez słowa, jednym skinieniem głowy. Fornale byli szczęśliwi, że mają nowe zajęcie, więc ta sprawa poszła jak z płatka.

Poza tym nie znalazłem niczego szczególnie ciekawego. Moje myśli krążyły wokół Rebeki Stanford i kiedy po raz ostatni wychodziłem ze strychu, zabrałem ze sobą ów oprawiony w skórę pamiętnik i wtedy znów poczułem tę dziwną ekscytację. Zobaczyłem w drzwiach Goblina. Znowu potrząsał głową.

Byłem zadowolony. Ekscytacja przegoniła rozpacz.

Następny dzień, czwartek, był spokojny, pusty dzień między weekendami - i panika znów zaczęła dawać o sobie znać. Po lanczu poszedłem na spacer hikorową aleją, słuchałem, jak drobny żwir chrzęści mi pod nogami.

Światło było złote, co budziło we mnie wściekłość, bo już się załamywało i czułem dławiący strach.

Dotarłszy do frontowych stopni, usiadłem z pamiętnikiem i starałem się odczytać to, co w nim napisano. Wkrótce odcyfrowałem napis na pierwszej stronie, sylabizując ze zdziwieniem „Camille Blackwood”. Reszta zapisków była prawie nieczytelna ale widziałem, że to wiersze.

Zbiór wierszy Camille Blackwood! To jej ducha widywałem zawsze na schodach wiodących na strych! Pobiegłem opowiedzieć to wszystko Jasmine, która paliła papierosa na tylnych schodkach. Wysłuchałem kolejnej tyrady.

- Tarquin, zostaw te szpargały! Odlóż te wierszydła w pokoju panny

Queen, zaczekaj, aż ona wróci!

- Ale posłuchaj, Jasmine, jak myślisz, czego szukał duch Camille? Ty też widziałaś jej ducha, tak samo jak ja. I czemu każesz mi odkładać jej

wierszyki? Nie rozumiesz, zgubiła je albo położyła nie tam, gdzie myślała, a ty zachowujesz się tak, jakby to było byle co, kiedy to doniosła sprawa.

- A dla kogo to niby takie doniosłe?! - odpaliła. - Dla ciebie? Widziałeś ducha Camille na tych schodach?

- Dwa razy i dobrze o tym wiesz.

- Więc chciałabym wiedzieć, jak zamierzasz jej przekazać, że znalazłeś jej wiersze? Powiesz swojemu aniołowi stróżowi, kiedy będziesz odmawiał pacierz?

- To wcale nie taki głupi pomysł - powiedziałem. - Widziałaś tego ducha, wiesz, że widziałaś.

- Postępuj mnie uważnie. Nigdy go nie widziałam, tylko tak powiedziałam. Dla turystów. Nigdy w życiu nie widziałam ducha.

- Wiem, że to nieprawda - oświadczyłem. - Myślę, że widziałaś nawet Goblina. Czasem się w niego wpatrujesz i ja o tym wiem. Wiesz, Jasmine, nie zrobisz ze mnie głupca, ani trochę.

- Uważaj, jakim tonem do mnie mówisz, chłopcze - powiedziała i wiedziałem, że nie wydam się z niej nic więcej.

Jeszcze raz powtórzyła, że bym odłożył wiersze, ja jednak miałem inne plany. Wiedziałem, że gdybym podświetlił strony halogenową żarówką, pewnie coś bym odczytał. Ale to nie wystarczyło. Nie miałem cierpliwości lub siły woli do takiej żmudnej pracy.

Położyłem pamiętnik na biurku i zszedłem na dół. Usiadłem a frontowych stopniach, mając nadzieję, że przyjedzie jakiś gość fen żalony, ponury nastrój późnego popołudnia ulegnie zmianie.

Czułem wzbierającą we mnie panikę i powiedziałem z goryczą na głos:

- Dobry Boże, zrobiłbym wszystko, żeby się tego pozbyć. Wszystko. - I zamknąłem oczy. - Gdzie się podziewasz, Goblin? - spytałem, ale odpowiedział mi równie wyczerpująco jak Pan Bóg.

Miałem wrażenie, że wiosenne gorąco nieco ustąpiło i chłodny powiew nadleciał znad moczarów. Tyle że chłodne powiewy nigdy stamtąd nie nadlatywały, a przynajmniej rzadko, i odwróciłem się, by popatrzeć w prawo, na stary cmentarz i wielkie cyprysy w głębi. Bagna wyglądały tak ponuro i tajemniczo jak zawsze, wyrastając nad cmentarzem, czarne i bezkształtne na tle nieba.

Zbliżała się stamtąd jakaś kobieta. Była filigranowej budowy. Szła długimi pewnymi krokami po zarośniętym trawą stoku, unosząc brzeg ciemnej spódnicy.

- Wiedziałem - powiedziałem głośno - że musisz być śliczna. -

Uderzyła mnie dziwność własnych słów. Do kogo mówiłem?

Poczułem, że Goblin ciągnie mnie za rękę. Kiedy się odwróciłem, aby na niego spojrzeć, poczułem jakiś wstrząs, a on mi się ukazał, migotliwy obraz; potrząsał gwałtownie głową i zniknął. Jak rozbłysk przepalającej się żarówki.

Z mojej prawej nadal zbliżała się śliczna, młoda kobieta i teraz widziałem, że się uśmiecha i jest ubrana w uroczy staromodny strój, zapiętą wysoko pod szyją jedwabną bluzkę z kameą, szerokimi rękawami i wąskimi mankiecikami, i wążiutką w pasie spódnicę z ciemnej tafty,

sięgającą ziemi. Miała wysoko osadzone piersi i wydatne zmysłowe usta.

Idąc, kołysała biodrami. Ale z niej była sztuka. Kasztanowe loki szeszała w tył, odsłaniając delikatną linię włosów przy skroniach i nad czołem.

Miała duże, radosne ciemne oczy.

W końcu dotarła na płaską część trawnika, na której stał dom, i westchnęła leciutko, jakby ten cały spacer od bagien ja wyczerpał.

- Nie pochowali cię tam, na tym cmentarzu, prawda? - spytałem. Nie mieliśmy przed sobą tajemnic, byliśmy najlepszymi przyjaciółmi.

- Nie - odparła łagodnym, słodkim głosem, podchodząc do mnie i siadając obok na stopniach. W uszach miała czarno - białe kamee, zwisające z przekłutych małżowin. Drżały wraz z delikatnymi ruchami jej głowy, gdy się uśmiechała. - A ty jesteś tale przystojny, jak wszyscy mówili. Już mężczyzna z ciebie. Czemu się tak gryziesz? - Głos miała nieskończenie łagodny. - Potrzebujesz takiej ślicznotki jak ja, żeby ci pokazała, na co cię stać?

- Kto ci powiedział, że się gryzę? - spytałem.

Była po prostu olśniewająca, a przynajmniej tak mi się wydawało, i natura nie tylko obdarzyła ją uroczą buzią i wielkimi oczami, ale miała w sobie zadziorność, świeżość, rzucające się w oczy wyrafinowanie.

Oczywiście, gorset pomagał jej uwydatnić szczupłą talię, a koronki bluzki były idealnie wyprasowane i bez plamki. Taftowa spódnica miała kolor gęstej czekolady i połyskiwała w słońcu. Eleganckie, wysoko sznurowane buciki okrywały drobne stopy.

- Po prostu wiedziałam, że będziesz się gryzł - odparła. - Wiem wiele.

Można by powiedzieć, że jestem wszechwiedząca. Sprawy nie układają się po sznureczku, jak myślą żywi ludzie Cały czas dzieje się multum różności.

Wyciągnęła ręce i ujęła moją dłoń, i znów poczułem wstrząs, jak niebezpieczne uderzenie prądu, i od stóp do głów przebieg mnie cudowny dreszcz, i pochylilem się, i pocałowałem ją w usta Cofnęła się troszeczkę, drocząc się, a potem przyciskając piersi do mojego ramienia, zaproponowała:

- Wejźmy do środka. Chcę, żebyś zapalił lampy.

To wydawało się ze wszech miar rozsądne. Nienawidziłem długich cieni popołudnia. Niech rozbłyśną lampy. Niech rozbłyśnie świat.

- Też nienawidzę cieni - powiedziała.

Wstaliśmy, chociaż miałem lekkie zawroty głowy i nie chciałem, by się o tym dowiedziała. Weszliśmy do środka, w chłód i ciszę domu.

Słyszałem cichy szmer wody płynącej w kuchni. Czwarta południu. Do kolacji jeszcze dwie godziny, a jak dziwnie wyglądał dom! Jaki dziwnie pachniał - skórą, suszonymi kwiatami, naftaliną i woskiem.

Salon był pełen różnych kanap i foteli z ponurego, czarnego i świecącego drewna. Prawdziwe wiktoriańskie meble, pomyślałem. Stało tam jeszcze antyczne pianino, o wiele starsze niż znany mi instrument.

Rozpoznałem fortepian stołowy. Na oknach wisiały ciężkie draperie z niebieskiego aksamitu, a na koronkowych firankach widniały namalowane z wdziękiem pawie. Okiennice były otwarte. Jak cudownie wiatr poruszał pawiami na firanach.

Doprawdy idealnie, pomyślałem. Przeszył mnie dreszcz ekstazy,

ogarnęła pewność, że oglądam coś wyjątkowo pięknego, i że nic więcej się nie liczy.

Gdy rozejrzałem się po jadalni, dostrzegłem, że również się zmieniła, że zasłony są z brzoskwinowego jedwabiu ze złotymi lamówkami, stół jest owalny, na środku stoi waza pełna kwiatów. Świeże róże, ogrodowe o krótkich łodygach, płatki na wywoskowanym blacie. Nie zimne, wielgachne szklarniowe róże. Zwykłe róże, o które można sobie poranić rękę. Okrągła waza sperlona kroplami wody.

- Och, czy to nie piękne? - spytała kobieta. - Sama wybrałam ten materiał na zasłony. Wprowadziłam wiele zmian. Drobnych. Dużych. Ścięłam te róże w tylnym ogrodzie. Założyłam ogród różany. Wcześniej, przed moim przyjazdem, nie było róż. Chcesz zobaczyć ogród różany? Jakiś słaby głos w mojej głowie zaprotestował, że w posiadłości Blackwood nie ma żadnego różanego ogrodu, że dawno temu w tym miejscu zrobiono basen, ale to wydawało mi się niepojęte i nieważne, a mówienie o tym niegrzeczne.

Odwrociłem się do niej, chcąc powiedzieć, że nie mogę się powstrzymać, aby jej nie pocałować. Pochyliłem się i przycisnąłem usta do jej ust. Ach, w żadnym śnie nie czułem czegoś takiego. Nie posmakowałem czegoś takiego. Nie wiedziałem, że jest możliwe. Mimo że byliśmy ubrani, poczułem żar jej ciała. Był tak silny, że ogarnęło mnie szaleńcze podniecenie. Objąłem ją, uniosłem i wcisnąłem kolano między jej uda, napotykając jej wzgórek łonowy i wsunąłem język do jej ust.

Gdy się cofnęła, potrzebowałem całej siły woli, żeby nie odrzucić

ręki, którą położyła na mojej klatce piersiowej.

- Zrób coś dla mnie, Quinn, zapal lampy - powiedziała. - Wiesz, naftowe. Zapal je. A potem uczynię cię najszczęśliwszym młodzieńcem na ziemi.

- O, tak - powiedziałem. Dobrze wiedziałem, gdzie są. We dworze zawsze trzymaliśmy naftowe lampy, bo na wsi nigdy się nie wie, kiedy wysiądzie prąd, tak więc wyjąłem lampę z bocznej szafki i postawiłem ją na stole. Podniosłem szkiełko i zapaliłem knot zapalniczką, którą zawsze nosiłem przy sobie właśnie w takim celu.

- Postaw ją na oknie, kochanie - poleciała mi - tak, właśnie tam, na parapecie, i chodźmy do salonu, tam też zapalimy lampę.

Zrobiłem, co mi kazała, postawiłem lampę na parapecie okiennym.

- Ale to niebezpieczne - zauważyłem - tak przy firankach i zasłonach.

- Nie martw się, kochanie - powiedziała. Szybko przeprowadziła mnie przez hol do salonu. Wziąłem lampę z wysokiej chińskiej szafki między drzwiami. Po zapaleniu postawiłem ją jak poprzednią. Ta harfa, ta harfa była ta sama, wielka złota harfa, pomyślałem, oprócz niej wszystko się zmieniło.

Miałem niebywały zamęt w głowie. Nie ważyłem się myśleć, że ją posiadam, bo mogłaby się zorientować, że nie wiem, jak się to robi.

- Jesteś moim skarbem - powiedziała. - Nie patrz tak na te meble, to nieważne.

Nie mogłem się jednak powstrzymać od patrzenia, bo tuż wcześniej - kiedy brałem lampę z szafki - wszystko było znajome, teraz znów się

zmieniło, znów wszystkie fotele miały czarny korpus i obicie z fioletowej satyny, i nagle rozległ się chór głosów, ludzie odmawiali różaniec! Na suficie migotało światło świec. Wydarzyło się coś przykrego, coś strasznie, strasznie smutnego.

Traciłem równowagę. Już miałem upaść. Odwróciłem się. Głosy napływały jak potop. I pokój był pełen ludzi - ubranych na czarno, siedzących na fotelach, kanapach i złożonych składanych krzeselkach - a jakiś mężczyzna łkał. Inni też płakali. Kim była ta mała dziewczynka, która się we mnie wpatrywała?

Przed frontowym oknem stała trumna, otwarta trumna, w powietrzu wisiał ciężki zapach kwiatów: było przesycone zapachem kwiatów, woskową wonią lilii, i nagle z tej trumny uniosła się blondynka w niebieskiej sukni. Wynurzyła się z trumny jednym płynnym ruchem, jakby niesiona niewidzialną falą, i stanęła na wypastowanej, błyszczącej podłodze.

- Lynelle! - krzyknąłem.

To jednak nie była ona. To była Virginia Lee. Jak mógłbym nie poznać ślicznej twarzyczki Virginii Lee! Nasza świętej pamięci Virginia Lee. Dziewczynka wydała żaloszny okrzyk: „Mamusiu!” Jak zmarła mogła wstać z trumny?

- Zostaw ten dom w spokoju! - krzyknęła Virginia Lee i ogarnięta krańcową furią wyciągnęła białe ręce ku kobiecie przy moim boku, niemal jej dotykając, ale ona ją odepchnęła, wydając potworny syk, błysło, trzasło i postać Virginii Lee, naszej świętej pamięci słodkiej Virginii Lee,

*naszej domowej świętej, jej postać, trumna, rozszlochane dziecko,
żałobnicy, wszystko zamigotało i zniknęło. Chór głosów rozplynął się, jak
fala wessana na powrót Przez ocean. Zdrowaś Mario, łaskiś pełna... i
potem cisza. Powiew, migotanie naftowych lamp w cieniach i woń
płonącej nafty.*

*Zbyt kręciło mi się w głowie, żebym mógł ustać. Przyłgnęła do mnie.
Cisza opadała wokół nas spadającymi bezszelestnie głazami i
chciałem coś powiedzieć, chciałem o coś zapytać; próbowałem wyrazić
myśl, Virginia Lee tu była, ale znów obejmowałem tę kobietę i całowałem
ją - członek miałem tak twardy, że aż bolało nie mogłem długo się
powstrzymać, to było gorsze niż przebudzenie z mokrego snu - i
mówiłem:*

*- Nie, nie mogę tak dłużej, nie mogę tego zrobić, to grzech śmiertelny.
- Quinn, mój kochany Quinn. Quinn, jesteś mi przeznaczony -
powiedziała ona. Ile w tym było niewyobrażalnej czułości. - Zabierz mnie
do mojego pokoju.*

*Zza grubej koronki unosił się dym. Jakaś kobieta płakała cicho aż
serce się krajało. Dziecięcy szloch rozlegał się jak kaszel. Ale kobieta obok
mnie się uśmiechała.*

*- Jestem lekka, jestem gibka - powiedziała. - Widzisz moją
szczupłą talię? Widzisz, jaka jest drobna. Zanieś mnie na górę.
W koło i w koło, w górę i w górę. Nie polecisz w dół, choćbyś miał
zawroty głowy, jeśli idziesz wciąż w górę. Nigdy w życiu nie czułem
takiego uniesienia. Nigdy nie czułem się tak silny.*

Byliśmy w pokoju i chociaż kształt pomieszczenia, rozkład drzwi wskazywały, że to mój pokój, coś się nie zgadzało, znaleźliśmy się w jej pokoju, leżeliśmy pod jej koronkowym baldachimem, wietrzyk wpadał przez okno i koronki falowały w powiewie.

- Chodź, mój duży chłopaku - mówiła, ściągając mi spodnie i unosząc swoje spódnice i halki. Miała gorącą skórę. - Jest idealnie.

Wszedłem w nią! Pierwszy raz! Żar, napór, sprężysty uścisk.

Skończyłem w niej, wytrysnąłem w niej i poczułem jej drżenie i przywarcie uniesionych bioder, jej skurcz na mnie, a potem rozluźnienie, utratę sił i zdławiony śmieszek.

Opadłem na plecy. Nieważne, że rozchodziła się woń spalenizny, że dym. Nieważne, że ludzie biegali. Odwróciła się do mnie, uniosła na łokciu i powiedziała:

- Dowiedz się, co ze mnie tam zostało, Quinn. Odszukaj wyspę.

Dowiedz się, co mi zrobili. - Jak namiętna i jak wyborna była, jak skrzywdzona i krucha. Kolczyk z kameą drżał obok delikatnego policzka.

Dotknąłem koniuszka jej ucha. Dotknąłem miejsca, w którym przebijało je złoto. Dotknąłem ładnej białej - czarnej kamei na szyi.

- Rebeko - wyszeptalem.

Za nią stał Goblin i potrząsał głową. Goblin był niezwykle wyraźny,

Goblin używał całej swojej mocy.

- Zrób to dla mnie - powiedziała. - Zrób to i wróć do ciebie, Quinn. I

będzie słodko, zawsze najładziej. Urodziłam się po to, żeby uszczęśliwiać innych. W to wierzę, Quinn. Byłam twoją pierwszą, Quinn. Nigdy mnie nie

zapomnij. Dawać rozkosz. Tylko tego chciałam.

Kamea na jej szyi przypominała okazy z kolekcji ciotki Queen, a jednak różniła się od nich. Ale to wszystko było logiczne. Umarła tam, mając tę kameę na sobie. Tak. Wyciągnąłem rękę, aby pogłodzić kasztanowe włosy.

- Tawquin, Tawquin, Tawqin! - krzyczała Jasmine. Biegła po schodach. Czuję to, czuję wibrację parkietu.

Byłem sam.

Usiadłem. Miałem rozpięty rozporek. Spodnie i kapa łóżka były powalane spermą. Natychmiast się zapiąłem, a potem złapałam garść chusteczek higienicznych z pudełka na nocnej szafce, startem dowody i wstałem, patrząc na Jasmine, która wpadła do pokoju.

- Ty wariacie! - krzyknęła. - Po coś porozstawiał lampy na parapetach? Coś ty, głupi? Podpalileś firanki! Co ty masz w głowie?

Byłem gotów rzucić się do działania. Dwór Blackwood w ogniu!

Nigdy. Gdy chciałem wybiec, złapała mnie za ramię.

- Zgasiliśmy pożar! - powiedziała. - Czemuś to zrobił? Mogło dojść do katastrofy.

Po południu Lolly i Baba Ramona wspomagane przez fernali wymieniły spalone firanki. Grube zasłony były nietknięte. Nie zajęły się.

Ogarnęła mnie groza. Siedziałem sparaliżowany w swoim pokoju.

Nie odpowiadałem na żadne pytania. Zjawił się Goblin. Usiadł na drugim fotelu, po przeciwnej stronie kominka, na twarzy wyraz zmartwienia.

Komputer sam się włączył. Nie podszedłem do niego. Nie chciałem, żeby

Goblin zawładnął moją ręką. Nie miałem dla niego odpowiedzi. W końcu zmęczony jego obecnością i wpatrywaniem się we mnie, spytałem:

- Po co ona przyszła? Skąd?

Nie potrafił odpowiedzieć. Był zbity z tropu.

Podszedłem do komputera i pozwoliłem mu wziąć się za rękę.

Wystukał: „Rebeka bardzo zła. Spalić ten dom. Zła Rebeka”.

Wystukałem: „Powiedz mi coś, czego nie wiem, na przykład, skąd się wzięła?”

Długie milczenie. Nic. Wróciłem na fotel i pogrążyłem się w ponurych myślach.

Przy kolacji, w obecności dziadka, Jasmine, Lolly i Baby Raniony opowiedziałem im większość tego, co się stało. Opowiedziałem im o moim erotycznym zbliżeniu z duchem. Staralem się opisać, jak bardzo „rzeczywiste” było to wszystko i jak rozsądne wydawało się polecenie Rebeki, żebym zapalił lampy. I opowiedziałem im, co mówiła.

Pokazałem im kameę, którą znalazłem w kufrze na strychu i którą położyłem w gablocie w salonie, bez wątplenia dawną własność Rebeki Stanford.

- Rebeka u studni, nie widzicie? Ona też miała na imię Rebeka. Kim była, skąd się wzięła?

Nagle ogarnęły mnie mdłości i zawroty głowy. Spojrzałem na kameę leżącą na kuchennym stole. Wydało mi się, że słyszę Rebekę usiłującą mi coś powiedzieć, a może szukałem czegoś w pamięci. Próbowałem się otrząsnąć. Przypomniałem sobie. Udało mi się. „Umarła tam z kameą na

sobie, umarła tam”. Miałem silne dreszcze. „Tyle ślicznych koronkowych bluzeczek. Zawsze go rajcowały, białe koronki”.

Usiłowałem mówić z sensem. Opowiedziałem im, że kazała mi odnaleźć wyspę i że mam się dowiedzieć, „co z niej tam zostało”.

Gdy dziadek się odezwał, wyglądał równie poważnie jak zawsze.

Mówił bezdźwięcznym głosem.

- Nie szukaj żadnej wyspy. Cholera, już sam możesz ocenić, że przepadła. Bagna ją połknęły, a jak znów zobaczysz tego przeklętego ducha, zrób znak krzyża świętego.

- Zgadza się, to powinieneś zrobić - powiedziała Baba Ramona - a wtedy ona straci wszelką władzę, bo przyszła z piekła.

- Jak mogła się wydostać z piekła, żeby do mnie przyjść? - spytałem.

- A te jej kamee - doradziła mi Jasmine - to zanieś z powrotem na strych. Schowaj wszystko z powrotem, jak było.

- Na to już za późno - powiedział cicho dziadek. - Tylko pilnuj się, żeby więcej się do ciebie nie dorwała.

Siedzieliśmy w milczeniu. Rozszedł się ładny zapach. To Baba Ramona gotowała mleko do kawy. Pamiętam zapach tego gorącego mleka.

Dopiero wtedy zauważyłem, że Lolly jest ubrana do wyjścia, wybierała się gdzieś ze swoim chłopakiem. Wciąż nakłaniał ją do ślubu i do opuszczenia Blackwood, ale nigdy mu się to nie udało. Lolly wyglądała jak hinduska piękność. A Jasmine, Jasmine w szmizjerce z czerwonego jedwabiu paliła w kuchni, co było rzadkością.

Gorące mleko spłynęło do filiżanek z kawą. Spojrzałem na buchającą

parę.

- Wszyscy mi wierzą - powiedziałem. - Wy wszyscy mi wierzycie.

- Powiedz mu - dziadek rozkazał Jasmine:

- Co masz mi powiedzieć? - spytałem.

Jasmine zaciągnęła się mocno papierosem i zgasiła go na swoim talerzu. Potem zapaliła następnego, tak po prostu.

- To Goblin - powiedziała - tu przyszedł i pokazywał ręką, i dał znak, że firanki się palą. To był Goblin, przez moment - pstryknęła palcami - jak żywy.

- Wytrącił jej talerz z ręki - dodała Lolly.

Jasmine skinęła głową.

- I z suszarki też.

Zamurowało mnie. Byłem oniemiały. Przez całe życie ci ludzie, ci ludzie, upierali się, że Goblin nie istnieje, że nie powinienem z nim rozmawiać, że to wytwór mojej podświadomości albo urojony towarzysz zabaw, a teraz mówili takie rzeczy. Nie wiedziałem co powiedzieć. Moje zdumienie było tak wielkie, że wyparło wszystkie myśli.

- Jak takie stworzenie mogło strącić talerz z suszarki? - spytał dziadek.

- Mówię wam, że strącił - upierała się Jasmine. - Płukałam naczynia w zlewie i talerz spadł i się rozbił, a kiedy się odwróciłam, on stał i pokazywał palcem drzwi, a potem wytrącił mi talerz z ręki.

Wszyscy milczeli.

- I to dlatego mi wierzysz? - spytałem. - Bo widziałas Goblina na

własne oczy?

- Nie mówię, że wierzę w choć jedno twoje słowo - odpaliła mi

Jasmine. - Mówię tylko, że zobaczyłam Goblina. To wszystko, co mam do powiedzenia.

- Wy wiecie, kim była ta Rebeka, prawda? - spytałem, przyglądając się im wszystkim. Nikt nie odezwał się słowem.

- Ściągnę tu księdza - rzekł dziadek tym samym pozbawionym życia głosem, jakim teraz stale się odzywał. - Ściągnę tu ojca Mayfair. Za dużo tych duchów i nie obchodzi mnie, czy jednym z nich była Virginia Lee.

- A ty, ty, mały cymbale - napadła na mnie Baba Ramona - przestań się nadymać, że wszyscy ci uwierzyli, i przyjmij wreszcie do wiadomości, że mało nie spaliłeś domu.

- Do cholery, taka prawda - przytaknęła jej Jasmine. - Nie mówię, że ci nie wierzę, że nie widziałeś tej kreatury, tego stwora, tej kobiety, ale babcia ma rację, cholera, mało nie spaliłeś dworu. Podłożyłeś ogień pod ten cholerny dom.

- Słuchaj, wiem - powiedziałem z pokorą. Naprawdę uderzyłem w pokorny ton. - Ale kim ona była? Czemu chciała spalić te dom? Czy umarła gdzieś tam na wyspie? Tak musiało być.

Dziadek uniósł bez słowa rękę, po czym rzekł:

- Nieważne, kim była. Jeśli zmarła gdzieś tam, nic po niej nie zostało.

I jeśli ją znów spotkasz, masz zrobić znak krzyża świętego, jak ci; mówiłem...

- Nigdy więcej nie daj się jej zwieść - poradziła mi Lolly.

I tak się to ciągnęło przez pół godziny, lajali mnie i strofowali,

wszystko zgodnie z zasadami sztuki.

Kiedy wyszedłem z kuchni, kręciło mi się w głowie. Przypominały mi się chwile z nią, ale nie odważyłem się tego wyznać kuchennemu komitetowi. Chciałem po prostu wyjść.

Poszedłem do salonu, może po to, aby się przekonać, że jest to ten salon, który znam, nie tamta dziwna zjawia, i ocknąłem się przed portretem Manfreda Blackwooda. Co za dystynkcja. Co za poczucie władzy na tej gębie buldoga. Zdumiewające, jak różne są oblicza piękna. Jego patrzące żałośnie oczy, spłaszczony nos, wystająca dolna szczęka, wykrzywione w dół usta, wszystko to wydawało się harmonijne, pełne powagi i szlachetne. Przylapałem się na tym, że mówię do niego, mruczę, że znał Rebeke Stanford, i że dowiem się wszystkiego.

- Czemu się nie zjawiles i jej nie powstrzymałeś? - spytałem, przyglądając się grze światła na portrecie. - Czemu to spadło na Virginie Lee?

Poszedłem do jadalni i spojrzałem na portret Virginii Lee. Widziałem ją, żywą, w ruchu, słyszałem jej głos, widziałem jej bławatkowe oczy płonące gniewem i pogardą. Znow powróciły zawroty głowy i mdłości.

Przywitałem je z radością, usiłując rozeznaczyć się w niewyraźnych głosach, które doprowadzały mnie do szaleństwa, umykając słuchowi: „Wredna dla moich dzieci”. Płacz, od którego serce pękało. „Boję się, że umrę i trafi się jakaś wredna dla moich dzieci”. Z salonu doleciał chór głosów odmawiających różaniec. Płakała. „Taka wredna dla moich dzieci”.

- Virginio Lee - powiedziałem - nie chciałem, żeby do tego doszło. -

Odpowiedziała mi tylko cisza, jej portret był tylko portretem i modlitwy ucichły. Usiłowałem przypomnieć sobie rzeczy, które się wydarzyły. Sen ścinał mnie z nóg. Musiałem się położyć.

Kiedy dobrnąłem do swojego pokoju, byłem kompletnie wyczerpany.

Mokrą ścierką wyczyściłem kapę najlepiej jak się dało, rzuciłem się na łóżko i zapadłem w dziwny półsen. Czulem, że tracę przytomność.

Rebeka mówiła do mnie. Pokój znowu był jej pokojem i tłumaczyła mi, że sprawy nie układają się po sznureczku. Cały czas dzieje się multum różności. Zawsze tu była. „Nie postarzałam się Nie udało mi się uciec”.

Chciałem zapytać, o co jej chodzi, ale nie mogłem przemóc mroku, który mnie zalał, odwróciłem się i pogrążyłem w dziwnej słodkiej głębi, czymś pośrednim między snem a jawą, moje ciało rozkoszowało się wyczerpaniem i wiedziałem że to wyczerpanie jest spowodowane seksem, po czym ona i jej dziwne słowa zupełnie przepadły.

Przenikała mnie cudowna senność, gdy nagle zdałem sobie sprawę, że dziadek jest w pokoju. Dziadek stał w nogach łóżka.

- Całe życie mówiłeś o duchach i upiorach - przemówił do mnie swoim głuchym, płaskim głosem - o Goblinie, o oglądaniu zjaw na cmentarzu, a teraz ten stwór wszedł albo do naszego domu, albo do twojego umysłu i szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co naprawdę się stało. Ale musisz walczyć o swój umysł. Musisz czynnie ukierunkować swoją inteligencję, musisz wyznaczyć sobie jakiś cel, bo masz osiemnaście lat, i te duchy nie mogą nigdy przesłonić ci celu.

Usiadłem, bo tak nakazywał szacunek wobec niego, a on mówił dalej.

- Jestem zły - powiedział. - Naprawdę zły, bo mało nie spaliłeś domu.

Ale nie wiem, co myśleć o tym, co ci się przydarzyło, i jednocześnie jestem i zły, i przekonany, że ktoś mąci ci w głowie, bo kochasz Blackwood tak samo jak ja.

Przytaknąłem mu skwapliwie.

- No, więc ulóż sobie w głowie jak należy, słyszysz mnie? - ciągnął

dalej. - A na razie odłóż z powrotem kamee tej kobiety do kufra. Zamknij go. Zapnij mocno paskami. Ten kufer to puszka Pandory. Otworzyłeś ją i wypuściłeś jej ducha, więc włóż tam z powrotem wszystko, coś wyjął. -

Przerwał, a potem się odwrócił i patrzył na mnie z pustym wyrazem bladej twarzy. - Dałem ci wszystko, co mogłem ci dać - podjął. - Nie nauczę cię niczego więcej. Lynelle nauczyła cię rzeczy, których ja bym ci nigdy nie przekazał. Była lepsza niż szkoła, nie przeczę. Teraz jednak czas przecieka ci przez palce. Wszystko przecieka ci przez palce. Świetnie wiem, że w tej chwili nie pójdziesz do college'u, i może nawet jak się ma osiemnaście lat, to nie jest taka najlepsza sprawa. Ale ciotka Queen ma przyjechać do domu. Znajdzie ci nowego nauczyciela i pokieruje cię dalej.

Kiwnąłem głową. W tym czasie ciotka nie była tak daleko.

Uczestniczyła w seminarium na Barbadosie i wiedziałem, że dziadek do niej dzwonił i że ona wraca. Złościło mnie, że przerwał jej pobyt, ale po tym, co się stało, nie było innego wyjścia, musiała wrócić do domu.

Dziadek długo się we mnie wpatrywał, a potem wyszedł z pokoju.

Byłem jak ogłuszony tępym narzędziem, bo przez wszystkie lata,

które przeżyłem obok dziadka, nigdy nie powiedział mi tak wielu słów na raz. Poza tym widziałem, że jest słaby, wycieńczony, już nie jest tym samym zdrowym, pogodnym człowiekiem co wcześniej. To, że przysporzyłem mu zmartwień, tym mocniej mnie zalało.

Zszedłem do salonu i wyjąłem z gabloty kamee, które znalazłem w kufrze. Zaniósłem je do siebie i postanowiłem, że jutro, za dnia, zaniosę je na strych i odłożę na miejsce. Może. Może nie. Przecież duch nie miał do mnie żadnych pretensji o to, że otworzyłem jego kufer.

Znów zapadłem w półsen i poczułem bliskość Rebeki, rozkosz i grzech. „Jestem stworzona do rozkoszy, Quinn, do tego i niczego więcej. Dam ci to, Quinn. Teraz na to czas, Quinn, tylko na rozkosz, tylko tego chciałam, być czymś klejnotem, ozdobą, pieszczoszkiem, kto wie?”

W pewnym momencie, bardzo późno, Baba Ramona weszła do pokoju, obudziła mnie i kazała mi ubrać się do snu. Zrobiłem to, a gdy wyszedłem z łazienki ubrany w długą nocną koszulę, spojrzała na mnie i powiedziała:

- Jesteś za duży, żebym z tobą spała.

- Nieprawda - natychmiast zaprotestowałem. - Nie chcę żeby tamten duch wrócił. Nie chcę tego... co się stało. Jak mi się zachce, ulżę sobie gdzie indziej. Jesteś mi potrzebna, żebym mógł spokojnie spać. Chodź, pomódlmy się.

I pomodliliśmy się, a potem zasnęliśmy, ciasno przytuleni i spałem tak głęboko, jakby w ogóle nie był snów, tylko nabierałem sił, aż zaskoczyło mnie światło poranka, wpadając przez okno i rozlewając się po

pokoju.

Było wcześniej, dobre kilka godzin przed moją zwykłą pobudką, ale podniosłem się bez hałasu, bardzo uważając, aby nie obudzić Baby Ramony, włożyłem dżinsy, wysokie buty, wziąłem rękawice do prac ogrodowych, strzelbę, nóż myśliwski i poszedłem cicho do kuchni po wielki nóż - ten sam, którym Patsy groziła dziadkowi - i wykradłem się z domu, by udać się na przystań i do przywiązanej tam pirogi.

Słońce padało na ponury, zarośnięty chwastami cmentarzyk. Mimo że byłem zajęty innymi sprawami, kołatało mi w głowie, że gdyby wszystko układało się jak należy, dziadek nigdy nie pozwoliłby na takie zapuszczenie, i że już nie jest sobą, żalność wyrządziła mu wielką krzywdę, i to ja muszę się zająć chwastami. Innymi sprawami też. Na przykład dziadkiem.

Wiedziałem, że Goblin jest blisko mnie, ale się nie pokazuje, bo się boi. Nie obchodził mnie; pomyślałem, że może o tym też wie.

Teraz rozumiem, że wiedział. Wiedział, że kiedyś był główną tajemnicą mojego życia i że przestał nią być - Rebeka zajęła jego miejsce - i wycofał się, osłabiony moją obojętnością i przepelniony paniką, którą być może go zaraziłem.

Zawzięłem się, że znajdę Wyspę Słodkiego Czarta, i odpychając się drągiem od brzegu, wyruszyłem na bagna.

Bywałem na mokradłach jako chłopak. Umiem strzelać. Umiem łowić ryby. Polując z dziadkiem, zapuszczaliśmy się całkiem daleko od brzegów posiadłości. Ale też nie wykraczaliśmy poza pewien obszar, rozległy w naszym odczuciu, bo było na nim pod dostatkiem ryb, a moczary wszędzie wyglądały identycznie - gąszcz cyprysów, wodnych tupelo i dzikich dębów, gigantycznych karłatek i niekończącego się bluszczu.

Teraz jednak moim jedynym celem było przedrzeć się przez znany mi obszar, mając za punkt orientacyjny drzewo, na którym wyryto strzałkę, nad opaską z zardzewiałego łańcucha.

Znalezienie go zajęło mi więcej czasu, niżbym sobie życzył. Powietrze było wilgotne i ciężkie, ale poziom wody sięgał na tyle wysoko, że piroga nie szorowała o dno, tak więc, wyjąwszy kompas, ustaliłem kurs i popłynąłem tam, gdzie wskazywała strzałka.

Jeśli kiedyś zabrnęliśmy z dziadkiem tak daleko, to nie zdawałem

sobie

z

tego

sprawy.

Natomiast

zdawałem

sobie

sprawę

z

*niebezpieczeństwa, z tego, że mogę się zgubić. Nie za bardzo się tym jednak
przejmowałem. Byłem zbyt pewny swojej misji, a gdy ogarniały mnie
zawroty głowy, po prostu zagryzałem zęby.*

*Znów usłyszałem głosy, szepty, które popychały mnie dalej,
popędzały mnie i nie dawały mi spokoju, i kolejny raz usłyszałem płacz
kobiety, tyle że to nie była Virginia Lee.*

*„Nie możesz tak ze mną postąpić - lkała. - Nie możesz tego zrobić!” A
potem rozległ się niewyraźny gwar zmieszanych głosów. „Pogrzebana na
wieczność!” - wykrzyknęła jakaś kobieta, Po czym przestałem cokolwiek
rozumieć.*

*Słyszałem głosy, ale wydawały mi się pozbawione sensu, pogrążyłem
się w grzęzawisku snów i majaków. Pamiętam, że rozpaczliwie starałem
się wyłowić coś sensownego, ale najważniejsze było utrzymanie
równowagi i odpychanie się od dna.*

*Obawiałem się, że drąg wpadnie do oślizgłej wody i będę musiał go
wylawiać. Już zdarzało mi się brodzić po pas w bagiennych wodach i
zupełnie nie przypadły mi do gustu. Roślinność zabarwiała światło na
zielono, ale i tak raziło mi oczy.*

*Chyba znów dostyszałem słowa, ale roztopiły się w mojej pamięci i
nic z nich tam nie pozostało. Słyszałem krzyk ptaków dziwne
melancholijne zawołania skarżących się na samotność osobników.*

Piroga przedzierała się przez rzęsę wodną i gdy prowadziłem ją z

uporem przez dżunglę cyprysowych pni, po prawej stronie wyrosła ogromna płatanina kwitnącej glicynii. Kwiaty były wściekle purpurowe, tak manierycznie purpurowe, że aż mnie to rozbawiło i śmiałem się do rozpuku.

Znów ogarnęły mnie zawroty głowy. Towarzyszyło im uczucie rozkosznego komfortu, słodczy, jakbym się upił szampanem. Światło układało się w cętki, a purpura glicynii była bez skazy. Słyszałem głosy. Rozpoznawałem głos Rebeki i wiedziałem, że cierpi.

Zrozumiałem: „...dopadną cię, znajdą cię...” Urwany fragment falował jak spadający liść. A śmiech, który się po nim rozległ, pochłonął resztę i nie rozumiałem ani słowa więcej.

Nagle po mojej prawej stronie wyrósł gigantyczny cyprys, jeden z najstarszych, jakie kiedykolwiek widziałem. Miał opaskę z przezartego rdzą łańcucha, jak poprzedni, i głęboko wyrżniętą strzałkę, nakazującą skręt w lewo. To niewątpliwie były niespenetrowane terytoria, leżące daleko od Blackwood. Gdy spojrzałem na kompas, przekonałem się, że mam rację.

Piroga nabrała prędkości, drąg zanurzał się głęboko w wodę - Strach przed wypadnięciem za burtę wzrósł, a tymczasem pojawiła się kolejna gęstwina kwitnącej glicynii.

Znasz te pnącza, wiesz, jak potrafią się rozprzestrzeniać, więc z pewnością wyobrażasz sobie, jak piękny był tamten widok. A słońce padało teraz skosem, jak przez okno katedry, rozkładając się poza tunelem, który wytyczał mi dalszą drogę, płynąłem przed siebie, aż

ujrzałem kolejny zardzewiały łańcuch j strzałkę. Tym razem nakazywała płynąć dalej przed siebie, więc zastosowałem się do tej wskazówki.

Wiedziałem, że jestem bardzo daleko od posiadłości, że na wszelką pomoc musiałbym czekać godzinę, a godzina na bagnach to szmat czasu.

Spojrzałem na zegarek i przekonałem się, że pomyliłem się o całe pół godziny. Nie było mnie w domu półtorej godziny, podniecenie, które wytrąciło mnie ze snu, rosło. Gdy pojawił się kolejny cyprys ze starym łańcuchem i nierówno wrytą strzałką, skręciłem w lewo, by zaraz natrafić na kolejne drzewo z opaską i strzałką, pokazującą zakręt w prawo.

Płynąłem posłusznie dalej, po jeszcze głębszej wodzie, a gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem dom. W tym samym momencie piroga uderzyła o brzeg. Mało nie wypadłem za burtę. Musiałem się zorientować, gdzie jestem. Kolczasta jeżynowa gęstwina rozrastała się przed dziobem, ale wyciąłem sobie drogę kuchennym nożem, a potem rozepchnąłem krzewy, włożywszy wpierw rękawice.

Sytuacja nie była najgorsza. A tymczasem przekonałem się, że moje pierwsze wrażenie było słuszne. Przede mną stał duży dom na palach, z naturalnie wysezonowanego cyprysowego drewna. Pomyślałem, że być może wypłynąłem poza granice naszej posiadłości i jestem na obcym terenie.

Uznałem, że jeśli się okaże prawdą, zachowam należyty szacunek wobec właściciela. Przebiłem się przez jeżyny, wciągnąłem pirogę na brzeg i stanąłem przed lasem tupelo i młodych eukauptusów. Te drzewa upiory o

wstrętnej, sinej korze rozpaczliwie Walczyły o światło z zazdrosnymi gigantycznymi cyprysami, tuszyłem kolumnadą drzew, chłostany liśćmi palm.

Gdy przystanąłem, znów czując zawroty głowy, usłyszałem jęczenie pszczół. Otarłem twarz, ale że miałem zabrudzone rękawice, więc tylko jeszcze się umazałem. Miałem w kieszeni lnianą chusteczkę i całe opakowanie chusteczek higienicznych jednak nie było czasu na zajmowanie się własnym wyglądem.

Idąc dalej, przekonałem się, że mam pod nogami ziemię i że wspinam się na wzgórze. W końcu ujrzałem polanę, bardzo rozległą polanę, otoczoną gigantycznymi cyprysami, których pnie i rozpełzające się koszarne korzenie chroniły polanę przed rozmyciem. W środku tej polany wznosił się dom, wyrastający sześć, osiem stóp ponad poziomem gruntu, konstrukcja na planie koła, o łukowatych oknach, wyglądająca jak dwuwarstwowy tort. To wrażenie potęgowała kopuła na szczycie.

Parter był rozleglejszy niż piętro.

Mocne drewniane schody sięgały frontowych drzwi, nad którymi wisiała prostokątna tablica z wyraźnym, głęboko wyrytym napisem:

POSIADŁOŚĆ MANFREDA BLACKWOODA

WSTĘP WZBRONIONY

Nie pamiętam, abym kiedykolwiek doznał takiego triumfu, jak w tamtej chwili. Oto był mój dom; moja wyspa; odkryłem coś, co dla innych było tylko legendą, i do czego nikt inny nie miał prawa. Odzyskałem wyspę Manfreda, przemieniłem opowieść w prawdę. Dotarłem do miejsca, w

którym nie powstała nigdy stopa Williama, Gravier, dziadka. Byłem tu pierwszy.

Ogarnięty delirycznym żarem oglądałem budynek. Byłem prawie niezdolny do jasnego myślenia. Zapomniałem o rozpaczliwych błaganiach Rebeki i bólu, który jeszcze niedawno tkwił nieugięty w mojej głowie.

Brzęczenie pszczół, szelesty i trzepoty gigantycznych liści tupelo, cichy chrzęst żwiru pod stopami - wszystkie te odgłosy otuliły mnie, objęły, spowiły, napętniając jakąś niepojętą fascynacją, jakbym trafił do rajy ludzi innej wiary.

Byłem również świadomy, chociaż się przed tym wzbraniałem, że nawet gdyby same drzewa utworzyły tę polanę, zatrzymując konarami muł i piasek, to nie utrzymałaby się w sposób naturalny. Trzęsawiska dawno by ją pochłonęły. Już pożerały ją chaszczce jeżyn, a podstępna kolorowa glicynia obwieszczala swoje panowanie, pokrywając grunt, ściany domu i wdzierając się na dach.

Ktoś tu mieszkał. Zapewne. A może nie. Na myśl o dzikich lokatorach lub intruzach poczułem oburzenie. Pożałowałem, że nie zabrałem rewolweru. Powinienem był się uzbroić. I może się uzbroję, gdy wrócę. Wszystko zależało od tego, co jeszcze odkryję.

Tymczasem dojrzałem kolejną budowlę, pełną i ciężką, dobry kawałek za domem. Połowę zakrywała glicynia. Słońce odbijało się od reszty. Połyskliwe boki były tak oślepiające, że musiałem mrużyć oczy, mimo iż przesłaniały je poskręcane pnie młodych drzewek.

Skierowałem się najpierw do niej, bardzo niechętnie mijając

zapraszające stopnie domu. Postanowiłem sprawdzić, co to za masywny kształt. Uznałem, że może to być jedynie jakiś grobowiec. Był mojej wysokości, w kształcie prostopadłościanu i wykonany chyba z granitu, na który z frontu, z tyłu i po bokach nałożono metalowe, chyba złote, płyty. Oczyszciliśmy go z glicynii, jak się tylko dało. W metalu wyrzeźbiono jakieś postaci, chyba Greków, idących w żałobnej procesji. Przechodzili z płyty na płytę, opasując budowlę, w której nie znalazłem żadnych drzwi. Obszedłem ją chyba z dziesięć razy, gładząc rękami postaci, znakomicie oddane profile i fałdy szat, zanim powoli zdałem sobie sprawę, że to nie Grecy, ale raczej Rzymianie. Doszedłem do tego wniosku, gdyż ci ludzie nie przedstawiali jakiegoś jednego ideału urody, do którego przedstawienia dążyli greccy rzeźbiarze, ale byli zróżnicowani, podzieleni na kilka grup. W pewnym momencie wydało mi się, że mam do czynienia z pracą wzorowaną na preraphaelitach, ale nie byłem pewien swojej racji. Mówiąc najprościej, figury były o klasycznych proporcjach, a pochod nie miał końca i chociaż wydawało się, że niektóre postaci płaczą lub rwą włosy z głowy, na płaskorzeźbach nie umieszczono ciała ani mar. Gdy już uważnie wszystko obejrzałem, spróbowałem otworzyć sarkofag. Bez powodzenia. Złote płyty - gdyż doszedłem już do przekonania, że są złote - przymocowano na stałe do narożnych granitowych pilastrów, a pokrywę czy osłonę, dwuspadową jak na wielu nowoorleańskich sarkofagach, osadzono, nie zostawiając nawet najdrobniejszej szczeliny. By sprawdzić, czy płyty są ze złota, poskrobałem brzeg myśliwskim

nożem. Przekonałem się, że całość jest z identycznego metalu, nie tylko wierzch. Tak, to było złoto. Dużo, dużo złota.

Ta budowla zdumiewała mnie nieskończenie. Była majestatyczna, piękna i w całym słowa znaczeniu monumentalna. Ale jeśli była monumentem, to na czyją cześć? Na pewno nie Rebeki!

Oczywiście, odpowiedzialny za jej wzniesienie musiał być Szalony Manfred. Przystawała do jego bajronicznych wyobrażeń, jej zamięłowań, bujnych marzeń. Nikt inny nie zjawiłby się na wyspie, aby zbudować złoty grobowiec. Równocześnie nie potrafiłem sobie wyobrazić, że to mogłoby być jego mauzoleum. Kto by go pochował?

Kiedy usiłowałem rozwiązać tę zagadkę, myślałem, że oszaleję.

Szalony Manfred miał dziewiąty krzyżyk na karku, gdy sporządził swoją ostatnią wolę. Widziałem datowany dokument. A gdy oszalał do reszty i uciekł z łoża boleści na przystań, miał osiemdziesiąt cztery lata.

Kto lub co oczekiwało go na tej wyspie?

Oczywiście, ten grobowiec, jeśli to był grobowiec, nie miał wrytego żadnego nazwiska, daty, żadnego napisu. Co za niedorzeczność, budować mauzoleum z litego złota, a potem nie umieścić na nim żadnej inskrypcji!

Postanowiłem się nie spieszyć z wejściem do domu. Obszedłem wyspę. Nie była duża. Ponad połowa linii brzegowej była zarośnięta największymi cyprysami, jakie widziałem w życiu. Wszelkie szczeliny między nimi zasłaniały tupelo i ich odmiana, kłáže, tworząc barierę nie do przebycia, a po prawej, skąd przyplłynąłeś rosła zbita ściana czarnych dębów, bardziej egzotycznych drzew i glicynii, którą już opisywałem. Tak

więc miejsce do lądowania było bardzo wąskie i trafiłem na nie tylko dzięki przypadkom. Chyba że zadziałały inne siły, panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć brzęczenia pszczoł i regularnego oddechu bagien.

- Goblin...! - zawołałem, ale mi nie odpowiedział, tylko poczułem, że ociera się o mój kark, delikatnie jak kot, i usłyszałem w myślach: „Złe miejsce, Quinn. Wracaj do domu. Martwią się o ciebie w domu.

To wydawało się oczywiste i prawdziwe, ale nie miałem zamiaru odpowiadać.

- Co to za miejsce, Goblin? Dlaczego mówisz, że jest złe? - spytałem.

Nie odpowiedział, tylko po chwili powtórzył, żebym wracał do domu.

Dodał: „Ciotka Queen wróciła”.

To niesłychanie mnie zaintrygowało. Goblin nigdy mi nie mówiło zachowaniach innych ludzi. Nie miałem jednak najmniejszego zamiaru wracać! Usiadłem na stopniach. Były bardzo solidne, co mnie nie zaskoczyło, gdyż zbudowano je z drewna cyprysowego, a cyprys nie gnije.

- Rebeko - spytałem na głos - jesteś tu?

Znów poczułem zawroty głowy i gdy w pirodze budziły we mnie lekkie obawy, to teraz nieco im uległem, przymknąłem oczy, odchyliłem do tyłu głowę i patrzyłem w cętkowane liśćmi światło.

Napłynęła fala zmieszanych głosów; szeptów, przekleństw, kobiecych szlochów, Rebeka płakała, mówiąc: „Nie możesz mnie tak

torturować - a potem rozległ się pomruk jakiegoś mężczyzny i głośnie:

„Przeklęta!” Ktoś się roześmiał. Czyjś głos powiedział: „Czegoś się po mnie spodziewała?!” Ale te nie powiązane ze sobą wypowiedzi ucichły, niczego

mi nie wyjaśniając, odpłynęły, a mnie zrobiło się prawie niedobrze.

Ogarnęła mnie nienawiść wobec tego głosu, głosu, który spytał:

»Czegoś się po mnie spodziewała?!», i miałem wrażenie, że moja nienawiść jest uzasadniona.

Wstałem i odetchnąłem głęboko. Wciąż było mi niedobrze. Ten cholerny upał sprawiał, że było mi niedobrze. Poza tym cięły mnie komary i od tego też było mi niedobrze.

To przesiadywanie w domu w gorące dni wyssało mi siły.

Czekałem, aż w głowie mi się przejaśni, a potem wspiąłem się po schodach i wszedłem przez szeroko otwarte drzwi.

Ci dzicy lokatorzy mają czelność, pomyślałem, a gdy zauważyłem, że drzwi zrobiono z wielkiej tafli szkła, podzielonej ołowianymi szprosami i że poszczególne kwadraty są czyste, byłem oburzony. Równocześnie byłem przekonany, że w domu nie ma nikogo poza mną.

Parterowe pomieszczenie było idealnie okrągłe, przeszklone ze wszystkich stron łukowatymi oknami, których niczym nie zasłonięte. W głębi po lewej szły schody na górę, w głębi po prawej był wielki zardzewiały kominek, prostokątny, z pionową rurą i dwuskrzydłowymi drzwiczkami. Na wpół spalone drewno i popiół zalegały w palenisku i wysypywały się na podłogę. W środku stał zdumiewający mebel: wielkie marmurowe biurko o żelaznej ramie a przed nim rzymskie krzesło ze skóry i złota. Dzisiaj na takich krzesłach, oczywiście nie złotych, siedzą reżyserzy filmowi.

Natychmiast podszedłem do tych imponujących mebli i znalazłem

współczesne pióra w ciężkim złotym kubku, pęk podtopionych, wysokich grubych świec na złotej podstawce i rozrzucony nieporządnie stos książek w broszurowych wydaniach. Przekartkowałem je, obejrzałem okładki.

Były to bardzo różne pozycje, od, jak się to arogancko mówi, literatury wagonowej po dzieła z antropologii, socjologii i współczesnej filozofii.

Camus, Sartre, de Sade, Kafka. Był atlas świata, słownik i kilka obrazkowych słowników dla dzieci, a także historia starożytnego Sumeru w wydaniu kieszonkowym.

Spojrzałem na daty wydania tych książek. Na ceny. Wszystkie wydrukowano współcześnie, chociaż papier już nasiąkł wilgocią, napuchł i zmiękł.

Knoty świec były czarne, a wosk rozlany na podstawce świadczył, że używano ich jakiś czas temu.

Byłem poruszony i zaintrygowany. Trafiłem na dzikiego lokatora, który przychodził tu czytać. Na dzikiego lokatora, który ogrzewał się przy kominku. A złote krzesło był przepiękne, z siedziskiem i oparciem z miękkiej brązowej skóry, skrzyżowanymi nogami i ozdobnie rzeźbionymi poręczami. Małe nacięcie nożem przekonało mnie, że prosty korpus naprawdę jest ze złota. Podstawka na świece i kubek na pióra również.

- I mauzoleum - szepnąłem. (Zawsze mówię do siebie, gdy jestem zbity z tropu.) - Trafiłem na dzikiego lokatora, który lubi złoto.

Dziki lokator obdarzony dobrym smakiem i intelektualnymi zainteresowaniami! Ale jak on się tu dostał i jaki to miało związek z zawrotami głowy, które czułem, zbliżając się do wyspy? Z tego, co

wiedziałem, w grę mógł wchodzić tylko jakiś intruz, nikt więcej.

Rozejrzałem się po otwartych oknach. Zobaczyłem ślady deszczu na podłodze. Zobaczyłem pochód wdzierającej się do środka roślinności.

Znów ogarnęły mnie zawroty głowy i ubiłem komara, który próbował doprowadzić mnie do szaleństwa. Tylko dlatego że ten typ ma dobry smak, to nie znaczy, że nie czeka na górze, aby cię zabić, pomyślałem.

- Halo, jest tu kto...? - zawołałem, wchodząc na piętro.

Z góry odpowiedziała mi cisza. Byłem przekonany, że dom jest opuszczony. Gdyby tajemniczy czytelnik stale w nim przebywał, nie pozwoliłby, aby książki uległy takiemu zniszczeniu.

Niemniej jednak znów krzyknąłem:

- Halo, tu Tarquin Blackwood...! - i szedłem powoli, nasłuchując odgłosów z góry.

Piętro było znacznie skromniejsze i ciasniejsze niż parter, ale podłogę ułożono z takich samych solidnych desek, a światło docierało nie tylko przez nagie łukowate okna, lecz i przez dachową kopułę.

Ledwo zauważyłem te szczegóły. Ten pokój zdecydowanie różnił się od tamtego, gdyż było w nim coś koszmarnego i ohydneho.

Do ściany naprzeciwko kominka przybito zardzewiałe łańcuchy, które wyraźnie służyły jednemu celowi, uwięzieniu człowieka. Miały obręcze na przeguby i kostki u nóg, a pod tym pustym świadectwem jakiejś potworności była gęsta, ciemna, przypominająca syrop maź i resztki ludzkiej czaszki.

Ogarnęło mnie niewyobrażalne obrzydzenie. Targnęły gwałtowne

mdłości. Opanowałem się. Wbiłem wzrok w czarną smołę - watą substancję, a potem w czaszkę. Dostrzegłem biały rozsypany proch, fragmenty szkieletu. Były tam też resztki gnijącego ubrania i jakaś rzecz, której blasku nie przyćmiła nawet smoła.

Ogarnęła mnie zimna uparta wściekłość. Tu wydarzyło się coś niesłychanego. I choć sprawca od kilku miesięcy nie przebywał na miejscu zdarzenia, mógł w każdej chwili wrócić.

Podszedłem do smołowatej substancji. Ukląknęłam i podniosłem błyszczący przedmiot i bez zdziwienia odkryłem, że to jeden z kolczyków, które miała na sobie Rebeka, gdy do mnie przysła. W ciągu kilku sekund moje drżące palce znalazły drugi z pary. W budzącej mdłości substancji leżała jeszcze kamea, którą Rebeka nosiła na szyi. Zabrałem i ją.

Byłem sparaliżowany podnieceniem, ale nie przesłoniło mi wzroku i dostrzegłem, że piąty, zwisający ze ściany łańcuch, oddzielony od tych, które pewnie krępowały przeguby i kostki u nóg, miał na końcu hak. Był zabrudzony czymś czarnym i w tym czarnym brudzie tkwiły szczątki materiału i włosy. Ten piąty łańcuch wzbudził we mnie nieporównywalną grozę.

Miałem dreszcze. W głowie mi wirowało, traciłem równowagę i znów odniosłem wrażenie, że Rebeka do mnie mówi, Rebeka do mnie szeptem, Rebeka płacze, a potem jej głos urósł w brzęczącej ciszy domu: „Nie możesz mi tego zrobić, nie możesz!”

- Nie, Rebeko - szepnąłem. Ale wiedziałem, że tu umarła, że jej kości gniły tu przez stulecie, wiedziałem, że nawet teraz, na moich oczach,

drobne stworzonka z mokradel zjadały to, co z niej zostało - widziałem je, jak robiły swoje w obrzydliwej mazi - i że wkrótce nic po niej nie zostanie.

Ona ściągnęła mnie tutaj. Miałem prawo dotknąć jej czaszki, a kiedy to zrobiłem, rozsypała się na moich oczach. Została po niej tylko kupka białego prochu, zmieszana z kośćmi. Nigdy nie powinienem był jej dotykać! Było za późno.

Nagle poderwałem się do działania. Wstałem. Schowałem do kieszeni kolczyki i broszkę. Dobyłem myśliwski nóż - kuchenny zostawiłem w pirodze - okręciłem się w miejscu, twarzą do schodów. Nikt się nie zjawił, to oczywiste, ale w każdej chwili mógł się zjawić.

Kimże był ten, kto siedział przy biurku i czytał w blasku świec, mając taką potworność nad głową? To był dom tortur i nie kto inny sprowadzał tu swoje ofiary, tylko praprapradziadek Manfred, i to tu Rebeka spotkała swój koniec.

Kim był ten ktoś, który wiedział o tym wszystkim i nic nie zrobił?

Kim był ten ktoś, kto przywiózł tu przepiękne marmurowe biurko i złote krzesło? Kim był ten, którego pochowano w pozbawionym drzwi mauzoleum? Te wszystkie pytania zwały się na mnie jak ciosy obuchem.

Trząsnęłam się z czystego wyczerpania. Musiałem jednak ustalić pewne sprawy.

Podszedłem do okna i ze zdziwieniem dostrzegłem, że mam przed sobą niespodziewanie rozległy widok. W oddali zobaczyłem bardzo wyraźnie dwór Blackwood, wieńczący trawiasty stok.

Ten, kto mieszkał w tym domu, ten, kto go odwiedzał, jeśli chciał,

mógł podglądać życie we dworze, widział - między innymi - moje okno i okno kuchenne. Chociaż nie natrafiłem na teleskop ani lornetkę, to gdyby miał jedno bądź drugie, mógłby bardzo dokładnie nas obserwować. Ten tak dokładny widok mroził krew w żyłach.

Wyjąłem kompas i ustaliłem drogę powrotną. Musiałem szybko dotrzeć do domu.

Głosy znów zaczęły mi zagrażać. Powróciły zawroty głowy. Na moment straciłem równowagę. Wrzaski ptaków mieszały się z krzykami Rebeki. Byłem bliski zemdlenia. Musiałem się opanować.

Zszedłem do wielkiego pokoju, przeciąłem go, wyszedłem na zewnątrz i przeszukałem każdy cal wyspy, do którego udało mi się dotrzeć.

Tak, powstała dzięki cyprysom, które chroniły ją przed wodami moczarów, a ze strony zachodniej i północnej rosły tak gęsto, że zasłaniały zupełnie wysepkę. Dostępny był tylko brzeg Wschodni, na którym wylądowałem.

Oglądając dziwną budowlę z granitu i złota, nie odkryłem niczego więcej. Jedyne gdy oczyściłem ją z glicynii, wyrzeźbione figury nabrały jeszcze niezwyklejszej urody. Wartość złota musiał być oszalamiająca, ale nikt nigdy nie odważył się go ukraść; chyba nawet nikt nigdy nie próbował tego zrobić.

Było mi tak gorąco, byłem tak spocony, tak pogryziony przez komary i umęczony żalonymi krzykami ptaków i tą całą upiorna wrzawą, którą tworzyły z niewyraźnymi głosami, że musiałem się stamtąd wydostać. Musiałem uciec w bezpieczne miejsce.

*Wskoczyłem do pirogi, ująłem drąg, odepchnąłem się od brzegu i
popłynąłem do domu.*

Jasmine czekała na mnie przy brzegu, doprowadzona do absolutnego szału tym, że nie powiedziałem nikomu, dokąd się wybieram.

Odchodziła od zmysłów ze strachu. I nawet Patsy była w domu i martwiła się, bo miała sen, że grozi mi niebezpieczeństwo. Przyjechała z Nowego Orleanu, tylko po to, aby się przekonać, iż nic mi nie grozi.

- Ciotka Queen jest, prawda? - spytałem niecierpliwie, idąc z Jasmine do kuchni. - A Patsy pewnie przyjechała tylko dlatego, że potrzebuje pieniędzy, i wieczorem możemy się spodziewać wielkiej awantury. Ale nie mam na to czasu. Muszę wam powiedzieć, co tam znalazłem. Musimy zaraz zawezwać szeryfa.

- Szeryfa? A po co?! - spytała podniesionym głosem Jasmine. - Tak, twoja ciotuchna Queen jest w domu. Przyjechała z godzinę temu, a ciebie nikt nie widział i piroga zniknęła - i tak dalej przez pełne trzy minuty.

Ledwo skończyła ciskać gromy, gdy pojawiła się ciotka i rzuciła mi się na szyję, chociaż cały lepiłem się od brudu. Była jak zwykle elegancka, od szpilek do idealnych siwych loczków na głowie. Miała na sobie delikatną suknię z zielonego jedwabiu. Wkładała tylko dwa rodzaje materiału, jedwab albo jedwab, nic więcej, i nawet nie potrafię sobie wyobrazić, że ściskam ją ubraną w coś innego.

- Patsy również zjawiała się w kuchni i zasiadła naprzeciwko mnie.

Ciotka zajęła krzesło po prawej stronie, a Jasmine postawiła przede mną piwo i usiadła po lewej.

Zerwałem z rąk brudne rękawice i za jednym zamachem wypilem pół szklanki piwa, na co Jasmine pokręciła głową i wstała nalać mi następne.

- O co chodzi z tym szeryfem? - spytała ciotka. - Do czego ci potrzebny?

Położyłem na stole kolczyki i broszkę i opowiedziałem im wszystko, co widziałem. Powiedziałem, że czaszka rozleciała się na moich oczach, ale szeryf może pobrać próbki DNA z białego prochu, który został, i udowodnić, że to była Rebeka, i że do tego porównania posłuży włos ze szczotki, której Rebeka używała a która leży na górze, w kufrze podpisanym jej nazwiskiem. Leży tam też grzebień z włosiem.

Ciotka Queen spojrzała na Jasmine, a ta potrząsnęła głową.

- Myślisz, że szeryfowi z gminy Ruby River będzie się chciało robić test DNA z kupki białego proszku! - powiedziała. - Zamierzasz opowiadać te twoje klituś - bajduś szeryfowi z gminy Ruby River? Ty, Tarquin Blackwood, zaprzysięgły kumpel Goblina, twojego sobowtóra - ducha? Zamierzasz dzwonić do szeryfa? Nie chcę być w tej kuchni, kiedy odbędzie się ta rozmowa.

- Posłuchaj mnie - powiedziałem z uporem. - Ta kobieta została zamordowana. Morderstwo to przestępstwo, które się nie przedawnia i...

- Quinn, kochanie - odezwała się ciotka spokojnie, starając się przemówić mi do rozsądku - nie wydaje mi się, żeby szeryf uwierzył w tę historię. I nie wydaje mi się, żeby posłał kogokolwiek na środek bagien.

- W porządku - stwierdziłem - rozumiem. Nikogo to nie obchodzi. Nikt w to nie wierzy.

- Nie chodzi o to, że ci nie wierzę - powiedziała ciotka - chodzi o to, że nikt spoza Blackwood w to nie uwierzy.

- No, zgadza się - wtrąciła się Patsy. - Wszyscy spoza Blackwood uznają, że brak ci piątej klepki, Tarquin, jeśli już tak nie pomyśleli, po tym, jak przez te wszystkie lata opowiadałeś o twoim cholernym upiorku.

Tarquin, im więcej nawijasz, za tym większego wariata cię biorą.

Kiedy się tak spieraliśmy - ja wyłączając ze skóry, żeby mi uwierzyły i doprowadziły do wszczęcia śledztwa, a one prosząc mnie, nie robił z siebie durnia - wszedł dziadek i powtórzyłem mu całą historię.

Siedział przy rogu stołu, słuchając i patrząc wyzbytymi blasku czarni, a następnie mruknął pod nosem, że gdybym chciał, to wróci ze mną na wysepkę, a gdy powiedziałem, że tego chcę, był zaskoczony.

Przez cały ten czas Goblin stał przy zlewie, słuchając rozmowy i patrząc to na jedną z osób przy stole, to na drugą albo też na tego kto mówił. W końcu podszedł do mnie i pociągnął mnie za ramię.

- Goblin - powiedziałem - odejdz, teraz nie mam dla ciebie czasu. -

Ogromnym wysiłkiem woli odepchnąłem go w myślach i ku mojemu zdumieniu zniknął.

Wtedy Patsy zaczęła mnie przedrzeźniać, powtarzać moje słowa i roześmiała się szyderczo.

- Goblin, odejdz, a teraz wmawiasz nam, że tam jest marmurowe biurko i złote krzesło.

Odpaliłem jej ze złością, że te szczegóły mają najmniejsze znaczenie, i krótko zakończyłem, że chcę się zobaczyć z szeryfem i opowiedzieć mu, co

widziałem.

Dziadek powiedział, że nie wezwie szeryfa, dopóki sam tam ze mną nie popłynie, i że skoro ta kobieta gnła tam przez sto lat, dzień czy dwa nie zrobią różnicy.

- Ale ktoś tam mieszka, dziadziu - powiedziałem. - Ktoś musiał wiedzieć o tych łańcuchach, musiał widzieć czaszkę! Mamy tu niebezpieczną sytuację.

- Cholernie dobrze - syknęła szyderczo Patsy - że wierzysz w to, co mówisz, Quinn, bo nikt inny w to nie wierzy. Jesteś wariat od urodzenia. Ciotka nie spojrzała na nią. Wtedy po raz pierwszy w życiu uświadomiłem sobie, że nie lubi Patsy.

- A co z twoim snem, Patsy? - spytałem, nie reagując na jej obelgi. - Jasmine powiedziała mi, że przyjechałaś do domu, bo coś ci się śniło. - Och, to nic w porównaniu z twoją historią - powiedziała ironicznie i zimno. Spojrzenie jej niebieskich oczu było twarde jak lód. - Tylko obudziłam się przerażona, że coś ci się stało. Ktoś chciał cię skrzywdzić, dwór płonął, a jacyś ludzie mieli nad tobą władzę i chcieli ci zrobić krzywdę... I ukazała mi się Virginia Lee i powiedziała: „Patsy, zabierz go”.

Widziałam ją bardzo wyraźnie Siedziała ze swoją robótką, wiesz, z tymi całymi haftami, które wciąż po niej mamy, robiła te koronki i je odłożyła, i powiedziała mi to, co właśnie mówię. Teraz to wszystko mi się rozmywa.

Ale dwór Blackwood płonął. Obudziłam się wystraszona.

Spojrzałem na dziadka i Jasmine. Widziałem po ich minach że nie powiedzieli jej nic o Rebecce i aferze z naftowymi lampami. Spojrzałem na

Goblina, który stał w kącie, w głębi po lewej. Patrzył na Patsy i wydawał się zamyślony, jeśli nie trochę wystraszony.

W tym momencie ciotka powiedziała, że dość bajeczek kuchennego komitetu. Musimy zająć się gośćmi, trzeba przyszykować kolację, Lolly i Baba Ramona czekają, kiedy się wyniesiemy, a ona sama chce porozmawiać ze mną później w swoim pokoju. Zjemy tam kolację, tylko we dwoje. Nikt nie będzie wzywał szeryfa, dopóki dziadek nie popłynie ze mną na wyspę. A dziadek zaczął narzekać, że nie czuje się dobrze, że musi się położyć. Słońce było za mocne, a pracował cały dzień na dworze, przy rabatkach i czuje się zupełnie fatalnie.

Uparłem się, żeby wsadzić kolczyki i broszkę do plastikowej torebki, tak aby później można było oddać do analizy tkanki, które do nich przyłgnęły, a potem poszedłem do siebie wziąć prysznic. Czuję, że umieram z głodu.

Była chyba szósta, kiedy siadłem z ciotką do kolacji. W pokoju zmieniono wystrój, używając złotożółtej tafty. Jedliśmy przy stoliku pod wychodzącymi na tyły oknami, z którego często korzystała podczas posiłków. Pochłanialiśmy jedno z ulubionych dań ciotki - jajecznicę z kawiozem i kwaśną śmietaną - popijając je jej ulubionym szampanem.

Ciotka włożyła srebrne szpilki i luźną suknię z jedwabiu i koronek.

Na szyi kamea, idealnie pośrodku - Jasmine na pewno jej pomogła.

Mieliśmy przy sobie kolczyki i broszkę z wysepki.

Tematem kamei była Rebeka u studni, na kolczykach widniały malutkie główki, jak zwykle w przypadku małych kamei.

Zacząłem od tego, że opowiedziałem jej wszystko o kufrze Rebeki, o duchu Rebeki i o tym, co wynikło z jego wizyty, a potem znowu zrelacjonowałem wszystko, co zobaczyłem na wyspie, zwłaszcza dziwne, potworne i wyraźne dowody morderstwa.

- W porządku - powiedziała. - Słyszałeś wiele historyjek o Manfredzie i wiesz teraz, że po tym, jak Virginia Lee zmarła i został wdowcem, uznano go w tych stronach za szaleńca.

Skinąłem głową, zachęcając ją, aby mówiła dalej. Zauważyłem, że Goblin stoi za nią w pewnej odległości i przygląda mi się z nieobecnym wyrazem twarzy. Opierał się niedbale o ścianę i te pozory dobrego samopoczucia sprawiły, że ogarnęły mnie złe przeczucia - ale tak naprawdę nie byłem skupiony na nim, tylko na Rebecce i ciotce.

Ona ciągnęła swoją opowieść.

- Ale nie wiesz tego, że Manfred sprowadzał na dwór kobiety, utrzymując, że to guwernantki Williama i Camille, kiedy tak naprawdę one służyły mu tylko do zabawy - irlandzkie dziewczyny o roziskrzonych oczach, które brał ze Storyville, dzielnicy czerwonych latarni w Nowym Orleanie - i które trzymał tak długo, jak służyły jego zachciankom, a potem nagle znikaly, jakby ktoś wymazał je z obrazka.

- Boże, chcesz mi powiedzieć, że zabił więcej niż jedną? - spytałem.

- Nie jest mi wiadome, by w ogóle uczynił coś takiego - od - parła i ciągnęła dalej: - Choć po wysłuchaniu twojej opowieści zaczęłam myśleć, że może faktycznie je zabijał. Nikt w każdym razie nie wie, co się z nimi dalej działo. W tamtych czasach pozbycie się biednej irlandzkiej

dziewczyny to nie był żaden problem. Po prostu porzucano je w środku

Nowego Orleanu. Co więcej trzeba było zrobić?

- Ale Rebeka, czy słyszałaś o Rebecce?

- Tak, w rzeczy samej, słyszałam. Wiesz, że słyszałam, i to wiele. I

teraz ci o tym mówię. Ale pozwól, że będę mówić na swój sposób. Niektóre

z tych młodych Irlandek miały serce dla Williama i Camille, ale

przeważnie zupełnie się nimi nie zajmowały tak że wśród nas nie

zachowała się pamięć ich imion ani twarzy nie zostały po nich nawet

żadne tajemnicze kufry na strychu a szkoda, bo na pewno wiele byśmy się

z nich dowiedzieli, gdyby nam na tym zależało.

- Tak, nie ma żadnych innych podejrzanych kufrów na strychu -

wtrąciłem. - Są wyłącznie ubrania, stosy starych ubrań, którymi pewnie

zainteresowałyby się muzea. Kufer został tylko po Rebecce.

- Uspokój się i daj mi mówić - powiedziała ciotka z odrobiną nie

pozbawionego wdzięku rozdrażnienia. - Quinn, jesteś nadmiernie

pobudzony i chociaż to dodaje ci wdzięku - uśmiechnęła się przy tych

słowach - to pozwól mi mówić.

I mówiła, oj, mówiła.

- Otóż, gdy działo się to wszystko, Manfred miał sławny zwyczaj

objeżdżania posiadłości na swoim czarnym wałachu i znikania na całe

tygodnie na bagnach. Aż pojawiła się Rebeka. Tak się składało, że Rebeka

nie tylko była dużo piękniejsza niż tamte wcześniejsze kobiety, była

również bardzo wytworna i pozowała na damę o niesłychanie łaskawym

sercu, czym pozyskała wszystkich.

Pewnego wieczoru, pod nieobecność Manfreda, gdy wyplłynął na mokradła, zaczęła go wyklinać i upiła się w kuchni, ciągnąc brandy z kucharką - to była praprababka Jasmine, Ora Lee - i opowiedziała Orze Lee całą swoją historię, jak to urodziła się w Irish Channel w Nowym Orleanie, z „pospolitej rodziny”, w świecie „nie lepszym od rynsztoka”, jako jedna z trzynaściorga dzieci, o tym, jak ją zgwałcono w rezydencji w Garden District, gdzie pracowała jako pokojówka, i cała irlandzka dzielnica się o tym dowiedziała, a gdy jej rodzina chciała, żeby poszła do klasztoru, ona zamiast iść do klasztoru poszła do Storyville, gdzie przyjęto ją do burdelu, tak jak na to liczyła. Efektem gwałtu był cięża, ale czy Rebeka spędziła płód, czy go straciła, nie wiadomo.

Orze Lee powiedziała wprost, że mieszkanie w eleganckim - świetnie urządzonej domu w Storyville, gdzie zawsze grało pianino, i gdzie panowie szastali pieniędzmi, było o niebo lepsze niż wegetowanie w jakiejś żalosnej ruderze na rogu Świętego Tomasza i Waszyngtona, nad rzeką, gdzie jej irlandzki ojciec i niemiecka babka bili na okrągło pasem ją, jej braci i siostry. Rebeka nie miała zamiaru zakończyć życiowej kariery w Storyville, więc zaczęła odgrywać damę, wykorzystując całą swoją wiedzę o dobrych manierach, żeby stworzyć wrażenie osoby wytwornej. Poza tym uwielbiała haftować i szydełkować, czego nauczono ją jeszcze w domu, nie szczędząc pasa, i wykorzystwała umiejętności krawieckie do uszycia sobie eleganckich sukien.

- Zaczekaj - przerwałem jej. - Czy Patsy nie wspomniała o haftowaniu? Czy nie śniła, że Virginia Lee haftowała? To ważne. Żebyś

zobaczyła te hafty w kufrze...! Tak, Rebeka umiała haftować. Te fakty wymieszały się we śnie Patsy, ale ty wiesz o lampach naftowych i o tym, do czego mała nie doprowadziłem.

- Ależ oczywiście, że wiem - powiedziała ciotka. - Jak myślisz, dlaczego wróciłam? Ale ty potrzebujesz wiedzy, aby się uzbroić przeciwko temu rozkosznemu kochliwemu duchowi. Więc słuchaj, co było dalej.

- Inne prostytutki w burdelu w Storyville śmiały się z Rebeki i nazywały ją Księżną, ale ona wiedziała, że wcześniej czy później pojawi się mężczyzna, który doceni jej zalety i zabierze ją stamtąd. Siedziała w salonie, w którym zbierały się wszystkie te istoty, żeby panowie mieli w czym wybrać, haftowała, jakby była wielką damą, i uśmiechała się uroczo do każdego dżentelmena.

No cóż, Manfred Blackwood był wcieleniem jej marzeń i snów i w rodzinie Jasmine mówiło się, że naprawdę kochał Rebekę, zupełnie tak jak kochał Virginie Lee. I to Rebeka, drobniutka Rebeka o olśniewającym uśmiechu i uroczym sposobie bycia w końcu uwolniła go od smutku. Miał obsesję na punkcie obsypywania jej biżuterią, a ona uwielbiała błyskotki, była dla niego łaskawa i słodka i nawet śpiewała mu stare pieśni, których nauczyła się w młodości.

Oczywiście, przez pierwsze tygodnie była słodka jak miód dla małego Williama i małej Camille, ale oni nie poszli na lep jej dobroci, tak się przynajmniej mówiło, tylko czekali, aż zniknie jak wszystkie inne.

Potem Manfred i Rebeka pojechali na rok do Europy, jako para, i plotka głosi, że spędzili bardzo długi czas w Neapolu, bo Rebeka strasznie

pokochała to miasto, i nawet przez jakiś czas mieli willę na sławnym wybrzeżu Amalfi. Jeśli zobaczysz to miejsce, a kiedyś na pewno do tego dojdzie, Quinn, zrozumiesz, że to najpiękniejszy zakątek na ziemi. Wyobraź sobie tę biedną dziewczynę z Irish Channel w krainie marzeń, południowych Włoszech, i pomyśl, co to dla niej znaczyło. Wygląda na to, że to tam Rebeka nabrała zamiłowania do kamei, gdyż po powrocie miała już znaczną kolekcję i pokazała ją Orze Lee, Jerome'owi i ich bratanicy, Pepper, tłumacząc wszystko o Rebecce u studni, motywie, który był jej przeznaczony, biednej dziewczynie!, jak wykrzyknęła. I od tej pory zawsze nosiła kamee na szyi i takie kolczyki, jakie znalazłeś tam na wyspie.

Jeszcze co do wyspy... zaraz po powrocie z Neapolu Manfred zaczął spędzać na mokradłach więcej czasu niż poprzednio. Przez kilka miesięcy przyjeżdżali rzemieślnicy z Nowego Orleanu, przychodziły dostawy drewna, metalu i różnych rzeczy, i na Wyspie Słodkiego Czarta - w miejscu, które zobaczyłeś na własne oczy - powstała osławiona Samotnia. Jak wiesz, Manfred zapłacił robotnikom po zakończeniu budowy tajnego domu i przebywał w nim tygodniami, zostawiając Reбекę w domu, gdzie ciskała się, płakała i chodziła z kąta w kąt, podczas gdy mój biedny tato - William - patrzył, jak ta kobieta zmienia się ze ślicznej dziewczyny z szalejącego upiora, jak to później mi określił.

Tymczasem w całej gminie zaczęło huczeć, że Manfred trzyma Reбекę w swojej sypialni - a to był twój pokój, Quinn, ten pokój z salonikiem w amfiladzie. Stał się twój, kiedy się urodziłeś. Dziadek, jak wiesz, chciał

mieć pokój na piętrze, z oknami na tyły żeby pilnować baraku, garaży, ludzi, pojazdów i wszystkiego. Tak więc ty odziedziczyłeś pokój frontowy. Ale odbiegam od tematu, pewnie nie ostatni raz. Przy czym to byliśmy...? Mówiłam o Rebecce, z kameą na szyi, w szykownych ciuszkach, chodzącej z kąta w kąt, płaczącej i wzywającej Manfreda, który wyjeżdżał na długo, czasem na pół miesiąca. I uszczęśliwiony swoim nowym ustroniem zabierał ze sobą obfite zapasy, a kiedy indziej mówił, że będzie jadł to, co upoluje.

Rebecce zamarzyło się, żeby Manfred się z nią ożenił - zrobił z niej uczciwą kobietę, jak to się mówiło w tamtych czasach, wiesz - i rozpowiedziała na lewo i prawo, że to zrobi. Nawet zaprosiła do siebie księdza podczas jednej z jego rzadkich wizyt w Blackwood i mówiła mu o tym, że powinien związać ich świętem węzłem małżeńskim i że jest odpowiednią żoną dla Manfreda, i że jej przeszłość nie ma żadnego znaczenia. Nie mogła sobie wybrać gorszej chwili na te mrzonki.

Bo, Quinn, w tamtych czasach żaden mężczyzna nie ożeniłby się z prostytutką ze Storyville, z którą mieszkał pod wspólnym dachem przez ponad dwa lata. Sprowadzenie księdza okazało się straszną omyłką, jako że czyniąc to, wystawiła Manfreda na wstyd i pośmiewisko. I jak głosi plotka, stłukł ją za to, i Ora Lee musiała interweniować, żeby przestał.

Jakoś doszli do zgody i Manfred wrócił na bagna. Od tej pory, gdy wracał z tych bagien, często przywoził podarunki nie tylko dla Rebeki, urocze kamee, ale miał też perły i brylanty dla Camille, i nawet eleganckie szpilki do krawata i diamentowe spinki dla Williama.

- Więc spotykał się z kimś tam, na bagnach - powiedziałem. - Musiał się spotykać. Bo jakim cudem przywoziłby te prezenty?

- Oczywiście, spotykał się z kimś. Jego nieobecności stawały się coraz dłuższe, a w domu był coraz bardziej skryty i dziwny, gdy go zaś nie było, Rebeka pomiała Williamem (moim ojcem) i Camille i traktowała ich z najgorszą złośliwością, z czasem bowiem zaczęła ich nienawidzić, jako że byli częścią rodziny, do której prawnie nie należała. Wyobraź sobie te biedne dzieci, już podrostki, zdane na łaskę młodej macochy, same w domu. Tylko oddana kochająca służba, Jerome, Ora Lee i ich bratanica, Pepper, karała się obronić.

Rebeka buszowała w ich pokojach, kiedy chciała, i wtedy przydarzył się ten incydent ze znalezieniem wierszy Camille w jej oprawnym w skórę pamiętniku i recytacja przy stole, żeby wyśmiać biedną Camille, zranić śmiertelnie Camille, tak że Camille cisnęła talerz z gorącą zupą w twarz Rebece.

- Mam pamiętnik Camille - powiedziałem. - Znalazłem go w kufrze Rebeki. Ale czemu nikt inny go nie odnalazł, kiedy pakowano kufer? Czemu tamte kamee w nim leżały? Wiem, że wszystko ciśnięto byle jak, niemniej jednak...

- Bo tamta kobieta zaginęła w podejrzanych okolicznościach i to Manfred zebrał jej rzeczy i wrzucił je do kufra. A poza tym stary obłąkaniec był nieobecny podczas tamtej afery z wierszami i kto miał pojęcie, ile on jeszcze wiedział? Nie widział pamiętnika albo nie był nim zainteresowany, to oczywiste, i nie obchodziły go kamee, które znalazłeś w

kufrze, chociaż jednak zachował pięć innych, jak to wyjaśnię.

- Jak zniknęła Rebeka? Co to były za podejrzane okoliczności? -

pytałem.

- Próbowwała podpalić ten dom.

- Ach, oczywiście.

- Użyła lamp naftowych. Zatchnęło mnie.

- To dlatego wszyscy mi uwierzyli! - wykrzyknąłem. - Jasmine, Lolly

i dziadek. Wiedzieli, co Rebeka zrobiła.

Ciotka skinęła głową.

- Rebeka porozstawiała lampy na parapetach frontowych okien.

Podłożyła ogień w czterech miejscach, ale Ora Lee i Jerome przyłapali ją

na gorącym uczynku. Jerome zwałił ją z nóg uderzeniem i zawołał na

pomoc robotników rolnych, żeby pomogli ugasić ogień. Wyobrażasz sobie,

ile ryzykował Jerome, Murzyn, podnosząc w tamtych czasach dłoń na

białą kobietę, ale ta wariatka Rebeka chciała spalić dom. Wieść niesie, że

Jerome tak ją walnął, że straciła przytomność. I że jej szalony plan prawie

się powiódł, pożar rozwinął się na dobre, zanim go ugasili, a remont

kosztował krocie.

- Wyobraź sobie, Quinn, jaki niebezpieczny był pożar w tamtych

czasach. Wtedy nie mieliśmy pomp nad mokradłami, Quinn, nie mieliśmy

wodociągu z wodą z miasta. Ten dom naprawdę mógł pójść z dymem. Ale

nie poszedł. Dwór Blackwood ocalał.

- Oczywiście, Jerome trzymał Rebeke pod strażą w pokoju, bez

świeczek i lamp, dopóki Manfred nie wrócił z bagien. Wyobrażasz sobie,

Quinn, ile kosztowało Jerome'a, Murzyna, przyjęcie na siebie takiej odpowiedzialności? Rebeka siedziała zamknięta na klucz w ciemności, wyzywając go od „czarnuchów”, grożąc linczem i wszystkimi okropnościami, jakie tylko wpadły jej do głowy. A linczowano w tamtych czasach, linczowano. Z tego, co wiem, nie na naszej posiadłości, ale gdzie indziej tak.

Irlandzka biedota nigdy nie przepadała za czarnymi, uwierz mi, Quinn, i te groźby Rebeki, że sprowadzi swoich bliskich z Nowego Orleanu, wystarczyły, żeby napędzić stracha Jerome'owi, Orze Lee, Pepper i wszystkim innym Murzynom. Ale nie mogli jej wypuścić, nie wypuścili jej, więc pozostało jej tylko szaleć i krzyczeć w ciemnościach.

No cóż, w końcu Manfred wrócił i gdy zobaczył szkody i zorientował się w kosztach remontu i gdy zrozumiał, że dom mało nie spłonął, wpadł w szal. Zwlókł Rebeke z łóżka, na którym jęczała i płakała, i policzkował ją, i okładał pięściami. Tłukł ją bez opamiętania, otwartymi dłońmi i kulkami, aż Jerome i Ora Lee podnieśli krzyk, żeby przestał. Jerome nie był tak silny, żeby się postawić Manfredowi, i nie ważył się go uderzyć, ale Ora Lee przerwała awanturę, krzycząc tak długo, aż zbiegli się wszyscy kolorowi i biali służący.

Rebeka, to najgłupsze stworzenie, jakie matka ziemia nosiła, darła się, że Manfred obiecał jej małżeństwo, że zostanie jego żoną albo tu umrze, że nigdy nie wyjedzie. Rodzina Jasmine starała się wszelkimi sposobami ją uspokoić i błagała Manfreda, żeby jej więcej nie bił. Manfred w szale kazał przynieść jej kufer i to on sam wrzucił wszystkie cholerstwa,

które do niej należały, na stos, I kazał służącym wywieźć ją do granicy posiadłości i wyrzucić z powozu razem ze wszystkim, co do niej należało.

Cisnął jej garście pieniędzy, obrzucił ją pieniędzmi, gdy leżała półprzytomna na podłodze.

Ta zła i głupia dziewczyna wstała i rzuciła się do niego, i nie chciała go puścić, krzyczała: „Manfredzie, kocham cię. Manfredzie, nie mogę bez ciebie żyć, Manfredzie nie będę żyć bez ciebie. Manfredzie, wspomnij Neapol”. (Wszyscy potem wspominali to „Wspomnij Neapol”).

„Manfredzie, wspomnij, Manfredzie, ja jestem twoją Rebeką u studni, przyjechałam zostać twoją oblubienicą. Popatrz na kameę na mojej szyi, Manfredzie. Manfredzie, przyjechałam do studni, zostać twoją oblubienicą”. I wtedy powlókł ją po stopniach, przez próg, przez trawnik i obok cmentarza, do przystani, cisnął do pirogi i odbił od brzegu. Kiedy próbowała się podnieść, kopnął ją tak, że upadła. Nikt nigdy więcej nie widział Rebeki Stanford, żywej ani umarłej.

Dwa tygodnie potem Manfred wrócił do domu. Kiedy zobaczył kufer Rebeki na środku pokoju, rozzłościł się i kazał Jerome’owi zanieść go na górę.

Później Ora Lee znalazła aksamitne puzderko w górnej szufladce biurka Rebeki, a w nim kilka kamei i notatkę sporządzoną ręką Rebeki. Było na niej: „Pierwsze kamee od Manfreda. Neapol”. I data. Ora Lee trzymała te kamee co najmniej przez rok, nie chcąc ich wyrzucić, bo były bardzo piękne, a potem wręczyła je Manfredowi, który chciał je dać Camille. Ale Camille nie uwolniła się od nienawiści do Rebeki, prawdę

mówiąc nigdy się od tego nie uwolniła. Nie tknęła kamei. Manfred zachował je jednak, i od czasu do czasu widziano, jak je wyjmował i oglądał, i mruczał coś do siebie.

Kiedy mój ojciec ożenił się z moją matką, Manfred dał jej w prezencie te kamee, ale ojciec nie pozwolił jej ich przyjąć, bo też wspominał Rebeke z wielką nienawiścią. Potem, gdy byłam dziewczynką, Manfred dał mi te kamee. Miałam dziesięć lat. Patriarcha mówił mi dziwne rzeczy. Szalone, niepojęte dla dziecka.

Wtedy ciotka opowiedziała mi historię, którą przedstawiła nam obu dziś w nocy, o szalonych bredniach Manfreda, tylko za pierwszym razem, gdy przedstawiała ją osiemnastolatkowi, zrobiła to bardziej ogólnikowo.

- Nie wzdrygałam się przed przyjęciem tych kamei - oświadczyła. -

Nigdy nawet nie słyszałam opowieści o Rebecce. Musiało minąć wiele lat, zanim ją poznałam. Od tamtej pory zaczęłam zbierać kamee i miałam ich sporo, gdy w końcu powiedziałam ojcu, w jakich okolicznościach Manfred dał mi moje pierwsze okazy. Ale to nie ojciec opowiedział mi historię Rebeki. Zrobiła to Ora Lee - wiesz, to była jedna z opowieści przy kuchennym stole - i tak prawdę mówiąc, to Ora Lee lubiła Rebeke, rozumiała, że biedna irlandzka dziewczyna chciała poprawić swój los, dziewczyna, która bała się złego irlandzkiego ojca i niemiecko - irlandzkiej matki, dziewczyna, która dotarła na dalekie włoskie wybrzeże z Manfredem i której Manfred podczas kolacji przy świecach sam przypiął do koronkowej bluzki pierwszą kameę z serii Rebeka u studni. I Ora Lee upierała się, że Rebeka na początku nie była zła dla dzieci ani służby; że to

był wynik rozczarowania, które przyszło z czasem. Że Manfred zaraził ją swoim wrodzonym złem.

Ora Lee w podeszłym wieku była bardziej skłonna zrozumieć Rebeke, przy czym, żeby to było jasne, Quinn, myślała, że Rebeka została zamordowana na bagnach - była tego pewna - ale podkreślam, w podeszłym wieku patrzyła na Rebeke i na to, co zrobiła, z większą wyrozumiałością, chociaż nie mogła jej wybaczyć podłości wobec Camille. Przy tym, gdy mówiła mi o tych wydarzeniach, błagała mnie, abym nigdy nie wspominała imienia Rebeki przy moim ojcu ani przy ciotce Camille. „Twoja ciotka Camille była wykończona w tamtych czasach - powiedziała mi Ora Lee. - Biedactwo zawsze było ponure, ale schowało się jeszcze głębiej do skorupy i nigdy już z niej nie wyszło”.

Wracając do historii życia twojego prześwietnego przodka - ciągnęła ciotka Queen - nie potrzebowałam Ory Lee, żeby się dowiedzieć, że przez wiele lat sprowadzał sobie do domu irlandzkie dziewczyny i trzymał je we frontowej sypialni. Miałam około dwudziestu lat, gdy matka wszystko mi o tym opowiedziała - o tym, jak po moich narodzinach ojciec błagał patriarchę, żeby z racji przyjścia na świat wnuczki przerwał swoje gorszące zachowań’ Stary klął, ciskał się i tłukł pięścią w stół tak, że srebro brzęczał ale ustąpił. Dla synowej palcem nie kiwnął, ale dla wnuczki cóż, zmienił swoje zwyczaje i przeniósł się z najlepszej górnej sypialni, którą teraz ty zajmujesz, mój kochany, i zajął tę sypialnię z tyłu domu. I nawet za czasów mojego dzieciństwa - kiedy byłam jeszcze zbyt mała, aby to zapamiętać - przemycał swoje kobiety tylnymi drzwiami.

Zmiana pokoju miała wielkie znaczenie dla wszystkich. Ówczesny proboszcz, ojciec Flaherty, przestał odwiedzać Manfreda z powodu jego grzesznych zwyczajów. Zanim skończyłam dziesięć lat, zanim patriarcha dał mi kamee, zamienił się w żalostnego śliniącego się starucha, machającego rękami w powietrzu i usiłującego dzielić łaską każdego, kto przekroczył próg jego pokoju.

Moja matka oficjalnie stała się panią na Blackwood, ponieważ ciotka Camille, zbyt boleśnie zraniona w dzieciństwie, nigdy nie poddałaby obowiązkom pani takiego domu.

Co się tyczy kufra, to, no cóż, chyba o nim zapomniałam i dołączył do całej kupy gratów na strychu. Och, oczywiście, zawsze chciałam tam pobobrować, ale uznałam, że zaprowadzenie jakiego takiego porządku będzie pracą Heraklesa i nigdy nie chciało mi się jej podjąć - nikomu innemu również.

A teraz, Quinn, wiesz więcej od wszystkich żyjących ludzi, co wydarzyło się Rebecce Stanford, nawet więcej niż ja. Jej duch stanowi zagrożenie dla ciebie, Quinn, i dla wszystkich z twojego otoczenia.

- Och, ale nie wiem... - odpowiedziałem. - Znalazłem te łańcuchy na bagnach, ciociu Queen. Zardzewiałe łańcuchy. Ale nie wiem, co naprawdę się z nią stało!

- Quinn, ważne, żebyś nigdy więcej nie wzywał tego ducha.

- Zacznijmy od tego, że nigdy jej nie wzywałem.

- Właśnie, że wzywałeś, Quinn. Nie tylko znalazłeś jej rzeczy, ale też chciałeś poznać historię jej życia.

- Ciociu, jeśli w ten sposób ją wezwałem, to dlaczego nie pokazała ci się przed laty, gdy poznałaś opowieści Ory Lee? Dlaczego nie ukazała ci się, gdy byłaś małą dziewczynką, i Manfred dał ci kamee?

- Nie mam twojego daru widzenia duchów, Quinn - odparł bez namysłu. - Nigdy nie widziałam ducha, a ty widziałeś ich wiele.

Wyczulem w niej wahanie, nagle, głębokie zastanowienie. I wydało mi się, że wiem, o co chodzi.

- Widziałaś Goblina, prawda, ciociu? - spytałem.

I gdy zadałem to pytanie, Goblin się pojawił, przysiadł na poręczu jej fotela i zerknął na nią. Był wyjątkowo wyraźny i pełny. Byłem wstrząśnięty ich bliskością, wzbudziła moją odrazę, ale równocześnie nie umknęło mojej uwagi, że ciotka niewątpliwie na niego patrzyła.

- Wynoś się, Goblin! - powiedziałem ze złością i natychmiast mnie posłuchał, zasmucony i skonsternowany moją obcesowością. Cofał się, rzucając na mnie błagalne spojrzenia, a potem zniknął.

- Co takiego zobaczyłeś? - spytała ciotka.

- To, co zawsze - odpowiedziałem. - Mojego sobowtóra. Ma na sobie moje dżinsy, również czyste i wyprasowane, i koszulkę polo jak ja, i wygląda dokładnie jak ja.

Usiadła wygodniej, smakując szampana.

- A ty, co widziałaś, ciociu? - zadałem jej to samo pytanie.

- Coś widziałam, Quinn, ale nie to, co ty. Widziałam ruch powietrza; jak wtedy, gdy w środku lata faluje nad rozgrzaną nawierzchnią. Czasem widzę takie falowanie, gęstszy opar o niewyraźnych kształtach, ludzkich

kształtach, zawsze twoich rozmiarów. Całe to zjawisko trwa nie dłużej niż sekundę. Potem mam tylko wrażenie, że coś, coś niewidzialnego, jest w pobliżu.

Po raz pierwszy w życiu byłem zły na ciotkę.

- Czemu nigdy mi o tym nie powiedziałaś! - spytałem podniesionym głosem. - Jak mogłaś doświadczać czegoś takiego i nie powiedzieć mi, że widziałaś tak wyraźnie Goblina, że wiedziałaś... - Byłem tak wzburzony, że zabrakło mi słów.

- To wszystko, co widzę. - Mówiła spokojnie, jakbym nie piecił się ze złości. - I w żadnym wypadku nie widzę tego zbyt często. Tylko od czasu do czasu, gdy, jak podejrzewam, twój duch chce, żebym go widziała.

Byłem nie tylko zły - dokładnie biorąc, wściekły - byłem zdumiony.

Ten stan zdumienia nie opuszczał mnie od czasu ukazania się Rebeki. W głowie mi się kręciło od kolejnych rewelacji, a teraz dowiadywałem się, że przez te wszystkie lata ciotka widziała Goblina.

- Czy jest jeszcze coś - spytałem z nutką sarkazmu - co obecnie byłabyś łaskawa mi wyznać?

- Quinn - rzekła z powagą - może to zabrzmie śmiesznie w moich ustach, ale zawsze robiłam dla ciebie to, co uważałam za najlepsze. Nigdy nie zaprzeczałam istnieniu Goblina. Wybrałam bezpieczniejszy i rozważniejszy sposób postępowania. Nie mówiłam, że istnieje, że tak powiem, nie utwierdzałam cię w twojej wierze, bo nigdy nie wiedziałam, czy jest dobrym stworzeniem, czy złym. Skoro jednak wykładamy karty na stół, to pozwól, że ci powiem, że Baba Ramona widzi Goblina tak samo jak

ja - jako ruch powietrza. Tylko tyle i aż tyle. I Jasmine też.

Poczułem się kompletnie przybity. Poczułem się sam jak palec.

Uznałem, że moi najbliżsi mnie okłamywali, i zapragnąłem całym sercem, aby Lynelle żyła. Modliłem się, aby duch Lynelle jakimś sposobem zjawił się przede mną - skoro miałem taki dar widzenia duchów i zjaw - i mówiłem sobie w myślach, że Lynelle na pewno pomogłaby mi zrozumieć wszystko, co mnie spotkało.

- Ukochany kuzynie - powiedziała ciotka; wyrażenia tego miała często używać, gdy stałem się starszy, nadając mu ton słodkiej powagi i bezgranicznego poświęcenia - musisz zdać sobie sprawę, że traktuję twoje moce bardzo poważnie i zawsze tak je traktowałam - Nigdy jednak nie wiedziałam, czy są dla ciebie czymś dobrym.

Przeżyłem nagle oświecenie, jej słowa, a może nie tylko one, uświadomiły mi, że moje moce nie służą niczemu dobremu - Powiedziałem jej ledwo słyszalnym szeptem, jedynym głosem, jaki potrafiłem z siebie wydobyć, o panice nachodzącej mnie o zmierzchu, myślach, żeby wziąć rewolwer dziadka i położyć kres mojemu życiu, i opowiedziałem jej, jak pewnego popołudnia zjawiła się przede mną Rebeka, gdy siedziałem na frontowych ropicach, przyglądając się złotemu światłu spływającemu z nieba modląc do niewidzialnych mocy: „Błagam, uwolnijcie mnie od o błagam, wszystko, tylko nie to”. Nie pamiętam dokładnie moich błagań. Nie pamiętam ich teraz. Być może jej opowiedziałem dokładniejszą wersję. Nie wiem.

Zapanowało pełne czułości milczenie, a gdy uniosłem wzrok,

zobaczyłem lzy na jej policzkach. Za nią, przy kolumnie łoża stał Goblin, znów widoczny, i też lkał i wyciągał do mnie rękę, jakby chciał pogłodzić mnie po głowie.

- Wynoś się, Goblin! - powiedziałem ostro. - Nie chcę cię tu teraz!

Zostaw mnie. Odszukaj mi Lynelle! Dosiądź duchów wiatrów, jeśli musisz, ale wynoś się.

Rozjaśnił się, ukazał z najdrobniejszymi szczegółami, rozświetlił, na twarzy miał wyraz bólu i urazy. Wydął usta, po czym nagle, PSTRYK, zniknął.

- Jeśli nadal jest w tym pokoju, to o tym nie wiem - wyznałem ciotce. -

A co się tyczy Rebeki, to muszę zadbać o sprawiedliwość dla niej. Muszę odkryć, jeśli to możliwe, co jej tam zrobiono.

Ciotka otarła swoje niebieskie oczy stołową serwetką i poczułem okropne wyrzuty sumienia, że doprowadziłem ją do łez. Nagle poczułem, że bez względu na to, co powiedziała czy zrobiła, kocham ją, i ogarnęła mnie taka rozpacz z powodu złości, którą do niej poczułem, że obszedłem stolik, ukląknęłam, objąłem ją i przez chwilę w milczeniu ścisnąłem jej kruchą postać.

Spojrzałem na jej skrzące się dżetami szpileczki, roześmiałem się i pocałowałem podbicie jej stopy. Pocałowałem jej palce u nóg. Uściskałem z uczuciem drugą stopę.

- Tarquinie Blackwood, maro nieczysta, oficjalnie uznaję cię za

wariata - powiedziała z patosem. - A teraz usiądź jak grzeczny chłopiec i nalej mi jeszcze jeden kieliszek szampana.

Już skończyliśmy butelkę, więc otworzyłem kolejną, z całym Szykiem boya, który przez lata serwował posiłki w eleganckim hotelu, i nalałem perlące się wino do wysokiego wąskiego kieliszka.

Oczywiście, wtedy ona objawiła mi całą grozę, którą przeżyła dowiadując się o moich samobójczych myślach, i przysięgłem jej, że nigdy nie wprowadzę ich w czyn, póki ona żyje i dziadek i Jasmine, i Baba Ramona, i Lolly; tak wyrecytowałem wszystkie imiona pracowników rolnych i fernali, jak najszczerzym i najbardziej przekonującym tonem.

- Ale widzisz, chodzi o to - mówiłem dalej, teraz gdy się uspokoiiliśmy i oczywiście nieco upiliśmy - że te duchy i zjawy muszą się skądś brać i kiedy pomodliłem się bluźnierczo o niebezpieczną zjawę, z ciemności wyłoniła się Rebeka.

- Teraz mówisz rozumnie, mój drogi chłopcze - rzekła na to.

- Oczywiście, wiem o tym, ciociu Queen. Zawsze o tym wiedziałem.

Nigdy nie zapomnę, że nalegała na mnie, abym zapalił lampy. Nigdy więcej nie będę pionkiem w jej rękach. To się nie powtórzy. Jestem zbyt rozważny, za bardzo panuję nad sytuacją, gdy widzę te stworzenia, przysięgam, ale muszę się dowiedzieć, co oni tam jej zrobili, a ona może to wyjawić tylko mnie, i to tam, gdzie jest najsilniejsza - na Wyspie Słodkiego Czarta, w tamtym dziwnym domu.

- Do którego nie popłyniesz, Tarquin, chyba że razem z dziadkiem!

Zrozumiano?

Początkowo nie odpowiedziałem na to, ale po chwili rzekłem szczerze:

- *W tej chwili nie byłoby dobrze dla dziadka, żeby wybrać się na bagna. Dziadek nie jest sobą. Nie jest zdrow na ciele ani na duchu; nie bierze nic do ust przez całe dni, a tam jest upał i moskity... nie, nie mogę zabrać dziadka...*

- *W takim razie kogo, Tarquinie? Bo Bóg mi świadkiem, sam nie popłyniesz.*

- *Ciociu Queen, nic nie powstrzyma mnie przed popłynięciem tam rano. Popłynąłbym teraz, gdyby nie było tak ciemno.*

Pochyliła się nad stolikiem.

- *Tarquinie, zabraniam ci tego - powiedziała. - Czy muszę ci przypominać, że opisałeś mauzoleum ze złota, oznaki stałego pobytu kogoś w Samotni - biurko i złote krzesło! Ktoś się panoszy na tej wyspie. Strach powiedzieć, kto to może być, skoro grób jest ze złota...*

- *Nie znam wszystkich odpowiedzi, ale muszę tam wrócić i nie rozumiesz, muszę zyskać moc wywołania tego ducha, tak żeby przemówił do mnie...*

- *Ducha, który cię uwiódł! Ducha, który wykorzystał swój wdzięk i powab z taką bezczelnością, że straciłeś z nim dziewictwo? Czy źle słyszę... i zamierzasz go wywołać?*

- *Muszę popłynąć na wyspę, ciociu Queen, i szczerze mówiąc, myślę, że wiesz, że gdybyś była mną, też byś tam popłynęła.*

- *Najpierw porozmawiam z ojcem Kevinem, oto, co zrobię, i oto, co chcę, żebyś ty zrobił. Słuchaj, rano wezwiemy księdza.*

- *Księdza! - skrzywiłem się. - On dopiero odprawił swoją pierwszą*

mszę. To dzieciak!

Przesadzałem, ale nie całkiem. Ojciec Kevin Mayfair był młody, to znaczy miał jakieś trzydzieści pięć lat, i chociaż niezmiernie go lubiłem, nie traktowałem go z równym szacunkiem jak siwowłosych księży z czasów przedsoborowych, którzy odprawiali mszę świętą ze znacznie większym żarem i potrafili go przekazać wiernym.

Ciotka uniosła się od stołu tak rozsierdzona, że przewróciła krzesło, stukając szpileczkami, podeszła do toaletki i zaczęła buszować w górnej szufladce. Gdy się odwróciła, zobaczyłem, że trzyma różaniec. Kołysał się w jej ręce.

- Nie jest poświęcony, ale na razie musi wystarczyć - powiedziała. -

Masz go powiesić na szyi, pod koszulą, na koszuli, bezpośrednio na piersi, nie obchodzi mnie to, ale od tej pory masz go nosić.

Ani w głowie było mi się wyklócać. Różaniec był mały, z idealnie okrągłych paciorków i chociaż mi nie przeszkadzał, ukryłem go pod koszulą.

- Ciociu Queen - powiedziałem - ksiądz Kevin nie uwierzy w to wszystko o Rebecce i jej duchu, podobnie jak szeryf. Więc Po co mielibyśmy go tu ściągać? Po mszy zawsze się śmieje i pyta mnie o Goblina. Chyba widział, jak mówiłem do niego w kościele. Nie, na pewno nie chcę rozmawiać z księdzem Kevinem. Dajmy sobie z tym spokój.

Ciotka nie zamierzała się poddawać. Powiedziała mi, że z samego rana wybierze się do ulubionego jubilera w dzielnicy francuskiej i każe zrobić dla mnie złoty krzyżyk na łańcuszku, a potem pojedzie do kościoła

pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, żeby ojciec

Kevin go poświęcił, po czym omówi z nim całą sprawę i przekona się, co on o tym myśli.

- A tymczasem - spytała - co zrobimy z tymi kolczykami i broszką?

- Zachowamy jedno i drugie. Musimy. DNA w szczątkach nie mogło ulec kompletnemu zniszczeniu. Musimy się przekonać, czy to naprawdę ona tam umarła. Tego Rebeka ode mnie żąda; chce wyjść z mroku; chce, żeby poznano o niej prawdę.

- I chciała, żebyś spalił ten dom, Quinn.

- Nigdy więcej nie nakłoni mnie do zrobienia takiego głupstwa - upierałem się. - Poznałem się na niej.

- Ale traktujesz ją poważnie, zależy ci na niej - powiedziała ciotka.

Język trochę się jej plątał po szampanie.

- Chodzi o sprawiedliwość, ciociu Queen - wyjaśniłem jej. - O sprawiedliwość, którą ja, potomek Manfreda, muszę wymierzyć. Może to nie będzie nic wielkiego - powiedzmy, umieścimy jej kamee w gablocie i dołączymy karteczkę z wyjaśnieniem, że należały do miłości życia Manfreda Blackwooda. Może to pozwoli jej duchowi osiągnąć spokój. Na razie jednak nie martw się już o mnie. Zrobię, co muszę zrobić, i postaram się zrobić to jak najlepiej.

Udało mi się ją uspokoić i przy kolejnych kieliszkach szampana przytakiwałem jej we wszystkim, ukrywając moje tajne plany.

Kochałem ją. Kochałem ją bezgranicznie. Ale zdawałem sobie sprawę, po raz pierwszy, że muszę ją oszukać, muszę w jakiś sposób

wymknąć się spod jej opiekuńczych skrzydeł.

*Oczywiście, wybierałem się na wyspę, i oczywiście, zamierzałem
wywołać ducha Rebeki, ale jak, tego jeszcze nie wiedziałem.*

Obudziłem się bardzo wcześnie, włożyłem spodnie myśliwskie i kamizelkę, i podczas gdy Baba Ramona spała, siadłem do komputera i napisałem list do nieznanego intruza z Wyspy Słodkiego Czarta.

Brzmiał mniej więcej tak:

Drogi Intruzie,

Ta wiadomość jest od Tarquina Blackwooda. Informuję Cię, że ta wyspa i ten dom to własność mojej rodziny i że musisz zabrać swoje książki i meble i bezzwłocznie opuścić ten teren.

Moja rodzina ma plany związane z tą wyspą i zostaną wcielone w czyn, gdy tylko wyprowadzisz się z Samotni.

Jeśli czujesz potrzebę skomunikowania się ze mną, zamieszkuje na dworze Blackwood i z przyjemnością porozumiem się z tobą listownie, faksem, telefonicznie lub też osobiście - jak sobie życzysz.

Łączę wyrazy szacunku,

Tarquin Blackwood

szerzej znany jako Quinn

Następnie, załączony stosowne numery faksu i telefonu, nacisnąłem ikonę „drukuj” i po zrobieniu czterech kopii tego nakazu eksmisji, podpisałem je wszystkie, złożyłem i schowałem do wewnętrznej kieszeni rybackiej kamizelki.

Z kolei wślizgnąłem się do pokoju dziadka i nie zastawszy go tam - zapewne wstał o piątej i już pracował przy rabatkach - zabrałem jego

trzydziestkępiątkę, upewniwszy się, że jest załadowana. Włożyłem ją do kieszeni, po czym zajrzałem szybko do spiżarni, wziąłem pudełeczko pinezek, które zawsze tam leżały, wiesz, takich używanych do domowej tablicy ogłoszeń, i poszedłem na przystań.

Pozwól mi dodać, że miałem też strzelbę, mój nóż myśliwski i nóż kuchenny i wydawało mi się, że jestem przygotowany jak należy, dopóki nie wpadłem na Jasmine. Była boso i paliła papie rosa koło przystani.

- Dobra, zwariowany chłopaku, wiem, dokąd się wybierasz i twój dziadek mówi, żeby zostawić cię w spokoju. Więc wsadziłam ci do łodzi lodówkę turystyczną z picciem. I parę kanapek w folii.

- Och, kocham cię za to - powiedziałem. Ucałowałem ją i nagle zdałem sobie sprawę, że jest kobietą. Wtedy jakby prąd dotarł mi do mózgu i byłem tym niesłychanie zaskoczony. Nigdy nie zapomnę tej iskry, którą wzbudził tamten pocałunek. I wydaje mi się, że bardzo dumnie ścisnąłem jej ramię.

Burza wrażeń, która przeze mnie przeszła, nie udzieliła się Jasmine.

Gdy już odbijałem, krzyknęła:

- Tarquinie Blackwood, jesteś imbecylem?

- Nie, madame - odpowiedziałem sarkastycznie - spodziewa się pani, że zmienię zdanie?

- Jak zamierzasz przekonać ludzi, żeby uwierzyli w to, co tam

zobaczysz, jeśli nie będziesz miał zdjęć, geniuszu? - Sięgnęła do kieszeni

fartucha i wyjęła mały aparat z fleszem - taki aparacik, który teraz

wszędzie można kupić, już załadowany i gotów do pstrykania.

- Och, dzięki Bogu, że o tym pomyślałaś! - powiedziałem.

- Nie zapomnij wezwać Pana jeszcze raz, szefuniu. I nie zapomnij

przycisnąć flesza. - Rzuciła mi aparat, a mnie udało się go złapać.

Chciałem jeszcze raz ją ucałować, ale byłem już kawalek od brzegu.

Co się tyczy Goblina, to przyszedł za mną, wyraźny, ale

przezroczysty, i błagał, abym nie płynął, i mówił w kółko: „Niedobrze,

Quinn niedobrze” i kolejny raz powiedziałem mu w uprzejmych słowach,

żeby dał mi święty spokój. Wtedy zniknął, ale podejrzewam, że był ze mną,

gdy płynąłem.

Prawdę mówiąc, przyjąłem, że musi być ze mną, bo gdzie by podział?

W tym czasie wiele o tym myślałem, gdzie Goblin bywa i gdzie nie bywa, i,

jak powiedziałem, budził we mnie coraz większe zniecierpliwienie.

Wracając do bagien. Mgła pełzła nad wodami, które początkowo

wydawały się kuszące i piękne, pełne harmonii i zapraszające - taki

poetycki widoczek, czekający tylko na podpis jak przyrodnicza fotografia -

ale bardzo prędko uniosły się kłęby moskitów i pokazały cyprysy z

opaskami z łańcuchów i strzałkami wyrytymi w korze. Chlupot stworzeń

pływających w czarnych wodach i widok aligatorów przyprawiały mnie o

ciarki.

Wróciły zawroty głowy, co bardzo mnie zaniepokoiło, i znów

usłyszałem głosy, zbyt ciche, aby dało się je zrozumieć. Czego to nie

mogłem usłyszeć? Czy te duchy wiecznie się ze sobą kłóciły? Co Rebeka

miała na myśli, mówiąc, że sprawy nigdy nie układają się po sznureczku?

„Nie możesz tego zrobić, musisz mnie wypuścić...” Czemu ten upiorny

dialog był tak cichy, że nie mogłem go zrozumieć?

- Przybywam, Rebeko - powiedziałem na cały głos. - Bądź teraz ze mną szczerą, Rebeko. Znam twoje sztuczki, a jednak przybywam. Bądź szczerą.

Płynąłem dalej i dalej, przez gęste zielone piekło udręczonych szarych drzew i torturowanego bluszczu, klekocących liści i cuchnącej wody, czując się coraz słabszy, zanurzając głęboko drąg i odpychając się tak szybko, jak tylko potrafiłem.

„Błagam cię, na Boga...” Wiedziałem, że to Rebeka płacze, Rebeka błaga, ale kogo? Potem jak zawsze rozległ się złowieszczy śmiech i męski głos przemówił szybko i z gniewem. Czy to był Manfred?

Obok mnie wystrzelił aligator, ukazując na moment wielki oślizgły grzbiet, i piroga zakotłosała się niebezpiecznie. Dygotałem, myśląc o aligatorze, i przeklinałem własne tchórzostwo. Płynąłem dalej.

Z każdym silniejszym zawrotem głowy zwalniałem tempo, obawiając się, że wypadnę za burtę, a wysoka roślinność bagien wsysała mnie nieodwołalnie, gdy starałem się zrozumieć, co właśnie zostało powiedziane: „... Kochałam cię, zawsze cię kochałam obiecałeś mi, w Neapolu, w ruinach...” I rozległ się basowy głos, a śmiech zakrył wszystko. Czy było ich troje? Więcej niż troje?

W końcu zamajaczyła przede mną zwalista budowla Samotni zniszczona deszczem i słońcem. Piroga uderzyła o brzeg między jeżynami i znów mało nie wyleciałem za burtę. Szybko przywiązałem ją do najbliższego drzewa - czego nie zrobiłem ostatnim razem - a drąg

położyłem inteligentnie wzdłuż burty, po czym kolejny raz przystąpiłem do badania wyspy.

Była zamieszкана przez aligatory. Słyszałem pluski, gdy wracały na bagna. Co mogłem zrobić w razie spotkania z którymś z tych wygłodniałych gadów? No cóż, do tej pory nigdy się to nie zdarzyło i może nigdy nie miało się zdarzyć. Nie bałem się ich, bo z zasady nie były złośliwe i nie szukały guza; niemniej jednak po raz pierwszy byłem w ich prześwietnym towarzystwie, nie mając obok dziadka ani innego mężczyzny, który panowałby nad sytuacją.

Stałem i słuchałem. Nie docierało do mnie nic prócz żalobnych, łamiących się okrzyków ptaków. I brzęczenia, tego brzęczenia pszczoł i komarów wabionych oślizgłym potem, który okrywał moją skórę.

Dom nadal wyglądał na opuszczony. Wygląd niewiele wszakże znaczył. Niemniej jednak ciągnęło mnie do mauzoleum - czy co to było - i wróciłem do niego, obejrzeć je uważniej niż za pierwszym razem.

Żadnych drzwi, to na pewno. Na Boga, co było w środku?

Co się tyczy wyrytych w złocie kroczących postaci, to teraz byłem już pewien, że są to Rzymianie i że kogoś oplakują; kobiety szlochały, a mężczyźni tłukli się pięściami po głowie. Na ostatniej płycie, na której widniała tylko trójka płaczących dzieci, wyrysowano jakieś tło - szczegół, który poprzednio umknął mojej uwagi.

Gdy przesunąłem palcami po jednym z rogów, wyczułem zarys góry. Z jej wysokiego wierzchołka tryskał dym, rozkładający się o obu stronach wielką ciężką chmurą. Po prawej, u podnóża, wyryto ze szczegółami

niewielkie, otoczone murami miasto i było o najmniej oczywiste, że ogromna chmura ze strzelającej dymem góry zagraża miastu.

Wulkan. Starożytny Rzym. Miasto. Ludzie w żałobie”. Ta góra to na pewno był Wezuwiusz, a miasto to Pompeje.

Nawet ja, który prawie nigdzie nie podróżowałem, znałem historię wybuchu Wezuwiusza w siedemdziesiątym dziewiątym roku przed naszą erą, który pogrzebał Herkulanum i Pompeje. Odkryto je powtórnie dopiero w osiemnastym wieku i jeśli marzyłem o jakiejś podróży poza granicę gminy Ruby River to właśnie do ruin Pompejów. Tragedia tych pogrzebanych miast zawsze robiła na mnie niesamowite i bolesne wrażenie. Lata temu oglądałem gipsowe odlewy biednych mieszkańców, usiłujących uciec przez deszczem węgla spadającym na Pompeje, i płakałem. Oczywiście, Pompeje i Herkulanum były nad Zatoką Neapolitańską, a Manfred zabrał Rebekę do Neapolu. Wezuwiusz górował nad Neapolem, a Rebeka krzyczała: „Wspomnij Neapol” - gdy Manfred ją bił i wynosił czy raczej wywlekał z domu.

Znów poczułem zawroty głowy i napłynęła fala głosów. Pochyliłem się, aż dotknąłem czołem złotej płaskorzeźby. Czulem zapach kwiatów. Glicynii? Ogarnął mnie chaos. Miałem sucho w ustach i zlewałem się potem. I słyszałem łkanie Rebeki: „Co oni mi zrobili, Quinn, co oni mi zrobili?”

Najwyższym

wysiłkiem

woli

opanowałem

zawroty

głowy.

Kłęczałem. Gdy uniosłem wzrok, zobaczyłem napis biegnący nad złotymi tablicami, tuż poniżej granitowego dachu sarkofagu, napis, którego początkowo nie dojrzałem, oślepiiony słońcem odbijającym się od złota.

Dwukrotnie obszedłem mauzoleum. Napis był po łacinie i nie

Potrafiłem go przetłumaczyć, ale udało mi się odcyfrować imię „Petronia” i słowa „sen” i „śmierć”.

Przeklinałem siebie za to, że nie zabrałem żadnego notatnik kawałka papieru, na którym mógłbym zapisać tę inskrypcję. Miałem tylko listy do intruza. Wtedy uprzytomniłem sobie i’ mam cztery kopie listu, do przybicia w czterech miejscach, więc mogłem poświęcić jedną. Wyjąłem długopis i przepisałem całą inskrypcję, dwa razy obchodząc monument, upewniając się, że nie popełniłem błędu.

Tymczasem ogarnęło mnie pragnienie. Wróciłem do pirogi wziąłem plastikową kolorową lodóweczkę przygotowaną przez Jasmine i wszedłem po schodach do domu.

Wszystko było takie samo jak wczoraj. Wdrapałem się na pięterko i znów ujrzałem żelazne łańcuchy. Z pełnym grozy wzdrygnięciem dostrzegłem, że piąty, zakończony hakiem łańcuch jest nieco krótszy niż pozostałe, ale nie wiedziałem, co to oznacza. W ścianę wbito też inne haki. Poprzednio ich nie zauważyłem. Kiedy przyjrzałem się wzgórkowi czarnej smołowatej substancji, wydało mi się, że potrafię w nim wyodrębnić

szczątki ludzkich kości.

Wyjąłem aparat i trzęsącymi się dłońmi zrobiłem dwa zdjęcia, po czym się cofnąłem i zrobiłem jeszcze kilka. Co miało się na nich ukazać?

Nie byłem pewien. Mogłem jedynie pstryknąć kolejne dwa zbliżenia i liczyć na to, że ktoś uwierzy w to, co zobaczyłem.

Ukląknęłam i dotknęłam szczątków ludzkich włosów. Przebiegi mnie ohydny dreszcz i znów usłyszałam śmiech jak ze snu, a potem krzyk tak gardłowy, że był to niemal charkot. Powtórzył się, ten okrzyk krańcowej męki, i rzuciłam się w tył, absolutnie niezdolny dalej oglądać z bliska te szczątki.

Sfotografowałam pokój, zszedłam na dół i sfotografowałam marmurowe biurko i złote krzesło. Sfotografowałam kominek z pełnym paleniskiem. Zrobiłam zbliżenie porzrzucanych książek na biurku.

Następnie wyszedłam z Samotni i obfotografowałam ją z zewnątrz.

Zrobiłam zdjęcia mauzoleum i z kciukiem na fleszu, aby uniknąć odblasku na złotych postaciach, zrobiłam zbliżenia, mając nadzieję, że światło okaże się wystarczające.

- Jasmine, będę cię zawsze kochał - powiedziałem głośno, włożyłam aparat do kamizelki, zasunąłem zamek, uznając, że teraz będę mógł udowodnić światu, iż mówiłem prawdę o Wyspie słodkiego Czarta i mrocznych tajemnicach Manfreda.

Ale co to wszystko znaczyło? Czy docierał tu jakiś szalony poeta i zasiadał samotnie na złotym krześle, być może przynosząc ze sobą woja pracę i zabierając ją z powrotem, a zostawiał już niepotrzebne książki? Czy

też trafił tu tylko jakiś chłopak w moim wieku?

A godzina, która była godzina? Minęła już dwunasta i ogarnął mnie głód, przyprawiający o mdłości.

Musiałem rozłożyć listy do intruza. Natychmiast się tym zająłem.

Jeden przybiłem do drzwi, drugi położyłem na marmurowym blacie i przycisnąłem na rogach książkami, a ostatni przybiłem do ściany przy schodach.

Uznałem, że wypełniłem swój obowiązek, i teraz muszę powstrzymać mdłości. Postawiłem lodówkę na biurku i usiadłem na rzymskim krześle. Skórzane siedzenie było wyjątkowo wygodne, jak zawsze w takich meblach. Z radością odkryłem, że Jasmine włożyła do lodówki sześciopak piwa. Oczywiście była tam też coca - cola, a poza tym kanapki i nawet jabłko, wszystko w lodzie, ale sześć piw...!

Chyba nigdy nie zapomnę tamtej chwili. Nie ma jednak powodu się nad nią rozwodzić. Jest jeszcze zbyt wiele do opowiedzenia. Pozwól mi tylko rzec, że rzuciłem w powietrze:

- Jasmine, czy trzydziestopięcioletnia kobieta może zwrócić uwagę na osiemnastolatka? Czekam na ciebie po szóstej za stodołą.

Zanim popisałem się tym głupim tekścikiem, wypilem połowę pierwszego piwa. Zerwałem folię z kanapek, które pęczniały szynką, serem i masłem - zimnym, cudownym, grubym na pół palca masłem - i pożarłem je w kilku kęsach. Potem pożarłem jabłko, skończyłem pierwsze piwo i zaraz wypilem drugie, dowiedziałem sobie, że to wystarczy, że muszę być czujny, ale byłem zbyt podniecony i piwo, zamiast zbić nastrój i

sprawdzić Pogńebienie, przyczyniło się do jakiegoś wariackiego uniesienia i z trzecią lodową puszką w ręku wróciłem na górę i usiadłem koło łańcuchów i ich ponurego dziedzictwa, na tyle blisko, na ile wystarczyło mi odwagi.

Słońce schodziło coraz niżej i słabe promienie ledwo przebijały się przez labirynt zieloności, który oplótł większą część domu. Trochę blasku wpadało przez kopułę. Wyciągnąłem się na podłodze i gdy przyglądałem się światłu mieniącemu się w górze, usłyszałem w głowie cienki, przeraźliwy krzyk.

To był ptak? Człowiek? Powieki mi opadały. Przekręciłem się na bok, wspierając łokieć na zakurzonych deskach. Skończyłem puszkę. Poczulem, że muszę się przespać. Moje ciało żądało tego ode mnie. Muszę zasnąć.

Leżałem rozluźniony, czując wygodę i ciepło i znów wpatrując się w kopułę, powiedziałem:

- Rebeko, przybądź do mnie, powiedz, co oni zrobili.

Zamknąłem oczy i śniłem, moje ciało rozpływało się i wibrowało w półśnie. Usłyszałem wyraźnie jej łkanie, a potem w nocnym świetle świec zobaczyłem obleśną twarz i rozległ się basowy, złośliwy śmiech.

Próbowałem skupić wzrok na tej twarzy, ale nie mogłem jej rozpoznać, a gdy spojrzałem w dół, zobaczyłem, że jestem kobietą i że ktoś zdziera ze mnie piękną bordową suknię. Moje piersi były obnażone. Moje całe ciało było nagie i krzyczałem.

Chciałem wyrwać się tym, którzy mnie dręczyli, ale przede mną wyrosła ręka trzymająca zardzewiały hak, hak kończący łańcuch.

Wydałem z siebie kobiecy krzyk. Byłem kobietą. Byłem Rebeką i jednocześnie Quinnem, oboje byliśmy jednym.

Nigdy nie zaznałem takiej grozy, gdy zbliżyła się ręka z hakiem, a potem poczułem nieprawdopodobny ból poniżej prawej piersi, rozdzierającą mękę, gdy coś grubego, a jednocześnie ostrego wbiło się we mnie, przewiercało mnie, a potem znów śmiech, lodowaty bezlitosny śmiech i męski pomruk - sprzeciwy, pełne obrzydzenia prośby - ale śmiech przykrył sprzeciwy, przykrył prośby. Nikt nie mógł tego przerwać!

Wiedziałem, że wiszę na haku, że hak trzyma mnie za żebro pod piersią i że całym ciężarem ciała zwisam na łańcuchu i na haku!

Wołałem, krzychałem. Byłem kobietą i mężczyzną, którzy krzyczeli, byłem bezradną Rebeką, na mękach i bliską zemdlenia, a jednak nie mogącą zemdleć, i byłem Quinnem, przejętym i przerażonym do utraty zmysłów, a jednak rozpaczliwie usiłującym dojrzeć złoczyńców, którzy to robili, i było ich dwóch, tak, z pewnością dwóch, i musiałem się dowiedzieć, czy jednym z nich był Manfred. A potem byłem krzyzącą Rebeką, a ból trwał, ból nie do wytrzymania który musiałem wytrzymywać - i trwało to, i trwało, a potem, o cudzie, obraz przed moimi oczami zaczął się zamazywać.

- Och, Boże, Rebeko - szepnąłem. - Wiem, co ci zrobili. Powiesili cię za żebro i zostawili, żebyś umarła.

Ktoś mnie obudził, potrząsnął mną. Podniosłem wzrok.

To była Rebeka. Uśmiechała się.

- Quinn, jesteś. Nie odwróciłeś się ode mnie. Jesteś - powiedziała.

Przeżyłem wstrząs. Była tak realna jak wtedy w domu, tyle że miała na sobie tę oszalamiającą bordową suknię, którą nosiła w moim śnie.

- Och, chwała niebiosom, nic ci się nie stało! - wykrzyknąłem. - To nie mogło się ciągnąć w nieskończoność.

- Nie myśl teraz o tym, moje kochanie - powiedziała. - Teraz wiesz, co się wydarzyło, i wiesz, do czego był ten piąty łańcuch. Po prostu bądź ze mną.

Gdy usiadłem, usiadła przy mnie i odwróciłem się ku niej, i nasze usta się spotkały. Pocałowałem ją niezdarnie. Wsunęła mi język do ust i ogarnęło mnie takie podniecenie jak wtedy w domu.

Byłem tylko mężczyzną, całkowicie od niej oddzielonym i całkowicie z nią splecionym, oczarowanym niską wciętą suknią i różowymi sutkami, które były niesamowicie blisko i, ach, jak cudowna była ta kamea na czarnej koronce oplatającej jej nagą szyję.

Bordowy aksamit zasłaniał piersi tylko do połowy. Nieporadne wsunąłem rękę za gors, a gdy namacałem sutki, myślałem, że zwariuję.

- Kocham cię, naprawdę cię kocham - wydusiłem przez zaciśnięte zęby i zsunąłem suknię, i całowałem jej sutki, aż mnie odsunęła.

Spojrzałem jej w oczy. Za bardzo jej pożądałem, żeby rozmawiać, a ona pozwoliła mi na to, wzięła moją rękę i wsunęła ją pod halki. To działało się naprawdę, wszystko naprawdę, rozkosz i rozdygotanie, i w końcu jej ciasny srom rozchylił się przede mną, zamknął się wokół mnie, a potem chwila spełnienia - tak nagła, tak rozdzierająca, tak całkowita. Tak wyczerpująca.

Ocknąłem się, patrząc na nią - leżałem na niej - i rumieniec na jej policzkach odebrał mi oddech. Mruczałem jakieś świństwa jakieś prostactwa. Ale byłem tak zaspokojony, tak rozanielony, że nic mnie nie obchodziło. Pocałowałem ją szeroko rozchyłonymi ustami, tak samo jak za pierwszym razem.

Położyłem się na plecach, tak zmęczony, że bliski kompletnego odrętwienia, i teraz to ona patrzyła na mnie w dół.

- Bądź moim mścicielem, Quinn - powiedziała łagodnie. - Tak, opowiedz światu historię mojego życia, ale bądź też moim mścicielem.

- Ale jak, Rebeko? Jak mogę być twoim mścicielem, gdy ci, którzy cię skrzywdzili, już nie żyją? - Usiadłem, łagodnie zmuszając ją do położenia się na plecach.

Spojrzała na mnie prosząco. Siedzieliśmy obok siebie.

- Powiedz mi szczerze, Rebeko, co mogę zrobić, aby twój duch spoczął w pokoju?

Znów ujrzałem całą grozę poprzedniej sceny, koszmarne obrazy wiszącej na haku, nagiej, bezbronnej Rebeki i tamtych dwóch złoczyńców, którzy jej to zrobili.

- To był Manfred we własnej osobie, prawda? - spytałem ją. - Co mogę zrobić, Rebeko, aby twoja dusza zaznała spokoju?

Nie odpowiedziała. Jedyne znów mnie pocałowała.

- Wiesz, że ty nie żyjesz, Rebeko - powiedziałem. - A ci, którzy popełnili ten czyn, też nie żyją, chociaż cięży na nich potworna zbrodnia. - Musiałem to powiedzieć. Musiałem jej to powiedzieć. - Rebeko, już nie ma

nikogo żywego, kto mógłby odcierpieć za to, co się stało.

- Nie, Quinn, ja tu jestem - rzekła ze słodyczą. - Jestem tu zawsze, widzę cię zawsze, widzę wszystko. Bądź moim mścicielem, Quinn. Walcz dla mnie.

Znów ją pocałowałem. Pokryłem pocałunkami jej piersi. Leżeliśmy spleceni i miętosilem jej suknię. Jej włosy się rozsypały, gdy pchaliśmy. Westchnąłem i całując jej policzek, znów zapadłem w czerń, która była chłodna i tak wszechogarniająca, jakbym nów uprawiał seks, ale tym razem bezcielesnie.

Spałem. Jak długo? Godzinami, godzinami.

Nagle się ocknąłem. Gorąco, pot.

I ciemność! Dobry Boże, ciemność!

Noc weszła nad Wyspą Słodkiego Czarta. Noc weszła nad Bagnami

Słodkiego Czarta. Och, że też akurat musiałem popełnić tę głupotę.

Zasnąłem pijackim snem dobrą godzinę drogi od domu, w porze, w której głód budzi wszystkie bagienne stwory. Czego mogłem dokonać

rewolwerem? Czego mogłem dokonać strzelbą, gdyby wąż ześlizgnął się na mnie z konara? Może jeszcze odstraszyłbym aligatora, ale inne zwierzęta?

Na przykład rysie, które wychodzą żerować po zmroku?

Zerwałem się wściekły na samego siebie. A byłem taki pewny, że nie zdoła mnie zwieść, że się na niej poznałem, że wiem, co z niej za ziółko.

Nagle przypomniałem sobie wszystko, co jej zrobili, i zaparło mi dech, aż głośno jęknąłem.

Zemsta? Och, to, co zrobili, było tak potworne, że pobudziłoby do

zemsty nawet ministranta. Wiedziałem, jak umarła. Tu umarła i tu zgniała, ale czyżby naprawdę chciała, żebym to ja był jej mścicielem?

Zobaczyłem lepkie ślady nasienia na deskach, migocące w świetle księżycy, i patrząc przez okna, podziękowałem Bogu za ten księżyc. Potrzebowałem księżycy. Może udałoby mi się stamtąd wydostać przy księżycu.

Przeżegnałem się. Wymacałem różaniec pod koszulą. (Był niepoświęcony, ale musiał wystarczyć.) Pośpiesznie i ze wstydem odmówiłem Zdrowaś Mario, własnymi słowami mówiąc Błogosławionej Dziewicy, że strasznie mi przykro, że zwracam się do niej właśnie teraz, gdy wszystko wydaje się stracone.

Ze zgrozą zdałem sobie sprawę, że nadal mam rozpięty rozporek.

Właśnie zmówiłem modlitwę do Najświętszej Marii Panny, demonstrując to, co powinienem najstaranniej zakryć. Natychmiast się ogarnąłem i odmówiłem kolejne trzy zdrowaśki, zanim wymacując drogę, podszedłem do schodów i dostałem się na dół.

Porwałem podstawkę z ogarkami, wyjąłem zapalniczkę i szybko zapaliłem wszystkie. Z tym płonącym lichtarzykiem podszedłem do drzwi Samotni i wyjrzałem na dwór. Tak, tym razem nic mi się nie wydawało, księżyc stał wysoko w górze, widziałem to z tego miejsca, ale bagna były czarne jak atrament i gdybym odbił od polany i pogrążył się w tej czerni, księżyc na nic by mi się nie przydał.

Oczywiście, nie miałem latarki ani latarni. Nie zaplanowałem takiego obrotu wydarzeń! Więcej, gdyby mnie ktoś spytał: „Czy spędzisz

noc na Wyspie Słodkiego Czarta?” - odparłbym: „Jeszcze nie zwariowałem”.

- Zaczekajcie, aż doprowadzę ten dom do porządku - powiedziałem na głos. - Wszędzie będzie elektryczność. A w tych oknach będą wstawione szyby jak należy. I może siatki przy okazji. A te zwykłe dechy podłogowe pokryje się marmurowymi płytami, żeby bagno ich nie zezarło tą swoją piekielną wilgocią. Tak, to będzie rzymski pałacyk, z jeszcze wymyślniejszymi rzymskimi mebelkami i z piecem, postawię tu nowy piec. I wtedy, gdy złapie mnie tu noc, będę miał wygodne poduszki na kanapie, żebym miał gdzie spać, i masę książek do czytania przy dobrym świetle. Miałem wizję tego domu i los Rebeki nie był jej częścią, tak jakby tamta ponura, ohydna śmierć została wymazana z mojej świadomości. Co teraz? Na razie utknąłem w cholernej dżungli w domku na drzewie!

W porządku, a może by tak zostać i jakoś się przystosować do tej obrzydliwej sytuacji? A gdybym po prostu poczytał przy świecach jedną z tych starych książek, trzymając rewolwer pod ręką, na wypadek gdyby jakiś człowiek albo jakieś zwierzę chcieli złożyć mi wizytę?

No cóż, najgorszą konsekwencją takiej decyzji byłby popłoch w Blackwood. Wszyscy byliby gotowi pomyśleć, że spotkało mnie coś strasznego. Więcej, już mogli mnie szukać. To wcale nie była teoretyczna możliwość. Mogli wypłynąć na bagna z latarkami i latarniami.

Czy to nie był argument za pozostaniem na miejscu?

Postawiłem lichtarzyk na biurku i wyszedłem na zewnątrz,

przeciąłem polanę i dotarłem nad brzeg.

To zdumiewające, że kilka świeczuszek tak jasno rozświetliło okna

Samotni. Doprawdy, każdy podpływający pirogą musiał zwrócić na nią uwagę. Może najlepiej było siedzieć na tyłku. Ale jeśli tak, to dlaczego ta decyzja wydawała mi się tchórzowska?

Dlaczego czułem, że powinienem wrócić i uspokoić tych, którzy mnie kochali, że nic złego mi się nie przydarzyło?

Przeszukałem pirogę. Nie, nie zabrałem latarki ani latarni. Też mi niespodzianka.

Wyteżyłem oczy w mrok. Staralem się dojrzeć, co leży przede mną.

Staralem się wypatrzeć wąski kanał, którym przy płynąłem. Nie widziałem nic w ciemności.

Obszedłem wyspę, starając się zatoczyć możliwie najszerszy krąg.

Nie wiedziałem dokładnie, dlaczego to robię. Może po prostu czułem, że muszę zrobić cokolwiek. Wyteżałem słuch, bardzo wyteżałem słuch, na wypadek gdyby ktoś mnie wzywał. Oczywiście, słyszałem niezliczone nocne ptaki i niewyraźne pomruki dochodzące z wody, ale żadnego ludzkiego głosu.

Wróciłem do miejsca, w którym zacumowałem pirogę. Stał tam

Goblin, mój dokładny wizerunek. Przyglądał mi się z uwagą. W blasku świec jego postać rysowała się tak wyraźnie, że wydawała się z krwi i kości.

Cóż to była za wspaniała iluzja. Przeszukiwałem pamięć, usiłując sobie przypomnieć, czy już kiedyś udało mu się osiągnąć tak

spektakularny efekt. Oczywiście, widywałem go w cieniach, w mroku i w świetle, ale nigdy nie widziałem, by światło się na nim zatrzymywało, obrysowując mu ramiona i twarz. Nagle skinął ręką, wzywając mnie do siebie.

- Czego chcesz? - spytałem go. - Tylko nie mów, że możesz się do czegoś przydać. - Podszedłem do niego i znów wyciągnął rękę, na znak, że mam się odwrócić. Wskazał na bagna.

Przez chwilę widziałem tylko daleką łachę księżycowego światła - bruzdę w gęstym poszyciu, wiele jardów od miejsca, w którym staliśmy, migotliwy pas czystej wody. Potem usłyszałem chlupot Dłoń Goblina zacisnęła się na moim ramieniu, położył palec na ustach, sygnalizując, że mam zachować całkowite milczenie.

Znów wskazał odległą jasną plamę. Pojawiła się tam piroga chyba prowadzona przez jednego człowieka. Widziałem wyraźnie jego sylwetkę. Miał na sobie luźną marynarkę i spodnie, dżinsy na ile mogłem ocenić, i gdy patrzyliśmy z Goblinem, dźwignął z dna pirogi ludzkie ciało i powoli włożył je do wody, tak że wydało zaledwie słaby plusk!

Zupełnie nie wiedziałem, co o tym myśleć. Goblin tak mocno ścisnął mi ramię, że sprawiał mi ból.

Odległa postać powtórzyła uprzednią operację. Z niepojętą zręcznością i siłą uniosła kolejne ciało i wrzuciła je do bagna.

Stałem wstrząśnięty. Zmartwiały ze zgrozy. Nawet nie pomyślałem, że grozi mi niebezpieczeństwo. Przenikała mnie gorzka świadomość, że oto ktoś ukrył w bagnach dwa trupy i gdy wrócę z tą opowieścią do domu,

nikt, ale to nikt mi nie uwierzy.

*Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że tamta postać
znieruchomiła i najprawdopodobniej teraz stoi twarzą do wyspy, patrząc
bez drgnienia na mnie i na Goblina, oświetlonych częściowo blaskiem
świec.*

*Znad czarnej wody doleciał śmiech, basowy, falujący, taki jak w
moich wizjach, ale ten śmiech był prawdziwy, to nie był żaden omam. To
śmiała się tamta postać. I na moich oczach, na oczach Goblina i moich,
tamten ktoś skierował pirogę w ciemność i przepadł.*

*Staliśmy długo, udręczeni tym, co zobaczyliśmy. Byłem mu
nieskończenie wdzięczny za krzepiący uścisk ramienia, za to, że mogłem
się o niego oprzeć, doznać serdecznej zażyłości, nieosiągalnej z żadnym
człowiekiem.*

*Wiedziałem wszak, że niebawem utraci cielesną postać. Wiedziałem
też, że słyszał tamtego osobnika, tamto indywiduum, które dopiero co
pozbyło się dwóch trupów. Byłem przekonany, że mi, kiedy będzie można
bezpiecznie opuścić wysepkę.*

*Staliśmy tak przysłowiową wieczność, nieruchomi i czujni, aż
wreszcie Goblin powiedział mi telepatycznie, że powinniśmy uciekać z
wyspy jak najszybciej.*

*- A co się stanie, jeśli się zgubię, jeśli zupełnie stracę orientację? -
spytałem wyraźnym szeptem.*

*- Poprowadzę cię - odparł. A potem zniknął. Niebawem zgasty
świeczki, a mój druh popychał mnie i ciągnął za ramię, domagając się,*

abym natychmiast wszedł do pirogi.

Prowadził mnie całą powrotną drogę, czasem w kompletnej ciemności, czasem przy świetle księżyca. W niecałą godzinę zobaczyłem błogosławione światła dworu, przebijające się przez drzewa, i zaraz skierowałem się ku przystani.

Rozległy się wołania. Krzyki. A gdy pobiegłem do drzwi kuchennych, wyszedł dziadek, uściskał mnie i rzekł:

- Dzięki Bogu, synu. Nie wiedzieliśmy, co, do diabła, się z tobą dzieje.

Po stopniach zeszła ciotka, wycierając kąciki oczu chusteczką.

Kręcił się tam szeryf Jeanfreau z jednym ze swoich beznadziejnych, ofermowatych zastępców, Paskudnym Hendersonem. Wszyscy fornale darli się: „Jest w domu, cały i zdrów!”

- Jak mogłaś wsadzić mi piwo do lodówki! - natychmiast napadłem na Jasmine, na co odpowiedziała, że to nie ona pakowała cholerną lodówkę, tylko Baba Ramona, a ta z kolei powiedziała, że jeszcze spała, kiedy odpływałem (co zgadzało się z prawdą). Jasmine przypomniła sobie, że tak naprawdę to był Clem. I gdzie, do diabła, jest Clem?

To mnie nie obchodziło. Chciałem kolacji. Chciałem, żeby wszyscy zebrali się przy kuchennym stole i posłuchali mnie, abym nie musiał powtarzać tego samego sto razy.

Zażądałem, aby szeryf Jeanfreau został. Chciałem nawet, aby został beznadziejny i denerwujący zastępca szeryfa, Paskudny Henderson.

Powiedziałem wszystkim, że chcę, aby mnie wysłuchali.

Co prawda była już dziewiąta wieczór wedle mojego zegarka, ale ze

*w oknie całonocnego drugstore'u w Ruby River City zawsze wisiała dumna
wywieszka „Wywołujemy filmy w godzinę! - wysłałem tam jednego z
fornali, wręczywszy mu kliszę.*

*- Gdzie jest Goblin? - spytałem nagle. Byłem w kuchni. Baba Ramona
właśnie podawała mi mokrą myjkę. - Goblin, jesteś? - I zdałem sobie
sprawę, że po wszystkim, co dla i zrobił, przestał być wyczuwalny,
widzialny i słyszalny. Utracił zbyt wiele energii.*

*Tak więc ogarnięty litością i wdzięcznością, czując świeży przyływ
szacunku i miłości, dałem mu spokój.*

Nie uwierzyli w ani jedno moje słowo. Kiedy z szalonym podnieceniem opowiedziałem im koszmarny sen o wieszaniu Rebeki na haku, szeryf tylko mnie wyśmiał. Wyśmiał mnie, gdy opisywałem siebie jako mężczyznę i kobietę we śnie i dopiero ostre „Ależ proszę...!” ciotki zamknęło mu usta.

Gdy doszedłem do opisu tajemniczego nieznajomego, porzucającego ciała na bagnach, szeryf znów zaczął się zarykiwać i nawet beznadziejny Paskudny Henderson zaczął rzeć. Patsy, która w którymś momencie zjawiała się w kuchni, zaczęła wtórować Paskudzie i rżała razem z nim. A gdy opisałem, jak Goblin wyprowadził mnie z bagien, szeryf, jak się to mówi, zaczął się zwijać na podłodze.

Z całkowitym spokojem zignorowałem to wszystko. Pochłonąłem dwa talerze naleśników z torebki przygotowane przez Babę Ramonę i spojrzałem na ciotkę.

- Wiesz, że Rebeka została tam zamordowana, ciociu Queen. Proszę tylko, żeby ktoś tam popłynął, zebrał szczątki i poddał je badaniom DNA!

- Och, Quinn, mój biedny skarbeczku - westchnęła ciotka. Co się tyczy dziadka, to dawno już powinien być w łóżku, bo wyglądał na nieźle wymaglowanego. Wiedziałem, że przysporzyłem mu ogromnych zmartwień.

Wtedy wróciły odbitki z drugstore'u. Odbitki!!!

Puściłem je wokół stołu. Nie da się ukryć, że zrobiłem dobre zdjęcia.

Szczątki Rebeki były nierozpoznawalne, ale pięć zardzewiałych łańcuchów wyszło całkiem dobrze i oczywiście ujęcia Samotni i mauzoleum były całkiem wyraźne.

- Teraz cholernie dobrze wiecie, że stoi tam dom - powiedziałem - nie możecie temu zaprzeczyć, a jeśli ten metal - stuknąłem palcem w zdjęcie - to nie jest czyste złoto, to ja nie nazywam się Blackwood.

Szeryf zaśmiewał się do rozpuku, aż brzuch mu się trząsł, gdy ciotka poprosiła o spokój.

- W porządku - oświadczyła. - Wszyscy wysłuchaliśmy tego, co Quinn miał do powiedzenia. Tak więc ta wyspa istnieje naprawdę i on zna do niej drogę, i utrzymuje, że te trupy zostały po kryjomu porzucone w niewielkiej odległości od brzegów wyspy. Innymi słowy, może was zabrać do miejsca, z którego widział tamto zdarzenie, a przeszukanie tak małego obszaru to żaden problem.

Szeryf nie potrafił powstrzymać się od śmiechu.

- Ależ, panno Queen - powiedział - pani wie, jak bardzo panią podziwiam, jak wszyscy w tych stronach...

- Dziękuję, szeryfie - odparła mu bezzwłocznie. - W przeddzień

Nowego Roku spodziewam się ofiary w postaci siedmiu najładniejszych młodzieńców i takiej samej liczby dziewcząt.

Teraz na mnie przyszła kolej umrzeć ze śmiechu, bo wiedziałem, że uwaga ciotki odnosi się do mitu o Minotaurze, ale szeryf nie miał pojęcia, o czym mowa, i tylko się gapił to nią, to na mnie, a ja byłem na tyle głupi, że mając osiemnaście lat, czułem się mądrzejszy od niego.

Ciotka mówiła dalej, bez sekundy przerwy, nie zwracając uwagi na mój wybuch wesołości.

- Zapłacę z własnej kieszeni - powiedziała - za zebranie i przywiezienie tamtych łańcuchów i tego czarnego osadu, opisanego przez Quinna. Zapłacę za dokładną i pełną analizę składu i za test DNA, który ustali między innymi, czy w tamtym miejscu zginęła jedna osoba czy też więcej, i czy to Rebeka Stanford której włos mamy na szczotce na strychu, faktycznie straciła tam życie. - Zrobiła przerwę dla podkreślenia wagi swoich słów i zmrużyła oczy. - Proszę tylko o to, szeryfie - kontynuował z wyniosłością matki rodu - żeby się pan tam udał i poszuka tych trupów. Zakładam, że pan i dziadek moglibyście popłynąć jutro rano motorówką. - Motorówka nigdy się nie przebije - wtrąciłem cicho. - Trzeba będzie skorzystać z małej pirogi, tak jak ja zrobiłem. Po prostu cyprysy są za gęste.

- W takim razie bardzo dobrze, dziadek wie, jak się pracuje drągiem, i zakładam, że ta umiejętność też nie jest obca panu, szeryfie Bobby Jeanfreau! Więc zajmie się pan tym i proszę przyjąć do wiadomości, że spoczywa na panu poważny obowiązek odnalezienia tych ciał, podczas gdy ja sama zajmę się sprawą badań laboratoryjnych. Skorzystam z pośrednictwa mojego prywatnego lekarza, gdyż zakładam, że Ruby River City nie ma na etacie kryminalistyka, który posiadałby odpowiednie kwalifikacje w tym zakresie.

W tym momencie szeryf uśmiechnął się z wielką pewnością siebie i spytał, jakby chciał się zrewanżować za to, że został przeze mnie

wyśmiany:

- *A czy mogę wyznaczyć na pomocnika Goblina, madame, który by wskazywał drogę na wyspę mnie i dziadkowi?*

Teraz krew zawrzała w żyłach dziadka, chociaż biorąc pod uwagę istotę spraw, odezwał się tonem cichym i wręcz apatycznym.

- *Wcale nie potrzebuje pan do pomocy Goblina - powiedział. - Myślę natomiast, że potrzebuje pan sporego zespołu ludzi, nie tylko żeby znaleźć te trupy, ale i przeszukać miejsce zbrodni z tymi całymi łańcuchami i osadem, jak na to mówimy; potrzebuje pan kogoś, kto zająłby się tym formalnie.*

- *No, coś pan, wiesz pan przecież, że tam niczego... - odpowiedział szeryf. Był z niego uparciuch i do tego głupek, jakich mało.*

Dziadek naciskał dalej, nie zmieniając tonu głosu, tylko sięgnął po mocniejsze argumenty.

- *To pan mnie posłucha, szeryfie - rzekł ze spokojem. - Ciało w tamtym miejscu, nawet na piętrze, mogło się rozłożyć w ciągu kilku lat. I jest możliwe, że Quinn trafił na miejsce zbrodni, i nawet na samego sprawcę. Nalegam, żeby zabrał pan ze sobą ekipę, a jak pan tego nie zrobi, wzywam FBI.*

Nie jestem pewien, czy ta zapowiedź sprawiła, że szeryfowi portki zatrzęśły się ze strachu, ale biorąc pod uwagę plotki o tym co się działo w gminie Ruby River, włączając w to walki kogutów (które, tak przy okazji, nie są nielegalne w Luizjanie), to sądzę, że nie chciał, aby FBI zaczęła węszyć po okolicy, tak więc zgodził się na te żądania.

Chociaż dziadek starał się powściągnąć moją zapalczywość

towarzyszyłem szeryfowi całą drogę do radiowozu, mówiąc mu bez

przerwy o tamtych trupach:

- Musi pan sprawdzić, kto zaginął! Mówię panu, widziałem to. Dwa ciała wrzucone do wody. Musi pan zrobić przeszukanie.

- Wszystko po kolei - powiedział wreszcie dziadek. - Pozwól im

przeszukać tamten dom. A potem, skoro uważasz, że potrafisz wskazać

dokładnie miejsce, w którym tamten obcy pozbył się ciała, potem uprzemy się przy przeszukaniu.

W końcu szeryf i jego rzący zastępca opuścili teren posiadłości, a

ciotka i dziadek byli gotowi wziąć mnie w obroty i powiedzieli wszystkim,

że mają opuścić kuchnię, byśmy mogli zostać sami. Patsy była tym bardzo

oburzona, ale dziadek posłał jej jedno ze swoich najgroźniejszych spojrzeń,

tak że w końcu wycofała się naburmuszona do swoich pokoi na piętrze

baraku.

Dziadek wygłosił mi gorzkie kazanie za to, że nie posłuchałem ciotki,

że wybrałem się sam na wyspę i że „ukradłem” jego rewolwer. Wygłosił

jeszcze dziwne stwierdzenie, jakobym teraz sam był dla siebie zagrożeniem

i że czas, abym wyjechał z Blackwood i ruszył w szeroki świat.

- Co to znaczy „ruszył w szeroki świat”? - spytałem. - Nie widzisz tych

zdjęć! Tam jest złoty grobowiec, dziadku. Muszę się dowiedzieć, co w nim

jest. A do tego dochodzi jeszcze sam dom. Nigdzie nie ruszam. Dziadku,

wiesz, co chcę zrobić - mówiłem dalej, rozkręcając się na pełny gaz. - Chcę

doprowadzić tam elektryczność, wiesz, przeciągnąć kable przez bagna.

Chcę posprzątać ten dom i doprowadzić go do stanu używalności, żeby to była prawdziwa Samotnia, ale nie mogę tego zrobić, dopóki nie zbiorą i nie zbadają szczątków Rebeki. Nie mogę tego zrobić, dopóki nie zadbam jak należy o Rebece, chociaż prawdę mówiąc, Rebeka nie zawsze dbała jak należy o moje dobro.

Wyglądał na smutnego i zmęczonego i powoli zaczął tracić cierpliwość.

- I muszę złapać tego nieznajomego - nie dawałem mu spokoju - tego mordercę, tego szubrawca, który podrzuca trupy na nasze bagna.

W końcu nastrój dziadka zmienił się drastycznie, jak wiele razy w przeszłości. Rozzłościł się, rozzłościł się na mnie tak jak na Patsy.

- W głowie ci się porobiło, synu - powiedział. - Musisz się stąd wynosić. Możesz się zapisać na uniwersytet stanowy w Baton Rouge, jeśli chcesz zostać blisko domu, ale ja jestem za tym, żebyś pojechał na Harvarda. Ciotka Queen przejrzała wszystkie materiały na temat twojej nauki i twoich egzaminów, które jej dała Lynelle, i nie ma problemu, żebyś z marszu dostał się na najlepszy uniwersytet. Wyjeżdżasz stąd.

- Mój drogi, dziadek ma absolutną rację - poparła go ciotka. - Teraz musisz pomyśleć o swojej przyszłości w świecie, a nie o tajemnicach i historii życia tych, którzy kiedyś mieszkali w tym domu. On będzie czekał na ciebie całe życie. A teraz jesteś w wieku, w którym przede wszystkim liczy się poznanie świata, i czas na ciebie.

Nic na to nie odpowiedziałem. Spotkałem się z nieugiętym oporem.

Zastanawiałem się, czy aligatory tak szybko uporają się z tymi ciałami, że

nic po nich nie zostanie. Zastanawiałem się, czy potrafię wskazać to miejsce na wyspie, w którym stałem, oglądając tamten nikczemny czyn.

- Idź do łóżka, Quinn - poradziła mi łagodnie ciotka. - Wiem, że coś tam zobaczyłeś. Nie podważam twoich słów. I Samotnia na pewno istnieje. Przywiozłeś na to dowody. Ale jest późno i do rana nie da się nic zrobić.

Na górze zastałem Babę Ramonę. Siedziała w moim uszaku przy wystygłym kominku. Trzymała w ręce różaniec. Gęste siwe włosy już zaplotła w warkocz. Miała na sobie najlepszą flanelową nocną koszulę w różyczki. Uściskała mnie gorąco, a ja poszedłem wziąć prysznic i przebrać się do snu.

Po tym jak odmówiliśmy nasze wieczorne pacierze, przyznałem że jestem tak zmęczony, że nie mam sił na cały różaniec, i szybko zasnęliśmy przytuleni do siebie. Wspominałem tajemniczego nieznajomego w słabym świetle księżyca sączącym się zza chmur.

Nagle usłyszałem szmer włączonego komputera. Monitor świecił zielonym światłem.

Co za utrapienie, pomyślałem i zamruczałem:

- Goblin, czemu musisz robić takie rzeczy?

Usłyszałem dziwny dźwięk. Stukot komputerowej klawiatury.

Zerwałem się z łóżka, wszedłem do salonu i utkwilem wzrok w monitorze. Nie ulegało wątpliwości, że to Goblin napisał wiadomość:

QUINN, WSZĘDZIE NIEBEZPIECZEŃSTWO, BOJĘ SIĘ

Zdumiewające. Nigdy wcześniej tego nie zrobił. Włączać i wyłączać komputer, tak, ale samodzielnie pisać? Usiadłem i pisałem, równocześnie

głośno mówiąc: „Goblin, kocham cię. Nie wróciłbym bez ciebie. Wytłumacz mi, o jakie niebezpieczeństwo chodzi”.

Cofnąłem ręce i patrzyłem, jak klawisze zapadają się, wydawałoby się czarodziejskim sposobem, i pojawiają się słowa:

JEST BLISKO I DALEKO. WYJEDŹ. KOCHAM CIĘ. NIE KOCHAJ REBEKI.

Zacząłem mu odpowiadać szeptem, mówiąc to, co zawsze - że nie powinien się martwić - gdy klawisze znów rozstukały się błyskawicznie i na ekranie wyrósł napis:

PRZEZ KOMPUTER, QUINN. NIE MAM SIĘ INACZEJ.

ZA BARDZO ZMĘCZONY PRZEZ BAGNO.

WYJEDŹ, QUINN.

To wszystko wprawilo mnie w jeszcze większe zdumienie, ale zgadzało się z moimi nowymi obserwacjami, więc wystukałem jak szalony: „Goblin, kim jest tamten obcy? Co to były za ciała?”

„Nie wiem - padła odpowiedź. - Ciała to były trupy”.

To był typowy przykład rozumowania Goblina. Długą chwilę siedziałem z zapartym tchem, po czym wystukałem: „Goblin, kocham cię.

Nigdy nie myśl, że cię nie kocham. Nie przejmuj się mną i moimi humorami”.

Nie dostałem odpowiedzi i zanim zdążyłem zapisać tę krótką wymianę zdań, komputer nagle się wyłączył. Lub raczej Goblin go wyłączył.

- Co to znaczy? - powiedziałem głośno, rozglądając się wokół. Ale

ciemność milczała. Nie pozostało mi nic innego, jak wrócić do łóżka...

Leżałem, nie śpiąc, rozważając wszystko, co się wydarzyło, w tym fakt, że Goblin potrafił teraz samodzielnie pisać na komputerze. To były niepokojące odkrycia, chociaż równocześnie zdawałem sobie sprawę, że to dzięki Goblinowi wydostałem się z bagien.

W sumie chcę powiedzieć, że czułem się winny. Źle go traktowałem.

Znów napawał mnie podziwem, tak jak wtedy, gdy byłem małym chłopcem, a on uczył mnie pisowni trudnych słów. Znów byliśmy sobie bliscy. Wiedział, że mówiłem prawdę. Wszystko rozumiał. To wprawiało mnie w ekscytację, chociaż równocześnie nie zgadzałem się z niczym, co mi tuż przed chwilą napisał. Liczyło się to, że byliśmy sobie bliscy. Mieliśmy wszak zbliżyć się jeszcze bardziej.

Nocą, gdy Baba Ramona chrapała, a ja drzemałem w półśnie, śniąc o Rebecce, w pokoju zjawił się nieznajomy.

Goblin obudził mnie, potrząsając za ramię. Odwróciłem się i gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem Goblina stojącego nad mną i patrzącego w kierunku kominka. Ścisnął mnie tak mocno za ramię, jak zrobił to na wyspie, nakazując czujność.

Przewróciłem się na drugi bok, udając, że jestem pogrążony we śnie.

Ktoś stał przy kominku i mając go za punkt odniesienia mogłem ocenić, że jest to ktoś wysoki. Zarys sylwetki wydawał mi się nieznajomy, ale przypominał osobę, którą dostrzegłem na bagnach w świetle księżyca. Widziałem łysą głowę i szerokie proste ramiona. Światło zalśniło na ręce spoczywającej przez moment na półce kominkowej. Byłem pewien, że to

ten sam mężczyzna! Rozległo się stuknięcie i na półce wyrosło coś białego.

Potem rozległ się cichy śmieszek.

Zerwałem się z łóżka jak oszalały, chociaż Goblin ze wszystkich sił starał się mnie zatrzymać. Gdy przebiegałem przez pokój, usłyszałem szelest miętego papieru i zobaczyłem cień białej papierowej kuli wrzucanej do paleniska. Zanim zrobiłem kolejny krok, mężczyzna zniknął.

Przeszukałem wzrokiem pokój. Podbiegłem do drzwi na korytarz, ale się przekonałem, że jest pusty. Na strychu i na parterze nikogo.

Wszyscy goście dworu Blackwood spali i jego mieszkańcy również. A z kuchennego okna dojrzałem Clema, nocnego stróża, siedzącego w jasno oświetlonym baraku, z nogami na stole i oglądającego telewizor.

Serce waliło mi jak szalone. Jaki był sens wszcząć alarm? Kto by mi tym razem uwierzył?

Wróciłem do pokoju i wyjąłem zmiętą kartkę z paleniska. Nie musiałem jej czytać, wiedziałem, co to jest. To był mój list do intruza na Wyspie Słodkiego Czarta, żądanie opuszczenia terenu. Wyglądziłem go i odwróciłem. Nie było odpowiedzi. Przypomniałem sobie stuknięcie i rzeczywiście na półce leżał list, a przynajmniej kartka złożonego papieru.

Byłem wyjątkowo podniecony! Oto dowód. Porwałem kartkę drżącymi dłońmi i podszedłem do biurka. Włączyłem halogenową lampkę, mając nadzieję, że nie obudzę Baby Ramony.

Papier był gruby i elegancki, pismo płynne, litery wyraźne. Czulem zapach chińskiego tuszu. Oto, co mniej więcej było w liście:

Tarquinie, mój ukochany chłopcze,

Bynajmniej nie jestem rozbawiony Twoim żądaniem. Przeciwnie czuję się mocno urażony Twoim wtargnięciem na tę część Bagien Słodkiego Czarta, do której posiadam niepisane prawo dzięki hojności i dalekowzroczności Twojego praprapradziadka Manfreda. Gdybym Cię nie ujrzał i nie wiedział, że tak naprawdę jesteś wrażliwym i poważnie myślącym młodzieńcem, niewykluczone, że poczułbym się znacznie bardziej urażony.

W tym stanie rzeczy domagam się, abyś zostawił wyspę w spokoju, i nie życzę sobie, abyś Ty ani ktokolwiek z Twojej rodziny się na niej pojawiał. Cenię swoją prywatność, Tarquinie, być może bardziej niż Ty cenisz swoje życie. Weź to pod rozwagę, mój chłopcze,

Mieszkaniec Samotni

Złożyłem list i nie zawracając sobie głowy wkładaniem szlafroka ani kapci, podobnie jak nie zawracałem sobie tym głowy podczas wcześniejszego obchodu, zszedłem do sypialni ciotki. Otworzyłem drzwi nie pukając, prawem dziecka.

Oczywiście, światło było zapalone i ciotka leżała na szezlongu, z brylantami na szyi, okryta satynową narzutą. Wcinała wielkie opakowanie malinowych lodów. Jasmine, która sypiała w jej pokoju, leżała na łóżku, pogrążona w głębokim śnie.

Z telewizora dobiegały przyciszone głosy Bette Davis i Olivii de Havilland.

- Tarquin, co się stało? - powiedziała bez wstępów ciotka. Skręciła głowę. - Wyglądasz, jakbyś zobaczył własną śmierć. Chodź tu i pocałuj

mnie.

Nie musiała mi tego dwa razy powtarzać.

- Wszedł do mnie, ciociu Queen - powiedziałem bez tchu, machając jej przed nosem listem. - I zostawił mi to. Widziałem go. Stał przy kominku.

Goblin mi powiedział, że on tam jest. Tu masz list od niego. Ciociu Queen, mówię ci, tam doszło do morderstwa. I chociaż brzmi to jak bredzenie wariata, to urzęduje tam jakieś tajne romantyczne bractwo.

- Pokaż mi ten list - powiedziała. Odłożyła lody. Jasmine podniosła głowę i wysunęła się pod kołdry.

Powiedziałem im, co się wydarzyło na górze. Jasmine przeczytała list, a ciotka zrobiła to po raz drugi. Ja chodziłem po pokoju, zbyt podekscytowany, aby usiąść.

- Trzeba będzie zacząć zamykać drzwi z frontu i od tyłu - powiedziała Jasmine - skoro ludzie zaczynają pakować się do środka bez pytania.

- Nie zamykamy drzwi?! - spytałem poruszony do żywego.

- Wiesz, że nie - rzuciła Jasmine. - Goście z Nowego Orleanu przyjeżdżają o każdej porze dnia i nocy. Miałeś kiedyś klucz do drzwi, Tarquinie Blackwood?

- Ten facet śmiał się ze mnie - powiedziałem najspokojniej, jak potrafiłem, co znaczyło, że bynajmniej nie spokojnie. - Śmiał się, mówię wam. Słyszałem ten śmiech i... - Przerwałem. To był ten sam śmiech, który słyszałem podczas zawrotów głowy. To był ten sam śmiech, który towarzyszył rozpaczliwym błaganiom Rebeki. Och, ale kto by w to uwierzył!

- Tarquin, co się z tobą dzieje! - zbesztala mnie ciotka. - Nie stój tak z wytrzeszczonymi oczami. Jasmine, biegnij i powiedz Clemowi, żeby obszedł dom. Powiedz, że ktoś się tu kręci. Szybko.

Jasmine wybiegła z pokoju.

- Tarquin, przestań się tak gapić - powtórzyła ciotka. - Musi być jakaś przyczyna tej afery, to znaczy jakaś sensowna przyczyna. Może miałeś rację. Tam spotyka się jakieś tajne stowarzyszenie, wiesz, mają jakiś tajny, romantyczny cel, i jeden z nich przyszedł do dworu. A że zawsze trzymamy otwarte drzwi, ośmielił się wejść na górę...

- Nie ma nic romantycznego w pozbywaniu się trupów - zaprotestowałem.

- Kochanie, może pozbywał się czegoś innego, co tylko wyglądało jak trupy.

Odwróciłem się, zataczając niewielkie kółeczko. Zauważyłem słaby zarys postaci Goblina. Stał przy jednej z kolumnienek łóża. Dawał mi z przejęciem znaki.

Popatrzyłem na ciotkę. Miała wzrok skierowany w to samo miejsce, w którym stał Goblin.

- To były trupy, ciociu Queen - powiedziałem. - Wiem, bo Goblin to potwierdza i jest wystraszony.

Zamilkła na długo, a potem uniosła ku mnie wzrok.

- Mój słodki chłopcze - powiedziała. - Zbadam tę sprawę na wszelkie możliwe sposoby, nie myśl sobie. Ale zamierzam cię stąd wywieźć.

Następnego przedpołudnia Wyspa Słodkiego Czarta, która zawsze była największą tajemnicą posiadłości Blackwood, stała się miejscem odwiedzin kilkunastu stróżów prawa, w tym nie tylko szeryfa z gminy Ruby River i jego zastępców, ale i dwóch prywatnych detektywów, wynajętych przez ciotkę, dwóch techników z prywatnego laboratorium i dwóch dżentelmenów z Federalnego Biura Śledczego.

W ten sposób istnienie Samotni stało się tajemnicą poliszynela. I gdy stałem na brzegu, wskazując stróżom prawa miejsce, w którym, jak widziałem, porzucono trupy, towarzyszył mi niezbyt przyjemny widok ludzi depczących wszystkie zakątki świętego ustronia Manfreda.

Dziadek nabawił się po śniadaniu ciężkiej niestrawności i powiedział, że po prostu nie może z nami płynąć. Bardzo cierpiał z tego powodu, ale nie był w stanie ruszyć się poza dwór.

Oczywiście, nie oczekiwano, że ciotka uda się na taką wyprawę, ale pokonała bagna, włożywszy na siebie gustowne sportowe ubranie w kolorze khaki, w którym wyglądała jak dziewiętnastowieczna pani archeolog. (Zapomniałem, że zaledwie rok temu była w amazońskiej dżungli, by szukać samotności).

I oczywiście, była z nami Jasmine, w dżinsach, których nigdy nie wkładała; kołysała piersiami w jednej z moich starych kraciastych koszul, paliła camele i patrzyła na każdego podejrzliwie) jeśli nie z wyraźną pogardą.

Ja stałem tam, wyśmiany i samotny w gromadzie ludzi, stęskniony odrobiny zrozumienia.

Oczywiście, nie znaleziono żadnych trupów. Sondowanie mulistego dna na głębokości sześciu lub dziesięciu stóp nie było łatwym zadaniem, przy czym aligatory otaczające wyspę były szczególnie natrętne i „przyjacielsko nastawione” - co dla mnie znaczyło tylko jedno: że spodziewają się żeru i że prawdopodobnie dopiero co nakarmiły się trupami, które na moich oczach wrzucono do wody.

Co do szczątków lub „osadu” z pierwszego piętra, jak zaczęto to oficjalnie nazywać, spore próbki zostały pobrane przez pracowników FBI i techników z prywatnego laboratorium Mayfair Medical, własności nowoorleańskiej rodziny Mayfairów, której jankeskim członkiem był ksiądz Kevin Mayfair - o czym wspomniałem ci wcześniej.

FBI znalazło się tam, ponieważ miało środki umożliwiające zebranie i zbadanie osadu i dysponowało ogromnym zasobem akt osób zaginionych, z których mogło dobrać odpowiednik DNA osadu i skończyć w ten sposób sprawę jakiegoś nieszczęśnika i udrękę jego rodziny.

Medical Mayfair znalazło się tam, ponieważ również miało laboratorium, ostatni krzyk mody w tej dziedzinie, a ciotka wynajęła je, aby wykonało testy na nasze prywatne zlecenie, jako że Samotnię wzniesiono na naszym terenie.

Szeryf znalazł się tam, ponieważ opowiadał oczywistości i truizmy, i przesadzone historyjki, kawały, które spletał swoim kumplom, i generalnie był źródłem zabawy służącej wytchnieniu.

Co do listu, który mi przekazał tajemniczy nieznajomy, to nie został on dostarczony FBI, jak się tego domagałem, ale Mayfair Medical. Czy list nie mógł posłużyć jako dalszy dowód w sprawie, gdyby się okazało, że szczątki znalezione w Samotni należą do jakiejś zaginionej osoby? Nie. Ponieważ nic poza moim skromniutkim zeznaniem nie łączyło listu z Samotnią.

Tak widziałem sytuację tego przedpołudnia, w trakcie tego całego zamieszania, gdy międzystanowa urzędowość i południowy upór zderzyły się łeb w łeb na gęstych, cuchnących, pełnych gadów I komarów bagnach. Agenci FBI okazali się godni szacunku i okazywali szacunek innym, dlatego też prawdopodobnie szeryf i jego podwładni ledwo raczyli ich zauważać. Przedstawiałem moją relację każdemu kto był gotów jej wysłuchać, w tym technikom z Mayfair, którzy zajmowali się przede wszystkim bieżącym zadaniem, to jest gromadzeniem danych.

Nikt nie zdjął odcisków palców z tajemniczego marmurowego biurka i rzymskiego krzesła, ale każdy wcześniej czy później obmacał jedno i drugie.

Wszyscy - nawet szeryf - byli pod wrażeniem złotego mauzoleum, jeśli taka była funkcja tej budowli, przy czym powtarzające się usiłowania przedstawicieli rozlicznych agencji spęłzyły na niczym, nikomu nie udało się dostać do środka. Złote płaskorzeźby (szeryf upierał się, że z brązu), powtarzam, złote płaskorzeźby przymocowano tak dokładnie do granitowych płyt, że nie dało się ich oderwać, nie ryzykując zniszczenia łomem, na co my, dumni właściciele mauzoleum, nie mogliśmy się zgodzić.

W końcu po południu zdecydowano się zakończyć poszukiwania i szeryf oraz jego ludzie odpłynęli, przeklinając małe pirogi, drągi służące do odpychania się od dna, cyprysy z ich powyginanymi na wszelkie strony korzeniami i pniami, glicynie, jeżyny, upał i komary. Dżentelmeni z FBI udali się tą samą drogą, zachowując jednak daleko większe opanowanie, jako że nasz zarządca, Jackson, sterował ich łodzią i nie jest w stylu FBI uskarżać się na warunki pracy.

Ciotka, Jasmine i ja oraz fornale, Clem i Felix (bracia Jasmine), nie mieliśmy najmniejszego zamiaru pozostawać samotnie na wysepce - Jasmine przeczytała list - więc pośpieszyliśmy zaraz za agentami FBI do przystani.

Znów w bezpiecznej orbicie dworu Blackwood powiedziałem

Clemowi

i

Felixowi,

że

w

niedalekiej

przyszłości

chciałbym

zelektryfikować Samotnię i że proszę ich, aby zapamiętali dobrze drogę na

wyspę. Ciotka udzieliła mi poparcia, tak więc wysłuchali tego, co

mówiłem.

Poza tym byli zbyt mili, żeby narzekać, i zbyt zmęczeni, więc dałem

im parę dolarów jako wynagrodzenie za trudy, co budziło zawołaną zazdrość Jasmine. Tak więc jej też dałem parę dolarów, przekonany, że ich nie przyjmie, ale nie, wzięła je chętnie, ostentacyjnie wsuwając je za stanik i puszczając do mnie oko.

To sprowokowało mnie, żeby złapać ją w objęcia i pocałować, na co powiedziała szeptem:

- Murzynki spróbujesz, innej nie posmakujesz.

Mało nie umarłem ze śmiechu.

- Gdzie to usłyszałaś? - spytałem.

- Wszędzie i dawno temu - powiedziała. - Dziwne, że ty nigdy nie słyszałeś. Uważaj, co robisz, szefuniu. - Odeszła, by pomóc ciotce wdrapać się po stoku. Szeptaly podejrzenie między sobą.

Bałem się i nie wiedziałem dlaczego. Wszyscy się przekonali, że nie kłamałem. Wszyscy zobaczyli marmurowe biurko i złote krzesło. Wszyscy zobaczyli dziwne napisy na mauzoleum.

Czy nie byłem z siebie dumny, gdy sznurek małych piróg zaczął zbliżać się do wyspy? Tak, byłem! Czy nie byłem z siebie dumny w tamtej chwili, w której wszyscy przeżywali wstrząs na piętrze Samotni, oglądając koszarne zardzewiałe łańcuchy i czarną maź na podłodze? Tak, byłem. Ale jakie to teraz miało znaczenie?

Była czwarta po południu. Słońce zachodziło. Posiadłość wyglądała na samotną i opuszczoną, a jej wspaniałość wydawała się bez znaczenia. Byłem w marnym nastroju, bardzo marnym. Stałem przed dworem, tuż koło pięknych kwietników dziadka, wpatrzony w wielkie kolumny, aż

wyszła ciotka i powiedziała mi, że wszędzie mnie szukała. Wiedziałem, że powinienem coś powiedzieć, ale nie potrafiłem przerwać otaczającej mnie ciszy.

Patrząc na jej tchnącą współczuciem słodką twarzyczkę, niejasno wiedziałem, że moja paskudna egoistyczna duszyczka potrzebuje właśnie tego - współczucia, ale nie mogłem wydusić z siebie słowa. Myślałem o tajemniczym nieznajomym, myślałem o ciałach osuwających się w muł. Widziałem światło księżyca, jakby teraz mnie oświetlało. Widziałem niewyraźną postać stojącą przy kominku. Błysk światła na dłoni, czole, policzku. Czulem grozę. Tak, czulem dotknięcie tajemnicy, ale wyraźniejsza od niej była lodowata panika.

Ciotka była blisko mnie. Coś mówiła, ale jej nie słyszałem. Wtem głos ciotki roztrącił ciszę i doleciały mnie słowa... coś o ludziach strzegących posiadłości. Oplacanych ludziach z agencji w Nowym Orleanie, doskonałych ochroniarzach.

W warstwie intelektualnej wiedziałem, że te słowa coś znaczą coś dobrego. Wyobraziłem sobie tamtych ludzi - stojących przy drzwiach, siedzących w salonie, kuchni, jadalni. Wyobraziłem sobie, jak wyglądają.

Gdy nie potrafię myśleć lub odbierać wrażeń, tworzę wyobrażenia.

Słuchałem.

Nic wszakże nie mogło odepchnąć lodowatej paniki i moją jedyłą ucieczką był całkowity bezruch.

- Quinn! - powiedziała. Położyła mi rękę na karku, a ja spojrzałem na nią i pomyślałem: Ile zostało mi czasu, zanim ona umrze? Poczulem taki

ucisk w gardle, że nie potrafiłem nic powiedzieć.

W końcu się otrząsnąłem. Wziąłem ją za rękę, pocałowałem i powiedziałem:

- Pozwól, że pomogę ci wejść po schodach, zawsze nosisz te niedorzeczne szpilki, zastanów się, a co będzie, jak się przewrócisz i złamiesz sobie biodro, co wtedy, kochana ciociu, nie będziesz mogła pojechać do Katmandu albo Timbaktu, albo do Islandii.

Ujęła mnie pod ramię i poszliśmy do domu. Odprowadziłem ją do pokoju, pozdrowiłem ochroniarza, który siedział w kącie jadalni, i poszedłem na górę.

Mam to dokładnie w pamięci. Jak inne rzeczy.

Panika mnie nie opuszczała.

Może prysznic poprawiłby mi nastrój? Wszedłem do łazienki, zrzuciłem z siebie brudne ubrania. Stałem pod gorącym strumieniem, modląc się, jeśli byłem zdolny do modlitwy, żeby rozpacz, ta straszliwa rozpacz, mnie opuściła. Szukałem w sobie tej ekscytacji, którą poczułem, widząc po raz pierwszy wysepkę - Szukałem w sobie czegokolwiek, co pomogłoby mi pozbyć się tej strasznej rozpacz. Ekscytacja przeszła jednak w ponury, ciężki smutek, a ja byłem ekspertem od przeżywania smutku. Tyle że teraz przybyły mi nowe źródła natchnienia.

Musiałem zamknąć oczy. Bo nagle zdałem sobie sprawę, że Goblin jest pod prysznicem razem ze mną. A gdy rozchyliłem powieki, zobaczyłem go tuż przed sobą. Był ciałem, tak nieprzenikalnym, że woda po nim spływała, po włosach, twarzy i ramionach. Opatrywał się we mnie

wielkimi, prawdziwymi oczami.

- Odejdź, Goblin - powiedziałem mu jak zawsze, gdy mi przeszkadzał, pakując się razem ze mną do wanny czy pod prysznic.

Nie cofnął się nawet o pół kroku i gdy patrzyłem mu w oczy, uświadomiłem sobie, że stoi uparcie w miejscu, a woda przydaje mu niezwykłej mocy. Uświadomiłem sobie również, że nigdy wcześniej nie widziałem, aby woda opływała go w ten sposób. Dawniej przelatowała przez niego. Nabrał ciała w całym tego słowa znaczeniu; nabrał wcześniej nieobecnej mocy.

Nagle zacząłem się go bać. Tak jak wtedy w kościele, na mszy za duszę Lynelle, gdy ukląkł przy mnie podczas komunii.

Miał wzwód członka. Ja też.

Nie odrywając ode mnie oczu, sięgnął po mydło leżące na porcelanowej półeczce i namydlil sobie obficie ręce.

Jak to jest możliwe? - myślałem. Ale robił to, obracał w dłoniach mydło, a gdy je odłożył, ujął lewą dłonią moją moszną, a prawą mój członek.

- Nie, nie rób tego, przestań, co ty wyprawiasz? - protestowałem.

Sprawy już zaszły za daleko, jego dłoń wpadła w rytm, mój członek był coraz twardszy, a wola - coraz słabsza.

Gdy miałem orgazm, objął mnie mocno za szyję i tak trwał, a ja czułem na sobie jego genitalia i też objąłem go za szyję, przez chwilę nie mogąc samodzielnie ustać.

Kiedy wytrysk się skończył, oparłem się o ciepłe płytki, nadal

smakując rozkosz, wycieńczony nią, woda smagała mnie łagodnymi strumieniami. Popatrzyłem na niego pytająco. Jego wizerunek - jeśli faktycznie to był wizerunek, a nie tylko moje Wyobrażenie - był niesłychanie żywy.

Zamknąłem oczy. Przepelniały mnie miłość i nienawiść, Przede wszystkim zaś wstyd. Pomyślałem, że cały świat uznałby, iż zrobiłem to sam i tylko wymyśliłem Goblina; ale to on to zrobił i wiedziałem, że może to zrobić powtórnie, kiedy tylko ja tego zechcę. Albo kiedykolwiek on tego zechce. Kiedykolwiek. Tak kiedykolwiek, zawsze. Ja i Goblin na zawsze.

Kiedy otworzyłem oczy, nadal był niesamowicie blisko mnie Oczy mu lśniły, usta się uśmiechały. Czy jestem tak przystojny? - pomyślałem. Inny blask przepelniał moje oczy.

- Wynocha, już! - szepnąłem z furią.

Przyłożył mi usta do ucha. Usłyszałem jego głos w mojej głowie, cienką wstążeczkę słów w huku wodnych strumieni: „Dziadek to robi. Clem, Felix, służba to robi. Kochaj mnie. Nie kochaj Rebeki. Nie kochaj Rebeki”.

Znów poczułem jego rękę na ramieniu, a gdy się cofnął, pocałowałem go, otwierając usta, pożądliwiej, z oddaniem większym niż wobec jakiegokolwiek żywej istoty, i zadrzałem.

Odepchnąłem go z całą siłą i za moją siłą fizyczną poszła siła woli.

Rozpłynął się. Ku mojej zgrozie słaby opar uniósł się z miejsca, w którym stał, jakby szczelina otworzyła się w podłodze, aby wypuścić ów opar.

Zniknął.

Usłyszałem mocne walenie do drzwi. Głos Baby Ramony.

- Tarquinie Blackwood, wylaż stamtąd!

Ona wie, pomyślałem, cały świat wie. Rozzłoszczony wytarłem się do sucha i otworzyłem drzwi, bo nie przestawała się dobijać.

- Wielkie nieba - zawołałem. - Znowu pożar w domu?

Miała łzy na policzkach.

- Dziadek - powiedziała. - Pożarł się z Patsy, tam, przy bramie. Ta przeklęta Patsy. Chodź, synu! Chodź, teraz ty jesteś panem tego domu i jesteś tam potrzebny!

Posiadłość Blackwood ma dwie bramy - frontową, od której ciągnie się szpaler hikory, biegnący do frontowej werandy, i drugą, większą, po wschodniej stronie, dla dostawców i maszyn rolniczych. To tam, za tą drugą bramą, dziadek zasadził dwa spore dęby na cześć babuni.

Zapewne pojechał tam po południu, ze skrzynką różnobarwnych niecierpków, zamierzając posadzić je wokół dębów. Od czasu do czasu wspominał, że to zrobi. A fornale później mówili, że chyba błędził daleko myślami i wydawał się dziwnie nie przejęty tym, co się działo na Wyspie Słodkiego Czarta, jedną stroną twarzy miał jak zeszywniałą. Zamierzali później zajrzeć do niego, sprawdzić, jak się czuje.

Patsy pojechała do niego swoim nowym vanem. Przeklinała przy fornalach, że znów musi go prosić o pieniądze, że ją to wkurza, że to nie fair i tak dalej. Seymour nie zabrał się z nią, bo miał dość wysłuchiwania tych scen. Pił piwo z fornalami.

I to Patsy przyjechała z wrzaskiem, po tym jak zadzwoniła z auta po pomoc. Fornale ruszyli z nią i zastali dziadka tuż koło kwietnika, martwego. Ręce miał powalane ziemią.

Baba Ramona, Jasmine, ciotka i ja dotarliśmy tam mniej więcej równocześnie z pogotowiem. Nie zdołano go odratować. Wszyscy wsiedliśmy do naszych pojazdów, ciotka z dziadkiem w karetce, i pojechaliliśmy do szpitala w Ruby River City.

Już nic nie dało się dla niego zrobić. Wiedzieliśmy o tym, ledwo

zobaczyliśmy go pod dębami. Ciotka zachłystywała się płaczem, ale nakazała sekcję. Powiedziała, że musi znać przyczynę śmierci. Następnie zajęliśmy się przygotowaniem do pogrzebu.

Ciotka kompletnie się do tego nie nadawała. Tak więc rozdygotany i ledwo zdolny sklecić słowo pojechałem z Jasmine do domu pogrzebowego McNeila, zamówiliśmy transport zwłok, nocne czuwanie, dalszy transport do Nowego Orleanu, mszę żałobną w kościele pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny i pochówek na cmentarzu Metairie.

Mili ludzie w domu pogrzebowym powiedzieli, że reszta może poczekać - sekcja zajmie dwa dni - ale pomyślałem, czemu nie załatwić tego od razu. Tak więc wybrałem piękną trumnę z ciemnego twardego drewna, która na pewno zdobyłaby uznanie dziadka, jako że znał się na stolarce, wybrałem cytat z Księgi Psalmów i ustaliłem, że chór ma odśpiewać ulubione hymny dziadka, katolickie i protestanckie.

W domu zastałem ciotkę załamaną i niezdolną do niczego. Tylko płakała, ale trudno było się dziwić. Powtarzała w kółko, że kobieta nie powinna grzebać swojego bratanka, że to nie w porządku, strasznie nie w porządku. Zadzwoniliśmy po jej ulubioną pielęgniarkę, Cindy, która powiedziała, że zaraz przyjeżdża. Ciotka nie potrzebowała opieki, ale Cindy często mierzyła jej ciśnienie i brała krew do zbadania przed podróżami, tak więc uznaliśmy, że najlepiej będzie, gdy ktoś taki jak ona zajmie się teraz ciotką.

Ja sam byłem w stanie lodowatej paniki, takiej samej paniki, jaka

opanowała mnie po śmierci Lynelle, chociaż teraz jeszcze nie osiągnęła swojego najgorszego stadium. Nadal byłem w stanie uniesienia wywołanym tajemnicą śmierci i, ignorancki smarkacz, byłem cały przejęty faktem, że teraz jestem głową domu.

Poszedłem do pokoju dziadka i wybrałem jego najlepszy niedzielny garnitur, dobrą koszulę, pasek i krawat i dałem wszystko Clemowi, żeby to zawiózł do Ruby River City. Wybrałem też bieliznę, bo nie wiedziałem, czy będzie potrzebna. Miałem dziwne przeczucie, że dziadek chciałby mieć na sobie bieliznę.

Po wyjściu Clema, gdy stałem samotny w pokoju dziadka, pojawił się Goblin i natychmiast mocno objął mnie ramionami. Wydawał się tak samo realny jak ja. I pocałowałem go w policzek, i widziałem jego łzy. Poczulem przyływ najtkliwszej miłości. To była wyjątkowa chwila, chwila oszołomienia i skruchy. W mrocznych zakątkach podświadomości wiedziałem, że ta chwila jest niebezpieczna. Ale to moje serce decydowało, dokąd zmierzam.

- Goblinie, kochałem dziadka - powiedziałem. - Rozumiesz, ty wszystko rozumiesz.

„Patsy. Zła”, odpowiedział telepatycznie.

Czułem jego pocałunki na policzku i na szyi. Przez ułamek sekundy czułem jego dłoń na moim członku. Delikatnie odsunąłem jego rękę. Ale szkoda została wyrządzona. Musiałem być surowy wobec siebie samego.

Powiedziałem mu głośno:

- Nie, to nie wina Patsy. Ona była tylko sobą, to wszystko. Teraz idź,

zostaw mnie samego, Goblinie. Muszę zejść na dół. Muszę doglądać paru spraw.

Uściskał mnie na pożegnanie, zdumiewająco mocno, i zniknął, jak go o to prosiłem. Kryształki żyrandola poruszyły się, jakby wychodząc z pokoju, zabrał ze sobą coś jeszcze.

Stałem wpatrzony w żyrandol. Jeszcze do mnie nie dotarło, że nikt żywy nie zamieszkuje tej sypialni. Ale zaczęło docierać. Fala rozpaczy wzbierała. Goblin był wizerunkiem mojej zrozpaczonej duszy. Och, jakże pomyliłem się wobec niego, ale ktoś potrafiłby go sprawiedliwie osądzić?

Kiedy zszedłem do kuchni, zastałem Patsy przy stole. Patrzyła na mnie. Baba Ramona siedziała na wysokim stołku, przy piecu, nie spuszczać z niej oczu. Lolly też tam była, wyszykowana na randkę od stóp do głów, jej skóra barwy miedzi i jasne falujące włosy wyglądały olśniewająco. Ubrana w fartuch Jasmine ulokowała się w głębi przy tylnych drzwiach.

Słyszałem ciotkę szlochającą w sypialni, Cindy już była na miejscu i słyszałem również jej głos, gdy starała się ciotkę pocieszyć.

Oczy Patsy były szkliste, nieprzystępne: żuła gumę, zaciskając twarde szczęki. Wsunęła papierosa do ust i zapaliła go. Włosy miała zrobione jak na występ, utapirowane i polakierowane, usta grubo pomalowane różową szminką.

- Więc każdemu pilno się dowiedzieć, o czym gadaliśmy -

powiedziała. W głosie miała lekkie drżenie, którego nigdy wcześniej u niej nie zauważyłem, ale nie jestem pewien, czy inni je słyszą]"

- Seymour mówi, że chciałaś forsy - rzuciła Jasmine.

- No, chciałam forsy - potwierdziła Patsy twardym tonem - i nie jest tak, żeby jej nie miał. Miał. Zaczekajcie do otwarcia testamentu. Był ładowany i na co mu była forsa? Ale to nie dlatego mnie skłął i zwyzywał, a potem złapał się za pierś, zwymiotował i zmarł.

- Więc dlaczego? - spytała Jasmine.

- Powiedziałam mu, że jestem chora - odparła Patsy. - Po -

wiedziałam mu, że zrobiłam testy na HIV, i wyszły dodatnie.

Cisza. Po chwili Baba Ramona popatrzyła na mnie.

- O czym ona mówi? - spytała.

- O AIDS, Ramono - wyjaśniłem. - Ma pozytywny wynik badania na

HIV. To znaczy, że jest zarażona wirusem wywołującym AIDS. AIDS może ją wykończyć.

- To ja jestem chora - powiedziała Patsy - ale to jego wzięło i umarł,

bo się na mnie wściekł, wściekł się, że się zaraziłam. Jak chcecie znać moje

zdanie, to umarł ze smutku. Smutku za babunią. - Przerwała i spojrzała

kolejno na każdego z nas. - Smutek, oto, co go zabiło - ciągnęła. Wzruszyła

ramionami. - Ja go nie zabiłam. Powinniście zobaczyć, co tam narozrabiał.

Rozorał całą jedną rabatkę pikapem i zabrał się do sadzenia następnej,

jakby nie wiedział, co wcześniej zrobił. Powiedziałam: „Patrz, coś ty

narobił, zasmarkany, zwariowany staruchu”. Zaczął od początku.

„Sprzedałaś jej ślubną suknię!”, jakby nie mówił tego już tysiąc razy,

zasmarkany, zwariowany stary dureń, i powiedział, że nie da mi

złamanego centa, i wtedy mu powiedziałam. Powiedziałam mu, że mam do

zapłacenia rachunki za badania.

Byłem zbyt oszołomiony, aby myśleć, ale usłyszałem swój głos:

- Jak się zaraziłaś?

- A skąd niby mam wiedzieć? - odpowiedziała, patrząc na mnie tymi oczami jak pierwszy lód na kałużach. - Od jakiegoś drania, pewnie narkomana, nie wiem, czasem wydaje mi się, że wiem, a potem nie - To nie Seymour, nie zwalajcie winy na niego. I nie mówcie mu o tym. Niech nikt z was nie piśnie o tym słówka nikomu. Nie mówcie ciotce. Seymour i ja mamy dziś granie. Problem w tym, że nie mogę zapłacić reszcie kapeli. Muszę mieć forszę.

Reszta kapeli to byli gitarzyści, którzy z nią grali.

- Oczekujesz, że ktoś z nas pójdzie do cioci Queen i wyciągnie od niej pieniądze? - spytała Baba Ramona. - Skreśl to swoje cholerne granie. Niech ci się nie śni, że będziesz skakać na estradzie przed ludźmi, kiedy trup twojego ojca leży w kostnicy w Ruby River City. Patsy pokręciła głową. - Jestem doszczętnie splukana - powiedziała. - Quinn, idź i znajdź mi jakieś pieniądze.

Pamiętam, że przełknąłem ślinę, ale nie pamiętam, jak długo trwało, zanim zdołałem jej odpowiedzieć. Potem przypomniałem sobie, że mam przy sobie portfel dziadka. Oddali mi go w szpitalu, razem z kluczami i chusteczką do nosa. Wyjąłem go i zajrzałem do środka. Był tam plik banknotów, dwudziestki, ale też dobrych parę setek. Zawsze miał przy sobie jakąś gotówkę. Przeliczyłem wszystko - było tego tysiąc dolarów - i dałem jej.

- To prawda, że masz AIDS? - spytała Jasmine.

- No i widzę, że zalewacie się łzami - powiedziała Patsy. - Szlag go trafił, kiedy się dowiedział. Jedna wielka kochająca rodzinka.

- Ktoś oprócz was wie? - spytała Jasmine.

- Nie - odparła Patsy. - Przecież wam powiedziałam, żebyście nikomu nie mówili, nie? A czemu mnie pytasz, trzęsiecie się o wasz cenny hotelik?

Możeście nie zauważyli, ale nie został nikt, kto by mógł go prowadzić.

Chyba że sami się do tego weźmiecie. - Ogarnęła nas po kolei zjadliwym spojrzeniem. - Coś mi się zdaje, że lordzik Tarquin ma teraz szansę stać się najmłodszym hotelarzem w historii Południa, nie?

- Bardzo ci współczuję, Patsy - powiedziałem. - Ale jak się ma AIDS, to teraz niekoniecznie jest się skazanym na śmierć. Są leki. Różne leki.

- Och, daruj sobie, lordziku Tarquin! - rzuciła pod moim adresem.

- Tak teraz zamierzasz się do mnie zwracać? Nie podoba mi się to - odpaliłem jej ostro. - Chodziło mi o medycynę, postęp, nadzieję. W Mayfair Medical jest specjalny oddział badawczy, to tylko chcę powiedzieć.

- Och, taaa, badania, z twoją wybitną edukacją wszystko wydaje się piękne - łatwe - zawarczała. - Mały geniuszek Lynelle. A nie widziałeś ostatnio jej ducha, no, jak tam?

- Patsy, dziś wieczór nie masz żadnego grania - wtrąciła Baba Ramona.

- Czy przyzwicie cię traktują? - spytała Jasmine. - Powiedz nam choć tyle.

- Och, taaa, taaa, przyzwoite traktowanie to mój konik - powiedziała

Patsy. - Jestem piosenkarką, pamiętajcie o tym. Chyba nie myślicie, że nigdy się nie szprycowałam? Pewnie tak się zaraziłam, starą igłą.

Wystarczy raz i już. A do tego nigdy się nie szprycowałam na trzeźwo i tak panna Patsy Blackwood powiedziała pa temu światu, schlała się i użyła czyjejs igły, ale jak do tej pory niczego po niej nie widać. - Wrzuciła pieniądze do torby, którą nosiła na ramieniu, i wstała.

- Dokąd się wybierasz, dziewczyno?! - krzyknęła Baba Ramona, blokując drzwi. - Nie będzie żadnego grania, kiedy twój ojciec nie żyje.

- A właśnie, że będzie! Mam występ w Tennessee, więc muszę ruszać w drogę. Seymour czeka.

- Nie możesz stąd wyjść! - teraz ja krzyknęłam. - Nie możesz nie przyjść na pogrzeb!

- No to jeszcze zobaczysz, że mogę - parsknęła szyderczo. Siatkowe drzwi strzeliły za nią. Wybiegłem na dwór.

- Patsy, będziesz tego żałować całe życie - mówiłem. Biegła obok niej, gdy szła do vana. - Patsy, ty nie myślisz. To jeszcze do ciebie nie dotarło.

Musisz się z tym oswoić. Wszyscy będą się spodziewać, że przyjdiesz.

Patsy, słuchaj mnie.

- Jakbym miała jeszcze żyć nie wiadomo ile, Quinn! Moje życie? Ten staruch. Powiedziałam mu, że mam AIDS, a on się wściekł! Powinieneś usłyszeć, jak przeklinał mnie i ludzi, z którymi się zadaję; chcesz wiedzieć, jakie były jego ostatnie słowa? Niech będzie przeklęty dzień, w którym się urodziłaś”, a potem padł na kolana, dusząc się i rzygając. Nie poszłabym na jego pogrzeb, nawet gdyby to miało go wskrzesić z grobu. Jak spotkasz

jego ducha, powiedz mu, że go nienawidzę. Teraz zjeżdżaj.

Odjechali z Seymourem z piskiem kół, a ja stałem jak słup soli, znów ogarnięty paniką i przebiegła mi przez głowę zimna myśl, że nie obchodzi mnie to, czy Patsy zjawi się na pogrzebie. To w żaden sposób nie mogło zmniejszyć mojego bólu. I prawdopodobnie nikogo to nie obchodziło, chociaż cała gmina to komentowała.

Mnie mogła pomóc tylko obecność Jasmine, Baby Ramony albo ciotki.

Wróciłem do środka. Czulem zapach naleśników, które Baba Ramona dla mnie smażyła, i głód wydał mi się zachętą do życia, bo zaspokajając go, mogłem odwlec chwilę, w której powiem ciotce, że Patsy nie zjawi się na pogrzebie. Prawdę mówiąc, chyba nigdy jej o tym nie powiedziałem.

Sekcja zajęła tylko jeden dzień. Dziadek zmarł na rozległy zawał serca.

Pogrzeb był wielkim wydarzeniem. Zaczął się od długiego czuwania w Ruby River City, na które przybyli najrozmaitsi ludzie, w tym sklepikarze, hydraulicy, stolarze, drwale - w sumie mnóstwo, mnóstwo ludzi, pracujących we wszystkich zawodach, z którymi dziadek się zetknął i którzy byli do niego przywiązani.

Byłem oszołomiony, widząc, jak wielu chłopców i młodych mężczyzn stawiało się pożegnać dziadka i mówiło, że był dla nich jak ojciec lub stryjek. Wszyscy darzyli go wielkim szacunkiem; okazało się, że był o wiele szerzej znany, niż to sobie wyobrażałem.

Był tam Paskudny Henderson i cały jego klan i Brudni Hodgesowie, wypucowani, aż się świecili, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej, bo mieli tylko jedną wannę, która służyła im do trzymania zatłuszczonych części silników samochodowych. Szeryf Jeanfreau płakał.

Nieobecność Patsy okazała się totalnym skandalem. A wymówka, że miała występ w Tennessee, nie zrobiła na nikim żadnego wrażenia. Ludzie oczekiwali nie tylko, że będzie na pogrzebie oczekiwali, że zaśpiewa.

Wynajęliśmy starszą panią, która uwielbiała dziadka całym sercem za wyświadczone jej przez lata przysługi, i to ona pięknie zaśpiewała.

Następnego dnia, gdy ruszył kondukt do kościoła w Nowym Orleanie, w którym babunia i dziadek brali ślub, ludzie na ulicach Ruby River City zatrzymywali się na znak szacunku. Jakiś stary robotnik w słomkowym kapeluszu mocował coś na ścianie domu, stojąc na drabinie. Przerwał pracę, zdjął kapelusz i trzymał go przy piersiach, aż przeszliśmy. Ten gest na zawsze pozostanie w mojej pamięci.

Na mszę znów stawił się tłum, wielu ludzi z sąsiedztwa, którzy czuwali przy zwłokach, setki osób ze strony babuni, znajomi z Mardi Gras. Samochodów w kondukcie było tak dużo, że nie udało mi się ich policzyć, gdy jechały na cmentarz. Trumnę dziadka złożono do rodzinnego grobu.

Słońce nas paliło, mimo że stało tam kilka dębów rzucających cień, ale na szczęście ksiądz Kevin Mayfair był oszczędny w słowach, a wszystko, co powiedział, zarówno w kościele, jak i na cmentarzu, podnosiło na duchu. Myślę, że słuchając go, znów uwierzyłem w życie wieczne, i poczułem, że ulegając panice, grzeszę przeciwko Bogu,

zachowuję się jak ateista.

Optymizm jest cnotą, a rozpacz, moja groza - grzechem. Co się tyczy duchów, które często widywałem, to może były darem od Boga. Może jeszcze miały mi w czymś pomóc. Co się tyczy tajemniczego nieznajomego, to pomyślałem, że zostanie zatrzymany, a może usunie się z Wyspy Słodkiego Czarta w jakieś odległe miejsce.

Wiem, jak melodramatycznie brzmią opisy tamtej paniki, ale nie rozumiałem jej w pełni i wciąż nie rozumiem.

Oczywiście, Goblin przybył na pogrzeb dziadka - tak Ja babuni - klęczał przy mnie w kościele i stał tuż obok, gdy było miejsce, ale gdy dotarliśmy przed grobowiec, zdałem sobie z czegoś sprawę. Jego twarz zaczęła wyrażać coraz bardziej złożone uczucia. Dawniej zdarzało mu się robić miny, ale najczęściej patrzył bez wyrazu, z lekkim zdziwieniem.

Teraz zaczęło się to zmieniać. Na pogrzebie zachowywał się tak, jakby czuł i reagował samodzielnie, przyglądał się innym, przebiegał wzrokiem tłum, a szczególnie często zatrzymywał go na księdzu Kevinie Mayfairze. Na twarzy miał mieszankę zakłopotania, zdumienia i ciekawości. Obserwując go, gdy wodził wzrokiem po otoczeniu i oceniał grobowiec, czułem hipnotyczną fascynację. A gdy spojrzał na mnie, zauważywszy, że się mu przyglądam, uśmiechnął się ze smutkiem, zdradzając bogactwo przemyśleń. Tak - zdradzając bogactwo przemyśleń. A kiedy to Goblin wcześniej wykraczał ponad poziom klauna? Tam, na cmentarzu Metairie, wcale nie wydawał się klaunem, widać było, że ma własną osobowość i własne emocje.

Nie zastanawiałem się nad tym dłużej.

Zanim zostawimy za sobą pogrzeb, pozwól, że zatrzymam się na chwilę przy księdzu Kevinie. Był fantastyczny. Był dla nas źródłem inspiracji. Jak już zauważyłem, wydawał się nieco za młody na księdza, a tamtego dnia jego młody wiek wręcz rzucał się w oczy.

Po raz pierwszy zauważyłem, że jest niezwykle przystojny.

Doceniłem jego rude włosy, zielone oczy, piękną budowę ciała. Miał jakieś sześć stóp wzrostu. Przemawiał z niesłychanym przekonaniem.

Niewątpliwie wierzył, że dziadek poszedł do nieba. A taka siła wyrazu u młodego księdza - no cóż, to źródło inspiracji. Czulem, że ciągnie mnie do niego, czulem, że mógłbym się przed nim wypowiadać i wyznać mu swoje błędy i grzechy.

Po pogrzebie wróciliśmy do Blackwood na wielką stypę, na którą przybyło mnóstwo sąsiadów z okolicy. Stoły uginały się od gorących dań dostarczonych przez ludzi i bajecznych potraw Przygotowanych przez Babę Ramonę i Jasmine. Nieliczni goście, którzy zatrzymali się w hotelu, zostali zaproszeni na przyjęcie.

Daj synowie Baby Ramony, którzy poszli w świat, jak zawsze się u nas mówiło - George, dentysta w Shreveport, i Yancy, adwokat w Nowym Orleanie - zjawili się ze swoimi żonami i pomogli nam roznosić talerze. Do tego doszło kilku ich murzyńskich kuzynów.

Ochroniarze byli wszędzie, dyskretnie lustrując całe towarzystwo i co chwilę konsultując się ze mną co do „tajemniczego nieznajomego” - ale nie zauważyłem nikogo, kto by mi go przypominał.

Podczas tej długiej ciężkiej próby ciotka przeżyła załamanie i szlochając, powtarzała, że nikt nie powinien chować do grobu swojego bratanka i że nie wie, po co żyje tak długo. Nigdy jej nie widziałem w takim stanie. Wyglądała jak zdeptana lilia.

W pewnej chwili miałem wrażenie, że wszyscy mówią o nieobecnej Patsy, ale pewnie tylko tak mi się zdawało. Po prostu za wiele razy musiałem powtarzać, że chociaż Patsy bardzo się starała, to nie zdążyła na czas, i za każdym powtórzeniem czułem, iż nie lubię jej coraz bardziej.

W końcu długi dzień pogrzebu dobiegł końca.

Goście hotelowi zwolnili pokoje, twierdząc, że zmiana planów to dla nich żaden kłopot, że i tak zamierzali jechać nad Zatokę Missisipi, pograć w kasynach.

We dworze zapanował spokój. Uzbrojeni ochroniarze zajęli stanowiska, ale dom i jego otoczenie jakby ich połknęły.

Nastał zmierzch, cykady hałasowały na dębach i gwiazda wieczorna uniosła się nad horyzontem.

Ciotka leżała w łóżku i płakała. Cindy siedziała obok niej, trzymając ją za rękę. Jasmine leżała za nią i masowała jej kark. Baba Ramona pakowała jedzenie do kuchennej lodówki.

Poszedłem na górę. Siadłem w fotelu przy kominku i zapadłem w drzemkę. Panika nigdy nie była od niej silniejsza. Chociaż ostatnie dni były naprawdę ciężkie, mojemu zmęczeniu towarzyszyło wrażenie rozkoszy, a samotność napawała mnie uniesieniem.

Zaraz gdy tylko zasnąłem, pojawiła się Rebeka i szepnęła mu do

ucha: „Wiem, jak bardzo cierpisz”. Ten obraz się rozplynął i ujrzałem, jak jakaś mroczna postać wlecze ją ku łańcuchom, jej sznurowane buciki podskakują na nagiej podłodze, i usłyszałem jej przeraźliwy krzyk.

Obudziłem się ze wzdrygnięciem.

Klawiatura komputera zaczęła stukać.

Spojrzałem na biurko. Lampka była zapalona! Widziałem mojego sobowtóra, który tam siedział - widziałem jego plecy, głowę, barki i ramiona, gdy pochylał się nad klawiaturą, nadal słyszałem stukot klawiszy.

Zanim zdążyłem wstać, stukot się urwał, a on się odwrócił, ale nie jak człowiek, i spojrzał na mnie przez ramię. Na jego twarzy nie było uśmiechu ani smutku, tylko wyraz zaskoczenia.

Gdy powstałem, on zniknął.

Wiadomość na ekranie była długa:

„Rozumiem wszystkie słowa, które piszesz. Dziadek nie żyje jak

Lynelle i babunia. Nie żyje, odszedł, nie w ciebie. Smutek. Duch odszedł.

Ciało odeszło. Ciało obmyte. Ciało pomalowane. Ciało puste. Duch jest

życiem. Tym życiem. Życie odeszło. Czemu życie odchodzi z ciała? Ludzie

mówią nie wiem. Ja nie wiem. Quinn smutny. Quinn płacze. Ciocia Queen

płacze.

Ja

jestem

smutny.

Ale

niebezpieczeństwo

nadchodzi.

Niebezpieczeństwo na wyspie. Widzę niebezpieczeństwo. Nie zapominaj.

Rebeka zła. Niebezpieczeństwo dla Quinna. Quinn zostawi Goblina”.

Natychmiast wystukałem odpowiedź. „Postuchaj - pisałem i

powtarzałem to głośno. - Nigdy cię nie zostawię. Jedyne śmierć może nas

rozłączyć i wtedy, tak, mój duch opuści ciało i odejdzie, nie wiem gdzie.

Teraz znów zadaj sobie pytania: Gdzie odszedł duch Lynelle? Gdzie odszedł

duch babuni? Gdzie odszedł duch dziadka?”

Czekałem bezskutecznie na odpowiedź.

Klawisze zaczęły się poruszać. Napisał: „Skąd przyszły te duchy?”

Poczułem uderzenie krwi w całym ciele i zdałem sobie sprawę, że

muszę być ostrożny. Napisałem: „Ciała przychodzą na świat. Pamiętasz,

kiedy byłem noworodkiem? Dzidziusiem? Ciała przychodzą na świat z

duchem w środku, a kiedy ciała umierają, duch odchodzi”.

Cisza.

Klawisze znów się poruszyły: „Skąd się wziąłem?”

Poczułem tępy strach, nawrót paniki, ale towarzyszyło jej coś

jeszcze. Napisałem: „Nie wiesz, skąd się wziąłeś? Nie wiesz, kim byłeś,

zanim stałeś się moim Goblinem?”

„Nie”.

„Musisz coś pamiętać - napisałem. - Musiałeś gdzieś być”,

„Byłeś gdzieś? - zapytał. - Zanim byłeś Quinnem?”

„Nie. Zacząłem być dopiero od urodzenia - napisałem. - Ale ty jesteś

duchem. Gdzie byłeś? Byłeś z kimś innym? Czemu przyszedłeś do mnie?”

Nastąpiła długa pauza, bardzo długa, tak długa, że już wstawałem od biurka i byłem gotów odejść, ale klawisze znów się rozstukały: „Kocham Quinna - głosił napis. - Quinn i Goblin są razem”.

- Tak - powiedziałem głośno. - Jesteśmy jednością, razem.

Komputer się wyłączył. Lampka zamigotała, zgasła i zapadła ciemność.

Serce biło mi mocno. Co się działo z Goblinem? Jak mogłem opowiedzieć o nim komukolwiek w zaufaniu, gdy dziadek nie żył i nad całą posiadłością Blackwood zawisł znak zapytania? Komu mogłem zdradzić, że mój duch nabiera sił?

Siedziałem przez jakiś czas, a potem włączyłem komputer i zadałem pytanie: „Niebezpieczeństwo, to niebezpieczeństwo, o którym mówisz, grozi ze strony tego nieznajomego, który zjawił się u mnie?”

Żadnej odpowiedzi.

„Kiedy nieznajomy się pojawił, co zobaczyłeś? Jak on wyglądał? Na pewno pamiętasz, że widziałem tylko niewyraźny kształt. Goblin, posłuchaj. Powiedz mi”.

Powiew przeszedł przez salon, coś chłodnego dotknęło mojego policzka, ale nie dostałem żadnej odpowiedzi. Nie miał na to siły. Zrobił dość jak na jeden dzień. Albo nie chciał odpowiedzieć. Tak, czy siak, zapanowała cisza.

Nie byłem już śpiący, czułem tylko zmęczenie. Głębokie, słodkie wyczerpanie pochłonęło smutek i panikę. Chciałem zwinąć się w fotelu

przy kominku i zasnąć z poczuciem bezpieczeństwa, ze świadomością, że posiadłości strzeże uzbrojona ochrona i tajemniczy nieznajomy nie może mnie skrzywdzić. Ale nie mogłem zasnąć.

Nie. Teraz mały lord Tarquin był panem na Blackwood.

Zszedłem na dół, zajrzeć do ciotki. Ksiądz Kevin był w jej pokoju, siedział przy łóżku i rozmawiał z nią łagodnym głosem. Miał na sobie prostą, nieskazitelnie czystą sutannę i koloratkę.

Przyglądając się mu od drzwi, po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że mężczyźni są równie pociągający jak kobiety. Są piękni. Rebeka w łożu z koronkową pościelą, Goblin pod tryskającym prysznicem, w zaparowanej kabinie. Ksiądz Kevin o ciemnych rudych włosach, zielonych oczach i bez jednego piega na bladej twarzy. Mężczyźni i kobiety.

Wycofałem się i poszedłem do baraku, w którym mieszkali Jasmine, Ramona, Clem i Lolly. Jasmine siedziała w pomalowanym na zielono bujanym fotelu i tylko kołysała się, i paliła papierosa.

Byłem jak we śnie. Staralem się nie widzieć piersi Jasmine w ciasnej bluzce. Staralem się nie patrzeć na szew jej spodni, biegnący w dół od rozporka. Kiedy się ode mnie odwróciła, wypuszczając dym, światło rozjaśniło jej szyję i gors. Piękna kobieta. Trzydziestopięcioletnia. Co mogłem zrobić? Może nabujać, że nie jestem pewien swojej męskości?

Och, to był cudowny pomysł. Rozkosznie pocieszający. A gdzie moglibyśmy pójść? Tu, do baraku, na górę i do łóżka Patsy? Przez chwilę rozważałem tę wizję. Nie można zarazić się AIDS od łóżka. Co jeśli...

Wtedy... nagle... spojrzałem w kierunku domu, ciemnego domu, i ogarnęła

mnie panika. Zapomnieli włączyć światła o czwartej po południu.

- Co teraz będzie? - spytałem.

*- Chodź, usiądź ze mną, zagubiony chłopczyku - powiedziała. - Sama
zadawałam sobie to pytanie.*

Przez następny tydzień trzymano mnie pod kluczem i nie wypuszczano nigdzie bez uzbrojonej eskorty.

Nie wiedziałem, co mnie czeka, dopiero rano po pogrzebie dziadka, gdy wyszedłem z pokoju, zastałem za drzwiami uzbrojonego ochroniarza, który miał chodzić za mną krok w krok. Nie przeszkadzało mi to bardzo, gdyż wiedziałem, że tajemniczy nieznajomy nie jest żadnym wymysłem i nie chciałem przeżywać wstrząsu na jego widok. Ale narobiłem

zamieszania,

ostrzegając

wszystkich

przed

niebezpieczeństwami

grożącymi na wyspie!

Śledztwo szybko posuwało się naprzód i wiedziałem, czemu

poświęcam mu tyle uwagi. Dzięki temu mogłem nie myśleć o okropności,

która mnie spotkała. Przecież w dziadku traciłem człowieka, który tak

naprawdę był mi ojcem. Innego nie miałem. Czekano nas ogłoszenie

testamentu i zamartwiałem się wizją, że dziadek wydziedziczył Patsy.

Postanowiłem, że jeśli coś dostanę, to dam Patsy połowę albo

przynajmniej część.

Tymczasem ona nadal włóczyła się po Południu, grając w knajpach i

małych klubach, a ciotka rozpaczliwie za nią wydzwaniała, usiłując

ściągnąć ją do domu, abyśmy mogli zająć się ostatnią wolą dziadka.

Teraz pozwól, że wrócę do śledztwa.

Jeśli chodzi o tajemniczy list, to laboratorium w Mayfair Medical nie znalazło na nim odcisków palców i raport stwierdzał, że użyto rzadkiego rodzaju

papieru,

sprzedawanego

w

Europie,

nie

w

Stanach

Zjednoczonych, i chińskiego tuszu; charakter pisma nic świadczył o żadnych odchyleniach od normy autora listu, który mógł być zarówno mężczyzna, jak i kobieta. Ustalono również, że do pisania użyto gęsiego pióra, naciskając je z nietypową siłą, co z kolei oznaczałoby, że piszący jest człowiekiem niezwykle pewnym siebie. Innymi słowy, list pozostał zagadką. Za naszym radosnym pozwoleniem przekazano go prawdziwemu grafologowi.

Co się tyczy reszty znalezisk, to mieliśmy więcej szczęścia.

Mayfair Medical niebawem potwierdziło, że DNA znalezione w osadzie z Samotni odpowiada DNA włosa z kufra Rebeki. Próbki były bardzo stare, ale to nie uniemożliwiło wykonania badań.

Teraz ciotka zyskała pewność, że Rebekę spotkała śmierć z rąk

Manfreda i że moje sny nie były produktem chorego umysłu, jeśli kiedykolwiek miała w tej sprawie wątpliwości.

Oczyściłem kamee znalezione w kufrze Rebeki i okazy zabrane z wyspy. Umieściłem je w gablotce, wraz z karteczką informującą, że są to podarki Manfreda Blackwooda dla kobiety, którą darzył namiętną miłością; wytłumaczyłem, co wiąże Reбекę z motywem na kameach.

Miałem przekonanie, że wystawiając jej rzeczy na widok publiczny, w części wyrównuję wyrządzone jej krzywdy.

Po długiej i intensywnej dyskusji z udziałem ciotki, Jasmine i moim (ciotka była przykuta do łóżka od pogrzebu dziadka) zgodziliśmy się, że

oprowadzając gości, będziemy ich informować, że nasz patriarcha,

Manfred, zapewne zamordował młodą kobietę, z którą łączył go uczuciowy związek i że dopiero niedawno jej szczątki zostały odkryte i pochowane jak należy.

Co się tyczy pochówku, to zamierzałem się nim zająć, gdy tylko

będzie to możliwe. Zamówiono mały marmurowy nagrobek z wyrytym napisem „Rebeka Stanford” i niebawem został on dostarczony. Umieściłem go na cmentarzu, by czekał, aż będę mógł pod nim złożyć szczątki zmarłej.

Tymczasem okazało się, że FBI nie potrafi ustalić tożsamości

szczątków znalezionych na wyspie, nie są to fragmenty ciała żadnej z osób zaginionych. Niemniej jednak agencja zachowała się z wzorową

uprzejmością i potwierdziła, że koszmarna maź zawiera resztki kilku osób i że wyspa zapewne była miejscem jakiejś starej, ale potwornej zbrodni.

W końcu, tydzień po pogrzebie dziadka, gdy ciotka nadal leżała w

łóżku, nie biorąc niczego do ust, co doprowadzało mnie i wszystkich domowników do stanu bliskiego hysterii, o świcie wybrałem się na Wyspę Słodkiego Czarta, zabierając ze sobą ośmiu fornali. Popłynęliśmy małymi pirogami, uzbrojeni - ja nosiłem teraz trzydziestkąósemkę dziadka - a dwaj ochroniarze zamykali flotyllę. Clem też był z nami, a Jasmine siedziała u mego boku z własną trzydziestkąósemką, zdecydowana obejrzeć wszystko z pierwszego rzędu. Wyglądała fantastycznie w swoich obcisłych dżinsach. Wieźliśmy ze sobą sporo narzędzi do otwarcia majestatycznego sarkofagu z granitu i złota, a ja miałem małą zdobioną urnę - tak naprawdę puzdro na biżuterię, kupione w sklepie z pamiątkami - do której zamierzałem złożyć to, co pozostało po Rebecce. Czekало nas koszmarne zajęcie: zebranie jej szczątków łopatką, ale innego sposobu nie było. Ludzie się bawili tą wyprawą i Allen, formalnie brygadzista fornali, nazwał nas Pirogową Flotą Pościgową. Ja jednak pod maską uśmiechu czułem absolutne przerażenie, gdy wyruszaliśmy na bagna, objąć w posiadanie Samotnię.

Cóż mi pozostawało, jak tylko ostrzec wszystkich przed tym, co nas czekało? Intruz miał chelność wdrzeć się do naszego domu! Mogłem się tylko domyślać, czy i na ile mi wierzyli.

W końcu po jakichś czterdziestu minutach przedzierania się przez mokradła dopłynęliśmy do jeżynowych chaszczy. Przed nami stał dom niczym statek, który ugrzązł w uścisku szybko rosnącej, żarłocznej glicynii. Wyszedłem na brzeg, otworzyłem puszkę z piwem i nie ruszałem się, podczas gdy inni mogli przekonać się na własne oczy, że wszystko lub

prawie wszystko, co mówiłem, jest prawdą. Allen i Clem, którzy oglądali wyspę po raz pierwszy, stali u mego boku, aż podniecenie trochę opadło.

Wtedy oświadczyłem, że sam pójdę i zbiorę szczątki Rebeki. Nie życzę sobie żeby ktokolwiek inny pchał się na górę.

Natychmiast rozległy się głosy zaniepokojenia, że narażam się na niebezpieczeństwo.

- W porządku. Jasmine, masz broń, idziesz ze mną - powiedziałem, ale ruszyłem pierwszy, unosząc rewolwer.

Mocne słońce świeciło w otwartych oknach piętra. Oślepiło mnie na chwilę, po czym stopniowo przejrzałem na oczy i zobaczyłem przed sobą żywą istotę: to była Rebeka, miała suknię zerwaną z ramion, obnażone piersi, zbielełą twarz i wisiała na haku wbitym pod żebro. Krew bluzgała jej z ust. Mrugała powiekami, ale nie mogła wydusić słowa. Zachłystywała się krwią.

- Dobry Boże, Rebeko! - wykrzyknąłem i rzuciłem się ku niej, usiłując ostrożnie zdjąć ją z haka, tak aby nie sprawić jej większego bólu. Wła się; słyszałem, jak dyszy. To było absolutnie prawdziwe. - Rebeko, jestem przy tobie! - mówiłem, usiłując ją dźwignąć.

Wtedy usłyszałem głos Jasmine, zobaczyłem twarz Jasmine i twarze Allena i Clema. Byliśmy na piętrze. Leżałem na plecach. A słońce znów mrugało spomiędzy cyprysów.

Rebeka zniknęła. Pozostał tylko kołyszący się zardzewiały łańcuch i czarna maź na podłodze. Wstałem.

- Clem, proszę, chodź tu, bracie - poleciała mu Jasmine - i trzymaj tę

skrzynekę, a ja pozbieram, co zostało z tej biedaczki. Podnieś pokrywę.

Wyszedłem przed dom i zrobiło mi się potwornie niedobrze.

Pracownicy rozmawiali, mówili, że otwierając grób, zniszczy się

„fantastyczne” złote płaskorzeźby.

- Do roboty. Muszę się dowiedzieć, co jest w środku - rzuciłem do nich.

Siadłem na stopniach i wypilem kolejne piwo. Uświadomiłem sobie, że ta kobieta może mnie wiecznie nawiedzać. Nie wystarczyło jej to, co zrobiłem z kameami, ani sny, ani przyplnięcie tu do niej, ani zebranie szczątków; co mogłem jeszcze zrobić? Nie wiedziałem. Nie mogłem zebrać myśli. Było mi niedobrze, piłem za dużo piwa, słońce grzało tak, że można było zdechnąć, komary cięły przez ubranie, a robotnicy powtarzali jak papugi: „Granit, lity granit”.

W końcu znaleźli szparę na froncie prostopadłościennej bryły, za złotą płytą, i udało im się wsunąć tam łom. Okazało się, że są tam grube drzwi. Mówili jeden przez drugiego, stękali i narzekali Latarkę, kto ma latarkę, jest latarka, no, tylko popatrz na to. Nie otwieram tego.

- Nie otwieram czego? - spytałem, ocknąwszy się.

- Trumny.

- No, a czego, do diabła, spodziewaliście się w grobie? - spytałem.

Byłem dziko podniecony. Nie przejmowałem się niczym.

- Pilnuj trochę języka, szefuniu - powiedziała Jasmine. Podala mi kolejne piwo. Co to miało znaczyć? Traktowała mnie jak wariata, którego trzeba uśpić?

Przeprasilem. Piwo bylo swietne, zimne. Nie zamierzalem sie skarżyć na swietne zimne piwo.

- Spakowalas mała panna Stanford do jej milutkiej skrzyneczki? - spytałem.

- Odbija ci, szefuniu - skarcila mnie. - Zachowuj sie jak nalezy. Nie uzywaj takich slow wobec Allena i Clema. Zawsze potrafiles zachowac sie jak dzentelmen, zeby ciotka Queen mogla byc z ciebie dumna, wiec teraz nie rob z siebie chama. Nie ulegaj magii tego miejsca.

- O czym ty, do diabla, gadasz? - spytałem.

Spojrzala z namyslem na Samotnie, a potem na mnie. Byla naprawde cudowna kobieta. Miala kakaowa karnacje i wielkie, zielono - zlote oczy.

- Zachowuj sie tak, zeby twoja ciotka Queen mogla byc z ciebie dumna - powiedziala. - O to mi tylko chodzi i tak, mam szczatki twojej upiornej kochanki w urnie. Tylko Bóg wie, co tam jest jeszcze.

- Kochaj sie ze mna, kiedy wrócimy do domu - rzucilem nagle. - Nie nadaje sie do zwyklego zycia. Nie widzisz duchów, które ja widze. Nie widzialas tamtej dziewczyny na haku. Uprawialem miłosc z duchami. One uprawialy miłosc ze mna. Musze miec kogos żywego. Kochaj sie ze mna, kiedy wrócimy do domu, ty i ja, dobrze? Bądź moim czekoladowym cukiereczkiem. Nie jestem pewien mojej męskosci.

- Co ty powiesz?! - odpalila mi. - A moze tylko wpuszczasz mnie w maliny?

Clem stanął za mna.

- Quinn, tam jest pusta trumna. Lepiej sam ją obejrzyj. Ty tu

dyrygujesz, gwiazdorze.

Obejrzałem ją. Była z kutego żelaza, bardzo ozdobna i lekko

zardzewiała. Miała okienko, przez które oglądało się nieboszczyka - nigdy

nie widziałem czegoś takiego, ale wydało mi się, że temu to służy. Pięciu

robotników pracujących dwoma łomami musiało się przyłożyć, aby unieść

wieko. Trumna była czymś wyłożona. Ołowiem? Był suchy i gładki w

dotyku. Tak, to był ołów. Wnętrze grobowca też było z ołowiu. No,

najwyraźniej z ołowiu. Wszystkie spojenia były znakomicie dopasowane.

Mimo że schodził jakieś trzy stopy w ziemię, nie było śladu wilgoci.

Wszedłem do środka i stałem tam długi czas, wpatrując się w pustą

trumnę. Wokół niej było tyle miejsca, że dało się ją obejść. Zrobiłem to, po

czym wyszedłem na zewnątrz, na słońce.

- Wiesz, ilu nas musiało otwierać te złote drzwi? - spytał Allen. - Co o

tym wszystkim myślisz? Co tu jest napisane? Potrafisz to przeczytać, nie,

Quinn?

Potrząsnąłem głową.

- Manfred zaplanował - powiedziałem - że zostanie tu pogrzebany,

ale ci, którym ufał, nie zrealizowali jego marzenia. Dlatego mamy pustą

trumnę i puste mauzoleum. Mamy złote płyty i napis po łacinie. Spójrzcie,

to łacina. Przepisałem to. To wszystko dzieło Manfreda. On kazał to

zbudować, kiedy skończył Samotnię. On to wszystko zrobił. Więc teraz

musimy to z powrotem zamknąć.

- Ale co z tym złotem! - wykrzyknął Clem. - Nie możesz tak Po prostu

zostawić tego całego złota, żeby ludzie je rozkradli.

- A to ludzie w dzisiejszych czasach wciąż zabijają się dla złote; -

spytałem. - Czy któryś z was zamierza tu powrócić i ukraść to złoto?

Będziemy się strzelać o to złoto? Wracajmy tam, skąd Przy płynęliśmy.

Dość się tu nasiedziałem. Nie chcę, żeby jakiś intruz dostał się do domu.

Wynośmy się stąd.

Chciałem sprawdzić jeszcze jedno. Wróciłem do Samotni.

Miałem rację! Na marmurowym biurku leżały inne książki niż

poprzednio: z filozofii i historii, o współczesnych wydarzeniach powieści.

Wszystkie były świeże - prawdziwy policzek dla mnie. Nawet świece były

świeże, chociaż już używane. O tak, mój nieustraszony, mój intruz, był

tutaj.

- Ciekawe, co jeszcze chodzi ci po głowie! - powiedziałem głośno.

Wpadłem w gniew. Złapałem tyle książek, ile mieściło mi się w

rękach, i wyrzuciłem je na schody. Wróciłem po resztę i posłałem w ślad za

pierwszą partią. Zszedłem na dół i zgarnąłem je, rękami i nogami, w jeden

stos. Wyjąłem z kieszeni zapalniczkę. Podpaliłem małą książkę w

broszurowym wydaniu, a potem następną i następną, ogień przeskakiwał

na kolejne. Fornale patrzyli na mnie jak na wariata i pewnie mieli rację.

- To jego książki! - obwieściłem. - Nie ma prawa do tej posiadłości, ale

zostawił mi te książki, żebym wiedział, że tu był.

- Dobry Boże - westchnęła Jasmine, gdy płomienie strzeliły w górę i

ogień zatrzeszczał. - Mamy nieżywą dziewczynę, dziwny dom, stos

spadłych z nieba książek, złoty grób z pustą żelazną trumną w środku i

zwariowanego chłopaka na polanie!

- Dobrze powiedziane - szepnąłem jej do ucha - i nie zapomnij, co mi obiecałaś, Mleczna Czekoladko. Ty i ja sami dziś w nocy.

- Nigdy niczego ci nie obiecałam! - powiedziała.

- Mówię ci, nie jestem pewien swojej męskości - szeptałem. - Musisz się poświęcić.

Kopnąłem ognisko, rozniecając bardziej ogień. Palenie książek napawało mnie odrazą. Widok słownika Merriama - Webstera idącego z dymem napawał mnie odrazą. Ale musiałem to zrobić - Jeszcze kilka kopnięć i wszystko splonęło.

Odwróciłem się i spojrzałem na Jasmine, oczekując jakiegoś kąśliwego komentarza, ale na twarzy miała tylko bezmyślne rozmarzenie.

- Wiesz, chłopcze, naprawdę dałeś mi do myślenia - działa po chwili. -

Powinieneś być miłszy dla kobiety w moim wieku. Ty łobuzie. Myślisz, że nic takiego nie chodzi mi po głowie, bo bujałam cię w kołysce?

- Czego miłszego się spodziewasz? - spytałem. - Myślisz, że wystartowałbym do pierwszej lepszej?

Jej wyraz twarzy się nie zmienił. Wyglądała znakomicie w obcisłych dżinsach. Strzygła krótko bujne włosy, co uwydatniało piękny kształt jej głowy i rysy twarzy.

Żyła jak zakonnica. Wiedziałem o tym. Od trzech lat, od kiedy umarł jej mąż, nie było żadnego mężczyzny w jej życiu. Natomiast jej siostra, Lolly, miała trzech mężów.

- Dostaję fioła, mam zwidy - powiedziałem, wpatrując się w nią,

wpatrując się w jej pełne piersi i wąską talię. - Co mam zrobić, żeby Rebeka dała mi święty spokój? Widziałem ją tam, na górze. Nie rozumiem. Może lekarze dojdą do wniosku, że zwariowałem. Ale jedno wiem na pewno. Że szaleję na twoim punkcie, pani Kawo Latte. Nie chcę sypiać z trupami. Milczenie z jej strony i lekki uśmiezek, kuszący uśmiezek.

Wolniutko zmierzyła mnie wzrokiem, od stóp do głów. Poczulem twarzenie w rozporku.

Ogień pochłonął niemal wszystko.

Fornale zamknęli grobowiec. Jasmine wzięła urnę pod pachę.

Wszyscy byli spoceni, umęczeni, wściekli i opędzali się od komarów, słońce przebijało się przez drzewa, a woda cuchnęła zgnilizną, śmiercią.

Tak jest na bagnach. Oczywiście, rodzą się tam różne rośliny i wspaniale rozwijają, i cudowne zwierzęta zamieszkują w zdradzieckim śluzie, ale większość roślin gnije i cierpi z braku słońca, tak że to śmierć ma tam przewagę i to jej woń unosi się nad czarnymi wodami.

Opuściliśmy wyspę.

- Lepiej dopijmy to piwko w domu - powiedział Clem. - A - babcia zrobi nam jakieś żarcie. Skręca mnie z głodu.

Wszyscy byliśmy pijani jak cholera, zanim dopłynęliśmy do domu, a że miałem mocno w czubie, raz czy dwa skręciłem w złym kierunku, co mogło nas kosztować kilka godzin. W każdym razie dopłynęliśmy przed zmrokiem i gdy już skończyłem najdłuższe sikanie w życiu, poszedłem z urną i łopatką na cmentarz.

Oczekiwałem dreszczy, jakiegoś drżenia, ale chociaż byłem

wyjatkowo wyczulony, nie doznałem niczego. I nie zauważyłem znajomej grupki duchów, która czasem składała mi wizytę. W ich stylu było jednak pokazywać się z daleka.

Znalazłem niezajęty kawałek ziemi i łatwo się wbilem w wilgotną glebę. Niebawem wykopałem głęboką na dwie stopy dziurę. Urna weszła do niej cała i zasypałem ją z powrotem. Osadziłem pionowo ciężką marmurową płytę. Zrobiłem znak krzyża świętego. Odmówiłem trzy Zdrowaś Mario i dwa Ojcze nasz, a potem starą modlitwę za zmarłych: *Wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków, amen.*

Nowy grób wyglądał bardzo niepozornie między starymi cementowymi grobowcami, ale mimo to budził szacunek i nawet nieźle się prezentował.

Gdy podniosłem wzrok, zobaczyłem Goblina. Stał koło dębu.

Obserwował mnie. Byłem pijany, a on zupełnie trzeźwy. Byłem potwornie ubrudzony. On był nieskazitelnie czysty. Nie chodziło mu o to, aby mi się pokazać. Oceniał mnie wzrokiem. Dopiero patrząc na niego, zdałem sobie sprawę, że nie widziałem go cały dzień. Nawet nie czułem go przy sobie.

Nie myślałem o nim. W ostatnich kilku dniach rzadko go widywałem. Nie rozmawiałem z nim.

- Kopę lat, bracie - powiedziałem.

Poszedłem, a raczej powlokłem się w górę stoku i wyciągnąłem ręce, by go uściskać. Zniknął. Przeszedł mnie zimny dreszcz. Byłem tak pijany, że byle co mogło doprowadzić mnie do płaczu.

- Kolacja! - usłyszałem wołanie Jasmine. Czerwona fasola, ryż, sos gęsty od wieprzowego tłuszczu i karkówka.

Była pewnie dziewiąta wieczór, zanim wziąłem prysznic, ogoliłem się i otrzeźwiałem. Zszedłem do ciotki, powiedzieć jej to, co pielęgniarka powtarzała od dobrych kilku dni, że powinna wstać z łóżka, otrząsnąć się, a przede wszystkim zacząć coś jeść.

Zastałem ją w łóżku, opartą o stos poduszek w białych koronkowych poszewkach, w jednym z jej bajecznych peniuarów z piórkami, w okularach na nosie, czytającą jakiś kilkustronicowy list. Towarzyszyła jej Cindy, jak zawsze z radosnym uśmiechem na ustach. Przeprosiła nas i wyszła, gdy ja wszedłem.

- No, jest mój czarujący chłopiec - przywitała mnie ciotka. - Chodź tu, weź sobie fotel.

- Tylko jeśli najpierw coś zjesz - powiedziałem. - Co tam masz?

- Ubiegłam cię, mój aniele, i to znacznie - odparła. - Wypiłam dwie puszki stosunkowo nieszkodliwych lipidów, co Cindy może zaświadczyć, dzięki czemu wchłonęłam taką ilość kalorii, że cała indyjska wioska miałaby się czym wyżywić przez jeden dzień. Siadaj mi tu zaraz. To tłumaczenie tego napisu na wyspie. Dopiero co przyszło.

Chciałem jej wyrwać te kartki, ale nie pozwoliła na to i sama odczytała na głos te słowa:

- „Tu śpi Petronia, której śmiertelne ręce kiedyś rzeźbiły najpiękniejsze kamee, nawet dla cesarzy i królów. Strzeżcie mnie, o bogowie i boginie, których wizerunki oddawałam tak wiernie i

przekleństwo tym, którzy zakłócają spokój miejsca mojego spoczynku”.

Podala mi kartkę. Nie mogłem się od niej oderwać.

- Petronia - szepnąłem. - Co to wszystko ma znaczyć? - Oddałem jej

kartkę. - Kto to przetłumaczył, ciociu Queen? - spytałem.

- Człowiek, którego chcę ci przedstawić, Quinn, człowiek, który

niebawem zmieni bieg twojego życia, jak zrobiła to Lynelle, człowiek,

który będzie towarzyszył tobie i mnie podczas wielkiego objazdu po

Europie. Dawno temu powinieneś go odbyć. Ten człowiek nazywa się Nash

Penfield. Jest Anglikiem, wykładał w Kalifornii i bardzo go lubię.

- Ale co będzie, jeśli ja go nie polubię, ciociu? - spytałem. - Ciociu,

jeszcze nie chcę jechać do Europy. Nie chcę stąd Wyjeżdżać. Co się stanie z

Blackwood? Ciociu, dziadek dopiero co umarł. Jeszcze nie czas myśleć o

przyszłości.

- Musimy myśleć o przyszłości, mój drogi chłopcze - powiedziała. - A

Nash Penfield przylatuje tu w piątek. Zjemy razem cudowną kolację i

zobaczysz, że go polubisz, a jeśli nie przypadnie ci do gustu, czego

doprawdy nie potrafię sobie wyobrazić, to znajdziemy ci kogoś innego. Ale

potrzebujesz nauczyciela, Quinn potrzebujesz kogoś, kto by przejął

obowiązki Lynelle.

- W porządku. Zawrzyjmy umowę. Ty wstaniesz z łóżka, zjesz jutro

trzy ucziwe posiłki, a ja spotkam się z panem Penfieldem. Co ty na to?

- Mam lepszą propozycję - odparła. - Zgłosisz się jutro na badania do

Mayfair Medical, a ja wstanę, zjem śniadanie i pojedę z tobą, co ty na to?

- Jakie badania? - spytałem.

Wiedziałem z góry, o co chodzi. Będą mi robić tomografię głowy, rezonans magnetyczny, elektroencefalogram, jak zwał, tak zwał. Będą szukać zmian w płacie skroniowym - czegoś fizycznego, odpowiadającego za to, co według mnie widzę i słyszę. Nie byłem zaskoczony, nawet mimo tych wszystkich świadectw mówiących o życiu i zamordowaniu Rebeki Stanford, nie byłem zaskoczony. Jeśli już, to byłem zaskoczony, że nie nastąpiło to wcześniej. Więc powiedziałem sobie w duchu: No cóż, miejmy to z głowy i nie będę musiał więcej o tym myśleć.

- W porządku, zgłoszę się do Mayfair Medical - obiecałem. - Ale nie wyląduję między czubkami, co?

- Mój chłopcze, myśl o domu bez klamek jest mi tak samo wstrętne jak tobie - odpowiedziała. - Zapewne jednak żałowałabym, gdybym nie poprosiła o przeprowadzenie kilku rutynowych badań. Samo Mayfair Medical to cudowna instytucja, ma najlepszych lekarzy i najlepsze wyposażenie na Południu.

- Wiem, ciociu Queen. Pamiętaj, że Lynelle miała tam pucować w dziale badawczym. Kto z okolic Nowego Orleanu nie słyszał o Mayfair Medical? Byłem tam, kochana ciociu, chodziłem z Lynelle tymi wyłożonymi granitowymi płytami korytarzami' To było ziszczenie jej marzeń, pamiętasz?

Ogarnął mnie lęk, mroczny i silny, kiedy pomyślałem o Lynelle i stukocie jej niebotycznych szpileczek na szpitalnych korytarzach, gdy pokazywała mi całe niezwykle wyposażenie tej kliniki. Pamiętałem wszystkie nietypowe szczegóły - to, że na każdym oddziale Wzdłuż ścian

stały szerokie ławy dla wygody krewnych i przyjaciół, którzy odwiedzali pacjentów. Nie było zwykłych sal chorych. Tylko jednoosobowe pokoje, a w każdym fotele dla odwiedzających.

*- Och, jakie to smutne, kiedy się pomyśli o biednej Lynelle -
powiedziała ciotka, jakby czytała w mojej głowie lub w błędzących oczach.*

*- Lynelle, babunia, dziadek, to zbyt smutne, zbyt potworne. Nie możemy
wszakże uciekać myślami od życia, Quinn. To ono niesie nam pociechę.*

Zrobimy te badania i dowiemy się, czy jest coś, czym należałoby się zająć.

*- Zająć? Masz list od tego nieznajomego! Wiesz, że go nie napisałem,
nie wydumałem go sobie. Powiedziałem ci, on był w moim pokoju i pojawił
się na wyspie, po tym, jak zakazałem mu tam wstępu. Spaliłem jego
książki, byłem tak zły. A teraz ten napis. Co on może oznaczać? I te kamee.*

Co łączy to wszystko?

Słuchała mnie z przejęciem i oddaniem. Opowiedziałem jej o wizji

*Rebeki wiszącej na zardzewiałym haku. Opowiedziałem jej, jak potem
leżałem bez czucia na podłodze.*

*- Jasmine opowiadała, że padłeś, jakbyś dostał w głowę. Cały czas
miałeś otwarte oczy. A potem się ocknąłeś, jakby nigdy nic.*

- Czy miałem atak epilepsji? - spytałem. - O to chodziło Jasmine?

- Trudno powiedzieć. Ale możemy porozmawiać o tym wszystkim

jutro, podczas jazdy do Mayfair Medical. A co się tyczy tajemniczego

*intruza, to mamy wszędzie strażę. Fornale są w pełnym składzie. Jak już
mówimy o tym, co jutro...*

- Znalezione Patsy i zostanie odczytany testament - strzeliłem la

chybił - trafił.

- Dokładnie tak. Więc przygotuj się na scenę. Mam jednak Pewne nadzieje. I pewne plany. Twój dziadek był jedynym żyjącym synem Graviera. Zobaczmy, co się wydarzy. Teraz idź do siebie, Baba Ramona pewnie czeka na ciebie. Daj całusa. Kocham cię.

Pochyliłem się, aby ją pocałować, porozkoszować się dotykiem jej uroczych siwych włosów i zapachem cudownych perfum.

- Dobranoc, moja ukochana - powiedziałem. - Gdzie twoja towarzyszka snów, Jasmine?

- Och, to najbardziej wyzywające stworzenie pod słońcem.

Przejażdżka na wyspę ją zmęczyła. Nie wie, co myśleć. Niebawem stanie się naszym aniołem stróżem i zdaje sobie z tego sprawę. Myślę, że się obawia, czy sprosta sytuacji.

- Jakiej sytuacji?

- No cóż, kto będzie zarządzał tym domem, kiedy my wyjedziemy? -

spytała, wzruszając ramionami. - Jasmine mogłaby się tego podjąć.

Nigdy się nad tym nie zastanawiałem i nagle dostrzegłem, że to właściwe rozwiązanie. Ile razy to szukając Jasmine, zastawałem ją w bungalowie, stukającą na komputerze. I kto umiał lepiej oprowadzać gości niż ona?

- To świetny pomysł, naprawdę świetny! - powiedziałem. - Chcę z nią o tym porozmawiać.

- Nie, pozwól, że ja jej to przedstawię - odparła ciotka. - Przyjdzie później. Poszła na górę, doprowadzić do porządku sypialnię dziadka.

Poprosiłam ją, żeby przejrzała jego rzeczy osobiste, i posiedzi tam pewnie do nocy. Powiedz tej kochanej dziewczynie, żeby skończyła spisywanie i zeszła o uczciwej porze. Nie zasnę tu bez niej.

Coś zaskoczyło w mojej głowie. I w ciele też. Jasmine sama w sypialni dziadka. Szedłem na górę jak pan młody, spieszący pierwszy raz do małżeńskiej sypialni. Zajrzałem do siebie. Baba Ramona spała głębokim snem. Poszedłem dalej.

Drzwi sypialni dziadka stały otworem. Miał wielkie ciężkie łóżę z baldachimem - widziałeś je - jedno z najstarszych w domu. Siedziała na nim Jasmine, oparta o obleczone aksamitem poduszki. W ręce miała kielich z winem. Butelka stała na nocnym stoliczku.

Była ubrana tak seksownie, jak tylko można sobie wyobrazić.

Obcisła bluzeczka w panterkę, rewelacyjnie pasująca do jej mahoniowej skóry, krótkie jasne włosy, wążiutka skórzana mini. Jedną nogę podkurczyła, drugą miała wyprostowaną. Szpilki. Błysk białych majteczek. Nigdy nie było bardziej jednoznacznego zaproszenia. A ja byłem jedynym zaproszonym.

Zamknąłem drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

Westchnęła i odstawiła kieliszek. Usiadłem obok niej i wziąłem ją w ramiona. Pocałowałem ją w usta i natychmiast poczułem ogień. Przywarła do mnie pierściami. Zmiażdżyłem je w uścisku tak mocnym, że to cud, iż nie krzyknęła z bólu. Boże, pomyślałem, niebo jest tu, mieszkasz nie tam, gdzie trzeba. Położyłem rękę na jej kolanie, pojechałem wyżej, dochodząc do jej majteczek i żaru, który kryły.

- Zdejmij je, rozedrzyj - powiedziała mi do ucha. - Majtki są tanie.

Majtki to nic. - Płakała. Słyszałem.

Znów pocałowałem ją w usta i natychmiast wsunęła mi głęboko

język. Och, Jezu, Boże. Całowałem ją bez opamiętania. Zdjąłem jej majtki,

ująłem stopę i całowałem podbicie.

Płakała bezdźwięcznie. Scałowałem jej łzy.

- Boże, to nie w porządku - szepnęła. - Wiem, że to nie w porządku.

Jesteś moim malutkim Tarquinem, ale tak strasznie cię chcę!

- I ja ciebie, moja pani - wyznałem. - Nie masz pojęcia, jak bardzo!

Był, jak się to mówi, środek nocy. Pierwsza, może druga. Cały dwór Blackwood spał. Ja spałem. Baba Ramona chrapała. Budziłem się od czasu do czasu.

Wydawało mi się, że rozmawiałem z Rebeką. Siedzieliśmy na trawniku, na wiklinowych fotelach ze strychu, i tłumaczyła mi, że te wszystkie stare mebelki były jej, że Manfred kupił je dla niej. Była uradowana, że kazałem je znieść na dół, doprowadzić do porządku i że dziadek pomalował je na biało. Wyglądały uroczo. „Jesteś moim światem, Tarquin”, powiedziała. Ale to była tylko część tego, co mi zdradziła. Starła się mi opowiedzieć i o innych sprawach, co muszę zrobić, żeby było sprawiedliwie, a ja się z nią kłóciłem. Cała ta scena była niewyraźna i rozmyta. Obudziłem się i spojrzałem przed siebie, a materia snu zupełnie się rozplynęła. Po jakimś czasie odwróciłem się na bok i wróciłem do rozmowy z Rebeką.

Nagle ktoś wyciągnął mnie z łóżka i powłókł po podłodze! Ocknąłem się w jednej chwili. Czulem ból ramion, gdy niezwykle silne ręce wepchnęły mnie do łazienki. Uderzyłem głową o ścianę. Zostałem uniesiony, aż zawisłem nad podłogą. W słabym świetle padającym przez drzwi zobaczyłem, że trzyma mnie jakiś wysoki mężczyzna. Włosy miał gładko szczesane z wysokich, wypukłych skroni. Jego ciemne oczy wpijały się we mnie.

- Och, więc palisz moje książki, ty szcurku, tak...! - szepnął. Jego

oddech był gorący i bezwonny. - Palisz moje książki. Drażnisz się ze mną!

Poczułem gwałtowny przyływ emocji i nagle zdałem sobie sprawę, że to nie groza, ale wściekłość, ta sama wściekłość, którą czułem, gdy robiłem to, co teraz go tak bardzo rozgniewało.

- Zostaw mnie i wynocha z mojego domu! - krzyknąłem. - Jak śmiesz wchodzić do mojego pokoju! Jak śmiesz znowu się włamywać!

Miotąłem się, próbując się uwolnić. Odepchnąłem go z całej siły. Ani drgnął.

Jego oczy lśniły w mroku. Poza tym widziałem jedynie, że ma na sobie rozpiętą białą koszulę z jasnymi spinkami i czarną marynarkę.

Powoli opuścił mnie na podłogę.

- Ty mały głupcze - powiedział, ściskając mnie za ramiona.

Uśmiechnął się. Po raz pierwszy zobaczyłem jego usta, znakomicie ukształtowane, o grubych, ale idealnie zarysowanych wargach.

Znów zacząłem szaleć. Odpychałem go kolanem, kopałem w golenie.

Na nic!

- Nigdy więcej nie zbliżaj się do tej wyspy! - zasyczał. - Nigdy więcej nie waż się tknąć niczego, co jest moje. Słyszalesz?

- Jesteś kłamcą i włamywaczem! - krzyknąłem. - Zgłoś swoje pretensje w sądzie!

- Nie rozumiesz, że mogę cię zabić? - powiedział w przyływie palącej złości. - Nic mnie przed tym nie powstrzyma. Czemu protestujesz? Czemu tak głupio się zachowujesz? Co tam masz takiego cennego?

- Mam to, co prawnie do mnie należy - powiedziałem. - Wynoś się z

mojego domu, zanim wszystkich obudzę.

Oczywiście, wiedziałem, że nikt mnie nie usłyszy. Ramona spała jak zabita. Dom był wielki, ściany grube, a my staliśmy w pozbawionej okien łazience.

Nagle rozluźnił uścisk, ale nie wypuścił mnie. Ramiona miałem obolałe.

- Nie zamierzam cię zabijać - odezwał się spokojniejszym tonem. - Nie chcę twojej śmierci. Mam na twój temat swoją teorię. Ale jeśli kiedyś znów się zbliżysz do tej wyspy, zabiję cię, rozumiesz? Ostrzeż wszystkich, niech na zawsze zostawiają w spokoju. Wara od niej świata albo wrócę tu, zawlokę cię na bagna i umrzesz powolną śmiercią jak Rebeka, ty nierozważny dzieciaku.

Ledwo skończył, a dwa wielkie lustra po jego prawej ręce roztrzaskały się i ogromne, groźne kawałki szkła upadły z głośnym hukiem na podłogę. W głębi zobaczyłem Goblina.

Mężczyzna zaklął w jakimś nieznanym mi języku. Puścił mnie, odruchowo osłaniając twarz, a tymczasem pękły szklane drzwi kabiny prysznicowej i znów ukazał się Goblin, cienki jak bibułka, ale jednak widoczny, i ostrym jak nóż odłamkiem szkła zaatakował nieznanego. Ten łatwo sparował cios. Dysponował potężną siłą. Znów zaklął, szybko rozejrzał się na boki, a potem za siebie. Miał czarne, bardzo długie włosy związane w falujący kucyk i ostro zarysowane, kwadratowe ramiona.

Doprowadzony do szalu odwrócił się w miejscu, znów mnie łapiąc, ale Goblin przypuścił kolejny atak, wymachując pięściami, i kolejne ostre

odłamki poleciały w kierunku intruza, który wypuścił mnie, cofając się i wirując jak tancerz.

Szkló fruwało w łazience. Obcy musiał się uchylić przed odłamkiem wymierzonym w jego twarz. Kolejna tafla rozbiła się na podłodze, dolna część drzwi prysznicowa roztrzaskała się w drobiazgi.

- Co to jest? - zasyczał, opędzając się od odłamków z taką szybkością, że nie nadążałem wzrokiem za jego ruchami.

Goblin rzucił się na niego z pięściami, a potem złapał go za gardło.

Tamten odtrącił go z wyraźnym trudem, rozwścieczony.

Światło zapaliło się, zgasło, znowu zapaliło. Zobaczyłem go wyraźnie, młodego mężczyznę o idealnie gładkiej skórze, kruczoczarnych włosach, w znakomitym czarnym garniturze, a jego twarz, nawet przepelniona wściekłością, była co najmniej piękna.

- Co to jest, niech cię cholera! - zawarczał pod moim adresem - Lunęła na niego cała ulewa szklanych sztyletów i opędzał się od nich jak od much.

Światło nie przestawało migotać.

- Myślisz, że ci powiem! - krzyknąłem. - Teraz jesteś w moim domu, a kiedy czytasz te swoje książki, to na mojej wyspie! Wynos się stąd, bo nie wiadomo, co się wydarzy. Widzę to stworzeni które teraz z tobą walczy.

Jasne jak słońce, że ty nie możesz go zobaczyć!

Gotowałem się z wściekłości. Stałem gotów do ataku, niewiele brakowało, a wbili bym mu w pierś odłamek szkła, i wtedy zniknął, zniknął bezszelestnie i błyskawicznie, jakby nigdy go nie było, i znalazłem się sam w łazience, w ciemności, wśród tego całego potłuczonego szkła. Baba

Ramona, bosa, w nocnej koszuli w różyczki patrzyła na mnie,

wytrzeszczając oczy.

- Panie laskiś pełen - powiedziała. - Coś ty narobił!

*- To nie ja, to on, nie widziałaś go?! O mój Boże, nie widziałaś go? -
spytałem błagalnie.*

- Nie wiem, o kogo ci chodzi. Nie ruszaj się, nie chodź po tym szkle!

Spałam jak suseł i usłyszałam, jak to całe szkło się tłucze.

*Goblin stał przed klozetem, opanowany, pewny siebie, uśmiechając
się do mnie. Złapałem go w objęcia. Czulem jego kształt.*

- Chwała Bogu, żeś tu był - powiedziałem. Gładziłem go po głowie.

Całowałem. - Wystraszyłeś go. To twoja zasługa.

*Cały dom się budził. Słyszałem tupot na schodach. Ciem darł się z
korytarza, wykrzykując moje imię. Słyszałem sygnał alarmu, chociaż nie
wiem, kto go włączył ani gdzie.*

*A kiedy tłoczyli się w sypialni, wiedziałem, co widzą. Widzieli mnie
stojącego pośród potłuczonego szkła, bosego jak Baba Ramona i
obejmującego coś niewidzialnego, powietrze w ich mniemaniu -
ówczesnym i niezmiennym.*

Zanim dojechaliśmy do Mayfair Medical, zamieniłem się w bełkocącego idiotę w zakrwawionej nocnej koszuli. Siedziałem na tylnej kanapie limuzyny ciotki, mając ją po jednej stronie, Cierna po drugiej, Babę Ramonę na rozkładanym siedzeniu i Jasmine w kącie, też na rozkładanym siedzeniu, tyłem do szofera. Wszyscy mnie błagali, żebym się uspokoił. Clem ścisnął mnie za ramię, a ciotka obejmowała ile sił w rękach. W pewnym momencie Baba Ramona powiedziała ciotce, aby się przesunęła, i złapała mnie w fachowy zapaśniczy uścisk.

Sprawa była stara jak świat. Im głośniej mówisz, że nie jesteś szalony, tym bardziej ludzie są przekonani, że jesteś. I wyraźnie mieli mnie za wariata.

Ile razy im powtórzyłem, że intruz był w domu? Ile razy oni mi powtórzyli, że to niemożliwe? Ile razy im powiedziałem, że to Goblin stłukł szkło, Goblin uratował mi życie, ile razy wymienili niespokojne, zatrwożone spojrzenia?

Wciąż się miotalem, gdy podjechaliśmy do rozsuwanych drzwi ambulatorium, przy których czekały nosze. Oczywiście, przysięgałem, że nie są mi potrzebne. Wtedy zdałem sobie sprawę, że jestem boso i mam pokrwawione stopy. W porządku. Regulamin szpitalny. Ubrałbym się odpowiednio przed wyjazdem, gdyby tylko wysłuchano tego, co mówiłem. Wwieziono mnie do izby przyjęć, bezceremonialnie rozcięto nocną koszulę i opatrzono zadraśnięcia i drobne ranki, które miałem na całym

ciele. Tłumaczyłem, że głowa pęka mi z bólu. Nieznajomy walnął mnie o ścianę. Niech chociaż dadzą mi coś na ból głowy. Mniejsza o zadraśnięcia i siniaki. Miałem mnóstwo siniaków. A gdy zobaczyłem, jakie są wielkie, zacząłem przyzywać ciotkę i Jasmine. Och, gdyby tylko dziadek był ze mną! Niech to cholera!

Skrepowano mnie pasami i wtedy naprawdę dostałem szalu.

Goblin był przy mnie cały czas, bardzo silny, widoczny i przejęty, ale nie odważyłem się do niego odezwać, i rozumiał moje powody. Nie pojmowałem, jak to możliwe, że spożytkował tyle energii, a mimo to nadal jest taki nieprzezroczysty i silny. Nie podobało mu się to, co się działo. Nie krył tego. Nagle się przeraziłem, że porozbija szkło i doprowadzi do zamieszania.

- Goblin, nic tu rozrabiaj - poradziłem mu, patrząc na niego. - To tylko pogorszy sprawę. Pozwól, że ja się tym zajmę.

Wtedy doktor Winn Mayfair, dumny potomek legendarnej rodziny Mayfair i dyrektor całego kompleksu, podszedł do noszy. Jakby czar padł na całą izbę przyjęć; wystarczyło, że się pojawił, a lekarze i pielęgniarki byli jak zahipnotyzowani.

Ja też się uspokoiłem. Byłem unieruchomiony i zresztą czemu miałbym protestować przeciwko badaniu?

Nie od rzeczy będzie dodać, że nie miałbym pojęcia, kim jest doktor

Winn Mayfair, gdyby nie Lynelle, która opowiedziała mi o nim wszystko.

Urodził się w Nowym Orleanie, wychował w Bostonie i został lekarzem na Północy. Przybył na Południe dopiero wtedy, gdy tutejsza część rodziny

nawiązała z nim kontakt, proponując znakomitą pracę w nowym centrum medycznym. Stał się współnikiem i zaufanym doktor Rowan Mayfair, która zaprojektowała, stworzyła i wyposażyla to centrum, budując unikatową w skali kraju klinikę.

Doktor Winn zajmował się wszystkimi bieżącymi sprawami, Podczas gdy doktor Rowan nieustrudzenie prowadziła prace badawcze nad hormonem wzrostu, co zawsze fascynowało Lynelle.

Gdzieś za kulisami działał ojciec Winna, doktor Elliott Mayfair kardiochirurg, i jego również przekonano do powrotu, tak Ze Rowan, Elliott i Winn Mayfair tworzyli trzon całej instytucji.

Doktor Winn słynął z wielkiego opanowania i delikatnej ręki.

Zajmował się neurochirurgią - tym samym co doktor Rowan Mayfair - i mówiło się o nich, że są kuzynostwem podobnym temperamentem, talentem i wyglądem, chociaż poznali się dopiero niedawno.

Lynelle ubóstwiała tego faceta. Moim oczom ukazał się łagodny,

inteligentny i troskliwy mężczyzna, wysoki i szczupły, którego

wyciągnięto z łóżka, aby zajął się panną Lorraine McQueen i jej

legendarnym cudownym chłopcem, który żył za pan brat z duchami.

Miał pięknie uczesane, siwe, niegdyś jasne włosy i chłodne niebieskie

oczy za prostokątnymi szklami w cienkich oprawkach. Mówił do mnie

szeptem, tak jakby jego słowa były przeznaczone wyłącznie do moich uszu,

co bardzo mi się spodobało. Poza tym wyrażał się powoli.

Natychmiast zmierzył mi ciśnienie, chociaż pielęgniarka już to

wcześniej zrobiła, a następnie zajrzał mi w źrenice. Przyłożył mi stetoskop

do głowy i trzymał go tak w nieskończoność, jakby słuchał mojego mózgu.

Potem sprawdził węzły chłonne i obejrzał siniaki na ramionach. Miał łagodny dotyk.

- Wiem, że głowa cię boli - mówił płynnie, nie akcentując poszczególnych wyrazów - ale nie możemy ci podać żadnych środków, bo zmieniłyby objawy ewentualnego urazu. Gdy tylko opatrzymy skaleczenia, zabieramy cię na tomografię.

- Nie mogłem sam sobie tego zrobić - powiedziałem. - Nie zwariowałem. Nie znajdzie pan żadnych zmian płata skroniowego. Proszę to sobie zapamiętać. Jestem w żalonym stanie, ale przy zdrowych zmysłach.

Przyglądał mi się długo i uważnie, po czym spytał:

- Podobno masz osiemnaście lat, czy to prawda?

- Prawie dziewiętnaście - sprostowałem. - Osiemnaście i pół to prawie dziewiętnaście, czy nie tak?

- Chyba masz rację. - Uśmiechnął się. - Nie będziemy zakładać, że to epilepsja czy zmiany w mózgu. Sprawdzimy, czy miejsce, w którym czujesz ból, krwawi. Będziemy cię budzić, gdybyś zasypiał. Teraz cię zostawię i zobaczymy się po tomografii.

- Jest pan neurochirurgiem, czy tak? - spytałem. Chciałem, aby przy mnie pozostał. - Otóż przysięgam panu, że to, co widziałem, to nie był wytwór mojego mózgu, i nie chcę, żeby pan coś z niego wycinał. Prędkiej oszaleję w separacie dla czubków, niż na to pozwolę.

Dwaj sanitariusze, a przynajmniej mężczyźni wyglądający na

sanitariuszy, ruszyli w moim kierunku, chcąc mnie zabrać, ale nakazał im gestem, żeby poczekali.

- Opowiedz mi o sobie - zaproponował - o tym, co ci się przydarzyło.

- Tamten nieznajomy, człowiek, który wdarł się do naszego domu na bagnach... dostał się do mojej sypialni, chociaż ochrona pilnowała dworu, wyciągnął mnie z łóżka, zawlókł do łazienki, tłukł moją głowę o ścianę, przeklinał i groził mi.

Urwałem. Nie chciałem mu opowiadać o Goblinie. Jakiś instynkt podpowiadał mi, abym nie poruszał tego tematu. Ów instynkt nie powstrzymał mnie jednak od wezwania Goblina i Goblin nagle wyrósł u stóp noszy, nadal całkowicie nieprzezroczysty i doskonale widoczny, co było zdumiewające po wszystkich jego wysiłkach, i potrząsnął mocno głową.

- Tam leżało rozbite szkło z lustra i drzwi prysznicza - powiedziałem. - Trochę się pociąłem, nic więcej.

- Jak tamten intruz wyciągnął cię z łóżka? - spytał doktor Winn.

- Łapiąc mnie za ramiona.

Doktor Winn obejrzał oba ramiona. Miałem na nich czarne siniaki.

Przyglądał się im z zastanowieniem. Poprosił mnie, żebym się pochylił, aby mógł obejrzeć tył mojej głowy. Zrobiłem to i poczułem, jak jego delikatne ręce dotykają wielkiego guza, który wyrósł mi na ciemieniu. Ten dotyk wzbudził mrowienie w całym moim ciele.

Goblin znów potrząsnął głową. „Nie mów mu o nas. On mnie skrzywdzi”.

- Teraz mi pan wierzy? - spytałem. - Że nie zrobiłem tego sam sobie?

- O, tak, wierzę ci całkowicie - powiedział. - Nie mogłeś sam

doprowadzić siebie do takiego stanu. Wiele za tym przemawia. Ale musimy zrobić ci tomografię.

Poczułem ogromną ulgę.

Tomografia okazała się zupełnie bezbolesnym badaniem i ustalono,

że nie mam w mózgu wylewu ani obrzęku. Zaraz potem, gdy doktor

Mayfair potwierdził te wyniki, zawieziono mnie do bogato urządzonego

apartamentu, składającego się z pokoju dziennego i dwóch sypialni. Jedna

była moja. Ciotka rozlokowała się w drugiej. Jasmine, która pojechała do

domu po ubrania dla niej, już wróciła, ale niebawem miała znów odjechać.

Obiecałem, że nie ruszę kroplówki i będę się stosował do wszystkich

zaleceń, jeśli tylko pasy zostaną rozpięte. Doktor Mayfair natychmiast

poszedł mi na rękę.

- Drzwi są pilnowane, prawda? - spytałem.

Ciotka zapewniła mnie, że tak. Na korytarzu siedzi policjant w

mundurze. A Clem jest w pokoju dziennym.

Widziałem, że płakała. Bardziej jednak przejąłem się widokiem jej

peniuaru z piórkami. Nie miała czasu się przebrać. To równocześnie mnie

rozzłościło i wystraszyło.

- Wiesz, sytuacja jest dziwna, mój mały - powiedziała, siadając przy

moim łóżku. (Goblin majaczył w kącie.) - Narzucają się dwa wyjaśnienia

tego, co się wydarzyło w nocy, oba równie koszmarnie.

- Wierz mi, jest tylko jedno - odezwałem się - tamten człowiek nam

zagroza! - Wyznałem jej, że spaliłem książki nieznanego, co sprowokowało go do najścia. - To ekscentryk, mógłbym przysiąc, oceniając po kroju jego garnituru i długich włosach, ale ekscentryk silny jak wół. Niemniej jednak Goblin napędził mu porządnego stracha. Nie wiedział, kto go bije ani kto rzuca w niego szkłem. - Przerwałem.

Uświadomiłem sobie, że opowiedziałem jej to wszystko w samochodzie. Wiele razy. Czy teraz mnie słuchała, bo doktor Winn uznał, że sam nie mogłem się tak pokaleczyć ani posiniaczyć?

Była bardzo poruszona. Chciałem być jej wsparciem, nie powodem do zmartwień, pacjentem wymagającym opieki. Skorzystałem z pilota i podniosłem łóżko tak, że mogłem siedzieć. Doktor Winn przyszedł się pożegnać.

- Wyniki tomografii są znakomite - powtórzył. - Za kilka dni zrobimy następne badania. Od ciebie, Quinn, wymagamy tylko tyle, żebyś został w łóżku. Porozmawiamy jutro rano.

- Panie doktorze - powiedziałem - czy nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że zadam panu jedno pytanie?

- Ależ proszę, pytaj.

- Była pewna niezwykle zdolna absolwentka college'u medycznego, moja przyjaciółka. Przyjęto ją tu do działu badawczego. Zginęła w wypadku samochodowym. Ciekaw jestem, czy pan ją znał.

Na jego spokojnej twarzy pojawiło się cierpienie.

- Mówisz o Lynelle Springer - powiedział. - Skinąłem głową.

- To ty jesteś tym chłopcem, o którym tak wiele mówiła, nieprawdaż?

- spytał. - Oczywiście, Tarquin Blackwood, jej duma i radość. Kochała cię tak jak własne dzieci.

Ledwo mogłem przelknąć ślinę. Zbierało mi się na płacz. Nie spodziewałem się tak poruszającej odpowiedzi.

- Czy to prawda? - spytałem. - Że po wypadku nigdy nie odzyskała świadomości? Że nie widziała, jak bardzo została zmasakrowana?

- Tak, to prawda. - Mówił głosem cichym i pełnym głębokiego szacunku. - Opiekowaliśmy się nią dwa tygodnie. Przychodziły jej córki. Puszczały jej muzykę i nagrania wierszy. Ale była w głębokiej śpiączce i odniosła zbyt ciężkie obrażenia. Zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy, a potem odeszła.

Słyszając to, poczułem niezmierną ulgę. Poczulem, że pewien ważny rozdział mojego życia został ostatecznie zamknięty i może spocząć w mojej pamięci. Poczulem również, że ten człowiek nigdy mnie nie okłamie - nigdy i w niczym.

Ciotka zasypała mnie pocałunkami i powiedziała, że idzie się przebrać.

Do pokoju wszedł ksiądz Mayfair i usiadł przy mnie. Goblin, który stał bardzo wyrazisty w nogach łóżka, przyglądał się mu podejrzliwie.

- Więc czego ojciec ode mnie oczekuje? - spytałem. - Zapewne powtórzyli ojcu wszystko to, co im powiedziałem. Powtórzyły że to Goblin mnie uratował. Ojciec zna Goblina. Przychodzi ze mną na mszę w każdą niedzielę.

- Nie obawiaj się mnie tak, Quinn - powiedział. Ton głosu miał

bardziej stanowczy, tembr wyższy niż doktor Winn. - Nie jestem twoim nieprzyjacielem. Nie przyszedłem tu, by zaciągnąć cię przed trybunał inkwizycji. Wasza gosposia, Ramona, widziała to całe latające szkło. Gdybym ja je zobaczył, pewnie nigdy więcej nie zwątpiłbym w Boga Wszechmogącego. Może diabeł czasem potrafi wykonać dobrą robotę.

- To nie diabeł był w łazience - zirykowałem się. - To był wściekły mężczyzna, wysoki, przystojny, próżny mężczyzna. Przemknął się obok strażników i wyrwał mnie ze snu. A wtedy Goblin, mój Goblin - spojrzałem na niego i zobaczyłem, że z niepokojem przygląda się duchownemu - rozbił szkło, żeby go odpędzić. Cisnął w niego odłamkami, a tamten nie mógł go zobaczyć, tak jak ojciec nie może. Nie wiedział, co się dzieje. Ojciec musi zrozumieć, Goblin nie jest od diabła. Musi istnieć jakiś pośredni rodzaj duchów, które nie są ani diabłami, ani aniołami. Musi.

Skinął głową.

- Może masz rację - powiedział ku mojemu zaskoczeniu. Przez chwilę patrzył w przestrzeń, niemal rozmarzony, a potem znów spojrzał na mnie. Wydawał mi się niepokojąco przystojny. Nie chodziło tylko o to, że miał piękne rude włosy i zielone oczy, chodziło o wyraz ożywienia, którym tchnęła jego twarz, twarz o doskonale proporcjonalnych rysach, krótkim nosie i pełnych wargach. Mi»»» miły głos.

- Dwa lata temu - powiedział - a może mniej, nie uwierzyłbym ci. Ale dziś? Przyjechawszy na Południe, nasłuchaleś się tyle o zjawach i rodzinnych klątwach, że mam teraz bardziej giętki i otwarty umysł. -

Przerwał i po chwili podjął: - Coś ci jednak powiem. Bez względu na to, czy

pochodzą od diabła, czy z naszej wyobraźni, czy są zjawami, czy bezcielesnymi bytami nie mającymi prawdziwego początku, duchy wcale nie są dla nas dobre. Jestem tego pewien.

Goblin wpadł w podniecenie. Wpatrywał się w ojca Kevina z zimną nienawiścią.

- Nie, Goblinie - rzuciłem. - Nic nie rób. - Ogarnięty nagłym niepokojem, rozejrzałem się wkoło. Nad szafką było lustro. A co, jeśli je roztrzaska? Teraz wiedział, że może to zrobić!

Goblin Pochłaniacz Wiedzy.

Popatrzył na mnie z bardzo dziwnym uśmiechem, jakby chciał powiedzieć: Nie myślisz, że jestem na to za mądry?

- Niech ojciec posłucha, on tu jest - ostrzegłem go. - Ojciec go nie widzi, ale on stoi w nogach łóżka. To niegrzeczne mówić w jego obecności, że jest złą istotą. Nie jest zły. Nie mam pojęcia, jak się do mnie przywiązał. Może po prostu błąkał się, błąkał, szukając kogoś, kto mógłby go zobaczyć, i wtedy wpadł na mnie, na dziecko mające dar widzenia duchów. I zawarliśmy nasze małe braterstwo, on i ja. Nie wiem. Ale dzisiejszej nocy mnie uratował. Uratował mnie, dając niezwykle pokaz siły. To on stłukł szkło, nie ja i nie chcę, aby choć przez chwilę podejrzewał mnie o niewdzięczność.

Ojciec Kevin przyglądał mi się z uwagą, gdy wygłaszałem tę mowę, po czy skinął głową.

- No cóż, zostawmy to, jak jest. Jeśli będziesz czuł potrzebę rozmowy, zadzwoń. Dałem mój numer ciotce Queen i kręcę się ciągle w Mayfair

Medical, odwiedzam chorych. Staję się pełnoetatowym kapłanem i zdziwiłbyś się, dowiadując, czego oczekuje Po mnie doktor Rowan, zbadania jakich przypadków. Wpadnę Później z wizytą.

- Jakie przypadki ojciec bada? - spytałem. Byłem niezwykle zaintrygowany. Uspokoilem się, a ta rozmowa sprawiała mi przyjemność.

Ojciec Kevin nie był typowym duchownym, jakiego się spodziewałem.

- Badam przypadki otarcia się o śmierć, życia po śmierci - wyjaśnił. -

Wiesz, bywa, że ludzie uznani za zmarłych widzą jasne światło w tunelu i gdy pokonają ten tunel, stają w obliczu świetlistego bytu. Potem są przywracani do życia i mogą nam opowiedzieć, co się wydarzyło.

- Tak, wiem, o czym ojciec mówi. Przeczytałem wszystko na ten temat, co udało mi się znaleźć. Wierzę, że to prawda. Wierzę, że to się naprawdę zdarza.

- Tym ludziom często zarzuca się zmyślenia - powiedział. - Ja jestem tu po to, żeby im wierzyć, ale nie wolno mi zadawać żadnych pytań ani podsuwać żadnych wytłumaczeń.

- Rozumiem, co ojciec ma na myśli - powiedziałem. - Czy ojciec rozmawiał z osobami, które miały takie przeżycia?

- Tak - odparł. - Rozmawiałem. Oczywiście udzielam również sakramentu chorych. Spowiadam i podaję komunię.

- Czy ojciec mi wierzy... w to, co powiedziałem?

- Wierzę, że ty wierzysz w to, co mówisz - odparł. - Czy chcesz przyjąć sakrament chorych? Wiesz, że można go przyjmować bez żadnych specjalnych warunków.

- Nie jestem chory - odparłem - a co do moich grzechów cielesnych...

no cóż, nie jestem gotów się wypowiadać. Nie stać mnie na to. Więc nie mogę przyjąć komunii. Seks to dla mnie zupełna nowość.

- Tak - powiedział ze znużonym uśmiechem - na tym etapie życia to

nieprosta sprawa. - Wzruszył ramionami. Uśmiechnął się pogodnie i

dodał: - Kiedy byłem w twoim wieku, wydawała mi się istnym piekłem i

szczerze mówiąc, nadal czasem tak myślę - Wiesz, księża też chodzą do

spowiedzi. Do innych księży. Świat Erosa to pole minowe.

- Lubię ojca. Wiem, że to może niewiele znaczy...

- O nie, to znaczy swoje. Muszę wracać do kościoła. Mafii swoje

obowiązki w parani i zajęcia na uniwersytecie. Do zobaczenia po południu.

- Wstał.

Coś przebiegło mi przez głowę.

- Ojczy - zagadnąłem go - a co zrobić, kiedy widzi się złego ducha,

ducha, który może zrobić krzywdę, który domaga się jakiejś okrutnej

zemsty? Co się robi? Żegna znakiem krzyża i modli? Czy to jedyna broń?

Długo mi się przyglądał, zanim odpowiedział.

- Nie rozmawiaj z nim - rzekł. - Nie zabawiaj go rozmową, nie patrz

na niego ani nie poświęcaj mu uwagi. Pamiętaj, taki duch nie może ci wiele

zrobić, jeśli mu nie pomożesz. Niewykluczone, że nic ci nie zrobi bez twojej

pomocy. Weźmy na przykład ducha ojca Hamleta. Załóżmy, że Hamlet

wcale nie udałby się na spotkanie z duchem, nie przemówiłby do niego.

Załóżmy, że nie dałby sobie opowiedzieć historii tamtego morderstwa.

Wysłuchał jednak ducha i zginęli nie tylko winni, ale i niewinni. Pomyśl o

tym. Co by się stało, gdyby Hamlet nie przemówił do ducha?

- Chce ksiądz powiedzieć, że tamten duch był zły? - spytałem.

- Tak nam mówi treść sztuki - rzekł. - Mogłaby nosić tytuł Potępienie Hamleta.

Kiwnąłem głową.

Po wyjściu księdza leżałem coraz bardziej śpiący i rozkojarzony, wdzięczny Goblinowi za to, że usiadł przy łóżku i ujął mnie za rękę.

Przypomniał mi się złowrogi nieznajomy.

- Kim był tamten drań, Goblinie? - spytałem. - Jak się dostał do mojego pokoju?

Kiedy nie usłyszałem żadnej odpowiedzi, spojrzałem na niego i zobaczyłem na jego twarzy ten sam wyraz powagi, który miał na cmentarzu, po tym jak pogrzebałem szczątki Rebeki.

- Nie możesz ze mną porozmawiać, Goblinie? - spytałem. - Słuchaj, poproszę, żeby jutro przynieśli mi papier i pisaki - duży notes, wiesz - i będziemy mogli do siebie pisać.

Potrząsnął głową. Niemal skrzywił się pogardliwie. Naprawdę się skrzywił. Patrzył zimno, a potem z gniewem. „Komputer, Quinn, ściągnij tu komputer” - przekazał mi w myślach.

- Oczywiście - odpowiedziałem. - Czemu na to nie wpadłem? Ściągnę laptopa, powiem im, że jest mi potrzebny.

Byłem coraz bardziej senny. Siedział tak bez ruchu, mój anioł stróż, a potem powiedział w myślach: „Gniew dodaje mi sił, Quinn”.

- Gniew jest niedobry - zamruczałem. Obudziłem się ze

wzdrygnięciem, a potem przypomniałem sobie, że jestem bezpieczny.

Przyszła ciotka. Słyszałem, jak mówi pielęgniarce, że zasnąłem. Obudzono mnie.

- Szefuniu, posłuchaj - usłyszałem z bliska głos Jasmine - mamy pełne obłożenie na dwa tygodnie z góry. Muszę wracać. Baba też. Obowiązki wzywają. Ale ciotka ma tu wszystko, czego tylko jej potrzeba. Straż jest przy drzwiach. Nie przejmuj się. Wrócę, kiedy będę mogła.

- Pocałuj mnie - zamruczałem. Zapadałem w głęboki sen. Śniłem?

Rebeka i ja byliśmy znów na trawniku, siedzieliśmy w wielkich wiklinowych fotelach, których oparcia przypominały rozłożone pawie ogony, i słońce padało skosem na cynie, które dziadek zasadził wzdłuż domu, a Rebeka mówiła falującym, rytmicznym tonem głosu, bez przerw:

„Och, oczywiście, że chciałam żyć jak ludzie na poziomie i udawać, że tamto wszystko nigdy się nie wydarzyło, chciałam, żeby wziął mnie za żonę i uczynił panią tego domu, i żeby kochał moje dzieci, ale ty zawsze byłeś otoczony miłością, zawsze byłeś kochany i nie wiesz, co to znaczy żyć bez miłości, nie mieć nic, po prostu nic, ty i Jasmine nie zabezpieczyliście się i co to będzie, jeśli zrobisz jej dziecko, czy pokochasz dziecko, które zrobiłeś tej kolorowej suce?!”

Próbowałem się obudzić, musiałem zapytać Jasmine. Czy mogła zająć w ciążę? Nagle wydało mi się, że nasze zbliżenie było tylko snem i wystraszyłem się, że będzie na mnie zła, gdy zacznę jej stawiać takie pytania, a poza tym wiedziałem. Nie zabezpieczyła się, ja też nie i niewykluczone, że mogło być z tego dziecko i ta myśl nieomalże natchnęła

mnie szczęściem.

Nie mogłem poruszyć rękami. Otworzyłem oczy. Przypasali mi ręce do łóżka!

- Co wy robicie? - powiedziałem. Chciałem protestować dalej, ale Rebeka mówiła. Przypasali mi nogi do łóżka. Zacząłeś wzywać pomocy. Ciotka stała nade mną.

- Quinn, kochanie wyrwałeś sobie wenflon. Mówiłeś głośno do kogoś. Byłeś podniecony. Odepchnąłeś lekarza. Musieli ci znów założyć kroplówkę.

To było zbyt straszne, po prostu zbyt straszne. Patrzyłem w sufit.

Zapadłem w sen, bo chciałem uciec, uciec jak najdalej. I oczywiście pojawiła się Rebeka, nalewała mi kawy i uśmiechała się, i stokrotki kwitły i cynie, a ja uwielbiam stokrotki, te białe - żółte kwiatuszki.

- Musisz znaleźć sposób, żeby się stąd wyrwać - poradziłem Rebecce. -

Musisz znaleźć drogę ucieczki z tego miejsca i iść do Światłości. Bóg czeka na ciebie. Bóg wie, co ci się przydarzyło, wie o haku, wie, co oni zrobili. Nie rozumiesz, że Bóg zadba o sprawiedliwość dla ciebie?

(- Obudź się, Quinn. Quinn, obudź się.)

- A czemu miałabym stąd iść, kiedy tu tak przyjemnie - zdziwiła się

Rebeka. - Spójrz, to jest ta bluzeczka, którą znalazłeś w kufrze. Baba

Ramona wyprała i wyprasowała wszystkie moje rzeczy, tak jak jej

kazałeś. Włożyłam ją specjalnie dla ciebie i widzisz tę kameę? Ale jest

śliczna. To Wenus z kupidyńkiem u boku. Wzięłam ją z gablotki ciotki

Queen. Och, jak cudownie się z tobą czuję. Napij się jeszcze kawy. Co

zrobisz z moimi starymi rzeczami?

(- Obudź się, Quinn. Quinn, obudź się.)

- Ważniejsze jest, co z tobą zrobię - odpowiedziałem - i mówię ci, wróć do Boga. Wszyscy do Niego wracamy. To tylko kwestia czasu.

Ściągnięcie laptopa zajęło mi trzy dni. Prawdę mówiąc, to Nash Penfield, nauczyciel, który miał mi pokazać świat, kupił go po przyjeździe i chociaż miałem go poznać dopiero w bardziej przyjaznych okolicznościach - to była moja decyzja, nie ciotki - już czułem, że mam wobec niego dług wdzięczności za to, iż zechciał wybrać odpowiednie urządzenie i kupić do niego przedłużacz.

Podczas tych trzech dni badali mnie na wszystkie możliwe sposoby i pod koniec tej męki stało się jasne, że nie mam uszkodzonego płata skroniowego, epilepsji ani guzów mózgu. Mój poziom elektrolitów był w normie, białych i czerwonych ciałek krwi również. Nie zażywałem narkotyków i nie miałem kłopotów z krążeniem. Ani z tarczycą, ani z przysadką mózgową. Bardzo lekki obrzęk mózgu, wynik uderzenia głową o ścianę, szybko ustąpił. I bóle głowy zniknęły.

Mieliśmy wielką debatę, czy należy zbadać mi płyn rdzeniowy, i w końcu przekonałem ich, aby go zbadali i żebyśmy mieli to z głowy.

Przeżyłem to ryzyko. Nic podejrzanego nie znaleziono.

Podczas długich podróży przepięknie wymalowanym labiryntem szpitalnych korytarzy opowiedziałem całą historię nocnego zamętu każdemu, kto chciał jej wysłuchać.

Doktor Winn Mayfair wysłuchał ze spokojem i uwagą moich opisów

Goblina i wydarzeń w łazience. Obecna w pokoju ciotka nie przerywała mi, chociaż czasem wpadałem w ekscytację.

Doktor Winn zachowywał jakiś głęboki dystans. Nie tyle zależało mi na jego akceptacji, ile na jego fachowej wiedzy, chociaż zachowywał daleko posuniętą ostrożność w wydawaniu sądów. I nie byłem zaskoczony, gdy poprosił mnie o zgodę na konsultacje psychiatryczne. Odmówiłem. Ciotka postarała się jednak, żebym zmienił zdanie - Ściągnęła do szpitala połowę swojej garderoby i każdego dnia wkładała inną śliczną luźną suknię z dobranym kapeluszem i siadywała przy moim łóżku, biorąc mnie za rękę.

- Nie rozumiesz, dlaczego mi na tym zależy? - spytała retorycznie. -

Nie mam wyboru. Jeśli nie będę nalegała, żebyś porozmawiał z psychiatrami, obwinia nas o zwykłe zaniedbanie, przemyśl to, Quinn. Oboje zostaniemy obwinieni. Musimy przez to przebrnąć i wrócić do naszego życia.

- A jakie ono będzie, ciociu Queen? Co się stanie z dworem

Blackwood? Nie zdajesz sobie sprawy, że gdy wyruszymy razem na jedną z twoich egzotycznych wypraw, żaden Blackwood nie pozostanie w posiadłości? Spotkam się z tym nauczycielem, tak, obiecałem ci, że to zrobię, ale nie tu, nigdy w życiu.

- Absolutnie cię rozumiem - powiedziała. - I nie przejmuj się Nashem, jest mu całkiem dobrze u nas w pokoju gościnnym i jeśli wszystko ułoży się po naszej myśli, czekają nas cudowne kreolskie wakacje. Pewnie trudno ci to sobie wyobrazić, ale mogłabym przysiąc, że Jasmine flirtuje z Nashem. Coś ją napadło. I jeśli chcesz poznać moje zdanie, to najwyższa pora, żeby ta dziewczyna pomyślała o sobie. Dzisiaj krzątała się w tej zabójczej

sukience od Chanel, którą jej dałam dwa lata temu. Dawniej nie wkładała niczego, co jej dałam. Myślę, że Jasmine zobaczyła swoją przyszłość.

- To znaczy? - spytałem.

- Zarządzanie Blackwood pod naszą nieobecność. Znakomicie się do tego nadaje, a Clem i Baba Ramona są całym sercem za nią. Chcę powiedzieć, że Jasmine całe życie uwielbiała kierować domem, jest bystra, wygadana i z pewnością weźmie na siebie odpowiedzialność w zamian za część zysku.

- Nie wiedziałem, że osiągamy zysk - powiedziałem. - Dziadek mówił, że cały czas jedziemy na stratach.

- Och, dziadek był pesymistą, Panie, świeć nad jego duszą, mil i oczywiście miał rację. Goście hotelowi zapewniają część środków na prowadzenie dworu i utrzymanie służby i cała sprawa sprowadza się do jednego, żeby dwór Blackwood żył, nieprawdaż? Może powinnam powiedzieć „wpływy” zamiast „zyski”. Teraz to lepiej brzmi? Kiedy poznamy testament dziadka, wszystko się wyjaśni.

- A kiedy to nastąpi? - spytałem.

- No cóż, Patsy jest w domu od dwóch dni. Wyobrażam sobie, że moglibyśmy to zrobić zaraz pojutrze.

- W porządku - powiedziałem. Te nagłe informacje oszołomiły mnie.

Byłem całkowicie zaprzątnięty sobą, pełen lęku, dziwnych snów o Rebecce i wizji Goblina w technicolorze.

Pomysł, by Jasmine zarządzała dworem Blackwood, zaczął mi się podobać. To było dla niej idealne zajęcie. Ciotka rozumiała Jasmine lepiej

niż ktokolwiek inny, nawet lepiej niż sama Jasmine siebie.

Nagle poczułem zdumiewające pragnienie, aby uciec z tego miejsca.

Jeśli Jasmine zamierzała uchylić się od swojego „przeznaczenia” - to chciałem z nią porozmawiać. Prawda wyglądała następująco: Jasmine faktycznie w dużej mierze zarządzała dworem i chociaż wcale nie byłem tak bardzo przekonany, że jej braciszek Clem służył jej pomocą, to mógłby się przydać jako zarządca robotników rolnych, prawa ręka Allena, który z kolei w tym zakresie był prawą ręką dziadka. Chciałem wrócić za wszelką cenę.

Poza tym chciałem zobaczyć, jak szykownie wygląda Jasmine w tej kreacji od Chanel. (W głębi mojego zepsutego serca osiemnastolatka kombinowałem, jak by tu powtórzyć rozkoszny wieczór z Jasmine.)

- Niech będzie, spotkam się z tymi psychiatrami - ustąpiłem. - Ale chcę się ubrać. Nie zamierzam uciekać. Chcę włożyć mój garnitur od Armaniego, jedną z tych ręcznie szytych koszul, które wciąż mi przysyłasz z Europy, i ten krawat od Versacego, który przynosi mi szczęście. O, i jeszcze buty od Johnstona i Murphy'ego. Chcę przynajmniej wyglądać jak człowiek zdrowy psychicznie. A poza tym Goblin lubi te rzeczy. Kiedy wkładam Je na jakąś domową uroczystość, jest w siódmym niebie.

- To bardzo krzepiące - powiedziała. - Zaraz się tym zajmę. I naprawdę powinieneś włożyć te swoje odświętne buty. Czy możemy się spodziewać Goblina podczas tych konsultacji?

- Oczywiście - odparłem. - Myślisz, że bym go wykluczył? Poza tym nie zawsze potrafię go kontrolować. Tutaj zachowuje się spokojnie.

Wytrzymuje wszystko, demonstrując pogardliwą wyniosłość.

- Już to sobie wyobrażam - powiedziała. Zauważyłem, że patrzy dokładnie w to miejsce, w którym stał Goblin, wpatrując się w nią z chłodnym dystansem.

Nie mogłem jej powiedzieć, że w szpitalu Goblin zachowywał się dziwnie. Poza tym zmienił styl. Nie naśladował mnie zewnątrz, chociaż może był gotów to zrobić podczas spotkania z psychiatrami. Nie nosił szpitalnej koszuli ani flanelowych nocnych koszul. Przeciwnie - wkładał dżinsy i koszule, które zostały w domu. Zdumiewająca zmiana.

Największym wszak niepokojem napawał mnie jego wyraz twarzy, coraz to nowe miny. Teraz jego twarz stała się o wiele wyraźniejsza.

Tchnęła chłodem, czasem rozpaczą i rzadko, jeśli w ogóle, odzwierciedlała moje uczucia.

Muszę zaznaczyć, że w szpitalu uwolniłem się od tamtych natrętnych ataków paniki. Doznawałem tchórzowskiego poczucia bezpieczeństwa.

Zbyt wiele się działo, ciotka zamawiała podwieczorek do mojego pokoju, Baba Ramona wpadała, przywożąc mi wymyślne koszule nocne, ukochana siostra babuni, ciocia Ruthie, przynosiła pyszne czekoladki, strażnicy wtykali głowę do pokoju i przewijało się mnóstwo kuzynów, składających nam wyrazy szacunku, chociaż co sądzili o tym, co mi się przydarzyło, to już ich tajemnica.

W każdym razie po niekończących się przekładaniach terminu dostałem wymarzony laptop; usiadłem w fotelu przy łóżku i Przyzywałem Goblina. Moje myśli krążyły wokół niego, nie dając mi spokoju.

- Muszę teraz popracować, ciociu Queen - powiedziałem pogodnie. -

Daj mi całusa i idź na obiad do Commander's Palace. Nie byłaś tam, od kiedy się to zaczęło.

Była podejrzliwa.

- Ale nie masz tu podłączonego Internetu, do czego ci ten laptop?

Piszesz powieść?

- Używam go do rozmów z Goblinem. W ten sposób łatwiej mu nawiązać łączność niż telepatycznie. Karmi się elektrycznością. Prosił o niego.

- O, mój kochany Quinn - powiedziała, załamując ręce z niepokojem i zmieszaniem.

- Ciociu, pozwól, że jeszcze raz ci powtórzę: on uratował mi życie.

Tamten drań by mnie zabił!

- Kochanie, a może byś tak przestał opowiadać o Goblinie? I może byśmy zniszczyli tę Samotnię, rozebrali to dziwne mauzoleum, przenieśli złote płyty do domu i pozwolili glicyniom zarosnąć całe tamto miejsce?

- To wstrząsające, co mówisz - skarciłem ją. - To dla mnie bolesne!

Chcę zatrzymać Samotnię. Wciąż myślę o tamtym marmurowym biurku i złotym krześle. Chcę odmalować ten dom, położyć marmury na podłogach.

Słuchaj, wiem, że przysparzam ci zmartwień. Wiem, jakiego bólu zaznałaś po śmierci dziadka, i nie chcę, żebyś dalej cierpiała, ale pragnę zatrzymać

tamten dom, nie rozumiesz, on należy do nas, nie do tego intruza!

Zerknąłem na Goblina. Bacznie przyglądał się ciotce. A gdy spojrzał

na mnie, jego twarz była zupełnie bez wyrazu. Jakbym przyprawiał go o

znudzenie. Musiałem z nim porozmawiać. Musiałem się dowiedzieć, co teraz wie! Byłem jedyną osobą na świecie, która wiedziała, że na Wyspie Słodkiego Czarta wydarzyła się niezwykła tragedia i że klucz do niej może mieć to stworzenie.

- No, dobrze, skarbie najdroższy - powiedziała moja ukochana ciotka.

- Idę na górę zjeść kolację.

Ciotka mówiła mi już wcześniej, że w całym kompleksie Mayfair

Medical są cztery restauracje i najlepsza z nich może rywalizować z

każdym nowoorleańskim lokalem. To był pomp Rowan Mayfair, zapewnić

różną kuchnię odwiedzającym i samym chorym. Mogłeś zjeść coś na

chybcika w prostej karecie w suterenie, a mogłeś wjechać na sam szczyt

budynku i w Grań zamówić najwymyślniejsze potrawy. Ciotka została

stałą bywalczynią Grand Luminière. Również mnie przywożono stamtąd

posiłki.

- Wiesz, spotykam się z Nashem - mówiła dalej - i jeśli tylko nie

miałbyś...

- Spotkam się z nim, kiedy będę właściwie ubrany - powiedziałem. -

Nie teraz, kiedy do kompletu brakuje mi szlafmocy.

Wstała, by przygotować się do wyjścia.

- Jest jeszcze jedna rzecz, ciociu - powiedziałem.

- Tak? - spytała. Gdy tak stała nade mną, gotowa mnie pocałować,

była wcieleniem dobroci i troski.

- Kiedy się stąd wydostanę? To wyraźnie była chwila decyzji.

- Jutro, może po rozmowie z psychiatrami? - zaproponowała. - Jest

wyznaczona na czwartą.

Z góry założyli, że się zgodzę, pomyślałem, ale nie pokazałem po sobie niczego.

- W porządku - powiedziałem. - To może ty, ja, Nash i Goblin zjemy po konsultacjach obiad w Grand Luminière.

- Cudowny pomysł! - wykrzyknęła. - Sprawileś mi wielką przyjemność. Wyjątkową przyjemność. Przekonasz się, jaka to świetna restauracja! Nie mogę się doczekać, żeby opowiedzieć wszystko Nashowi. - I zasypawszy mnie pocałunkami, wyszła, zostawiając za sobą cudowny zapach perfum, których używała również Lynelle.

Spojrzałem na Goblina. Nic nie wskazywało, że zamierza się ruszyć z kąta, w którym się rozwalił. Miał na sobie mój krawat od Versace. Jakby chciał mnie wyprowadzić z równowagi.

Włączyłem komputer. „Nie rozmawiałeś ze mną od tamtej nocy - powiedziałem i napisałem. - Co ci jest? O co chodzi? Opowiedziałem wszystkim, czego dokonałeś. Ze to twoja zasługa”.

Zniknął, co było tym bardziej zaskakujące, że przed chwilą był niesłychanie wyrazisty. Klawisze komputera zaczęły się poruszać I napisał: „Lubię się złościć”.

Wprawił mnie w osłupienie. „To niedobrze - pisałem, nadal mówiąc. - Tamten człowiek, który zrobił mi krzywdę, był rozzłoszczony. Widziałeś te brzydkie rzeczy, które mi zrobił?”

„Mów dorosłymi słowami. - Klawisze strzelały z piorunującą szybkością. - Powiedziałem ci, że znam wszystkie słowa, które

kiedykolwiek napisałeś na komputerze. Słucham. Poznaję. Poznaję słowa i sprawy. A kiedy się rozzłościłem, to z twojego powodu”.

„Wiem, że z mojego powodu - odpowiedziałem. - Przecież na pewno słyszałeś, jak mówiłem o tym wszystkim”.

„Nie rozumiesz, co z tobą wyprawiają? - spytał. Klawisze poruszały się z niebywałą prędkością. - Chcą mi cię zabrać. Chcą nas rozdzielić, a my jesteśmy Quinn Goblin i oni tego nie rozumieją”.

- To nieważne, co oni sobie myślą - powiedziałem. Mówiłem łagodnym tonem. - Kocham cię. Jestem wobec ciebie lojalny. Nie mogą nas rozłączyć. To niemożliwe. Nie możesz się złościć. Nie możesz stosować przemocy. Kiedy jesteś zły i używasz przemocy, nie mogę cię kochać.

„Chyba że chodzi o twoje dobro, prawda? - odpisał. - Gdy chodzi o ciebie, to jest w porządku, tak?”

Nigdy nie wyrażał się w ten sposób. Pokazał, że stać go na wyrafinowane myślenie. W drobnej sprawie, ale to było znaczące.

- To prawda - potwierdziłem. - Chcę, żebyś mnie chronił. Chronił dwór Blackwood. Chronił wszystkich, których kocham.

„Bawisz mnie”, napisał.

- Czemu to? - spytałem z groźnie brzmiącym spokojem. Komputer spadł z moich kolan na podłogę. Zanim udało mu się wstać z fotela, on był przy mnie, całkowicie widoczny, i całował mnie w usta. Potem się cofnął, tylko o włos, i złapał mnie za ramiona.

Poruszał ustami i po raz pierwszy usłyszałem jego męski, wyrazisty głos. Mówił powoli.

- Teraz się mnie boisz - rzekł. Poruszał ustami jak w zwolnionym tempie.

- Na tym ci zależy? - spytałem. Byłem ciężko przerażony' Podczas całej utarczki z nieznanym nie doznałem takiego przerażenia. - Zależy ci na tym, żebym się ciebie bał? Nie mogę cię kochać i bać się ciebie. Jeśli będziesz budził we mnie lęk, znienawidzę cię. Widziałeś, jak nienawidzę tamtego obcego? Wybieraj.

Znów pochylił się do pocałunku i poczułem jego usta na swoich, tak jak usta Jasmine. Wsunął mi rękę między nogi. Przejechał nią wyżej.

- Nie, nie tutaj - powiedziałem. - Cierpliwości.

Znów odezwał się do mnie. Odezwał się.

- Ale kiedy ty to czujesz, ja to czuję. Chcę tego.

Położył dłoń na moim członku i uległem. Uległem i w kilkanaście sekund było po wszystkim. Opadłem na fotel i zamknąłem oczy. Czulem się senny i odprężony. Zapadła cisza. Trwała pięć minut, może dłużej. On nadal jednak był przy mnie. Klęczał tuż obok, ale nie mogłem na niego spojrzeć.

- Kim był tamten obcy? - spytałem. Otworzyłem oczy. - Wciąż cię pytam. Kim on był?

- Nie wiem - odparł. Brzmienie jego monotonnego głosu było naprawdę przerażające.

- Gdzie jest nieznanomy? - spytałem.

- Nie wiem - odparł takim tonem jak poprzednio. - Gdybym wiedział, znalazłbym go i zadał mu ból. Nie wiem wszystkiego. - Mówił wciąż tym

samym płaskim głosem. - Wiem dużo więcej, niż myślisz.

Nic na to nie odpowiedziałem. Za bardzo się bałem. Staralem się wzbudzić w sobie miłość, nie dlatego, że chciałem mu ją okazać, ale dlatego, że ogarniało mnie szaleństwo. Do następnego dnia mogłem się zamienić w kompletnego szaleńca.

- Chcę, żebyś teraz mnie zostawił - poleciłem mu. Spojrzałem mu w oczy. - Chcę, żebyś pozwolił mi się zastanowić, rozumiesz?

- Myślisz, że możesz mi rozkazywać - powiedział. Usta jakby nie nadążały za słowami. - Nie możesz mi rozkazywać. Ale że cię kocham, zostawię cię. Uważaj na nich. Mogą ci sprawić wiele złego.

- Nie strasz mnie więcej.

- Nie chcę cię straszyć - rzekł głos. - Ale musisz zrozumieć że oni chcą, żebyś się zmienił. Chcą, żebyś mnie nie słyszał ani nie widział.

- To się im nie uda - szepnąłem. - Teraz idź. Muszę zostać sam. Ty nigdy nie chcesz być sam?

Żadnej odpowiedzi.

- Dokąd odchodzisz, gdy nie jesteś ze mną? - spytałem. Bez odpowiedzi.

- Powiedz mi - powtórzyłem - dokąd odchodzisz? A może zostajesz przy mnie, niewidzialny, obserwujesz i uczysz się?

Bez odpowiedzi.

Poczułem, że odchodzi. Poczułem zmianę temperatury w pokoju.

Słyszałem różne szelesty, skrzypienie łóżka, klekot żaluzji, potem zapadła cisza.

Zrobiłem znak krzyża. Cóż mogłem uczynić? Gdzie miałem szukać kogoś, kto zrozumiałby moją sytuację? Do diabła, potrzebowałem kogoś, kto powiedziałby mi, co robić.

Poszedłem do łazienki i zmyłem spermę z ud. Umyłem ręce. Wróciłem i sięgnąłem po różaniec leżący na stoliku nocnym. Baba Ramona go odzyskała. To był mój różaniec z granatów. Pamiątka pierwszej komunii. Prezent od Lynelle. Zacząłem się modlić.

Nie mogłem się jednak skupić na tajemnicach różańca. Myślałem o nieznanym. A co, jeśli wróci na dwór Blackwood? Co zrobi, jeśli Samotnia została zniszczona? Wyobraziłem go sobie, jego płonące ciemne oczy. Jaki był nieprawdopodobnie rozjuszony, gdy wirując jak derwisz, bronił się przed fruwającym szkłem.

I jeśli usnąłem, śniłem o Rebecce.

Na spotkanie z psychiatrami Goblin zjawił się punktualnie. Znow był moim doskonałym sobowtórem, a wyraz pogardy i znudzenia zniknął z jego twarzy. Objął mnie ramieniem i widziałem, że obawia się rozwoju wydarzeń.

Gdy weszliśmy do pokoju - Goblin, ja i ciotka Queen - przemknęło mi przez głowę: A może tak zaufać tym ludziom? Może uda mi się ich przekonać? Może zdołają mi pomóc? Nie będą wymyślać byle jakiej diagnozy, ale rozprawią się z Rebeką, Goblinem i paniką, która zagnała mnie do Samotni. Może pomogą mi w walce z intruzem? Równocześnie było mi wstyd wobec Goblina. Strach, który wzbudził we mnie ostatnio, okazał się silniejszy niż poczucie lojalności. Nie miał jednak pojęcia, co czuję. Mimo że ostatnio niesłychanie się rozwinął, nie potrafił czytać w moich myślach.

Ze spokojem poprosiłem o krzesło dla niego, aby mógł usiąść obok, i kładąc mu rękę na kolanie, poczułem, że się uspokaja. Spojrzałem na jego profil i stwierdziłem, że patrzy na lekarzy z lodowatym chłodem.

Poinformowałem ich, że co prawda nie widzą Goblina, ale siedzi po mojej lewej stronie, patrzy na nich i słyszy wszystko, co mówimy.

Niebawem się okazało, że po psychiatrach nie należy się spodziewać niczego wyjątkowego, półgodzinne badanie upłynęło głównie na niczym.

Dwaj młodszy lekarze, zapewne stażyści, byli sterylnymi i zimnymi ludźmi, jedyna kobieta w składzie konsylium okazała się pozbawiona własnego

zdania

i

nadskakiwała

wszystkim,

a

przewodniczący,

duży,

niedźwiedziowaty mężczyzna, sam Wyglądał tak, jakby cierpiał na nieuleczalną depresję.

Winn Mayfair był obecny i przyglądał mi się z pełnym godności milczeniem. Na tle swoich kolegów sprawiał znakomite wrażenie.

Krótko i bez emocji przedstawiłem im swój przypadek. Nie kryłem niczego poza najświeższymi, intymnymi szczegółami moich erotycznych kontaktów z Goblinem. O jego heroicznym wyczynach opowiedziałem wiele. O naszych kontaktach seksualnych - nic. Gdy opisywałem romans z Rebeką, grzebanie jej szczątków, wizytę laborantów z Mayfair Medical i obecność FBI na wyspie, lekarze spojrzeli pytająco na ciotkę, która chętnie potwierdziła to, co mogła potwierdzić.

- Czy zdajesz sobie sprawę - spytał misiowaty przewodniczący - że w łazience, w której miałeś być zaatakowany, nie znaleziono żadnych odcisków palców? Ani na ścianach, ani na toalecie, ani na szkle. Niczego, co można by zbadać.

Nie wiedziałem o tym i byłem gorzko zawiedziony, że dowiaduję się tego w takich okolicznościach.

- Intruz dobrał się tylko do mnie - wyjaśniłem ze spokojem, chociaż twarz mnie paliła. - Szkło zbiło się w drobny mak.

- Wiesz również - kontynuował przewodniczący - że twoja gospodyni, Ramona, nie widziała tego intruza, podobnie jak ochrona twojej posiadłości.

Znów zrobiło mi się przykro, że ciotka nie powiedziała mi wcześniej o żadnej z tych rzeczy, ale przełknąłem złość i po prostu wzruszyłem ramionami.

- Niech doktor Winn potwierdzi. Sam nie zadałem sobie tych urazów. Powstał impas.

Następnie stawiali te same pytania, co lata temu psycholog dziecięcy. Dorzucili parę nowych: Czy słyszę głosy? Czy Goblin kiedykolwiek mówił mi, co mam robić? Czy zdarza mi się tracie przytomność?

*Czy
znam
swój
iloraz
inteligencji?*

*Czy
byłem
zainteresowany uczęszczaniem do college'u? Udzielałem prostych odpowiedzi. Chciałem, żeby się to skończyło.*

Na koniec Winn Mayfair zapytał mnie cicho i z szacunkiem czy on

sam bądź ktoś z obecnych mógłby coś dla mnie zrobić. Czy może ja chcę o coś zapytać?

To mnie całkowicie zaskoczyło. Nie spodziewałem się tak przyjacielskiej i trzeźwej postawy. Zdrowy rozsądek podpowiadał, aby się nie spieszyć i przemyśleć odpowiedź, ale ja wypaliłem:

- Nie, dziękuję. Myślę, że zająłem wam dość czasu. Zakładam, że się naradzicie i prześlecie mi waszą diagnozę?

- Zrobimy tak, jeśli sobie tego życzysz - rzekł doktor Winn. -

Dziękujemy ci za przybycie.

- Mówicie o mnie tak, jakbym był jakimś nietypowym okazem -

powiedziałem i kontynuowałem, nie przejmując się tym, że ciotce aż dech zaparło. - Ściągnięto mnie tu ze względu na was czy na mnie?

Doktor Winn nie przejął się moim ostrym tonem.

- Ten szpital jest placówką naukową, Quinn - wyjaśnił. - Nasza

działalność przynosi korzyść obu stronom. Co się tyczy diagnozy, to już w

tej chwili jest oczywiste, że nie jesteś typem maniakalno - depresyjnym,

schizofrenicznym ani socjopatycznym. Socjopaci to ludzie agresywni

wobec otoczenia. - Powstał, dając znak wszystkim obecnym, i tym razem

podał mi rękę, mówiąc, że moja cierpliwość „zasługuje na brawa”.

Dwaj

sterylni

młodzi

ludzie

zniknęli,

nimi

kobieta,

niedźwiedziowaty przewodniczący życzył mi powodzenia, a ciotka

oświadczyła promiennie, że wreszcie możemy pojechać do Grand

Luminière na cudowną kolację.

Goblin wpijał się we mnie, mocno obejmując ramieniem w windzie

sunącej na najwyższe piętro.

Zastanawiałem się nad czekającym mnie niebawem spotkaniem

Nasha Penfielda. Nie zamierzałem dać się złapać na lep słodkich słówek i

wyznawać mu wszystkiego.

Nie spodziewałem się tak cudownej restauracji. Nawet wcześniejsze

ochy i achy ciotki nie mogły dorównać rzeczywistości. Znaleźliśmy się

wysoko nad Nowym Orleanem, we wspaniałym Miejscu widokowym na

planie koła, przeszklonym wielkimi łukowatymi oknami, przez które

zaglądało piękne słońce popołudnia.

Po wschodniej stronie stała kolumnada, oddzielająca taras

zwieńczony balustradą w tokańskim stylu. W środku między oknami

wisiał bogate obrazy w ciężkich, ozdobnych ramach - dzieła sztuki z wielu

różnych krajów. Od razu dostrzegłem mistrzów niderlandzkich.

- Mój Boże - zawołałem do ciotki - jesteśmy wśród rembrandtów!

- Nie, kochanie, to wszystko podróbki albo reprodukcje, jak lubi je

nazywać Rowan Mayfair. Zamówiono je specjalnie do tego wnętrza, ale

się nie przejmuj. Wkrótce znajdziesz się w Amsterdamie, zobaczysz

oryginały.

- Cóż za olśniewający pomysł. Ściągnąć je tu wszystkie dla ludzi, którzy nie zamierzają tłuc się po świecie.

- Spokojnie, spokojnie, skarbie - powiedziała. - Nie krzyw się na zwiedzania świata. Oto i Nash. Już jest przy stoliku. Chodź.

Przyjrzałem się innym, zanim przyjrzałem się Nashowi i

dostrzegłem, że przy stolikach siedzą najrozmaiciej ubrani ludzie. Wielu pacjentów jadło kolację w towarzystwie swoich bliskich, siedząc w wózkach, ale widziało się też ubranych wieczorowo ludzi z miasta, personel szpitalny w strojach roboczych, lekarzy i pielęgniarce.

Stoliki były okrągłe, różnych rozmiarów, zastane białymi obrusami.

Nasz był na cztery osoby i miał cztery nakrycia, co z miejsca bardzo mi się spodobało, gdyż świadczyło, że ciotka traktuje Goblina poważnie.

W restauracji panował duch śmiałego ujednoczenia, a jednocześnie nie stroniono od oryginalności i wyrafinowania, czym kobieta, która zaprojektowała to wnętrze, zyskała moje serce. Wszyscy goście byli traktowani z jednakową serdecznością.

Zachodzące słońce rozjaśniało niebo za oknami, w dole migotały lampy dwóch rzecznych mostów, przepięknie rozjaśniające zmrok. Byłem zachwycony.

Przyszła pora poznać Nasha i przedstawić go Goblinowi. Mężczyzna, który podsuwał krzesło ciotce Queen, był wyższy nawet ode mnie (w tym okresie) o jakieś dwa cale. Miał wyblakłe niebieskie oczy, falujące, mocno posiwiałe na skroniach czarne włosy i był ubrany w znakomity letni

garnitur z biało - niebieskiego lnu. Głęboko pobrużdżone policzki nieco mu zwisały, ale w gruncie rzeczy był całkiem szczupły. Tchnął mądrością i wyrozumiałością, a gdy ujął moją rękę, potrząsnął nią ciepło.

- A, Nash - powiedziałem. - Dziękuję za pomoc w zakupie komputera.

- Bardzo się cieszę, że mogę cię poznać, Quinn - rzekł. Miał głęboki, dźwięczny, bardzo męski głos. Czulo się, że przywykł nim operować w sposób profesjonalny, i czynił to w sposób czarujący. - Rozumiem, że

Goblin ci towarzyszy?

Trudno

było

o

lepszy

początek

znajomości.

Natychmiast

przedstawiłem mu Goblina, który mierzył Nasha zimnym wzrokiem, natomiast sam Nash był doprawdy niezwykle uprzejmy, zwłaszcza że miał do czynienia z kimś, kogo nie widział.

Usiedliśmy wygodnie i gdy tylko zjawiała się kelnerka, powiadomiłem ją, że po mojej lewej ręce siedzi niewidzialna osoba, która będzie jadła to samo co ja. Kobieta była przerażona.

Ciotka potwierdziła zamówienie, zanim tamta miała szansę się roześmiać lub wygłosić jakąś kąśliwą uwagę. A Nash natychmiast pochwalił ciężkie srebra przygotowane do kolacji.

Zamówilem podwójne martini z wódką, sporą ilością oliwy z oliwek i oliwkami, co również zostało bardzo dobrze przyjęte, gdyż ciotka zamówiła to samo dla siebie i dla Goblina, prosząc równocześnie o listę win.

Nash zamówił szklankę wody mineralnej, dodając, że ma za sobą karierę konesera alkoholi, którą zakończył wcześniej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Kelnerka oddaliła się szybko i z pełnym przejściem.

Nash zaczął opowiadać powolnym głębokim głosem, jak poznał w Europie ciotkę. Był przewodnikiem grupy licealistów odbywających wielki objazd po starym kontynencie. Takie były Jego letnie zajęcia; przez pozostałą część roku uczył najstarsze roczniki w Clermont College w Kalifornii, a poza tym zakończył już wszystkie seminaria potrzebne do doktoratu i czekało go jedynie napisanie pracy.

Temat? Analiza dzieł wszystkich Karola Dickensa pod kątem zmian i skrótów redakcyjnych, porównanie tych zmian ze współczesnymi standardami opracowania redakcyjnego i dokładny zestaw skrótów wydawniczych w dziełach Dickensa, wprowadzonych w Anglii i Stanach Zjednoczonych.

To natychmiast wzbudziło moje zainteresowanie, obejmujące również tego posiwiątego dżentelmena o basowym głosie. Poczulem, że mógłbym słuchać godzinami jego pięknie skonstruowanych wypowiedzi. Więcej, chciałem go słuchać. Mówił z wielkim zaangażowaniem, a jego wrodzona uprzejmość działała niesłychanie rozbijająco.

Ciotka szybko jednak przeszła do tego, co bezpośrednio ją interesowało - do naszej podróży do Europy. Uważała, że powinniśmy się tam wybrać, gdy tylko zostanie ogłoszony testament dziadka. Oczywiście, Nash zgodził się z nią, że jestem w idealnym wieku do wielkiego objazdu, i uwierzyłem mu, gdy zauważył, iż nigdy nie będę tak chłonny na nowe wrażenia jak teraz. Następnie zwrócił się do Goblina. Wyglądało to tak, że patrząc w przestrzeń obok mnie, spytał, co sądzi o propozycji podróży. Ująłem Goblina za rękę. Była ciężka i ciepła, ale on sam nie okazywał żadnego uczucia, demonstrował jedynie nieruchomy profil i milczał.

- Goblin, co myślisz? Pamiętasz naszą wyprawę do Nowego Jorku? - zapytałem, zanim uświadomiłem sobie, że popełniam błąd. W Nowym Jorku Goblin z każdym dniem znikał coraz bardziej, aż zamienił się w ledwo widzialnego fantoma. - Goblin, nie zrobimy niczego, co mogłoby nam zaszkodzić - powiedziałem. - Masz, łyknij. - Podsunąłem mu kieliszek. A potem sam pociągnąłem łyk. - Twoje zdrowie, Goblin. Trzymamy się razem - Wieczorem wracamy do domu. Mamy dość tego szpitala i wszystkich, którzy wylazili ze skóry, żeby nas rozdzielić.

Oczywiście, Nash i ciotka słyszeli to długie przemówienie i ciotka natychmiast zrozumiała moje intencje.

- Posłuchaj, Goblinie - powiedziała - przecież na pewno chciał' byś pojechać od Europy. Wszystkich nas czeka wspaniała zabawa.

Znów starałem się wzbudzić jakąś jego reakcję, ale bez skutku, udawał, że je ani że pije, tylko wpatrywał się w Nasha, jakby ten był jego wrogiem.

- Nie, Goblinie, to nie jest twój wróg! - Pochyliłem się ku niemu.

Szeptalem: - On jest dla nas dobry. Pamiętasz, jak dobra była Lynelle? Ten człowiek jest taki sam. Wiem o tym od chwili, w której zaczął z nami rozmawiać.

Oczywiście, ciotka i Nash usłyszeli to i ciotka powiedziała od razu:

- Jestem w siódmym niebie. Quinn, nie pij tak szybko tego martini.

Wybrałam naprawdę świetne wino.

Goblin nadal gapił się w pustkę.

- Nie przejmujcie się nim - poradziłem ciotce i Nashowi. - Mam

wrażenie, że pobyt w szpitalu go wyczerpał. Nash... zakładam, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, żebym tak się do ciebie zwracał („Ależ sprawisz mi tym największą przyjemność”, odparł)... dopiero co dostaliśmy strasznie w kość i...

Zanim zdążyłem cokolwiek dodać, Goblin odezwał się swym groźnie monotonnym tonem:

- Do Europy nie mogę. Za daleko dla mnie. Pamiętasz Nowy Jork.

Mówisz jak głupi. Goblin Quinn jedna osoba.

Widziałem, że oprócz mnie nikt go nie słyszy.

- Wiem - odpowiedziałem na głos. - Rozumiem. W porządku. Później to rozważymy.

- Kiedyś myślałem - ciągnął dalej tym samym, mrozącym krew w

żyłach głosem - że Europa istnieje tylko na obrazkach i w opowieściach.

Potem ciocia Queen dzwoniła z Europy, zobaczyliśmy filmy o Europie,

Lynelle uczyła nas o Europie. Europa jest prawdziwa i daleko. Nie jadę do

Europy. Nie. Zrobisz to i się rozdzielimy. Quinn Goblin jedna osoba.

Mój niepokój rósł. Postawiono przed nami pełne talerze, napełniono kieliszki, ale wszyscy w restauracji widzieli, że szepczę w powietrze. Ja jednak nie miałem zamiaru się poddać.

- Tylko posłuchaj tego pana - powiedziałem. - Posłuchaj ciotki Queen.

To nie znaczy, że musimy jechać. - Znów przeszedłem do szeptu. - Ja tylko staram się im przypodobać. Widzisz, muszę Nash będzie moim nauczycielem w Blackwood. Będziemy razem Goblinie, spójrz na mnie.

- Nie, nie chcę na ciebie patrzeć - odparł. - Jesteś fałszywy.

- Boże na wysokościach! - wybuchnąłem. - Czego ty ode mnie chcesz?

Jestem wobec ciebie całkowicie lojalny. Nash, powiedz mu, że będziesz moim nauczycielem w Blackwood. To możliwe prawda?

Nash wpatrywał się intensywnie w miejsce, w którym, jak sądził, była twarz Goblina. Niewiele się pomylił.

- Oczywiście, z przyjemnością będę uczył Quinna w Blackwood. To wspaniały dwór - powiedział. - Goblinie, jestem tu nową osobą. Zależy mi na twojej akceptacji. Wiem na pewno, że Quinn zaakceptuje mnie, tylko jeśli ty pierwszy to zrobisz.

- Tak, zgadza się, to dlatego tu jesteśmy! - potwierdziłem najszczerzej, jak potrafiłem. - Och, gdybyś tylko mógł go zobaczyć! - To było do Nasha. - Widzę go równie dobrze jak ciebie. - Wziąłem Goblina za rękę. - Kocham cię, Goblin. Łączy nas miłość. - Pocałowałem go w policzek.

Wyprostowałem się i podczas chwili ciszy czułem się wystawiony na ciekawskie spojrzenia wszystkich gości i doszczętnie ośmieszony.

Wcześniej myślałem, że trudno będzie przekonać Nasha, a teraz okazywało się, że to Goblin jest nieugięty. I czułem się sam jak palec w tej pełnej ludzi sali, rozmawiając z powietrzem, jak pewnie się wszystkim wydawało, rozmawiając w strachu, bo wiedziałem, na co stać tę niewidzialną osobę, o czym nikt inny nie miał zielonego pojęcia. Nawet ciotka.

I wtedy nastąpił jeden z najniezwyklejszych i najcudowniejszych momentów mojego życia. Patrzyłem to na Nasha, to na ciotkę, gdy nagle zauważyłem, że przy stoliku za nimi siedzi piękna rudowłosa dziewczyna i wpatruje się we mnie. Była niesłychanie podobna do księdza Kevina Mayfaira i miałem takie wrażenie, jakby to ojciec Kevin zmienił płeć i pojawiał się pod postacią swojej boskiej urody siostry.

Miała taką samą bladą cerę jak on, naturalnie zaróżowione policzki, takie same gęste rude włosy i chociaż widok jej nagich piersi pewnie sprawiłby przyjemność każdemu mężczyźnie, były bowiem po kobiecemu pełne, to we włosy wplotła wstążki, jakby była małą dziewczynką.

Spotkaliśmy się wzrokiem, po czym przeniosła wzrok ze mnie na Goblina. Widziała Goblina!

- Tępy Quinn - powiedział Goblin lodowatym, pozbawionym miłości głosem. - Ona gapi się na nas od początku.

Oczywiście. To dlatego nie reagował na mnie wzrokiem, nie wpatrywał się w Nasha ani w ciotkę; patrzył na tę osobę, pierwszą osobę, która zapewne go widziała.

Wstrząs odebrał mi mowę. Wiedziałem, że ciotka o coś mnie pyta, że Nash coś mówi. Nic jednak do mnie nie docierało. Gdy tak wytrzeszczałem

*oczy na tamtą zdumiewającą dziewczynę, wstał siedzący obok niej
mężczyzna i ruszył w naszym kierunku. Wzrok miał utkwiony we mnie.*

*Był siwowłosy, swobodnie, niemniej porządnie ubrany, w niebieską
klubówkę i szare spodnie. Miał wyrazistą mimikę i gdy zwrócił się do
mnie, przekonałem się, że ma dźwięczny głos.*

- Zechciej, proszę, wybaczyć moje natręctwo. Nazywam się Oliver

Stirling. Jestem członkiem pewnej organizacji. Nazywa się Talamaska.

*Chciałbym się przedstawić. Widzisz, badamy zjawiska paranormalne i nie
mogłem nie zwrócić uwagi na twój towarzysza.*

*- Chce pan powiedzieć, że go widział? - spytałem, choć od razu
wiedziałem, że mówi prawdę.*

Goblin zmierzył go wzrokiem, ale nic nie powiedział.

*- Tak, widzę go bardzo wyraźnie - potwierdził pan Oliver, podając mi
wizytówkę. - Jesteśmy niezwykle starym zakonem. Badamy zjawy i tych,
którzy je widzą. Służymy pomocą. Służymy informacją. Twój przyjaciel
zrobił na mnie ogromne wrażenie. Zechciej, proszę, mi wybaczyć.*

- Goblin, odezwij się do pana Olivera - powiedziałem.

Ani się nie poruszył, ani się nie odezwał.

Ciotka wtrąciła się do naszej rozmowy.

*- Proszę, niech pan przestanie, naprawdę - rzekła niezwykle ostro jak
na nią. - Widzi pan, mój kuzyn z racji swojego niezwykle wzrostu
wydaje się dorosły, ale ma dopiero osiemnaście lat, i doprawdy musi pan
wpierw spytać mnie o zgodę, jeśli chce pan zawrzeć z nim znajomość.*

Niech pan jednak wie, że osoby skłonne wierzyć w zjawiska paranormalne

nie mogą liczyć na moją całkowitą aprobatę.

- Ależ ciociu Queen - zawołałem - jak możesz tak mówić! Przez całe życie widziałem Goblina! Proszę cię, błagam, pozwól mi porozmawiać z tym panem. - To nie na niego jednak patrzyłem, tylko na rudą dziewczynę.

Nagle wstałem i bez jednego „przepraszam” podszedłem do jej stolika.

Uniosła ku mnie zielone oczy ojca Kevina. Pukle włosów z wplecionymi wstążkami miała upięte z tyłu głowy. Uśmiechnęła się.

Szeroko. Cudownie.

- Zostań moją żoną - powiedziałem. - Jestem w tobie zakochany.

Widzisz Goblina, prawda?

- Tak, widzę go. Wyjątkowy z niego duch, kolosalny - odparła - ale nie sądzę, żebym mogła wyjść za ciebie za mąż.

Usiadłem, zapewne zajmując miejsce Olivera Stirlinga. Machinalnie rzuciłem spojrzenie w jego kierunku. Prowadził ożywioną dyskusję z ciotką. Dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że naprzeciwko nas siedzą ojciec Kevin i doktor Winn.

- Nazywam się Mona Mayfair - powiedział dziewczyna. Miała niesłychanie świeży, dźwięczny głos. - To są moi kuzyni...

- Znam tych panów. Ojciec Kevinie, zechce ojciec przedstawić nas sobie jak należy.

- Quinn, jesteś przedziwny - powiedział duchowny, uśmiechając się ciepło. - „Przedstawić jak należy”. Zaraz zażyczysz sobie, żebym ogłosił zapowiedzi po mszy. Mona, to jest Tarquin Blackwood, ma osiemnaście lat i zabiera wszędzie ze sobą swojego sługę, famulusasy.*

- Ten duch to nie famulus - poprawiła go Mona. - Nie sługa ani

towarzysz. Jest na to zbyt samodzielny, żeby go tak nazywać.

Och, jaki miała cudowny głos, śpiewny, jak swobodnie się śmiała!

- Chcę się z tobą ożenić, Mono, wiem to na pewno - wymamrotałem.

Nigdy w życiu nie spotkałem osoby tak uroczej, tak godnej miłości jak

Mona i wiedziałem, że nigdy więcej nie spotkam. Byłem o tym przekonany.

Cały świat był nieważny. Ważna była tylko ta jedna dziewczyna. - Mono,

** Słowo to dawniej oznaczało również zwierzę towarzyszące wiedźmom i czarowni (najczęściej kota),*

obdarzone pewnymi mocami (przyp. tłum.).

chodź ze mną, porozmawiajmy tylko we dwoje.

- Tarquin, wyluzuj, proszę - powiedziała. - Ładny z ciebie chłopak, ale

nie mogę tak po prostu wstać i odejść z tobą od stolika. Obserwuje mnie

tylu ludzi, że po prostu byś nie uwierzył.

- Och, ze mną jest tak samo, każda moja decyzja jest poddawana pod

głosowanie. Mono, uwielbiam cię. - Spojrzałem na swoje ręce. Co włożyłem

na tamto obrzydliwe spotkanie z psychiatrami? Na palcu prawej ręki

miałem obrączkę wysadzaną brylantami. Zdjąłem ją. Podąłem ją Monie.

- Quinn, daj spokój - skarcił mnie ojciec Kevin. - Czemu nie

porozmawiasz z Moną normalnie? Nie musisz jej proponować obrączki.

Nawet jej nie znasz.

- I popatrz - powiedziała Mona, wskazując nasz stolik. - Twój duch

wstał i wytrzeszcza na ciebie oczy. Wie, że go widzę, ale nie ma pojęcia, co

o tym myśleć. Spójrz, z jaką pogardą patrzy na Stirlinga.

- Stirling powiedział, że należy do Talamaski, zgadza się? Muszę się więcej o niej dowiedzieć. Ojciec zna tę Talamaskę?

- Na tyle, na ile katolicki duchowny może znać taką organizację - odparł ze swobodą. - Quinn, Stirling to porządny człowiek. Nie mogę się wypowiadać o całej Talamasce, ale Stirling jest dobrym przyjacielem Mony i moim.

- Potrzebujesz kogoś takiego jak on - poradziła mi Mona. - Nie takiego jak ja. Jestem zbyt wyniszczona.

- Na Boga, o czym ty mówisz? - spytałem. - Wyniszczona...?! Jesteś niesamowita. Chciałbym... Zaraz zwariuję. Wiedziałem, że dzisiaj zwariuję. Najpierw to konsylium psychiatryczne, potem Goblin się odął i dziwnie się zachowuje, a teraz ty mi mówisz, że ani ci w głowie wyjść za mnie! Więc pozwól, żebym chociaż cię odwiedził, pozwól, żebym mógł przynieść ci kwiaty i usiadł w salonie razem z tobą i twoją matką, dobrze? Przysięgam, zachowam się jak wzór dżentelmena.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej i w jej żywych oczach ukazało się melancholijne rozbawienie. Dostrzegłem tam jeszcze zapowiedź tajemnic, mądrość i dobroć.

- Przysięgam na Boga, gdybym nie była tym, kim jestem... - przerwała. - Mayfairowie mojego pokroju zawsze biorą ślub z innymi Mayfairami. Nie mamy wyboru. Nikt inny nas nie rozumie. - Westchnęła.

- Ja cię rozumiem. Widziałaś inne zjawy, prawda? Od razu poznałaś się na Goblinie.

- Widziałam wiele zjaw - przytaknęła mi ze spokojem. - Może ty i ja

moglibyśmy po prostu zabawić się przez chwilę.

- Nie, to nie wydaje mi się dobrym pomysłem - wtrącił się ojciec

Kevin. - Quinn, twoja ciotka zaczyna tracić cierpliwość. - Wstał. - Myślę, że powinienem przerwać tamtą rozmowę i pohamować Stirlinga. Nigdy nie widziałem, żeby się tak zachowywał. Chyba mu się wydaje, że jest ci potrzebny, Quinn. Chodź tam do nich, zaraz.

- Ale nawet nie wiem, gdzie mieszkasz! - powiedziałem Monie.

Spojrzałem na doktora Winna. Jego zimne niebieskie oczy i pozbawiona wyrazu twarz nie powiedziały mi niczego.

- Rusz się, Quinn - ponaglił mnie ojciec Kevin.

- Na rogu Pierwszej i Chestnut - rzekła Mona. - Wiesz gdzie? W centrum, przy Nabrzeżu. To Garden District...

- Świetnie wiem, gdzie to jest - powiedziałem. - Moja babcia dorastała przy Coliseum Street. Odwiedzę cię.

Podeszliśmy z księdzem Kevinem do naszego stolika. Oliver Stirling żywo dyskutował z ciotką.

- Naszym celem jest tylko pomaganie ludziom - mówił - Osoba, która widzi duchy, czuje się bardzo osamotniona.

- Ma pan rację - powiedziałem - świętą rację. Goblin stał, zimnym wzrokiem obserwując wydarzenia przy stoliku, a potem spojrzał na tamten cudowny kwiat, Monę.

Stirling podniósł się. Wręczył mi wizytówkę.

- Weź ją. Zadzwoń, jeśli będziesz miał ochotę porozmawiać. I jeśli twoja ciotka, pani McQueen, na to pozwoli.

- Jest mi niezwykle przykro - upierała się przy swoim ciotka - ale nie wydaje mi się, żeby to był taki dobry pomysł, panie Oliverze, i nalegam, aby pozostawił pan mojego kuzyna jego losowi.

- Jego losowi - powtórzył pan Oliver. - Jakież to wiele mówiące określenie.

- W rzeczy samej - poparłem go. - Ciociu Queen, jestem zakochany. Jestem zakochany w tamtej dziewczynie. Odwróć głowę. Nie uwierzysz własnym oczom.

- Dobry Boże - powiedziała - ależ to żeński osobnik z rodziny Mayfairów.

- Cóż to za dziwaczne określenie! - wykrzyknąłem. Ojciec Kevin zachichotał pod nosem.

- Panno Queen - zwrócił się uśmiechnięty do ciotki - zawsze mi się wydawało, że mogę liczyć na pani przychyłność. Wiem, że każe się pani wozić na drugą stronę jeziora, żeby uczestniczyć w mszy, którą celebruję.

- Jest pan cudownym kapłanem, ojczy Kevinie - odparła - służą Bożym, jak wszyscy dobrze wiemy, wyświęconym w Kościele katolickim, nikt tego nie podważa... ale my tu mówimy o kuzynce ojca, Monie, nie myślę się, prawda? Tak, o Monie, a to zupełnie inna historia. Kochanie, myślę, że na nas czas, jedziemy do domu. Quinn, zostałeś wypisany i spakowany. Nash, mam nadzieję, że nie będziesz miał mi strasznie...

- Ciociu Queen, co się dzieje? - spytałem.

- Jedziemy, kochanie. Panie Oliverze...? Chciałabym rzec, iż Poznanie pana było przyjemnością. Dziękuję za pańskie dobre intencje.

- Proszę to zatrzymać - powiedział Stirling, wręczając jej wizytówkę.

Tę którą mi dał, miałem przy sobie. Włożyłem ją do kieszeni.

Spojrzałem jeszcze raz na tamtą promienną dziewczynę. Gdy nasze oczy się spotkały, usłyszałem tak wyraźnie, jakby to Goblin mówił mi do ucha: „Pierwsza i Chestnut”.

Goblin zniknął. Wyciągnięto mnie z restauracji. Byłem tak oszołomiony i wściekły jak nigdy w życiu! Otrzeźwiałem dopiero gdy dotarliśmy do samochodu. Zażądałem, abyśmy przystanęli.

- Goblin - zawołałem. - Nie rozumiecie? Odlączył się ode mnie i będzie ją napastować. Goblin, wracaj.

Wtedy poczułem zimny powiew przy uchu, jak ruch skrzydeł komara. „Jesteś głupcem, Quinn. Nie chcę z nią. Ona mnie nie kocha. Nie jestem jej. Jestem z tobą. Jestem twój. Quinn i Goblin jedna osoba”.

- Dzięki Bogu - szepnąłem.

Wielka limuzyna ruszyła spod rozsuwanych drzwi i rozplakałem jak dziecko.

- Po prostu nie rozumiecie - szlochałem. - Ona widzi Goblina. A ja jestem w niej zakochany. To najjaśniejszy brylant wśród wszystkich ludzi, których znam.

Tego wieczoru między mną i Nashem narodziło się wyjątkowe porozumienie, takie jakie udało mi się stworzyć z niewieloma osobami, a więź, która powstała między nami, przetrwała do końca mojego śmiertelnego żywota i dłużej. Siedział ze mną godzinami, pocieszając mnie, gdy otwierałem przed nim duszę, gdy rozpaczałem z powodu jednego spojrzenia, które zmieniło wszystko - spojrzenia na Monę Mayfair. Opowiedziałem mu każdy szczegół ataków paniki, które przeżyłem od śmierci Lynelle, i nawet ośmieliłem się wyznać, używając szerokich pojęć i określonych sformułowań, jak bardzo obawiam się ostatnich emocjonalnych przemian Goblina.

Oczywiście, opowiedziałem mu o nieznanym, w którego istnienie chyba nikt nie wierzył. Nie ukrywałem obawy o to, że wkrótce zostanę oskarżony, iż sam napisałem list, który on do mnie skierował.

Buntowałem się przeciwko Bogu, wspominając śmierć Lynelle. Nie potrafiłem zdobyć się na spokój, myśląc o tamtej tragedii.

Głęboki głos Nasha, uścisk jego silnego ramienia, łagodna dłoń na moim kolanie były dla mnie czymś więcej niż tylko pocieszeniem. Jego zachowanie było tak niezwykle stosowne, a równocześnie swobodne, tak autentycznie dżentelmeńskie, a równocześnie naturalne, że otwarłem przed nim całą duszę - nie ukrywałem nawet erotycznych relacji z moim ukochanym Goblinem i niesamowitą Rebeką. Opowiedziałem mu też, że spałem z Jasmine.

Czy uwierzył we wszystko? Czy tylko pomyślał, że jestem chory

Psychicznie? Nie wiem. Wiem jedynie, że był szczery w każdym słowie, które wyrzekł, i geście, który uczynił. Wiedziałem, że darzy mnie szacunkiem i ten szacunek wystarczył mi za wszystko.

Wiedziałem, że mi współczuje, po prostu będąc świadomy mojego niedoświadczenia, niemniej jednak traktował mnie poważnie i w miarę jak ubywało nocy, powtarzał po wielokroć, że mnie rozumie i że pamięta, co sam czuł, będąc w moim wieku.

Rozpoczęliśmy ten maraton zwierzeń we frontowym salonie na szczęście opuszczonym wcześniej przez niewielką grupkę gości a zakończyliśmy przy kuchennym stole, podtrzymując siły kawą wzbogacaną hojnymi dawkami śmietanki i cukru.

Stamtąd wypędziła nas Baba Ramona i poszliśmy na cmentarzyk, gdzie opowiedziałem mu o tamtejszych zjawach. Opowiedziałem mu o rzeczach, które chciałbym opowiedzieć Monie.

Siedzieliśmy pod wielkim starym dębem. Pojawiła się jutrzienka, pełna łagodnej ciszy i mieniącego się światła, i wyznałem mu, że zawsze będę go kochał.

- Wiesz, bez względu na to, co się nam wydarzy jako nauczycielowi i uczniowi - powiedziałem - jako przyjaciółom, cokolwiek nastąpi, czy w końcu pojedę do Europy, czy będę studiował w kraju, nigdy nie zapomnę tego, że wysłuchałeś mnie tego wieczoru, nigdy nie zapomnę twojej wielkiej uprzejmości i dobroci.

- Quinn, masz sponiewieraną duszę - oświadczył. - Ale to tylko dobrze

o tobie świadczy. Nie mogę zaprzeczyć, że wydajesz mi się fascynującą osobą i nie lada wyzwaniem. Tak, chcę być twoim nauczycielem. To dla mnie zaszczyt i jestem głęboko przekonany, że razem możemy wiele osiągnąć. Jeszcze mnie wszakże nie znasz i być może zmienisz zdanie na mój temat, gdy pewne rzeczy staną się dla ciebie jasne.

- Nic nigdy nie zmieni tej miłości, Nashu - odparłem. - Tak jak nic nigdy nie zmieni tego, co czuję wobec Mony Mayfair.

Obdarzył mnie niezwykle krzepiącym uśmiechem.

- A teraz musisz iść do domu i się przebrać - poradził mi. - Niebawem otwarcie testamentu twojego dziadka, pamiętasz?

Jak mogłem o tym zapomnieć?

W kuchni pochłonąłem wielkie śniadanie, poszedłem na wziąć prysznic i się przebrać. Trochę się obawiałem, że łazienka będzie jeszcze w remoncie, ale już go skończono i wyglądała idealnie.

Czując lekkie zawroty głowy i spodziewając się nie lada emocji, wsiadłem do limuzyny, obok ciotki i Patsy. Moja matka w czerwonych skórach wyglądała tak, jakby celowo zrobiła się na absolutne pomiotło. Z kolei Jasmine była zabójcza w oszalamiającej czarnej sukience i niebotycznych szpilkach. Pojechaliśmy do adwokata w Ruby River City. Baba Ramona i Felix też mieli się tam stawić, ale nie było rady, dwór nie mógł się bez nich obejść. Gdy zajechaliśmy na miejsce, zaproszono do środka również Cierna, który prowadził limuzynę, oraz jadącą obok niego Lolly.

Niebawem znaleźliśmy się w jednym z tych prawniczych gabinetów,

które wyglądają tak, jakby istniały od początku świata, a których sporo się już naoglądałem. Stały w nim ciemne, przepastne, skórzane fotele i wielkie, mahoniowe, kryte szkłem biurko dla człowieka, który odczytuje dokumenty spychające na dno rozpacz innych ludzi.

Nasz obdarzony miłym głosem adwokat, Grady Breen (ukochany przyjaciel Graviera, zabytek liczący sobie jakieś osiemdziesiąt pięć lat), wykonał wszystkie rytualne gesty, zaproponował nam kawę i zimne napoje, za które podziękowaliśmy, zbyt przejęci, aby zwlekać, po czym z kopyta przystąpiliśmy do sprawy.

Ostatnim razem Patsy została głęboko skrzywdzona, dziedzicząc fundusz powierniczy, który jej zdaniem zapewnił jej tyle co nic. Wszyscy milcząco zakładali, że znów zostanie na lodzie i opuści kancelarię, wyjąc z wściekłości. Tymczasem spotkała nas niespodzianka. Mniejsze legaty - po sto tysięcy dolarów dla Clema, Felixa, Ramony, Lolly i Jasmine - nie były żadnym wstrząsem. A to, że dziadek zostawił im spore emerytury, nieco ukoilo napięte nerwy. Szczerze mówiąc, jest to niedopowiedzenie z mojej strony. Clem, Jasmine i Lolly byli w siódmym niebie. Jasmine zaczęła płakać, Lolly wpila się w ramię siostry, również zalewając się łzami, a Clem kręcił głową, nie mogąc się nacieszyć.

Wtedy nastąpiło prawdziwe clou spotkania i nikt nie był bardziej zdumiony niż Patsy. Okazało się, że pradziadek Gravier zostawił dziadkowi fundusz powierniczy przeznaczony w całości dla jedyne go dziecka dziadka - Patsy. Kapitał sięgał wielu milionów dolarów, a odsetki były tak wysokie, że Patsy piszczała ze zdumienia i radości.

Dwa pozostałe fundusze powiernicze zostały rozdysponowane następująco: jeden odziedziczyła ciotka Queen, a po jej śmierci ja, drugi natychmiast stał się moją własnością. To była oszałamiająca góra pieniędzy.

To, że realnie biorąc, dziadek wydziedziczył Patsy, nie robiło żadnej różnicy, ponieważ nie mógł zapobiec temu, aby fundusz pradziadka Graviera przeszedł na nią. Natomiast to, że przez całe życie skąpił sobie grosza, pobierając jedynie żałosne wynagrodzenie i wpłacając wszelkie zyski na ten fundusz, jeszcze powiększyło fortunę Patsy. Oczywiście, Patsy nie mogła ruszyć kapitału, a po jej śmierci fundusz miał przejść na mnie. Była w takim uniesieniu, że rzuciła się ciotce na szyję, piszcząc, chichocząc i tupiąc czerwonymi kowbojkami. Nawet ja cieszyłem się razem z nią. Ciotka ucałowała ją w policzek i powiedziała ciepło, że to naprawdę cudowne wieści i że teraz może sobie kupić nowe ciuchy za te spadłe z nieba pieniądze.

- Och, no to lecę! - z miejsca zapowiedziała Patsy. Wybiegła z kancelarii, zanim ktokolwiek zdołał ją zatrzymać.

Nie zgaduję, jak dała sobie radę bez Cierna, no, ale w tamtych czasach zawsze miała przy sobie komórkę, a Seymour był w domu z jej vanem. Zniknęła, nie wiedząc gdzie, nie wyczuwając ironii w łagodnych słowach ciotki.

Ja tymczasem rozpamiętywałem fakt, że teraz dysponuję znacznymi pieniędzmi, setkami tysięcy dolarów miesięcznie, do których wszakże dołączono wyraźną, choć niezobowiązującą radę, że mam słuchać we

wszystkim wskazówek ciotki Queen.

Całość dyspozycji wyrażono zawiłymi sformułowaniami w rodzaju

„podeszły wiek ciotki Queen” i „przedwczesna dojrzałość obdarowanego” -

z czego wysnułem wniosek, iż wyposażono mnie w środki finansowe,

biorąc pod uwagę dwa fakty: moją posłuszną naturę i to, iż moja matka w

żadnym razie nie nadawała się do rozporządzania nimi.

Wręczono mi natychmiast dwie karty kredytowe, każdą z

kilkusettyśmierzecznym limitem, książeczkę czekową mającą pokrycie w

wysokości dwudziestu tysięcy dolarów miesięcznie i dokumenty

stwierdzające, że stałem się właścicielem konta oszczędnościowego na

które miało wpływać osiemdziesiąt tysięcy miesięcznie. Wypełniłem stos

ważnych pism, podpisałem deklaracje bankowe i formularze kart

płatniczych, a także same karty. Włożyłem je do kieszeni razem z

książeczką czekową, na czym zakończyły się formalności związane z moją

osobą. Rozpierało mnie poczucie, że w ciągu godziny stałem się

prawdziwym mężczyzną.

Następnie zajęto się pracownikami, którzy otrzymali znaczne sumy

pieniędzy. Ciotka Queen, egzekutor testamentu w tym zakresie, miała pół

roku na przekazanie im legatów. To była wspaniała wiadomość. Tych

wszystkich ludzi czekała wielka radość.

Z kolei zapoznaliśmy się z funduszem przeznaczonym na utrzymanie

dworu, stworzonym jeszcze przez samego patriarchę, Manfreda. Przez lata

nabrał niebywalej wartości, a jego jedynym beneficjentem była posiadłość

Blackwood. Mimo że bardzo się starałem, nie potrafiłem zrozumieć

wszystkich prawnych zawiłości z nim związanych.

Posiadłość Blackwood nie mogła być podzielona, dwór nie mógł zostać zburzony, wszelkie architektoniczne zmiany musiały przebiegać w zgodzie z pierwotnym zamysłem projektantów, wszyscy pracownicy zajmujący się zarządzaniem i utrzymaniem dworu i posiadłości musieli być dobrze opłacani - wszystko to wyłożono skomplikowanym językiem, zabezpieczając nieruchomość, którą kochałem, i dając bardzo jasno do zrozumienia, że dochód, jaki uzyskujemy, przyjmując gości, nie ma absolutnie żadnego znaczenia.

Równie skomplikowany był język, którym opisano odpowiedzialność nadzorczy funduszu, czyli obecnie ciotki Queen, przyszłości moją - tak skomplikowany, że chwilami się gubiłem. W gruncie rzeczy chodziło o to, że Patsy nigdy nie miała stać się właścicielem ani zarządcą Blackwood, co oczywiście było jej głęboko obojętne.

Obecnie prawo własności do posiadłości Blackwood, włączając w to wszystkie zabudowania, mokradła i ziemię, przeszło z dziadka na mnie, przy czym ciotka Queen otrzymała prawo użytkowania, co znaczyło, że mogła mieszkać w posiadłości do końca swoich dni.

To wprowadziło mnie w zdumienie. Ciotka natychmiast wytłumaczyła mi istotę rzeczy. Gdyby wyszła za mąż, powiedziała, jej małżonek mógłby rościć sobie prawo do posiadłości, przed czym dziadek właśnie chciał się zabezpieczyć. Oczywiście miała siedemdziesiąt osiem lat (tak przynajmniej twierdziła) i wcale nie zamierzała wychodzić za nikogo za mąż (No, może z wyjątkiem tego czarusa Nasha Penfielda. Śmiech), ale dziadek musiał

zabezpieczyć mnie po swoimu.

Nie mogłem nie zauważyć, że Patsy nie uzyskała nawet prawa zamieszkiwania w posiadłości, które przyznano ciotce. Nie odezwałem się na ten temat. Patsy nigdy nie miała się o tym dowiedzieć. A ja na pewno nie zamierzałem wystawiać jej walizek za drzwi. Poza tym biorąc pod uwagę jej dochód - jakieś pół miliona miesięcznie - raczej nie należało się spodziewać, że będzie częstym gościem w domu.

Wszystkie nasze fundusze powstały dzięki niebywałym inwestycjom w tak różnorodne instrumenty, jak akcje przedsiębiorstw transportu kolejowego, międzynarodowych firm żeglugowych, banków i firm farmaceutycznych, rynki metali szlachetnych, kamieni, walut obcych i amerykańskich obligacji skarbowych, fundusze inwestycyjne wszelkiej nazwy i maści, od najbardziej zrównoważonych do największego ryzyka.

Całym holdingiem zarządzał nowoorleański fundusz inwestycyjny Mayfair & Mayfair, podporządkowany kancelarii prawnej o tej samej nazwie, zajmującej się tylko garstką wybranych prywatnych majątków. Nie było lepszego funduszu inwestycyjnego od Mayfair & Mayfair, przy czym obecnie nie przyjmował on już nowych klientów. Umowę zawarto w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, a podpisali ją Manfred Blackwood i Julien Mayfair. Temu porozumieniu zawsze towarzyszyło jedynie powodzenie i wysokie dochody.

Jako że byłem zakochany w Monie Mayfair, wszystko to zrobiło na mnie jak najlepsze wrażenie. W zasadzie jednak nie przywiązywałem do tego wielkiego znaczenia. Zawsze wiedziałem, że jestem zamożny,

natomiast sam stopień tej zamożności nigdy mnie nie obchodził.

Kiedy uporaliśmy się z tym wszystkim, przyszedł największy szok.

Dziadek powierzył swojemu adwokatowi pewien sekret, o którym nawet się nam nie śniło. Zanim go poznaliśmy, poproszono Jasmine, Cierna i Lolly o opuszczenie gabinetu.

Ciotka - kierowana nie wiedzieć jakim przeczuciem - kazała Jasmine pozostać. Lolly i Clem chyba niezbyt się przejęli i wyszli do poczekalni.

Jasmine przysunęła się do mnie, jakby pragnąc mnie ochronić przed tym, co miało się wydarzyć.

Grady Breen odłożył stosy dokumentów, które wcześniej przygotował, i zaczął mówić z nutą autentycznej sympatii w głosie:

- Thomas Blackwood - (czyli mój dziadek) - przekazał mi przed śmiercią pewną tajemnicę, dołączając do niej słowne polecenie, z którym teraz mam zamiar was zapoznać i o którego wykonanie proszę. Otóż, może wiecie, a może nie, ale w waszej okolicy mieszka pewna młoda dama, niejaka Terry Sue, matka pięciorga czy sześciorga dzieci. - Zerknął na zegarek. - Zapewne sześciorga.

- Kto, na Boga, nie słyszał o Terry Sue? - spytała ciotka z lekkim uśmiechem. - Muszę ze wstydem powiedzieć, że każdy fernal w posiadłości zna Terry Sue. Niedawno urodziła kolejne dziecko... - Teraz to ona spojrzała na zegarek. - Nieprawdaż? Tak, jestem tego pewna.

- No cóż, zgadza się - powiedział Grady, zdejmując okulary w drucianych oprawkach i siadając wygodniej w fotelu. - I jak ogólnie wiadomo, Terry Sue to piękna młoda kobieta, młoda kobieta, która lubi

dzieci. Teraz nie zamierzam jednak rozmawiać o jej ostatnim potomku.

Wygląda na to, że jakieś dziewięć lat temu Terry Sue urodziła dziecko dziadowi Tarquina.

- Niemożliwe! - zaprotestowałem. - Dziadek nigdy nie zdradziłby babuni!

- To nie był czyn, który napawałby go dumą, Quinn. W rzeczy samej, nie był z niego dumny i bardzo zależało mu na tym, aby wieści na ten temat nigdy nie sprawiły przykrości jego rodzinie.

- Nie wierzę w tę historię - powtórzyłem.

- Badania DNA potwierdzają, że jest prawdziwa, Quinn - powiedział Grady. - I Terry Sue oczywiście zawsze знаła prawdę, i ze względu na uczucie, jakie żywiła wobec babuni, dla której piekła, wiecie...

- Te wielkie wirgińskie szynki - przypomniałem sobie. - Szorowała je, namaczała i piekła.

- Co za pieczołowitość - wtrąciła ciotka. - Wygląda na to, że dzięki niej coś jeszcze się namoczyło. Grady, sądzę, że w końcu przejdiesz do sedna tej niebywalej wiadomości, nie myślę się, mój drogi?

- W rzeczy samej, panno Queen - potwierdził Grady. - Dziadek miał zwyczaj mniej więcej raz w tygodniu odwiedzać Terry Sue i przynosić jej kopertę z pieniędzmi, i chociaż każdy kolejny facet Sue zwykł przepędzać swojego poprzednika, to jakoś żaden nie miał ochoty przepędzić dziadka z kopertą. Zawsze było w niej około pięciuset dolarów. Dzięki nim chłopiec ma zapewnioną edukację w dobrej katolickiej szkole - tej pod wezwaniem świętego Józefa w Mapleville. O ile wiem, był to jedyny warunek wypłaty

tych pieniędzy. Chłopiec teraz ma dziewięć lat, jak sądzę. Jest w czwartej klasie.

- Oczywiście, będziemy dalej wypłacać te pieniądze - zobowiązała się ciotka. - Czy możemy zobaczyć to dziecko?

- Zachęcam was do tego - powiedział Grady - bo to śliczny chłopiec, przystojny jak ty, Quinn, i do tego bystry, a Terry Sue chociaż może nie jest najbardziej wzorową matką, stara się go dobrze wychowywać. Ma na imię Tommy. Jedną rzecz mogłaby poprawić tam sytuację, jeśli zechcecie przyjąć moją radę. Może dziadek by tak nie postąpił, ale...

- Ale co? - spytałem. To wszystko wprawilo mnie w niebywale zdumienie.

- Dajcie jej tyle pieniędzy, żeby mogła wysłać do szkoły wszystkie swoje dzieciaki - zaproponował Grady. - Niech mają wszystkie po równo, wiecie, o co mi chodzi. Jeśli zamierzacie przywieźć im zabawki czy gry wideo, czy coś innego, obdarujcie wszystkie dzieci.

- Oczywiście, oczywiście, rozumiem - powiedziała ciotka - Musisz mi dać pisemny raport co do liczebności tej rodziny, tak żebyśmy mogli...

- Nie, nie przekażę niczego na piśmie, panno Queen - przerwał jej Grady. - Absolutnie niczego. Jest tam teraz pięcioro dzieci, nie, sześcioro, a ostatni kochaś Terry to śmieć, zupełny śmieć, urodzony, wychowany i żyjący w przyczepie i oni też mieszkają w przyczepie, cała banda, w takiej przyczepie, że nie uwierzylibyście, gdybym ją wam opisał, a za nią jak zwykle stoją te wraki samochodów na ceglach, klasyczny obrazek, jak żywcem wzięty z planu filmowego...

- Do rzeczy, dobry człowieku - ucięła opisy ciotka.

- Chodzi o to, że tam mieszka ten chłopczyk, którego ojciec był

bogatym człowiekiem, on się tam wychowuje, a Terry Sue wylazi ze skóry,

żeby było mu jak najlepiej, i właśnie urodziła dziecko, tak że teraz ma ich

sześcioro, jak sądzę. Mogę zanieść kopertę z pieniędzmi w waszym imieniu,

tyle mogę, ale nie dostaniecie nic na piśmie.

Oczywiście, ciotka i ja rozumieliśmy to. Byliśmy jednak bardzo

ciekawi tego małego chłopca i chociaż nadal trudno było nam uwierzyć w

jego istnienie, czuliśmy się bardzo poruszeni. Oto gdzieś żył mój młodszy

braciszek, nie, wujaszek, miał na imię Tommy i geny Blackwoodów i może

był podobny do wielu osób, których portrety wisiały w całym dworze

Blackwood.

Kiedy ustaliliśmy, że wszystkie sprawy zostały załatwione, ciotka

wstała, Jasmine, która była bardzo cicha podczas całej Procedury,

również i tylko ja siedziałem, głęboko przejęty.

- Czy ten malec wie? - spytałem.

- Nie jestem pewien - odpowiedział Grady. Spojrzał na ciotkę. -

Moglibyśmy to głębiej przedyskutować, pani i ja.

- Ależ jak najbardziej, oczywiście. Rozmawiamy o sześciorgu dzieci

mieszkających w jednej przyczepie. Dobry Boże, a ona jest taka ładna.

Mogłabym przynajmniej kupić tej zacnej kobiecie porządny dom, jeśli nie

urazi to dumy kogoś, kto gniecie się w przyczepie jak śledź w beczce.

- Jakim cudem nigdy o niej nie słyszałem? - spytałem, na co ku

mojemu wielkiemu zdumieniu wszyscy się roześmiali.

- Moglibyśmy mieć podwójny kłopot, no nie? - wykrztusiła Jasmine. -

Faceci miękną na widok Terry Sue.

- No cóż, chyba nie cali - zauważyła ciotka Queen.

- Muszę jeszcze wspomnieć jedną rzecz - wtrącił Grady zaróżowiony z rozbawienia - i jestem gotów wziąć na siebie pewną odpowiedzialność za to, że nie kiwnąłem palcem w tej sprawie.

- Śmiało - zachęciła go łagodnie ciotka. Stanie w szpilkach musiało ją trochę kosztować, więc usiadła.

- Chodzi o tego faceta, z którym teraz żyje Terry Sue - powiedział

Grady. - Lubi straszyć dzieci bronią.

Ostłupieliśmy ze zgrozy.

- I tak pchnął małego Tommy'ego, że chłopiec wpadł na grzejnik gazowy i szkaradnie oparzył sobie rękę.

- I chcesz mi powiedzieć - rzekła ciotka - że dziadek wiedział o tego rodzaju wybrykach i nic nie zrobił?

- Dziadek starał się unormować tam sytuację, ale kiedy ma się do czynienia z takimi osobami jak Terry Sue, jest się w dużej mierze bezradnym. Ona sama nigdy nie podniosłaby ręki na te dzieci, ale z drugiej strony ci faceci tam przyłażą i ona musi się starać, żeby mieć co do garnka włożyć.

- Nie chcę słyszeć słowa więcej. Muszę pojechać do domu i pomyśleć, co zrobić z tym fantem.

Pokręciłem głową.

Mały Tommy? Syn dziadka mieszkający w przyczepie.

Ogarnęło mnie zniechęcenie, niepokój i wiedziałem, że źródłem tego nastroju jest w równej mierze brak snu, jak świadomość tego, iż dziadek był niezwykle bogaty, a mimo to wyklócał się z Patsy o każdego centa. Przecież mógł opłacić jej zespół. Mógł kupić vana. Mógł opłacić krytyków. Mógł dać jej szansę. A tymczasem ona błagała i ciskała się i walczyła o każdego centa, a co zrobił ten człowiek, którego tak bardzo kochałem? Co zrobił, dysponując niebywałymi środkami? Pracował w posiadłości Blackwood jako robotnik. Obsadzał rabaty.

A tymczasem to dziecko, ten chłopczyk, Tommy, który odziedziczył to imię nie przypadkiem, bo po swoim ojcu, a moim dziadku, bledował gdzieś w lasach, w przyczepie, z gromadą braci i sióstr, chłopczyk z ojczymem psychopata.

Jak dziadek postrzegał swoje życie? Czego od niego chciał?

Postanowiłem, że moje życie będzie pełniejsze. Że musi być o wiele, o wiele pełniejsze. Że oszaleję, jeśli nie będzie pełniejsze. Czulem jego presję. Presję samego życia. Czulem, że wszystko się we mnie kotłuje.

- Jak on się nazywa? - spytałem. - Czy może mi pan powiedzieć?

- Proszę, powiedz nam, jak on się nazywa - dołączyła się ciotka

Queen, kiwając stanowczo głową.

- Tommy Harrison - powiedział Grady. - Harrison to nazwisko Terry

Sue. Sądzę, że dziecko nie zostało uznane prawnie. Wiem, że nie zostało uznane.

Czulem rosnące przygnębienie. Kim jestem, żeby oceniać dziadka, pomyślałem. Kim jestem, aby oceniać człowieka, który właśnie przekazał

mi wielki majątek, chociaż mógł postąpić inaczej? Kim jestem, aby oceniać go za to, że zostawił małego Tommy'ego Harrisona w takiej sytuacji? Ale świadomość tego mi ciążyła. I ciążyła mi świadomość tego, że charakter Patsy być może został ukształtowany przez fakt, że całe życie musiała walczyć z człowiekiem, który w nią nie wierzył. Pożegnaliśmy się. Musiałem się otrząsnąć. Pojechaliśmy do dworu Blackwood na lunch z Nashem.

Kiedy wychodziliśmy z kancelarii, pojawił się Goblin, ubrany jak ja, znów mój sobowtór, ale w równie niewesołym nastroju jak w szpitalu, chociaż nie szyderczym, jedynie poważnym, jeśli nie smutnym. Szedł obok mnie do samochodu i czułem, że wie o moim smutku, moim rozczarowaniu.

Odwróciłem się do niego, objąłem go ramieniem i poczułem się lepiej.

„Idzie zmiana, Quinn”, powiedział w mojej głowie.

- Nie, stary, nic nie może się zmienić - szepnąłem mu do ucha.

Wiedziałem jednak, że ma rację. Teraz miałem wiele rzeczy do zrobienia. Miejsc do zobaczenia. Ludzi do poznania.

Ze stanu oszołomienia wywołanego odkryciem, że mam małego wujka i że dziadek był nieprawdopodobnie bogaty, wytrącił mnie widok wszystkich starych wiklinowych mebli pomalowanych na biało i zgromadzonych na bocznym, wyłożonym kamiennymi płytami tarasie, z prawej strony dworu. Wyglądały jak we śnie o Rebecce. Były to meble, które odzyskałem ze strychu. Zostały odnowione, gdy przebywałem w szpitalu, i teraz zachwyciałem się widokiem kanapek i foteli, identycznych jak we śnie, gdy Rebeka częstowała mnie kawą.

- Mona mnie zrozumie - mruzczałem głośno - i ten pan, ten miły pan, Oliver Stirling, też mnie zrozumie i jest jeszcze Nash, Nash, który jest tak wspaniały i dobry, że wygląda na idealnego nauczyciela, Nash, który dał mi nadzieję, że przejdę spokojnie ten trudny okres.

Gdy wszedłem do holu, ze zdumieniem zobaczyłem przy drzwiach górę bagażu i Nasha w niebieskim garniturze i krawacie. Położył mi rękę na ramieniu.

- Nie mogę zostać, Quinn, ale zanim z tobą porozmawiam, muszę zamienić parę słów z twoją ciotką. Pozwól, że zrobię to teraz.

Byłem załamany.

- Nie - rzekłem - najpierw musisz porozmawiać ze mną. Chodzi o to, co powiedziałem, prawda, o te wszystkie rzeczy, które ci powiedziałem, uważasz, że jestem chory psychicznie, że zawsze taki będę, ale przysięgam...

- Nie, Quinn, nie uważam cię za wariata. Zrozumię jednak, że muszę wyjechać. Teraz pozwól mi porozmawiać na osobności z panną Queen.

Obiecuję, że nie wyjadę bez rozmowy z tobą.

Zostawiłem ich, gdy poszli do salonu, a sam udałem się do kuchni na lunch, gdzie Jasmine właśnie opowiadała Babie Ramonie, że są bogate.

Było mi bardzo przykro, że zepsułem ich radość moim ponurym wyglądem, więc powiedziałem, iż to wszystko wina tego, że jestem głodny.

Poza tym Jasmine zawsze była bogata, Baba Ramona zresztą też. Tylko, jak wszyscy wiedzieli, po prostu nie chciały się rozstawać z Blackwood.

Ponieważ zły nastrój nigdy nie był w stanie zepsuć mi apetytu, siadłem nad pierśiami kurczaka duszonymi w kremie z selerów z jarzynami i kluskami.

W końcu moja ciekawość okazała się silniejsza niż łakomstwo.

Podszedłem do drzwi do salonu i ciotka zaprosiła mnie, abym wszedł do środka.

- Otóż, kochanie, Nash ma wrażenie, że z czasem zacznie ci przeszkadzać fakt, że nie tyle wybrał życie kawalera, ile ma w tym kierunku predyspozycje.

- Wyłożyłem to wszystko w tym liście, Quinn - oznajmił Nash swoim uprzejmym i równocześnie zdecydowanym tonem.

- Chcesz mi powiedzieć, że jesteś gejem? - spytałem. Ciotka Queen była w szoku.

- No cóż, szczerze mówiąc - wyznał Nash - właśnie to zamierzałem ci powiedzieć.

- Ostatniej nocy zdałem sobie z tego sprawę - powiedziałem. - Och, nie przejmuj się, że zdradziłeś się jakimś zachowaniem czy manieryzmem. Nie. Po prostu wyczulem to, ponieważ pod tym względem jestem do ciebie podobny, a przynajmniej jestem biseksualistą, co do tego nie mam wątpliwości.

Odpowiedziało mi pełne zdumienia milczenie Nasha i wesoły śmieszek ciotki. Oczywiście, moje wyznanie mogło ją zranić, a byłem przekonany, że Nasha na pewno nie zranię.

- Ach, ty mój nad wiek rozwinięty dzieciaku - rzekła. - Zawsze potrafisz mnie oczarować. Biseksualistą, jakież to bajroniczne i czarujące. Czyż dzięki temu nie ma się dwa razy większej szansy na miłość? Jestem zachwycona.

Nash wpatrywał się we mnie, jakby nie wiedział, co ma powiedzieć, i nagle zdałem sobie sprawę, co naprawdę się wydarzyło.

Nash nie zrezygnował ze swojej funkcji, dlatego że był gejem.

Wiedział o swoich skłonnościach na długo przedtem, zanim się u nas zjawił. Zrobił to z powodu tego, co u mnie dojrzał, i tych moich predylekcji, o których mu opowiedziałem! Och, toż to było całkiem oczywiste. Zrobiłem z siebie kompletnego osła, nie kojarząc, co się dzieje. Powinienem był natychmiast go uspokoić.

- Słuchaj, Nash, musisz zostać - powiedziałem. - Tak naprawdę chcesz zostać i ja chcę, żebyś został. Więc przysięgnijmy sobie, że między nami nie przeskoczy żadna erotyczna iskra. Ze byłoby to... wiesz... niewłaściwe.

Będziesz moim idealnym nauczycielem, bo nie będę musiał przed tobą

niczego ukrywać.

- Zgadzam się, to mocny argument - poparła mnie ciotka. - Naprawdę sędzę, Nash, że Quinn ma tu rację. - Roześmiała się zadowolona. - Dobry Boże, w szkołach całego kraju gejowie i lesbijki są znakomitymi i miłymi nauczycielami. To załatwia sprawę. - Powstała. - Nashu Penfieldzie, masz się rozpakować, przynajmniej dopóki nie wyruszymy do Nowego Jorku, a ty, Quinn, musisz się trochę przespać. Więc wszystko załatwione.

Przynajmniej do kolacji.

Wyglądało na to, że Nash nadal jest w szoku, ale uściśnięciem mu dłoni. Wlepił we mnie szeroko otwarte oczy i wydobyłem od niego potwierdzenie, ledwo słyszalny szept, że zostanie. Nie ośmieliwszy się wziąć go w ramiona, poszedłem na górę, by wyjąć z szuflady biurka trzysta dolarów (zawsze trzymałem tam trochę pieniędzy). Wskoczyłem w jeden z moich najlepszych garniturów i mój szczęśliwy krawat od Versace, którego nie włożyłem na spotkanie z naszym adwokatem.

Schodząc na dół, poczułem, że ktoś szarpie mnie za ramię; nie mam na myśli, że był to Goblin, gdyż było to inne wrażenie czy kląb wrażeń.

Długo obywałem się bez snu. Przyszła mi na myśl Rebeka. Więcej, przez chwilę miałem uczucie, że Rebeka jest ze mną, po czym to uczucie zniknęło.

W głowie usłyszałem głos: „Ta mała ruda suka... czarna suka!”

Kiedy znalazłem się na zewnątrz, powoli przeszedłem przez taras, między ustawionymi inaczej niż jeszcze chwilę wcześniej fotelami. Miałem wrażenie, że Rebeka jest bardzo blisko. Rebeka chciała, żebym zasnął.

Rebeka chciała ze mną porozmawiać. Tak, spotkałem się z nią, siedząc na

tej kanapce, a ona siedziała w tym fotelu, kawa stała na tamtym stoliczku.

Ogarnęła mnie fala zawrotów głowy i minęła, tak jak kiedyś na bagnach;

wiedziałem, jak ją zwalczyć. Głos w głowie powiedział: „Życie za moje

życie. Śmierć za moją śmierć...”

- Co powiedziałaś? - spytałem głośno. - Życie za życie? - Do kogo

mówiłem? Opanowałem zawroty głowy. - Morderczy duchu, zostaw mnie

w spokoju! - szepnąłem.

Co robiłem na bocznym trawniku? Więc doprowadzono do użytku

wiklinowe meble, tak jak kazałem.

Należało się spieszyć. Poszedłem do baraku.

Po kilku minutach wyjeżdżałem starym mercedesem babuni,

samochodem, który zawsze uwielbiałem, chociaż miał tyle lat co ja.

Błyskawicznie znalazłem się na szosie i frunąłem do Mony. Ale

wystarczyło mi czasu, by wpaść do kwiaciarni na rogu St. Charles i

Trzeciej i kupić jej piękny bukiet cieplarnianych róż.

Potem skierowałem się ku ostatecznemu celowi. Róg Pierwszej i

Chestnut. Centrum przy Nabrzeżu. Oczywiście prawdziwe nabrzeże było

kawał drogi stamtąd, tak się tylko mówiło na to miejsce w Nowym

Orleanie.

Dom był bajeczny, chociaż nie rzucał się w oczy. Nie pysznił się

arogancko jak dwór Blackwood. Była to klasycystyczna rezydencja z

dodatkowym bocznym holem i drzwiami, i czterokolumnowym portykiem.

Mury pokryto ozdobnym gipsem barwy ciemnej lawendy. W głębi po

prawej częściowo ukrywał się niewielki ogród. Rezydencję usadowiono na

niskim sześciostopowym wzgórzu, w którym osadzono białe marmurowe stopnie.

Zaparkowałem po drugiej stronie skrzyżowania i przeciąłem je na ukos. Nie czułem nóg, prowadziły mnie same. Niosłem dla niej róże i nie mogłem złapać tchu w piersiach.

Żelazne niewysokie ogrodzenie. Dzwonek. Zastanowiłem się. Co powiem osobie, która odbierze na dzwonek? „Ja do Mony. Strasznie chcę się spotkać z Moną”.

Musiałem podolać tej trudnej sytuacji. Pół sekundy po tym, jak pojawiłem się przed furtką, uchylily się wielkie frontowe drzwi i wyszła ona. Szybko zamknęła za sobą drzwi i zbiegła po stopniach. Miała klucz. Otworzyła furtkę i oto staliśmy naprzeciwko siebie na chodniku i myślałem, że umrę.

Była sto razy cudniejsza niż w mojej pamięci. Zielone oczy były znacznie większe i miała naturalnie pąsowe usta, które natychmiast zapragnąłem ucałować. Miała jednolicie rude włosy, co podkreślała znakomita bawełniana, bardzo nisko rozpięta koszula, i obciste białe spodnie, pięknie uwydatniające jej biodra. Byłem zakochany nawet w jej palcach u nóg. Włożyła sandałki na koturnach i widziałem pomalowane na czerwono paznokcie. Wyglądała jak bóstwo.

- Mój Boże, Mona - wymamrotałem i rzuciłem się na nią, zakrywając jej usta swoimi i łapiąc ją za drobne przeguby, ale łagodnie się odsunęła i powiedziała:

- Gdzie masz samochód, Quinn? Musimy się stąd szybko wynosić.

Przebiegliśmy ulicę jak nowożeńcy uciekający spod deszczu

pieniążków. W mgnieniu oka wyjechaliśmy z Pierwszej Ulicy w kierunku rzeki.

- Więc dokąd jedziemy? Och, Boże, nie wiem, dokąd moglibyśmy pojechać - jęknąłem.

- Ja wiem - powiedziała. - Znasz drogę do dzielnicy francuskiej?

- Oczywiście.

Podala mi adres.

- LaFrenière Cottages. Zadzwońłam do nich dziś przed południem.

- Ale skąd wiedziałaś, że przyjadę? Nie mam nic przeciwko temu, to cudownie, że zadzwoniłaś, ale skąd wiedziałaś?

- Jestem czarownicą - wyjaśniła. - Wiedziałam, kiedy wyjechałeś z

Blackwood, tak jak wiem, że Goblin jest razem z nami w samochodzie.

Siedzi za tobą. Ty nawet o tym nie wiesz, prawda? Ale to nieistotne. Ważne jest to, że chciałam, abyś przyjechał.

- Rzuciłaś na mnie urok - powiedziałem. - Nie spałem odkąd cię

spotkałem, i połowa moich nocnych majaczeń była poświęcona tobie i

wciąż chciałem się z tobą spotkać. - Ledwo potrafiłem utrzymać wzrok na

drodze. - Adwokaci i testamenty, opowieści o złamanym przysięgach

małżeńskich i osieroconych dzieciach, przechadzki między meblami

upiorów i nawiązywanie sojuszy tak silnych, jak ten, który zamierzam

zawrzeć z tobą, oto, co mnie wstrzymywało.

- Boże, aleś ty wymowny - odparła. - A może jestem twoją deską

ratunku. Może musiałeś do mnie przyjechać, żeby się wyrwać z tego

wszystkiego. Dasz radę prowadzić, kiedy rozepnę ci spodnie?

- Nie, nie rób tego. Rozwalę samochód. I nas. Wydaje mi się, że to wszystko sen.

- Nie, to żaden sen. Wziąłeś gumki?

- Boże, nie! - krzyknąłem. Dotarliśmy do Canal Street. Wiedziałem, jak jechać do LaFrenière Cottages. Lynelle i ja jedliśmy kilka razy w tamtejszym bistro. Było urządzone ze smakiem i miało francuską kuchnię.

- Mona, Mona, Mona. Musimy kupić gumki! Gdzie?

- Nie, nie musimy - uspokoiła mnie. - Mam ich całe tony w torebce.

LaFrenière Cottages otulały wyłożony cegłą podwórzec z obowiązkowymi palmami i bananowcami, w którego środku była kiedyś zapewne czynna sadzawka. Obecnie spełniała wyłącznie rolę dekoracyjną i ludzie wrzucali do niej drobne monety na szczęście.

Mona załatwiła formalności, nie mrugnawszy okiem, nawet kazała mi schować pieniądze, mówiąc, że rachunek zostanie przesłany jej rodzinie. Kiedy zaprotestowałem, szepnęła:

- Zachowaj siły do łóżka.

I poszliśmy do łóżka, które stało w małym, wyłożonym kamiennymi płytami domku, nowoczesnego żelaznego łóżka, ale z baldachimem na metalowych liściach i kiściach winogron. Sama tkanina była upięta luźno i przewiewna.

Gdy tylko zasunęliśmy zasuwkę w drzwiach, zdarliśmy z siebie ubrania jak dzicy ludzie, a gdy zobaczyłem jej różowe sutki i rudy rozbłysk między udami, dosłownie oszalałem.

Mona pomogła mi nałożyć prezerwatywę i to Mona miała na tyle przytomności umysłu, żeby rzucić przykrycia, abyśmy ich nie poplamili, tak że wylądowały pozwijane na podłodze, podczas gdy my spleliśmy się jak zwierzęta z dżungli.

Czułem, że bez względu na to, co do tej pory wypełniło mi życie, spełniało się jedno z moich najbardziej szalonych marzeń I nieważne, że było świeże, bo było szalone i prosto z serca, i miałem go nigdy, nigdy nie

zapomnieć. Nigdy nie zapomnę twarzy Mony, gdy zapłonęła rumieńcem, przeżywając spazm, który wywołał we nie ostateczną eksplozję, czystą nirwanę.

Kiedy było po wszystkim, leżeliśmy spleceni uściskiem, rozgrzani, zadowoleni i całowaliśmy się pieszczotliwie, łagodnie.

- Och, dzięki Bogu - szepnęła mi do ucha. Pomogła mi zdjąć zużytą prezerwatywę. Poszła do łazienki po ręcznik i wytarła mnie. Znów mnie pocałowała i powiedziała: - Chcę go wziąć do ust. Chodź, umyję cię, a potem to zrobię.

*Zaprotestowałem
uprzejmie.*

Nie

wymagałem

takiej

pełnej

poświęcenia adoracji!

- Tarquin, ale ja chcę! - krzyknęła. - Chciałam to zrobić w samochodzie. Po prostu miałam nieprzepartą chęć. A nie mogłam. Rusz się, z łóżka!

I

zaprowadziła

mnie

jak

niewolnika

do

łazienki,

gdzie

przeprowadziła podniecające ablucje, po czym wróciliśmy na skotłowaną pościel, tyle że tym razem wzięła do ust mojego członka, ssała go mocno, szybko pompowała, lizła wędzidelko, aż umarłem, kiedy doszedłem. Siła, energia, sny - wszystko ze mnie wyparowało.

- Nikt ci tego wcześniej nie zrobił? - zamruczała mi do ucha, gdy leżeliśmy obok siebie.

- Nie - odpowiedziałem. Nie było mnie stać na nic więcej. - Czy moglibyśmy pospać, tak po prostu, przytuleni?

W odpowiedzi na to poczułem ciepły ciężar przykrycia, a potem jej chłodne ramię na moich plecach i usta na powiekach. Czulem wilgotny żar jej piersi i krocza. A chłodny powiew z klimatyzatora tym bardziej umilił nasze kokoszenie się do snu.

- Tarquin, z ciebie jest naprawdę piękny chłopiec - szepnęła. - I twój duch tu jest, obserwuje nas.

- Odejdź, Goblinie - rozkazałem. - Masz mnie zaraz zostawić albo mówię ci, nie odezwę się do ciebie dłużej, niż sobie wyobrażasz, przysięgam. - Odwróciłem się i rozejrzałem po pokoju. - Widzisz go? - spytałem.

- Nie - odpowiedziała. - Przepadł. - Leżała na poduszkach obok mnie. -

Znów jestem Ofelią. Unoszę się na wodzie i tylko „stokrotki, jaskry i długie szkarłatne storczyki” mnie podtrzymuje i nigdy się nie osunę w „mulistą

śmierć”. Nie masz pojęcia, Ja to ze mną jest.

- Co ty mówisz? - zaprotestowałem słabo. - Wiem, że będziesz żyć wiecznie, pełna wigoru, cudowna, tak słodka, że... - Staralem się nie zasnąć, starałem się wysłuchać tego, co mówiła.

- Daj spokój, śpij. Mężczyźni chcą spać, kiedy jest po wszystkim.

Kobiety chcą rozmawiać, przynajmniej czasem. Jestem Ofelią unoszoną przez „placzący nurt”, nieskończenie lekką, nieskończenie spokojną, „jakby woda była moim żywiołem”. Nie znajdą mnie Jo wieczora, a może dłużej. Zostawiam wysokie napiwki w tych hotelach, może udało mi się przekabacić obsługę.

- Mówisz, że już to robiłaś? Przyjeżdżałaś tu z innymi? - Obudziłem się całkowicie. Uniosłem się i oparłem na łokciu.

- Tarquin, mam wielką rodzinę - powiedziała, spoglądając na mnie.

Jej włosy spoczywały w cudownym nieładzie na poduszce. - I kiedyś obrałam sobie za cel wskoczyć do łóżka z każdym z moich kuzynów. Udało mi się z tyloma, że nie zliczyłabym ich z pamięci. Oczywiście, to nie zawsze było w hotelu. Częściej na cmentarzu, nocą...

- Na cmentarzu! - wykrzyknąłem. - Mówisz poważnie?

- Musisz zrozumieć, że nie prowadzę normalnego życia. Większość Mayfairów nie szuka normalnego życia. Moje życie nie jest normalne nawet jak na kogoś z Mayfairów. A tamten cel osiągnęłam już jakiś czas temu. Już przespałam się ze wszystkimi kuzynami. - Smutek nagle zagościł w jej oczach i spojrzała na mnie błagalnie. - Tak, byłam tu, muszę wyznać, ochrzciłam to łóżko z kuzynem Pierce'em, ale to bez znaczenia, Tarquin,

liczy się to, że z tobą czuję się tak, jakby to było pierwszy raz. I nigdy nie byłam Ofelią z Pierce'em. Zamierzam wyjść za niego, ale nigdy nie będę Ofelią.

- Nie możesz wyjść za Pierce'a, musisz wyjść za mnie. Ja też nie prowadzę normalnego życia, Mono - powiedziałem. - Nie masz pojęcia, jakie ono jest dziwne, i nie wątpię, że jesteśmy sobie Przeznaczeni.

- Ależ wiem. Wiem, że twój duch idzie za tobą wszędzie. Wiem, że spędziłaś całe życie między dorosłymi. Tak naprawdę nie wiesz, co znaczy być dzieckiem. Ojciec Kevin mi o tym opowiedział. Przynajmniej tyle z niego wyciągnęłam. Prawi zawlokłam go do łóżka, ale przy decydującym podejściu okazał się niewzruszony. Dobry z niego ksiądz, każdy to widzi, bywa jednak zbyt gadatliwy, chociaż, rozumiesz, nie zdradza niczego co usłyszał w konfesjonale.

Zieleń jej oczu była tak urzekająca, że miałem kłopoty ze skupieniem się na słowach.

- I ostrzegł cię przede mną? - spytałem. - Powiedział, że jestem stuknięty?

Roześmiała się słodko i przygryzła dolną wargę, jakby się nad czymś zastanawiała.

- Jest dokładnie na odwrót. Oni robią, co mogą, żeby uchronić ciebie przede mną. Chcieliby zatrzymać mnie pod kluczem. To dlatego czekałam na ciebie przy drzwiach. Traktują mnie jak sukę w rui. Musiałam pierwsza otworzyć ci drzwi. I nie jestem jedyną czarownicą w rodzinie.

- Mona, o co ci chodzi z tą „czarownicą”? O czym ty mówisz?

- Chcesz powiedzieć, że nigdy o nas nie słyszałeś?

- Słyszałem, ale same dobre rzeczy - o marzeniach doktor Rowan

związanych z Mayfair Medical, o tym, że ojciec Kevin wrócił na Południe i

odwiedza Irish Channel, w którym się urodził, takie rzeczy. Będziemy

chodzić do kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii

Panny. Będziemy zawsze słuchać ojca Kevina.

- Powiem ci, dlaczego ojciec Kevin wrócił na Południe. Wrócił, bo go

potrzebowaliśmy. Och, tyle chciałabym ci opowiedzieć, ale nie mogę.

Kiedy cię zobaczyłam w Grand Luminière, zobaczyłam, jak rozmawiasz z

Goblinem i obejmujesz go, pomyślałam, Boże, wysłuchałeś moich próśb,

dałeś mi kogoś, kto ma tajemnice - Teraz jednak widzę, że to nie ma na

mnie wpływu. Nie mieć wpływu. Bo nie mogę opowiedzieć wszystkiego. -

plakać.

- Mona, możesz mi opowiedzieć! Słuchaj, nie ma takiej tajemnicy,

której nie mogłabyś mi powierzyć. - Scałowałem jej łzy. - Nie łącz, Mona -

blagałem. - Nie mogę znieść, jak płaczesz.

- Wierzę ci, Quinn. - Usiadła w łóżku; zrobiłem to samo. - Ofelia chyba

tak naprawdę nie płacze w sztuce, prawda? Może ludzie dlatego płaczą,

żeby nie zwariować. Po prostu są takie rzeczy, których nie da się

opowiedzieć - ciągnęła w tym samym stylu - i są takie rzeczy, na które nic

się nie poradzi.

- Ja zawsze trzymałem się tej zasady, żeby mówić. To dlatego mogłaś

zobaczyć, jak obejmuję Goblina. W pewnym wieku byłoby mi bardzo łatwo

przestać go obejmować i ścisnąć. Niewykluczone, że mógłbym odesłać go

tam, skąd przyszedł. Ale nigdy nie robiłem z niego tajemnicy. Jest też upiór, który mnie prześladowa, i pewien nieznajomy, ten mężczyzna, który mnie pobił i z którego powodu wylądowałem w Mayfair Medical. Po prostu pozwalam tym rzeczom wyjść na jaw. Jestem przekonany, że powinniśmy się tak zachowywać.

Podałem jej chusteczkę z pudełka na stoliku nocnym. Wziąłem następną i sam otarłem jej łzy.

- Wiem, że kiedyś się z tobą ożenię, Mona - powiedziałem nagle. -

Wiem o tym. Wiem, że takie jest moje przeznaczenie.

- Quinn - ocierała łzy - to się nie zdarzy. Możemy mieć chwile dla siebie, możemy porozmawiać, być ze sobą tak jak teraz, ale nigdy nie będziemy ze sobą naprawdę razem.

- Dlaczego? - spytałem podniesionym głosem.

Wiedziałem, że jeśli ją utracę, zawsze będę tego żałował.

Pomyślałem, że Goblin wiedział o tym. To dlatego poszedł bez oporu.

Wiedział, że moje pragnienie jest zbyt silne, i nie powiedział mi słowa.

Niemniej pamiętałem, na co go teraz stać. Gdyby zechciał, mógłby stłuc te szyby. Powiedział mi, że lubi gniew. Czy mogłem opowiedzieć o tym Monie? Czy powinienem opowiedzieć o tym komukolwiek? Poczulem ułtucie paniki i wściekłem się, bo to tyło niemęskie. Przy Monie chciałem być męski.

- Wróć ze mną do dworu Blackwood - poprosiłem. - To dom, w

którym mieszkam. Możemy zostać w moim pokoju, a jeśli zależy i na konwenansach, ulokuję cię w sypialni dziadka. On już nie żyje. Jego pokój

wysprzątano i przygotowano do zamieszkania Dziadek nie umarł w domu.

Jego osobiste rzeczy natychmiast wyniesiono. Gdzie telefon? Powiem im, żeby przygotowali ten pokój. Podaj mi swoje wymiary. Jasmine pojedzie do sklepu i kupi ci, co trzeba.

- Boże, jesteś tak zwariowany, jakbyś był jednym z nas -

zawyrokowała szczerze zdumiona. - Myślałam, że wyłącznie my Mayfairowie, jesteśmy zdolni do takich pomysłów.

- Tylko jedź ze mną. Tam nikt nie będzie się wtrącał w to co robimy.

Moja ciotka może mieć jakieś mądre rady. Kończy siedemdziesiąt dziewięć lat, tak przynajmniej sama mówi, i w tym wieku trudno się powstrzymać od udzielania mądrych rad. I mam prywatnego nauczyciela, Nasha, ale to dżentelmen w każdym calu.

- Więc też nie chodzisz do szkoły. Super!

- Nie, nigdy nie chodziłem. To nie spodobało się Goblinowi. Rzuciłem się do działania. Nadal patrzyła w zdumieniu, gdy rozmawiałem przez telefon z Jasmine. Białe koszule, spodnie, bawełniana bielizna, wszystko w małym rozmiarze. Przybory toaletowe.

Wyszliśmy. Kiedy siadłem za kierownicą, zdałem sobie sprawę, że nie spałem półtorej doby. Roześmiałem się, pomyślawszy o tym, jak wszystko się ułożyło, jak wszystko się układa.

- Słuchaj, daj mi poprowadzić - powiedziała.

Z przyjemnością ustąpiłem jej miejsca. Ruszyła jak zawodowy kierowca i wystrzeliliśmy z wąskich ulic dzielnicy francuskiej na autostradę międzystanową.

Nie mogłem od niej oczu oderwać, jej sposób prowadzenia był nieprzeciętnie seksowny, to połączenie jej umiejętności i urody też, a gdy spoglądała na mnie spod rzęs tymi zielonymi oczami, cały miękkim, przepelniony radością i w tym nastroju, w tym zwariowanym uniesieniu odezwałem się do Goblina:

- Kocham ją, stary, rozumiesz, prawda?

Obejrzałem się na tylne siedzenie i był tam, wpatrywał się we mnie zimnym pogardliwym spojrzeniem, które przyswoił sobie i szpitalu. Dech mi zaparło. A potem rozległ się jego ponury, monotonny głos:

- Tak i też miałem z nią masę frajdy, Tarquin.

- Kłamiesz, ty draniu! - krzyknąłem. Chciałem go udusić. - Jak śmiesz mi to mówić? Poczulbym cię, gdyś był tak blisko! Wydaje ci się, że możesz się we mnie tak wślizgnąć?!

- Och, był w tobie - potwierdziła Mona, przekraczając sto pięćdziesiąt na godzinę. - Czulałam go.

Ciotka Queen i Jasmine nie sprawiły mi zawodu. Bez względu na to, czy ciotka miała obiekcje wobec Mony, nie zamierzała ranić jej uczuć.

Kiedy przyjechaliśmy, przywitała Monę z otwartymi ramionami, a gdy oświadczyłem, że jest moją przyszłą żoną, przyjęła tę wiadomość z niezwykłym opanowaniem.

Jasmine zaprowadziła Monę do pokoju dziadka, w którym czekały na nią jej wszystkie rzeczy, po czym udaliśmy się do mojego pokoju, w którym mieliśmy naprawdę mieszkać podczas tej wizyty, i zjedliśmy przepyszny posiłek przy tym samym stole, przy którym teraz siedzimy.

Nie pamiętam, co było na talerzach. Za to pamiętam, że widok Mony to był prawdziwy odlot, tak byłem w niej zadurzony, i patrząc, jak szybko i zręcznie pracuje nożem i widelcem, cały czas mówiąc z ożywieniem, czułem rosnące przywiązanie.

Wiem, że to, co mówię, przypomina brednie szaleńca. Byłem w niej jednak nieprawdopodobnie zakochany. Nigdy wcześniej nie przeżywałem takich uczuć i przez jakiś czas całkowicie wyparły dręczącą mnie panikę i odsunęły nawet zdroworozsądkowy lęk, który budził we mnie tajemniczy nieznajomy, chociaż powinienem dodać, że wokół domu, a nawet w środku nadal było pełno uzbrojonej ochrony, co również dawało mi poczucie bezpieczeństwa.

Oczywiście, ciotka chciała ze mną porozmawiać na osobności, ale uprzejmie odrzuciłem jej prośbę. A gdy sprzątnięto talerze i Jasmine

przetarła stół do połysku (tak przy okazji, wygląda olśniewająco w lekkim granatowym kostiumie i wykrochmalonej białej bluzce), byłem gotów zamknąć drzwi przed całym światem, gdybym mógł to zrobić.

- Musisz zrozumieć jedno - wyjaśniła Mona. - Ten kuzyn Pierce, za którego pewnie wyjdę za mąż, jest stuprocentowym nudziarzem. Chcę powiedzieć, że jest bez wyrazu jak każdy mieszczuch, nie ma żadnych paranormalnych mocy i już pracuje w firmie Mayfair and Mayfair, w której jego ojciec, Ryan, jest współnikiem i Ryan, mój kochany Ryan, to też mieszczuch. To konformiści, którzy chcą od życia tylko bezpieczeństwa.

- Więc, czemu, do diabła, wciąż powtarzasz, że zamierzasz wyjść za niego za mąż? - spytałem.

- Bo go kocham - powiedziała. - Nie jestem w nim zakochana, co to, to nie, nigdy nie mogłabym się w nim zakochać, ale wiem, ile jest wart, i uważam, że jest piękny... och, nie tak piękny jak ty, nawet nie tak wysoki jak ty, ale jest piękny przez to, że jest spokojny, i z Pierce'em, przykro mi to powiedzieć, ale z Pierce'em będę mogła zrobić, co zechcę. Rzecz w tym, że Pierce nie jest naładowany energią, a ja mam dość energii na troje.

- Dokładnie tak - przytaknąłem jej. - Więc jest to bezpieczne małżeństwo.

- To małżeństwo na modłę Mayfairów - poprawiła mnie. - A tacy Mayfairowie jak ja zawsze wychodzą za innych Mayfairów. A numer polega na tym, że przy jego pochodzeniu i przy moim pochodzeniu któraś z naszych córeczek na pewno będzie czarownicą...

- Znowu używasz tego słowa, Mono, co chcesz powiedzieć, mówiąc

„czarownice”? Czy cała twoja rodzina tak się wyraża? Ojciec Kevin także?

Roześmiała się przelotko.

- No, cała rodzina się tak wyraża, ale to pewnie zasługa Talamaski i

Aarona Lightnera, członka Talamaski, którego wszyscy Pokochaliśmy.

Utraciliśmy go. Zginął w strasznym wypadku. Ale teraz Stirling jest

naszym przyjacielem i Stirling używa tego słowa - Widzisz, Talamaska to

organizacja, która przez wieki obserwowała naszą rodzinę, chociaż nie

zdawaliśmy sobie z tego sprawy. No, może to nie do końca prawda.

Czasem nasi przodkowie zdawali sobie z tego sprawę. W każdym razie

Talamaska założyła, jak to się u nich mówi, akta czarownic Mayfair i gdy

się z nimi zapoznaliśmy, lepiej zrozumieliśmy historię naszej rodziny i tak,

mówimy o niektórych z nas „czarownice”.

Byłem tak bardzo zaintrygowany, że nie chciałem jej przerywać.

Przelknęła wielki łyk kawy z mlekiem i mówiła dalej.

(Jasmine zostawiła nam dzbanek kawy, podgrzewany świeczką, i

ciepłe mleko w drugim dzbanku, a także pełną cukiernicę, co okazało się

dobrym pomysłem, bo mieliśmy spore pragnienie i jedna filiżanka by nam

nie wystarczyła.)

- Czarownica w naszym rozumieniu pokrywa się z definicją

Talamaski - powiedziała Mona. - To kobieta, która widzi duchy i ma nad

nimi władzę. Czarownicą się rodzisz. Oliver Stirling ma teorię, że to jest

zależne od budowy mózgu, tak jak na przykład zdolność rozróżniania

odcieni barw. Ale że nie potrafimy zbadać tych receptorów w mózgu,

ponieważ nauka nie potrafi ich wyodrębnić, więc to brzmi tajemniczo.

- Innymi słowy - wtrąciłem - Stirling myśli, że któregoś dnia będzie można zdiagnozować, że ty jesteś czarownicą lub ja jestem czarownikiem?

- Właśnie tak - potwierdziła Mona. - Rowan też w to wierzy, i prowadzi szeroko zakrojone badania pod tym kątem w Mayfair Medical. Ma własne laboratorium i w dużym stopniu może robić to, na co ma ochotę. To nie znaczy, że jest kimś w rodzaju doktora Frankenstein. Rzecz w tym, że spuścizna Mayfairów jest tak wielka, że nie potrzebuje grantów, tak więc Rowan nie odpowiada przed nikim. Prowadzi potajemne i tajemnicze badania. Tylko Bóg wie, co to za badania. Chciałabym je poznać.

- Co może robić, jeśli nie jest w stanie chirurgicznie dostać się do mózgu? - spytałem.

Mona wyjaśniła mi, że można przeprowadzić wszystkie rutynowe badania, a ja wyjaśniłem, że je przeszedłem i nie znaleziono żadnych odstępstw od normy.

- Kojarzę - powiedziała - ale Rowan poddała nas takim ba daniom, które nie są rutynowe. - Twarz nagle jej spochmurniała, pokręciła głową. - Są inne badania, badania krwi tych spośród nas, którzy mają nietypowe geny. No, nietypowe geny, tak można to nazwać. Bo, rozumiesz, z niektórymi osobami w naszej rodzinie tak jest. To dlatego prawie na pewno dojdzie do małżeństwa między mną i Pierce'em. On nie ma nietypowych genów, ale ja mam. Więc mogę bezpiecznie wyjść za niego. Jego wyniki są okej. Czasem się jednak zastanawiam... czy w ogóle powinnam wychodzić za mąż.

- Ja też mam bezpieczne geny, prawda? - upierałem się. - Czemu raz na zawsze nie dasz sobie spokoju z Pierce'em i nie wyjdiesz za mnie?

Spojrzała na mnie przeciągle.

- O co chodzi, Mona? - spytałem.

- O nic. Po prostu wyobrażałam sobie, jak by to było, gdybym za ciebie wyszła. Nie przywiązuję takiej wagi do tego, czy mój mąż będzie miał wyniki okej. Na pewno wśród naszych dzieci byłyby czarownice. Nie jestem przekonana, że to byłoby ważne. Ale, Quinn, musisz dać sobie spokój z tym pomysłem. On prostu jest bez szans. Poza tym mam dopiero piętnaście lat, Quinn.

- Piętnaście...! - Byłem zdumiony. - No, ja mam osiemnaście. Oboje jesteśmy nad wiek rozwinięci. Nasze dzieci będą geniuszami.

- Co do tego nie ma wątpliwości - powiedziała. - I miałyby prywatnych nauczycieli jak ja teraz i zwiedziłyby świat.

- My moglibyśmy zwiedzić świat z ciotką. I z Nashem. Opowiedziałby nam wszystko o tym, co oglądamy.

Uśmiechnęła się błogo.

- Marzenie... - westchnęła. - Byłam w Europie... zeszłego roku jeździłam wszędzie z Ryanem i Pierce'em... Ryan to ojciec Pierce'a, wielki prawniczy filar naszej rodziny, chociaż mamy całą kancelarię. Ale o czym to ja mówiłam...? O Europie. Mogłabym Ujeździć bez końca.

- Och, pomyśl o tym, Mona. Masz już paszport, ja też. Mógłbym cię porwać. Ciotka Queen błagała mnie, żebym jechał!

- Twoja ciotka nie zgodziłaby się, żebyś mnie porwał - roześmiała się.

- Czuję, że ma awanturniczą duszę, ale porwania by nie przelknęła. Poza tym rodzina zaraz zaczęłaby mnie szukać.

- Naprawdę? - spytałem. - Ale dlaczego, Mono? Mówisz o swojej rodzinie, jakby prowadziła jakieś gigantyczne więzienie.

- Nie, Quinn - powiedziała - raczej gigantyczny ogród, ale ściany tego ogrody oddzielają nas od reszty świata. - Pogrążyła się w otchłannym smutku. - Znow zbiera mi się na płacz i to doprowadza mnie do całkowitej i kolosalnej wściekłości.

- Nie, nie płacz. - Sięgnąłem po pudełko z chusteczkami i usiadłem przed nią. - Nie mogę znieść myśli, że uronisz choćby jedną łzę, a jeśli to zrobisz, scałuję ją albo zetrę tą chusteczką. Teraz powiedz mi, dlaczego mieliby nie pozwolić ci jechać do Europy. Przecież ciotka byłaby naszą idealną przyzwoitką.

- Quinn, powiedziałam ci, nie jestem zwykłą dziewczyną z rodziny Mayfair. Nie jestem zwykłą, przeciętną czarownicą. Jestem, jak to nazywają, Nominowana do Dziedzictwa. A nasze Dziedzictwo ma setki lat. To wielka fortuna dziedziczona przez kobiety w każdym pokoleniu.

- Jak wielka fortuna?

- Miliardy. Dlatego można było utworzyć Mayfair Medical i w tej chwili Dziedziczką jest Rowan Mayfair. Rowan nie może jednak mieć dzieci i już wybrano mnie na jej następczynię.

- Rozumiem. Wychowują cię i strzegą, abyś któregoś dnia przejęła majątek.

- Tak. To dlatego chcę, żebym przestała szaleć i sypiać z kuzynami.

Od kiedy wróciliśmy z Europy, byłam bardzo grzeczna. Nie wiem, dlaczego mam takiego hopla na punkcie seksu. Po prostu uwielbiam się kochać. Ale rozumiesz, w czym rzecz. Mam zajęc zaszczytne miejsce w rodzinie, jeśli nie brzmi to zbyt pompatycznie. To dlatego zależało im na tym, żebym pojechała do Europy, nabrała wiedzy, oglady i... Twarz znów jej spochmurniała i ty razem łzy stanęły jej w oczach.

- Mona, powiedz mi - poprosilem.

Potrząsnęła głową.

- Wydarzyło mi się coś okropnego - powiedziała łamiącym się głosem.

Wstałem i zaprowadziłem ją do łóżka. Zrzuciliśmy buty i wdrapaliśmy się na nie. Nigdy nie było mi tak dobrze w moim łóżku jak w tamtej chwili, gdy leżałem pod baldachimem, z Moną obok. I wyobraż sobie, że byliśmy całkowicie ubrani, poza tym, że gdy zacząłem ją całować, rozpiąłem jej bluzkę do ostatniego guzika i gładziłem piersi, ale Monie to przeszkadzało. Nie posunęliśmy się dalej, głównie dlatego, że byłem nieludzko zmęczony, a poza tym chciałem, żeby kontynuowała temat.

- Wydarzyło się coś okropnego? - powtórzyłem. - Możesz mi powiedzieć co?

Długo milczała, po czym znów zaczęła płakać.

- Mona, jeśli ktoś cię skrzywdził, odplacę mu się - obiecałem. - Mówię poważnie. Goblin mógłby nawet... Powiedz mi, co się stało.

- Miałam dziecko - szepnęła przez ściśnięte gardło. Nie przerywałem jej; widziałem, że chce mówić dalej.

- Miałam dziecko i trudno byłoby nazwać je zwykłym dzieckiem.

Ono... ono różniło się od innych. Tak, było nad wiek rozwinięte i może najlepiej byłoby nazwać je mutantem. Kochałam je całą duszą, to było piękne dziecko. Ale... zostało zabrane. - Przerwała na chwilę. - Zostało zabrane i nie mogę się po tym podnieść. Nie mogę przestać o nim myśleć.

- Chcesz powiedzieć, że kazali ci oddać dziecko...! Tak wielka, tak zamożna rodzina! - Byłem poruszony do żywego.

- Nie - potrząsnęła głową. - To nie było tak. To nie była sprawka mojej rodziny. Powiedzmy tylko, że dziecko zostało zabrane i nie wiem, co się z nim stało. Rodzina nie przyłożyła do tego ręki.

- Jego ojciec? - spytałem.

- Nie. Mówię ci, to było coś potwornego. Nie mogę ci wszystko zdradzić. Mogę powiedzieć tylko tyle, że w każdej chwili się czegoś dowiedzieć. - Starannie dobierała słowa. - Mogę odzyskać dziecko. Może przyjść jakaś wiadomość. Zła, dobra. Ale na razie jest tylko cisza.

- Wiesz, gdzie ono jest? - spytałem. - Mona, pojedę po to dziecko! Przywiozę je z powrotem.

- Quinn, jesteś taki silny, taki ufny we własne siły - powiedziała. - To cudownie móc być z tobą... Nie, nie wiem, gdzie ono jest. Myślę, że w Anglii. Nie wiem. I kiedy byliśmy w Europie, trochę się za nim rozglądałam. Nie ma słowa od człowieka, który je zabrał.

- Mona, to jest upiorne.

- Nie - powiedziała, trzęsąc głową, łzy zwisały jej na rzęsach - to nie tak, jak myślisz. Tamten człowiek był kochany, a dziecko... dziecko było

wyjatkowe. - Głos się jej załamał. - Nie chciałam z niego rezygnować, ale musiałam. Musiało odjechać z tamtym kochanym człowiekiem, łagodnym człowiekiem, który mógł się nim zająć.

Byłem tak poruszony, że nie umiałem skleić sensownego pytania.

- Jeśli masz jakieś przeczucie, gdzie może przebywać ten człowiek, pojedę do niego.

Potrząsnęła głową.

- Dawniej wiedzieliśmy, jak się z nim porozumieć. Rowan i Michael - to moje kuzynostwo i teraz zastępczy rodzice, oni bardzo dobrze znali tego człowieka. Obecnie nie mamy jednak pojęcia, gdzie przebywa.

- Mona, pozwól mi się tym zająć, pozwól, żebym odszukał tego człowieka i odnalazł dziecko.

- Quinn, moja rodzina próbowała. Wykorzystali środki Dziedzictwa Mayfair, szukali dziecka i tego człowieka, ale na próżno. Nie chcę, żebyś przysięgał, że spróbujesz ich odszukać. Nawet nie chcę, żebyś się nad tym zastanawiał. Jesteś mi potrzebny tylko po to, żeby mnie wysłuchać. Masz mi tylko przysiąc, że nigdy nie zdradzisz nikomu, co ci powiedziałam.

- Rozumiem. - Ucałowałem ją.

- Będziemy mieli kolejne dzieci, ty i ja.

- Och, to byłoby przecudowne - szepnęła. - Przecudowne.

Wsunęliśmy się pod przykrycia, rozebraliśmy się nawzajem i spoczęliśmy nadzy w tym łóżku, w którym zawsze spaliśmy tak cnotliwie, ja, Mała Ida lub Baba Ramona. Poczulem, że łóżko zostało ochrzczone jak należy, i byłem szczęśliwy.

Zasnąłem. Śniłem, że Rebeka puka do drzwi. To było tak, jakbym się obudził, ale wiedziałem, że to nieprawda. I we śnie powiedziałem jej, aby odeszła. Powiedziałem, że zrobiłem dla niej wszystko, co mogłem.

Walczyliśmy ze sobą. Walczyliśmy u szczytu schodów. Szamotała się ze mną, a ja zepchnąłem ją na dół, mówiąc, że musi opuścić dwór Blackwood, że nie żyje, przepadła i musi się z tym pogodzić.

Usiadła na ostatnim stopniu i płakała żałośnie.

- Nie możesz więcej przychodzić - powiedziałem jej. - Czeka na ciebie Światłość. Bóg czeka. Wierzę w Światłość.

Salon znów był pełen żałobników i słyszałem odmawiany grupowo różaniec, głosy jak przypyływ, Święta Maryjo, łaskiś pełna, a potem znów zobaczyłem, jak Virginia Lee wstaje z trumny, trzymając złożone ręce, i wdzięcznym baletowym skokiem schodzi na podłogę, jej suknia rozkłada się w powietrzu i Virginia Lee podbiega do Rebeki, chwytają i dwie zjawy wytaczają się z domu frontowymi drzwiami, Virginia Lee i Rebeka.

Virginia krzyczy: „Znów przychodzisz czynić zamęt w moim domu?!

Zmuszasz mnie, żebym porzuciła Światłość!” Rebeka wrzeszczy. „Życie za moje życie. Śmierć za moją śmierć”.

Zapadła cisza. Siadłem we śnie, gorąco pragnąc się obudzić i wrócić na górę do swojego łóżka, gdzie jest moje miejsce, ale nie mogłem. „Życie za moje życie” powiedziała. Czy chciała zabrać mi życie? Nic, co zrobiłem, nie zadowoliło jej. Wszystkiego było jej za mało.

Ktoś klepnął mnie w ramię. Obejrzałem się. To była Virginia Lee, pełna życia i urody, chociaż miała na sobie niebieską trumienną suknię.

- Uciekaj z tego domu, Tarquin - powiedziała. W jej głosie zadźwięczała czuła nuta. - Dalej, Tarquin, zostaw ten dom. Tu jest zło. To zło pragnie ciebie.

Obudziłem się zlany potem, wytrzeszczając oczy. Zobaczyłem Goblina. Siedział w kącie, blisko komputera i tylko na mnie patrzył. Mona spała obok mnie głębokim snem.

Wszedłem pod prysznic, a gdy zobaczyłem cię Goblina po drugiej stronie szklanych drzwi, skończyłem się myć, wytarłem i szybko ubrałem. Stał za mną, patrząc mi przez ramię na nasze odbicia w lustrze. Wyraz jego twarzy nie był tak złowrogi jak poprzednio i modliłem się, by nie wyczuł mojego lęku. Nie był tak cielesny jak w Nowym Orleanie, mimo pary wiszącej w powietrzu. To sprawiło mi ulgę.

- Też kochasz Monę? - spytałem go, jakbym był pewien jego odpowiedzi.

- Mona jest dobra. Mona jest silna - powiedział. - Ale Mona cię skrzywdzi.

- Wiem - odparłem. - Ty mnie krzywdzisz, kiedy jesteś dla mnie niemiły, kiedy mówisz niemiłe rzeczy. Musimy kochać jeden drugiego.

- Chcesz być sam z Moną.

- A ty byś nie chciał, gdybyś był mną? - zapytałem. Odwróciłem się i stanąłem z nim twarzą w twarz.

Nigdy dotąd nie widziałem na jego twarzy takiego przygnębienia jak w tamtej chwili. Zadałem mu ból i było mi przykro z tego powodu.

- Ja jestem tobą - powiedział.

Popołudnie było niebiańskie. Nawet teraz, gdy wciąż jestem młody, wspominam tamten stan zakochania, niezwykłego uniesienia jako część niewinnego dzieciństwa. Nie marzę, żeby tamte chwile powróciły, nigdy więcej nie uda mi się doznać takiego wszechogarniającego szczęścia.

Po tym, jak Mona się obudziła i włożyła świeże ubranie, białe spodnie i koszulę, poszliśmy na spacer wokół dworu i wydawało mi się, że ruch i świeże powietrze pomogły mi utrzymać się przy zdrowych zmysłach, gdy otworzyłem przed nią duszę. Opowiedziałem jej wszystko o Goblinie, Lynelle i o moim dziwnym życiu. Była pilnym słuchaczem. Była również oczarowana domem i długim podjazdem obsadzonym hikorami. Nie wydawał się jej wulgarny ani przesadzony. Dostrzegала wszędzie symetrię i harmonię. Tak, był większy i wynioślejszy niż domy w Garden District, ale rozumiała, że Manfred Blackwood czuł potrzebę szerokiego oddechu i znalazł miejsce, w którym mógł zrealizować swoje plany.

- Quinn - powiedziała - my mieszkamy w domach, które są takie a nie inne, bo zbudowały je marzenia, i musimy się z tym pogodzić. Musimy uszanować to marzenie i pamiętać, że ten dom będzie żył po nas. Te domy to osobowości w naszym życiu. Mają swoje role do odegrania. - Przyjrzała się wielkim kolumnom. Podobał się jej nastrój tego miejsca. - Chociaż dom, w którym się wychowałam - podjęła na nowo - trudno by nazwać bogatym, to jednak był duży i miał swoją historię. Pochodził z czasów

wiktoriańskich i stał przy St. Charles Avenue. Ludzie i zjawy zapelniali go od piwnic po strych. Wiesz, moi rodzice nie byli bogaci. Szczerze mówiąc, nasza gałąź była raczej na posługi. Rodzice popadli bezwolnie w alkoholizm. Żyli, żeby pić. A teraz formalnie jestem właścicielką prywatnego samolotu i mam odziedziczyć miliardy dolarów. Ten przeskok czasem doprowadza mnie do szaleństwa ale oznacza tylko, że marzenia się spełniają, bo zawsze marzyłam że zostanę Nominowaną do Dziedzictwa Mayfair. - Nieco posmutniała, co mnie zaniepokoiło. - Któregoś dnia będę musiała opowiedzieć ci wszystko o mojej rodzinie. Ale w tej chwili ty mnie interesujesz. Opowiedz mi o sobie.

Była niesamowicie błyskotliwa. Nigdy nie wyobrażałem sobie swojej żony, jeśli w ogóle miałem mieć żonę, a teraz uznałem za jak najbardziej odpowiednie, że powinna być jednocześnie błyskotliwa i urodziwa. I była piękna w naturalny sposób. Nie używała szminki do ust ani ołówka do brwi. Wyszła spod prysznicą czysta i młoda. Byłem całkowicie zauroczony.

Zapadał zmrok. Na niebie pojawiły się ametystowe i ciemnozłote smugi. Zaprowadziłem ją na stary cmentarz. Wytłumaczyłem, jak rzeka West Ruby nawadnia nasze samotne dwieście akrów Bagien Słodkiego Czarta. Opowiedziałem jej o Wyspie Słodkiego Czarta i Samotni, o dziwnych napisach na grobowcu i intruzie włamującym się do domu, i o tym, jak to w następstwie jego ataku trafiłem do Mayfair Medical.

- Moglibyśmy popłynąć na tę wyspę, Quinn? - spytała. - Mógłbyś mija pokazać? Muszę ją zobaczyć na własne oczy. Czy wieczna Ofelia może

się bać podróży wiecznie płynącymi strumieniami?

- Hm, nie teraz, moja bezcenna nieśmiertelna Ofelio - powiedziałem. -

Robi się ciemno i nie jestem takim macho, żeby wypłynąć na bagna w ciemności. Mogę cię tam zabrać za dnia - Widziałaś tych wszechobecných ochroniarzy? Zabierzemy dwóch Jeśli nieznajomy się pokaże, załatwimy go na miejscu.

Była niesłychanie zaciekawiona. Chciała dowiedzieć się więcej o

Samotni. Czy do kopuły prowadzą jakieś schody?

- Tak, prowadzą i wiesz, nigdy tam nie wszedłem. To kręte żelazne schody i ledwo zwróciłem na nie uwagę. Z ich szczytu na pewno jest doskonały widok na dwór Blackwood.

- Muszę to zobaczyć - powiedziała. - To zbyt wspaniała tajemnica, żebym mogła ją sobie darować. A co planujesz względem tego intruza?

- Wyrzucam go! - rzekłem. - Już jest wściekły, ponieważ spaliłem mu książki. Cóż, kiedy wrócę tam z moimi ludźmi, wyrzucimy jego marmurowe biurko i złote krzesło. Znajdzie je w mule, tam gdzie porzucił trupy.

- Jakie trupy? - Była zafascynowana.

Cofnąłem się w czasie i opowiedziałem jej o tym, jak pierwszy raz zobaczyłem go w świetle księżyca, pozbywającego się trupów. Była bardzo zaintrygowana.

- Ależ ten ktoś to morderca - stwierdziła.

- Nie boję się go - wyznałem. - I po tym, co się zdarzyło, kiedy zaatakował mnie na górze, wiem, że Goblin mnie ochroni.

Obejrzałem się na Goblina, który szedł za nami w pewnej odległości.

Skinąłem mu głowę. Mój odważny towarzysz, pomyślałem.

Spojrzała na ciemniejące purpurowe niebo. Grały cykady, miało się wrażenie, że ziemia mruczy z rozkoszy.

- Rany, strasznie chciałabym kiedyś tam popłynąć - powiedziała.

Roześmiałem się.

- Żadne z nas nie ma na tyle zdrowego rozsądku, żeby się bać! - przyznałem.

Zacząła się śmiać i po chwili śmialiśmy się oboje. W końcu wziąłem ją w ramiona i stałem tak, szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu.

Powtórzyłem, że gdy jutro wypłyniemy na wyspę, zabierzemy ze sobą uzbrojonych strażników. Miałem swoją trzydziestkęósemkę. Spytałem, czy umie strzelać. Odpowiedziała, że tak, była z kuzynem Pierce'em na strzelnicy, po prostu po to, aby nauczyć się bronić, gdyby kiedyś coś jej zagrażało.

- Nie chcę rozmawiać o tym Piersie - powiedziałem. - Ten plan małżeństwa to kompletnie chory pomysł. Czuję się jak Romeo stojący na drodze tamtego jak - mu - tam.

Roześmiała się przeuroczo.

- Och, jak dobrze być z tobą - wyznała. - Po części to dlatego, że nie jesteś jednym z nas.

- Chcesz powiedzieć, że to dlatego, że nie jestem z Mayfairów?

Skinęła głowę. Znow była bliska łez. Objąłem ją. Gdy położyła mi głowę na piersi, poczułem, że płacze.

- Mona, przestań, proszę. Ze mną jesteś bezpieczna.

- Och, wiem - powiedziała. - Naprawdę. Ale wiesz, że niebawem mnie znajdą.

- Wtedy schowamy się za tymi wielkimi kolumnami - zaproponowałem żartem. - Zaryglujemy drzwi do mojego pokoju i przekonamy się, czy zdołają je wylamać.

Przestała płakać. Uspokoila się i otarła oczy chusteczką. Poprosiła mnie, żebym jeszcze raz opisał nieznajomego, a gdy to zrobiłem, zapytała, czy to nie mogło być jakieś widmo albo duch.

To niesłychanie mnie zdziwiło. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Jest wiele rodzajów zjaw, Tarquinie - powiedziała. - I różnią się pod względem iluzji, które tworzą.

- Nie, to nie było widmo - wyjaśniłem. - Był za bardzo rozwścieczony tymi latającymi odłamkami. I nie widział Goblina.

Ten był nadal za nami, włókł się z obojętną miną, i nie zareagował, kiedy mu pomachałem.

Nastala ta pora dnia, podczas której panika najbardziej dawała mi się we znaki, ale tym razem jej nie czułem, ponieważ musiałem zapewnić oparcie Monie, a moja cudowna rudowłosa wprawiała mnie w nieprzerwaną ekscytację, tak że panika i żadne złe myśli nie miały do mnie dostępu.

Opowiedziałem jej o zjawach, które widziałem na cmentarzu, pomiędzy grobowcami. O tym, że się do mnie nie odzywały o tym, jak wyglądały. Zaczęliśmy rozmawiać ogólnie o naturze duchów i zjaw.

Powiedziała, że Oliver Stirling z Talamaski jest serdecznym i bardzo uczciwym człowiekiem, Anglikiem do szpiku kości ja wszyscy najlepsi członkowie Talamaski, i ma wspaniałe poglądy na temat widm i duchów.

- Nie wiem, czy w ogóle istnieje coś takiego jak samoistny duch - powiedziała, gdy obchodziliśmy z szacunkiem nagrobki i grobowce. - Mam przeczucie, że wszystkie duchy to widma kogoś lub czegoś, nawet jeśli egzystują tak długo poza ciałem, że tego nie pamiętają.

- Goblin jest samoistnym duchem - rzuciłem. - Nie jest niczym widmem.

Obejrzałem się na Goblina, który stojąc kawalek dalej, tylko się nam przyglądał, z rękoma w kieszeniach. Bałem się opowiedzieć więcej, o tym, jak szybko się uczył, o niebezpieczniejszych aspektach jego natury.

Pomachałem mu jednak po przyjacielsku i przekazałem mu telepatycznie, że go kocham. Nie zareagował, ale nie miał złośliwego wyrazu twarzy, i nagle dojrzałem, że nosi mój przynoszący szczęście krawat od Versacego.

Czemu go włożył? Czemu był tak starannie ubrany i włożył ten krawat? Może to było bez znaczenia.

Mona chyba spostrzegła, że zwróciłem uwagę na Goblina. Jestem tego pewien.

- Z duchami nigdy nie wiadomo - mówiła dalej. - Czasem to widmo czegoś, co nie było człowiekiem.

- Na Boga, Mona, jak to możliwe? - spytałem. - Chcesz powiedzieć, że to może być widmo zwierzęcia?

- Chcę powiedzieć, że na tym świecie istnieją stworzenia, które

wydają się ludźmi, ale nimi nie są, i nie da się określić liczby ich gatunków.

Te istoty chodzą po ziemi, udając skutecznie ludzi I świadomie

wprowadzając nas w błąd. Tak więc, jeśli chodzi o duchy, to nigdy nie

wiesz, z czym masz do czynienia. To może być coś takiego dobrego i

kochającego jak Goblin. - Spojrzała na mego. Więcej, uśmiechnęła się do

niego. - A może to być widmo czegoś koszmarnego, co potajemnie

nienawidzi ludzi i chce nas skrzywdzić. Przede wszystkim zaś należy

zdawać sobie sprawę, że wszystkie duchy są w jakiś sposób ukształtowane.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że chociaż są niewidzialne dla większości ludzi, to mają jakąś

postać i pewien rodzaj jądra, w którym mieści się zarówno mózg, jak i

serce.

- Skąd to wiesz? - zapytałem. - I jak to możliwe?

- Po pierwsze, Stirling wierzy, że tak jest, a bada widma przez całe

życie. To dlatego ostatnio spędza ze mną tyle czasu. Ja nieustannie widzę

duchy. I Rowan w to wierzy, wiesz, moja kuzynka, doktor Rowan Mayfair.

- Gdzie jest to jądro? I jak widmo może pojawiać się i znikać?

- Nauka jeszcze tego nie wyjaśniła, Rowan zawsze mi to powtarza.

Mamy natomiast jasny pogląd na ten temat. Jądro i cząsteczki tworzące

widmo są po prostu zbyt drobne, abyśmy mogli je zobaczyć, a pole siłowe,

które je kształtuje, może bez wysiłku przeniknąć widzialne molekuly.

Wyobraź sobie drobne owady i przypomnij sobie, jak łatwo przechodzą

przez gruby materiał. Przypomnij sobie, że woda przenika bawełnę i

jedwab. Podobnie widma przenikają ściany. Wszystko to któregoś dnia się

wyjaśni.

- Tak, rozumiem, co chcesz powiedzieć w związku z tym, że widma przenikają materię, ale jak mogą się nam ukazywać?

- Tworząc pole magnetyczne, formują iluzoryczny obraz. Ten obraz może być tak wyrazisty, że wydaje się namacalny. To zawsze jednak jest tylko iluzja i gdy widmo chce albo musi zniknąć, cząsteczki się rozpraszają.

Byłem nią zbyt oczarowany, aby podać jakieś kontrargumenty.

Wszystko, co mówiła, traktowała ze śmiertelną powagą, a ja w gruncie rzeczy miałem tylko pytania. Wiedziałem, że Goblin również słucha i że ona o tym wie - gdyby było inaczej, byłbym bardziej wystraszony.

- Otóż niektóre zjawy - mówiła dalej - dysponują tak wielką energią, że mogą przybrać namacalną postać i być widziane nie tylko przez jedną czy kilka osób uwrażliwionych na nie, ale przez wszystkich. Stają się obecne. I tylko Bóg wie, ile takich istot chodzi między nami.

- To niesamowite - powiedziałem.

- Tylko sobie wyobraź, oto jest coś, co wygląda jak człowiek, ale jest zjawą i wraca po śmierci, mając jeszcze jedną szansę na życie czy coś w tym rodzaju. Zjawy przeważnie jednak wykorzystują swoje właściwości do nadania sobie widzialnej postaci tylko po to, aby pokazać się jakiemuś jednemu medium.

- Dlaczego w takim razie oboje widzimy Goblina? - spytałem.

- To musi być sprawa identycznego zmysłu, którym oboje dysponujemy - odparła. - Jestem tego pewna. Zapewne i ty mógłbyś

zobaczyć przynajmniej część duchów, które ja widzę.

- To właśnie dlatego musimy się pobrać, Mona, nikt inny nas nie zrozumie. Zawsze będziemy tylko wspominać tę chwilę wzajemnego zrozumienia.

Ten komentarz ją zaskoczył i zrobił na niej wrażenie. Zapewne dlatego kiedy się odezwała, w jej głosie zadźwięczał lekki ton rozdrażnienia:

- Quinn, przestań mówić o naszym ślubie, jakby to było coś, co się wydarzy. Mówiłam ci. Wyjdę za Pierce'a. Muszę za niego wyjść. Choć niewykluczone, że moglibyśmy potem nawiązać romans, to poważnie biorąc, nie wydaje mi się możliwy, bo załamałby Pierce'a. To najgorszy aspekt naszego związku. Kiedy wyjdę za Pierce'a, koniec z moimi erotycznymi przygodami.

- Jak można rozpatrywać taką koszmarną wizję. Nie cierpię tego Pierce'a. Może go zabiję...

- Nie mów tak, to najśłodszy Mayfair, jakiego ziemia nosiła - oburzyła się - i będzie się mną opiekował. Och, nie mówmy o Piersie. Czasem zdaję sobie sprawę, że on zasługuje na kogoś lepszego ode mnie i że jest tyle niezbrukanych dziewiczych istot w mojej rodzinie! Może masz rację co do niego. Chcę powiedzieć, że ze względu na jego dobro... Ale wróćmy do duchów.

- Tak - powiedziałem - wytłumacz mi, jak tworzy się jądro „Ucha, zakładając, że się w ogóle tworzy. I niech Pierce żeni się z jakąś dziewczyną, to znakomity pomysł.

- *Stirling twierdzi, że to dusza jest jądrem, dusza, która nie chce się wynieść, kiedy zostanie oddzielona od swojego ziemskiego ciała.*

- *Więc dusza też jest materialna!*

- *Raczej istnieje dzięki elektryczności lub przynajmniej energii.*

Wyobraź sobie coś takiego, coś nieskończenie małego, co jest zorganizowanym ładunkiem energii. Przepelnia całe nasze ciało gdy żyjemy, ale kurczy się do rozmiarów jądra, gdy umieramy, jądro powinno podążyć w Światłość, jak dobrze wiemy. Zamiast jednak wynieść się poza stratosferę, jak powinno uczynić po odłączeniu się od ciała, pozostaje na ziemi i generuje widmowe ciało, ciało stworzone dzięki energii, ukształtowane na wzór utraconego ludzkiego ciała, tak stając się zjawą.

- *I myślisz, że może zapomnieć, że kiedyś było częścią człowieka?*

- *Och, jestem o tym przekonana. Na pewno są duchy przykute do ziemi, które liczą tysiąc lat. Czas się ich nie ima. Nie czują głodu. Nie czują pragnienia. Gdy nie mają nas, żeby się skupić i zgęścić, po prostu się błakają. Nawet nie jestem pewna, co widzą i czy wiedzą, gdy się błakają. Trafia się jednak ktoś, kto na nie reaguje, i zaczynają ewoluować. Stają się widmem i ten ktoś je widzi.*

- *I nazywasz siebie czarownicą, bo widzisz te duchy?*

- *Tak i dlatego, że potrafię z nimi rozmawiać, ale nie potrafię im rozkazywać. Nie eksperymentowałam z tą mocą. Jest zbyt niebezpieczna.*

Cały ten temat jest niebezpieczny, Tarquinie. - Zniżyła głos i ukradkiem wskazała wzrokiem Goblina. - Goblin pewnie to wie, prawda, Goblinie? - spytała. - Pewnie wie o tym wszystkim.

Obejrzałem się. Miał zamyśloną twarz. Nie tryskał już taką

złośliwością jak poprzednio i przyjąłem to z ulgą.

- Mono, musimy być razem, zawsze - powiedziałem. - kto pokocha mnie tak jak ty?

Goblin przysunął się bliżej. Dałem mu znak, aby zachować dystans.

- Bądź teraz wyrozumiały wobec mnie, Goblinie - poprosi go. - To inny rodzaj miłości.

- Nie staram się zająć twojego miejsca, Goblinie - potwierdziła Mona.

- Naprawdę, Mona, kto zdoła pokochać mnie tak jak ty? - znów zwróciłem się do niej.

- O czym ty mówisz? - powiedziała. - Jesteś wysoki i niesamowicie przystojny i masz najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie widziałam. Wiesz, to naprawdę niebywale, kiedy mężczyzna ma niebieskie oczy i jest brunetem tak jak ty. Dziewczyny mówią na takich „ciacho”.

Oczywiście, jej komplementy sprawiały mi wielką przyjemność - byłem bardzo niepewny swojej wartości - i wzmocniły moją nadzieję, że nic nie zdoła nas rozłączyć.

- Wyjdź za mnie, Mona - poprosiłem znów. - Mówię poważnie. Po prostu musisz za mnie wyjść.

- Ten pomysł zaczyna mi się podobać, ale zachowuj się grzecznie - odpowiedziała. - Wróćmy do zjaw i duchów. Musisz mieć jakieś rozeznanie w tym zakresie. Mówiliśmy o duchach przywiązanych do ziemi, o tym, jak nie udaje im się połączyć ze Światłością.

- Czy ty sama jesteś pewna, że Światłość istnieje?

- No, wiesz, do tego sprowadza się cały problem. Niektórzy umierający nie są co do niej pewni i widząc Światłość, mogą jej nie rozpoznać. Mogą jej nie zaufać. Lgną do ziemi, lgną do śmiertelnych, których nadal widzą i słyszą.

- Tak więc mamy teoretycznie te duchy, których jądra nie łączą się ze Światłością - powiedziałem - te blakające się dusze...

- Zgadza się i taki duch może rozpocząć przygodę na własną rękę, że tak powiem, zwłaszcza gdy natrafi na takie medium jak ty lub ja, kogoś, kto potrafi go dostrzec, kiedy jego porządkujące moce są nadal słabe. Wtedy my oczywiście pomagamy mu się skupić, zauważając go, mówiąc do niego, zwracając na niego uwagę, I dzięki temu nabiera energii.

- A co z takimi duchami jak Goblin? Nie jest widmem. Nie wie, skąd się wziął.

Rzuciła mi znaczące spojrzenie mówiące: „Uważaj”.

- W takim razie Goblin jest samoistnym duchem - powiedziała - ale duchy zapewne formują się dokładnie w ten sam sposób - mają jądro i jakby luźne ciało porządkujące pole siłowe i wykorzystują je dokładnie tak jak duchy, ściągając cząsteczki materii, aby ukazać się wybranym ludziom.

Wyszliśmy z cmentarza i skierowaliśmy się do przystani. Bagna już przybrały mroczny i zdradziecki wygląd - czuło się, że jest tam pełno morderczych stworzeń gotowych wyruszać na żer. W górze unosiła się wieczorna pieśń - zapowiedź śmierci. Staralem się nie zwracać uwagi na to wszystko. Monie chyba podobał się ten zmierzch zapadający nad

mokradłami.

- Quinn, gdybyś tylko mógł porozmawiać ze Stirlingiem - westchnęła.

- On ma tyle do powiedzenia. Wiesz, on jest taki otwarty. Talamaska przez wieki dawała schronienie ludziom, którzy widzą duchy. Otwierają ramiona przed takimi jak ty i ja, i to nie dla własnych korzyści. Gdy byłam w Europie, pojechałam do ich Macierzystego Domu i nawet odwiedziłam Macierzysty Dom w Rzymie.

- Wydaje się, że to jakiś zakon, jak trapiści albo karmelici.

- Tak, to jest zakon, ale bez religijnych założeń. To ludzie, którzy potrafią okazywać dobroć, nie narzucając sobie religijnych więzów. Ojcu Kevinowi czasem trudno się z tym pogodzić, ale się przystosował. Wiesz, jak to jest z nami, katolikami. Wszystko nadprzyrodzone, co nie jest od Boga, musi być złe. A tu masz Talamaskę, która bada zjawiska nadprzyrodzone. Nawet jednak ojciec Kevin zaczyna lubić Stirlinga. Nie ma człowieka, który w się oparł jego urokowi.

- Opowiedz mi o ojcu Kevinie. Co o nim wiesz?

- To dobry ksiądz - rzekła. - Sama się przekonałam. Bardzo się starałam zaciągnąć go do łóżka, mówiłam ci, ale nie mógł tego zrobić.

Urodził się tutaj, w dużym domu przy Magazine Stree jako ostatni z ósemki dzieci. Od najstarszej siostry dzieli go całe pokolenie. Mówimy na nich „stalowi Mayfairowie”, bo wszyscy są bardzo dobrzy i nigdy nie pakują się w żadne kłopoty. Kiedy przyjął święcenia, pojechał na Północ, a teraz wrócił, głównie dlatego, że rodzina potrzebuje własnego księdza, a poza tym może tu uczyć - Całkiem niezły z niego teolog, kiedy mu się chce.

- Mono, dlaczego zależy ci na tym, żeby zaciągnąć do łóżka tylu partnerów? - spytałem. Wiedziałem, że wydam się naiwny i infantylny, ale musiałem ją zapytać.

- Dlaczego robisz to samo, Tarquinie?

- Ależ nie, nie robię. Poza tobą byłem w łóżku zjedną kobietą z posiadłości i to wszystko.

- Wiem. - Uśmiechnęła się. - To ta olśniewająca jasnowłosa Mulatka, Jasmine.

- Skąd wiesz?

- My, czarownice, mamy troszeczkę telepatycznej mocy - powiedziała z tym samym wyrozumiałym uśmiechem. - Załóżmy, że to wyczułam. Nie wydawało ci się, że to nieuchronne?

- No, chyba tak. Ale w porównaniu z tobą jestem opóźniony. Mam prawie dziewiętnaście lat, a spałem z jednym duchem, jednym upiorem i dwiema prawdziwymi kobietami, ale zakochany byłem i jestem tylko w tobie.

- Wiem, kogo masz myśli, mówiąc o duchu - rzekła - ale opowiedz mi o upiorze.

- Nie mogę, nie teraz. Jesteśmy za blisko jej grobu. - Wskazałem mały nagrobek. - Wiedz, że na imię ma Rebeka, jest piękna, odebrano jej życie w sposób okrutny i niesprawiedliwy i straciłem z nią cnotę. Ma wielki urok, gdy się pojawia... A jak już mówimy o uroczych ludziach, to mam prywatnego nauczyciela, który jest do niej pod tym względem podobny i który się właśnie do nas zbliża.

To Nash szedł od strony domu, zaprosić nas na kolację. Wyglądał elegancko i przystojnie w dopasowanym dżinsowym stroju z kamizelką i białej, rozpiętej pod szyją koszuli.

Muszę osiągnąć jego klasę, pomyślałem, jest taki naturalny i pewny siebie.

Od razu przedstawiłem mu Monę i powiedziałem, że zamierzam się z nią ożenić. Był lekko zaskoczony, ale przyjął moje słowa z całą powagą.

- Gratulacje, mój drogi Quinnie - rzekł do mnie, po czym uścisnął dłoń Mony i powiedział: - Miło mi cię poznać.

Łagodny głos Nasha mógłby ruszyć góry. A zmarszczki tylko dodawały uroku i wyrazu jego twarzy. Zapoznałem go z moimi planami.

- Oczywiście, jedziemy do Europy, Nash - powiedziałem. - Wszyscy.

Porywamy Monę.

- Ach, dzięki temu wyprawa będzie podwójnie ekscytująca - stwierdził lekko uśmiechnięty, tonem łagodnej ironii. Podał uprzejmie ramię Monie, gdy szliśmy pod górę, i ogarnęło mnie zawstydzenie, że sam o tym nie pomyślałem.

Co się tyczy kolacji, to mieliśmy dołączyć do ciotki Queen, obok domu, gdzie na kamiennych płytach przygotowano stół i świeżo odrestaurowane wiklinowe meble.

- Meble Rebeki - wytłumaczyłem Monie. - Rebeka i ja... to było we śnie... siedzieliśmy na tych meblach, pijąc kawę. Przekonasz się, jak wyglądają. - I ja też się przekonam, pomyślałem. Przekonam się, czy wyglądają dokładnie jak meble z mojego snu, bo wcześniej mogłem tylko

coś sobie wyobrazić, gdy chodziłem między nimi, oszołomiony i niepewny.

Kiedy mijaliśmy front dworu, spojrzałem na poczerwieniałe i

pociemniałe niebo i znów ogarnęła mnie panika, ale opanowałem ją.

Nastał czas cieszenia się życiem i byłem na to gotowy.

Szybko poszukałem wzrokiem Goblina. „Chodź z nami, bądź z nami” -

przekazałem mu w myślach. Usiłowałem się do niego uśmiechnąć, ale on

wiedział, ile lęków mnie trapi. Czytał w mojej twarzy i nie tylko. W

myślach również.

Gdy tylko zobaczyłem komplet białych wiklinowych stolików i foteli, przekonałem się, że są rozstawione identycznie jak we śnie. Przeszedł mnie dreszcz i tak mocna fala paniki, że niemal zacząłem szczekać zębami.

Słyszałem w głowie głos Rebeki i bałem się, że stracę przytomność. Kiedy w Medical Mayfair opisywałem te stany, lekarze twierdzili, że to lekkie symptomy epilepsji. Jaki jednak związek mogła mieć epilepsja z powtórzeniem sytuacji ze snu, z tym identycznym ustawieniem mebli? To nie było żadne wytłumaczenie.

- Mono, moja ukochana - powiedziałem, gdy zbliżaliśmy się do stołu - potrzebuję cię.

- Najbardziej potrzebujesz spotkania z Oliverem Stirlingiem - odparła.

Widziałem namiętność w jej oczach, widziałem, że coś ukrywa.

Widziałem, że z każdą chwilą jestem jej bliższy.

- A wszyscy potrzebujemy coś zjeść - rzuciła ciotka, po czym przywitała mnie i Monę pocałunkiem. - Wiesz, moja droga - dodała - prawdziwa piękność z ciebie.

Ciocia miała na sobie szeroką suknię z beżowej satyny, długie sznury pereł, na szyi kameę. Do tego dochodziły najbardziej migotliwe szpilki, jakie widziałem w życiu - paseczki na palcach były nabijane brylancikami.

Te same kamienie otaczały znakomitą kameę, przedstawiającą Apolla z liry.

Miejsce kolacji oświetlały łagodne lampy, wiszące na ścianie szczytowej domu, a także świece w lampach sztormowych. Meble starannie zaprojektowano i wykonano - podejrzewam, że handlarz antyków byłby gotów dać za nie małą fortunę - i gdy się mu przyglądałem, powróciła atmosfera snu. Rebeka powiedziała mi do ucha: „Ruda suka”. Poczulem w ustach smak kawy. Przeszły mnie dreszcze. Przeszła mnie fala grozy. „Życie za moje życie. Śmierć za moją śmierć”.

Mój umysł i moje ciało były pełne niezwykłych wrażeń. Ledwo spojrzałem na Monę, zajmującą miejsce po mojej prawej stronie a wezbrała we mnie chęć, aby zanieść ją do łóżka. A potem napłynęła tępa rozpacz, nastrój towarzyszący snowi o Rebecce. „Idź ku Światłości” - błagałem bez słów. Staralem się skupić na tym co mnie otaczało. Mona powinna czuć, że ma obok siebie prawdziwego mężczyznę. To nie było miejsce, w którym mógłbym pozwolić sobie na rozdwojenie.

Jasmine włożyła znakomicie dopasowaną w talii fioletową spódnicę i białą bluzkę z żabotem) przyniosła nam kurczaka duszonego z estragonem i ryż. Baba Ramona, jak zwykle w śnieżnobiałym fartuchu, serwowała wino.

Widziałem, że ciotka dokonała cudu z Jasmine, która czuła się pewniej i bardziej odpowiedzialna za prowadzenie domu. Bił od niej blask i to bynajmniej nie była moja zasługa.

- Spójrzcie, jakie śliczne buty noszą te piękne panie, prawda? -

zwróciłem się do Nasha i Mony. - Chciałoby się ucałować ich stopy.

- Jedz i nie miel ozorem, paniczku - zamruczała pod nosem Jasmine.

- Niczego tu nie będziesz całował.

Mona wybuchła śmiechem.

- Nic tak nie zachwyca jak przepych - odparł Nash. Uśmiechnął się. -

Muszę powiedzieć, to rozkosz przebywać w tak uroczym otoczeniu. Nigdzie nie słyszałem tak pięknie grających cykad jak w Luizjanie.

- A jak spędziłeś dzień? - spytałem. - Czuję, że po tym, jak zakochałem się w Monie, zaniedbuję cię, ale kiedy się znalazło przyszłą żonę, człowiek traci głowę. Stałem się szczęśliwy szaleńcem.

- No cóż, to jak najbardziej usprawiedliwiony stan - rzekł. - I na razie nie przejmuj się moją osobą. To wszystko jest dla mnie takie nowe, takie fascynujące. Nie narzekam. Po południu uciałem sobie długą drzemkę, a potem miałem znakomitą zabawę, oglądałem cudowną kolekcję kamei twojej ciotki.

- Kamei? - powtórzyła Mona. - To znaczy, że ma pani jeszcze inne poza tymi, które oglądaliśmy w gablocie?

- Setki - powiedziała ciotka. - Zbierałam je całe życie, a możecie sobie wyobrazić, ile ono trwa. Teraz jednak wznoszę toast na cześć Mony Mayfair, naszego uroczego młodego gościa, i Nasha Penfielda, który niebawem będzie naszym przewodnikiem podczas wielkiego objazdu, i mojego bratanka, który dziś przejął część swojego spadku.

- Mona jedzie z nami do Europy, ciociu Queen - oświadczyłem. - Czy moglibyśmy wyruszyć przed północą? Mona pojedzie jako moja świeżo poślubiona żona.

Mona była wyraźnie zaskoczona, ale się nie roześmiała. Jedyne

uśmiechnęła się do mnie radośnie, a potem pochyliła się i śmiało

ucalowała mnie w policzek.

- Naprawdę weźmiesz ze mną ślub dziś wieczór? - spytała. - Myślę, że

jesteś we mnie szczerze i kolosalnie zakochany.

- Absolutnie i na wieczność - powiedziałem. - Ale nie musimy czekać

na ceremonię. Możemy wylecieć nawet dziś w nocy i ślub wziąć w Paryżu.

To w stylu cioci Queen: spakować się w jednej chwili i lecieć. Oczywiście,

będziesz potrzebowała paszportu, ale wrócę z tobą do domu...

- Kochanie - przerwała mi ciotka - nie sądzę, żeby to było konieczne.

Wydaje mi się, że widzę Mayfairów. Są na podjeździe.

To była wielka czarna limuzyna, taka jak ciotki. Z chrzęstem

miażdżyła żwir, statecznie podjeżdżając do frontowych stopni dworu.

Mona obejrzała się, a potem spojrzała na mnie. W jej oczach

Pojawiły się łzy.

- Tarquin - spytała - naprawdę zabierzesz mnie ze sobą dziś wieczór?

- Tak, absolutnie! - powiedziałem. - Ciociu Queen, wiesz, że tego chcę:

jechać do Europy, poznać świat! Nash, będziesz przewodnikiem i

nauczycielem nas wszystkich. - Byłem gotów umrzeć dla Mony, mówiło mi

to serce i umysł. Byłem gotów walczyć z każdym, kto siedział w tamtej

limuzynie.

- Nashu - ciotka zwróciła się do mojego nauczyciela - idź i przywitaj

ich w moim imieniu, kochanie. Widzę, że ochroniarz wstaje. Odwołaj go. W

życiu nie przejdę przez trawnik w tych szpilkach. Zechcesz pełnić honory

domu, mój drogi?

Mona szybko nam wyjaśniła, że ludzie, którzy teraz zbliżali się do stołu, to Ryan Mayfair, prawnik i ojciec Pierce'a, doktor Rowan Mayfair i jej mąż, Michael Curry. Naturalnie wstałem ale Mona nadal siedziała. Stałem za jej fotelem i położyłem dłonie na jej ramionach. Stałem tyłem do zbliżających się. Byłem niegrzeczny. Szykowałem się do walki.

- Nie przejmuj się, moja dzielna Ofelio - powiedziałem półgłosem - nie zginiesz, póki ten oto dzielny Laertes żyje.

Najdziwniejsze w tym wszystkim było nie to, że serce niemal wyskakiwało mi z piersi, ale czujne i niemal wrogie spojrzenie ciotki Queen, gdy niewielka grupka przybyłych zatrzymała się nieopodal, z mojej lewej strony. Nash szybko poprosił ich, by usiedli.

Wszyscy odmówili. Podziękowali, ale „bardzo się spieszyli”.

- Przyjechaliśmy zabrać Monę - powiedziała Rowan Mayfair uprzejmym tonem, jej głos brzmiał jednak jak przepity - tak to się chyba nazywa. - Pani McQueen - dodała, skłaniając lekko głowę - ma pani wspaniały dom.

- Mam nadzieję, że kiedyś mnie pani odwiedzi - odparła ciotka, ale bez ciepła, które zwykle rozbrzmiewało w jej głosie - Oceniała tych ludzi wzrokiem, jakiego nigdy u niej nie widziałem.

Dokonano szczegółowej prezentacji. Ryan Mayfair wyglądał tak, jakby się urodził w swoim garniturze od Brook Brothers. Michael Curry był najstarszy i nieco prostacki, ale bardzo przystojny. Nosił kurtkę khaki, miał szpakowate włosy i zachowywał się bardzo swobodnie. Jego przodkowie musieli pochodzić z Irlandii, zdradzały to kwadratowa twarz i

niebieskie oczy. Adwokat czuł się niezręcznie, doktor Mayfair też była nieco skrepowana. Miała wysokie kości policzkowe, szczupłą twarz, równo obcięte włosy. Niewątpliwie było w niej coś złowieszczonego, chociaż zachowywała się skromnie.

- Daj spokój, Mono - powiedziała doktor Rowan - przyjechaliśmy zabrać cię do domu. Wystraszyłaś nas, wymykając się z domu.

- Zostawcie mnie w spokoju! - zawołała Mona. To był cri de coeur.

Jej wołanie poruszyło mnie do głębi i byłem gotów do działania, chociaż nie ruszyłem się z miejsca. Ścisnąłem jej ramiona. Serce biło mi jak oszalałe.

Nagle doktor Rowan przybrała jeszcze bardziej złowieszczy wyraz twarzy i wprawiła mnie w szok, mówiąc:

- Michael, bierz ją.

Ryan Mayfair i Michael Curry ruszyli równocześnie w kierunku

Mony. Krzyknęła przeraźliwie, cofając się, przewróciła krzesło i rzuciła się w moje ramiona, obejmując mnie kurczowo. Wykręciła się i schowała twarz w moich piersiach. Czuję, że trzymam najbardziej kruche, najcenniejsze stworzenie, jakie kiedykolwiek poznałem i kochałem i byłem gotów walczyć o nią.

- Dajcie spokój, dżentelmeni - powiedział Nash łagodnym, niemniej władczym głosem - chyba nie zamierzacie zabierać tej młodej damy siłą!

Pani McQueen, czy pozostanie pani neutralną stroną w tej sprawie?

- Ani mi się śni - oświadczyła ciotka. - Jasmine, biegnij po ludzi.

- Chwileczkę - powiedział Michael Curry, unosząc ręce w

powszechnie znanym geście, znamionującym apel o cierpliwość. Mówił dalej jak dobro wcielone: - Mono, proszę, przestań robić teatr i wracaj do domu, wiesz, że nie masz innego wyjścia. Mono, nie chcę tego robić. Nikt nie chce cię zmuszać, ale nie możesz odejść ot, tak sobie. Spójrz na to z naszego punktu widzenia.

- Zamierzam się z nią ożenić - odezwałem się. - Jeśli ktoś z was tknie ją palcem, rozwalę mu gębę. Och, widzę, że nie brakuje wam sił, ale jestem młody i mam gorszą naturę, niż się waru wydaje, więc nie wystawiajcie mnie na próbę.

Co się tyczy Goblina, to wstał i szepnąłem mu do ucha, żeby nic nie robił. Co mógł zrobić, tego nie wiedziałem, ale napawał mnie w równej mierze strachem i zachwytem.

Tymczasem Clem i Allen biegli w naszym kierunku. Ochroniarz już wcześniej zszedł z frontowej werandy i stanął przy boku ciotki, trzymając rękę na broni. Ciotka dała znak Clemowi i Alle - nowi, że mają się zbliżyć, po czym kazała im czekać.

- Proszę was wszystkich, nie ośmieszajcie się - zaapelowała. - Ta dziewczyna je z nami kolację. Wieczorem odeślę ją do domu moim samochodem. Nigdy dotąd nie widziałam takiej burzy w szklance wody. Doktor Mayfair, jestem wstrząśnięta.

- Proszę o wybaczenie, pani McQueen - powiedziała doktor Mayfair.

Jej głos sygnalizował straszliwą siłę. - Mona to piętnastolatka. Oboje jej rodzice nie żyją. Czasem bywa impulsywna. Jestem jej prawną opiekunką. Chcę, żeby wróciła do domu, a jak pani widzi, nie zamierza tego zrobić.

Michael Curry pokręcił głową, jakby chciał rzec: „Jakież to smutne” -

po czym łagodnie pogładził Monę po włosach. Odezwał się do niej

uspokajającym głosem:

- Daj spokój, kochanie, wiem, co czujesz.

- Nie, nie wiesz - łkała mi w koszulę. - Nikt z was nie wie.

- Mona, kocham cię - mówił dalej czule. - Skarbie, pozwól, że cię

zabierzemy. Możesz spotkać się z Quinnem jutro. Quinn, mógłbyś wpaść do

nas, prawda? To będzie dla nas przyjemność. Może jutro po południu. Daj

spokój, kochanie.

Chwyciłem Monę za głowę i szepnąłem jej do ucha:

- Jedź do domu, weź paszport i przygotuj się.

Doktor Mayfair pokręciła głową, jakby ta cała sytuacja również

bardzo się jej nie podobała, lub tak, jakby słyszała mój szept. Adwokat

Ryan, elegancik, ciągle demonstrował bolesny wyraz twarzy - Wydawał

się zażenowany, ale zrezygnowany. Był przystojnym sukinsynem,

musiałem mu to przyznać, a to oznaczało, że jego synalek, osławiony

Pierce, prawdopodobnie również jest przystojny.

W końcu Mona się odwróciła i nadal trzymając się mnie mocno,

spojrzała na nich.

- Nienawidzę tego, co mi robicie - szepnęła. - Nienawidzę was

wszystkich. Nie ufam wam.

- Na Boga, dziecko - powiedziała ciotka Queen. - Czego od nas

oczekujesz?

Nash wydawał się niesłychanie przejęty. Allen i Clem szykowali się

do walki. Ochroniarz był napięty jak struna.

- Ona powinna wrócić do domu, pani McQueen - powiedziała doktor Rowan, cierpliwie i uprzejmie. Miała teraz tak pogodny wyraz twarzy, że nie wydawał się szczery. - Quinn, może odwiedzisz jutro Monę? Michael chyba ma dobry pomysł.

Mona znów odwróciła ku mnie głowę i stojąc tyłem do złowieszczej trójcy, powiedziała bezdźwięcznie „paszport”.

- Wpadniesz o trzeciej, dobra? - spytała głośno, ale równocześnie wbiła mi palce w ramię. Dwa razy.

- Tak, trzecia, będę.

- Zapraszamy na obiad - powiedziała doktor Mayfair. - Pani McQueen, panie Penfield, przepraszam za to wszystko. Naprawdę. -

Zachowywała się tak bezpośrednio i naturalnie, że niemal wierzyło się jej słowom. Chcę przez to powiedzieć, że nie potrafiłem nienawidzić jej tak mocno, jak bym tego chciał. Niemniej jednak budziła jakiś niepojęty lęk.

Mona pocałowała mnie w policzek. Objąłem ją i pocałowałem w usta.

- Kocham cię - powiedziałem. - Przyjadę po ciebie.

- Uważaj na te wszystkie widma - szepnęła. - Bardzo uważaj i

pamiętaj, gdybyś nie mógł się ze mną skontaktować albo gdyby oni

wycięli jakiś numer, jedź do Olivera Stirlinga. Oak Haven to Ustronie

Talamaski na Południu. Wszyscy wiedzą, gdzie jest. Plantacja Oak Haven.

Jest przy River Road w pobliżu Vacherie.

- Kojarzę - powiedziałem. Cofnęła się.

- Zobaczymy się jutro. Ciociu Queen, dziękuję za kolację. Panie

Penfield, miło się z panem rozmawiało. - Przerwała, wpatrzona w twarz ciotki, na której malowały się niepokój i napięcie I nagle podbiegła do niej i ucałowała ją.

- Och, kochanie, małe słodkie kochanie - powiedziała ciotka. - Niech Bóg cię błogosławi i strzeże od złego. Proszę - zdjęła z szyi inkrustowaną brylantami kameę - weź to.

- Och, nie, nie mogę - broniła się Mona.

- Ależ tak, musisz ją przyjąć. Będzie ci nas zawsze przypominać.

Mona znów była na skraju łez. Wzięła kameę, zacisnęła ją w dłoni, okręciła się na pięcie i szybko odeszła, a za nią niepokojące trio. Wszyscy wsiedli do dziwnej wielkiej limuzyny, która zawróciła na podjeździe i niebawem zniknęła nam z oczu.

Jasmine powiedziała naszej gwardii pałacowej, żeby wracała do kuchni. Ochroniarz wydawał się autentycznie zawiedziony, gdy zajmował swoje stanowisko na werandzie. Jasmine wzięła talerz i nałożyła mi gorącego kurczaka i ryżu.

Wybuchłem płaczem. Po prostu rozszlochałem się jak dziecko.

Płakałem i płakałem. Siedziałem, nie przejmując się tym, co kto o mnie pomyśli, i płakałem. Co z tego, że miałem osiemnaście lat. Płakałem.

Nash podszedł i objął mnie ramieniem, a ciotka uspokajała mnie jak niemowlę i nazywała biednym skarbeczkiem.

- Nigdy w życiu na nikim tak mi nie zależało - wyznałem. -

Najzwyczajniej w świecie kocham ją.

- Och, mój słodki syneczku - powiedziała ciotka. - Na Boga, czemu to

musi być Mayfairówna?

- Co z nimi jest nie tak, ciociu Queen? - spytałem. - Wielki Boże, byłem w ich szpitalu! Modlimy się w ich kościele. Ojciec Kevin jest z Mayfairów. O co chodzi?

Nash mocno uściskał mi kark i wrócił na fotel.

- Jasmine, zmień talerz Nashowi - poleciła ciotka. - A ty, syneczku, zjedz coś. Jak możesz mieć sześć stóp i trzy cale i nic nie jeść.

- Mam tylko sześć stóp i jeden cal - wyjaśniłem - to Nash ma sześć stóp i trzy cale. Nashu, dziękuję za wsparcie moralne. Cioci Queen, nie rozumiem, o co chodzi z tymi Mayfairami.

- No cóż, mój chłopcze - powiedziała, unosząc kieliszek do białego wina i prosząc Jasmine o napełnienie go - sama nie za bardzo rozumiem, o co z nimi chodzi, ale rodzinę Mayfairów zawsze otaczały jakieś dziwne pogłoski. Doktor Rowan, ta genialna kobieta, filar Mayfair Medical, jest chyba najbardziej uwielbianą osobą w całym klanie, udziela się publicznie i służy społeczeństwu. Ale nawet ją otaczają tajemnice. Kiedyś była tak ciężko ranna, że stracono wszelką nadzieję na utrzymanie jej przy życiu, po czym cudownie ozdrowiała.

- No cóż, trudno mieć o to do niej pretensje - zaprotestowałem.

- Czyżby? - spytała retorycznie ciotka. - Jedno mogę rzec na pewno.

Nie zmartwychwstała dzięki wstawiennictwu jakiegoś świętego.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

„Jak widziałeś, jest bardzo opanowana i z natury pewna siebie. I być może jest dobrym człowiekiem, może bardzo dobrym człowiekiem. Reszta

rodziny to jednak inna sprawa”.

- O co ci chodzi, ciociu? Ten adwokat jest nudnym mieszczuchem. -

(Oczywiście, powtarzałem po Monie, ale co z tego?)

- Cieszy się sporym szacunkiem - przyznała ciotka - chociaż jego

praktyka ogranicza się do prowadzenia spraw rodziny. Mówię o innych sprawach. I z pewnością nie zapomniałeś, że zarządza naszymi pieniędzmi.

Mówi się jednak od lat, że żeńska część rodziny jest dziedzicznie obciążona

oblędem. No i męska również. Mayfairowie byli faszerowani środkami

uspokajającymi, wsadzani do domów bez klamek, doszło nawet do tego, że

ich dom przy Pierwszej Ulicy popadł w ruinę, chociaż teraz, gdy pojawił się

Michael Curry, został pięknie odrestaurowany, tak przynajmniej

słyszałam. Jest też sprawa samego Michaela, który kiedyś mało nie utopił się w basenie.

- Co to może znaczyć?

- Nie wiem, kochanie. Staram się tylko powiedzieć, że otacza ich

jakaś tajemnica. To rodzina z własną kancelarią prawniczą i własnym

księdzem. Zupełnie jak Medyceusze, nie uważasz, a wiesz, że lud Florencji

zbuntował się przeciwko nim i wyrzucił ich wszystkie dzieła sztuki przez okno!

- Tak jakby lud Nowego Orleanu miał się zbuntować przeciwko

Mayfairom! - parsknąłem. - Nie mówisz mi wszystkiego.

- Nie wiem wszystkiego. To rodzina nawiedzana przez duchy i

niektórzy mówią, że ciąży na niej klątwa.

- Poznałaś Monę. Wiesz, że jest urocza i błyskotliwa. Poza tym my też

jesteśmy nawiedzani przez duchy.

- Dzieje się coś złego - powiedziała ciotka. Zawahała się.

Zauważyłem, że patrzy w bok. W miejsce, w którym siedział Goblin, obserwujący ją bez drgnienia. Wiedziała, gdzie jest, a gdy odwróciłem się do niego, zobaczyłem, że nie odrywa od niej wzroku.

- Krąży wiele legend - mówiła dalej, skubiąc kurczaka - wedle których kobiety Mayfairów dysponują niezwykłymi mocami: mogą wzywać duchy, czytać w myślach, przewidywać przyszłość. Najważniejsze z tego wszystkiego jest to, że są dziedzicznie obciążone obłędem.

- Mona widzi Goblina, ciociu Queen - powiedziałem, zerkając na niego, a potem wracając wzrokiem do niej. - Ma tę moc. Gdzie znajdę drugą taką piękną, błyskotliwą kobietę, która będzie widzieć i kochać Goblina?

Znów na niego spojrzałem. Wpatrywał się zimno w ciotkę. A ona wpatrywała się w miejsce, w którym siedział. Wiedziałem, że coś widzi.

- Wiesz, że każda, która za mnie wyjdzie - mówiłem dalej - wyjdzie za Goblina. - Wziąłem go za rękę i uściskałem ją, ale nie zareagował. - Goblinie, nie smuć się.

Ciotka pokręciła głową.

- Jasmine, jeszcze wina, proszę, kochanie. Chyba się upijani' Postaraj się, żeby Clem był na nogach i później odprowadził mnie do pokoju.

- Ja odprowadzę cię do pokoju - zaproponowałem. |e szpilki, w których można sobie kark skrócić, nie przerażają Zamierzam się ożenić.

- Quinn, widziałeś, jak oni zabrali Monę do domu? - spytała ciotka. -

Wybacz moją śmiałość, ale wygląda na to, że oni obawiają się wszelkich związków Mony, które mogą doprowadzić do tego, że zajdzie w ciążę.

Nash zapytał, czy nie mamy nic przeciwko temu, że nas opuści.

Ciotka powiedziała, że mamy, i poparłem ją skinieniem głowy.

- Nashu, jeśli mamy razem jechać do Europy, to musisz nas poznać - powiedziałem.

Opadł z powrotem na fotel i bez słowa ujął w dłoń szklankę z wodą mineralną.

- Quinn, czy będzie natręctwem z mojej strony - rzekła ciotka - jeśli zapytam, czy między wami doszło do zbliżenia?

Język stanął mi kolkiem w gardle. Nie mogłem odpowiedzieć na to pytanie. Nie mogłem im opowiedzieć o tym, czego dowiedziałem się od Mony - o dziwnym dziecku, mutancie, które zostało jej odebrane. Nie mogłem zdradzić tego, co przekazała mi w zaufaniu.

- Może oboje jesteśmy stuknięci - powiedziałem - ona i ja. Wyobraźcie sobie, że ona widzi Goblina. I oboje widzimy duchy. Mówiła o tym wszystkim z naukowego punktu widzenia. Czulem się, jakbym nie był żadnym dziwadłem. Czulem, że ona i ja jesteśmy pokrewnymi duszami. I teraz ten ktoś, ten mój ukochany skarb, został mi ukradziony.

- Kochanie, to sprawa jednego wieczoru - rzekła z nieskończoną cierpliwością ciotka Queen. - I zaproszono cię na jutro po południu.

- I nie jesteś przeciwna temu, żebym jechał? - spytałem. Zacząłem zmiatać z talerza. Byłem strasznie głodny. Ciekawe, jaki wstrząs zahamowałby mój apetyt? - Spodziewałem się czegoś wręcz przeciwnego.

- *Cóż, może cię to zaskoczy, ale myślę, że mógłbyś przyjąć to zaproszenie z całkiem sensownego powodu. Niewielu ludziom spoza tej rodziny udało się zajrzeć do środka tajemniczego domu Mayfairów, powinieneś więc wykorzystać ten przywilej. Poza tym mam przeczucie, że gdy znowu spotkasz się z Moną, ten ogień sam przygaśnie. Oczywiście, mogę się mylić, to dziecko jest zachwycające, ale mam taką nadzieję. Byłem w rozpacz, ale żarłem jak wilk.*

- *Słuchaj, ciociu - powiedziałem - jeśli uda mi się ją stamtąd wyrwać, z paszportem, czy moglibyśmy natychmiast wyruszyć do Europy?*

Na zwykle łagodnej i pełnej godności twarzy Nasha od jakiegoś czasu widniało jedynie zdziwienie, ciotka Queen wydawała się natomiast nieco poirytowana.

- *Tarquin, nie będziemy porywać tej dziewczyny wbrew woli jej rodziny. Jasmine, jeszcze wina. Jasmine, co się z tobą dzisiaj dzieje? Kiedy musiałam cię tyle razy prosić?*

- *Przepraszam, panno Queen - bąknęła. - Tylko ci Mayfairowie mnie wystraszyli. Ludzie opowiadają straszne historie o ich domu. Nie wiem, czy taki młody chłopak jak Quinn...*

- *Trzymaj język za zębami, śliczna - rzuciłem - i mnie też nalej wina. Jutro jadę.*

- *U nich jest zjawą! - zagrzmiała wojowniczo Jasmine. - Potrafiła wystraszyć każdego robotnika, który pracował na ich posesji. Pamiętacie mojego kuzyna Etienne'a, był murarzem, wezwali go do tego domu i zjawą przewróciła pod nim drabinę.*

- Och, wierutne bzdury - zaprzylem sie. - A poza tym Etienne wrózył z kart.

- Ja teź to umiem, panicznyku - zaraz odpowiedziała mi Jasmine. -

Jeśli chcesz, tobie teź mogę powróżyć, dowiesz się, jaki los cię czeka. -

Wzięła talerz i nałożyła mi dokładkę. Kurczak wprost rozpływał się w ustach.

- Jasmine mówi prawdę, kochanie - poparła ją ciotka. - To rodzina

nawiedzana przez duchy, jak mówiłam. - Przerwała. - Zanim doktor

Rowan przyjechała z Kalifornii, nikt nie zbliżał się do tego domu. Teraz

urządzają w nim wielkie rodzinne zjazdy - Wiecie, to ogromny klan. I tego

się boję, gdy o nich myślę - To klan, a klan może ci wyrządzić wiele złego.

- Im więcej opowiadasz, tym bardziej ją kocham - odpowie' działem

na ten wywód. - Pamiętasz, wyrobiłem sobie paszport w Nowym Jorku,

kiedy byłem tam z tobą i z Lynelle. Jestem gotów do drogi. Ale co to znaczy,

że ta rodzina jest nawiedzana przez duchy?

- Przez lata towarzyszyła im koszmar na zjaw a, jak mówiła Jasmine.

Nie tylko spychała ludzi z drabiny. Teraz jednak ta prześw ietna zjaw a

zniknęła. Poza tym mówi się, że w tej rodzinie zdarzają się przypadki

mutacji genów.

Chciałem ją przetrzymać, nie odzywając się, ale to nie poskutkowało;

też się nie odezwała.

- Co się stało z tamtą koszmarną zjawą? - spytałem.

- Nikt nic nie wie, poza tym, że wydarzył się jakiś wypadek. Jak

wspomniałam, doktor Rowan Mayfair nieomal straciła życie. Tak czy

inaczej jakoś dali sobie radę. Natomiast Mona, sama Mona pochodzi z gałęzi rodziny, w której były bardzo bliskie więzi krwi między małżonkami. To dlatego jest Nominowana do Dziedzictwa. Wyobrażasz to sobie? Wybrać kogoś, dlatego że jego rodzice i krewni zawierali kazirodcze związki? Jeśli ktoś w tej rodzinie ma kłopoty genetyczne, to na pewno Mona.

- Nie obchodzi mnie to - powiedziałem. - Kocham ją.

- Mona nie wychowała się w domu przy Pierwszej i Chestnut. Rosła przy St. Charles Avenue, niedaleko domu Ruthie, i jej najbliżsi wrócili do domu przy plantacji, na wieś. Tam wydarzyło się morderstwo. Mona jako dziecko wcale nie była bogata.

- Opowiedziała mi to wszystko. Więc nie była bogata z domu. Czy muszę pokochać kogoś bogatego? Poza tym...

- Wciąż nie rozumiesz, w czym rzecz. To dziecko niebawem odziedziczy fortunę Mayfairów.

- Sama mi o tym powiedziała.

- Quinn, nie rozumiesz? - spytała z uporem. - To dziecko jest Pod skrupulatną kontrolą. Dziedzictwo Mayfairów to miliardy, równowartość bogactwa jakiegoś małego kraju. A ona wyszła z patologicznej rodziny i odziedziczyła niewyobrażalną fortunę. Nashu, wytłumacz mi to. Ta dziewczynka jest kimś w rodzaju dziedziczki tronu Anglii.

- No tak - powiedział łagodnie Nash, tonem uniwersyteckiego

wykładowcy - w szesnastym wieku zalecanie się do Elżbiety lub Marii

Tudor było uważane za zdradę stanu, ponieważ miały prawo do korony.

Kiedy Elżbieta w końcu została królową, mężczyźni, z którymi się zabawiała, szli pod topór.

- Chcecie powiedzieć, że Mayfairowie mogą mnie zabić? - spytałem.

- Nie, wprost przeciwnie - odpowiedziała ciotka - chcę ci

wytłumaczyć, że Mayfairowie będą starali się odzyskać Monę bez względu na to, gdzie się uda i z kim. Sam to widziałeś. Byli gotowi zabrać ją siłą i wsadzić do limuzyny.

- Nigdy nie powinniśmy pozwolić jej odjechać - powiedziałem. - Mam straszne przeczucia.

Spojrzałem na Goblina. Siedział poważny i głęboko zamyślony, patrząc na tych, którzy siedzieli naprzeciwko mnie.

- Kiedy spotkasz się z nią jutro... - zaczęła ciotka, ale przerwała.

- Jutro i jutro, i jutro - zamruczałem. - Ile muszę wytrzymać, zanim ją zobaczę? W tej chwili chciałbym podjechać pod jej dom i wspiąć się po winorośli do okna.

- Nie, kochanie, nawet o tym nie myśl. Och, nigdy nie powinniśmy byli jechać do Mayfair Medical, ale skąd mogłam wiedzieć, że ta mała dziedziczka będzie w Grand Luminière Café?

Jasmine kolejny raz nałożyła mi kurczaka i ryżu. Zabrałem się do jedzenia.

- Nie ufam nikomu oprócz Mony - powiedziałem. - Kocham cię, ciociu, wiesz o tym, ale jestem w niej zakochany i wiem, dobrze wiem, że nigdy nie pokocham nikogo tak jak jej. Wiem o tym!

- Quinn, czas na najgorszą plotkę.

- Śmiało, wszystko wytrzymam - rzekłem, pakując do ust widelec za widelcem.

- Już wybrali Monie męża - powiedziała łagodnie ciotka. - to jej kuzyn Pierce.

- To też mi wyznała - odparłem, krzywiąc się lekko. Poprosiłem Jasmine, żeby dołała mi wina.

- A czy wyznała ci, że to jej najbliższy kuzyn?

To wstrząsnęło mną, ale nic nie odpowiedziałem.

- Och, kochanie - powiedziała z westchnieniem ciotka. - Bardzo chciałabym już polecieć do Europy, ale nie uda się nam zabrać Mony Mayfair.

- No cóż, mogę cię zapewnić, że nie wsiałam bez niej do samolotu.

Noc liczyła zbyt wiele godzin, a przedpołudnie miało być udręką, tak przynajmniej myślałem. Ciotka, Nash i ja rozstaliśmy się około dziesiątej wieczorem, po dalszej nie prowadzącej do niczego poza udręczeniem rozmowie o Mayfairach. Obiecałem, że zastanowię się nad wyprawą do Europy, nawet gdyby rodzina Mony nie zgodziła się na jej wyjazd, a także, że będę uczył się od Nasha, jeśli zostaną w kraju. Ta ostatnia obietnica nie wymagała ode mnie wiele wysiłku. Polubiłem Nasha bez zastrzeżeń i wierzyłem jego stanowczym zapewnieniom, że gdy zostaniemy we dworze Blackwood, będzie się tu czuł całkiem szczęśliwy.

Kiedy poszedłem na górę, zastałem Babę Ramonę rozbudzoną i otwarte okno obok kominka. Świeży powiew wlatywał do pokoju. Tak się składało, że podczas ciepłych nocy spaliśmy przy włączonej klimatyzacji, więc byłem tym trochę zaskoczony, jak również faktem, iż Ramona wstała z łóżka i gdy tylko zamknąłem drzwi, podeszła do mnie, mówiąc szeptem:

- To Goblin! Otworzył okno! Mówię prawdę jak na świętej spowiedzi.

Otworzył dwa razy i dwa razy zamknął. Jest tam, na dole! Popatrz na monitor. Zobacz, co napisał!

- Widziałaś, jak klawisze się ruszają? - spytałem. Były tam trzy słowa: ZEJDŹ NA DÓŁ.

- Ruszały się! Rany, widziałam, jak okno otwiera się i zamyka, czy ty mnie słuchasz?! Widzisz, co się wyprawia z tym Goblinem Staje się coraz silniejszy, Quinn.

Podszedłem do okna i spojrzałem na trawnik po stronie południowej.

Zobaczyłem go w świetle reflektorów. Stał ubrany w długą nocną flanelową koszulę, mój zwykły strój o tej porze, z tym - że ja, oczywiście, nadal miałem na sobie spodnie i koszulę.

- Quinn, idź do spowiedzi - zaleciła mi Baba Ramona. - Powiesz księdzu, coś wyprawiał z tym duchem! Ty nie rozumiesz, że on jest od diabła? Teraz wiem, że to on porozbijał to całe szkło.

Nie wyklócałem się z nią, nie zawracałem sobie tym głowy. Zszedłem na dół i udałem się w kierunku cmentarzyka, obok którego błakał się bosy jak dusza potępiona Goblin.

- Jedziesz z Moną do Europy, zostawiasz mnie - powiedział. Tego wargi ledwo się poruszały, ale widziałem, jak wiatr mierzwi mu włosy.

- Nie zostawię cię. Jedź ze mną - zaproponowałem mu. - Czemu nie możesz? Nie rozumiem.

Nie odpowiedział.

- Martwię się o ciebie - powiedziałem cicho - martwię się o to, co czujesz. Stałeś mi się bliższy, od kiedy rzuciłeś się na tamtego nieznajomego. Umiesz coraz więcej.

Znów nie doczekałem się żadnej reakcji. Staralem się ukryć strach, wiedząc, że bez względu na jego obecne wyrafinowanie i wyczulenie na moje nastroje, nie potrafi czytać mi w myślach.

Sam byłem niespokojny i tylko częściowo skupiony na Goblinie.

Miłość do Mony przesłaniała mi świat i nie potrafiłem się skupić na nikim innym. Po tych wszystkich wspólnie spędzonych latach to było wstrętne z

mojej strony! Czy wiedział, co się we mnie dzieje?

- Chodź, wyjdźmy z tego światła - powiedziałem. Minąłem barak i znalazłem się po zachodniej stronie posesji, gdzie elektryczne światło opływało wiklinowe meble. Szedł za mną, a gdy się obejrzałem, gdy objąłem go ramieniem, zobaczyłem, że zmienił się jakby nigdy nic, ma na sobie takie samo „branie jak ja.

- Spróbujesz zabrać mnie ze sobą? - spytał. - Kiedy pojedziesz do Europy? Będziesz trzymał mnie za rękę?

- Tak - powiedziałem. - Obiecuję. Będziesz siedział obok mnie w samolocie. Będę mocno trzymał cię za rękę przez całą drogę. - Mówiłem to z pełnym przekonaniem, niemniej jednak był moją dawną miłością, gdyż teraz moja dusza należała do mojej cudownej Ofelii. Byłem jej Hamletem, Laertesem, a może nawet Poloniuszem. Nie potrafiłem jednak zapomnieć o moim Goblinie, przy czym nie chodziło o to, że się go bałem, nie, to lojalność względem niego nie dawała mi spokoju.

Myślałem również o innych sprawach. Na przykład o Samotni i o tym, że należałoby ją wyprowadzić ze stanu dzikości i zapuszczenia.

Rozmawiałem już z Allenem, naszym zarządcą o podłączeniu elektryczności, zamierzałem też wprowadzić inne innowacje. Oczywiście, tajemniczy nieznajomy był problemem o wiele bardziej realnym, niż spodziewali się fornale. Ale już sobie wyobrażałem, jak wspaniale mógłbym urządzić to miejsce. Jak będzie cudownie, gdy zabiorę tam Monę. Byłem podekscytowany myślą, że Mona chciała zobaczyć wyspę i że nie czuła lęku przed tym, co mogło nas tam czekać.

Marząc o tym wszystkim, snując rozważania i plany, marząc o jutrzejszym spotkaniu z Moną i o tym, czy uda się nam uciec do Europy, starałem się być szczery i wierny wobec Goblina, gdy nagle zeszywniał i ściskając mi rękę, przekazał mi telepatycznie: „Uważaj. On nadchodzi. Myśli, że o nim nie wiem, i ma złe zamiary”.

Natychmiast zniknął. A przynajmniej zniknął z mojego pola widzenia. Równocześnie zgasty światła. Znalazłem się w ciemności.

Nagle jedna ręka złapała mnie za gardło, a druga wykręciła mi lewe ramię za plecy. Staralem się stawić opór, ale na próżno. Nie potrafiłem nic zrobić wolną ręką, gdy usłyszałem w uchu cichy głos nieznajomego:
- Zawołaj pomocy, a cię zabiję. Każ swojemu duszkowi się na mnie rzucić, a cię zabiję. Przepadniesz, ty i twoje marzenia.

Byłem wściekły.

- Raz z tobą walczyłem - warknąłem. - Będę walczył znowu.

- Nie słuchasz. - Mówił cicho. Bez śladu groźby. - Jeśli twój famulus znów się na mnie rzuci, umrzesz na miejscu.

- Więc co cię zatrzymuje? Czemu od razu nie skręcisz mi karku. -

Opanowała mnie furia.

- Bo jesteś ofiarą człowieka myślącego - powiedział mi do ucha.

- Nie jestem niczyją ofiarą - odpowiedziałem.

- Oczywiście, że jesteś, bo zrobisz, co zechcę.

- Czyli...? - spytałem. Przypominając sobie pewną starą radę,

usiłowałem przekręcić w bok głowę, tak aby osłabić nacisk na tchawicę, ale on tylko zacisnął rękę na gardle i mocniej wykręcił mi ramię. Czulem

ból.

- Przestań się rzucać i słuchaj - rozkazał mi wciąż tym samym, spokojnym, niemal pieszczotliwym tonem. - Zostawię cię na trawniku jak gołębia z skręconym karkiem, żeby ciotka Queen miała co oglądać podczas porannego spaceru. - Cierpliwie tłumaczył głosem niewiele silniejszym od szeptu. - Wiesz, że lubi sobie pospacerować przed świtem. Starzy ludzie niewiele śpią. Nie potrzebują całej nocy. Wychodzi z Jasmine, która jest wciąż odurzona snem, ale odbywają swoją małą przechadzkę dla zdrowia, gdy gwiazdy jeszcze wiszą na niebie.

- A ty się im przyglądasz - powiedziałem ogarnięty zgrozą. - Czego od nas chcesz?

- Będziesz pod niezwykłym wrażeniem mojej hojności, ale zawsze byłem sławny z hojności i mądrości.

- Niech się przekonam - powiedziałem. Byłem tak wściekły, że mówienie sprawiało mi trudność.

- Świetnie. Wiele rozmyślałem o tobie i tej wysepce, do której obaj zgłaszamy pretensje. Doszedłem do wniosku, że moglibyśmy podzielić się Samotnią. To znaczy, ja ci pozwolę używać jej za dnia, a sam będę korzystał z niej nocą, tak jak było moim zwyczajem do tej pory.

- Nocą? Przyływasz tam tylko nocą? - Ta sytuacja była niemal nie do wytrzymania.

- Oczywiście. Jak myślisz, dlaczego znalazłeś tam świece i popiół w kominku? Nic mi po niej za dnia, ale nie życzę sobie dalszych wizyt. Nie chcę oglądać śladów obecności innych ludzi, kiedy przyłynę. Poza

śladami twojej obecności. Twoimi książkami, gazetami, tego rodzaju rzeczami. Teraz najważniejsza część umowy. Masz ulepszyć Samotnię.

Masz ją wznieść na wyższy poziom doskonałości. Rozumiesz?

Nieznacznie rozluźnił uścisk. Mogłem jako tako oddychać. Wciąż jednak trzymał mnie w mocnym uścisku i czułem ból w lewej ręce.

Paraliżowała mnie furia.

- Ulepszenia to istota sprawy - powiedział. - Masz się nimi zająć,

żebyśmy obaj byli zadowoleni i szczęśliwi. Być może nigdy się nie

zorientujesz, że tam jestem. Och, możemy się wymieniać książkami.

Możemy się lepiej poznać. Kto wie, może staniemy się przyjaciółmi.

- Jakie ulepszenia? - Najwyraźniej miałem do czynienia z szaleńcem.

- Po pierwsze, chcę, żeby gruntownie tam wysprzątno, a złote

plaskorzeźby sarkofagu oczyszczono i wypolerowano.

- Więc to złoto.

- Jak najbardziej. Jeśli wolisz, możesz powiedzieć swoim

pracownikom, że to brąz. Zresztą powiedz im, co chcesz, byle tylko

trzymali się z daleka od wyspy.

- Dla kogo wzniesiono ten grobowiec? - spytałem.

- Nigdy więcej się nim nie przejmuj i nigdy więcej go nie otwieraj. -

Głos miał lekki jak tchnienie. - Wracajmy do Samotni. Zainstalujesz tam prąd.

- Czytałeś mi w myślach, co?

- Potem chcę, żeby wprawiono szyby we wszystkie okna, okiennice,

by można było je otwierać i zamykać. Wystrój nie ma znaczenia, chodzi

tylko o to, żeby można było oglądać noc i żeby deszcz nie padał do środka.

Na parterze i piętrze położysz podłogi - marmurowe płyty, takie jak te w twoim holu wejściowym byłyby doskonałe, ale wydaje mi się, że powinny być białe z czarną fugą.

- Dobry Boże, naprawdę czytałeś mi w myślach. Kim jesteś?

- Doprawdy? Mam taki dar. Należy również zakupić jakieś gustowne lampy i marmurowe stoliki, jak ten, który już tam stoi. I piękne złote krzesła w rzymskim stylu, i sofy. Wiesz. Zostawiam to tobie, masz gust do takich rzeczy - urodziłeś się, aby z nich korzystać, i wychowałeś się wśród nich - sam uznasz, czy coś się nadaje czy nie.

- Traktujesz to jak zabawę, prawda? - spytałem. Biły na mnie zimne poty.

- Nie do końca - powiedział. - Zależy mi na tych ulepszeniach. A poza tym na odosobnieniu. Masz dać mi to wszystko.

- I mówisz poważnie.

- Ależ oczywiście - powiedział niski, ściszony głos. - Co jeszcze mógłbym zaproponować? Ach, tak, lepszy kominek, nie uważasz? Zimowe noce w Luizjanie bywają dokuczliwie chłodne. Ludzie z zewnątrz nie mają o tym pojęcia.

- Jak mnie szpiegowałeś? Z jakiego punktu obserwacyjnego?

- Nie bądź taki pewny, że cię szpiegowałem. Jestem przebiegły.

Chciałeś odzyskać to miejsce. Znam przepych, w którym żyjesz. Chcę się z tobą zaprzyjaźnić, nie rozumiesz? Miło trzymać cię w ramionach.

Proponuję ci pokój, jeśli spełnisz moje żądania. Jeśli będziesz potrzebował

większych funduszy, dostarczę ich z przyjemnością.

- A ty ze swojej strony zobowiązujesz się całkowicie unikać wyspy za dnia?

- Tak - potwierdził - i nie zabiję cię. To najjaśniejszy punkt: pozwolę ci żyć.

- Kim jesteś? - powtórzyłem z mocą pytanie. - Co z ciebie za człowiek?

Czy to, co w nocy wrzucałeś do bagna, to były trupy? Mam rację, prawda?

A te łańcuchy na piętrze? Czy nigdy nie zadałeś sobie pytania, do czego służyły te łańcuchy? - Usiłowałem się wyrwać. Wzmocnił uścisk.

Roześmiał się ponurym, powolnym śmiechem, śmiechem, stary już wcześniej słyszałem, chociaż nie potrafiłem go zlokalizować. A może potrafiłem? Czy widziałem go tylko tamtej nocy na oświetlonych księżycem mokradłach? Jego siła i grożące mi niebezpieczeństwo odebrały mi jasność myślenia.

- Jeśli chcesz, możesz pozbyć się tych łańcuchów - powiedział. - Zrób całkowity porządek, jak mówiłem. Zamów nowe schody na piętro. Z brązu. I ostrzeż wykonawców, że mają nie gadać o wyspie i domu. Ostrzeż ich, że mają przegonić ciekawskich. Gdy będą najmować pracowników spoza regionu, niech sięgną raczej po ludzi z dalszych miejscowości niż z bliższych.

- Jak w czasach Manfreda - powiedziałem.

- Jak opowiadasz podczas oprowadzania turystów po domu i posiadłości - potwierdził głos. - A teraz mam dla ciebie pewną radę.

- Jaką znowu radę?

- Widzisz zjawy i rozkochaleś się w jednej z nich, imieniem Rebeka.

- Skąd to wiesz?

- Wystarczy, że wiem i ostrzegam cię przed nią. Ona chce, żebyś zemścił się na tych, którzy ją skrzywdzili, ale zadowolili się twoim życiem. Jesteś z Blackwoodów i to się dla niej liczy. Twoje szczęście ją fascynuje.

Daje jej siłę. I sprawia jej ból.

- Widziałeś ją na własne oczy?

- Pozwól, że powiem ci coś zabawnego. Wszedłem w sny, podczas których cię odwiedza. Dzięki nim udało mi się poznać jej żalosne pragnienia.

- Torturowano ją w Samotni. Zakuto ją w te łańcuchy i torturowano.

- Bronisz jej przede mną? Ona nic dla mnie nie znaczy. Mam dla ciebie sugestię. Usuń te łańcuchy i wrzuć do urny z jej szczątkami na cmentarzu.

- Szpiegujesz mnie w dzień i w nocy - powiedziałem, zgrzytając zębami z wściekłości.

- Chciałbym - odparł. - Teraz zamierzam cię wypuścić. Będziesz mógł się odwrócić i spełnić swoje marzenie: przyjrzeć mi się. Wypełnij swoją część umowy, a nigdy nie skrzywdzę ciebie ani twojej rodziny, ani twojej rudowłosej ukochanej i jej wiedźmowatego klanu.

Cofnął rękę. Odwróciłem się. Zrobił krok w tył. Był taki, ja go zapamiętałem. Sześć stóp wzrostu. Gęste kruczoczarne włosy szesane z kwadratowego czoła, wydatne kości skroniowe, wielkie czarne oczy i czarne brwi, nadające jego twarzy wyraz zdecydowania, długa linia

uśmiechniętych ust i mocno zarysowane szczęki. Robił duże wrażenie. Jego oczy dosłownie błyszczały w świetle. Miał na sobie znakomity czarny garnitur. Przez krótką chwilę widziałem go całego, a potem się odwrócił, demonstrując długi gęsty kucyk - i przepadł ze szczerem, jak dematerializujący się Goblin.

Ten natychmiast pojawił się u mego boku, mówiąc głośno:

- Zło, Quinn, zło. On nie zniknął. Potrafi być jak błyskawica.

- Weź mnie za rękę, Goblin! - poprosilem. - Wiem, że byłeś blisko, słyszałeś jego groźby. - Wstrząsały mną gwałtowne dreszcze.

- Gdybym wkroczył między was, zmiażdżyłby cię. Był gotów ze mną walczyć, Quinn. Nie bał się.

Odwróciłem się. Dreszcze były tak silne, że ledwo mogłem ustać na nogach. Jak zwykle o tej porze ujrzałem światło w oknie ciotki Queen. Siną poświatę telewizora. Uściskałem Goblina i powiedziałem mu, że musimy iść do ciotki. W głowie szumiało mi z przejęcia.

Pobiegłem przez kuchnię, tylny korytarz i zapukałem do jej drzwi.

Zastąpiłem ją tam, gdzie zwykle, na szezlongu, z jej ulubionym napojem, szampanem, którym zapijała sorbet na szampanie, tak kończąc wielką pijatykę, która zaczęła się przy kolacji. Jasmine spała kamiennym snem, przykryta kołdrą. W telewizji wyświetlano Szkarłatną cesarzową z Marleną Dietrich.

- Słuchaj, ciociu - powiedziałem, przystawiając krzesło do szezlongu.

- Wiem, że zaraz utracisz resztkę wiary w mój zdrowy rozsądek.

Wyjąłem chusteczkę i otarłem pot z czoła.

- Nic nie szkodzi - rzuciła radośnie. - Ludzie i tak będą cię szanować.

Jesteś moim bratankiem.

- Ten nieznajomy znów zaatakował. Tuż przy domu. Mało mnie nie udusił.

- Dobry Boże, Jasmine...

- Nie, zaczekaj, nie wzywaj nikogo. Zniknął, ale zanim odszedł, powiedział, czego chce. Przedstawił listę życzeń, domaga się remontu

Samotni i zaproponował, żebyśmy po renowacji wspólnie z niej

korzystali... on w nocy, ja za dnia. Jak się nie zgodzę, to mnie zabije.

Była oszołomiona ze zgrozy. Nie odezwała się. Wpijała we mnie

swoje małe niebieskie oczy.

- Ciociu Queen, to, że wdarł się na nasz teren, zgasił światła i mało mnie nie udusił, to wszystko jeszcze nic. Te jego wymagania względem domu są najdziwniejsze!

- To znaczy...?

- Odnowienie. Dokładnie na tym mi zależało! Jakby czytał w moich myślach! Naprawdę czytał mi w myślach. Podłączenie prądu, nowe marmurowe podłogi, wprawienie szyb, nowe schody z brązu prowadzące na piętro. Nie zażądał niczego, o czym bym wcześniej nie pomyślał. Nawet wspomniałem ci o tym, wspomniałem naszym pracownikom, że mają zapamiętać drogę na wyspę, bo chcę założyć elektryczność. Czyta mi w myślach, mówię ci. Bawi się ze mną. To nie człowiek. To duch albo widmo jak Goblin. Tylko że innego gatunku, ciociu Queen, i muszę pojechać do Mony, bo Mona będzie wiedziała, co o nim myśleć, i Oliver Stirling też.

- Quinn, przestań, opanuj się! - powiedziała. - Majaczysz. Usta ci się nie zamykają. Jasmine, obudź się.

- Nie wciągaj jej w to, zadręczy nas - jęknąłem. Jasmine już nie spała, siedziała na łóżku, nie przejmując się moimi słowami.

- Zaraz zrobię plan renowacji, a potem zamierzam się przespać, zanim pojedę do Mony - powiedziałem.

- Kochanie, jest północ. Musisz ze mną porozmawiać, zanim wyjedziesz na spotkanie z Moną - zaprotestowała ciotka.

- Przysięgnij mi, że przeznaczysz fundusze na Samotnię. To drobiazg w porównaniu z tymi wszystkimi pieniędzmi, które cały czas wydajemy na dwór. Och, nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę odrestaurowaną Samotnię. Ale przecież mam własne pieniądze, prawda? Zapomniałem o tym. Stać mnie na to. Niesamowite.

- I zamierzasz dzielić ten cudownie odnowiony dom z człowiekiem, który topi trupy na bagnach? - spytała.

- Może się myliłem. Może to nie były trupy. Wiem tyle, że nie zaszkodzi, jeśli zrealizuję moje plany renowacji, i teraz on nie będzie stał mi na przeszkodzie, nie rozumiesz tego? Godzinę temu był jedną wielką przeszkodą, o którą rozbijały się wszystkie moje marzenia związane z Samotnią. Był napastnikiem. Teraz jest częścią planu. Nie żądał niczego, czego bym sam nie pragnął. Ciociu Queen, on nas obserwuje. Wie, że rankiem wychodzisz na spacer wokół domu. Musisz brać ze sobą ochronę. Jest przebiegły.

Wyglądała okropnie. Szampan stracił moc i smak. Wpatrywała się

we mnie otrzeźwiała i załamana. Powoli włożyła do ust łyżeczkę sorbetu, jakby tylko on mógł utrzymać ją przy życiu.

- Och, mój kochany chłopcze - westchnęła. - Jasmine, słuchasz?

- Jak mogę nie słuchać? - powiedziała Jasmine. - Któregoś dnia, kiedy będę stara i siwa, będziemy mieć portret Quinna na ścianie, a ja będę wlokła się przed turystami, opowiadając, jak to zniknął na mokradłach i więcej się nie pokazał...

- Jasmine, przestań! - ofuknąłem ją. - Ciociu Queen, idę na górę.

Przyjdę cię pocałować, zanim wyruszę do Mony. Wyjadę dopiero jutro po południu. Wiem, że nie dałbym rady prowadzić w takim stanie. Poza tym, mam pracę do wykonania.

Pobiegłem na górę, mając Goblina u boku.

Włączyłem komputer, mimo że Baba Ramona już spała. Na szczęście wcale się nie obudziła, gdy stukalem w klawiaturę.

Goblin zajął miejsce obok mnie. Miał twarz bez wyrazu i nie dotknął klawiszy. Wpatrywał się ekran, gdy pracowałem.

Nie odzywałem się do niego. Wiedział, że go kocham. Równie dobrze wiedział, że ulegam pokusom i pochlebstwom świata, który coraz szerzej otwierał się przed mną.

Tak, bałem się nieznajomego, ale teraz to diabelskie indywiduum budziło moje potężne podniecenie. Ulegałem szaleństwu.

Sporządziłem całkowity szkic renowacji Samotni, opisałem szczegóły wykonania i podkreśliłem istotne elementy - te, które udało mi się zapamiętać. Zakładałem, że Allen i fornale zajmą się wszystkim, tylko

*wyjatkowo korzystając z zewnętrznych wykonawców, tak więc może
niepotrzebnie wchodziłem w detale, które miały być dla nich oczywiste.*

Zdecydowałem się pomalować ściany zewnętrzne na czerwono -

brunatno,

szpalety

okien

i

drzwi

na

ciemnozielono,

położyć

*najdoskonalszy biały żyłkowany marmur na podłogi i schody zewnętrzne,
schodzące na szeroki taras z białego marmuru, i zafugować go na czarno.*

*Taras miał dochodzić do przystani - prawdziwej przystani, którą należało
zbudować. Do wewnątrz zamówiłem nowe schody, dochodzące do kopuły.*

*Zapowiadało się, że dom będzie olśniewający i drogi. Ale miał
dorównywać dziwnemu złotemu grobowcowi.*

Co się tyczy umeblowania, to miałem zamiar zamówić je z tego

samego katalogu, z którego korzystaliśmy, robiąc zakupy do dworu, i

oczywiście postanowiłem, że wybiorę się do Hurwitza Minza do Nowego

Orleanu obejrzeć znakomite, robione na zamówienie meble. Chciałem mieć

wszędzie kilkuramienne świeczniki i stoliki z marmurowymi blatami - tak

jak to sobie wymarzyłem i jak zarządził mój dziwny, przebiegły wspólnik.

Kiedy się nad tym zastanowiłem, gdy przyłapałem się na tym, że

nazywałem go współnikiem, rozważyłem to jeszcze raz i przypomniałem sobie tamtą chwilę w świetle księżyca, i zdałem sobie sprawę, kogo naprawdę widziałem. Nie miałem cienia wątpliwości. A potem przypomniałem sobie jego pierwszy napad i list, który do mnie napisał. I to, jak niedawno byłem zdany na jego łaskę i niełaskę. Powiedział, że mnie zabije, jeśli nie wypełnię jego instrukcji. Czy mu uwierzyłem?

Oczywiście, nienawidziłem go. Bałem się go. Ale za mało.

Powinienem być ostrożniejszy. Powinienem się wycofać z tego przedsięwzięcia. Powinienem nie cierpieć nieznanego intruza.

Powiedziałem ciotce prawdę. Chciałem przeprowadzić tę renowację.

Chciałem przywrócić Samotnię do życia. A teraz je - den z moich największych problemów - stworzenie płaszczyzn? porozumienia z tajemniczym nieznanym - był rozwiązany. Nie musiałem walczyć o dom ani o wyspę. Zostaliśmy współnikami. Tak więc zabrałem się do rzeczy.

Czy po części zakochałem się w tym potworze? Czy nie to w gruncie rzeczy mnie popychało?

Pamiętałem nawet jego zalecenie, aby nie ściągać na wyspę ludzi z zewnątrz, lecz raczej otoczyć ją welonem tajemnicy, i wpisałem je do planu. Wreszcie napisałem o tym, co należy zrobić najpierw - o oczyszczeniu i wypolerowaniu mauzoleum - i surowo zakazałem powtórnie otwierać grób. Na tym zakończyłem pisemny plan renowacji.

Wydrukowałem odpowiednią liczbę kopii. Następnie narysowałem wyraźny plan luksusowej granitowej łazienki, mającej nie więcej niż jedno okno, którą postanowiłem umieścić z tyłu Samotni. Używając faksu,

sporządziłem cztery kopie, tak kończąc moje oficjalne plany.

W tym momencie Goblin powiedział:

- Zło, Quinn. Quinn Goblin umrze w każdym wypadku.

Odwróciłem się. Twarz miał zastyglą i zimną, jak często bywało w ostatnich kilku dniach. Nie ujrzałem śladu dawnej miłości, ciepła ani rozbawienia.

- Co to znaczy, że Quinn Goblin umrze? - spytałem. - Nie pozwolimy, żeby się to stało, stary druhu. Nie pozwolimy. Przysięgam ci. Rozumiesz, co mówię? Obiecuję z głębi serca.

- Oni wszyscy ciebie chcą - mamrotał monotonicznie. - Mona cię chce.

Rebeka cię chce. Ciotka Quinn cię chce. Nash cię chce. Nieznajomy cię chce.

W każdym wypadku Quinn Goblin umrze.

- Nic nigdy nas nie rozdzieli - powiedziałem z całkowitym przekonaniem. - Może oni nie wiedzą, jak silna jest nasza więź. My wiemy.

Powoli się rozplątał; lodowaty wyraz jego twarzy nie uległ zmianie.

Miałem wyraźne przeczucie, że rozplątał się z własnej woli, nie dlatego, że musiał, ale dlatego, by dać mi do zrozumienia, iż porzucą, i odczułem to boleśnie.

- Powiedziałem ci prawdę - rzuciłem w przestrzeń. - Tylko ty możesz uśmiercić nasz związek, tylko ty możesz doprowadzić do tego, że się rozdzielimy. Zrobisz to, kiedy mnie porzucisz.

Czy był blisko, czy daleko, czy słyszał moje słowa - nie mam pojęcia.

A ja byłem zbyt szaleńczo podniecony, aby się tym przejmować.

Szybko zszedłem do ciotki i zostawiłem jej mój plan. Przyjęła go

całkiem przychylnie. Udałem się do baraku, odszukałem skrzynkę pocztową Allena i wrzuciłem do niej kopię. Jak mówiłem, Allen był brygadzystą rzemieślników. Miał dopilnować wykonania planu. Z uprzejmości podrzuciłem też kopię Clemowi, jako że był nadzorcą wszystkich naszych pracowników, i wróciłem do domu.

Kiedy przecinałem tylny taras, ogarnęły mnie nudności i zawroty głowy. A gdy się obejrzałem - gdy przypomniałem sobie blask rozgwieżdżonego nieba, ciepłe powietrze, zapraszające światło z kuchennych drzwi, gdy przypomniałem sobie uderzenie adrenaliny do krwi, znów przeżyłem tamto pobudzenie i miłość do Mony. Byłem głupi, ulegając na chwilę uczuciu do tajemniczego nieznajomego, ale równocześnie potrafiłem stawić mu czoło, chociaż nie za bardzo było mnie na to stać.

Dziwne słowa Goblina nie miały żadnego znaczenia, absolutnie żadnego. Prawdę mówiąc, podejrzewałem go nawet o niskie pobudki, zazdrość, a całe jego zachowanie w ostatnim czasie stawiało pod znakiem zapytania jego miłość. Tak, odsuwałem się od niego. Tak, Goblin Quinn był skazany na śmierć. To było nieuniknione, gdyż miała o tym zdecydować męskość.

A na polu bitwy męskości to Mona była moją księżniczką, a tajemniczy nieznajomy rycerzem w czarnej zbroi, podążającym blisko mnie lub nawet przeciwko mnie w starciu, którego zasad dopiero się uczyłem. Mieliśmy się poznać, rycerz w czarnej zbroi i ja. Mieliśmy rozmawiać w Samotni. Miałem przeniknąć iluzję, w której trupy wpadały

w czarne wody. Miałem odkryć, że to wszystko było jakby snem. Wszystko złe musiało być snem. Na przykład Rebeka. Rebeka przychodziła w snach. Co więcej mogłem zrobić dla biednej Rebeki? Oczywiście, nie mogłem jej dać „życia za życie, śmierci za śmierć”.

Wróciłem na górę. Okna były zamknięte. Klimatyzacja szumiała.

Śladu Goblina. Podszedłem do okna i wyjrzałem na trawnik po zachodniej stronie. W oddali widziałem oświetlone księżycem białe zarysy cmentarza.

Odmówiłem modlitwę za Rebeke, żeby jej dusza spoczęła w niebie, z Bogiem.

Bardzo niechętnie położyłem się do snu obok Baby Ramony, a gdy się obudziłem, był szary świt i czekały mnie ciężkie zadania męskości.

Moim pierwszym męskim obowiązkiem było udać się do Samotni. Nie wyobrażałem sobie, że zdołam sam zabrać łańcuchy, nie byłem na tyle głupi. Wziąłem ze sobą Allena. Fornale zawsze zjawiali się około szóstej, tak aby móc wyjechać do domu koło trzeciej, a gdy powiedziałem mu, dokąd się wybieramy, był rozanielony i natychmiast wskoczył do pirogi obok mnie.

Allen cieszy się wszystkim, co go w życiu spotka. Taki był i taki pozostał. Jest wielkim okrągłym mężczyzną, ma siwe włosy, gładko szesane na bok. Nosi okulary w srebrnych oprawkach i wieczny uśmiech na twarzy; na bożonarodzeniowych przyjęciach gra z powodzeniem rolę Świętego Mikołaja.

Kiedy dotarliśmy do Samotni, nie było jeszcze siódmej. Zabraliśmy się do roboty, dysponując najlepszymi dostępnymi narzędziami, i wkrótce zebraliśmy wszystkie zardzewiałe łańcuchy i zwlekliśmy je po schodach. Ciężko mi było wracać, tak bardzo byłem zafascynowany Samotnią, ale wiedziałem, że tego dnia mam wiele do zrobienia, tak więc po krótkim spacerze, podczas którego wyobrażałem sobie ogrom aprobaty i sukcesu po mojej renowacji, znów wylądowaliśmy w pirodze.

Wróciliśmy do przystani i powiedziałem Allenowi, że zakopiemy łańcuchy tam, gdzie spoczywają szczątki Rebeki. To wprawilo go stan niebywałego rozbawienia.

Nie oglądając się na niego, rozkopałem ziemię. Znalazłem urnę -

Poszerzyłem znacznie dół. Owinąłem urnę łańcuchami. Następni Allen pomógł mi zasypać dziurę i wkopać z powrotem kamień nagrobny. Gdy się modliłem, Allen przyłączył do mnie.

Nie czułem dreszczy zapowiadających przybycie Rebeki. Nie czułem zawrotów głowy. Gdy jednak stałem tam w nieruchomym powietrzu przedpołudnia, było mi żal wszystkich zjaw, które przez lata widywałem na tym cmentarzu, i zastanawiałem się, czy po śmierci będzie mi przeznaczone zostać tułającym się duchem.

Nigdy wcześniej nic takiego nie przychodziło mi do głowy. Teraz tak. Odmówiłem w myślach długą modlitwę za Rebeke, po czym szepnąłem: „Idź ku Światłości”.

Tak wypełniłem moje pierwsze męskie zadanie.

Przeszedłem do drugiego; oczywiście, Allen wiedział, gdzie mieszka Terry Sue, i pojechaliśmy tam mercedesem. Powiedziałem Allenowi, że porozmawiam z nią sam, ale jeszcze przed wejściem do przyczepy zauważyłem, że Grady Breen nie przesadzał, mówiąc, iż ta kobieta mieszka w naprawdę katastrofalnych warunkach. Obok stały zniszczone porzucane samochody, stara limuzyna i pikap, oba bez kół, tak jak to opisał Grady, a nieopodal plątało się dwóch malców, umorusanych i w pieluchach.

Zapukałem i wszedłem do środka. W głębi, na łóżku, leżała rozłożysta kobieta o lalkowatej twarzy, karmiąc niemowlę. Mała, może dziesięcioletnia bosa dziewczynka mieszała łyżką w garnku stojącym na kuchence. Sądząc po wyglądzie i zapachu, gotowała kaszę kukurydzianą.

Dziewczynka miała długie czarne włosy, siniak na ramionach, była ładna, ale wyraźnie zalękniona. W środku panowała ciasnota i wilgoć. Najgorszy był jednak smród. Połączone odory wymiocin, uryny i pleśni. Z dodatkiem zgniłych owoców. I niewątpliwie ekskrementów.

- Przepraszam, że cię tak nachodzę - powiedziałem. Sufit był tak nisko, że czułem się jak gigant. - Gratulacje z powodu urodzenia maleństwa.

- Przyniosłeś jakieś pieniądze? - spytała Terry Sue. Nadal miała uroczy wyraz twarzy - wyglądała jak renesansowa Madonna - ale w jej głosie brzmiała złość. A może po prostu nie spodziewała się niczego dobrego. - Nie mam centa, a Charlie znów mi rzucił. Szwy mi popękały i mam gorączkę.

- Tak, mnóstwo pieniędzy. - Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem tysiąc dolarów zabranych z kuchennej szuflady, gdzie trzymaliśmy drobne na zakupy. Tak jak się tego spodziewałem, osłupiała. Wzięła pieniądze i schowała pod kołdrę, do kieszeni. A może po prostu pod kołdrę.

Niemowlę było cudowne. Nigdy nie widziałem takiego malutkiego dziecka. Drobniutkie pomarszczone rączki były urocze. Na główce miało już czarną, rzadką czuprynkę. Serce tajało na jego widok.

- Brittany, zwijaj się z tą kaszą - powiedziała kobieta - i leć po dzieciaki, a potem musisz skoczyć do miasteczka, do spożywczego. -

Spojrzała na mnie. - Chcesz coś zjeść? Ta mała robi śniadanie, że palce lizać. Brittany, wyjmij bekon. Leć po dzieciaki.

- Zabiorę ją do miasteczka - obiecałem. - Gdzie Tommy?

- W lesie - powiedziała z szyderczym uśmiechem. - Jak to zawsze on.

Czyta książkę z obrazkami. Powiedziałam mu, że jak jej nie odda do sklepu, wyląduje w pace. Przyjadą i go skują. Ukradł tą książkę. Wiedzą, że to on. Tamta baba w sklepie ma tak samo porobione w głowie jak on. Przyjadą i go skują. I ją też powinni wpakować do kicia.

- Ma jakieś inne książki?

- Kogo stać na książki? - parsknęła. Rozjuszyła się. - Rozejrzyj się tu.

Widzisz tą wybitą szybę? Patrz tu. Dobrze się przypatrz. Widzisz tą małą?

Ona nie mówi. Brittany, daj Bethany trochę kaszy. Gdzie kawa? Siądź przy stole. Starczy przesunąć te gary. To dziecko robi kawę jak nikt. Mówię ci, dziękuję Bogu każdego dnia, że dał mi Brittany, że dał mi ją pierwszą.

Brittany, leć po Matthew i Jonasa. Dwa razy żem ci mówiła! Mała się zmoczyła. Zrób z tym coś zaraz. Nie mam forsy na książki. Pralka

wysiadła mi ze dwa miesiące temu. Dziadek nie dał roi centa na książki.

- W porządku. Wróć. - Poszedłem do lasu. Nie był gęsty w tym

regionie tam, gdzie nie ma dębów, rosną lasy sosnowe. Dostrzegłem małego chłopca, siedział na pniu i czytał.

Miał czarne kręcone włosy jak ja, był szczupły, ale proporcjonalnie zbudowany. Gdy na mnie spojrzał, zobaczyłem bystre niebieskie oczy.

Przeglądał nie książkę z obrazkami, ale album malarstwa. Był otwarty na Gwiaździstej nocy van Gogha. Miał na sobie brudną koszulkę polo i džinsy, wielki siniak na twarzy i drugi na ramieniu, na lewej ręce widoczny znak po oparzeniu.

- Charlie cię uderzył? - spytałem.

Nie odpowiedział.

- Pchnął cię na grzejnik? - spytałem.

Nie odpowiedział. Przewrócił stronę. Gauguin.

- Wszystko wkrótce się zmieni - powiedziałem. - Jestem twoim

krewnym. Jestem wnukiem dziadka Blackwooda, a ty jego synem, wiesz o tym, prawda?

Nie odezwał się. Uparcie patrzył w książkę i odwrócił kolejną kartkę.

Seurat.

Powiedziałem mu, jak mam na imię. Powiedziałem mu, że wszystko będzie lepiej. Już miałem odejść, ale jeszcze dorzuciłem:

- Któregoś dnia pojedziesz do Amsterdamu i obejrzysz dzieła van Gogha w muzeum.

- Wystarczy mi Nowy Jork - odpalił - żebym mógł obejrzeć wszystkich impresjonistów i ekspresjonistów w Metropolitan.

Byłem zaskoczony. Wysławiał się śmiało i poprawnie.

- Geniusz z ciebie - powiedziałem.

- E, tam. Tylko dużo czytam. W gminnej bibliotece przeczytałem wszystko, co mnie interesowało. Teraz pracuję w księgarni sieci Books - a - Million w Mapleville. Chodzę tam do szkoły. Najbardziej lubię książki o sztuce. Dziadek parę razy przyniósł mi takie.

To była zdumiewająca wiadomość. Dziadek i książki o sztuce. Skąd je brał? Skąd się na nich znał? Niemniej jednak robił to dla swojego nieślubnego syna, któremu pozwolił żyć w takiej norze.

Dzięki Bogu, miałem jeszcze trochę pieniędzy, jakieś pięćdziesiąt

dolarów.

- Masz - powiedziałem. - Na wyprzedaży kupisz za to furę książek. Nie kradnij więcej.

- Nigdy niczego nie ukradłem. Matka tylko tak gada. Jakbyś jej słuchał, pomyślałbyś, że Charlie przypalił mi rękę o grzejnik.

- Masz rację. Chodzi o to, że za te pieniądze będziesz mógł kupić sobie coś na własność.

- Jaki jest twój najbardziej ulubiony malarz? - spytał.

- Trudno powiedzieć.

- To wyobraź sobie, że jest trzecia wojna światowa i możesz wybrać jeden obraz - naciskał mnie - jaki byś wybrał?

- Na pewno renesansowy. Na pewno którąś Madonnę -

odpowiedziałem - ale nie jestem pewien którą. Pewnie Botticellego, ale może Fra Filippo Lippiego. Są też inne. Nie jestem pewny. - Pomyślałem o pięknej kobiecie w przyczepie, karmiącej dziecko. Chciałem wspomnieć, że też przypomina Madonnę, ale się wstrzymałem.

Skinął głową.

- Ja uratowałbym Dürera - powiedział. - Salvador Mundi... wiesz, twarz Chrystusa z przedziałkiem na środku głowy.

- Dobry wybór - pochwaliłem go. - Może lepszy niż mój. - Zawahałem się. Nasza rozmowa poszła o wiele dalej, niż to sobie wyobrażałem, jadąc w to miejsce. - Słuchaj. Chciałbyś wyjechać do dobrej szkoły, szkoły z internatem, wiesz, ze świetnymi nauczycielami, wydostać się stąd?

- Nie mogę zostawić Brittany - powiedział. - To byłoby nie fair.

- A na innych ci nie zależy?

- Nie wiem - odparł. Westchnął jak dorosły, który dźwiga wielki

ciężar. - Moja matka wcale nas nie chce. Nie była taka zła, kiedy Brittany i ja byliśmy mali. Teraz, kiedy jest tyle dzieci w domu, często nas bije. Muszę bronić Brittany, ale czasem mi się nie udaje. W ogóle nie pozwalam jej bić małych. Wrywam jej pas z ręki.

Byłem wstrząśnięty, żadne rozwiązanie nie przychodziło mi jednak do głowy. Całe życie słyszałem, że system opieki społecznej i zastępczy rodzice nie funkcjonują jak należy, ale nie wiedziałem, co na to można poradzić.

- Rozumiem - powiedziałem. - Nie możesz ich zostawić własnemu losowi.

- Zgadza się - odparł. - Teraz chodzę do lepszej szkoły niż Brittany, ale ona dobrze się uczy. To mogę powiedzieć. Odrabia zadania domowe i jest mądra. Nie wiem, co zrobić.

- Posłuchaj. Nie zapomnę o tobie. Przywiozę więcej pieniędzy. Może uda mi się poprawić los twojej matki i was wszystkich i przejdzie jej ochota bić dzieci.

- Jak chcesz to zrobić?

- Daj mi się nad tym zastanowić. Miej do mnie zaufanie. Wrócę, do widzenia, wujku Tommy.

To wywołało pierwszy uśmiech na jego ustach, a gdy pomachałem mu na pożegnanie, też mi pomachał. Potem poderwał się i pobiegł za mną. Oczywiście, zatrzymałem się, aby mógł mnie dogonić.

- Hej, wierzysz w zaginione królestwo Atlantydy? - spytał.

- Hm, wierzę, że jest zaginione, ale nie jestem pewien, czy naprawdę istniało - odpowiedziałem.

Śmiał się do rozpuku.

- A co ty myślisz, Tommy? Wierzysz, że istniało?

Skinął głową.

- Mam nadzieję, że naprawdę znajdę te ruiny - powiedział. - Chcę poprowadzić ekspedycję poszukiwawczą. Wiesz, podwodną ekspedycję.

- To brzmi wspaniale. Porozmawiamy o tym, kiedy tylko będę miał czas. Teraz mam pracę.

- Poważnie? Myślałem, że jesteś tak bogaty, że nie musisz pracować ani nawet chodzić do szkoły. Wszyscy to mówią.

- Miałem na myśli pracę poświęconą rozwiązaniu moich problemów, Tommy, konkretnym rzeczom, które powinny być doprowadzone do końca. Wkrótce znów cię odwiedzę, obiecuję. Uściskasz mnie? - Pochyliłem się nad nim i objąłem go, zanim sam zdążył się zdecydować. Był żywą, kochaną, małą istotą. Nie mogłem go nie uwielbiać.

Kiedy wsiadałem do samochodu, Allen pokręcił głową.

- Mam nadzieję, że nie każesz nam doprowadzać do porządku tego rozgardiaszu - powiedział. - Szambo za przyczepą przelewa się tak, że można się zrzygać.

- Więc to stamtąd dolatuje ten odór - odparłem. - Nie wiem.

Kiedy tylko połączyłem się z ciotką Queen, korzystając z telefonu w samochodzie, opisałem jej sytuację i spytałem, czy mogłaby polecić

Grady'emu Breenowi, aby kupił porządny dom Terry Sue i jej dzieciom.

Tytuł własności powinien być na nas, ze wszystkimi zabezpieczeniami.

Terry będzie jeszcze potrzebowała mebli sprzętu domowego, wyposażenia kuchennego, wszystkiego.

- Nie wyobrażasz sobie tego poziomu ubóstwa - wyjaśniłem ciotce. -

Ta kobieta bije swoje dzieci. Jeszcze nie wymyśliłem, co można na to poradzić. Jeśli dostanie dom i zacznie żyć w lepszych warunkach, to może będzie zachowywać się jak człowiek. Przynajmniej na to liczę. A Tommy jest fantastyczny. - Opowiedziałem jej wszystkie istotne szczegóły.

Oczywiście, chciała sama dzwonić do Grady'ego, ale powiedziałem, że to rzecz, którą muszę załatwić osobiście. Jeśli chciałem być dorosły, musiałem się zachowywać jak dorosły.

W pół minuty dopadłem Grady'ego telefonicznie. Ustaliliśmy, że odpowiedni dom dla Terry Sue znajdzie się w nowym, przyzwoitym cenowo osiedlu poza Ruby River City, w Autumn Leaves, które zdaniem Grady'ego było dla niej idealnym miejscem, z nowymi urządzeniami, nowymi garnkami i talerzami, wszystkim, i że dostanie sprzątaczkę na pełny etat i pełnoetatową pomoc do dzieci.

Grady zostanie jej osobistym doradcą i opiekunem finansowym.

Będziemy bezpośrednio płacić podatki, ubezpieczenia, wodę, prąd i gaz, kablówkę i pensje pomocom domowym. Oczywiście Terry Sue też będzie dostawać pensję; postanowiliśmy, że wyniesie tyle, ile uposażenie sekretarki Grady'ego. Uznaliśmy, że to powinno podnieść ją na duchu.

- To idealne ustalenia - powiedziałem. - Niania i sprzątaczką będą

opłacane przez ciebie, a Terry Sue nie będzie miała powodu wyżywać się na dzieciach. W obecności tamtych kobiet wstyd jej na to nie pozwoli.

Tymczasem Brittany przejdzie do katolickiej szkoły, do której uczęszczał Tommy, jedynej katolickiej szkoły w Mapleville godnej zainteresowania. Postaramy się również o pomoc medyczną dla małej niemowcy, Bethany.

Co się tyczyło tajemniczego Charliego, który zniknął z życia Terry Sue, to według Grady'ego „bynajmniej nie był taki zły” - ale ostatnie dziecko Terry Sue nie było jego i był trochę zniesmaczony faktem, że prawdziwy ojciec się nie ujawnił, a kto mógł nim być, pozostawało sprawą otwartą. Doradziłem Grady'emu, żeby zrobił testy DNA, które ustaliłyby, czy to nie dziadek. Uważałem, że tak będzie co najmniej sprawiedliwie. Głęboko podejrzewałem dziadka o zrobienie tego dziecka jakiś czas po śmierci babuni. Trudno się dziwić Charliemu, że nie wiedział, co począć z tym fantem.

- Słuchaj, Grady - powiedziałem - sytuacja tej rodziny nigdy nie stanie się idealna, ale myślę, że możemy doprowadzić do tego, że będzie znośna. Jeśli Terry Sue nadal będzie sprowadzać mężczyzn do domu, nic na to nie poradzimy, ale przynajmniej stanie się niezależna. Nie będzie musiała przestawać z typami, z którymi wcale nie miałyby ochoty przestawać. Wyplacaj jej stałą pensję, a co z nią zrobi, to jej prywatna sprawa. Jeśli zacznie głodzić dzieci, pieniądze pójdą bezpośrednio do rąk gosposi, która zajmie się zakupami spożywczymi. A niania niech gotuje i karmi. Naprawimy wszystko i przypilnujemy, żeby nigdy więcej się nie

popsuło.

Nie zdradziłem Grady'emu, że moim marzeniem jest, aby Tommy któregoś dnia zamieszkał na dworze Blackwood. Marzyłem, że Tommy będzie kiedyś podróżował po świecie ze mną, Moną, ciotką Queen i Nashem. Zostanie wybitnym naukowcem i, kto wie, może wybitnym malarzem. Może odnajdzie zagubione królestwo Atlantydy. Krótko mówiąc, marzyłem, że Tommy pewnego dnia przyjmie nazwisko Blackwood i stanie się członkiem naszej rodziny.

Nie zdradziłem Grady'emu również tego, że chociaż bardzo się starałem nie oceniać dziadka, to miałem do niego pretensje o to, że zostawił swojego syna w takich marnych warunkach i że okazał taki brak serca tej kobiecie, Terry Sue. Być może jednak sprawy były bardziej skomplikowane, niż potrafił to sobie wyobrazić ktoś tak młody jak ja.

Dopiero gdy byłem już blisko domu, przypomniałem sobie obietnicę, że zabiorę Brittany do sklepu spożywczego. Powiedziałem Allenowi, że musi wrócić, zawieźć dziewczynkę do sklepu i zaopatrzyć przyczepę.

Oczywiście w odpowiedzi usłyszałem parę słonych żartów, ale w zasadzie nie stawiał oporu. Obiecał wrócić pikapem i zabrać małą Brittany, gdzie tylko zechce, i kupić im wszystko, co potrzebne.

Tak więc wykonałem drugie męskie zadanie. Przyszedł czas na trzecie.

Poszedłem do domu, wziąłem prysznic i przebrałem się w mój najlepszy garnitur od Armaniego, bladofioletową koszulę i szczęśliwy krawat od Versace, po czym z rozplamionym sercem i rozkosznym

*zamętem w głowie pojechałem na spotkanie z moją ukochaną Moną
Mayfair. Zatrzymałem się tylko w kwiaciarni przy St. Charles Avenue,
gdzie kupiłem wielki bukiet stokrotek i innych wiosennych kwiatów. Były
świeże, delikatne i piękne i zamierzałem złożyć je czule w jej dłoni.
Marzyłem o równie delikatnych pocałunkach, gdy kwiaciarka owijała
bukiet papierem. Jadąc do domu Mony, liczyłem chwile, aż wybiła druga
po południu.*

Jeśli tamtego dnia był ktoś bardziej zakochany ode mnie, chciałbym z nim porozmawiać, żeby mi to udowodnił, osobiście opisując swój stan. Fruwałem ze szczęścia. Zaparkowałem kawałek od celu, tak aby nie wyszpiegował mnie żaden członek rodziny Mayfairów, źle życzący mnie i Monie, i z bukietem w dłoni (zsunąłem papier, tak że zakrywał tylko same lodyżki) podszedłem do furtki wzdłuż ogrodzenia pod gęstymi krzewami mirtu, który już kwitł pięknie i bujnie. Prawdę mówiąc, cały Garden District był w kwieciu, a ulice były tak puste, że nie miałem okazji otrzeć się o żadnych przeciętnych, niezakochanych osobników.

Co się tyczy Goblina, to gdy pojawił się obok mnie, powiedziałem mu stanowczo, że muszę sam zakończyć tę misję i ma mnie teraz zostawić, jeśli w przyszłości chce jeszcze usłyszeć jakieś dobre słowo.

- Kocham cię, mówiłem ci to. Teraz pozwól mi odwiedzić Monę samemu - powiedziałem z rozdrażnieniem.

Ku mojemu zdziwieniu z miłością ucałował mnie w policzek, szepnął: „Au revoir” i posłusznie zniknął. Został jakiś nastrój, poczucie dobrej woli i dobrowolnej hojności, namacalny jak łagodny powiew.

Oczywiście, miałem nadzieję, że Mona będzie na mnie czekać z plecakiem, walizką i paszportem w dłoni. Gdy tylko dotarłem do furtki z kutego żelaza, wyszedł mi na spotkanie wysoki, elegancki Osobnik, całkowicie niweczając moją nadzieję na wspólną ucieczkę z Moną, chociaż na jego żywej twarzy malował się wyraz współ - Czucia. Był szczupły, a do

tego niesłychanie elegancki, z przedwcześnie posiwiałymi kędzierzawymi włosami i bystrymi, przenikliwie spoglądającymi oczami. Miał na sobie szykowne, staromodne ubranie, jak kostium z dziewiętnastowiecznej sztuki.

- Wejdz, Tarquinie - powiedział z francuskim akcentem. Przekręcił mosiężną gałkę, chociaż jak pamiętałem, Mona otworzyła furtkę kluczem. - Czekałem na ciebie. Witam jak najserdeczniej. Wejdz. Proszę. Chcę z tobą porozmawiać. Może zechcesz udać się ze mną do ogrodu.

- Ale gdzie Mona? - spytałem, może niezbyt uprzejmie, ale na tyle grzecznie, na ile było mnie stać w tych okolicznościach.

- Och, niewątpliwie rozczesuje swoje długie rude sploty - powiedział z niesłychanie wyszukaną intonacją - tak, aby potem móc przerzucić je przez ten oto balkon - wskazał w górę na żelazne pręty - i zwabić cię, jak Roszpunka swojego królewicza, który miał zakaz wstępu na wieżę.

- Czyja mam zakaz wstępu do tego domu? - spytałem. Próbowiałem oprzeć się jego czarującym manierom, ale było to trudne.

- Och, kto wie? - powiedział z westchnieniem znużonego światowca, ale uśmiechnął się przy tym olśniewająco. - Chodź ze mną i mów mi „wujku Julien”, jeśli ci to odpowiada; jestem twoim wujkiem tak samo jak pani McQueen ciotką Mony. I przy okazji ta kamea to był oszałamiający prezent. Mona zawsze będzie go uwielbiać. Mogę mówić ci „Tarquin”? Już sobie na to pozwoliłem, prawda? Czy ufasz mi na tyle?

- Zaprosił mnie pan, prawda? - odparłem na to. - Bardzo panu za to dziękuję.

Szliśmy wzdłuż domu ścieżką wyłożoną kamiennymi płytami; po prawej stronie był wielki ogród z ośmiokątnym trawnikiem, otoczonym bukszpanowym żywopłotem. Tu i tam były greckie posągi - jak mi nie mam Hebe i Afrodyta w kąpeli - przepiękne rabatki pełne ślicznych wiosennych kwiatów i małe cytrusowe drzewka. Na jednym wisiała ogromnych rozmiarów cytryna - Przystanąłem, aby ją obejrzeć.

- Czyż nie czarująca? - powiedział. - To małe drzewko oddało całe serce jednemu owocowi. Gdyby miało ich wiele, niewątpliwie byłyby normalnych rozmiarów. Można powiedzieć, że klan Mayfairów postępuje bardzo podobnie. Chodźmy dalej.

- Ma pan na myśli Dziedzictwo. Oddają wszystko jednej Nominowanej i należy jej strzec przed intrygami tych, którzy nie są godni małżeństwa z wybranką. Czy uznano mnie za nieodpowiedniego kandydata?

- Mon fils - powiedział - zostałeś uznany za zbyt młodego!, poza tym jesteś zbiorem cnót. Rzecz jedynie w tym, że Mona ma piętnaście lat, a ty nie jesteś jeszcze mężczyzną. I muszę wyznać, że z twoją osobą wiąże się pewien sekret. Wyjawię ci go.*

Wspięliśmy się po kilku kamiennych stopniach i teraz szliśmy wzdłuż wielkiego ośmiokątnego basenu. Czy ciotka Queen nie wspomniała, że Michael Curry niemal utopił się w tym basenie? Byłem odurzony.

Wszystko było niezwykle piękne. I wszędzie panowała niezwykła cisza.

Wuj Julien zwrócił moją uwagę na fakt, że kształt basenu jest taki sam jak kształt trawnika. I każda z kolumnienek balustrady powtarzała ten

wzór.

- *Wzorze i jeszcze raz wzorze - rzekł. - Wzorze przyciągają duchy, zagubione duchy, które reagują na wzorze, więc to dlatego lubią stare domy, wyniosłe domy, domy o wielkich pokojach, w których czuje się obecność pokrewnych duchów. Myślę, że kiedy zastęp duchów zamieszka w domu, łatwiej dostać się tam innym duchom. Niestłuchana sprawa. Chodź, pozwól, że zaprowadzę cię do tylnego ogrodu. I uciekniemy na chwilę wzorcom, siadając pod drzewami.*

Było dokładnie tak, jak powiedział. Gdy pokonaliśmy kamienną ścieżkę wokół basenu i przeszliśmy przez dużą podwójną bramę, znaleźliśmy się na rozległym trawniku, na którym, pod wielkim dębem, na nieco rzadszej trawie i wśród sterczących z ziemi korzeni ustawiono żelazny stolik i takie same krzesła. Po naszej prawej stronie kilka młodych drzew - brzoza, magnolia i klon - tworzyło uroczą kępę.

Na korze dębu wyryto głęboko słowo „Biczownik” - a w powietrzu unosił się dziwny słodki zapach - perfumy? - coś, czego nie mogły wydzielać kwiaty. Wstydziłem się zapytać o źródło tej woni.

Siedliśmy przy czarnym stoliku. Przygotowano na nim filiżanki, talerzyki i wysoki dzbanek trzymający temperaturę. Julien sięgnął po niego.

* Mój synu (fr.)

- *Co powiesz na gorącą czekoladę, mon fils!*

- *Och, cudownie - powiedziałem z śmiechem. - Absolutnie uroczo. Nie spodziewałem się.*

Napełnił moją filiżankę.

- Ach, nie masz pojęcia, jak uwielbiam ten smakołyk - zwierzył się, napełniając swoją.

Popijaliśmy ostrożnie, czekając, aż temperatura opadnie, a gdy zobaczyłem na talerzu kruche ciasteczka, przypomniał mi się stary wierszyk Chistophera Morleya, opisujący takie właśnie zestawienie:

- „W moim mniemaniu kolacja najlepsza, / To dzbanek kakao i kruche ciasteczka” - wyrecytowałem głośno.

Niespodziewanie wuj Julien dodał dwa kolejne wersy:

- „Gdy już będę duży i sam sobie panem, / To każę się raczyć tym właśnie zestawem”.

Obaj się roześmialiśmy.

- Czy zaplanował pan to ze względu na ten wierszyk? - spytałem.

- Cóż, zapewne - odparł. - I pomyślałem sobie, że będzie ci smakowało.

- Och, dzięki stokrotne. To bardzo miło z pańskiej strony. Czulem uniesienie. Czulem się szczęśliwy. Ten człowiek nie rozdzieliłby mnie z Moną. On na pewno rozumiał, czym jest miłość. O czymś jednak zapominałem. Byłem pewien, że słyszałem to imię i nazwisko, Julien Mayfair. Coś mi się kojarzyło, ale co.. - Na pewno nic związanego z Moną. Nie.

Spojrzałem na długi dwupiętrowy dom Mayfairów. Był nie’ zwykłych rozmiarów i cichy. Postanowiłem, że nie dam mu się zdominować.

- *Czy zna pan dwór Blackwood? - spytałem nagle. - Zbudowano go w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Wiem, że ten dom jest znacznie starszy. Mieszkamy na wsi. Ale wy macie tu urok i ciszę wsi, nie ruszając się z miasta. - Poczuję się głupio z powodu mojej wylewności. O co mi chodziło?*

- *Tak, znam tamten dom - powiedział, uśmiechając się miło. - Jest bardzo piękny. A moja wizyta w nim miała charakter jednocześnie makabryczny i romantyczny, którego bynajmniej bym ci nie wyjawiał, gdyby nie to, że muszę. Ta sprawa w niezwykłym stopniu rzutuje na twój związek z Moną. Tak więc światło musi rozjaśnić mroki.*

- *W czym rzecz? - Ogarnął mnie nagły niepokój.*

Czekolada

osiągnęła

idealną

temperaturę.

Wypiliśmy

ją

jednocześnie. Julien odetchnął z rozkoszą i znów nappełnił filiżanki. Była, jakby powiedziała Mona, kolosalnie doskonała. Gdzie jest Mona?

- *Och, proszę mi wszystko opowiedzieć. Jak pańska wizyta w*

Blackwood może rzutować na mój związek z Moną? - Przyłapałem się na tym, że staram się ocenić jego wiek. Czy był starszy od dziadka? Z pewnością był młodszy od ciotki Queen.

- *To było w czasach twojego praprapradziadka Manfreda - zagaił*

wuj Julien. - On i ja należeliśmy do pewnego nowo - orleańskiego klubu karcianego. Klub był tajny, modny i graliśmy w nim w pokera, nie tyle o pieniądze, ile o realizację nieujawnionych wcześniej zobowiązań, które wyznaczał zwycięzca. Graliśmy właśnie tutaj, dobrze pamiętam. Twój przodek, Manfred, miał syna, Williama, młodego żonkosia, wystraszonego faktem, że przyjdzie mu zostać panem na Blackwood i że będzie musiał objąć wszystkie wiążące się z tym obowiązki. Potrafisz sobie wyobrazić coś takiego?

- Takie skrepowanie? Owszem - odparłem - potrafię je sobie wyobrazić, chociaż czuję coś wręcz przeciwnego. Jestem młodym panem domu i uwielbiam swoją pozycję i związane z nią zadania.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Wierzę ci - rzekł ze spokojem. - I podobasz mi się. Przepowiadam ci podróże, wielkie przygody, zwiedzanie świata.

- Jednakże nie w pojedynkę - szybko dodałem.

- No cóż, wspomnianego wieczoru, gdy nasz klub spotkał się tutaj, Manfred Blackwood wygrał rozdanie i powiedział Julienowi Mayfairowi, że ma dla niego pewne zobowiązanie do wypełnienia. Natychmiast wyruszyliśmy jego automobilem do Blackwood i tam ujrzałem twój cudowny dom w całym jego przepychu i kolumny barwy kwitnącej magnolii - jeden z tych kaprysów Południowców, które wiecznie dodają nam wigoru, a które tak rzadko spotykają się ze zrozumieniem Jankesów.

Twój praprapradziad Manfred zabrał mnie do środka i zaprowadził kręconymi schodami do pustej sypialni, w której opisał mi, co mam

uczynić.

Wyjął przepiękną maskę używaną podczas Mardi Gras i ciężką czerwoną pelerynę z aksamitu, podbijaną złotą satyną, i powiedział, że odziany w ten strój mam zdeflorować młodą żonę Williama, gdyż sam William, który niebawem do nas dołączył, okazał się absolutnie niezdolny do tego czynu, a że obaj, ojciec i syn, świeżo widzieli taki szelmowski zabieg w nowoorleańskiej operze, uznali, że spełni on swoje zadanie i pod ich dachem. „Ale czy nie widziałem was obojga, ciebie i twojej żony, na tym właśnie przedstawieniu?”, spytałem Williama, gdyż również byłem w operze zaledwie tydzień wcześniej. „Tak - odparł. - Dzięki temu tym chętniej się na to zgodzi”.

Alors. Nigdy nie było moim zwyczajem odmówić dziewicy i żywiąc jedynie szacunek i współczucie wobec młodej niewiasty, do tej pory ograbionej z czułości i rozkoszy nocy poślubnej, nałożyłem maskę i pelerynę, po czym udałem się dokonać dzieła, przysięgłszy, iż jeśli nie wycisnę z jej oczu łez ekstazy, uznam się za duszę potępioną. Nie muszę chyba dodawać, że po trzech kwadransach wyłoniłem się z sypialni, zwycięzca na schodach do niebios, osiągnąwszy najwyższy z celów. Otóż tak się składa, że z tamtego zespolenia został poczęty twój prapradziad Gravier. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?*

Zdumienie całkowicie odebrało mi mowę.

- Kilka miesięcy po urodzeniu się Gravier - ciągnął dalej Julien w tym samym przyjaznym i nieodparcie uroczym nastroju - William był zdolny, za moją sugestią, rozpocząć swoje małżeńskie obowiązki,

* Więc (fr.); w tym wypadku: „kontynuując”.

posługując się maską i peleryną, a twoja praprababka nigdy nie przeniknęła natury pierwszego damsko - męskiego zbliżenia w jej życiu.

Tak trwało ich małżeńskie szczęście lub tak przynajmniej twierdził Manfred. Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa łagodnego obejścia William był zmuszony polegać na masce i pelerynie tak długo, jak los zarządził.

Po jakimś czasie wspomniana młoda dama poszła do nieba w nagrodę za swe ziemskie trudy, jak się to mówi, a William wziął sobie drugą żonę, po to tylko, by niebawem odkryć, że jej również nie jest w stanie zdeflorować, i kolejny raz Manfred zawezwał mnie do włożenia maski i peleryny, co uczyniłem, stając się ojcem szlachetnej damy, którą ty nazywasz ciotką Queen. Ach, cóż to za błogosławiona córa... Tak więc istota tego, co chcę ci przekazać, brzmi: ciebie i mnie, i moją rodzinę łączą więzy krwi.

Nie potrafiłem słowa powiedzieć. Kiedy patrzyłem na niego, kiedy siedziałem tam, czując, jak mocno bijące serce pompuje mi krew do policzków, i starałem się zrozumieć, co mówił, sens jego słów, jakiś cichy głosik w głowie szepnął mi, że to niemożliwe, nie może być tak stary, nie wygląda staro, matematyka wyklucza, że mógłby być ojcem starszego brata ciotki Queen, Graviera, i samej ciotki - a może też był bardzo młody, kiedy doszło do tamtych zbliżeń. Nie potrafiłem tego ocenić.

O wiele dobitniejszy niż głosik, który dręczył mnie datami

‘wyliczeniami, był inny głos mówiący: „Zarówno ty, jak i Mona widzicie

duchy, Tarquin, i teraz rozumiesz, dlaczego tak jest. Wuj Julien przekazał ci tę zdolność wraz z krwią. Jego krew decyduje o zdolnościach, które posiada również Mona.

Co się tyczy biurka w holu, przy którym zwykła pojawiać się zjawa Williama, to postanowiłem rozwalić je w drobny mak, gdy tylko wrócę do domu.

Na razie siedziałem tam w kompletnym szoku. Poczulem, że muszę wypić drugą filiżankę czekolady, i zrobiłem to. Wuj Julien nie spiesząc się, pił swoją czekoladę.

- Nie było moim celem cię ranić, Tarquinie - rzekł głosem cichym i pełnym uczucia. - Byłem od tego jak najdalszy. Twoja młodość i szczerść przemawiają do mnie. I widzę ten uroczy bukiet, który przyniosłeś Monie, i wzrusza mnie, że tak rozpaczliwie pragniesz ją kochać.

- Naprawdę ją kocham - rzekłem.

- Jesteśmy zbyt blisko spokrewnieni, Tarquinie. I ty nie możesz być z Moną. Nawet gdy oboje osiągniecie pełnoletność, moja krew w twoich żyłach wykluczy wasz związek. Z czasem dostrzegłem ze smutkiem, że moje geny zaczęły dominować u moich potomków. Kiedy byłem... kiedy byłem bezmyślny, zbuntowany i nie baczyłem na nic, gdy nienawidziłem czasu i byłem desperatem, nie przejmowałem się takimi rzeczami, ale teraz przywiązuję do nich wielką wagę. Można powiedzieć, że przejmuję się nimi z powagą duszy czyścicowej. To dlatego muszę cię ostrzec, że nie możesz być z Moną. Musisz zostawić Monę jej zjawom i powrócić do siebie, do swoich zjaw.

- Nie zrobię tego, Julien - powiedziałem. - Szanuję cię umysłem i sercem, chociaż oszukałeś mojego przodka, tę drżącą dziewicę, uwodząc ją w tym samym łóżu, w którym ja teraz śpię. Ale muszę usłyszeć słowa odrzucenia z ust samej Mony.

Pociągnął duży łyk czekolady i rozejrzał się w zamyśleniu, jakby szukał pocieszenia w widoku klonu, brzozy i rozłożystej magnolii, która, jak się zapowiadało, miała zdominować całą kępę.

- Powiedz mi, młodzieńcze - rzekł - czy czujesz dziwny zapach w tym ogrodzie?

- Tak, jest przemożny - przyznałem. - Nie chciałem cię o niego pytać. Czuję go. Jest słodki.

W jego zachowaniu zaszła nagła zmiana. Porzucił czarujecie swobodę na rzecz ponurego fatalizmu.

- Muszę jeszcze raz stwierdzić, mon fils, że absolutnie nie wolno ci przebywać z Moną - rzeki. - I wybacz mi, że cię tu przywiodłem.

- O co chodzi? Czemu tak mówisz? Kto może powiedzieć, że złamiemy przysięgę wierności, zanim osiągniemy dorosły wiek? Za trzy lata też nie będzie mogła decydować o swoim losie? Oddam jej całe moje serce, będę nosił jej lok w medalionie z jej zdjęciem, a gdy przyjdzie czas, będę na nią czekał przed ołtarzem.

- Nie, to nie może się zdarzyć. Proszę, zrozum, bardzo kocham Monę, żywię do ciebie wielki szacunek i wiem, że masz wspaniały charakter. Ale ty widzisz duchy, mon fils, i czujesz woń, którą umarli roztaczali za życia.

Wiesz, że tu pochowano mutanty, które nigdy nie powinny przyjść na

świat w tej rodzinie. Zaufaj mi, mon fils. Jeśli ożenisz się z Moną, twoje dzieci również będą mutantami. Muszę wyznać, że skoro czujesz ten zapach, masz najlepszy dowód, że się nie mylę.

- Chcesz mi powiedzieć, że zabiłeś dziecko Mony i pogrzebałeś je tutaj? - spytałem z gniewem.

- Nie. Dziecko Mony żyje - odpowiedział. - Jego przeznaczenie to, rzekłbym, inna sprawa. Nie wolno jednak dopuścić do tego, aby kolejne takie stworzenia przychodziły na świat, nie w rodzinie Mayfairów, a Mona nigdy nie wejdzie do żadnej innej.

- Mylisz się! - powiedziałem.

- Tarquinie, nie gardź mną, bo wyrządzasz szkodę samemu sobie. -

Ten człowiek posiadał nieskończoną cierpliwość. - Myślałem, że gdy wytłumaczę ci stan spraw, będzie ci łatwiej. I może z czasem to nastąpi.

- Tarquin! - usłyszałem. Odwróciłem się w bok. W szerokim przejściu koło basenu stał Michael Curry, a przy nim Rowan Maykir. Patrzyli na mnie z takimi minami, jakbym zrobił coś złego.

Natychmiast powstałem.

Ruszyli ku mnie. Byli ubrani swobodnie, po domowemu. A Michael miał tyle mięśni pod roboczą niebieską koszulką, że ślina nabiegła mi do ust ze zdenerwowania. Rowan odezwała się a. Mówiła uprzejmym tonem.

- Co tu robisz, Tarquin? - spytała.

- Cóż, rozmawiam z Julienem - powiedziałem. - Piliśmy gorącą

czekoladę i czynił honory domu. - Odwróciłem się i wskazałem na prawo, ale Julienu tam nie było. Spojrzałem na stół raz i drugi. Poza bukietem

dla Mony nie było na nim niczego. Żadnego dzbanka, żadnych filiżanek, kruchych ciasteczek, nic. Zabrakło mi powietrza w płucach. - Mój Boże - Przeżegnałem się. - Mówię wam, rozmawiałem z nim. Sparzyłem język drugą filiżanką czekolady. Dzbanek był srebrny. Julien wpuścił mnie frontową furtką. Mówił mi, że nie mogę być z Moną, że jesteśmy spokrewnieni. Ja... - Przerwałem. Osunąłem się na krzesło.

Nikt nie wiedział tak dobrze jak ja, co się wydarzyło! Niemniej jednak szukałem go wzrokiem po całym ogrodzie. I znów wybałuszyłem oczy na pusty stół. Położyłem dłoń na bukiecie. A gdzie był Goblin? Czemu mnie nie ostrzegł? Okazałem mu niecierpliwość i zostawił mnie własnemu losowi!

Doktor Rowan Mayfair stanęła za mną i położyła mi dłonie na ramionach. Zaczęła masować mi kark i natychmiast poczułem się lepiej. Nawet się pochyliła i pocałowała mnie w policzek. Przeszły mnie mocne, przyjemnie dreszcze. Och, jak słodki był ten pocałunek. Michael Curry usiadł naprzeciwko i ujął mnie mocno za rękę. Był jak wujek, którego spotkałem pierwszy raz w życiu.

Boże, jak ich kochałem. Jak chciałem stać się częścią ich rodziny. Jak bardzo chciałem kochać Monę z ich błogosławieństwem. W tamtej chwili rozpaczliwie potrzebowałem ich pocieszenia.

- Zamkną mnie u czubków - powiedziałem, szcękając zębami. - Ten

Julien Mayfair... Czy on w ogóle istniał?

- A jakże, istniał - potwierdziła Rowan Mayfair tonem cierpliwym i wyrozumiałym. - Jest legendarną postacią w klanie Mayfairów. Umarł w

tysiąc dziewięćset czternastym roku.

Zaprowadzili mnie do domu. Okazał się mroczny i wspaniały.

Pokazali mi cienisty podwójny hol, z łukowatym przejściem między poszczególnymi skrzydłami i z lśniącymi podłogami; przeprowadzili mnie przez okazałą jadalnię. Naścienne malowidła pokazywały Riverbend Plantation, dawno temu połkniętą przez Missisipi, gdy rzeka zmieniała swój kapryśny bieg.

Rowan była przewodniczką, wskazywała szczegóły ze skromnością i prostotą. Miała ciepły głos, chociaż spojrzenie jej szarych oczu pozostało chłodne. Biała koszula i spodnie uwydatniały zgrabne kobiece kształty. Słuchając jej, miało się wrażenie, że mówi jak we śnie.

W jasno rozświetlonej słońcem kuchni usiedliśmy na wygodnych krzesłach z giętej nierdzewnej stali. Stół miał szklany blat i podstawę z odlanych w brązie delfinów. W głębi były wygodne wewnętrzne schody i mały kominek gazowy na chłodne dni, ale tego dnia było ciepło, a za przeszklonymi drzwiami widzieliśmy rozłożyste jaśminy i bananowce.

Rosły wzdłuż muru tylnego ogrodu, w którym siedziałem z Julienem, jakże obojętny na realny świat.

- Skąd mam wiedzieć, że wy jesteście realni? - spytałem logicznie. -

On wydawał się tak realny jak każdy, poza... - Nie mogłem pominąć szczegółów, które się nie zgadzały. Przecież Przyjaźnił się z moim przodkiem, Manfredem, co zupełnie zaprzedało zdrowemu rozsądkowi, a do tego jeszcze nosił staromodne, dziewiętnastowieczne ubranie. - Zjawy

dają ci znaki, a potem wodzą na manowce - wyznałem.

Michael Curry skinął głową. Instynktownie wiedziałem, że widział duchy, wiele duchów. I był takim sympatycznym mężczyzną niemal pokornym. Jednocześnie biła od niego niewiarygodna siła. Miał wyjątkowo szerokie dłonie, które wydawały się delikatne.

- Co takiego ci powiedział, synu? - spytał. - Możesz się tym z nami podzielić?

- Że był ojcem mojego prapradziadka - powiedziałem. Następnie opisałem im operową sztukę, to, jak została wykorzystana, a także jej konsekwencje. Wyglądało na to, że Mona i ja jesteśmy uwrażliwieni na duchy i dlatego nie powinniśmy brać ze sobą ślubu.

Powtarzanie tych informacji Michaelowi i Rowan mogło ostatecznie pogrzebać moje szansę, ale nie zamierzałem trzymać ich w niewiedzy.

Uznałem, że powinni wiedzieć wszystko. Powinni wiedzieć, dlaczego wujek Julien interweniował.

Świadom dawnych wydarzeń, powtórzyłem im jego słowa, że

„przejmuje się naszym losem z powagą duszy czyścicowej”, jego pytanie, czy czuję słodki zapach w tylnym ogrodzie, i moją odpowiedź, że chociaż poczułem go dużo wcześniej, nie chciałem o nim wspomnieć, dopóki nie

zostałem o niego zapytany. Zarówno Rowan, jak i Michael wydawali się zafascynowani tymi wyznaniem. Opowiedziałem im dalej, że wedle wujka

Juliena mutantów pochowano pod murawą tylnego ogrodu, ale nie

dziecko Mony, ono żyje, co wprawilo ich w zachwyty i błagali, abym to powtórzył, tak że nie pozostało mi nic innego, jak spełnić ich prośbę.

W tym momencie byłem tak mocno przekonany, że nie pozwolą mi spotkać się z Moną, ogarnęło mnie takie załamanie i poczucie takiej totalnej klęski, że zacząłem płakać. Błagałem ich, aby mnie nie odpychali. Wyjawilem im, jak bardzo mi zależy na wejściu do ich rodziny. Porzuciłem wszelki wstyd. Może w głębi serca uważałem się godny tego zaszczytu, aby przyjęli mnie między siebie.

- Nie przychodzę jako biedak - powiedziałem. - Nie przychodzę jako żebrak. Nie oferuję Monie wiejskiej chatynki na resztę życia.

- Wiemy o tym, synu - rzekł Michael Curry. - I wybacz nam bezceremonialność, z jaką przyjechaliśmy do dworu Blackwood, ale szalone eskapady Mony wystawiły nas na ciężką próbę, tak że czasem zapominamy o dobrych manierach. Wczoraj przeżyliśmy coś takiego.

Wierz mi, kiedy mówię, że zamartwiamy się o Monę.

- Co jest takiego złego w tym, że Mona i ja będziemy razem? Czy chodzi o to, że oboje widzimy duchy?

- Nie, rzecz nie w tym - rzekł Michael. Rozsiadł się wygodnie. - Chodzi o przyczyny natury medycznej, wyraźne zastrzeżenia natury medycznej, wiążące się ze stanem zdrowia Mony.

- To Mona ma prawo mówić o medycznym aspekcie spraw - przerwała mu Rowan - nie my. Możemy ci jednak powiedzieć, że Mona nie zachowuje się mądrze, i staram się ochronić ją przed nią samą. - Była łagodna i szczerą.

Nie byłem pewien, co mam powiedzieć.

- Rozumiem wasz problem - powtórzyłem - choć nie mogę wyjawić

rzeczy, które Mona powierzyła mi w zaufaniu. Czy nie mogę się z nią spotkać? Czy nie możecie jej pozwolić, aby zeszła na dół? Czy nie mogę jej opowiedzieć o zjawie wuja Julienu? Czy nie mogę jej spytać, co ma mi do powiedzenia?

- Musisz wiedzieć, że spotkałeś potężne widmo - oznajmił mi Michael.

- Jego interwencje potrafią w poważny sposób zmienić bieg wydarzeń. Czy wcześniej widziałeś podobną zjawę?

- Tak, widziałem równie potężną zjawę. Opowiedziałem im całą historię Rebeki. A gdy mówiłem, powtórnie zdałem sobie sprawę, że sam jestem sobie największym wrogiem. Pod tym dachem wszak jedynie szczerść miała rację bytu, tak mi się przynajmniej wydawało. Kochałem ich na tyle, że czułem się zobowiązany do prawdomówności.

Opowiedziałem im też o Goblinie. Tyle, ile uznałem za właściwe.

- Nie rozumiecie, że moje miejsce jest przy niej? - spytałem w końcu. -

Ona jedna mnie zrozumie, a ja jestem tym jednym, który rozumieją.

- Synu, masz swoje zjawy - powiedział Michael - a ona swoje, dusicie się rozdzielić. Musicie na własną rękę szukać przyzwoitej normalności.

- Och, Boże, to niemożliwe! - krzyknąłem. - Nigdy jej nie znajdziemy.

Poza tym, kto powiedział, że nie osiągniemy jej wspólnie, jeśli w ogóle jest osiągalna?

Widziałem, że rozważają moje słowa. Może nie udało mi się wyrzucić na nich wielkiego wrażenia, ale przynajmniej wzbudziłem nieco uznania inteligencją. W każdym razie nie wykopali mnie jeszcze ze swojego domu i ogarnęła mnie nieprzeparta chęć na gorącą czekoladę, głupie, uparte

pragnienie, aby wypić wiadro gorącej czekolady.

Ku mojemu krańcowemu zdumieniu Michael wstał i powiedział:

- Zrobię ci. Sam mam na nią ochotę.

Byłem osłupiały. Na dodatek wszystkiego była to rodzina

jasnowidzów. Usłyszałem, jak śmieje się pod nosem, idąc do spiżarni.

Rozległy się brzęki i stuki, a potem wionął cudowny zapach gorącego mleka.

Rowan siedziała poważna i zamyślona, po czym odezwała się bardzo

cicho. Jej głos był znacznie łagodniejszy niż wyraz kościstej twarzy o

wysokich kościach policzkowych, okolonej równo przyciętymi włosami.

- Tarquinie, pozwól, że wyłożę kawę na ławę - powiedziała. - Pozwól,

że nie uszanuję prawa Mony do prywatności. Pozwól, że wydam swój sąd.

Mona dała mi pozwolenie, żebym to źrebiła, żebym opowiedziała ci rzeczy,

których naprawdę nie powinno się opowiadać. Jest zbyt młoda, aby

udzielać tego pozwolenia, ale pozwól mi się do niego zastosować. Mona

wystawia się na niebezpieczeństwo za każdym razem, gdy nawiązuje

intymny kontakt z mężczyzną. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Narąza się

na bardzo poważny uraz. Staramy się utrzymać ją przy życiu.

- Ależ myśmy się zabezpieczyli, doktor Mayfair - broniłem się.

Niemniej jednak te wieści były zatrważające. Otarłem oczy i usiłowałem

zachować się jak dorośli.

- Oczywiście, że się zabezpieczyliście - powiedziała, unosząc brwi - ale

nawet najlepsze zabezpieczenie może: Zawsze jest możliwość, że Mona

zajdzie w ciążę. A każde poronienie niezwykle osłabia Monę. To wszystko z

powodu dziecka które urodziła, a o którym wspomniał ci wuj Julien. Ono nadwerężyło jej siły. Tak więc staramy się utrzymać Monę przy życiu.

Staramy się dojść, jak naprawić to, co zostało uszkodzone, żeby Mona nabrała sił, ale potrzebujemy na to czasu.

- Dobry Boże - szepnąłem. - To dlatego Mona była w Mayfair Medical w dniu, w którym ją spotkałem.

- Właśnie - potwierdziła Rowan. Wydawała się nieco bardziej ożywiona, a równocześnie w jej głosie silniej zadźwięczała nuta współczucia. - Nie jesteśmy pozbawionymi uczuć potworami. Naprawdę tacy nie jesteśmy. Staramy się jej pilnować, żeby nie uwodziła swoich krewnych, żeby poddawała się badaniom krwi i przyjmowała leki wzmacniające, tak abyśmy mogli się dowiedzieć, co w jej organizmie jest nie w porządku i dlaczego tak często zachodzi w ciążę. Wyznałam ci więcej, niż powinnam, i przy okazji pozwól, że ci powiem, że jest w tobie zakochana i od kiedy cię poznała, przestała szukać innych okazji; masz wszelkie prawo to wiedzieć, ale nie możemy zgodzić się na to, żeby była z tobą.

- Nie - zaprotestowałem - nie możecie zgodzić się na to, żeby była beze mnie. Pozwólcie mi się z nią spotkać w waszej obecności. Pozwólcie, żebym złożył przy niej śluby czystości. Co w tym może być złego?

Michael podszedł do stołu z tym samym srebrnym dzbankiem, który wcześniej widziałem w ogrodzie, i filiżankami dla nas wszystkich. To była ta sama cholerna porcelana. Gorąca czekolada była gęsta i smaczna, jak podczas wizji, którą przeżyłem, i prawie natychmiast nabrałem na nią

ochoty. Chciałem im opowiedzieć o dzbanku i porcelanie, ale jeszcze bardziej chciałem porozmawiać o Monie.

- Dziękuję za zaspokojenie mojej zachcianki... mam na myśli czekoladę - powiedziałem. - Nie wiem, co mnie opętało.

Michael nappełnił moją filiżankę. Pociągnąłem spory łyk. Nic nigdy mi tak nie smakowało.

Usiadłem wygodniej.

- Będę z wami szczery - oznajmiłem. - Nie możecie być szczerzy ze mną? Powiedzcie jej, że tu jestem...

- Ona o tym wie, Quinn - przerwał mi Michael. - Jest potężnym jasnowidzem. Wiedziała, że przyjechałeś, gdy tylko stanąłeś przed furtką.

Zmaga się z tymi samymi problemami, które wyznała ci Rowan. Prawda uderzyła ją z całą siłą. Źle się czuje. A poza tym jest kwestia jej utraconego dziecka - tego, o którym Julien mówił, że żyje. Usłyszała tę wieść jednocześnie z tobą i to ona przyszła do nas i powiedziała nam, byśmy zeszli do ogrodu i zaprosili cię do środka.

Chciałem im powiedzieć, że to dla mnie wielkie pocieszenie, naprawdę tak myślałem, ale żałowałem, iż dowiedziałem się tego dopiero teraz, niemniej jednak nie chciałem narzekać. Poza tym przyszło mi do głowy coś jeszcze. Czemu przerwali moją rozmowę z Julienem? Gdyby się nie zjawili, może zdradziłby mi więcej?

- To pytanie, na które nie musimy odpowiadać - rzekł Michael, kolejny raz czytając mi w myślach.

- Ale przerwaliście mu. Przerwaliście, gdy odślaniał rodzinne

tajemnice - powiedziałem. - Uznaliście, że tak będzie najlepiej.

- Zgadza się - potwierdziła moje wątpliwości doktor Mayfair. -

Uznaliśmy, że tak będzie najlepiej.

- Czy to ma dla was znaczenie, że jestem jednym z was? - spytałem trzeźwym głosem.

Początkowo żadne z nich nie odpowiedziało na to pytanie. Po chwili odezwała się Rowan, głosem pozbawionym jakiejkolwiek intonacji, jakiegokolwiek uczucia.

- Gdyby tylko Mona nie była chora. Gdybyśmy tylko znaleźli lekarstwo. Wtedy wszystko byłoby inne, Quinn. Ale w obecnej sytuacji, jaki jest sens prosić cię, abys połączył swój los z naszym? Jaki jest sens prosić cię, żebyś poddał się badaniom genetycznymi jakim poddaliśmy się my wszyscy? Jaki jest sens, abys brał na barki ciężar historii naszej rodziny i klątw, które na nas ciąży i wszystkiego, co przyprawia nas o cierpienie, a czego mamy świadomość?

- Badania genetyczne? - spytałem. - Żeby sprawdzić, czy jestem zdolny widzieć duchy? - Wypiłem czekoladę do dna. Michael nalał mi kolejną filiżankę.

- Nie - powiedziała Rowan. - Aby sprawdzić, czy możesz splodzić mutanta, jak splodziła go Mona.

- Chcę się poddać tym badaniom - postanowiłem. Skinęła głową.

- W porządku. Zorganizuję, co trzeba w Medical Mayfair. Zgłosisz się do doktora Winna Mayfaira. Zadzwoń do jego sekretarki, aby uzgodnić godzinę.

- A teraz powiedzcie, gdzie ukrywacie moją ukochaną księżniczkę?

Ustyszałem z góry schodów:

- Quinn!

Natychmiast się zerwałem i pobiegłem do niej, zakręcając dwukrotnie na wąskich schodach, a potem wziąłem ją w ramiona, gdy spotkaliśmy się na piętrze.

- Pamiętajcie moje ostrzeżenie - dobiegł nas głos Rowan.

- Obiecuję, żadnej penetracji - odkrzyknęła Mona. - A teraz dajcie nam spokój.

Uniosłem ją.

- Och, mój kolosalny chłopcze! - powiedziała.

Czułem żar jej piersi przez koszulę, rude włosy zasłaniały mi cały świat i rozłożyły się na moim sercu, nagie nogi były gładkie i cudowne w dotyku. Poniosłem ją korytarzem.

- Dokąd idziemy, księżniczko Mono na Mayfair? - spytałem. -

Walczyłem z aniołami i smokami, żeby być z tobą!

- Na sam front domu, księżę Tarquinie na Blackwood -

odpowiedziała. - Tam, między konarami dębu, jest moja alkowa.

Pokonałem kilka schodków, wąski korytarz, wielką sypialnię, wielki korytarz, a potem minąłem reprezentacyjne schody i znaleźliśmy się we frontowej części domu, gdzie moja ukochana, moja rudowłosa ukochana, wskazała mi, że mam skręcić w lewo.

To była sypialnia, jak najbardziej, a jej wielkie przeszklone drzwi wychodziły na werandę i wydawały się całkowicie zasłonięte konarami

dwóch dębów rosnących przed domem.

Padliśmy na łóżko. Zaplątałem się w dziewiczo białą długą koszulę Mony, jej luźne rękawy, koronki i przewracaliśmy się na białych poduszkach. Przycisnąłem rękę do jej gorących, mokrych majteczek i czując ją, szybko, bardzo szybko przeżyliśmy ekstazę. Powtórzyliśmy to, tym razem wolniej i figlarniej, potem jeszcze raz, i znów byłem bardziej wyczerpany od niej.

Musieliśmy tak leżeć z godzinę i cały czas drzwi były uchylone, i nie dobiegł nas żaden dźwięk naruszający spokój wielkiej rezydencji.

Zawierzono naszej uczciwości, gdy leżeliśmy na delikatnej białej kapie, którą bardzo zabrudziłem nadmiarem mojej miłości.

- Dobrze się pierze i właśnie po to tu jest - powiedziała dama mojego serca, zwijając kapę i ciskając na podłogę.

Potem nastala pora całusów, przytuleń, wylegiwania się na poduszkach i spoglądania przez okno na konary dębów, po których śmigały brązowe wiewióreczki, skacząc między zielone paprocie.

- Nie chcę się z tobą rozstawać - powiedziałem. - Od naszego spotkania wydarzyły mi się potworne rzeczy - wyznałem.

Opowiedziałem jej wszystko o nieznajomym i jego dziwnej napaści. O tym, że czytał mi w myślach, i dowiedział się, co planuję względem Samotni. Powtórzyłem jej rozporządzenia dotyczące renowacji i wyjaśniłem, że on i ja będziemy współnikami na wyspie, ale nie kryłem, iż teraz wiem na sto procent, kto pozbywał się trupów w świetle księżyca.

Była zafascynowana.

- Czy on cię nie przeraża? - spytała.

- Oczywiście, że nie - odpowiedziałem. - Bardziej przeraża mnie wujek Julien.

Wybuchła śmiechem.

- Czy Julien zawsze przychodzi, kiedy chcesz? Posmutniała.

- Nie, to raczej on przychodzi, kiedy chce, a teraz musisz opowiedzieć wszystko, co ci się przydarzyło. Przyznaję, słyszałam, co mówiłeś Rowan i Michaelowi. Podstuchiwałam. Musisz i jednak sam opowiedzieć. Opisz go. Opisz, jak się zachowywał. Muszę wiedzieć. Jestem wściekle zazdrosna, kiedy wujek Julien pojawia się komuś innemu.

Odtworzyłem całe tamto przeżycie. Opisałem wytworne ubranie

Juliena, łagodny sposób bycia. Opisałem kwietny wzór porcelany. Znała go. Powiedziała, że to Royal Antoinette. Nawet nie była pewna, czy istniał w jego czasach. Powiedziała, że podpatrzył wzór z kredensu. Sprytne widmo.

Bardzo przeżyła wiadomość, że jej dziecko żyje. To było dla niej coś niesłychanego. Bezcenna wiadomość. A mnie udało się ją zdobyć bez żadnego wysiłku!

- Czy widma nie kłamią? - spytałem. W myślach przebiegłem moje doświadczenia z Rebeką. Może nigdy mnie nie okłamała, tylko wprowadzała w błąd, a to nie to samo.

Wstałem z łóżka. Podszedłem do okna i spojrzałem na dęby. Ogród był przepiękny. Nigdy byś nie zgadł, że jesteś w środku miasta - że nabrzeża są niecałe dziesięć przecznic dalej, a St. Charles Avenue z jej

legendarnymi tramwajami jeszcze bliżej.

- Wiesz, co myślę? - spytałem.

- Co? - Usiadła na łóżku. Podwinęła nogi i objęła je ramionami. Jej dłonie wyglądały przecudnie w szerokich koronkowych mankietach.

Rozsypane na ramionach włosy tworzyły widok, którego miałem nigdy nie zapomnieć.

- Myślę, że ja potrzebuję ciebie o wiele bardziej niż ty mnie.

- Quinn, to nieprawda. Kocham cię. Jesteś pierwszą osobą, w której się zakochałam. Uświadomiłam to sobie zeszłej nocy, kiedy przywieźli mnie do domu. To bolesne, wspaniałe i prawdziwe. Potrzebuję cię, bo jesteś naturalny, pełen życia i nie należysz do naszej rodziny. - Mówiła z wielkim przekonaniem.

- Ależ należę - zaprotestowałem. - Powiedziałem ci, co Julien mi zdradził. Zajął miejsce mojego prapradziada Williama w jego małżeńskim łóżu. Mówiłem ci.

- Ale nie wychowano cię na Mayfaira - stwierdziła. - I pochodzisz z wybitnej rodziny, która ma własną tradycję. Żyjesz we „Worze, który ma własne legendy! Poza tym, jakie to ma znaczenie? Potrzebuję cię, kocham i to się liczy.

- Mono, czy to prawda, co usłyszałem od doktor Rowan, że ty za każdym razem...?

- Tak, to prawda. Nie wiem dlaczego. Po prostu nieustannie jajeczkuję, nieustannie jestem płodna. Natychmiast poczynam dziecko i tracę je, i słabnę coraz bardziej za każdym razem, kiedy się to wydarza.

Coraz więcej wapnia znika z moich kości. Jest niezwykle prawdopodobne - na sto procent, prawdę mówiąc - że gdyby zrobili mi histerektomię, problem zostałby rozwiązany, ale wtedy nie mogłabym nigdy mieć dzieci, tak więc mają nadzieję, że jakoś rozwiążą problem, nie podejmując tak radykalnego kroku.

To wszystko mnie wystraszyło, bałam się o nią. To, że nieświadomie ją skrzywdziłem, przeraziło mnie.

- Jeśli to kwestia twojego życia, Mono, musisz im pozwolić na histerektomię - powiedziałem. - Nie możesz ryzykować życia.

- Wiem, Quinn, stale o tym myślę. Przyjdzie moment, w którym powiedzą, że czas to zrobić, i może ten moment nastąpi niebawem.

Zastanów się nad tym, Quinn. Czy pan na dworze Blackwood chce żony, która nigdy nie będzie miała dziecka?

- Kocham cię, Mono. Nie potrzebuję dzieci. Więcej, znam dziecko, które moglibyśmy mieć.

- Po prostu mieć? - spytała, śmiejąc się. - Chcesz powiedzieć, tak po prostu?

Opowiedziałem jej o moim dziadku, Terry Sue i Tommym. Genialnym małym Tommym, siedzącym na zwalonym pniu z albumem malarstwa w ręku i siniakiem na twarzy.

- Rany, to niesłychane! - powiedziała. - To jak bajka o Kopciuszku!

Możesz zmienić całe jego życie!

- Zgadza się. Zamierzam to zrobić, bez względu na to, co się wydarzy.

Więc nie myśl więcej o mnie, kiedy się zastanawiasz nad histerektomią.

Terry Sue na pewno będzie całkiem otwarta na sprzedaż praw rodzicielskich do Tommy'ego. Zamierzam pomoc Terry Sue i jej zastępowi dzieciarni, to już postanowione. Ale muszę cię prosić o jedno.

- Już mówisz jak pan domu - zauważyła rzeczowym tonem. - Zrobię, co w mojej mocy.

- Nie, mówię poważnie, Mono.

Usiadłem na łóżku obok niej i pocałowałem ją.

- Czy Rowan i Michael wiedzą, gdzie jest twoje dziecko? - spytałem.

- Nie, nie wydaje mi się. Czasem myślę, że może wiedzą - Mayfair

Medical to świat sam w sobie - ale nie, nie mogą... Nie potrafię znieść tej myśli. Nie potrafię znieść myśli, że mogliby to przede mną ukryć. Nie mówmy o tym, Quinn. Rowan to zimny, kalkulujący naukowiec, ale jest uczciwa jak złoto. Pomówmy o nas.

Objąłem ją. Złoto. To słowo obudziło we mnie pewne skojarzenie.

Złoto. Myślałem o mauzoleum i tajemniczym nieznanym, który powiedział mi, że mauzoleum jest ze złota.

- Nie ma nawet mowy, żebyś mogła ze mną uciec do Europy - powiedziałem. - Potrzebujesz opieki lekarskiej, którą doktor Rowan zapewnia ci w ośrodku, prawda?

Westchnęła. Skinęła głową.

- Ucieczka to marzenie ściętej głowy. Przechodzę kurację hormonalną i dostaję najróżniejsze leki wzmacniające. Spędzam tam nie cały boży dzień, ale tydzień. Przyjmuję kroplówki przez dwie, trzy godziny. Nie sądzę, żeby był jakiś wielki postęp. Chciałam się wyrwać jak

ptak z klatki. Źle zrobiłam, zwabiając cię do mojego snu, każąc ci w niego przez chwilę uwierzyć.

- Nie szkodzi - powiedziałem. - Nie muszę się z niego wynosić. Nie chcę się z niego wynosić. Nie muszę i nie chcę tak długo, jak możemy się widywać, a myślę, że twoja rodzina teraz nam ufa. Wie, że cię nie skrzywdzę, i ty też to wiesz.

Rozległo się stukanie do drzwi.

Nastala pora kolacji i zaproszono mnie serdecznie, abym dołączył do stołu. Nie pomogły żadne wymówki i po szybkim telefonie do Jasmine i złożeniu raportu z tego, gdzie jestem i co robię, wszedłem do jadalni, zastając tam Monę - odzianą w jedną z jej niesamowitych białych koszul z szerokimi rękawami, tym razem narzuconą na szerokie, udające minispódniczkę szorty z tkaniny drukowanej w palmy, papugi i inne tropikalne wzory, które oprócz innych zalet miały i tę, że były bardzo seksowne, nawet bardziej niż same majteczki przed chwilą - oraz Michaela i Rowan ubranych bardziej wieczorowo.

Michael w letnim garniturze z kamizelką wyglądał jak prawdziwy dżentelmen, a Rowan miała na sobie prostą granatową sukienkę i potrójny sznur ciężkich pereł.

Dopiero po chwili dostrzegłem, że Mona nałożyła kameę ciotki Queen. Brylanciki pięknie się skrzyły na szyi mojej księżniczki.

Ku mojemu niebotycznemu zdumieniu dołączył do nas Oliver Stirling z Talamaski, który dostosowując się do łagodnych temperatur późnej wiosny, włożył biały garnitur z kamizelką i cytrynowy krawat. Nie wiem,

*czemu zapamiętałem ten krawat. Jakoś zawsze zwracam uwagę na ten
szczegół garderoby. Siwe włosy nosił krótko przycięte, szesane do tyłu i
wyglądał jak najzdrowszy sześćdziesięciolatek na świecie.*

*Wszyscy byli niestychanie ciekawymi ludźmi i rezydencja ich nie
przytłaczała ani nie pomniejszała uroku, którym promieniowali.*

*Bardzo się ucieszyłem, znowu spotykając Stirlinga, chociaż miałem
nieodparte wrażenie, że ciotka Queen byłaby zaniepokojona, gdyby o tym
wiedziała. Jako że nie miałem wielkiego wyboru w tej materii, zupełnie mi
to nie przeszkadzało.*

*- Widziałem na zewnątrz twojego przyjaciela, Goblina - wyznał mi
konfidencko, ściskając dłoń. - Dał do zrozumienia, że wolał być
sam.*

*- Mówi pan poważnie? - spytałem. - Naprawdę go pan widział? I
rozmawialiście ze sobą?*

*- Tak, stał przy furtce. Był znakomicie widoczny, ale musisz wiedzieć,
że mam talent do postrzegania takich zjawisk. Zresztą przesadnie
rozwinięty. Stąd wrażenie, że żyję w strasznym tłoku.*

- Był zły i zgorzkniały? - spytałem.

*- Ani taki, ani taki - odparł - wydawał się zadowolony, że zamieniłem
z nim kilka słów.*

*W tym momencie odezwała się Mona, stając między nami i biorąc
nas pod rękę.*

- Czemu go nie zaprosić? Zrobimy dla niego miejsce przy stole.

- Nie, nie dzisiaj wieczór - sprzeciwiłem się. - Mam ochotę być egoistą.

On ma swoje chwile. Ja chcę mieć tę tylko dla siebie.

Kolacja udała się wspaniale, wiele czasu poświęcono rozważaniom, czy na pewno winienem jechać do Europy, a Michael oświadczył, że w życiu każdego przychodzi idealna chwila na taki wyjazd. Zgodziłem się z nim całym sercem i ośmieliłem się zapytać, czy byłoby w ogóle możliwe, aby pojechała z nami Mona, gdyby ciotka Queen zgodziła się zabrać przyzwoitkę zajmującą się wyłącznie Moną, i używając eufemizmów, które wydawały mi się odpowiednie w tej wytwornej jadalni, ogłosiłem, że nigdy nie naraziłbym na ryzyko zdrowia ani dobrego samopoczucia Mony, ulegając brudnej żądzy.

Mam nadzieję, że udało mi się chociaż w połowie odegrać tak rozsądną i dorosłą postać, za jaką pragnąłem uchodzić. Gdy tylko Mona poparła moje sugestie, Rowan stwierdziła rzeczowo, że obecnie Mona nie może się oddalać od Mayfair Medical, że to prostu nie wchodzi w grę i że gdy będzie to możliwe, ona i Michael zabiorą Monę do Europy, tak aby mogła zakosztować niezwykłych przeżyć, które oferuje stary kontynent.

Co więcej, Mona zaczęła tłumaczyć, że jej „stan” odkryto właśnie podczas podróży do Europy, że z tego powodu skrócono pobyt i wróciła do kraju.

Podczas całej rozmowy nikt nie wspomniał o dziecku Mony. A ja nie wspomniałem o tajemniczym nieznajomym.

Po kolacji przeszliśmy do wielkiego salonu i tam wypilem więcej koniaku, niż powinienem. Uporałem się z tą sytuacją, dzwoniąc do Cierna i prosząc, aby przyjechał po mnie limuzyną ciotki, podczas gdy Allen

odprowadziłby mercedesa. Udało mi się wszystko zgrać, jako że ciotka

„szalala” u siebie.

Michael i Rowan okazywali niesłabnące zainteresowanie moją

osobą, a jeśli było inaczej, potrafili to idealnie zamaskować. Oliver Stirling

również był życzliwy i poświęcał mi uwagę. Rozmawiajmy o widzeniu

zjaw. Opowiedziałem im całą historię Rebeki, znów używając stosownych

eufemizmów, które wydawały mi się odpowiednie w dostojnym domu. Co

prawda byłem nieco pijany i mogło mi się coś wydawać, ale z dumą

uznałem, że moje opowieści napawają Monę zachwytem. Oczy jej

błyszczały i ani razu mi nie przerwała, co było zadziwiające, biorąc pod

uwagę jej żywiołową i błyskotliwą inteligencję. A gdy już zabierała głos,

miało to na celu przedstawienie w jak najlepszym świetle mojej osoby

Rowan, Michaelowi i Stirlingowi lub też na odwrót.

Z całej trójki to Michael był zdecydowanie najbardziej rozmowny i

skłonny do śmiechu, chociaż Stirling miał największe poczucie humoru,

natomiast Rowan okazała się powściągliwa jak na lekarkę, chociaż, jak się

przekonałem tego popołudnia, jej gardłowy głos potrafił być cieplejszy i

słodszy niż koścista, chociaż delikatna twarz. Miała piękne, wyraziste oczy

szarej barwy, a widząc jej długie szczupłe palce, nietrudno było uwierzyć,

że jest neurochirurgiem. Michael był od niej starszy, bardziej szorstki;

pozostawał tym w parze, który zajmował się „chałupą” - pracując

młotkiem i gwoździami. Mówił, że czuje oddech domostwa i kocha lśniąca

podłogi, skrzypiące i trzeszczące w środku nocy. Cała trójka dała skromnie

do zrozumienia, że oczywiście widuje zjawy.

Stirling mówił o dzieciństwie pełnym duchów w angielskim zamku. O tym, że odkrył istnienie Talamaski podczas studiów w Cambridge. Michael opowiedział, że mało nie utonął w pobliżu San Francisco, że na ratunek pośpieszyła mu właśnie Rowan i że tamto wydarzenie nauczyło go rozpoznawać pewne paranormalne istoty za pomocą dotyku.

Mona, śmiejąc się, opowiedziała wszystkim, że wuj Julien zakradł się do pokoju kredensowego po porcelanę Royal Antoinette, w której podał mi gorącą czekoladę, i powtórzyła wierszyk Christophera Morleya, który uwielbiałem w dzieciństwie, ten o kakao i kruchych ciasteczkach. Ten drobiazg zrobił na nich wrażenie i zastanawialiśmy się, jak duchom udaje się działać w realnym świecie.

- Ale to znaczy, że Bóg istnieje, prawda? - spytała Mona. Była niesłychanie poruszona. Zdradzał to ton jej głosu.

- Bóg lub diabeł - powiedziała doktor Rowan.

- Och, to byłoby okrutne, gdyby diabeł istniał bez Boga - stwierdziła Mona.

- Nie wydaje mi się - rzekła Rowan. - Uważam, że to całkiem możliwe.

- Nonsens, Rowan - zaprotestował żywo Michael. - Bóg istnieje i Bóg jest miłością. - Dał znak Rowan, wyraźnie wskazując głową Monę, i dostrzegłem, że Mona z niepokojem odwraca wzrok.

- Chyba niebawem się tego dowiem albo niczego się nie dowiem - odezwała się po chwili. - To nieprzyjemny aspekt całej sprawy. Tak zgasnąć jak wypalona żarówka.

- O tym nie ma mowy - powiedziałem szybko. - Czy te twoje zabiegi w

Medical Mayfair są męczące? Mogę przyjść i posiedzieć przy tobie?

Moglibyśmy rozmawiać albo mógłbym ci czytać. Jak tam jest?

- To byłoby urocze z twojej strony - wtrąciła Rowan - ale w końcu się znudzisz. Nie ma na to rady.

- Rowan, na miłość boską - obruszył się Michael. - Co w ciebie wstąpiło?

Mona wybuchła śmiechem.

- Tak, Quinn - powiedziała, nadal się śmiejąc - tkwię tam godzinami.

Dostaję dożylnie zastrzyki, dlatego noszę długie rękawy, żeby ukryć ślady.

To byłoby cudownie, gdybyś posiedział tam ze mną. Nie musiałbyś mi towarzyszyć przy każdej wizycie. Rowan ma rację. Kiedyś w końcu się znudzisz, ale nie będę miała o to do ciebie pretensji.

- Wstyd mi, że nigdy nie spytałem, czy mogę cię tam odwiedzić -

wyznał Stirling. - A przecież tyle razy jedliśmy kolację w Grand Luminière Café. Nie pojmuję, jak mogło mi to nie wpaść do głowy.

- Och, to nie twój obowiązek - pocieszyła go Mona. - Oglądam

najgorsze programy telewizyjne, jakie świat widział. Stałam się zagorzałą fanką przedpotopowych seriali. Nie przejmuj się.

Byłem gotów przysiąc, że odwiedzając ją, nigdy się nie znudzę i nie

zmęcę. Że będę przynosił kwiaty i czytał poezję. Wiedziałem jednak, że

wszystkie moje zapewnienia zabrzmiałyby sztucznie w Uszach tych

trzeźwo myślących osób, więc na razie dałem sobie z tym spokój, myśląc,

że później, gdy przyjdzie czas się żegnać zapytam, czy mogę znów spotkać się z Moną.

- Wiem jedno - oświadczyła nagle Mona. - Kiedy przyjdzie czas mojej śmierci, nie chcę umierać w Mayfair Medical. Nadal marzę, aby odejść jak Ofelia, na posłaniu z kwiatów, płynącym łagodnym strumieniem.

- W realizacja tej wizji tkwi pewien szkopuł - zauważył Michael. -

Pływanie na posłaniu z kwiatów to piękna sprawa, ale jak się zaczyna tonąć, to przyjemności się kończą.

- No, to w takim razie wystarczy mi posłanie z kwiatów - rzekła

Mona. - Ale musi ich być dużo, wiesz, i żadnych rurek, igieł, butelek z morfiną i tym podobnych rzeczy. I żadnych lekarzy w pobliżu.

- Obiecuję - powiedział Michael. Doktor Rowan nie odezwała się słowem.

To była wyjątkowa chwila. Ogarnęła mnie groza. Nie odważyłem się przemówić.

- Słuchajcie wszyscy, przepraszam, że wprowadziłam taki ponury

nastrój - powiedziała Mona. - Quinn, muszę poprawić ci humor. Znasz w ogóle Hamleta! Poczytasz mi go czasem w Mayfair Medical?

- Z rozkoszą - obiecałem.

Wszyscy oglądaliśmy wybitną ekranizację Hamleta w reżyserii

Kennetha Branagha i byliśmy nią zauroczeni, i oczywiście doskonale

pamiętaliśmy scenę utonięcia Ofelii. To było nieruchome, piękne od

początku do końca ujęcie, poprzedzone długim opisem Gertrudy. Wszyscy

uznaliśmy, że zawdzięczamy je geniuszowi Branagha. Chciałem im

opowiedzieć o ostrzeżeniach ojca Kevina, który powołując się na historię

Hamleta, odradzał mi nawiązywanie kontaktów ze zjawami, ale nie byłem

pewien, co o tym myśleć, więc dałem sobie z tym spokój.

Reszta wieczoru była cudowna. Rozmawialiśmy o wiew sprawach.

Michael Curry uwielbiał książki, tak jak moja dawna nauczycielka,

Lynelle, i uznał, że to wspaniałe, iż mam nowego nauczyciela. To, że nigdy nie chodziłem do szkoły, zupełnie m nie przeszkadzało.

Rowan całym sercem poparła pogląd, że nie straciłem niczego, że

poza drobnym ułamkiem bogatych amerykańskich dzieci, które chodzą do

najwybitniejszych szkół, „zorganizowane przeżycie edukacyjne” jest w

gruncie rzeczy bolesne i przynosi niewiele pożytku. Oliver Stirling uznał za

niezwykle cudowny fakt, że pobieram taką intensywną edukację, i

zastanawiał się głośno, jakby to było, gdyby inne dzieci mogły korzystać z

podobnych możliwości. Co się tyczy Tommy’ego, którego opisałem całemu

towarzystwu, zgodzono się powszechnie, że zarówno on, jak i jego bracia i

siostry powinni otrzymać „wszelką szansę” rozwoju. Nie bawiłem się w

Boga, pokazując im inny świat.

Byłem bardzo zaskoczony tą przyjazną oceną mojej osoby i moich

zamierzeń i przysięgam, naprawdę nie paliłem się jechać do Blackwood.

Chciałem zamieszkać na zawsze w tym domu z Michaelem, Rowan i Moną.

Chciałem zawsze cieszyć się towarzystwem Stirlinga. Z drugiej strony nie

mogłem się doczekać, kiedy wrócę do Blackwood. To, że zostałem tak

ciepło przyjęty, nie odarło mnie ze starych przyzwyczajzeń i skłonności.

Chciałem opowiedzieć Nashowi i ciotce, co mnie spotkało. Chciałem ustalić

z Nashem zakres moich studiów. Chciałem po raz kolejny odłożyć wyjazd

za granicę.

Michael miał sugestię co do ostatniej sprawy - wyjazdu. Czemu nie miałby pojechać tylko na kilka tygodni?

- W tym czasie też można zobaczyć kawał Europy - powiedział mi. - A jeśli chciałbyś wybrać tylko jeden kraj, to pozwól, że zasugeruję ci Anglię lub Włochy. Wystarczy, że obejrzysz jeden lub drugi i wrócisz przemieniony.

Wszyscy uznali to za dobry pomysł. Stirling i Rowan również byli za Włochami. Musiałem przyznać, że pomysł faktycznie jest niezły. Ciotka zostałaaby w części usatysfakcjonowana, a Mona Przysięgła, że będzie czekać, aby wysłuchać relacji z wszystkich przygód, gdy już powrócę.

Tymczasem przyjechał po mnie Clem i chociaż toczyła się żywa rozmowa, Michael opisywał swoją wizytę we Włoszech, wiedziałem, że czas ruszać. Poza tym czułem się coraz bardziej pijany.

Przed wyjściem wziąłem Monę w ramiona i przysięgłem, że zadzwonię następnego dnia i dowiem się, kiedy będę mógł ją odwiedzić w Mayfair Medical.

- Spędzam tam całe moje życie, kolosalnie piękny chłopcze - powiedziała. - Wpadaj, kiedy zapragniesz.

- Kiedy nadchodzi cię chandra?

- O czwartej. Jestem wtedy bardzo zmęczona. Płaczę.

- Przyjadę o drugiej i zostanę przy tobie tak długo, jak mi pozwolisz.

- Czyli do szóstej - powiedziała. - Potem zjemy kolację w Grand Luminière Café.

- Potem możesz mnie wygonić albo zatrzymać, jak ci się będzie

podobało. Nie będę cię zmuszał do niczego.

- Naprawdę mnie kochasz, prawda?

- Namiętnie i do grobowej deski.

Nasze ostatnie pocałunki były długie, nieprzerwane, a alkohol dodał im słodyczy.

Michael Curry odprowadził mnie do furtki, gdzie musiał użyć klucza, aby ją otworzyć. Uściskał mnie. Uciskał mnie mocno i pocałował po europejsku, w oba policzki.

- Jesteś dobrym chłopcem, Quinn - powiedział.

- Dziękuję, Michael - rzekłem. - Naprawdę ją uwielbiam. Gdy tylko

Goblin i ja zasiedliśmy na tylnej kanapie limuzyny i zatrzasnęliśmy za sobą drzwi, wybuchłem płaczem.

Jechaliśmy i jechaliśmy, a ja płakałem jak bóbr. Gdy

przejeżdżaliśmy nad czarnymi wodami jeziora Pontchartrain, Goblin objął mnie ramieniem i powiedział cicho, zupełnie jak Ariel w Burzy.

- Współczuję ci, Quinn, gdybym był człowiekiem, też bym płakał.

Minęło trochę czasu, od kiedy ciotka Queen udzielała audiencji w swojej sypialni, czy buduarze, jak nazywaliśmy jej pokój przy takich okazjach, ale gdy wszedłem do domu, usłyszałem od wybornie ubranej Jasmine - miała na sobie obcisłą czarną koktajlową sukienkę i zabójczo wysokie szpilki - że dzisiejsza noc jest wyjątkowa.

Oczywiście, ciotka przyjmowała Nasha, jako że między nimi powstała doprawdy niezwykła komitywa, ale również jeszcze jednego gościa, który przywiózł prezenty w postaci niebywałych kamei, jakich ciotka nigdy wcześniej nie widziała. Jasmine opatrzyła tę informację seria żartobliwych min, wywracaniem oczu i trzepotaniem rzęs. „Wszystkie rzeźbione w szlachetnych kamieniach”, powiedziała.

Wydano srogie polecenie, że mam udać się na górę, odświeżyć, włożyć najlepszy czarny włoski garnitur, ręcznie szytą angielską koszulę i odświętne buty, po czym zejść na dół i przywitać dostawcę tych zdumiewających darów. Jako że na dobrą sprawę byłem już tak ubrany, nie musiałem zadawać sobie wiele trudu.

Co się tyczy samej audiencji, to wieść o niej sprawiła mi przyjemność. Wypity alkohol przestał działać, natomiast miłość do Mony i niepokój o nią nie pozwalały mi zasnąć. Noc wydawała mi się nieprzyjacielem, mój wystraszony Goblin niewątpliwie plątał się nieopodal, a ja byłem spragniony światła i rozmów w pokoju ciotki Queen.

- Chodź, Goblin - zachęciłem go - pójdźmy razem. Sam wiesz, że

ostatnio spędzaliśmy zbyt wiele czasu osobno. Chodź ze mną.

- Zło, Quinn - odparł ze smutkiem na twarzy.

To mnie zaskoczyło. Zło w pokoju ciotki? Był ubrany tak samo jak ja, od ręcznie stebnowanego kołnierzyka koszuli po lakierki, i zszedł ze mną na dół. Czulem jego dłoń na mojej, łagodny uścisk, a potem miękkie usta na moim policzku.

- Kocham cię, Quinn - powiedział.

- Kocham cię, Goblin - odparłem.

Wszystko to było bardzo nieoczekiwane, podobnie jak zaproszenie ciotki Queen. Miałem nadzieję, że noc uraczy mnie dalszymi cudownymi niespodziankami. Miałem nadzieję, że nie załamie się nagle na wieść, iż Mona jest poważnie chora i może przegrać z chorobą, i że to właśnie usiłowano mi wytłumaczyć, ona i jej rodzina, podczas całej tej interesującej kolacji, a wybuch pesymizmu Rowan Mayfair nie był bezwzględnym wyznaniem prawdy. I że Mona nie „zgaśnie jak wypalona żarówka”.

Na dworze Blackwood panowały jasność i śmiech. Jedna grupka gości zgromadziła się przy pianinie w salonie, inna grała w jadalni w karty.

Minąłem ich z radosnym uśmiechem, pozdrawiając uniesieniem ręki, po czym skierowałem się do tylnej sypialni. Drzwi były uchylone i pchnąłem je powoli, obwieszczając moje przybycie rozbawionemu zgromadzeniu.

Wszyscy siedzieli w kręgu, z ciotką w pełnej chwale, ubraną w

bezcenny peniuar z piórkami i szeroką białą koronką. Na odsłoniętej szyi miała cudowną kameę. Jak zawsze włożyła wysokie szpilki. Nash, ubrany na tę okazję w smoking, siedział po jej prawej stronie. Wstał, gdy wszedłem, chociaż doprawdy nie zasługiwałem na ten znak szacunku.

Ubrana w śnieżnobiały uniform Cindy również wstała i sprawiła mi nie lada przyjemność, składając pocałunek na policzku.

Następnie ujrzałem gościa honorowego, hojnego dostarczyciela kamei, świeżego przybysza na dworze Blackwood. Siedział w kącie naprzeciwko wejścia i nie powstał, i nie miał powodu wstawać, gdy nasze oczy się spotkały.

Początkowo widok, który ujrzałem, po prostu nie mieścił mi się w głowie. Wiedziałem, kogo widzę, i nie wiedziałem. Rozumiałem i nie rozumiałem. Wszystko było całkowicie jasne. Nic nie było jasne, wcale.

Następnie mój umysł stopniowo wchłonął szczegóły, uszeregował je i połączył, tak że stały się dla mnie zrozumiałe, tak jak zrozumiałe będą dla ciebie podczas mojego opisu.

Nie miałem wątpliwości, że mam przed sobą tajemniczego nieznajomego. Rozpoznałem kształt jego głowy. Rozpoznałem kształt jego ramion. Rozpoznałem jego wysokie czoło, pięknie zaokrąglone skronie, czarne brwi i wielkie czarne oczy. Rozpoznałem usta i uśmiech.

Rozpoznałem nawet czarne włosy. Włosy nie były tym razem związane z tyłu. Nie, widziałem bogactwo olśniewających fal i loków, spadających na ramiona. A z kolei dzięki ciasno skrojonej czarnej satynowej kamizelce dostrzegłem, że tajemniczy nieznajomy ma duże pełne piersi. Niemniej

jednak reszta wieczorowego ubioru, smoking i spodnie, zakrywała ciało mężczyzny i w rzeczy samej, tajemniczy nieznajomy miał co prawda lśniąca, gładką skórę i uróżowione usta, był jednak wysoki na ponad sześć stóp i szczękę miał bardzo męską, kanciastą.

Czy był mężczyzną? Czy był kobietą? Nie miałem pojęcia.

Bez względu na to, kim był, siedział bokiem na fotelu, opierając prawą rękę na wysokim oparciu, wyciągając wygodnie nogi i trzymając lewą rękę na kolanach. Rzucił mi wyzwanie swoim milczeniem, przebiegłym uśmiechem, podczas gdy ciotka Queen ujęła jego dłoń, mówiąc:

- Quinn, kochanie, podejdź tu i poznaj Petronię. Przyniosła mi precudne kamee. I na dodatek zrobiła je sama.

Szok. Szok wysadzający serce z piersi. Nigdy nie czułem w sobie takiego połączenia wścieklej furii i zamętu.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Petronio - powiedziałem. Cały wypity alkohol znów we mnie zapłonął. - Pozwól mi powiedzieć, że jesteś bardzo piękna. Oglądając cię do tej pory w świetle księżyca, mogłem tylko zgadywać.

- To bardzo uprzejme z twojej strony - odpowiedziała. Usłyszałem dokładnie ten sam głos, który rozległ się w moich uszach ostatniej nocy, przyciszony i łagodny. Oczywiście, to był kobiecy głos. Na pewno? - A ty, ty przybywasz prosto od swojej rudowłosej jędzy. Oczekiwałam, że całkiem cię oślepi swym blaskiem.

- Nie jest żadną jędzą! - zagrzmiałem. Twarz mi płonęła. - Ale nie każ

mi się trudzić w jej obronie. Cieszę się, że zostaliście sobie przedstawieni jak wypada.

Odwróciła się do ciotki, śmiejąc się pod nosem.

- Ależ z niego wszechstronnie uzdolniony dżentelmen - stwierdziła.

Znów skierowała na mnie błyszczące oczy. - Nie miałabym nic przeciwko temu, żebyśmy się bliżej poznali. I przestań się zastanawiać, czy jestem mężczyzną, czy kobietą. Po prawdzie jestem jednym i drugim, i ani jednym, ani drugim. Właśnie tłumaczyłam to twojej ciotce. Rodząc się, zostałam obdarzona najdoskonalszymi cechami obu płci i mogę postępować jak kobieta bądź jak mężczyzna, wedle woli.

Nash przyniósł mi krzesło, abym dołączył do kręgu. Jasmine nalala mi szampana. Usiadłem nieco bokiem do tego zjawiska, tego stwora, czując, że Goblin trzyma mnie za ramię. „Uważaj, Quinn”, ostrzegł mnie w myślach. I dobrze zrobił, bo ogarniała mnie niebezpieczna gorączka umysłu i duszy i znów czułem się pijany. Byłem oburzony jej wtargnięciem i niewiarygodnie podekscytowany.

Zauważyłem, że wzrok nieznajomej pada na lewo ode mnie, tam, gdzie stał Goblin. Nie widziała go. Wiedziała tylko, że tam jest.

- Więc myślisz o mnie jak o kobiecie - powiedziała do mnie. - Wybacz, że czytam ci w myślach, ale nie potrafię nad tym zapanować. Kiedy ktoś jest obdarzony taką umiejętnością, ona decyduje sama za siebie.

- Doprawdy - spytała ciotka - chce pani powiedzieć, że to czynność w pełni spontaniczna? Po prostu słyszy pani ludzkie myśli.

- Niektórych ludzi lepiej niż innych - uzupełniła. - Quinna jawią mi

się jak najwyraźniej. Cóż z ciebie za błyskotliwy mężczyzna.

- Tak ludzie mówią - rzekłem. - Jak to możliwe, że na ty mauzoleum na Wyspie Słodkiego Czarta jest twoje imię?

- To imię praprababki Petronii, Quinn - powiedziała ciotka, wyraźnie usiłując stonować ostry ton moich wypowiedzi. - Właśnie rozmawialiśmy o tej osobie i o reinkarnacji. Petronia całym sercem wierzy w to zjawisko, którego przypadki wiele razy wystąpiły w jej rodzinie. Miała również dziwne sny o starożytnych Pompejach.

Ja miałem przecucie czegoś potwornego. Starożytne Pompeje.

Goblin ścisnął mnie za rękę. Tajemnicza nieznajoma patrzyła na mnie i mógłbym przysiąc, że widzę Wezuwiusza, gdy rycząc, wypluwa w niebo fatalną chmurę i pogrąża w panice miasto u swoich stóp. Ludzie krzyczeli, biegnąc wąskimi ulicami. Ziemia się trzęsła. Chmura zakryła niebo. Widziałem to. Petronia nie odrywała ode mnie wzroku. Byliśmy tam i tutaj. Ciotka mówiła. Deszcz popiołów przeszedł w ulewę.

Miałem zawroty głowy. Tak, zawroty głowy, fatalny symptom.

- Jakie są te pani dziwne sny o starożytnych Pompejach? - spytał

Nash swoim cudownym głębokim głosem.

- Och, doprawdy tragiczne - odpowiedział mu ściszony głos. - Jestem niewolnicą, rzeźbię kamee i nadzoruję innych rzemieślników. Mój pan ostrzega nas wszystkich przed bliskim wybuchem i biegnę ulicami, próbując ostrzec mieszkańców. Uciekajcie z miasta, krzyczę. Góra wywoła katastrofę. Ale oni nie wierzą. Nie słuchają.

Mówiła i widziałem to. Widziałem ją, jej długie, gęste czarne włosy,

ale ubraną w męską tunikę, biegnącą wąskimi, wyłożonymi kamieniem ulicami, tłukącą do drzwi, łapiącą ludzi za ramiona. „Uciekajcie, uciekajcie w tej chwili. Góra wybucha. Zniszczy miasto. Nie ma czasu do stracenia”. Widziałem budynki, które mijają, niewielkie miasto wapiennych ścian, a ona była taką dziwną, Wysoką, niesamowitą pięknością. Nikt jej nie słuchał. W końcu oderwała niewolników od warsztatów. Nie. Nie tylko to widziałem. Byłem tam!

Wrzucali kamee do worków. „Nie czas na to! - krzyknęła. -

Biegnijcie!” My wszyscy - niewolnicy, wolni ludzie, krzyzące kobiety, dzieci - pobiegliśmy ku wybrzeżu. Ryk góry był monstrualny i ogłuszający.

Czarna chmura rozrastała się na niebie. Dzień zniknął. Przyszła noc.

Wsiedliśmy do łodzi i pracując wiosłami, wypłynęliśmy szybko na zmierzwione fale zatoki. Otaczały nas inne pełne łodzie. Znów rozległ się głos góry. A potem błysk ognia w ciemnościach. Pompeje miały wkrótce umrzeć.

Siedziała w łodzi. Byłem z nią. Płakała. Wielkie glazy toczyły się po stokach góry. Ludzie uciekali przed nimi. Chaos na zalewanych wodami wybrzeżach. Ziemia trzęsa się pod tymi, którzy uciekali rydwanami.

Petronia wciąż łkała. Inni pracownicy oglądali się oszołomieni. Deszcz popiołu spadał na miasto, w wodę. Wody zatoki były czarne. Łodzie się kołysały. Łodzie wywracały się do góry dnem. Ludzie pracowali szybciej wiosłami. Wypływaliśmy poza strefę zagrożenia. Przecinaliśmy zatokę, bezpieczni. Groza nadal jednak wisiała nad nami. Góra huczała i pluła zabójczą trucizną. Trzymałem drżącą dłoń Petronii. Płakała, płakała z

powodu tych, którzy jej nie wysłuchali, którzy nie uciekli, gdy ich ostrzegła, lkała z powodu kamei, utraconych klejnotów. Łkała z powodu miasta, szybko znikającego w złowieszczej mgle popiołu i dymu.

Nie jestem tam! - powiedziałem sobie w myślach. Usiłowałem poruszyć wargami, przemówić, usiłowałem odepchnąć tę wizję, usiłowałem się otrząsnąć, usiłowałem rozpoznać otoczenie, w którym byłem, niemniej jednak nie chciałem zostawić jej płaczącej w łodzi, a wszędzie wkoło były inne łodzie, pełne rozpaczających, płaczących, krzyczących i wskazujących rękami ludzi. Oczy mnie piekły. Noc zakryła dzień, jakby na wieczność, jakby grzebiąc nadzieję.

Poczułem wstrząs jak kopnięcie prądu. To Goblin wziął mnie za rękę.

Wsunął palce w moją dłoń, jak robił to często, i otworzyłem oczy.

Zobaczyłem ją i usłyszałem jej cichy głos, jak cichą strugę, gdy mówiła do ciotki:

- Te dziwne sny wzbudziły we mnie przekonanie, że kiedyś tam mieszkałam, znałam tych ludzi, cierpiałam, umarłam. Byłam taka jak teraz, po części mężczyzna, po części kobieta. Niczego tak nie uwielbiałam, jak rzeźbić kamee. Poświęcałam się temu bez reszty. Nie wiem, jak mogą żyć ci, którzy nie poświęcają się czemuś bez reszty.

Serce biło mi szaleńczo w piersi i nie potrafiłem opanować zawrotów głowy. Spojrzałem na Nasha. Dojrzałem, że oczy zakrywa mu mgła. Nawet ciotka wydawała się oszołomiona, gdy szeroko otwartymi oczami wpatrywała się w tę istotę, tę wysoką piersiastą kreaturę o długich czarnych włosach.

Zadygotałem. Musiałem się otrząsnąć z tego letargu, tego zauroczenia. Nie dam się uwięzić. Nie. Podałem się impulsowi: nie wypuszczając ręki Goblina, wyciągnąłem dłoń, jakbym chciał uścisnąć Petronię, co widząc, też podała mi rękę, po czym cofnęła ją gwałtownie, jakby ukąsiła ją osa. Poczula Goblina.

Usłyszałem potajemny śmieszek mojego ducha. „Zło, Quinn - powiedział mi. - Zło!”

Petronia szukała go wzrokiem, ale nadaremnie.

Zerknąłem na Goblina i przekonałem się, że Petronia go nie widzi. A potem powiedział mi coś, co tłumaczyło wszystko i nic. „Nieżywa”.

To, co poczułem, dotykając Petronii, było jeszcze bardziej zdumiewające - okazała się duchem jak Goblin, elektryzującym w dotyku, potężnym, gotowym przekazać mi ładunek energii za pośrednictwem mojego ducha. Zasada istnienia tej istoty była dla mnie całkowicie niepojęta. Była pełna niewiarygodnej energii i przerażająca. Poczulem kolejny przyptyw wściekłości. Jak to coś śmiało się mną bawić? Jak śmiało bawić się nami wszystkimi?

Tymczasem jej przyciszony głos wciąż mówił:

- Tak więc dalej zajmowałam się sztuką wytwarzania kamei, bo uwielbiałam je i znając pani uwielbienie, musiałam przynieść tych kilka egzemplarzy, niech dołączą do pani kolekcji. Dawno nie odwiedzałam wyspy i oczywiście znam historię, według której ona chciała być tam pochowana, chociaż nigdy do tego nie doszło.

- Nie doszło, prawda? - wtrąciłem się. - A ostatniej nocy dusiłaś mnie

przed dworem i kazałaś mi przeprowadzić zmiany w Samotni, nie myślę się? A wcześniej włamałaś się do mojego pokoju i wywlokłaś mnie z łóżka!

- Wstałem. Znacznie nad nią górowałem, gdy uśmiechając się, unosiła ku mnie wzrok. - Widziałem, jak pozbywałaś się tych ciał - wygarnąłem jej. -

Wiem, że to byłaś ty. A teraz zjawiasz się tu i narzucasz osobie, która jest mi najdroższa na całym świecie!

- Quinn, kochanie - zawołała ciotka Queen - postradałeś zmysły!

- Ciociu Queen, to jest jedna i ta sama osoba! Mówię ci, to ona jest tajemniczym nieznajomym!

Nash zerwał się na równe nogi, usiłując złapać mnie za ramiona i wyprowadzić, a Petronia bardzo powoli wyprostowała się na całą wysokość, pełne sześć stóp i więcej i z każdym przybywającym całem widać było, jak z kobiety staje się mężczyzną, i patrzyła na mnie z szyderczą satysfakcją, przebijającą przez śliczny uśmiech.

Ciotka ,była oszalała z niepokoju. Nash błagał mnie, aby zamilkł.

- No, dalej, zaprzecz mi - mówiłem. - Powiedz, że nie zjawileś się w moim pokoju, nie wywlokłeś mnie z łóżka.

- Pani McQueen - odpowiedział - nigdy nie zjawilem się w tym domu.

Dopiero dziś wieczór, by wręczyć te dary.

- „Weź je z powrotem, bo najwspanialsze dary tracą wartość, gdy w tym, kto je daje, odmienia się serce” - cisnąłem w niego słowa Ofelii z Hamleta. - Wszedłeś do mojego pokoju. Napastowałeś mnie przed domem. Groziłeś mi, wiesz, że groziłeś. Przychodzisz tu, żeby mnie dręczyć. To jedyny powód. Bawisz się ze mną. To sprawia ci przyjemność. Zaczęło się

od tamtych trupów wrzucanych do wody w świetle księżyca, gdy

dostrzegłeś, że stoję na wyspie i cię widzę.

- Quinn, milcz! - zażądała ciotka. Nigdy nie słyszałem, aby tak

natężyła głos, aby użyła tak rozkazującego tonu. - Nie zniosę tego. -

Trzęsa się.

- Proszę pozwolić mi odejść w spokoju - rzekła Petronia - Ujęła dłoń

ciotki.

- Tak mi przykro - powiedziała ciotka. - Tak straszni potwornie

przykro.

- Okazała mi pani wiele serca - ciągnęła Petronia tym samym,

kobiecym głosem. - Nigdy tego nie zapomnę.

Odwrócił ku mnie twarz i zobaczyłem w nim kobietę, po czym

wyszedł wyprostowany, długim krokiem, powiewając cudownymi długimi

włosami. Poczulem dygot zatrzaskiwanych frontowych drzwi.

Panowała ogólna konsternacja. Cindy była niestłuchanie przejęta.

Nash nie wiedział, co należy zrobić i kim się zająć. A ja usiadłem, czując, że

jestem pijany i że zaraz będę miał mdłości. Ciotka wpatrywała się we

mnie, płonąc gniewem, z wyraźnym zawodem w oczach. Jasmine kręciła

głową.

W końcu opadając na fotel, ciotka spytała:

- Czy naprawdę się spodziewasz, że ktoś uwierzy w to, co mówiłeś?

- To wszystko prawda - upierałem się. - Na Boga, jak mogłaś

uwierzyć jej, a nie mnie? Wierzysz w to, co ci naopowiadała... że była

mężczyzną i kobietą, na tyle jednym i drugim, że ani jednym, ani drugim?

Wierzysz w to, co mówiła o reinkarnacji? Wierzysz, że zrobiła kamee, które ci dała? Wierzysz, że to mauzoleum na wyspie zbudowano dla jej praprababki? Mówię ci, ona przyszła mnie napaść. Lub on przyszedł mnie napaść. I ma siłę mężczyzny, to mogę przysiąc. I czyta w myślach, a to niebezpieczne. I wszystko, co powiedziałem, od a do zet, jest prawdą.

Ciotka nie potrafiła na mnie spojrzeć. Cindy przyniosła jej grogu z whiskey. Ciotka długo nie zamoczyła w nim ust.

- Gdzie byłeś dziś wieczór? - spytała mnie.

- Na kolacji u Mayfairów - wyjaśniłem. - Przyjechałem do nich o drugiej. - Przerwałem. Ale jaki był sens ukrywać coś przed nią? Musiałem opowiedzieć jej wszystko, prawda? Musiała poznać pełną miarę tego, co czułem. Tak więc wybuchłem: - Widziałem zjawę, kiedy tam byłem.

Rozmawiałem z nią. Rozmawiałem z nim dwadzieścia minut albo dłużej, nie wiedząc, że to zjawa. To było widmo Julienu Mayfaira, które powiedziało, że za życia obcowało cielesnie z żoną dziadka Williama i że jestem jego potomkiem.

Ciotka westchnęła.

- Zupełnie ci się w głowie pokręciło.

- Nic mi się nie pokręciło - zaprotestowałem. - Uniosłem się nieco na bezczelność tego stworzenia, ale nic mi się w głowie nie pokręciło, bynajmniej. A szkoda, nie uważasz?

- Co mogę na to poradzić? - spytała.

- Pozwól mi zadzwonić do Olivera Stirlinga. Może on mógłby zaręczyć za moje zdrowie psychiczne. On widzi Goblina. Stirling był na tej

kolacji. Muszę się z nim zobaczyć i porozmawiać. Muszę mu powiedzieć, co czuję względem tego stworzenia. Muszę z nim porozmawiać. Nie czuję się bezpieczny. Nikt nie jest bezpieczny, póki ten stwór krąży wokół nas.

Stirling pomoże ci zrozumieć całą sytuację.

- I myślisz, że to ja powinnam ją zrozumieć? - spytała.

- Nie wiem, ciociu Queen. Chcę zabić tego stwora, tyle tylko mogę powiedzieć. Jest w nim coś plugawego i potwornego. Nie chodzi tylko o to, że to hermafrodyta. To mi nie przeszkadza, nawet jest fascynujące. Chodzi o coś innego. Goblin to czuje. Goblin mówi, że czuje zło. Przysięgam, ten stwór budzi we mnie lęk. Musisz zrozumieć, że przynajmniej ja wierzę w to, co mówię, nawet jeśli ty mi nie wierzysz.

Nie popatrzyła na mnie.

Poszedłem do łazienki. Zwymiotowałem. Po chwili udało mi się wypić kubeczek wody. Wróciłem do pokoju. Nikt nie ruszył się z miejsca, byli w tym samym szoku, w którym ich zostawiłem. Przeprosiłem ich.

- Musicie na to popatrzeć z mojego punktu widzenia - powiedziałem. -

Musicie zrozumieć, co przeżyłem z tym stworem. A potem przyjeżdżam do domu i zastaję go z moją ciocią Queen.

Nash zasugerował uprzejmie, że być może powinienem iść do łóżka, że naprawdę wyglądam na zmęczonego. Natychmiast przyznałem mu rację, ale nie mogłem zostawić sprawy, nie stwierdziwszy wszem i wobec, że dla nieznanego alias Petronii, nie ma żadnego znaczenia, czy jestem w łóżku, czy na nogach.

Gdy się pochylilem, aby pocałować ciotkę, okazała mi serdeczność, a

ja byłem wobec niej czuły jak zawsze i przysięgłem, że mówiłem najprawdziwszą prawdę.

- Zadzwonimy do pana Olivera - obiecała. - Poprosimy go, żeby przyjechał do nas jutro. I porozmawiamy z nim. Co ty na to?

- Bardzo cię kocham - szepnąłem. - I mam ci tyle do opowiedzenia o Monie.

- Jutro, kochanie.

Z trudnością wdrapałem się na górę. Gdy tylko poczułem rozkoszny dotyk flanelowej koszuli, zacząłem śnić o Monie, obejmując Babę Ramonę, a myśli o rozmowie ze Stirlingiem przebiegały mi chaotycznie przez głowę.

Od czasu do czasu budziłem się ze wzdrygnięciem, obawiając się, że Petronia mnie dopadła, dziwna zła Petronia, chętna mnie skrzywdzić, chętna mnie zniszczyć, ale to była tylko moja pijana wyobraźnia i w końcu pogrążyłem się w głębokim, uzdrawiającym śnie.

Była mniej więcej dziewiąta rano, gdy zadzwoniłem do Stirlinga i nie mogąc się powstrzymać, zrelacjonowałem mu ostatnie wydarzenia.

Zaprosiłem go na kolację, aby je z nami szczegółowo przedyskutował.

Zależało mi na tym, aby wiedział, że czeka go niemały wysiłek. Uczciwość kazała mi go ostrzec.

Zaskoczył mnie. Zasugerował stanowczo, abyśmy spotkali się wcześniej, w porze lunchu. Zapytał, czy nie przeszkodziłoby nam, gdybyśmy zobaczyli się w południe. Natychmiast zszedłem porozumieć się z ciotką. Już się obudziła; siedziała na szeszlunku, oglądała film, odmawiała różaniec i jadła lody truskawkowe. Byłem szczęśliwy, gdy od razu zgodziła się na spotkanie ze Stirlingiem.

Jako że mieliśmy już komplet gości, przygotowaliśmy stół w pokoju ciotki, a jej łóżko zostało nakryte najwykwintniejszą satyną oraz całą kolekcją czerwonych buduarowych lalek, przyodzianych od stóp do główek w stylu lat dwudziestych poprzedniego wieku, tak uwielbianym przez ciotkę.

Stirling przybył dokładnie za pięć minut dwunasta, wcześniej przysławszy kwiaty, wielki wazon różowych róż, i zebraliśmy się w pokoju ciotki Queen. Na lunch podano najlepsze cielęce eskalopki, makaron i białe wino. Nash, który kilkakrotnie proponował, że nie będzie się nam narzucał, przyłączył się do nas, a ciotka ku mojemu zdumieniu zaczęła bez żadnych wstępów od „dziwnej opowieści” Petronii i tego, jak ona lub on -

to zmieniało się w trakcie relacji, gdyż ciotka Queen różnie odbierała Petronię - przybyć czy przybył do Blackwood, przynosząc w darze kamee, które zaraz pokazała Stirlingowi.

Tak się składa, że wtedy po raz pierwszy oglądałem te bezcenne okazy. Faktycznie okazały się bezcenne. Zobaczyłem inne kamee niż te, z jakimi dotychczas miałem do czynienia, miniaturowe płaskorzeźby w muszlach lub kamieniach zbudowane z kontrastujących kolorystycznie warstw. To były portrety wyrzeźbione w kamieniach szlachetnych, dużych ametystach i brazylijskich szmaragdach i chociaż ametysty już nie są bardzo kosztowne, gdyż odkryto duże złoża w Nowym Świecie, szmaragdy nie należą do tanich jubilerskich surowców. Sama robota była znakomita, jeśli nie wręcz absolutnie wspaniała. Płaskorzeźby niewątpliwie przedstawiały główki rzymskich bogów.

Było ich cztery i ciotka Queen naturalnie poczuwała się do ogromnej wdzięczności za ten dar. A ponieważ wróciwszy do domu, wprowadziłem ogromne zamieszanie, więc teraz była przekonana, że zechcę wytłumaczyć swoje zachowanie.

I wytłumaczyłem. Zacząłem od początku. Wytłumaczyłem wszystko.

Jadłem cielecinę, makaron i piłem wino, zapominając o wytarciu ust przed zamoczeniem ich w kieliszku, tak że usmarowałem go potężnie, zanim się opamiętałem, ale z ogniem przedstawiałem moją opowieść, zaczynając od Rebeki i wizji z nią związanych, po czym przeszedłem do tego, jak zaprowadziły mnie na wyspę i jak w świetle księżyca zobaczyłem porzucane trupy. Opowiedziałem, co z tego wynikło, jak w gniewie

spaliłem książki intruza i jak mnie napastował. I tak dalej, i tak dalej. Nie pominąłem niczego.

Jasmine tylko wymieniała talerze, podając nowe porcje eskalopek i makaronu. Wcinałem wszystko z przyjemnością.

- Tak więc to wygląda - powiedziałem. - A do tego dochodzi Goblin mówiący mi do ucha: „Zło, Quinn” i tamten wstrząs, kiedy dotknąłem dłoni Petronii, coś jakby kopnięcie prądem elektrycznym, który przebiegł przez Goblina i dotarł do mnie! A to stworzenie, ta istota, ta kreatura, ten intruz, który wygłasza groźby pod moim adresem, nie widzi Goblina, ale wie, że on jest przy mnie. Wie, że Goblin może go zaatakować odłamkami szkła, i chociaż jest niewiarygodnie silny i szybki, boi się, że zostanie pokiereszowany.

W końcu przerwałem. Czuję, że ciotka i Nash mnie obserwują.

Czuję, że obserwują również Stirlinga.

- Nie - powiedział ze spokojem Stirling. Skończył już jeść, mimo że wielokrotnie przerywał, patrząc na mnie z wielką uwagą. - Ono się boi, że zostanie pokiereszowane.

- Czy mówi pan „ono” ze względu na jej nieokreśloną płć? - spytał uprzejmie Nash. Między nim a Stirlingiem było jakieś nieuchwytnie napięcie. Nie wiedziałem, co jest jego przyczyną.

- Nie, nie wydaje mi się - odparł Stirling. - Nie sądzę. Ale kto wie?

Niech będzie, że ona nie chce zostać pokiereszowana.

- Czy wierzy pan mojemu bratankowi? - spytała ciotka Queen. - Czy według pana to wszystko ma sens? - Przemawiała bardzo uprzejmym

tonem. Siedziała po mojej prawej ręce i mówiąc, lekko przytuliła się do mnie ramieniem. - Mój bratanek uszanuje każdą pana opinię.

- Tak, uszanuję - potwierdzałem jej słowa. - Wiem, że jest pan szczerą i prawdomówną osobą. Michael i Rowan darzą pana szacunkiem. Mona również. Jest pan taki, na jakiego pan wygląda. Proszę powiedzieć, co pan uważa.

- Znakomicie - rzekł Stirling. Pociągnął kolejny łyk wina i odstawił kieliszek. - Pozwól, że najpierw udzielę ci rady, jakbyś był moim synem. Wyjedź stąd natychmiast. Jedź w podróż z twoją ciotką, zgodnie z jej życzeniem. Nie, nie denerwuj się na mnie. Pozwól, że ci wytłumaczę. Mona jest chora. Jej choroba może się pogłębić. Teraz powinieneś ją zostawić. Oczywiście, będziesz do niej pisał, dzwonił, utrzymywał z nią kontakt. A gdyby jej stan się pogorszył, to możesz wrócić do kraju, być może uprzednio poprosiwszy twoją ciotkę o pozwolenie.

- Och, jak najbardziej - obiecała. - Myślę, że to bardzo rozsądne podejście. Możemy się upewnić, czy doktor Winn Mayfair nie ma nic przeciwko temu. Możemy porozmawiać z doktor Rowan Mayfair. I oczywiście, Quinn, porozmawiasz z samą Moną.

- Teraz pozwól, że dokładniej opiszę, o co mi chodzi - powiedział Stirling. - Uważam, że powinieneś bezzwłocznie wyjechać - Uważam, że powinieneś oderwać się od Petronii. Uważam, że powinieneś wyjechać dziś wieczór, jeśli możesz, a jeśli nie dzisiaj to jutro, a jeśli nie jutro, to pojutrze. Ale wyjedź, jak najszybciej. A podczas swojej nieobecności każ przeprowadzić wszystkie renowacje na wyspie, dokładnie takie, przy

jakich upierała się tamta kreatura, ale żaden robotnik nigdy, ale to nigdy nie powinien zostawać po zmierzchu na Wyspie Słodkiego Czarta.

- No, to żaden problem - stwierdziłem pośpiesznie. - Ci faceci zaczynają pracę o szóstej, bo lubią być w domu o czwartej po południu z puszką zimnego piwa przed ciepłym telewizorem.

Moja szybka uwaga nie stąpiła ostrej reakcji ciotki na ostatnią wypowiedź Stirlinga, chociaż miałem nadzieję, że uda mi się trochę rozładować sytuację.

- Twierdzi pan, że to wszystko, co Quinn nam opisał, wydarzyło się naprawdę? - spytała.

- Tak, tak twierdzą - rzekł Stirling. - Jest zdrow psychicznie i gdyby składał zeznanie w sądzie, uwierzyłbym mu. Wierzę mu tu i teraz.

- Panie Stirling - zapytała ciotka - chce mi pan powiedzieć, że tamte mokrada są nawiedzane przez wampiry?

- Nie, nie to było moim zamiarem, pani McQueen, gdyż gdyby tak było, uznałaby mnie pani za szaleńca i nie przyjęła do wiadomości reszty moich słów. Powiedzmy tylko, że Petronia jest stworzeniem prowadzącym nocny tryb życia i przywykłym do tego, że Wyspa Słodkiego Czarta jest jej własnością. Tak się składa, że pewnej nocy, gdy wydawało się jej, że jest tam sama, została przyłapana na gorącym uczynku przez faktycznego właściciela tego terenu i od tej pory bawi się z nim w kotka i myszkę, i uznała go za wroga.

- Pan w to wszystko wierzy - powiedziała ciotka.

- Och, od początku do końca. Oto jednak, co jest naprawdę ważne.

Proszę zrobić to, czego ta kreatura teraz żąda. Odnowić Samotnię.

Wywieźć stąd Quinna. Im dalej, tym lepiej. Wyprawić się w podróż do Europy. Być gotową na płacenie słonych rachunków za rozmowy międzynarodowe w każdym hotelu. Ten młody człowiek jest bardzo zakochany w Monie Mayfair, wiem to dobrze, gdyż mogłem to stwierdzić na własne oczy.

- Nie wiem, co powiedzieć, panie Stirling - rzekła ciotka. Była zbita z tropu.

Ja zaś nie posiadałem się ze szczęścia, bo oto ktoś mi uwierzył, chociaż myśl, że mam teraz opuścić Monę, wprowadziła mnie w krańcowo odmienny nastrój.

- Pani McQueen - powiedział Stirling. - Sama pani wie, że najlepiej będzie, jeśli Quinn teraz wyjedzie stąd z panią. Renowacja wyspy może się toczyć pod jego nieobecność, a jeśli nigdy więcej nie zobaczy Petronii, to tym lepiej, na pewno się pani z tym zgodzi.

- Tak, jak najbardziej.

- Więc proszę mi wybaczyć to, co teraz powiem, ale muszę zrobić coś, co ułatwi Quinnowi decyzję. Proszę mi wierzyć, że użyłem tej zdolności z całym szacunkiem wobec pani.

- Jaką to zdolność ma pan na myśli?

- Tę samą, którą zdaje się posiadać Petronia - wyjaśnił - a gdy wszedłem do tego pokoju, użyłem jej jak zawsze bezwolnie, jak zawsze niecelowo. Nie mogłem się jednak nie zorientować, że pani lekarz był tu wcześniej i według niego ta pani podróż do Europy będzie jej ostatnią.

- Och, mój Boże - westchnęła. - Nie chciałam, żeby Quinn o tym wiedział.

- Ale powinienem wiedzieć! - natychmiast zaprotestowałam. Byłem poruszony do żywego. - Ciociu Queen, jedziemy! Nie miałem pojęcia, że był tu lekarz. Muszę omówić to z Moną; ona wszystko zrozumie. - Serce pękało mi z bólu.

Jasmine wyłoniła się we właściwym momencie jak diabełek z pudełka i oświadczyła z pełnym autorytetem:

- Ten lekarz powiedział, że nie ma mowy o żadnej podróży do Europy, tak powiedział! A na to ciocia Queen, że jedzie, a lekarz, że to będzie jej ostatnia podróż. Tak właśnie było. Wiem, bo słyszałam!

- Jedziemy - oświadczyłem. - Jedziemy wszyscy razem i zostajemy tak długo, jak się da. - Och, moja cudowna Mono, co innego mogłem zrobić?

- To najlepsze rozwiązanie - potwierdził Stirling. - Prosi pani, żebym przyjechał, wysłuchał tych opowieści i oświadczam, opierając się na wszystkim, co usłyszałem, w tym niewybaczalnym, drobnym i nadzmysłowym akcie podsłuchiwania, że powinna pani zabrać stąd Quinna, daleko od humorów i kapryśków Petronii, i ruszyć w podróż. To wielki pani dar dla jej bratanka. Niech pani mu go da, póki jeszcze jest do tego zdolna. I niech pani go da samej sobie. Zasluguje pani na to, aby otrzymać go od niego.

- Tak, to święta prawda, ciociu Queen - poparłem go. - Stirling, jest pan czarodziejem słów. Wyluskał pan z nich prawdę. Jedziemy, muszę

tylko porozmawiać z Moną.

*- No cóż, to rozwiązanie wydaje się cudowne - powiedziała ciotka -
ale nadal jest kilka niewyjaśnionych spraw. Stirling, mówi pan tak, jakby
znał pan Petronię...*

- Nie, zupełnie jej nie znam. Nigdy nie słyszałem jej imienia.

*Wydałem sąd, opierając się na waszej opowieści. Mając te wiadomości,
doszedłem do wniosku, że prowadzi nocny tryb życia. Czy udostępniłaby
Quinnowi Samotnię za dnia, a sama była gotowa korzystać z niej nocą,
gdyby nie lubiła przebywać na mokradłach po zmroku? Przecież o tej
porze zapuszcza się tam niewielu ludzi poza łowcami aligatorów. Co do
reszty jej zwyczajów, to wydaje się skłonna do zła i przemocy, i Quinn
wykazał się ogromną odwagą, stawiając jej czoło. Wyobrażam sobie, że
rozstając się z nią zeszłej nocy, bardzo ją zaskoczył swoimi decyzjami.*

*- Sprawiała wrażenie niezwykle zadowolonej z siebie - odezwałem
się. - Udało się jej zrobić ze mnie wariata.*

- Ale nie jesteś wariatem - zauważył Stirling.

*- Nie, nie jesteś - powtórzyła za nim ciotka. - To ogromna ulga. Nie
jesteś. Stirling, mówi pan o niej tak, jakby była przedstawicielem jakiegoś
zupełnie nowego gatunku.*

*- Nie to było moim zamiarem - powiedział. - Zachowałem się
niemądrze. Zapewne chodziło mi tylko o zachowanie bezstronności. Jak
powiedziałem, starałem się wydać sąd, korzystając tylko z państwa
informacji. Uważam, że ona zagraża Quinnowi I nadal będzie z nim igrać,
jeśli państwo tu zostaną. Koniecznie musicie stąd wyjechać.*

- Nashu, a co ty sądzisz? - spytała ciotka.

Oczywiście, Nash wzbraniał się zabrać głos. Uważał, że nie ma prawa niczego komentować, ale ciotka Queen naciskała go, jako że poznał Petronię i był świadkiem części wydarzeń.

- Quinn jest absolutnie zdrowy psychicznie - stwierdził swoim głębokim, rozkazującym głosem. - Muszę się zgodzić z tą opinią. Co się tyczy podróży do Europy, to pomysł wydaje mi się cudowny. Natomiast co do Petronii, to muszę powiedzieć, że jej teorie o reinkarnacji bardzo mnie zastanowiły. Podczas naszej rozmowy stwierdziła, że żyła w starożytnych Pompejach i że była świadkiem wybuchu Wezuwiusza. Muszę wyznać, że przy tych słowach doznałem, jak się to mówi...

- Oszołomienia - podpowiedziałem mu natychmiast.

- Tak, właśnie, miałem wrażenie oszołomienia, gdyż mówiła, jakby była hipnotyzerem. To nie było miłe wrażenie. Został mi po nim zamęt w głowie, który bardzo mi się nie podobał. Nie wspomniałbym o tym, gdybyście państwo nie zmusili mnie do mówienia. W sumie mogę powiedzieć, że Petronia robi wrażenie osoby czarującej i mającej skłonność do... do manipulacji.

- Czemu do manipulacji? - spytała ciotka.

- Kiedy ktoś hipnotyzuje cały pokój ludzi, nie zdradzając tego, co robi, to chyba manipuluje słuchaczami - rzekł Nash. - Nie sądzi pani?

Byłem pod wrażeniem jego słów. Spodziewałem się, że zachowa neutralne stanowisko, ale tym, co powiedział, wzbudził we mnie jeszcze większe uwielbienie.

Lancz dobiegł końca, ale nie wcześniej, niż zmiotłem cały talerz

Goblina, po tym, jak szanując jego prawa, spytałem, czy mogę to zrobić, a on udzielił mi pozwolenia. Jasmine i Baba Ramona sprzątnęły stół, tak żeby widok resztek nie przeszkadzał nam w rozmowie.

Ciotka Queen zadzwoniła wszędzie gdzie trzeba, aby wprowadzić w życie nasz plan. Nash wyznał, że nie rozpakował wcale walizek. A ja, chociaż lekko podchmielony, spytałem, czy mógłbym obwieść Stirlinga wokół posiadłości, by pokazać mu stare pastwiska i ten kawałek moczarów, który widać z drogi. Przed jazdą zamierzałem zabrać go na cmentarz, pokazać groby i stary kościółek.

Zauważyłem, że ani ciotce, ani Nashowi nie spodobało się, iż mam z nim być sam na sam, ale trudno im było powiedzieć „nie”, i gdy niebawem ruszyliśmy na cmentarz, zrozumiałem w pełni, dlaczego mieli takie opory.

- Posłuchaj mnie - rzekł Stirling - nie chcę straszyć twojej ciotki ani mówić niczego, co postawiłoby pod znakiem zapytania moją trzeźwość umysłu, co do której ona żywi obecnie pewnie obawy. Wierzę bez zastrzeżeń, że widziałeś, jak to stworzenie wrzuca trupy do bagna, i jak najbardziej serio proszę cię, abyś mi obiecał, że nigdy, przenigdy nie wrócisz na Wyspę Słodkiego Czarta nocą.

- Obiecuję - powiedziałem. - Zresztą gdyby nie sen o Rebecce, nigdy bym tam nie popłynął.

- To osobna historia i na razie nie będę jej komentował, ale obiecaj mi jeszcze raz, że dotrzymasz słowa i od tej pory będziesz ze mną w kontakcie.

Pamiętaj, że jestem twoim dobrym przyjacielem.

Doszedliśmy na cmentarz i wskazałem mu nagrobek Rebeki.

Oczywiście, znał całą jej historię. Weszliśmy do kościółka. Z przykrością ujrzałem, że jest pełen liści. Postanowiłem polecić Allenowi, aby je sprzątnął.

- Teraz jestem panem tego domu - powiedziałem. Mój głos odbijał się od murów. - Będę musiał zarządzać nim z Europy. To nie będzie łatwe zadanie.

- Chcę, żebyś obiecał mi jeszcze jedno - rzekł, spoglądając w kierunku drzwi, jakby chciał się upewnić, że nikt się nie zjawi - Jeśli faktycznie znowu spotkasz tę kreaturę, staraj się nie myśleć o niczym, bo ona jest zdolna wyczytać wszystko z twojej głowy. Wiem, że to, co powiem, jest oczywiste, ale postaraj się wyciszyć wszystkie istotne myśli. Na przykład nie chciałbyś, że - ty się dowiedziała, jak ja się dowiedziałem tego popołudnia, że masz krewnego o imieniu i nazwisku Tommy Harrison, którego polubiłeś, jeśli nie pokochałeś, zamieniwszy z nim zaledwie kilka słów wczorajszego przedpołudnia.

Byłem zszokowany. Nie miałem pojęcia, że myślałem o Tommym.

- Daj tę pożyczkę Petronii - rzekł Stirling - a wykorzystają przeciwko tobie, tak jak mogłaby wykorzystać Monę. I uwierz mi, kiedy mówię, że wyjazd ciotki to dla niej zbawienie, gdyż inaczej Petronia nie da jej spokoju.

Przeszedł mnie dreszcz. „Ciocia Queen”, szepnąłem. Potem przypomniałem sobie zachowanie Petronii, gdy wychodziła od ciotki, i słowa: „Okazała mi pani wiele serca. Nigdy tego nie zapomnę”.

- Chciałbym mieć ten dar czytania w myślach - powiedziałem. -

Wiedziałbym wtedy, co pan ukrywa.

- To żaden wielki dar - rzekł, gdy szliśmy w kierunku dworu. - Nie

możesz zabrać Tommy'ego do Europy?

- Och, to byłoby wspaniale. Nie widzę żadnych przeszkód. Założę się,

że Terry Sue mu na to pozwoli. Oczywiście, nie z Brittany. To mała

dziewczynka. Wół roboczy w tej rodzinie. Ale czy wypuści Tommy'ego? Bez

problemu. Tommy to marzyciel, który czyta książki w lesie. Porozmawiam

o nim z ciotką.

- Cokolwiek zrobisz, staraj się to zakończyć przed nadejściem nocy.

Jeśli musisz ułożyć plany, a z pewnością musisz, zrób to w Nowym

Orleanie. Może w Grand Luminière Café w Mayfair Medical. Dzięki temu

będziesz miał czas spotkać się z Moną. Będzie dziś w centrum przez cały

dzień, aż do wieczora. Sam umówiłem się tam z nią, z Michaeliem i Rowan

na kolację.

- Wie pan, podoba mi się pana otwartość, ale zdumiewa mnie, że

sugeruje pan innym, co mają zrobić, jakby chciał pan za nich decydować.

Wiem, że znów coś pan ukrywa.

- To, że to wiesz, nie sprawia mi najmniejszej przykrości. I ukrywam

to, co moim zdaniem powinno być ukryte, i nic więcej - Zabierz dziś

wieczór swoją ciotkę na kolację do Grand Luminière Café. Posłuchaj mojej

rady.

- Dlaczego to takie ważne?

- Bo takie stworzenia jak Petronia nie lubią czarownic. I nigdy nie

zjawiają się tam, gdzie mogą je spotkać.

Zgłupiałem. Nie rozumiałem, o co mu chodzi.

- Ona potrafi czytać w myślach, prawda? I na dodatek to oszustka?

- Zgadza się - odpowiedziałem.

- Możesz mi uwierzyć. Nie podejdzie na sto jardów do Mayfair

Medical. Rowan Mayfair natychmiast by się zorientowała, że jest w pobliżu. Mona też.

- Ale co pan ma na myśli, mówiąc „czarownice”, Stirling?

Podeszliśmy do mercedesa, który stał w baraku. Otworzyłem

Stirlingowi drzwi i podszedłem do drzwi kierowcy. Oczekał, aż

wyprowadzę samochód i skierujemy się na drogę. Minęliśmy dom,

skręciliśmy w prawo i wjechaliśmy w długą hikorową aleję.

- Dla nas, członków Talamaski, „czarownica” lub „czarownik” to

śmiertelny osobnik, który widzi duchy, manipuluje nimi, wynajduje je i

egzorcyzmuje, potrafi się z nimi porozumieć i narzucić im swoją władzę,

słyszy je i jest przez nie słyszany.

- W takim razie jestem czarownikiem - powiedziałem - z powodu

Goblina.

- To bardziej niż prawdopodobne. Chociaż nie wydaje mi się, żebyś

poznał wszystkie aspekty życia czarownika, które właśnie opisałem.

- Nie, nie poznałem. Myślę jednak, że mógłbym je poznać. A jeśli

Rebeka znów się pojawi, będzie można ocenić, czy jestem też egzorzystą.

- Jeśli będziesz mnie potrzebował, nie krępuj się. Nie wydaje mi się,

żeby Rebeka napastowała cię właśnie w Mayfair Medical.

- Czy tak zachowują się zjawy?

- Niekiedy - powiedział. - To zależy od rodzaju nawiedzenia. Czasem widmo nawiedza jakąś osobę, czasem miejsce. Czy według ciebie Goblin jest duchem czy zjawą?

- Och, z pewnością duchem - wyjaśniłem. - Nie ma pojęcia, skąd się zjawił ani dokąd się udaje, kiedy mnie opuszcza. Żyje tylko w mojej świadomości. Teraz jest pewnie z nami.

Starłem się go wyczuć i w odpowiedzi zacisnął dłoń na moim ramieniu, a gdy spojrzałem we wsteczne lustro, ujrzałem jego twarz.

Oczywiście, był bardzo blisko mnie.

- Kocham cię, stary - powiedziałem.

Jego twarz pokerzysty rozjaśniła się dziecięcym uśmiechem.

- Nie masz pojęcia, jak cię potrzebowałem, stary - wyznałem. - Ta ostatnia doba to było szaleństwo. - Poczulem się cudownie, znów widząc, jak szczyrzy zęby.

Stirling się uśmiechnął.

Przez resztę naszego wspólnego czasu opowiedział mi o Talamasce, uzupełniając w dużej mierze obraz stworzony przez Monę - dowiedziałem się, że istnieją od stuleci, że mają ogromne biblioteki, w których gromadzą dzieła dotyczące zjawisk nadprzyrodzonych i ogromne akta rodziny Mony - oczywiście tajne.

- Ach, ale widzi pan, ja też jestem członkiem jej rodziny, czy nie tak? - przypomniałem mu. - Wuj Julien powiedział mi o tym, pamięta pan?

- To słuszna uwaga. W tej chwili nie mamy jednak czasu na historię

Mayfairów. Czekają cię własne przygody. Rozpoczynasz własną odyseję.

Czy podjąłeś decyzję co do Tommy'ego?

- Jestem całkowicie przekonany, że powinien z nami jechać. Nie mogę się doczekać, kiedy zapytam o to ciotkę Queen. Chcę zadać pytanie także panu. Co pan sądzi o Nashu? Tak szczerze.

- Wspaniały człowiek, błyskotliwy, bardzo odczytany, bardzo wyrafinowany. Będzie znakomitym nauczycielem i przewodnikiem po Europie. Nie myślisz podobnie?

- Tak, ale wyczułem coś między wami, jakiś brak sympatii - Myliłem się?

- Miałeś rację, jest między nami niechęć - powiedział. - Nie lubi mnie.

Podejrzewa, że kierują mną nie najczystsze motywy - Nie rozumie natury Talamaski, a nie rozumiejąc naszych zasad i naszej roli, uważa, że mam egoistyczne cele. Kiedy wrócisz do ojczyzny i jeśli staniemy się przyjaciółmi, na co liczę, może zmieni zdanie - Na razie, proszę, nie przejmuj się tym, to niezwykle miły człowiek.

- Wiem, o czym pan mówi - rzekłem. - Czuje się bardzo niepewnie, bo ma pociąg do mężczyzn. Mnie tak naprawdę to nie dotyczy.

- Nie? - spytał.

- Sądziłem, że umie pan czytać w myślach. Mam nadzieję, że odebrał pan to jako żart. To miał być żart. Powinienem raczej powiedzieć, że miałem niezwykle życie. Straciłem dziewictwo z Rebeką, potem zabawiałem się pod prysznicem z Goblinem, zakochałem się w Monie i nie jestem pewien, co dalej mi się zdarzy. Jeśli Mona wyjdzie za mnie, będę

szczęśliwy do dnia śmierci.

Nie zareagował na to wyznanie.

- Coś nie tak? - spytałem. - Czy wyrażam się zbyt niefrasobliwie jak na pański gust?

- Nie, wcale - odpowiedział. - Myślałem tylko o Monie i o tym, czy powiedzieć coś, co przyszło mi do głowy.

- Och, proszę. Żałuję, ale nie potrafię czytać w myślach.

- Jeśli się z nią ożenisz, to prawdopodobnie dzień jej śmierci przyjdzie wcześniej niż twój.

- Nie. To nieprawda. To nieprawda. Doktor Rowan wie, że to nieprawda. Pracują nad tym dzień i noc. Wyciągną ją z tego. To znaczy, zatrzymają chorobę. Wyleczą. Nie będzie tak źle. Ona pewnie... - Głos mi się załamał. - Przepraszam.

- Nie musisz mnie przeproszać. To ja powinienem przeprosić ciebie.

Nie powinienem był tego mówić. Zeszłej nocy wydawało mi się, że rozumiesz, co oni mówią.

- Nie chciałem rozumieć. Ale wiem.

Porozmawialiśmy jeszcze trochę o Talamasce. Dostałem otwarte zaproszenie do Oak Haven.

Przyszędł czas rozstania i podwiozłem Stirlinga do jego samochodu.

Był to piękny brązowy rolls - royce z kremową tapicerką. Powiedział, że Talamaska psuje wszystkich swoich członków świetnymi samochodami i meblami.

- I czego oczekuje się od nas w zamian? - spytał retorycznie. -

Żebyśmy żyli jak mnisi i pracowali jak woły.

- Bardzo pana lubię - powiedziałem. - Dziękuję za to, że Przyjechał pan na lancz, i dziękuję za to, że mnie pan poparł.

- Nie miałem wyboru. Proszę, dzwoń, kiedy będziesz mógł. Daj mi znać, co się dzieje. Tu masz jedną wizytówkę, włóż ją do kieszeni koszuli, tu drugą, do zewnętrznej kieszeni marynarki, tę do wewnętrznej, i tu jeszcze jedną.

- Niech się pan mną nie przejmuję, Stirling. Pańskie rady na pewno bardzo mi pomogą. Nigdy nie popłynę tam nocą i zrobię wszystko, co mogę, żeby wszyscy odpływali stamtąd przed zmrokiem.

- Tak i jeszcze coś, Quinn. Walka z takim bytem jak Petronia to nie byle przedsięwzięcie, ale coś mi mówi, że postąpiłeś mądrze, podejmując wyzwanie, wykorzystując po swojemu Goblina, i że nie zawahasz się tego zrobić w przyszłości. Mam nadzieję, że wyprawa do Europy sprawi ci przyjemność. Ogromną przyjemność.

Rozstałem się z nim bardzo niechętnie, odprowadzając wzrokiem jego samochód, który majestatycznie przesunął się wzdłuż szpaleru drzew i zniknął, kierując ku szosie. Wydał mi się mądrym człowiekiem. I zastanawiam się teraz, czy wszystko nie ułożyłoby się inaczej, gdybym więcej mu opowiedział, bardziej mu zaufał, a nie postąpił wbrew jego radom i radom wszystkich innych, pchany dumą i niecierpliwością.

Szybko wróciłem do domu. Było wiele do zrobienia i nie zamierzałem zasypiać gruszek w popiele. Przekonałem się z wielką radością, że ciotka i Nash już omawiają plany naszej europejskiej wyprawy.

- Tommy może też jechać? - spytałem. - Ściągnę go tu w godzinę ze świadectwem urodzenia i walizką.

Ciotka zastanawiała się głęboko i długo, a potem, zanim zdążyłem poprzeć ten pomysł długim przemówieniem, zapytała:

- Czy on jest wart takiej podróży, Tarquin?

- Oto właściwe słowo - oświadczyłem. - Idealnie pasujące. Jest wart, więc jak najbardziej na to zasłużył. Przekonasz się, że to cudowny chłopiec, przysięgam ci. A jeśli nie, znajdziemy mu opiekunkę, tak że będzie miał własny rozkład dnia, ale nie wierzę, żeby musiało do tego dojść.

- No cóż, w takim razie jestem całym sercem za tym, żeby go zabrać.

- Potrzebuję trochę drobnych - powiedziałem. - W razie gdyby Terry Sue stawiała opór.

- Chcesz powiedzieć, że sprzeda tego chłopca?!

- Ciociu Queen, to dla osłodzenia transakcji. Ten chłopiec jest wart okupu. Terry Sue to tylko praktyczna matka z szóstką głodnych dzieci.

Niebawem zaopatrzone mnie w gotówkę i wybiegłem za drzwi.

Goblin pojawił się u mego boku.

- Musimy wygrać tę sprawę, stary - powiedziałem mu. - Zgadzasz się

ze mną? Ten chłopiec to brylant. Nie mogę go zostawić.

- Ty zawsze wiesz, co powiedzieć, Tarquin - rzekł. - Ale jak mogę lecieć z tobą do Europy? Tarquin, ja się boję.

Poczułem nagły przyływ zrozumienia i współczucia.

- Ty jesteś bardzo szczęśliwy, Tarquin - dodał Goblin. - Nie zapominaj o mnie. Nie zapominaj, że cię kocham. Nie zapominaj, że tu jestem.

- Nie, nie zapomnę - obiecałem. - Będę trzymał cię za rękę; pamiętasz, powiedziałem ci. Przez całą podróż do Europy będę trzymał cię za rękę.

Tak to zrobimy. Będziesz siedział tuż obok mnie w samolocie.

Wróciłem do domu, by się upewnić, że ciotka zarezerwowała dodatkowy bilet w pierwszej klasie dla Goblina, na co odparła, że nawet przez głowę jej nie przeszło, aby umieścić tak ważnego członka naszej grupy w klasie turystycznej i w ogóle, co ja sobie o niej myślę?

Kolejny raz wyprawilem się do przyczepy, ale Goblin, siedzący obok mnie, wciąż nie był pewny, czy jego wyjazd to taki dobry pomysł.

- Europa jest daleko, Tarquin.

- To nie ma znaczenie, stary - uspokajałam go.

- Stirling powiedział, że są dwa rodzaje nawiedzenia. Osoby i miejsca.

- Boże, ty słyszysz wszystko, prawda? - spytałem.

- Nie wszystko, Tarquin. Nie mogę być w dwóch miejscach, a czasem bym chciał. Pojechałbym do Ustronia Talamaski i nauczył się o duchach, i byłbym najwspanialszym duchem ze wszystkich. Wiem, że bez ciebie się rozplynę, Tarquin. Wiem, że cię kocham. Wiem, że to prawda, nawet

wtedy, kiedy cię nienawidzę.

- Wcale mnie nie nienawidzisz, Goblin - osadziłem go ostro. - Masz swoje humory, to wszystko. Na razie siedź cicho. Muszę wykonać strasznie ważną robotę.

Dojechałem do przyczepy i zastałem jeden rozgardiasz, gdyż „panie”

Grady’ego Breena przewoziły „wszystko” do nowego domu na osiedlu

Autumn Leaves. Jak cudownie, że sprawy toczyły się tak błyskawicznie!

Wydałem polecenie, ale nie uwierzyć, że jest realizowane. I kto to biegi do

mnie, jeśli nie mój dziewięcioletni sobowtór o czarnych kręconych

włosach, ubrany w granatowy mundurek, katolickiej szkoły?

- Chcesz dziś wieczór lecieć do Europy? - spytałem. - Nie żartuję!

Głos uwiązał mu w gardle. Zbielał na twarzy i kręcąc głową,

wykrztusił:

- Nie mogę zostawić Brittaney samej.

- Wynagrodzę jej to, przysięgam. I sam jej to powiem. Okej? Na razie

nie mogę jej odebrać Terry Sue. Sam wiesz.

Złapałem Brittaney za ramię, gdy podeszła bliżej. Słyszała, co

mówiliśmy.

- Obiecuję, że ci to wynagrodzę, kruszynko - powiedziałem. - Pozwól

mi zabrać twojego brata na tę wyprawę, a przysięgam na Boga, postaram

się, żebyś wkrótce też gdzieś pojechała. Mówię z ręką na sercu. Postaram

się, żeby los się do ciebie uśmiechnął.

- Och, w porządku - odrzekła. - Tommy, jedź, przecież zawsze mówisz

o książkach i takich różnych rzeczach.

- Brittany, będzie ci dobrze w nowym domu - mówiłem dalej. -

Będziesz miała nowe koleżanki i nową szkołę, a w domu będzie gosposia i niania do pomocy przy dzieciach.

Wyraźnie nie potrafiła zrozumieć, o czym mówię, była jednak zafascynowana.

Terry Sue szła w naszym kierunku, niosąc dziecko na biodrze. Miała na sobie różową sukienkę ze sztucznego materiału i czólenka na obcasach.

Włosy umyła i uczesała, i pyszniła się nowiuteńkimi tipsami z drugstore'u.

- Czemu robisz dla nas to wszystko? - spytała. - Dziadek nigdy się tak nie starał.

- Mniejsza o to. Tylko pozwól mi zabrać Tommy'ego do Europy.

Teraz. Potrzebuję tylko jego metryki i ubrań. Muszę zdążyć do wydziału paszportowego w Nowym Orleanie przed zamknięciem.

- Nie mam jego metryki. Tommy, idź po swoje rzeczy. Z tą Europą to na poważnie?

- Pośpiesz się, Tommy - poleciłem mu. Pobiegł do przyczepy. -

Świadcstwo urodzenia mogę załatwić w sądzie. Dziękuję ci, Terry Sue. Tu masz pięć tysięcy dolarów.

Gapła się na kopertę.

- To za co? - spytała.

- Miałem zamiar ci je dać, gdybyś zaczęła się kłócić. Chyba ci się należą za to, że się zgodziłaś.

- Jesteś wariat, Tarquinie Blackwood, dziadek zawsze to powtarzał.

Powiedział, że nigdy do niczego nie dojdiesz, ale ja ci mówię, masz u mnie

wielki plus!

- No cóż, serdeczne dzięki, Terry Sue. Przyjemnie to słyszeć. Kiedyś będziesz musiała opowiedzieć mi wszystko, co dziadek mówił. Przy okazji, to nie jego dziecko, prawda?

- Czyja ci się skarżę? Nie wiem, po kim to dziecko, ale siedź cicho.

Tommy wpadł na mnie rozpedzony. Pod jedną pachą trzymał wszystkie swoje książki, na ramieniu dźwigał tobołek, ubrania wrzucone do poszewki od poduszki. Cofnąłem się roześmiany i objąłem go ramieniem.

- Teraz masz słuchać Tarquina, Tommy Harrison, słyszysz, co mówię? - powiedziała Terry Sue. - I lekcje odrabiaj.

Ją też uściskałem i ucałowałem w czoło.

- Będzie miał dobrą opiekę - obiecałem. - Napiszę do dyrekcji szkoły.

Grady Breen zajmie się wszystkim, tak jak powiedział.

Oczywiście, było późno i nie mieliśmy szans zdążyć do biura paszportowego w Nowym Orleanie, ale otrzymałem metrykę chłopca w sądzie Ruby River City.

Potem wróciłem do domu, gdzie siadłem z Allenem i przejrzelśmy plany renowacji Samotni, która miała się odbyć podczas mojego wyjazdu.

W głębi duszy nie wątpiłem, że robię to dla siebie. Do tajemniczego nieznajomego czułem tylko nienawiść i pogardę - Wizja Samotnia była moja.

Korzystając z moich wskazówek, Allen postarał się już o próbki farb i marmurów, tak że mogłem wybrać najodpowiedniejsze - Narysowałem

projekt schodów i zgodziliśmy się, że powinny być „barokowe”. Allen zobowiązał się zadzwonić do miejscowej pracowni architektonicznej, Busby, Bagot i Greene, która zajmowała się restauracją wszystkich starszych domów, i poradzić się w sprawie łazienki i okien, które naprawdę przerastały moją wiedzę i umiejętności.

- Śmiało rób swoje - powiedziałem. - Znasz mój gust, masz rysunki i wiesz, czego chcę. Nie zawracaj mi głowy duperelami. Ważniejsze jest, żebyś doprowadził rzecz do końca. I pamiętaj, będę do ciebie dzwonił. Do dzieła!

Widziałem, że jest zachwycony, mając tak ciekawe zadanie do wykonania. Niemniej jednak kręcił głową i mówił, że to będzie trudne, muszę to wiedzieć, transportowanie tych całych marmurów na wyspę, ale wiedział, jak należy je położyć, i nie ufa nikomu, tylko sobie. Co się tyczy malowania, to cóż, najgorsze jest przygotowanie murów i ścian i to znowu trudna rzecz, naprawdę trudna i nie ufa nikomu, tylko sobie.

- Wierzę w ciebie - dodałem mu otuchy. - Stać cię na wykonanie tej roboty. Tylko pamiętaj: nigdy nie zasiedźcie się tam po zmroku.

- Och, nie musisz mi tego mówić - powiedział. - O trzeciej już nas nie będzie.

- Obiecuj mi to.

- Obiecuję.

- W porządku, pierwszy raz zadzwonię w przyszłym tygodniu.

Tak więc wypełniłem obowiązki męskości.

Okolo czwartej po południu, gdy światło zaczęło się załamywać,

ogarnął mnie tak silny niepokój, jakiego nigdy wcześniej nie doznałem.

Miałem wrażenie, że bagno pełźnie ku dworowi - Las Birnamski podchodzi do Dunsinanu - i opanowało mnie przemożne pragnienie, aby zobaczyć się z Moną.

Przez cały ten czas ani na chwilę o niej nie zapomniałem. Wciąż czułem, że nasze pożegnanie będzie męką nie do przeżycia. Gorzej, nawet jej nie powiedziałem, że wyjeżdżam. Czekał nas nieprawdopodobny ból.

Staralem się z nią porozumieć, ale bez skutku. Centrala w Medical Mayfair powiadomiła mnie, że Mona nie może przyjmować żadnych telefonów. Nie wiedziałem, gdzie jest, co robi, to było nie do zniesienia.

Włożyłem do DVD płytę z Hamletem w reżyserii Kennetha Branagha i szybko przesunąłem do sceny utonięcia Ofelii, po czym oglądałem ją jeszcze raz i jeszcze raz, przeskakując do tyrady Gertrudy (matki

Hamleta), opisu całego wydarzenia, prześladowany słowami:

Wzdęta sukienka niosła ją po wierzchu

Jak nimfę woda i wtedy nieboga

Jakby nie znając swego położenia,

Śpiewała starych piosenek urywki.

Aż w końcu, gdy mrok zgęstniał za oknami i poczułem cały ciężar

ostrzeżeń Olivera Stirlinga przed Rebeką i jej sztuczkami, gdy pomyślałem

o Petronii, zszedłem poinformować ciotkę, która gwarzyła z Tommym i

Nashem, że musimy bezzwłocznie wyruszyć do Nowego Orleanu.

Jasmine już spakowała walizki ciotki, Nash był gotowy, Baba

Ramona zapakowała moje rzeczy, a skromna garderoba Tommy'ego,

która niebawem miała zostać w całości wymieniona, wylądowała w jednej z wielu zapasowych walizek ciotki Queen.

Oświadczyłem, że musimy wszyscy jechać do hotelu Windsor Court, zarezerwować najlepsze wolne pokoje, a potem ruszamy na kolację do Grand Luminière Café. Jako że nie mogłem połączyć się telefonicznie z Moną, tak czy siak musiałem jechać, gdyż na pewno mnie oczekiwała, po tym jak Stirling przekazał jej, że przyjadę.

Oczywiście, spotkałem się z mnóstwem pytań i wątpliwości - Byłem jednak uparty i w końcu przekonałem wszystkich, po prostu dlatego, że całe towarzystwo było podniecone wizją podróży, a jeśli nie pojechalibyśmy na lotnisko, to wyłącznie z tego powodu, że Tommy nie miał paszportu. Liczyłem na to, że odbierzemy go następnego dnia, mając już bilety.

Tak naprawdę była jeszcze jedna poważna przeszkoda. Nie zdecydowałem, kto będzie zarządzał dworem Blackwood podczas naszej nieobecności. To nie była błaha decyzja. I po długich deliberacjach ustalono, iż ten obowiązek spadnie na Jasmine, ale żeby złagodzić jej obawy, ustalono również, że nie będzie przyjmować nowych rezerwacji, a tylko obsłuży te, które już zostały przyjęte. Będzie również przyjmować tych przyjezdnych, którzy zechcą odwiedzić miejsce swoich zaręczyn, wesela i tak dalej lub tylko obejrzeć piękny dom, o którym przeczytali w przewodniku.

Jasmine była bardzo przejęta. Uważała, że zadanie przerasta jej siły.

Ciotka знаła jej możliwości, ja również; i co najbardziej znaczące również Baba Ramona i Clem. Jasmine miała wykształcenie jak należy, głowę nie

od parady i gust i umiała ładnie się wystawić. Brakowało jej tylko pewności siebie.

Tak więc spędziliśmy naszą ostatnią godzinę na dworze Blackwood, starając się przekonać Jasmine, że dorosła do tego zadania i kiedy tylko wszystko ogarnie - a już wykonywała dziewięćdziesiąt pięć procent obowiązków - będzie spisywać się na medal. Jej pensja miała wzrosnąć trzykrotnie. Ciotka ustaliła, że będzie też na procencie od dochodów, chociaż ten system zapłaty napawał Jasmine lękiem i nie chciała o nim słyszeć.

W końcu ustalono, że adwokat Grady Breen zajmie się księgowością, tak że Jasmine będzie mogła całkowicie oddać się nadzorowi i opiece nad gośćmi, co bardzo ją uspokoiło. Teraz zgodziła się pracować na procent, bez lęku, że podpisuje pakt z diabłem. Wszyscy ją zapewniali, że jest olśniewająco piękna, obyta i zorientowana, co jednak wcale nie odniosło takiego skutku, jakiego byśmy sobie życzyli.

Clem i Baba Ramona obiecali wszechstronną pomoc i po pocałunkach, uściskach i łzawych pożegnaniach Jasmine wskoczyliśmy do limuzyny ciotki i popędziliśmy do Nowego Orleanu.

Zatrzymaliśmy się na krótko w hotelu, upewniwszy się, że bajeczne apartamenty będą na nas czekać i zajechaliśmy do Grand Luminière Café. Mona wstała od stolika i rzuciła mi się w ramiona, tak że byłem obiektem zazdrości wszystkich mężczyzn na sali. Miała na sobie jedną ze swoich wielkich białych koszul z żabotem i kokardkami przy mankietach, ale dojrzałem wienflon w zaczerwienionej groźnie dłoni.

Usiedliśmy razem przy stoliku Mayfairów i przyciszonym głosem

powtórzyłem jej to, co lekarz powiedział ciotce Queen, że to może być jej ostatnia podróż do Europy.

- Och, uważam, że powinniście jechać - powiedziała Mona. - Musicie jechać. Absolutnie musicie. Ja czuję się świetnie. Mój stan jest stabilny.

Spójrz, znów podłączą mnie na noc do kroplówki. - Uniosła obandażowaną rękę. - Chcesz wpaść do mojego pokoju? Nie jest tam za apetycznie, to na pewno, ale...

- Idę - rzuciłem. - Jeszcze nigdy nie kochałem się z kimś na kroplówce.

- Dobrze - szepnęła słodko - bo mam kilka narzut do zniszczenia i moglibyśmy poczytać Hamleta. Wzięłam ze sobą wersję Kennetha Branagha ze wszystkimi reżyserskimi wskazówkami i możemy udawać, że ją jeszcze raz oglądamy. Ty mógłbyś recytować tyradę Gertrudy

opisującej śmierć Ofelii, a ja będę leżała jak martwa na poduszkach. Już zarzuciłam łóżko kwiatami. Och, na zawsze pozostanę Ofelią - westchnęła.

- Nie, moją Ofelią Nieśmiertelną - poprawiłem ją - i na to imię będę pisał listy i maile z Europy, moja Ofelio Nieśmiertelna. Nie słyszałem cudowniejszego imienia.

Opowiedziałem jej, jak po południu obejrzałem film, żeby tylko jeszcze raz zobaczyć scenę z Ofelią pod wodą.

- Uwielbiam to, że mnie uwielbiasz - powiedziałem - ale ty będziesz

Ofelią Nieśmiertelną, bo nie utoniesz, wiesz o tym, prawda? Musimy to sobie wyjaśnić. Że jesteś Ofelią z nieruchomego kadru, „nieczułą na grozę swego położenia”, ekstatyczną, wiecznie obecną w „sferach melodyjnych”.

Roześmiała się i pocałowała mnie ciepło.

- Ty naprawdę umiesz prawić piękne słówka, wiesz? - rzekła. - Och, kocham cię za to. I maile, czemu na to nie wpadłaś Oczywiście, będziemy do siebie mailować i pisać listy też. Potem będziemy musieli je wydać.

Nasza korespondencja dorówna sławie listom Heloizy i Abelarda.

- Jak najbardziej - potwierdziłem z lekkim drżeniem. - Ale to nie będzie nic tak długotrwałego i cnotliwego; wrócę do kraju, ty zostaniesz wyleczona i wkrótce spoczniemy jedno w ramionach drugiego. -

Roześmiałem się głośno. - A tak przy okazji, wiesz, że ten kochanek Heloizy, Abelard, został wykastrowany? Nie chcielibyśmy, żeby coś tak potwornego stało się moim udziałem.

- To metafora twojej wstrzemięźliwości, Quinn, i tego, że nie możemy się połączyć tak, jak uczyniliby to Ofelia i Hamlet, gdyby tylko jego ojciec nie został zamordowany.

Pocałowałem ją z tęsknotą i miłością.

- „Jak jest szczęśliwy świat nowy, co żywi takich mieszkańców!” - zacytowałem. - Jaka inna piętnastolatka na świecie ma taką wiedzę?*

- Powinieneś porozmawiać ze mną o giełdzie - powiedziała. Jej zielone oczy zaiskrzyły się pięknie. - To cudownie kolosalne, że Mayfair and Mayfair upiera się zarządzać moimi miliardami. Wiem o akcjach i obligacjach więcej niż ktokolwiek inny w firmie.

Stirling dosiadł się do stolika. Uświadomiłem sobie, że nie przywitałem się z pełną wdzięku Rowan ani z oddanym jej Michaelem.

Naprawiłem to wszystko, pławiąc się w ciepłe powitań, i pośpiesznie

wytłumaczyłem Stirlingowi, że wyjechaliśmy z dworu Blackwood i że jeśli Petronia zechce nas odnaleźć, będzie musiała poszukać odpowiednich pokoi w Windsor Court.

- A ten czarnowłosy dżentelmen to Tommy?

- Jak najbardziej. Wkrótce Tommy Blackwood. Wylatujemy do

Europy, gdy tylko dostanie paszport. Jak się da, zmienię mu nazwisko w dokumentach. Zobaczmy, co może działać odrobina Perswazji.

- Daj mi znać, gdybyś miał problemy - powiedział. - Tala - potrafi

pomóc. Nie złączyliśmy stolików podczas kolacji. Chciałem, aby Nash i ciotka lepiej poznali Tommy'ego, który znakomicie dawał sobie radę. Nie

był nieśmiały ani nadmiernie podniecony i oczywiście okazał się

niezwykle błyskotliwy. Dzięki Bogu uwielbiał literaturę i historię. Nie

rozumiał zbyt dobrze matematyki, ale jakoś przez nią brnął. Jak do tej

pory nauka w katolickiej szkole przynosiła świetne owoce. Miałem

nadzieję, że Nash i ciotka uznają, że jest fascynujący. Nie pomyliłem się.

Po tym, jak wszyscy zjedliśmy „kolosalny” deser, zabrałem

Tommy'ego i przedstawiłem go Mayfairom i Stirlingowi. Umiał zachować

się jak należy. Następnie ustaliliśmy, że moja kochana rodzina wróci do

hotelu, a ja udam się z Moną do jej pokoju.

Zarzuciłem Goblinowi ramiona na szyję i powiedziałem mu do ucha:

„Wracaj z moją rodziną. Bądź blisko nich. I wróć do mnie, gdyby Petronia

* Miranda, *Burza*, akt V, sc. 1.

się zjawiała”. To go zaskoczyło, ale natychmiast skinął głową i zniknął.

Pokój Mony był luksusowym apartamentem, z przyległym salonem i

wielkim podwójnym szpitalnym łóżkiem. Mona wcześniej zakryła je białymi dziecięcymi narzutami. Teraz zebrała zwiędłe lilie i stokrotki i sięgając do koszy rozstawionych w całym pokoju, wybrała świeże wiązanki i zaślała nimi łóżko. Potem wskoczyła na nie i rozłożyła się na górze poduszek, śmiejąc się do mnie swawolnie. Oboje zaczęliśmy pokładać się ze śmiechu.

Przez cały ten czas doktor Winn Mayfair stał z boku, okazując całkowitą powagę, po czym rzekł swoim cichym głosem, który zawsze wzbudzał szacunek:

- Świetnie, Ofelio, czy mogę włożyć rurkę kroplówki?

- Śmiało, panie doktorze - odpowiedziała. - I może pan bez strachu zamknąć za sobą drzwi, bo Quinn wie, że w tym stanie można mi włożyć tylko kroplówkę, prawda, Quinn?

Chyba się zaczerwieniłem.

- Zgadza się, panie doktorze - powiedziałem.

- Rozumiesz, na jakie ryzyko narażona jest Mona, Quinn. - spytał doktor Winn.

- Tak, proszę pana - odpowiedziałem.

Nielatwo było mi patrzeć na igłę wbity w jej dłoń, na zaczerwienioną skórę i przyklepiec trzymający wenflon, ale uznałem, że nie mam wyboru, muszę się do tego przyzwyczaić, i przesunąłem wzrok na przezroczystą rurkę biegnącą do plastikowego woreczka z przezroczystym płynem, wiszącego na stojaku. Ukryty nie wiedzieć gdzie mały komputer podawał dane i popiskiwał. W pobliżu stało większe urządzenie, gotowe do bardziej

skomplikowanych działań, ale na szczęście nie wydawało się na razie potrzebne.

Miałem wiele pytań do doktora Mayfaira, ale to nie było dobre miejsce na taką rozmowę, tak więc musiałem zawierzyć słowom Mony, że jej stan faktycznie jest stabilny. Wiedziałem, że nazajutrz będę musiał ją opuścić, mając w uszach jej słowa, iż w tym momencie mojego życia najbardziej powinienem dbać o zdrowie ciotki Queen.

Zaledwie lekarz wyszedł, rzuciliśmy się sobie w ramiona, w pełni świadomi, że musimy uważać na kroplówkę. Całowałem Monę z całym niewymuszonym dramatyzmem, na jaki potrafiłem się zdobyć, nazywając ją moją wieczną miłością i starając się sprawić jej rozkosz, tak jak ona sprawiała rozkosz mnie.

To była długa noc, pełna czułych pocałunków i miłości, i tamte narzuty pewnie po dziś dzień świadczą, że nie zmrużyliśmy wtedy oka. Zanim pożegnałem się z Moną, wstał brzask, nieuchwytny i różowy jak zmierzch nad miastem, i gdyby ktoś mi wtedy powiedział, że nigdy więcej jej nie ujrzę - tego delikatnego dziecka o bosko rozwichrzonych włosach, śpiącego pośród koronek i kwiatów - nie uwierzyłbym mu. Cóż, wtedy wiele rzeczy wydawało mi się niemożliwych.

Prosto ze szpitalnego pokoju, w którym zostawiłem śpiącą Monę, piękną i świeżą jak kwiaty, rozstawione w jej pokojach w koszach, udałem się po bilety lotnicze, następnie po paszport Tommy'ego, do sądu, w którym ciotka i ja zgodnym chórem oświadczyliśmy, że „znamy go jako Tommy'ego Blackwooda”, Potem wsiedliśmy do samolotu do Newark,

Goblin cielesny i widoczny w swoim drogim fotelu pierwszej klasy, a z

Newark wylecieliśmy do Rzymu.

Jak wyglądałyby moje ostatnie dni w Nowym Orleanie, gdybym wiedział, że nasza europejska odyseja potrwa trzy lata?

Nikt z naszej grupy nie przeczuwał, że ta zabawa przeciągnie się tak długo, i żyliśmy z chwili na chwilę, oszołomieni przeżyciami, które bezustannie fundował nam czas - przy czym stale pilnowaliśmy ciśnienia ciotki i regularnie sprawdzaliśmy jej odporność, odwiedzając jej ulubionych lekarzy w Paryżu, Rzymie Zurychu i Londynie - gdy włączyliśmy się po zamkach, muzeach, katedrach i miastach, które ciotka pokazywała mi z nieskończoną miłością i entuzjazmem. Do tego dochodziły mądre uwagi Nasha, zapewniające mi nieustanne bodźce. Za każdym razem ulegałem pragnieniom ciotki, aby przedłużyć podróż „jeszcze o kilka miesięcy”, aby zawadzić o kolejny „kraiczek” czy wspaniałe i wiekopomne „ruiny”, których „nie wolno mi nigdy zapomnieć”.

Ciotka podupadała na zdrowiu, co do tego nie było wątpliwości, lub, szczerze mówiąc, była po prostu zbyt wiekowa na tego rodzaju eskapadę, chociaż nie chciała się do tego przyznać.

Wezwano Cindy, naszą pielęgniarkę, i podróżowała razem z nami, tak że wszyscy nieco się uspokoiли, gdyż można było jej bez wahania powierzyć opiekę nad ciotką, obowiązek wydawania właściwych leków o właściwej porze, a poza tym, że była doskonałą pielęgniarką, okazała się wzorowym towarzyszem podróży i nie wzdrygała się przed wypełnieniem

innych obowiązków, obejmując także funkcje osobistej sekretarki ciotki. Nash również do pewnego stopnia wypełniał tę funkcję, pomagając mi i ciotce, dostarczał nasze listy do przefaksowania recepcjonistom w licznych wspaniałych hotelach, w których się zatrzymywaliśmy, płacił rachunki i napiwki, tak że nie musieliśmy się zajmować tego rodzaju rzeczami. Poza tym pisał na swoim laptopie z prędkością błyskawicy, tak że ciotka dyktowała mu listy do swoich przyjaciół.

Nash komentował wszystko, co widzieliśmy i odwiedzaliśmy, podchodząc bardzo poważnie do tego zadania. Zawsze przygotowywał wcześniej materiały, tak że jego uwagi były świeże i potrafił odpowiedzieć na wszystkie pytania. Cudownie opiekował się ciotką, pomagał jej przy wsiadaniu do limuzyn i wysiadaniu z nich, marszach po schodach i wcale mu nie przeszkadzało, że czasem musiał regulować paski jej morderczych bucików.

Co najważniejsze, im dłużej trwała nasza wyprawa, tym większą sprawiała nam przyjemność, tym radośniej Tommy i ja - dziecięca część naszej grupy - przeżywaliśmy kolejne etapy, tym trudniej było mi powiedzieć ciotce: „Tak, musisz zakończyć tę ostatnią podróż do wszystkich cudownych miejsc, które zawsze kochałaś. Tak, nigdy więcej nie obejrysz Paryża, Londynu ani Rzymu”.

Nie potrafiłem się na to zdobyć, choćbym nie wiem jak kochał Monę, choćbym nie wiem jak za nią tęsknił, choćbym nie wiem jak lękał się, że wszystkie jej maile, faksy i listy, zapewniające mnie, że jej „stan jest stabilny”, rozmijają się z prawdą.

Tak więc nasza wspólna włóczęga trwała ponad trzy lata i

ograniczę całą relację do kilku konkretnych zdarzeń.

Pozwól, że choćby dla porządku wspomnę, iż Tommy okazał się

istnym geniuszem, tak jak go ocenilem na pierwszy rzut oka. Przejawiał

nietypową dla jego wieku dojrzałość, wchłaniając całą prezentowaną mu

wiedzę i piękno, a przy tym w pełni podporządkowywał się autorytetowi

dorosłych, bez ociągania się i z całkowicie usprawiedliwioną dumą

pokazując swoje prace pisemne mnie i Nashowi.

Fakt, że tak bardzo przypominał mnie fizycznie, oczywiście karmił

moją próżność, to na pewno, ale kochałbym go, również gdyby wyglądał

zupełnie inaczej. Jego najlepszą cechą charakteru była ciekawość. Nie miał

w sobie cienia posepnej arogancji ignoranta, zasypywał Nasha pytaniami

i kupował najrozmaitsze kulturalne pamiątki matce, braciom i siostram,

po czym wysyłał je ekspresem jeszcze tego samego dnia.

Grady Breen regularnie raczył nas fotografiami Terry Sue, jej

potomków i ich niani, jej gosposi, jej dozorczy i jej domu, utwierdzając nas

w przekonaniu, że faktycznie odmieniliśmy jej los na lepsze.

Oczywiście, wiedziałem, że nigdy nie oddam Tommy'ego Terry Sue,

chyba że sam by się przy tym upierał, czego nie potrafiłem sobie wyobrazić

i ku czemu nie wykazywał żadnej skłonności. Przeciwnie, od drugiego roku

podróży nie poprawiał mnie ani nawet się nie krzywił, gdy mówiłem:

„Kiedy zaczniesz z nami mieszkać we dworze Blackwood”. Traktowałem to

jako dowód jego uczuć, chociaż nigdy nie powiedziałem mu wprost o

swoich zamiarach względem niego.

Ciotka rozpieściła Tommy'ego do niemożliwości, kupowała mu ubrania, z których prawie natychmiast wyrastał, i nic nie sprawiało jej takiej przyjemności, jak spojrzenia ludzi w holach hotelowych lub restauracjach, którzy odwracali się na widok małego dżentelmena w czarnym garniturku i krawacie.

Ja sam byłem tak przejęty i pochłonięty naszymi podróżami, że relacja z nich mogłaby być ciężka i niestrawna. Niech wystarczy, że powiem, iż czerpałem intensywną radość ze wszystkiego, co oglądałem, czy to była malutka osada w Anglii, czy bogactwa Wybrzeża Amalfi. Pragnę wspomnieć tylko jeden etap naszego wielkiego objazdu. Chodzi o ruiny Pompejów.

Pozwól, że najpierw omówię inne wydarzenia, w tym tajemnicę Goblina, bo, jak sam przepowiedział, zgubiłem go w jakimś momencie pierwszego wieczoru, gdy lecieliśmy nad Atlantykiem.

Nawet nie jestem pewien, jak się to stało ani kiedy. Siedziałem obok niego w luksusowej kabinie świeżo oddanego jumbo jeta osiemset, w której wszystkie fotele były obrotowe i każdy pasażer miał własny telewizor i gdzie warunki były nieporównywalne z tym, czym dysponowali pasażerowie klasy turystycznej. I swobodnie rozmawiać z Goblinem i trzymać go za rękę. Uspokajałem jego obawy i mówiłem, że zrobię wszystko, aby zatrzymać go przy sobie, że go kocham...

...I wtedy powoli zaczął się rozpląwać. Jego głos był coraz słabszy i po chwili słyszałem go tylko w mojej głowie, a potem przestałem go widzieć, ale w tamtych ostatnich momentach powiedziałem:

- Goblin, zaczekaj. Goblin, ja wrócę do domu. Goblin, pilnuj domu przed tajemniczym nieznajomym, żeby nie zrobił mi krzywdy. Musisz to zrobić. Postaraj się, żeby moich ukochanych domowników, Jasmine, Babę Ramonę, Cierna i Allena nie spotkało nic złego. - To była ta sama śpiewka, którą powtarzałem, od kiedy wzlecieliśmy w powietrze, ale teraz mówiłem z większym naciskiem. W końcu zupełnie zniknął mi z oczu.

Poczucie zerwanej więzi, całkowitej samotności, pustki było szokujące i potworne, jakby ktoś rozebrał mnie do naga i zostawił w jakimś opuszczonym miejscu. Pełną godzinę, może dłużej nie odzywałem się do nikogo. Leżałem bezwładnie, mając nadzieję, że to uczucie nędzy i rozpacz jakoś mnie opuści. Powtarzałem rozpaczliwie, że uwolniłem się od swojego ducha, że nie powinienem narzekać, mogę swobodnie wypełniać zadania męskości, być oddanym opiekunem Tommy'ego, uszczęśliwiać ciotkę Queen, uczyć się od Nasha. Cały świat na mnie czeka! Utraciłem jednak Goblina. Utraciłem go całkowicie. Nigdy w życiu nie przeżyłem takiej udręki.

Dziwne, że w czasie tego przedłużającego się stanu zawieszenia, gdy leżałem w luksusowym fotelu, sącząc kolejny kieliszek wina przyniesiony przez miłą stewardesę, gdy samolot leciał otulony szumem silników, i nie słyszałem Tommy'ego ani ciotki, nawet ich nie widziałem, ani Nasha z książką - podczas tego nagłego, długiego i zimnego oderwania od ludzi nagle zdałem sobie sprawę, że nie pożegnałem się z Patsy. Nawet nie próbowałem jej znaleźć. Z tego, co wiedziałem, nikt tego nie próbował. Nawet o niej nie pomyśleliśmy. Nawet Clem nie zapytał, co powinien jej

powiedzieć, gdyby zażądała limuzyny. Ani Baba Ramona nie spytała: „A co mamy zrobić, jak sprowadzi tych swoich wyjców i szarpidrutów do domu?” Nikt o niej nie pomyślał, dobrze czy źle, a teraz ja lamentowałem nad tym faktem, chociaż nie próbowałem do niej zatelefonować i się pożegnać. Ogarnął mnie dreszcz. Czy tęskniłem za nią? Nie, tęskniłem za Goblinem. Poczulem się tak, jakby obdarto mnie ze skóry i wystawiono na zimny wiatr.

Patsy, moja Patsy. Czy będzie miała na tyle zdrowego rozsądku, żeby zwrócić się po pomoc lekarską? Nagle poczułem się zbyt znużony, aby zająć się tym problemem, a już na pewno zbyt osamotniony i oddalony od kraju.

Nagle poczułem lęk - nie tylko lęk, pewność, że coś się dzieje.

I zdawszy sobie sprawę, że w samolocie jestem nieosiągalny przez telefon, ale sam mogę zatelefonować do dworu Blackwood, po raz pierwszy użyłem nowej karty i zadzwoniłem do domu. Zanim usłyszałem głos Jasmine, dotarły do mnie z oddali odgłosy pękającego szkła.

- Dzięki Bogu, to ty - powiedziała. - Wiesz, co on wyprawia? Rozbija wszystkie szyby w domu. Oszalał!

- Powiedz dokładnie, co robi - poleciałem. - Widzisz go?

- Nie, nie widzę. Po prostu leci szyba za szybą. Najpierw załatwił jadalnię. Jakby rozwaliał je pięścią, jedną po drugiej.

- Posłuchaj mnie. Nie jest taki silny, jak myślisz. Za żadne skarby nie patrz tam, gdzie leci szkło. Nie wolno ci go zobaczyć. To daje mu siłę, a jak dalej będzie tak szalał, w końcu całkiem się wyczerpie.

Mówiła coś jeszcze, ale ledwo ją słyszałem. Wyglądało na to, że wytłukł całe szkło w jadalni. Był w kuchni razem z Jasmine, ale tam nie narozrabiał, po chwili zaś usłyszała pękające szkło na piętrze. Goście zbiegali po schodach.

- W kuchni nic nie zniszczył? Powiedziała, że nie.

- W takim razie nie chciał ci zrobić krzywdy. Wyprowadź gości z domu. Nie wystawiaj im rachunków. Pośpiesz się. Ale nie idź tam, gdzie on, tylko zabierz gości. I choćby wyprawiał nie wiem co, nie patrz na niego. Tylko to daje mu siłę.

Nie rozłączałem się. Hałas docierał do mnie z odległości dobrych kilku tysięcy mil, brzęk tego tłuczonego szkła, gdy rozwścieczony samotnością Goblin wyżywał się. A ja myślałem gorączkowo: Co powinienem zrobić, zanim zadzwonię do Stirlinga? Co powinienem zrobić w tej chwili jako pan domu?

Minęła wieczność, zanim Jasmine znów się odezwała.

- Przestał. Wszyscy goście wyszli. Rany, ale byli podekscytowani.

Oplaciło im się przyjechać, i to jeszcze za darmo! Mówię ci, dziś wieczór całe Ruby River City i Mapleville będą miały o czym gadać.

- Czy nic ci się nie stało? Nikomu nic się nie stało?

- Nie, wszystko poleciało na podłogę. Quinn, musimy zamknąć dwór dla gości.

- Prędzej mnie diabli porwą, nim się na to zgodzę, Jasmine -

warknąłem. - Chyba nie myślisz, że ma tyle energii, że jutro zacznie od nowa? Skądże. Jeśli ja go nie zobaczę, nic nie wskóra. Jest wyczerpany.

Wyszalał się, ile mógł.

- A kto zaręczy, że jutro nie wstanie z łóżka z nowym zapasem

sztuczek. Chciałabym, żebyś zobaczył ten dom!

Słuchałem, podczas gdy ona wyklócała się z Clemem i Allenem. Jeden

chciał natychmiast wprawiać szyby, drugi twierdził, że Goblin zaraz je rozbije. Wtedy Baba Ramona orzekła, że należy je wprawić, bo idzie burza.

- Słuchajcie, to ja jestem panem domu - zawarzałem z samolotu. -

Natychmiast wprawcie szyby. Powiedz, niech nie oszczędzają na jakości i osadzą najlepsze. Bóg wie, że w niektórych oknach mieliśmy byle co. -

(Przekazała im moje słowa.) - Teraz słuchaj, Jasmine, odłóż słuchawkę, idź na górę do mojego pokoju i podnieś słuchawkę na biurku komputerowym.

Zabrało jej to wieczność. Kazałem jej włączyć komputer.

- Już jest włączony - powiedziała. - A wiem, żeś go wyłączał przy odjeździe.

- Co jest na ekranie?

- Napis wielkimi literami „QUINN, WRACAJ DO DOMU”.

- W porządku, napisz odpowiedź: „Goblin, kocham cię. Ale teraz nie mogę zostawić cioci Queen. Wiesz, jak kocham ciocię Queen”. - Słyszałem stukot klawiszy. Przekazałem jej dalszą część informacji. - „Proszę, chroń tych, których kocham, przed Petronią”. - (Imię musiałem przeliterować.) -

„Goblin, czekaj na mnie. Kocham cię. Wyrazy miłości, Quinn”.

Czekałem chwilę, słuchając, jak pisze. Wtedy improwizowałem.

Teraz, po latach, zastanawiam się, czy moja improwizacja nie była fatalna w skutkach. Ale obecnie cała moja miłość do Goblina wydaje się fatalna w

skutkach.

- Jasmine, napisz jeszcze coś - powiedziałem. - „Drogi Goblinie, mogę do ciebie pisać za pośrednictwem komputera. Mogę ci posyłać maile. Będę wysyłał je regularnie, podpisując moim komputerowym pseudonimem, Król Tarquin. Będę używał tego pseudonimu. Kiedy dostaniesz pierwszą wiadomość, prześlij mi odpowiedź. Umiesz obsługiwać komputer tak dobrze jak ja, Go blinie. Czekaj na wiadomość”.

Wpisanie tej informacji zajęło Jasmine trochę czasu, ale w końcu umieściła ją na ekranie i wtedy poleciałem jej, aby od tej chwili komputer był zawsze włączony. Miała przykleić karteczkę z informacją, że nikomu nie wolno go dotykać.

- Teraz się przekonamy, czy Goblin się uspokoi - powiedziałem. - I niebawem będziesz mogła się z nami połączyć w hotelu Hassler w Rzymie. Rozłączyłem się. Jako pan na Blackwood nie widziałem powodu, aby opowiadać innym, że prawie wszystkie okna we dworze zostały wybite. Leżałem w fotelu, myśląc, że moje nowe mailowe imię powinno brzmieć Szlachetny Abelard, a Mona powinna przybrać imię Ofelia Nieśmiertelna, a Goblin może powinien być Goblinem.*

Jak pomyślałem, tak zrobiłem.

Zanim opuściliśmy Wieczne Miasto, ja, Mona i Goblin ustaliliśmy, jak będziemy się porozumiewać za pomocą komputera, i podczas wszystkich podróży przekazywałem pełne miłości listy mojemu skarbowi, Ofelii Nieśmiertelnej, natomiast tylko nieco zmienione wersje tych epistoł szły do mojego ukochanego Goblina. Od Mony otrzymywałem namiętne i

bardzo zabawne odpowiedzi, a od Goblina coraz krótsze, wyrażające głównie tęsknotę i miłość.

Kiedy tylko trafiliśmy do dobrze wyposażonego hotelu, drukowałem cały ten materiał, tak że stał się moim dziennikiem podróży, chociaż na tyle się kontrolowałem, że nie zapisywałem wszystkich moich erotycznych

** Skrzat, chochlik (ang.).*

pochlebstw pod adresem Mony, za to bawiliśmy się niezłe, wyrażając nasze uczucia niby - szekspirowskim językiem.

Co się tyczy Goblina, to jego powolna śmierć bardzo mnie martwiła i serce mi krwawiło, jak ściśnięte jakimiś okrutnymi szponami, ale nie wiedziałem, co na to poradzić, ponad to, co już zrobiłem.

Na dworze Blackwood zapanował spokój.

Niemniej jednak opowieść o tłuczeniu szyb przeszła do zbioru legend gminy Ruby River i goście dzwonili w dzień i w nocy, prosząc o rezerwację.

Rozmawiając przez telefon z Jasmine, odnosiłem wrażenie, że świetnie się bawi, mimo protestów i niepokojów.

Jasmine nieprzymuszona zaczęła przyjmować nowe rezerwacje i jak się okazało, wszystkie pokoje były zajęte przez cały czas naszej nieobecności. Niebawem Baba Ramona także zaczęła dostawać procent od dochodów i, jak sądzę, Clem, chociaż tego nie jestem pewny. Dzięki temu rodzina Jasmine nie musiała się martwić o swój byt. Co się tyczy Allena i fornali, to w tym miejscu przystopowałem z hojnością, jako że zarabiali dwa razy więcej niż jakikolwiek pracownik fizyczny w gminie Ruby River, a do tego mieli za darmo napoje i lancze.

Wyspa Słodkiego Czarta była powodem wielu plotek, jako że zaczęto już dostarczać marmurowe płyty podłogowe na małych, ręcznie obsługiwanych pirogach i ludzie w Ruby River City i Mapleville pytali przy kawie, czy Tarquin Blackwood już zupełnie stracił rozum.

Byłem bardzo zadowolony, że podczas tych wszystkich wydarzeń przebywam w starym weneckim palazzo.

Humor trochę mi się poprawił na wieść, że szeryf Jeanfreau i jego zastępca, Paskudny Henderson, powtórzyli wszystkim moją opowieść o człowieku wrzucającym w świetle księżyca trupy do bagna. Miałem głęboką nadzieję, że ludzie wyciągną z tego wnioski i po zmroku nie będą się plątać łodziami wokół wyspy.

W trakcie pierwszego roku, gdy jeszcze przebywaliśmy we Włoszech, napisałem do Oak Haven, do Olivera Stirlinga. Opisałem mu, jak rozwiązałem problem komunikacji z Goblinem, i wyznałem, że moim zdaniem jego możliwości słabną i że mimo całej ekscytacji związanej z wielkim objazdem czuję wielką pustkę.

Korespondowaliśmy ze sobą kilka miesięcy. Ostrzegał mnie, abym nie pobudzał nadmiernie Goblina, pisząc zbyt krótkie lub zbyt długie listy; doszedł do wniosku, że Goblin jest prawdopodobnie duchem związanym raczej z dworem Blackwood niż ze mną osobiście, ale nie był tego pewny.

„Postaraj się wykorzystać to, że uwolniłeś się od niego - napisał. - To znaczy ciesz się tym i napisz mi, czy ci się to w pełni udało. Mógłbyś również zapytać swoich towarzyszy podróży, czy dostrzegli w tobie jakąś zmianę. Szczególnie pani McQueen mogłaby cię oświecić w tym

względzie”.

Skorzystałem z jego rady i faktycznie ciotka miała ciekawe spostrzeżenia. „Jesteś naprawdę z nami, mój kochany. Nie jesteś nieskupiony, nie rozmawiasz z nim. Nie boisz się tego, co on może zrobić. Nie rozglądasz się ciągle na boki”.

Mówiła dalej, wcale nie musiałem jej zachęcać. „To ci o wiele bardziej służy, mój maleńki. O wiele bardziej. Widzę to wyraźnie, bo znam cię jak nikt. Czas pożegnać się z wyobrażeniami dzieciństwa, a Goblin to część dzieciństwa”. Patrzyła na mnie z dobrocią, mówiąc te słowa.

I tak moja korespondencja z Goblinem urwała się i mój ukochany duch, mój odpowiednik, mój Doppelgänger, zniknął, stając się nieosiągalny. I wierz mi, był nieosiągalny. Próbowałem za pomocą zdawkowych e - maili odszukać go w mroku, ale na próżno.

Natomiast dwór Blackwood kwitł pod berłem królowej Jasmine i podczas gdy tam śpiewano kolędy na Boże Narodzenie, szykowano ucztę na Wielkanoc, rosły kwiaty na ukochanych rabatkach dziadka, my zataczaliśmy nasz podróżniczy krąg, a Goblin rozpułynał się całkowicie.

Oczywiście, komunikowałem się z Moną nie tylko listownie.

Spędziłem wiele nocy na rozmowach telefonicznych i zawsze kończyliśmy je namiętными zapewnieniami, że żyjemy i będziemy żyć tylko jedno dla drugiego - teraz nie mieliśmy co do tego wątpliwości, Ofelię Nieśmiertelną i Szlachetnego Abelarda któregoś dnia połączy białe małżeństwo - i gdy czasem przyjdą złe dni, będziemy się pocieszać naszą korespondencją.

Dzwoniąc, wiele razy łączyłem się z Michaelem lub Rowan i zawsze

dostawałem taką samą informację: stan Mony jest stabilny i nie muszę przyjeżdżać. Wiele razy zdziwiony słuchałem, gdy niepytany Michael mówił, że jestem darem niebios, gdyż Mona zaprzestała swoich erotycznych wyskoków i teraz „nie może żyć” bez moich maili i telefonów. Zamierza spędzić resztę życia na ciężkiej pracy poświęconej Dziedzictwu Mayfair, ucząc się prowadzenia funduszy inwestycyjnych i zarządzania nimi, jak również badając drzewo genealogiczne rodziny.

- Bywa trochę uparta wobec swojego prywatnego nauczyciela - powiedział Michael. - Chciałbym, żeby więcej czytała. Ale udało mi się ją przekonać, żebyśmy razem oglądali klasykę filmową. To niezła sprawa, nie sądzisz?

- Och, jak najbardziej - przyznałem mu rację. - Nikt nie może się twórczo rozwinąć, jeśli nie obejrzał Czerwonych trzewiczków i Opowieści Hoffmana. Czy nie mam w stu procentach racji?

- Ależ masz, masz - roześmiał się. - I zna te filmy na wylot. Ostatniego wieczoru namówiłem ją do obejrzenia Czarnego narcyza.

- Ten to jest dopiero niesamowity. Założę się, że była zachwycona.

- Spytaj ją. Oto i ona. Szlachetny Abelardzie, pozdrów tam Wszystkich ode mnie.

I tak przez trzy lata biegło moje życie, błogie i pełne wydarzeń.

Osiągnąłem sześć stóp i cztery cale wzrostu. Obejrzałem najpiękniejsze widoki na świecie. Razem z moim radosnym towarzystwem udaliśmy się na południe aż do Abu Simbel w Egipcie i Rio de Janeiro w Brazylii, na północy dotarliśmy do Irlandii i Szkocji. Na wschód do Sankt Petersburga.

A na zachód do Maroka i Hiszpanii.

*Podróżując, nie trzymaliśmy się żadnego porządku ani nie
zważaliśmy na koszty. Nieraz pokonywaliśmy te same trasy. Jeździliśmy
tam, gdzie była pogoda, a przede wszystkim tam, gdzie mieliśmy ochotę
pojechać.*

*Tommy i Nash pracowali intensywnie, zgodnie z programem szkoły
w Ruby River City. Najczęściej jednak Tommy zdobywał wiedzę tak jak ja -
od ciotki Queen i Nasha, który zwracał nam uwagę na różne istotne rzeczy
i podawał nam kulturowe tło tego, co oglądaliśmy, i opowiadał cudowne
historie o sławnych postaciach związanych z pomnikami, krajami, stylem
i epoką.*

*Wszystko to było tak bogate, że uznałem się za głupca, skoro nie
uległem wiele lat wcześniej naleganiom ciotki, aby wyruszyć w podobną
podróż. Okazałem arogancję ignorantą. Jak mnie sama pocieszyła, to nie
był czas na rozpamiętywanie żalów. To był czas pochłaniania całego
świata.*

*Pozwól mi również zauważyć, że bez względu na to, ile obejrzelśmy i
jak późno wróciliśmy do hotelu, nadal udawało mi się czytać Dickensa
Nashowi. Otworzył mi oczy na zalety Wielkich nadziei, Dawida
Copperfielda, Magazynu osobliwości i Maleńkiej Dorrit. Z równie wielką
przyjemnością poznałem powieści sióstr Bronte, połykając Wichrowe
wzgórza i Jane Eyre. Gdybym był bardziej wyrobionym czytelnikiem,
udałoby mi się poznać więcej skarbów literatury. Bardzo się starałem przy
Miltonie, ale żadne wersy Raju utraconego nie trzymały się mojej głowy,*

tak więc poprzestałem na Keatsie, czytając głośno jego ody, aż opanowałem je na pamięć.

Wszyscy przeżywaliśmy błogi czas. Ale nie wszyscy w domu. W połowie drugiego roku Jasmine zadzwoniła z wiadomością, że Patsy całkowicie roztrwonila swoje (niebываłej wielkości) uposażenie na ten okres i namówiła Clema, aby zainwestował cały zapisany mu przez dziadka legat w jej płytę. Sprzedawała się marnie i Clem obwinił Patsy o oszustwo, i zamierzał ją skarżyć.

Na żądanie ciotki połączyłem się z Gradym Breenem i upewniłem się, że Patsy wydała całe swoje pieniądze na nakręcenie teledysku, którego produkcja z wynajęciem zagranicznego reżysera i operatora kosztowała milion dolarów, po czym żaden muzyczny kanał telewizyjny nie chciał go emitować.

Clem nie miał bielma na oczach, gdy utopił swoje sto tysięcy w tym interesie - stwierdził Grady - i nie był durniem, ale powiedziałem mu, aby wyrównał mu stratę, żeby przestał marudzić. A jeśli Patsy chciała pieniędzy, miał je dać. Chciała i dał.

Na zakończenie spytałem, czy Patsy w ogóle odniosła jakiś sukces na scenie muzycznej. Odpowiedział, że ostatnio cieszy się powodzeniem w dobrych klubach i gra w sieci sal koncertowych i restauracji House of Blues, założonej przez Dana Aykroyda. Jej album rozszedł się w nakładzie trzystu tysięcy. To było jednak nic w porównaniu z milionem egzemplarzy, który sobie wymarzyła i który musiała sprzedać, jeśli chciała osiągnąć prawdziwą sławę. Po prostu realizując teledysk, przeceniła swoją siłę

przebiecia się w branży. Na wielki sukces było dla niej jeszcze za wcześnie.

Nie śmiałem zapytać wprost o jej zdrowie. Po prostu zagadnąłem

Grady'ego:

- Widziałeś ją ostatnio?

- Tak - odpowiedział. - Wystąpiła w Austin City Limits. Była piękna

jak zawsze. Jestem na tyle stary, że mogę tak powiedzieć, nie sądzisz?

- Tak, proszę pana - odparłem.

Tak więc jeśli chodzi o stan spraw w domu, to Patsy pozostała Patsy.

Teraz, gdy już opowiedziałem to wszystko - omówiłem najważniejsze

tematy związane z tamtym okresem - pozwól, że wrócę do sprawy Petronii.

Oczywiście, bardzo mi zależało na obejrzeniu ruin Pompejów, ale nie

mogłem zapomnieć o uroku, który rzuciła na mnie Petronia, przybywając

do dworu Blackwood. Ciotka miała własne poglądy na jej temat, zresztą

bardziej przyjazne niż moje. Rozmawialiśmy o niej, ale nie bez pewnych

spięć. Ciotka nie potrafiła przebaczyć mi do końca oskarżeń, które

rzuciłem pod adresem Petronii, nie całkiem wierzyła, że Petronia nie jest

człowiekiem i że podrzucała trupy na mokradła. Ja nie zmieniłem zdania i

chciałem się przekonać, czy ruiny Pompejów wyzwolą w moim umyśle

obrazy, które umieściła tam Petronia. Miałem z nią rachunki do

wyrównania.

Tymczasem renowacja Samotni zamknęła się sumą setek tysięcy

dolarów i otrzymałem sterty kolorowych fotografii, pokazujących

ośniewający domek. Sufitowe belki śmiało powleczono złotem, tureckie i

perskie dywany wybrane przeze mnie z katalogów rozrzucono na

lśniących marmurach; zamówiłem nawet telefonicznie bogato zdobione meble z nowoorleańskiej firmy Hurwitz Mintz. Samotnia pyszniła się teraz świecznikami i powleczonymi aksamitem sofami. Stały w niej fotele z wysokimi, wygodnie odchylonymi oparciami. Przestronna łazienka była w pełni sprawna. W oknach lśniły nowe szyby.

Allen nieraz zgłaszał, że „ktoś” wieczorami korzysta z domu, że znaleziono książki na biurku (i nigdy ich nie ruszono), świece i popiół w kominku. Więc mój wspólnik znów się objawił. Czego się spodziewałem? Czy nie skapitulowałem wobec wszystkich jego żądań? Kto pierwszy jednak wpadł na to, aby przeprowadzić te sztywne zmiany? Czyż nie ja? Byłem głupio zafascynowany. I oburzony. I może zbyt młody, aby odróżnić jedno od drugiego.

Tak więc przyjechałem do Pompejów podczas naszej trzeciej podróży po Włoszech, pod koniec naszej odysei, przepelniony odwagą, chęcią walki i ciekawością, w końcu gotowy obejrzeć to legendarne miejsce.

Ciotka zapewne nawet nie pamiętała oszalamiającej opowieści, usłyszanej tamtej dawno minionej nocy. Nash napomknął o niej przelotnie. Tommy i Cindy byli zadowoleni, że obejrzą jedne z najslawniejszych ruin na świecie.

Wyruszyliśmy wynajętym samochodem z naszego luksusowego hotelu w Neapolu i rano dotarliśmy do miasta. Przeszliśmy swobodnie wąskimi kamiennymi ulicami, zrytymi koleinami, wiedząc, że wrócimy tu jutro i pojutrze, i cały czas czułem lekkie dreszcze wywołane słowami Petronii, dowód ekscytacji. Słońce świeciło oślepiająco, Wezuwiusz był

*uśpiony i cichy, wyglądał raczej jak osłonięty niebieskim płaszczem
strażnik niż błyskawiczny niszczyciel tego małego miasta, tego
niewielkiego ośrodka życia.*

Odwiedziliśmy

wiele

częściowo

odbudowanych

domów

i

*powodowani szacunkiem muskaliśmy ściany lekko albo wcale. Wokół
panowała cisza, chociaż bynajmniej nie byliśmy jedynymi turystami. Nie
potrafiłem wyobrazić sobie tego miasta żywego, bez otulającego go
welonu śmierci.*

Ciotka dzielnie zaprowadziła naszą grupę do Domu Fauna i Willi

Tajemnic. W końcu udaliśmy się do muzeum i tam zobaczyłem naturalnej

wielkości gipsowe odlewy tych, którzy zginęli pod popiołami,

pozostawiając po sobie tylko jedną, ale za to wieczystą pamiątkę, kształt

swoich ciał. Widok tych postaci, szczepionych razem w chwili naglej

śmierci i pozbawionych na zawsze indywidualnych rysów twarzy tak mnie

poruszył, że byłem bliski łez.

W końcu wróciliśmy do naszych hotelowych pokoi. Noc nad Zatoką

Neapolitańską była brzezienna tysiącem gwiazd. Otworzyłem drzwi na

balkon, wyjrzałem na zatokę i pomyślałem, że jestem jednym z

najszczęśliwszych ludzi na świecie. Stałem długo przy kamiennej

balustradzie. Ogarnęło mnie pełne zadowolenie, jakbym pokonał Petronię, Goblina i Rebeke, a moja przyszłość zależała tylko ode mnie. Mona czuła się znakomicie. Nawet ciotka Queen sprawiała wrażenie nieśmiertelnej - jakby nie miała umrzeć, dopóki ja nie umrę. Jakby zawsze miała być przy mnie.

W końcu poczułem rozkoszne zmęczenie. Jak zwykle włożyłem koszulę nocną, chociaż uroczo pachnąca noc była nieco za ciepła na taki strój, położyłem się w świeżej pościeli i zapadłem w sen.

Wydawało się, że minęło kilka sekund, a byłem w Pompejach.

Biegłem, popędzając przed sobą grupkę niechętnych niewolników, którzy nie wierzyli mi, że góra niebawem skieruje na nas swoją wściekłość i zetrze wszystko z powierzchni ziemi, również nas. Minęliśmy wrota miasta i pobiegliśmy na brzeg morza, do czekającej łodzi. Wyłynęliśmy na zatokę i wtedy nastąpił wybuch, uniosły się czarne chmury, niebo pociemniało. Koszmarny ryk dobył się z wnętrza góry. Wszędzie łodzie kołysały się na wodzie. „Wiosłujcie!”, krzychałem. Ludzie darli się i wrzeszczeli. „Na drugą stronę zatoki”, błagałem. Niewolnicy skakali do wody. „Nie, łodzią szybciej”, mówiłem. Rzucono wiosła. Łódź przewróciła się do góry dnem. Tonąłem. Morze falowało. Woda zalewała mi usta. Znow rozległ się niewyobrażalny huk.

Obudziłem się. To nie był tylko sen! Czuję grozę. Czuję, że ktoś mnie obejmuje. I na tle jasnego błękitu nocnego nieba zobaczyłem jakąś postać na balkonie. Wiedziałem, że to musi być Petronia.

- Ty diable! - krzyknąłem. Wyskoczyłem z łóżka i pobiegłem do tej

postaci, tyle że jej już nie było. Wstrząsany gwałtownymi dreszczami stałem przy balustradzie i patrzyłem w mrok, tak przestraszony jak nigdy w życiu i równie zły. Nie mogłem unieść tej grozy, niemniej jednak nie potrafiłem się od niej wyzwolić. W końcu złapawszy szlafrok, pobiegłem do apartamentu ciotki. Załomotałem do drzwi.

Otworzyła mi nasza pielęgniarka, a naprawdę duch opiekuńczy.

- Ciociu Queen, nie mogę sam spać - wyjąkałem, niemal biegnąc do łóżka ciotki. - To koszmar. Zło wcielone. To Petronia.

- Zaraz chodź mi tu do łóżka, mój biedaczku - powiedziała. Zrobiłem dokładnie to, co mi kazała.

- Ależ kochanie, przestań się wiercić - skarciła mnie. - Ty masz dreszcze! Już śpij. Jutro jedziemy do Torre del Greco i kupimy dużo pięknych kamei, i pomożesz mi wybrać najpiękniejsze, jak zawsze.

Cindy poszła do swojego łóżka. Firanki fruwały, okna były otwarte.

Czułem się bezpieczny w towarzystwie tych dwóch kobiet. Chciałem znów zasnąć, śnić o dworze Blackwood, Tommy mieszkającym z nami, Monie, o tylu rzeczach, ale o żadnych potwornościach, zjawach, niedobrych duchach, ciemności, katastrofach, śmierci.

Czy Petronia naprawdę zjawiała się hotelu? Czy to były czary? Nigdy się nie dowiedziałem.

Pozwól, że zakończę opowieść o naszych szczęśliwych wędrówkach.

Bo przyszedł czas wracać do domu.

Ciotka Queen nie mogła dalej podróżować. Po prostu była na to za słaba; miała zbyt wysokie ciśnienie krwi. Nadwerżyła sobie przegub, a

kto wie, co by się stało, gdyby naciągnęła kostkę u nogi. To jeszcze bardziej by ją ograniczyło. Poza tym cierpiała na reumatyzm. Wyczerpanie było od niej silniejsze. Nie wytrzymywała tempa, które sobie narzuciła. Własna słabość budziła w niej złość. W końcu Cindy uparła się, że dość tego dobrego.

- Uwielbiam te wspaniałe hotele jak każdy - powiedziała - ale pani miejsce jest we własnym domu, ciociu Ciueen! Jeszcze się pani potknie i sobie coś złamie! Nie może pani dalej tak ciągnąć!

Poparłem Cindy, mały Tommy, który był już całkiem wysokim dwunastolatkiem, również i w końcu Nash złożył pełne powagi oświadczenie:

- Pani McQueen, była pani bardzo dzielna, ale przyszedł czas, aby powróciła pani do dworu Blackwood i królowała tam, jak przystało nieodparcie rozkosznej stalowej magnolii.

Byliśmy w Kairze, gdy decyzja zapadła, i poleciliśmy do Rzymu, skąd rozpoczęła się nasza przygoda. Kilka ostatnich nocy mieliśmy spędzić w hotelu Hassler. Tymczasem doszedłem do wniosku, że nie proponując wcześniej powrotu, okazałem się winny zaniedbania, ale na swoją obronę mogę powiedzieć tyle, iż nie chciałem być oskarżony o egoizm, podsycany miłością i tęsknotą za Moną. Niepokoilem się o nią. Od dwóch tygodni nie odpowiadała na maile.

Gdy tylko rozlokowaliśmy się w pokojach - ja w apartamencie z bardzo długim i szerokim tarasem, tuż poniżej ciotki, która Wraz z Cindy zajęła apartament na najwyższym piętrze - próbowałem dodzwonić się do

Mony i połączyłem się z Rowan. Była małowówna i bardzo poważna.

- Mona jest na badaniach w Mayfair Medical, Quinn - oświadczyła. -

Wygląda na to, że spędzi tam kilka miesięcy. Nie będzie mogła się z tobą zobaczyć.

- Mój Boże, to znaczy, że jej stan się pogorszył! - zawołałem. - Doktor Mayfair, proszę mi powiedzieć prawdę. Co z nią?

- Nie wiem, Quinn - odparła swoim zniewalającym matowym głosem.

- Wierz mi, lekarzowi ciężko się do tego przyznać. Ale nie mnie. Dlatego ją badamy. Jej układ odpornościowy osłabł. Gorączkuje od miesięcy. Ktoś kichnie w pokoju, a ona dostaje obustronnego zapalenia płuc.

- Dobry Boże - jęknąłem. Jak zwykle szczerłość Rowan okazała się dla mnie za trudna do przelknięcia. Niemniej jednak zagryzłem zęby i powiedziałem sobie, że muszę jej wysłuchać. - Czemu nie mogę z nią porozmawiać przez telefon?

- Nie chcę, żeby coś wyprowadziło ją z równowagi, Quinn - wyjaśniła Rowan. - To nieuchronne, gdyby się dowiedziała, że wracasz do kraju, a ona nie może się z tobą spotkać. To dlatego jest odcięta od świata. Żyje jak w plastikowej kapsule, z odtwarzaczem wideo, monitorem i stertą starych filmów. Je prażoną kukurydzę, lody, czekoladki i pije mleko. Wie, że się dobrze bawisz w Europie, i niech tak zostanie.

- Ale, Rowan... - powiedziałem błagalnie. - Przecież dostaje moje e - maile!

- Nie, Quinn, ona odpoczywa. Zabrałam jej komputer. Myślałem, że dostanę szalu. Szalu. W końcu wracaliśmy do domu, a ja nie mogłem jej

zobaczyć. Co najgorsze, była chora! Pewnie nawet zbyt chora, aby obsługiwać komputer!

- Rowan, posłuchaj, czy ona cały czas była chora? Czy ukrywano to przede mną?

Milczała długo, a potem rzekła z charakterystyczną dla niej bezpośredniością:

- Tak, Quinn, powiedziałabym, że taki był jej stan. Myślę, że wiedziałeś o tym, wyjeżdżając. Wiedziałeś, że przechodzi stałą kurację.

Było raz lepiej, raz gorzej, ale nigdy naprawdę nie doszła do siebie.

Jęknąłem. Nie wiem, czy było to słyszalne.

- Muszę się z nią spotkać, kiedy wrócę do domu - powiedziałem.

- Zorganizujemy to - odparła - najwcześniej, jak to będzie możliwe.

Ale nie natychmiast.

- Czy możesz jej przekazać, że ją kocham? - spytałem. - Możesz jej powiedzieć, że dzwoniłem? Możesz jej powiedzieć, że przysyłałem listy?

- Tak, zrobię to wieczorem, kiedy się z nią zobaczę. I jutro, i pojutrze.

- Och, dziękuję ci, Rowan, niech cię Bóg błogosławi, Rowan. Proszę, powiedz jej, że bardzo ją kocham.

- Quinn, chcę dodać coś jeszcze. Wiem, że Michael ci to powiedział.

Pozwól, że ja też to zrobię. Naprawdę pomogłeś Monie. Pomogłeś Monie w ten sposób, że przestała robić sobie krzywdę. Przy tobie była szczęśliwa.

- Rowan, napawasz mnie strachem - powiedziałem zaskoczony. -

Mówisz to tak, jakbyś mówiła o przeszłości.

- Przykro mi. Nie miałam takiego zamiaru. Chciałam powiedzieć, że

przez ostatnie lata była w tobie głęboko i całkowicie zakochana. Pisała do ciebie albo rozmawiała z tobą, zamiast toczyć z nami wojny. Cały czas o ciebie pyta.

Czułem dreszcze. Moja droga Mona. Do czego doprowadziłem, zostawiając ją? Czy tak bardzo zakochałem się w listach i telefonach od Ofelii Nieśmiertelnej, że straciłem samą Monę?

- Dziękuję ci, Rowan - powiedziałem. - Dziękuję za wszystko. - Miałem jeszcze wiele pytań, ale nie śmiałem ich zadać. Za bardzo się bałem.

Tamtego wieczoru w apartamencie ciotki Queen szampan płynął strumieniami. Nash, który wypił go zbyt wiele, ale za naszą szczodłą zachętą, zaproponował toast za damę, którą kochał najbardziej w świecie, panią Lorraine McQueen; a młody Tommy, teraz liczący sobie trzynaście lat bez dwóch dni, powstał, aby przeczytać wiersz ułożony na tę okazję, oświadczając, że stał się mężczyzną dzięki swojemu strażnikowi i inspiratorowi, Tarquinowi Blackwoodowi. Tylko ja nie potrafiłem zachować się stosownie do okazji. Stać mnie było jedynie na uśmiech, pozdrowienie wszystkich uniesieniem kieliszka i powiedzenie, że jestem bardzo szczęśliwy, iż w końcu wracamy do domu, do tych wszystkich, za którymi tęskniliśmy podczas naszych podróży, a gdy znajdziemy się w kraju, będziemy mogli ocenić to wszystko, czego się nauczyliśmy.

Natłok zmartwień i obaw wprawiał mnie w iście bajroniczną melancholię. Najbardziej dokuczał mi zakaz spotkania z Moną. Moje myśli krążyły również obsesyjnie wokół Petronii, tego jakże śmiałego mieszkańca Samotni, i oczywiście myślałem o Goblinie. Czy byłem na tyle

głupi, że wierzyłem, iż Goblin nie pokaże się, gdy tylko wkroczę w orbitę

dworu Blackwood? Nie.

I tak zakończyło się trzypółletnie intermezzo.

Rano następnego dnia wylecieliśmy do Newark, skąd mieliśmy

bezpośrednie połączenie do Nowego Orleanu.

Clem i Jasmine przywitani nas na lotnisku. Tak się cieszyłem na ich widok, że zalałem się łzami, biorąc ich w objęcia; nigdy wcześniej Clem nie wydał mi się tak przystojny w swoim szoferskim uniformie i czapce i nigdy Jasmine nie wyglądała tak uroczo w szytym na miarę kostiumie z szarej wełny i białej marszczonej bluzeczce, będącej jej znakiem firmowym. Szłochala jak bóbr.

Wesoły kochany Allen również przyjechał, taszczył bagaże do pikapa i rzuciłem się ścisnąć go i całować, po czym nastąpił moment prawdy, gdy pojawiła się Terry Sue, w takiej samej różowiułkiej sukience, jaką miała na sobie trzy lata temu, z niemowlęciem na biodrze (okazało się, że poprzednie nie było dzieckiem dziadka), a Tommy pobiegł do niej, objął ją i ucałował.

Chwilę trwało, zanim rozpoznałem szczupłą, śliczną nastolatkę, która jej towarzyszyła. To była Brittany.

Tommy patrzył na nas, oczekując jakiejś wskazówki, wobec czego odciągając go na bok, zadałem mu pytanie, które powinienem był postawić, zanim doszliśmy do tych rozstajów: „Czego chcesz?” „Zostać z wami”, brzmiała jego odpowiedź. Wtedy podszedłem do Terry Sue i oznajmiłem jej, że Tommy pragnie zakończyć podróż na dworze Blackwood, jeśli tylko ona na to pozwoli, powiedziałem również jej i Brittany, iż to cudownie, że przyszły powitać nas na lotnisko. Wsunąłem Terry Sue do ręki wszystkie dwudziestki, które miałem w portfelu, a było

ich niemało.

- W porządku, zachowuj się, Tommy Harrison - powiedziała I

ucalała go serdecznie.

- Brittany, zadzwonię do ciebie wieczorem - obiecał siostrze.

- Wyrosłaś na piękną dziewczynę - powiedziałem do Brittany.

Oczywiście ciotka obsypała ją komplementami i nawet obdarowała

zdjętą z szyi kameą - jednym z nowych egzemplarzy kupionych w Torre del

Greco.

Spodziewałem się tych czułych emocji i mimo zmęczenia uległem im z

radością, ale gdy jechaliśmy wielkim samochodem ciotki, ja rozłożony na

kanapie, wyczerpany po długim locie, i wyjrzałem przez okno, okazało się,

że jestem całkowicie nieprzygotowany na wzruszenie, które ogarnęło mnie

na widok soczyście zielonych traw, rosnących wysoko wzdłuż drogi,

rozkołysanych, obsypanych kwieciami oleandrów, gdzieś dębów -

na widok zwiastujący, że naprawdę jesteśmy w domu. Poczulem, że jestem

w Luizjanie i byłem w siódmym niebie. Zanim dojechaliśmy do hikorowej

alei prowadzącej do dworu, byłem tak poruszony, że ledwo udało mi się

powiedzieć Clemowi, aby zatrzymał wóz.

Wysiadłem i ogarnąłem wzrokiem długi podjazd. Trudno nazwać to,

co przeżywałem. Nie było to szczęście. Nie był to smutek. Niemniej jednak

czulem się zupełnie bezbronny i płakałem najśłodszymi łzami.

Nash pomógł ciotce wyjść z samochodu i stanęła obok mnie.

Patrzyliśmy na dalekie białe kolumny.

- To twój dom - powiedziała. - I zawsze będzie twój. Musisz się nim

opiekować, gdy ja już odejdę.

Objąłem ją i pochylilem się, aby ją pocałować, może po raz pierwszy uświadamiając sobie, jak jestem wysoki, i czując się nieco nieporadnie w moim jakby nowym ciele. Potem wypuściłem ją z objęć.

Gdy szliśmy dalej podjazdem, kolejne widoki budziły we mnie te same uczucia miłości i niepokoju, a może smutku. Nie potrafiłem ich nazwać. Fala wspomnień z dzieciństwa paraliżowała mnie i onieśmiałała, a ja tylko wiedziałem, że jestem w domu.

Oczywiście, myślałem o Goblinie, ale nie czułem jego obecności. I oczywiście, myślałem o Patsy i w każdej chwili spodziewałem się jej widoku. Ale to sam pejzaż budził we mnie tytaniczne emocje - kwietniki dziadka, sfalowane trawniki, dęby pochylające ciemne konary nad cmentarzem, napierające moczary i nierówna ściana powyginanych, udręczonych pni drzew.

Potem wydarzenia potoczyły się bardzo szybko. Byłem krańcowo wyczerpany, dlatego zapamiętałem je luźnymi fragmentami, niemniej jednak jasnymi i wyrazistymi.

Zjadłem monstrualnej wielkości śniadanie przygotowane przez zapłakaną Babę Ramonę, która ofuknęła nas zdrowo za to, że zniknęliśmy na trzy i pół roku. Tommy jadł ze mną i dwór Blackwood zrobił na nim chyba takie samo wrażenie jak zamki w Anglii i palazzi w Rzymie.

Wszedł uroczy chłopczyk, anglo - afrykańskie połączenie błękitnych oczu, wyrazistych afrykańskich rysów twarzy i blond kędziorków, oznajmiając mi z dumą, że ma na imię Jerome i liczy sobie trzy lata.

Pogratulowałem mu jednego i drugiego, zachodząc w głowę, kim, na Boga, są jego rodzice. Powiedziałem, że pięknie się wysławia jak na swój wiek.

*- To dlatego, że wychowuje się w kuchni, tak jak z tobą bywało -
oświeciła mnie Baba Ramona.*

Przyszedeł lekarz ciotki Queen i powiedział, że jego pacjentka musi pozostać w łóżku do końca tygodnia i pielęgniarka nie powinna jej odstępować. „To sprawa podeszłego wieku”, szepnął mi na ucho. Gdy tylko odpocznie po wyczerpującym wysiłku, powinna wrócić do formy.

Przeżyłem pół godziny rozpacz, na próżno usiłując połączyć się telefonicznie z Moną. W Mayfair Medical nawet nie chciano potwierdzić, że jest tam leczona. Służba przy Pierwszej Ulicy też nie podała mi żadnych informacji. W końcu dopadłem Michaela, który oznajmił mi tylko, że Mona jest chora; mogę się modlić w jej intencji, ale o spotkaniu nie ma mowy.

Myślałem, że oszaleję. Byłem gotów jechać prosto do Mayfair Medical i przeszukać wszystkie pokoje, gdy Michael niespodziewanie powiedział, jakby czytał mi w myślach:

- Quinn, posłuchaj. Mona prosiła, żebyś jej nie odwiedzał. Kazala wiele razy nam obiecać, że nie wpuszczimy cię do niej. Serce by jej pękło, gdybyśmy złamali słowo. Nie możemy tego zrobić. Odwiedziny byłyby egoizmem z twojej strony. Nie rozumiesz tego?

- Wielkie nieba, czy chcesz powiedzieć, że wygląda tak źle, jak się czuje? Ze jej stan się pogorszył. Ze... - Przez chwilę nie mogłem mówić.

- Tak, Quinn. Ale nie trać nadziei. My jesteśmy od tego jak najdalsi.

Staramy się przywrócić ją do zdrowia. Ma dobry apetyt. Nie podupała na

duchu. Ma swoje książki. Ma swoje filmy. Dużo sypia. To zrozumiałe.

- Czy wie, że wróciłem?

- Tak, wie i cię kocha.

- Czy mogę wysłać jej kwiaty?

- Tak, możesz, ale nie zapomnij przypiąć do każdego kosza i bukietu

karteczki z napisem, że są dla Ofelii Nieśmiertelnej, dobrze?

- Czemu nie mogę porozmawiać z nią przez telefon? Czemu nie

możemy wysłać do siebie maili?

Zapadła długa cisza, po czym rzekł:

- Jest na to za słaba, Quinn. I nie chce tego. Jest bardzo ciężko chora,

synu. Ale to nie będzie wiecznie trwało. Poczuj się lepiej.

Kiedy tylko się rozłączyłem, zamówiłem ciężarówkę kwiatów, kosze

lilii, margerytek, cynii i wszystkiego, co tylko wpadło mi do głowy.

Miałem nadzieję, że rozjaśni jej samotną celę. Na każdej załączonej

karteczce kazałem wypisać wielkimi literami: Dla mojej Ofelii

Nieśmiertelnej.

Potem poszedłem do kuchni, czując zawroty głowy po szybkiej

zmianie stref czasowych i z przygnębienia. Zobaczyłem Tommy'ego

grającego w scrabble'a z małym Jerome'em i pomyślałem: Jakie to

niesamowite, że taki mały człowiek umie grać w tę grę - Po chwili

spostrzegłem, że tak naprawdę to Tommy tylko uczy go różnych słów,

takich jak „być” i „żyć” - „stół” i „wół” - „stać i „pchać”.

Powlokłem się do spiżarni i myśląc, że dziecko jest jednym z licznych

potomków braci i siostr Jasmine, spytałem ją: „Kim są jego rodzice?”, na

co usłyszałem: „Ty i ja”. Mało nie zemdlałem. Dodała jeszcze: „Na drugie ma Tarquin”.

Pamiętam, że wróciłem do kuchni, unosząc się nad podłogą. Gdy wpatrywałem się w mojego syna i adoptowanego trzynastoletniego wujka, czułem, że spotkał mnie wielki i wyjątkowy zaszczyt. Komu los zesłał tak wybitnych przedstawicieli następnych pokoleń? Gdy pokazała się Jasmine, objąłem ją i ucałowałem. Odepchnęła mnie, mówiąc pod nosem, że już dość było całowania i ściskania między nami i że chyba to wiem.

Byłem autentycznie zamroczony, idąc do sypialni ciotki Queen.

Spojrzała na mnie z szeszlona, na którym spoczywała pod jedną z jej białych narzut. Piórka peniuaru falowały to w jedną stronę, to w drugą, posłuszne łopatkom wentylatora.

- Kochany chłopcze, czas do łóżka - powiedziała. - Jesteś blady jak ściana. Spałam w samolocie, ale ty nie. Ledwo trzymasz się na nogach.

- Pijesz szampana?! - zapytałem głośno. - Musisz, bo mamy coś do świętowania.

- Chodź tu do mnie! - zawołała Jasmine, która usiłowała mnie dogonić. Nie dałem się zbić z tropu.

- Tak, szampan! - powiedziałem, odkrywając schłodzoną butelkę w lodzie i dodatkowy kieliszek. Ciotka już zamoczyła usta w bąbelkach.

Która była godzina? Kogo to obchodziło? Piłem i opowiedziałem

ciotce wszystko o Jasmine, chociaż ta wbiła swoje znakomicie

wyszlifowane paznokcie w moje ramię i przeklinała mnie, szepcząc do ucha,

na co nie odpowiedziałem nawet jedną sylabą.

Ciotka nie posiadała się z radości!

- Ależ to wspaniale! - wykrzyknęła. - A ja przez cały czas myślałam,

Tarquin, że jesteś dziewicą! Przyprowadźcie mi to dziecko. A ty, Jasmine,

zdumiewasz mnie. Na Boga, czemu do nas nie napisałaś, nie pisałaś

słówka! Przecież chociażby potrzeba Kogoś do opieki nad dzieckiem.

I tak sprowadzono ślicznego malca przed oblicze ciotki Queen, a ja

zamroczony i szczęśliwy opróżniłem kolejne dwa kieliszki szampana,

osiągając stan kompletnego opilstwa. Tymczasem mój syn dowiedział się,

że jestem jego ojcem. Tommy również dowiedział się tych wieści, pouczony

przez ciotkę, że w tym domu nie mamy przed sobą tajemnic, bo dzięki temu

tylko stajemy się lepsi.

Padłem jak długi na łóżko ciotki i jakaś błogosławiona osoba

odsunęła stopy wymyślnych narzut i zastępy buduarowych lalek, tak że

zaryłem nosem w nieskazitelnie czyste poduszki i niewątpliwie ta sama

osoba zdjęła mi buty, tak że wkrótce znalazłem się pod niebiańskim

ciężarem pościeli, owiewany chłodnym powietrzem z klimatyzatora, i

głęboko zasnąłem.

Śniłem o Goblinie. To był okropny sen. Goblin cierpiał, nie mogąc się

ze mną połączyć. Był niewyraźny, obrzydliwa istota z oparów, usiłująca

stać się ciałem, ale bez udziału mojej woli był niewyraźny i żaloszny.

Czułem, że byłem wobec niego zimny i okrutny.

Tańczyłem z Rebeką. Powiedziała: „Moja zemsta nie spadnie na

ciebie. Byłeś dla mnie za dobry”. „A na kogo w takim razie?”, spytałem, a

ona śmiała się w odpowiedzi. Przepadła, a muzyka wraz z nią. Otworzyłem oczy.

Obok mnie leżała ciotka. Miała na nosie okulary, oprawione w srebrne druciki. Czytała tanie wydanie Magazynu osobliwości, które dałem jej w samolocie, i powiedziała mi:

- Quinn, Dickens to wariat.

- Och, nie ulega kwestii - przytaknąłem jej. - Książka staje się coraz bardziej szalona, w miarę jak nieszczęścia osaczają małą Nell, przekonasz się, czytaj dalej.

- Och, czytam.

Przytuliła się do mnie. Piórka jej peniuaru łaskotały mnie w nos, ale uwielbiałem to. Uwielbiałem dotyk jej kruchego ramienia. Mógłbym czytać książkę razem z nią, gdybym chciał. Czulem słodką woń jej perfum. Mogła używać najlepszych, a skrapiała się Chantilly z drugstore'u. Nie ma i nie było cudowniejszego zapachu na świecie.

Niebo za oknem fiolelowiało.

- Boże, jest prawie ciemno - zawołałem. - Muszę płynąć do Samotni!

Muszę obejrzeć moje najświętsze dzieło sztuki.

- Tarquinie Blackwood, nie popłyniesz na bagna o tej porze.

- Nonsens, muszę popłynąć - powiedziałem, całując ją w czoło i delikatny upudrowany policzek. - Nie mogę się spotkać z Moną ani z

Goblinem, przy czym muszę przyznać, że straty Goblina wcale nie żałuję, ale muszę dostać się na wyspę i obejrzeć, co wyszło z moich planów.

Byłem głuchy na dalsze protesty. Pobiegłem do siebie i nadal czulem,

że w głowie mi się kręci, gdy wkładałem nowe dżinsy, koszulę i wysokie buty (wszystko dobrane na mój nowy rozmiar przez Babę Ramonę, gdy tylko się dowiedziała, że wracamy).

Następnie

wziąłem

trzydziestkęósemkę z nocnego stolika i zbiegłem na parter. Z kuchni zabrałem butelkę wody i długi nóż, a z szopy latarkę, i poszedłem na przystań.

Oczywiście deptałem zakazy mojego śmiałego i bezwzględnego współnika, ale nigdy nie powiedziałem, że je uszanuję, prawda?

Odnowiłem Samotnię z myślą o sobie. Nowe meble miały służyć mojej wygodzie i chciałem je obejrzeć. Nie bałem się go, a jeśli już budził jakieś moje uczucia, to głęboką ciekawość. Chciałem się z nim spotkać i wymienić poglądy - może po prostu szczerze porozmawiać, może obgadać sprawę „naszego” domku, aby się przekonać, czy faktycznie nasza umowa została jego zdaniem zrealizowana, jako że to ja przeprowadziłem wszystkie wspaniałe renowacje, nie on.

Nieobecność

Goblina

nie

miała

żadnego

znaczenia;

nie

potrzebowałem jego pomocy. Byłem gotów zająć się wszystkim samodzielnie. Dom na wyspie należał do mnie.

Idąc obok cmentarzyka, zatrzymałem się koło nagrobka Rebeki.

Oświetliłem płytę latarką. Przypomniała mi się częśćka snu i znów usłyszałem jej głos, jakby stała blisko mnie. „Moja zemsta nie spadnie nie ciebie”, powiedziała. „A na kogo w takim razie?”, spytałem. Ogarnęło mnie przeczucie czegoś strasznego - jakby życie miało dla mnie w zanadrzu tylko rozpacz i ból.

Czy Mona nie była śmiertelnie chora, w rozpaczliwym stanie, podczas gdy ja pędziłem do Samotni, nawet nie poświęciwszy jej jednej myśli? Mona tak bardzo chciała obejrzeć Samotnię. Cóż jednak mogłem dla niej zrobić? Pomodlić się w jej intencji, nic więcej.

Niebo ciemniało. Musiałem wypłynąć.

Postanowiłem, że po powrocie pojedę do Mayfair Medical.

Przeszukam oddziały. Przecież w każdym szpitalnym pokoju jest okno, przez które pielęgniarki kontrolują stan pacjentów. Dotrę tak blisko Mony, jak to tylko będzie możliwe. Nikt mnie nie zatrzyma, ale na razie przyciągała mnie Samotnia. Musiałem płynąć.

Wrzuciłem rzeczy do pirogi i sprawdziwszy, czy w rewolwerze są naboje, odbiłem od brzegu. Czerwieniejące teraz niebo było na tyle jasne,

że widziałem wyraźnie drzewa, zresztą znałem już drogę, a poza tym niebawem się okazało, że pirogi używane podczas renowacji wyznaczyły drogę. Przetarły szlak, że tak powiem. Wkrótce płynąłem naprawdę szybko.

Niecałe pół godziny później zobaczyłem światła Samotni! Gdy przybiłem do nowej przystani i zacumowałem pirogę, zobaczyłem rozjarzone okna i białe lśniące marmury schodów. Wokół całego domu wyrosły kwietniki, a glicynia pięknie oplatała dach. Domek z wieloma łukami przypominał koptyjski kościółek.

W drzwiach stał nieznajomy w swoim męskim przyodziewku, z rozpuszczonymi długimi włosami; ani nie zapraszał mnie dalej, ani żadnym gestem nie zakazywał mi wstępu, tylko mi się przyglądał.

Skąd miałem wiedzieć, że to ostatni dzień mojego śmiertelnego życia? Skąd miałem wiedzieć, że te wszystkie drobiazgi, które ci opisałem, wyznaczą kres mego istnienia - że ojciec Jerome'a, bratanek Tommy'ego, syneczek ciotki Queen, paniczek Jasmine i Szlachetny Abelard Mony wkrótce umrze?

Znalazłem wykładaną płytami ścieżkę prowadzącą do stóp schodów.

Allen wspomniał mi o niej przez telefon, ale zapomniałem, że ją ułożono.

Zapomniałem również o kwiatach, o tym, jakim spokojem i słodyczą tchną w świetle padającym z okien.

Zbliżyłem się do schodów. Stał u ich szczytu, bez słowa mierząc mnie wzrokiem.

- Czy mam prosić o twoje pozwolenie, żeby wejść? - spytałem.

- Och, wiąże z tobą wielkie plany - odparł. - Wejdz i przystąpię do ich realizacji.

- Mówisz to z serca? - spytałem. - Ton twojego głosu każe mi w to wątpić. Jestem ciekaw domu, chętnie go obejrzę, ale nie chciałbym ci przeszkadzać.

- Ależ wejdz, jak najbardziej. Być może w dzisiejszą noc pozostawię cię w spokoju.

- Teraz zaskakujesz mnie przyjaznym tonem. Ale czy na pewno pozostawisz mnie w spokoju?

Cofnął się, oświetlony światłem, i natychmiast spostrzegłem, że tego wieczoru jest jednak zdecydowanie kobietą. Pociągnęła usta czerwoną szminką i zaznaczyła brwi antymonem, stając się bardziej uwodzicielska.

Lśniące czarne włosy osłaniały ją jak szata. Miała na sobie prostą tunikę z długimi rękawami i luźne Proste spodnie. Całość z czerwonego aksamitu.

Wąską talię ścisnęła paskiem z onyksowych kamei, zapinanym z przodu.

Było to prawdziwe чудо; każda kamea miała dwa cale średnicy. Stała boso, paznokcie u nóg i rąk pomalowała na złoto.

- Jesteś piękna, przyjaciółko - powiedziałem, czując cudowną ekscytację. - Czy mogę się tak do ciebie zwracać? - Ugryzłem się w język.

Nie spodziewałem się, że będzie tak ponętna. Tamta dawno miniona noc zostawiła w mojej pamięci wspomnienie znacznie brutalniejszego i bardziej przerażającego stworzenia.

Zaprosiła mnie do środka.

- Oczywiście, że możesz - odpowiedziała swoim niskim głosem, gdy przechodziłem obok niej, głosem pasującym zarówno do mężczyzny, jak i do kobiety, a gdy się uśmiechnęła, jej twarz rozbłysła. - Rozejrzyj się po swoim znakomitym domu, mały dżentelmenie.

- Ach, „mały” - powtórzyłem po niej. - Czemu każdy mówi mi „mały”?

- Niewątpliwie dlatego, że jesteś tak wysoki - odparła uprzejmie - i dlatego że masz taką niewinną twarz. Powiedziałam ci raz, że mam na twój temat pewną teorię. Okazała się słuszna. Wiele się nauczyłeś i wystrzeliłeś w górę. Jedno i drugie to powód do chwały.

- A więc akceptujesz mnie.

- Jak mogłabym cię nie akceptować? Rób to, na co masz ochotę.

Obejrzyj swoje arcydzieło.

Nielatwo było oderwać od niej wzrok. Niemniej zrobiłem to, do czego mnie zapraszała, i przekonałem się, że pokój prezentuje się oszalamiająco.

Biała marmurowa podłoga lśniła czystością. Sprowadzane z daleka ciemnozielone sofy okazały się tak luksusowe, jak tego oczekiwałem. Złote,

rozstawione między oknami świeczniki rzuciły światło na niebywale, złocone belki sufitowe. Przed kanapami stały niskie stoliczki i fotele, których oparcia miały kształt łabędziej szyi, typowy dla antycznych, greckich mebli.

Jej biurko i krzesło pozostały, lecz doprowadzono je do stanu oryginalnej świetności. Pojawił się natomiast wielki nowy kominek, czarny Franklin, z niewielką kupką popiołu, jako że było ciepło - Kręcone schody na piętro wykonano z gęstej, a przy tym niezwykle kunsztownej kratownicy z brązu. Pod nimi umieszczono jedyny regał na książki, z głęboko rzeźbionego drewna, zapelniony broszurowymi wydaniem.

W całym domu nie było jednej rzeczy, która nie cieszyłaby oka. A jednocześnie wydawał się całkowicie nie na miejscu, groteskowy, nieczysty, nie pasował do nocnych odgłosów mokradel. Czy była to wina mojego młodzieńczego obłąkania, czy jej kompletnego szaleństwa?

Nawet naczynie na jej biurku to był złoty kielich zdobiony szlachetnymi kamieniami. Wyglądał zupełnie jak cyborium.

- I to było cyborium - zauważyła - dopóki pewien złodziejaszek nie sprzedał mi go na ulicy w Nowym Orleanie. Chyba nadal jest święte, prawda?

- Czyżby? - rzekłem, zauważając, że potrafi czytać w myślach.

Dostrzegłem dwie butelki czerwonego wina, już odkorkowane, stojące obok cyborium.

- To dla ciebie, królu Tarkwiniuszu - powiedziała. Gestem dała mi znać, abym obejrzał cały dom, jeśli mam na to ochotę.

Postąpiłem zgodnie z jej sugestią.

- Ach, znasz historię mojego imienia. - Niezdarnie starałem się dorównać jej elokwencji. - To się rzadko zdarza.

- Król Tarkwiniusz, władca starożytnego Rzymu w okresie królewskim - dodała, uśmiechając się.

- Myślisz, że żył naprawdę, czy jest tylko legendą?

- Och, żyje jak najbardziej w starych legendach - odparła - i w moich myślach, przez te wszystkie lata, przez które ty w nich żyłeś. Zdałeś egzamin w moich fantazjach. Tak naprawdę nie wiem, dlaczego wzdycham za tym odległym rajem, ale wzdycham za nim, a ty odnowiłeś mój domek i jest wspaniały. Porzucam inne miejsca, gdy rozgłos zaczyna mi dokuczać, i przybywam tu, by doświadczać uczucia pełnego komfortu. Twój pracownicy nie zapominają nawet o sprzątaniu, przyplływają za dnia, wycierają na mokro podłogę, froterują ją. Myją okna. Zupełnie się nie spodziewałam takiej dbałości.

- Tak, robią to na moje polecenie. Muszę ci powiedzieć, że uważają mnie za kompletnego pomyleńca. - Miałem wrażenie, że mówi to ktoś inny, nie ja.

- Spodziewam się, ale to zwykła cena wszystkich szaleńczych ekscentryczności, a drobna ekscentryczność jest diabła warta, nie wydaje ci się?

- Nie wiem - odpowiedziałem ze śmiechem. - Jeszcze tego nie rozpracowałem.

Dojrzałem wielkie ciemne futro z norek przerzucone przez jedną z

kanap - to musiała być kapa, peleryna, coś takiego.

- Czy to na zimne noce? - spytałem.

- O, tak - odparła - i również do fruwania. W chmurach jest przeraźliwie zimno.

- Fruwasz? - spytałem, usiłując się dostosować do jej poczucia humoru.

- W rzeczy samej, fruвам - odpowiedziała bez uśmiechu. - Jak inaczej bym się tu dostała?

Roześmiałem się, ale bez przekonania. Taka wizja wykraczała poza granice absurdu.

Była teraz niepokojąco urodziwa, gdy światło świeczników miękko ją otulało. Jej piersi sterczały pod tuniką, a zachwycające nagie stopy i pomalowane na złoto paznokcie wręcz nie dawały mi spokoju.

Popatrzyłem raz i już nie mogłem oderwać od nich oczu. Były drobne, kształtne, zachwycające. Na dużym palcu nosiła pierścień i było w tym coś cudownie nieprzyzwoitego.

Nagle trzy i pół roku seksualnej abstynencji bardzo mi zaciążyło, zwłaszcza że wydawała się otwarta na wiadome propozycje, rozwiązła.

Poza tym było coś uwodzicielskiego w tym, że teraz była niższa ode mnie - kiedyś wielka diablica, która lata temu w łazience robiła ze mną, co chciała.

- A jak już mówimy o Goblinie - powiedziała przemiłym tonem - to czuję, nie ma przy tobie tego demona. Żałuję niezmiernie. Czy spodziewasz się, że wróci i będzie lasił się u twoich stóp jak wierny pies, czy myślisz, że

przepadł na zawsze?

- Zdumiewa mnie - odrzekłem - że mówisz tak słodkim tonem tak nieprzyjemne rzeczy. Nie wiem, czy utraciłem go na zawsze. Możliwe. Możliwe, że zawarł komunię dusz z kimś innym. Dałem mu osiemnaście lat życia. Potem rozdzieliła nas odległość. Już nie twierdzę, że potrafię go zrozumieć.

- Nie chciałam być nieprzyjemna. Prawdę mówiąc, a lubię mówić prawdę, kiedy mogę, nie spodziewałam się, że będziesz takim sangwinikiem.

Nie wiedziałem, co znaczy słowo „sangwinik”. Skinęła głową w kierunku stołu i nalata wina do cyborium.*

- Trzy i pół roku nauczyły mnie większej łagodności - powiedziałem. - Nigdy bym się nie spodziewał, że zaprosisz mnie do środka. Przeciwnie, wyobrażałem sobie, że będziesz zazdrosna o swoje prawa do Samotni. Wyobrażałem sobie, że mnie odprawisz.

- A czemu twoim zdaniem miałabym to zrobić? - spytała. Podala mi puchar. Na palcu miała wielki szafir. - O, tak. Wy - rzeźbiłam na nim podobieństwo boga Marsa. Kiedyś zostałam mu poświęcona, ale to był żart. Byłam ofiarą wielu żartów.

- Nie pojmuję dlaczego - rzekłem. Spojrzałem na wino. - Mam pić sam?

Roześmiała się łagodnie.

- Przez chwilę. Proszę, śmiało. Sprawisz mi przykrość, jeśli nie wypijesz.

Wychowano mnie tak, że nie mogłem pozostać obojętny na tego rodzaju uwagę, tak więc wypilem, zauważając dziwny, chociaż wcale przyjemny smak. Pociągnąłem kolejny łyk. Ogarnęła mnie ekscytacja.

- Mówisz szczerze, prawda? - spytała. - Nie rozumiesz, czemu ludzie się ze mnie śmieją czy śmiali, prawda?

- Nie rozumiem - odparłem. Zachowywałem się jak to zwykle ja, piłem dalej wino, rozkoszując się jego smakiem, i nagle zaszumiło mi w głowie. Żadnego lanczu. Żadnej kolacji. Nie spałem w samolocie. Ani wcześniej. Musiałem się pilnować.

- Śmiali się i nadal się śmieją, bo jestem zarówno mężczyzną, jak i kobietą. Ale ty nie widzisz tu powodu do żartów, prawda?

- Powiedziałem ci, że nie. Przeciwnie, wydajesz mi się wspaniała. I myślę, że byłaś wspaniała. Rany, ale mocne to wino! Czy to wino? -

** Człowiek o żywym, zapalnym charakterze.*

Dostrzegłem, że na butelce nie ma nalepki. Podłoga zakołysała się pod moimi nogami. - Czy pozwolisz, że usiądę? - Poszukałem wzrokiem krzesła.

- Ależ jak najbardziej. - Przysunęła mi jeden z foteli o oparciach wygiętych jak łabędzia szyja. Wyglądał elegancko, zupełnie jak meble na greckich wazach. Pamiętam, że gdy je zamawiałem, Allen zażartował przez telefon, że teraz w moim domu z marmuru i złota będzie pełno łabędzi.

- Tak, pracownicy śmiali się z twojego wyboru - rzekła, czytając mi w myślach - ale masz doskonały gust.

- Och, nie wątpię - powiedziałem, czując się bardziej pewny siebie,

gdy już siedziałem. Postawiłem puchar na brzegu biurka. Oparłem się o blat.

- Wypij jeszcze - zachęciła mnie. - To wyjątkowy napój. Można powiedzieć, że sama go stworzyłam.

- Och, nie mogę - wyznałem. Spojrzałem jej w oczy. Biła z nich siła.

Ludzie o wielkich oczach mają takie spojrzenie. A jej oczy były niewiarygodnie wielkie. Białe i czarne.

Przysiadła na blacie i patrzyła na mnie z wysoka. Uśmiechnęła się krzepiąco.

- Chyba nie wiem, co z tobą zrobić, kiedy jesteś taki uprzejmy -

wyznała. - Kiedyś byłeś moim uprzykrzonym wrogiem, a teraz

chciałabym, żebyś mnie pokochał. Może pokochasz, gdy wszystko zostanie powiedziane i uczynione.

- To całkowicie możliwe, ale jest tyle rodzajów miłości, prawda?

Nadal jestem religijny, a coś mi mówi, że ty żyjesz, nie trzymając się żadnych zasad.

- Katolik - powiedziała. - Oczywiście. Wielki Kościół. Ty i pani

McQueen przeżywacie wszystko tylko w wielkiej skali, prawda? Któregoś wieczoru w Neapolu chyba widziałam, jak uczestniczyliście we mszy. Nie.

To było w katakumbach w San Gennaro. Twoja rodzina zamówiła

prywatne zwiedzanie. Ależ jestem tego pewna. - Uniósła cyborium i

napętnia je z butelki. Podała mi kielich.

- Widziałaś nas w Neapolu? - W głowie mi wirowało. Piłem wino,

myśląc, że parę następnych łyków może wyeliminuje tę dolegliwość. To się

czasem zdarza, prawda? Oczywiście, nic takiego nie nastąpiło. - Co za niezwykły przypadek. Boja przysięgłbym, że także widziałem cię w Neapolu.

- A gdzie to?

- Czy jesteś moim wrogiem? - spytałem.

- W żadnym wypadku - powiedziała. - Jeśli zdołam, uwolnię cię od podeszłego wieku i śmierci, od cierpień i bólu, od prześladowania widm i udręk twojego famulusa, Goblina. Uwolnię cię od żaru i zimna, od wysysającej bezprzedmiotowości południowego słońca. Wprowadzę się w łagodne światło księżyca i wieczystą domenę Drogi Mlecznej.

- To dziwne słowa. Nie rozumiem ich. Przysięgłbym, że widziałem cię w Neapolu, że widziałem cię na balkonie hotelu Excelsior, że nastąpiłaś na mnie nocny koszmar. Czy to nie szaleństwo? Z pewnością powiesz, że tak.

- Nocny koszmar? - spytała łagodnie, słodko. - Nazywasz część mojej duszy koszmarem? Och, ale któż nie chciałby cząstki duszy innego?

Przecież pragniesz duszy Mony Mayfair. Nie masz pojęcia, co byś przeżył, widząc ją teraz.

- Nie szargaj jej imienia - zaprotestowałem. Byłem zaskoczony. Nagle odniosłem wrażenie, że wszystko, co się ze mną dzieje, zmierza w złym kierunku. Mona, moja ukochana Mona. Nie mów o Monie. To wino nie było winem. Dom mnie przytłaczał. Sama Petronia była zbyt wielka, zbyt majestatyczna na to, żeby być zwykłą kobietą. A ja byłem zbyt pijany, aby przebywać w tym miejscu.

- Kiedy z tobą skończę, nie będziesz chciał Mony Mayfair -

powiedziała szybko, niemal gniewnie, chociaż ton jej głosu pozostał łagodny. Mruczała po kociemu. - I nie dowiesz się niczego więcej o mojej duszy. Moja dusza zamknie się, jakby klucz, złoty klucz, obrócił się w niej w środku. I między nami zalegnie wyłącznie cisza, cisza, którą teraz znasz.

- Muszę się stąd wydostać - wymamrotałem. Wiedziałem, że nie utrzymam się na nogach. Próbowałem. Mięśnie odmówiły mi posłuszeństwa. - Muszę wrócić do łodzi. Jeśli masz odrobinę honoru, pomożesz mi.

- Nie mam ani odrobiny honoru, więc zostań, gdzie jesteś - rozkazała.

- Wkrótce się rozstaniemy, ale kiedy ja zechcę, nie ty, i będziesz mógł zatrzymać ten dom jako swoją Samotnię, i nawet daruję ci w spadku grobowiec. Tak, możesz to mieć i możesz tu spróbować swojego szczęścia i może będziesz tęsknił za tymi mrocznymi, żywotnymi moczarami, jak ja za nimi często tęskniłam. Mam wrażenie, że czekałam na ciebie te długie trzy i pół roku, wiedząc, że oddam ci to wszystko, gdy się z tobą spotkam. Tak, czekałam. Czemu to musi się dokonać, tego nie wiem...

- Co? Co musi się dokonać? O czym ty mówisz? - pytałem z nutą prośby. - Nie rozumiem cię.

- Zło narasta - wyjaśniła - i musi zostać przekazane nowemu i on rodzi się ze mnie, chociaż jako śmiertelna istota byłam bezpłodna.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Odwróciła się i spojrzała na mnie. Na jej twarzy wyrósł niemal boski, nieprzenikniony uśmiech.

- Czemu wciąż mi się zdaje, że jesteś wielkim kocurem? - spytałem

nagle. - Nawet twoje piękne oczy są ślepiami drapieżcy i ja jestem jakąś nieszczęsną ofiarą, wybraną na chybił - trafił.

- Nigdy na chybił - trafił - powiedziała z niezglębioną powagą. - Nie, nigdy na chybił - trafił. Zawsze starannie, bez względu na okoliczności, wedle zasług i z udręczenia samotnością. Nigdy na chybił - trafił, nie, nigdy. Jesteś bardzo kochany. Jesteś od dawna oczekiwany.

Ogarnęło mnie pijackie zamroczenie. Traciłem świadomość. Postać przede mną pojawiała się i znikala, jakby ktoś bawił się światłem i chciał mnie doprowadzić do szaleństwa. Próbowałem wstać, ale bezskutecznie. Odstawiłem cyborium na brzeg stołu i odepchnąłem je sztywnymi palcami. Zobaczyłem, że Petronia znów nalewa mi wina. Dość, pomyślałem, ale podniosła puchar i przytknęła mi go do ust. Rozchyliłem je. Spróbowałem zamknąć. Przechyliła puchar i piłem, a wino rozlewało się po moim podbródku, spływało na koszulę. Miało cudowny smak, nieskończenie cudowniejszy niż przy pierwszym łyku. Opadłem w tył. Cyborium leżało na podłodze. Czerwone wino rozlało się na podłodze. - Nie, nie, szkoda tego pięknego białego marmuru - wymamrotałem. - To wino za bardzo przypomina krew, no, popatrz. - Znów usiłowałem dźwignąć się na nogi. Nadaremnie.

Uklękła przede mną.

- Jest we mnie okrucieństwo - wyznała. - Jest we mnie okrucieństwo, które dojdzie do głosu. Nie oczekuj ode mnie niczego innego. Otrzymasz te umiejętności, które zdecyduję się ci przekazać, i tylko te, ale ja nie płodzę kwilących bastardów, pokarmu dla starszych, lecz gdy cię zostawię,

zostawię silnym i z tymi wszystkimi umiejętnościami, których będziesz potrzebował.

Nie potrafiłem jej odpowiedzieć. Moje wargi przestały się poruszać.

Nagle dojrzałem za nią Goblina! Stąpił się z nią, czysta siła, żadna iluzja i zerwała się w furii, starając się go zrzucić. Dusił ją dokładnie takim samym chwytem, jaki ona mi założyła, a Petronia podskakiwała i waliła w tył łokciem, starając się go trafić. Rozpłynął się, ale znów ją zaatakował, doprowadzając do krańcowej wściekłości.

Światło znów zaczęło migotać. Mięśnie miałem sparaliżowane.

Widziałem ją w przebłyskach, gdy przecięła pokój. Złapała wielkie futro i wróciła do mnie. Znów próbował ją unieruchomić, ale nie dała się zatrzymać. Odtrąciła go, bijąc rozwartą dłonią. Porwała mnie jednym szczupłym ramieniem, owinęła całego futrem, bez żadnego wysiłku, i złapała w objęcia.

- Pożegnaj swojego kochanka! - rzuciła pod adresem Goblina jak przekleństwo.

Byliśmy w powietrzu. Widziałem Goblina, jak do nas przywiera.

Widziałem jego twarz, otwarte wyjące usta. Osuwał się w dół, w dół, jakby tonął.

Unosiliśmy się i widziałem pod sobą chmury. Poczulem wiatr na policzkach, chłód, ale to nie miało żadnego znaczenia, bo wszędzie wokół były cudowne gwiazdy.

Przycisnęła mi wargi do ucha. I zanim całkowicie straciłem przytomność, usłyszałem, jak mówi:

*- Zapamiętaj te zimne latarnie, bo przez całe twoje długie życie może
nie znajdziesz gorętszych przyjaciół.*

Obudziłem się w dzień. Leżałem na tarasie, na miękkim łóżku, otoczony zewsząd kwiatami. Doniczki geranium stały na balustradzie, za nimi rosły białe i różowe oleandry, a w moim oszołomieniu i szaleństwie wydawało mi się, że w oddali wyrasta góra. Sądząc po zarysach, to musiał być Wezuwiusz. Wstałem, czując mdłości i obolały, na miękkich nogach podszedłem do okolonej oleandrami krawędzi. Głęboko w dole ujrzałem dachówki domów i zdałem sobie sprawę, że tą drogą nie ucieknę. Po mojej lewej stronie wiała się droga; samochody przypominały malutkie żuki. To było urwiste wybrzeże Włoch w całej swojej krasie, a za drogą pienilo się morze. Wysokie, oślepiające słońce paliło prostopadłymi promieniami i na tym tarasie nie było przed nim ucieczki. Nie mogłem się jednak dostać do środka domu, był zamknięty. Ciemnozielone okiennice nie miały żadnego uchwyty, niczego, za co mógłbym pociągnąć. Padłem na łóżko i zamknąłem oczy, chociaż usiłowałem zapanować nad tym odruchem. Myślałem jak w gorączce: Musisz stąd uciec. Musisz jakoś zejść po tym stoku. Musisz jakoś zeskoczyć na te dachy. Nie ulegało wątpliwości, że ten stwór, Petronia, chce mnie zabić. Znowu poczułem, że tracę przytomność, że zalewa mnie wrząca, mroczna fala rozpacz. Nadal byłem pod wpływem tego środka usypiającego, któremu nie potrafiłem się oprzeć. Nagle na tle nieba zarysowała się kobieca postać. Mówiła cicho i

szybko po włosku i poczułem ułknięcie w ramię. Zobaczyłem strzykawkę w jej dłoniach, gdy uniosła ją wdzięcznym ruchem, i chciałem zaprotestować, ale nie mogłem. Potem zaczęła mnie golić małą elektryczną golarką. Miałem takie wrażenie, jakby jakieś hulaśliwe zwierzątko biegło mi po górnej wardze i po policzkach.

Mówiła coś po włosku do innej kobiety i chociaż znam trochę ten język, nie rozumiałem jej, wiedziałem tyle, że narzeka. W końcu przesunęła się w bok i dojrzałem, że jest młodą brunetką i że mówiąc, unosi w górę oczy.

- Dlaczego ty chciałabym wiedzieć - zwróciła się do mnie po angielsku z wyraźnym obcym akcentem. - Czemu nie ja, chociaż minęło już tyle czasu? Służę i służę, ale ona przynosi mi ciebie i mówi, przygotuj go.

Jak do jakiejś niewolnicy.

- Pomóż mi się stąd wydostać - poprosiłem ją - a dostaniesz górę pieniędzy.

Roześmiała się.

- Ty nawet tego nie chcesz, a oni ci to dają! - powiedziała z naganą. - I dlaczego? Bo ma taką zachciankę. - Miała przyjemny głos, ale wibrowała w nim pasja. - Wszystko to dla niej zachcianka. Przyjść. Odejść. Mieszkać w tym palazzo. Mieszkać w tamtym palazzo. - Odłożyła strzykawkę.

Rozległ się metaliczny brzęk. Uniosła długie nożyczki. Odcięła mi lok włosów.

- Co mi wstrzyknęłaś? - spytałem. - Czemu mnie ogoliłaś? Gdzie

Petronia?

Roześmiała się, podobnie druga kobieta, która pojawiła się po mojej lewej stronie. Również była szczupła, modnie ubrana, ładna tak jak ta, która mnie przyszygła. Stała plecami do słońca, rzucając na mnie cień.

- Powinnyśmy cię zabić - powiedziała ta nowa - tak, żeby ona nie mogła tego zrobić. Mogłybyśmy jej powiedzieć, że po prostu umarłeś.

Obie wybuchnęły gromkim śmiechem, wyobrażając sobie ten żart.

- Czemu mi źle życzyście? - spytałem.

- Bo ona wybrała ciebie zamiast nas! - powiedziała ta ze strzykawką.

Była zła, ale nie podniosła głosu. - Wiesz, jak długo czekamy? Drażni się z nami od dzieciństwa. Zawsze ma wymówkę chyba że jest zła i wtedy z niczego się nie tłumaczy i niech Bóg ma w swojej opiece tych, którzy zgłoszą jej swoje pretensje! - Poprawiała mi włosy grzebieniem. - Na moje oko jesteś gotowy.

- Nie bój się - dodała druga. Stała, złożwszy ramiona na piersiach.

Tchnęła chłodem. Miała piękne, teraz szyderczo wykrzywione usta. - Nie zrobimy ci nic złego. Zorientowałaby się. A wtedy na pewno by nas zabiła.

- Mówicie o Petronii?

- Nie masz o niczym pojęcia - powiedziała czesząca. - Ona bawi się z tobą. Zabije cię jak resztę.

Czułem, że środek usypiający zaczyna działać, a może to działała tylko moja wyobraźnia? Byłem rozpalony do niemożliwości, bezradny jak niemowlę. I ani nie traciłem przytomności, ani nie byłem w pełni świadomy.

- Nie próbuj wstawać - nakazała mi kobieta z grzebieniem. Ale

dźwignąłem się i odepchnąłem ją od siebie. Zatoczyła się w tył, mrucząc coś po włosku. Chyba przekleństwa. - Mam nadzieję, że będzie cię torturowała! - powiedziała.

Leżałem na wznak. Wyobrażałem sobie, że czolgam się do balustrady. Lepiej już było spaść, nieważne jak nisko. Byłem durniem, nie próbując. Słyszałem ich głosy, nędzny okrutny śmiech. Nienawidziłem ich. - Słuchajcie - powiedziałem. - Pomóżcie mi dojść do balustrady. Sam przez nią przejdę. Możecie jej powiedzieć, że skoczyłem. Pewnie się zabiję, a wy będziecie szczęśliwe i nie będziecie miały mnie na głowie, jakby... jakby... - Usta odmawiały mi posłuszeństwa. Nie byłem nawet pewien, czy w ogóle udało mi się coś powiedzieć. Omdlewałem. Rzeczy w polu widzenia zaczęły się rozmywać.

Łóżko się poruszało i początkowo uznałem, że to wina mojego oszołomienia, ale potem usłyszałem skrzyp kółek. Ogarnął mnie chłód, poczułem, że ktoś zrywa ze mnie ubranie, spocząłem w ciepłej wodzie i cały się w nią osunąłem.

- Bogu niech będą dzięki - pomyślałem. Pot i gorąco przestały mi dokuczać. Ktoś mnie kąpał, a głosy tamtych kobiet zamilkły ostatecznie.

- Słuchaj - powiedział jakiś głos tuż obok mojego ucha.

Spróbowałem otworzyć oczy. W przebłysku zobaczyłem pokryty ściennymi malowidłami sufit - rozległe niebo, fruwający bogowie i boginie; Bachus w rydwanie, wokół satyrowie w wieńcach, ciągnący za sobą winną latorośl, menady z rozwianymi włosami, w postrzępionych tunikach. Wszystko świeżo malowane. Zbyt krzykliwe kolory.

Ujrzałem chłopaka, który mnie kąpał. Był jednym z tych wyjątkowo pięknych młodych Włochów o rozwichrzonej czuprynie, muskularnej klatce piersiowej i ramionach, bosko obnażony do pasa.

- Mówię do ciebie - naciskał z wyraźnym obcym akcentem. -

Rozumiesz mnie?

Usiłowałem powiedzieć: „Cudowna woda”, ale nie jestem pewien, czy mi się udało.

- Rozumiesz mnie? - powtórzył.

Spróbowałem skinąć głową, ale nie potrafiłem jej dźwignąć z brzegu wanny.

- Tak - odpowiedziałem w końcu.

- Podda cię próbom - rzekł. Nadal mnie obmywał, czerpiąc wodę złożonymi dłońmi. - Jeśli nie sprostasz jej wymaganiom, zabije cię. Zawsze tak postępuje z tymi, którzy ją zawiodą. Walcząc z nią, nic nie zyskasz.

Zapamiętaj, co mówię.

- Pomóż mi uciec - poprosiłem.

- Nie mogę.

- Wynagrodzę cię. Mam dużo pieniędzy. Nie wierzysz mi?

Wytrzeszczył oczy i potrząsnął głowę.

- To nieważne, czy ci wierzę czy nie - powiedział. - Znalazłaby mnie, bez względu na to, gdzie byśmy uciekli i cokolwiek byś mi dał. Jest zbyt potężna, abym kiedykolwiek zdołał jej uciec. Moje życie skończyło się tamtej nocy, gdy zobaczyła mnie w Wenecji - Byłem kelnerem w kawiarni.

- Zaśmiał się krótko, gorzko. - Boże, że też to ja musiałem przynieść jej

tamten kieliszek wina, że to ja dostałem tamten marny napiwek.

- Musi być jakiś sposób - powiedziałem. - Ta kobieta nie jest Bogiem. -

Znów traciłem przytomność. Ocknąłem się. Przypomniałem sobie zimne powietrze i gwiazdy wkoło. Kim ona była? Jakim potworem?

- Nie, nie jest Bogiem. - Uśmiechnął się gorzko. - Tylko jest potężna i bardzo okrutna.

- Czego może chcieć ode mnie? - spytałem.

- Postaraj się sprostać próbom - poradził mi. - Postaraj się ją zadowolić. W innym wypadku zginiesz. To zawsze spotyka tych, którzy ją zawiodą. Przekazuje ich nam, a my pozbywamy się trupów i za to pozwala nam żyć. Taka jest nasza egzystencja. Czy potrafisz wyobrazić sobie miejsce, które diabeł trzyma dla nas w piekle? Jeśli wierzysz w Boga, wykorzystaj ten czas na modlitwę.

Nie mogłem więcej nic powiedzieć. Czulem, że po kolei unosi moje ramiona i goli mnie pod pachami. Nie rozumiałem, jaki może być sens tego dziwnego rytuału, czemu lub komu miałyby to służyć.

Chyba wyczuł moje skrepowanie.

- Nie wiem, co to oznacza - rzekł mi łagodnie - ale poleciła nam, żebyśmy bardzo się tobą zajęli. - Pokręcił ze smutkiem głową. - Może to nic nie znaczy, może coś. Dopiero czas wyjaśni.

Miał tak wielki smutek w głosie, że chyba poklepałem go po ramieniu. Przez cały czas obmywał mnie ciepłą wodą, po czym powiedział mi do ucha, że zabiera mnie do miejsca, w którym ocknę się ze środków usypiających, ale nie wolno mi robić hałasu.

Zasnąłem. Obudziłem się, wiedząc, że jestem sam. Wokół panowała

cisza i bezruch, leżałem na sofie, za złotymi prętami.

Jakże moja przyjaciółka uwielbia złoto, pomyślałem, ale ja też

zawsze uwielbiałem i uwielbiam złoto. Szybko się zorientowałem, że jestem

w niebywalej, okrągłej klatce. Drzwi zamknięto na klucz i nie miałem na

nogach butów ani nawet sandałów, aby je wybić, a samymi rękami nic

bym nie zdziałał.

Byłem nagi do pasa, miałem na sobie tylko czarne luźne spodnie.

Klatka stała w ogromnej marmurowej komnacie, dokładnie takiej,

jakiej można by oczekiwać w palazzo na wzgórzu. Okna były kwadratowe,

przeszkłone, otwarte na długi taras. Zachód słońca barwił szkarłatem

niebo, powietrze migotało fioletowym blaskiem, gdy słońce zanurzało się

w morzu.

Cudowne Włochy, stok wielkiej góry, niewątpliwie blisko ruin

tragicznych miast, które dawno temu zniszczyła.

Siedziałem na sofie, patrząc, jak za oknami wyrastają pierwsze

gwiazdy, a pokój ciemnieje w coraz to łagodniejszym świetle.

Klatka, w której mnie uwięziono, miała w sobie coś tak

dekadenckiego i perwersyjnego, że natychmiast znienawidziłem ją ze

szczętem, niemniej wywarła na mnie dziwnie uspokajający wpływ,

ponieważ uświadomiła mi, że w tej potwornej grze, toczącej się między

mną a Petronią, mam jakieś szansę. To przynajmniej sugerował

przystojny laziebny. Takie przynajmniej były wnioski, do których

doszedłem. Całe to otoczenie działało jednak na mnie jak płachta na byka.

*Światła rozżarzyły się z wolna i ujrzałem lampy na ścianach,
pokrytych malowidłami przypominającymi nieco freski w Pompejach -
obrazy obwiedzione ciemnobrunatnym pasem, na których tańczyły różne
boginie odwrócone tyłem do środka komnaty.*

Kiedy

złote

kinkiety

rozjaśniły

przestrzeń,

wbrew

moim

*oczekiwaniom nie pojawiała się dumna, arogancka Petronia, ale dwaj
równie dziwni osobnicy.*

*Jednym z nich był Murzyn o tak ciemnej skórze, że wydawała się
barwy polerowanego onyksu, i chociaż wyrósł w głębi marmurowej
komnaty, to widziałem, że nosi złote kolczyki w uszach. Miał niesłychanie
delikatne rysy i jasnopiwnie oczy. Włosy miał kędzierzawe, krótko obcięte,
nieco podobne do moich.*

*Drugi mężczyzna był istną zagadką. Wydawał się stary. Nie tylko się
wydawał. Miał zwiotczale policzki, włosy srebrne i przerzedzone na
skroniach, ale jego skóra była bez plamki i skazy, jakby nie był kimś z
ciała i krwi, ale z wosku. Kąciki oczu opadały mu lekko, jakby miały
spłynąć w dół twarzy, a sterczący podbródek nadawał mu wraz
zdecydowania. Ten starzec kogoś mi przypominał, ale nie mogłem sobie*

przypomnieć kogo.

Żaden z tych osobników nie wyglądał na żywego człowieka i po chwili nabrałem pewności, że to nie mogą być ludzie.

Zerkałem na gwiazdy, które widziałem z bliska w nocy, gdy zostałem uniesiony w powietrze, i czułem potworną nieuchronność swojego losu - miałem straszliwe przeczucie, że wszystko, co znałem i co kochałem, zostanie mi zabrane i że tak naprawdę to niewiele mogę na to poradzić.

Próby, walka, pojedynki, jak zwał, tak zwał, to była tylko kwestia formy.

Czułem tępą grozę i starałem się opanować emocje. Mogłem liczyć tylko na to, że zostanę wystawiony na pokuszenie. Nie wolno mi było ulec zdumieniu ani ciekawości.

Tamci dwaj podeszli bliżej, ale bynajmniej nie byli mną zainteresowani. Tylko zarejestrowali wzrokiem klatkę i jej zawartość, po czym usiedli przy stole w środku komnaty. Zaczęli grać w szachy i rozmawiać, zwróceniu do mnie profilem, siwowłosy tyłem do rozgwieżdżonego nieba, Murzyn mając widok na dwór.

Obaj mieli na sobie nieskazitelne wieczorowe ubrania. Lśniące smokingi, spodnie z lamпасami, lakierki. Zamiast koszul i muszek włożyli białe golfy z jakiegoś bardzo świetlistego materiału. Śmiali się i żartowali, rozmawiając po włosku, tak że nie mogłem ich zrozumieć. Gdy już miałem dość tej wesołości, przemówiłem.

- Czy któryś z was mógłby mnie oświecić, dlaczego jestem tu więziony? Chyba nie myślicie, że znalazłem się w tych warunkach z własnej woli?

Odpowiedział mi starszy dżentelmen, jeszcze bardziej zadzierając sterczący podbródek.

- No cóż - odezwał się doskonałą angielszczyzną - wiesz, że musiałeś coś nabroić, skoro tu wylądowałeś. A więc, co takiego uczyniłeś Petronii? Nie ściągnęłaby cię tu, gdybyś był niewinny. Przy nas nie musisz udawać.

- Nie udaję, jestem niewinny - odparłem. - Ściągnęła mnie kierowana wyłącznie swoim kaprysem i powinienem zostać uwolniony.

- Jestem zmęczony jej gierkami, przysięgam - Murzyn odezwał się do swojego towarzysza. Głos miał mocny i słodki, jakby przywykły do rozkazywania.

- Och, daj spokój, sam wiesz, że sprawia ci to taką samą przyjemność jak jej - odparł starszy. Miał basowy głos. - Co innego cię tu ściągnęło? Wiedziałeś, że trzyma tu tego chłopca.

- Chcę tylko, żeby mnie uwolniono - powiedziałem ostro. - Policja nic wam nie zrobi, bo nie wiem, kim jesteście, a Petronii też to ujdzie na sucho, bo nigdy wcześniej nie udało mi się jej dopaść ani aresztować. Nie zamierzam nawet próbować jej szkodzić. Chcę tylko, żeby mnie wypuszczono!

Murzyn wstał z fotela i podszedł do mnie. Był wyższy od swojego towarzysza. Nie podniosłem się, aby sprawdzić, czy dorównuje mi wzrostem. Wsunął rękę przez pręty i położył mi ją na głowie. Miał chłodną dłoń. Spojrzał mi w oczy. Budził we mnie nienawiść. Zachowałem spokój tylko najwyższym wysiłkiem woli.

- Nie zrobiłeś nikomu nic złego - powiedział cicho, jakby czytał w

moich myślach. - I wlecze cię z drugiej strony świata dla swojej krwawej zabawy. - Westchnął. - Och, Petronio, czemu okrucieństwo, zawsze okrucieństwo? Czemu, moja piękna uczennico? Kiedy w końcu zrozumiesz?

- Wypuścisz mnie? - spytałem. Spojrzałem mu w oczy. Był cudowny.

Rysy miał subtelne, dobroć w spojrzeniu.

- Nie mogę tego uczynić, moje dziecko - rzekł ze spokojem. -

Chciałbym, ale wierz mi, decyzja o twoim losie zapadła. Postaram, żeby twoja agonía była krótka.

- Czemu moje życie tak niewiele dla was znaczy? - spytałem. -

Przybywam ze świata, w którym każde życie jest cenne. Czemu wy macie do niego tak odmienny stosunek?

Tymczasem dołączył do nas starzec, poruszając się sprężystym krokiem, zupełnie nie pasującym do jego wyglądu, i również spojrzał na mnie przez pręty.

- Nie, nie jesteś niewinny, nie wmawiaj nam - zarechotał. - Jesteś zamaskowanym złoczyńcą. W innym wypadku nie sprowadziłaby cię tutaj. Za dobrzeją znam.

- Nie do końca - powiedział Murzyn. - Robi, co jej się żywnie podoba, i nigdy nie ma dość.

Wpatrywałem się w starca. Wyglądał jak patriarcha.

- Patriarcha - powtórzyłem głośno i nagle skojarzyłem. - Ty jesteś naszym patriarchą. Ty jesteś na portrecie w salonie! Ty jesteś Manfred Blackwood.

- A kim ty jesteś, że śmiesz tak zuchwale wypowiadać moje imię? -

spytał stanowczo. Najeżył się.

- Wszyscy tu jesteście demonami. Boże, to piekło. - Roześmiałem się.

Znów poczułem działanie tego środka, którego Petronia dodała do wina.

Byłem bezradny. Słowa popłynęły mi potokiem z ust. - Gdyby nie Julien Mayfair, byłbyś moim przodkiem. Jestem Tarquin Blackwood, jeśli chcesz wiedzieć. Zabrała mnie z Samotni, tej Samotni, którą dla niej zbudowałeś i którą ja dla niej odnowiłem. Jestem teraz panem na Blackwood. Twoja wnuczka, Lorraine, wciąż żyje, żyje, aby mnie oplakiwać i wrywać sobie włosy z głowy, że zniknąłem z dworu Blackwood. Czy Petronia nie powiedziała ci, co zamierza?

Wpadł w furję. Złapał za pręty klatki i usiłował je rozgiąć, ale nie mógł. Tłukł w zamek. Postarzał się jeszcze bardziej w mgnieniu oka, broda mu się trzęsła, z oczu trysnęły łzy.

- Ohyda! - wrzasnął.

Murzyn starał się go uspokoić.

- Zostaw mi tę sprawę - powiedział. - Tu nie musimy uciekać się do siły. Rządzi autorytet.

- Rozumiesz, ku czemu ona zmierza? - krzyczał patriarcha. Policzki mu dygotały. Cały dygotał. Spojrzał na mnie płonącym wzrokiem. - Kto ci powiedział o Julenie? - spytał, jakby to było teraz ważne.

- On sam. Jestem medium, widzę duchy - odpowiedziałem również podniesionym głosem. - Ale jakie to ma znaczenie? Zabierz mnie z tego domu. Twoja wnuczka, Lorraine, mnie potrzebuje. Dwór Blackwood mnie potrzebuje. Mam potomka i krewnych, którzy mnie potrzebują.

Nagle pojawiła się sama Petronia. Ubrana w czarną aksamitną tunikę i luźne spodnie z paskiem z kamei przecięła długą komnatę i podeszła do mężczyzn, pytając wyzywająco:

- A co to za zgromadzenie przy klatce?

Kiedy Manfred chciał złapać ją za gardło, odrzuciła go w tył, tak że upadając, pojechał po marmurowej podłodze i rozplaszczyl się o ścianę, uderzając w nią głową z taką siłą, że zwykły człowiek zginąłby na miejscu.

Z jego gardła dobył się głęboki, straszliwy ryk.

- Nie waż się mi przeciwstawiać - powiedziała.

Murzyn objął ją ramieniem za szyję, jakby nic nie mogło

wyprowadzić go z równowagi. Przerastał ją o kilka cali, co znaczyło, że zapewne był mojego wzrostu. Położył jej głowę na swoim ramieniu.

Pozwoliła mu na to i ujrzałem, że ręce się jej trzęsą.

- Petronio, moja najdroższa, dlaczego, dlaczego zawsze wściekłość? - szepnął.

Trzymał ją w uścisku, bezwolną, podczas gdy patriarcha łkał, zebrał się z podłogi i podszedł do nich, głęboko zraniony, rozwścieczony, bezradny, trzęsąc głową.

- Moja krew - łkał - a twoje obietnice są nic nie warte, więź z tobą jest nic nie warta...

- Daj mi spokój, stary durniu - powiedziała, unosząc oczy i odwracając głowę, aby na niego spojrzeć. - Dotrzymałam obietnicy po dziesięciokroć. Dałam ci nieśmiertelność! Czego, do diabła, chcesz? A na dodatek bogactwa, o jakich ani ci się śniło. Ten chłopak jest dla ciebie

niczym, tylko sentymentalną pamiątką. Trzęsiesz się nad zdjęciami twojej ukochanej Virginii Lee, Williama i Camille, jakby ci ludzie mieli dla ciebie jakąś wartość w prochu czasu. A nie mają.

Starzec łkał. Po chwili odezwał się bełkotliwie:

- Zatrzymaj ją, Arionie. Nie pozwól jej dalej się posunąć. Zatrzymaj ją.

- Ohydny, żaloszny staruchu - powiedziała Petronia. - Stary po wieczność. Nic nie przywróci ci młodości. Brzydzę się tobą.

- To dlatego mi to zrobiłaś? - spytałem. Może mądrzej byłoby nic nie mówić, ale Arion, Murzyn, już spróbował tego sposobu i musiałem podjąć jakiś wysiłek albo pozostało mi umrzeć w poczuciu żalu, że nic nie zrobiłem.

Petronia spojrzała na mnie, jakby widziała mnie po raz pierwszy, i uśmiechnęła się. Jak zawsze w takiej chwili wyglądała pogodnie i uroczo.

Arion wciąż gładził jej gęste włosy. Obejmował ją tak, jakby darzył ją najczulszą miłością. Można by pomyśleć, że dotyk jej piersi sprawiał mu niezwykłą przyjemność.

- Nie chcesz żyć wiecznie, Quinn? - spytała.

Łagodnie oswobodziła się z ramienia Ariona i wyjęła spod tuniki złoty łańcuch, na którego końcu wisiał kluczyk, i tym kluczykiem otworzyła moje wytworne więzienie. Uchyliła drzwi. Z niewyobrażalnym okrucieństwem złapała mnie za ramię, jednym szarpnięciem poderwała z sofy, wyciągnęła z klatki i rozplaszczyła o złote pręty. Zadygotałem z bólu. Arion trzymał się blisko, oceniając mnie wzrokiem, podczas gdy

starzec stał trochę dalej. Wyjął z kieszeni smokingu małą fotografię i patrzył na nią z żalością. Zastanawiałem się, czy ogląda wizerunek Virginii Lee. Szeptał do siebie jak opętaniec.

- Czy jesteś gotów walczyć o nieśmiertelność? - spytała mnie

Petronia.

- Bynajmniej, ani palcem nie kiwnę, choćbym miał zginąć. Nie będę walczył z takim zbiorem jak ty.

- Zbiorem! - powtórzyła szyderczym tonem. - Masz mnie za zbira? Po tym jak twój famulus ciskał we mnie szkłem?

- Robił, co mógł, aby mnie obronić. Byłaś na dworze Blackwood.

Zamierzałaś mnie skrzywdzić.

- A czemu tutaj go nie ma? - spytała.

- Bo nie mógł się tu dostać. Wiesz o tym. Nie dorównuję ci jako przeciwnik. Widziałem, co przed chwilą zrobiłaś Manfredowi. Bawisz się ze mną w kotka i myszkę. Jak zawsze.

- Uparty - powiedziała, uśmiechając się tym razem okrutnie, i pokręciła głową. - Zawsze chcesz, żeby było po twojemu. Pycha jest twoim grzechem.

Arion wyciągnął ręce i ujął mnie za głowę. Poczulem na policzkach jedwabisty dotyk jego palców.

- Czemu go nie wypuścisz? - spytał. - Jest niewinny.

- Bo to najlepszy gatunek - rzekła Petronia.

- Więc naprawdę zamierzasz to uczynić - powiedział, cofając się - nie tylko go zabić?

- Naprawdę - potwierdziła, skinąwszy głową - jeśli się przekonam, że się do tego nadaje, jeśli się przekonam, że jest silny.

Zanim udało mi się zaprotestować, zanim udało mi się zażartować, zaszydzić, poprosić, zrobić cokolwiek, złapała mnie i cisnęła jak Manfreda o przeciwległą ścianę. Uderzenie w głowę było przerażające, pomyślałem: Nie będę musiał długo czekać na śmierć. Jednocześnie wpadłem w złość, jak zawsze, gdy ktoś wyrządza mi krzywdę, i padłszy na podłogę, zerwałem się natychmiast i rzuciłem na Petronię. Chybiłem, wylądowałem na kolanach.

Usłyszałem jej okrutny śmiech. Usłyszałem łkanie Manfreda. Gdzie był Arion? Podniosłem głowę i wydało mi się, że widzę dwóch mężczyzn siedzących przy stole. A gdzie ona?

Złapała mnie za ramię, poderwała na nogi, wycięła mi mocny policzek i cisnęła mnie na podłogę. Rozłożyłem się jak długi. Opór z mojej strony nie prowadził do niczego. Chodziło tylko o to, aby dochować sobie wierności, aby nie dostarczyć jej rozrywki. Ale nie potrafiłem dochować sobie wierności. Znow spróbowałem się podnieść.

Tak się składa, że zupełnie nie mam pojęcia, jak należy się bić. Czy raczej powinienem powiedzieć, że cała moja wiedza w tym zakresie opiera się na tym, co zobaczyłem podczas pojedynków bokserskich w telewizji.

Boks zawsze był moim ulubionym sportem. W tej sytuacji nie mogłem jednak zastosować ani kawałka tej wiedzy, a poza tym i tak sam nigdy się nie biłem. Lecz gdy wstałem, tym razem zobaczyłem Petronię przed sobą i pomyślałem, że tak na zdrowy rozsądek mógłbym ją załatwić, rzucając się

na podłogę i podcinając jej nogi. Zrobiłem tak i runęła jak długa.

Mężczyźni wybuchnęli śmiechem, co nie było zbyt szczęśliwe. Już lepiej, by wiwatowali na moją część, niż śmiali się z Petronii. Odwróciłem się i zanim zdążyła się podnieść, spróbowałem wbić jej kciuki w oczodoły. Złapała mnie za gardło i doprowadzona do pełnej wściekłości przerzuciła mnie przez głowę, po czym zawlokła na balkon, złapała jedną ręką za przeguby i zwiesiła za balustradę.

Pytała, czy mam ochotę lec w dole pogruchotany. Widziałem światła samochodów na krętej drodze. Widziałem morze kotłujące się na skałach. Nie odpowiedziałem Petronii. Byłem oszołomiony. Poza tym pomyślałem, że jestem skazany na śmierć. Wiedziałem że Manfred nie ma takiej siły, aby ją powstrzymać. Nie wydawało mi się, by Ariel chciał to zrobić. To, że ją przewróciłem, tylko pogorszyło moją sytuację.

Przerwała te rozważania, wciągając mnie z powrotem, znów ciskając na podłogę, kopiając i włócząc po komnacie. Znów wyobraziłem ją sobie jako gigantycznego kota, tak jak w Samotni, a siebie jako jego ofiarę.

- Nie tak się to robi - zganiał ją Arion. Słyszałem jego głos z bliska, jakby podszedł do niej, ale nie miałem pojęcia, w którym miejscu komnaty jesteśmy.

- My decydujemy, jak to zrobić, prawda? - powiedziała Petronia. -

Musimy zrobić to tak, jak chcemy. Jego rany zamkną się w ułamku sekundy. Gdy się to stanie, pozna moc krwi i poczuje się tym cudowniej.

Pozwól mi na to, na co mam ochotę.

- Dlaczego, kochana, dlaczego masz na to ochotę? - spytał Arion. - Nie

rozumiem, mój skarbie, skąd ten gniew, czemu zawsze gniew?

Rozmawiali dalej, ale przeszli na włoski. On chyba mówił o przemijaniu czasu i że kiedyś była inna, ale to wszystko, co potrafiłem zgadnąć. Patriarcha Blackwoodów wciąż płakał.

Próbowałem się podnieść, ale Petronia położyła mi stopę na gardle.

Dusiłem się. Zwolniła nacisk i zobaczyłem nad sobą jej twarz, opadające włosy. Poczulem łaskotanie, gdy uniosła mnie ku sobie. Mój ciężar nic dla niej nie znaczył. Pochyliła się nisko, jakby chciała pocałować mnie w szyję.

Leżałem na sofie, a ona mnie obejmowała, przytykając usta do szyi.

Poczulem dwa ostre ukłucia i świat wokół i cały ból rozplynęły się.

Słyszałem bicie jej serca. Słyszałem jej głos w swojej głowie. „Naucz mnie siebie. Nie chcę cię całować w ciszy”.

To, że ssie moją krew, wiedziałem, i to, że z każdą chwilą słabnę, też wiedziałem. I miałem wrażenie, że uchodzi ze mnie całe moje życie, obraz po obrazie. Dzieciństwo, lata młodości i ostatnie kilka lat ekstazy i cudownych przeżyć umykały ze mnie wraz z krwią - bez oporu, bez bólu, w czystości. Nie potrafiłem pojąć, czym jest to zespolenie, co znaczy. Gdy się cofnęła, zwisłem bezwładnie w jej ramionach. Opadłem na podłogę.

Petronia złapała mnie za ramię. Znów mnie wlokła. Poczulem mocne kopnięcie w żebra. Przestałem cokolwiek widzieć. Słyszałem płacz patriarchy. Wiedziałem, że płacze z mojego powodu. Ona tylko przeklinała pod nosem. Czułem pod sobą zimny marmur. Leżałem na nim.

Nagle scena się zmieniła. Już nie byłem w ciele, ale patrzyłem na nie i na wszystkie osoby w komnacie z góry. Byłem u wejścia do długiego

ciemnego tunelu, w huczącym wietrze, przerażającym wietrze, a u końca tunelu widniało cudowne światło, takie światło, jakiego nie da się opisać, i w tym świetle, wielkim złoto - białym świetle widziałem dziadka i babunię, którzy wpatrywali się we mnie. Lynelle też tam była. Rozpaczliwie pragnąłem się z nimi połączyć, ale nie mogłem się poruszyć. Jakieś ohydne zafascynowanie Petronią, Manfredem i Arionem krępowało mi ruchy. Jakaś wstrętna ambicja powstrzymywała mnie od tego, aby się odwrócić i wyciągnąć ramiona ku tym, których kochałem. Utraciłem jasność widzenia, czucia, myślenia. Byłem jednym wirem. Potem wizja przepadła, równie nagle jak się pojawiła. Nie podjąłem decyzji.

Wróciłem do poobijanego i posiniaczonego ciała. Znów leżałem na podłodze.

- Umierasz - powiedziała Petronia. - Ale teraz już cię znam, znam cię dzięki krwi i nie pozwolę na to, żebyś umarł, Tarquinie Blackwood. Jesteś mój, mój. - Znów mnie uniosła.

- Spytaj go, czego chce - odpowiedział jej Arion.

- Czego chcesz? - spytała władczo. Postawiła mnie na kolanach przed sobą. - Mów. Czego chcesz?

Bezradnie opadłem na jej krocze, łapiąc się potężnie umięśnionego uda, a gdy złapała mnie za ramię i wyprostowała, poleciałem w tył, niemal przewracając się na podłogę.

- Czego chcesz? - powtórzyła tym samym władczym tonem - Co miałem powiedzieć? Że chcę umrzeć, w tym pałacu, oddalony o pół świata od ciotki Queen, od Mony, od wszystkich, których kochałem, że chcę

umrzeć, przepaść bez śladu?

Uniosłem pięść. Chciałem zadać jej ból. Uderzyłem ją, ale zupełnie bez siły. Tylko drapałem paznokciami aksamit. Znow spróbowałem ją uderzyć. Tłukłem ją w krocze.

- Och, chcesz zobaczyć, co? Chcesz zobaczyć, z czego oni wszyscy się śmiali! - wykrzyknęła. - No, dalej, złóż mi hołd. - Usłyszałem szelest unoszonej tuniki i trzask zapięcia spodni; moja ręka spoczęła na jej krótkim, niesłychanie grubym, sterczącym członku, a potem opadła niżej, między zwisające wargi sromowe, dotknęła płytkiego zagłębienia waginy i znow wróciła do członka. - Weź go do ust - rozkazała gniewnie. Poczulem nacisk na wargach. - Weź! - rozkazała.

Zrobiłem jedyne, co mi pozostało. Otworzyłem usta, a kiedy wepchnęła mi członek między wargi, z całej siły zagryzłem szczęki.

Słyszałem jej wycie, ale nie rozwarłem zębów. W moje usta runął tak obfity, tak elektryzujący strumień krwi, jakiego się nigdy nie spodziewałem - i piłem go jak oszalały.

Wbijałem zęby w kikut, a krew, ten płynny ogień, wpływała we mnie.

Zalewała mi gardło. Połykałem ją bezwiednie. To było tak, jakby moje wyzute z krwi ciało teraz nie mogło się jej oprzeć, i nagle zdałem sobie sprawę, że Petronia gładzi mnie po głowie i nie wyje, tylko zaśmiewa się do rozpuku, a krew to nie jest taka krew, jaką znałem do tej pory, ale wielki potok pobudzającego płynu, tryskającego z jej serca i mózgu.

W mojej głowie rozległ się jej głos: „Poznaj mnie. Poznaj mnie taką, jaka jestem!” i napłynął we mnie potok wiedzy, którego nie potrafiłem

odrzucić. Gdybym mógł, odwróciłbym się od niego, tak bardzo jej nienawidziłem. Nie mogłem się wszakże odwrócić, nie teraz.

Wiele, wiele stuleci temu urodziła się z matki aktorki i ojca gladiatora w Rzymie cesarów, dziecko potwerek, na pół chłopczyk, na pół dziewczynka, istota skazana na śmierć w innym otoczeniu, ale rodzice trzymali ją na pokaz. Osiągnąwszy czternaście lat, Wyrosła na obdarzonego ogromną siłą gladiatora.

Wcześniej tysiące razy pokazywano ją po kryjomu tym, którzy byli gotowi za to zapłacić, tym, którzy chcieli jej dotykać, i tym, którzy kazali jej dotykać siebie. Nigdy nie zakosztowała miłości, intymności, delikatności, a jeśli zakryła się kawałkiem sukna, to tylko po to, aby go niebawem zdjąć.

Na arenie była nieulekła. Widziałem widowisko - wielki tłum ryczał, podjudzając ją do walki. Widziałem piasek czerwony od krwi, którą rozlała. Wygrywała każdy pojedynek, nie sprostał jej żaden przeciwnik.

Widziałem ją w lśniącym napierśniku, z mieczem przy boku, związanymi z tyłu głowy włosami, gdy oddawała pokłon cesarowi!

Mijały lata, podczas których walczyła, jej rodzice żądali coraz większej i większej zapłaty. W końcu, gdy jeszcze nie była kobietą, przejął ją bezlitosny właściciel, zapłaciwszy fortunę, i wysłał na arenę przeciwko najsroższym dzikim bestiom. Nawet one nie zdołały jej pokonać. Zręczna i nieustraszona tańczyła wokół lwów i tygrysów, dźgając włócznią głęboko i celnie.

Z czasem znużenie dosięgło jej serca, znużenie walką, znużenie

brakiem miłości, nędznym życiem. Tłum był jej kochankiem, ale nocą, gdy spała przykuta łańcuchem do pryczy, nie było koło niej tłumy.

Wtedy pojawił się Arion i zapłacił za to, żeby ją obejrzeć, tak jak oglądało ją wielu. Arion zapłacił za to, żeby jej dotknąć, tak jak dotykało jej wielu. Arion kupił jej strojne suknie. Arion ją ścisnął. Arion lubił czesać jej długie czarne włosy. Arion kupił ją i wyzwolił. Arion dał jej ciężki miecz i powiedział: „Idź, gdzie chcesz”. Dokąd miała się udać? Ku czemu miała się udać? Nie mogła znieść odgłosów walki podczas igrzysk. Nie mogła znieść myśli o gromadach gladiatorów. Czego miała szukać w życiu? Czy miała zostać równocześnie sutenerem i kurwą? Przylgnęła do Ariona, kochała go. „Teraz ty jesteś moim życiem - powiedziała mu. - Nie odwracaj się ode mnie”. „Dałem ci świat”, odparł. Nie mogąc znieść jej łez, dał jej więcej pieniędzy, dom, w którym mogła zamieszkać. Ona wciąż jednak wracała z płaczem.

W końcu wziął ją pod swoje skrzydła. Sprowadził do swojego miasta. Sprowadził do pięknych Pompejów. Powiedział, że zajmuje się kameami. Ma trzy warsztaty wytwarzające najświetniejsze kamee w całym imperium. „Czy nauczysz się dla mnie tej sztuki?”, spytał. „Tak - powiedziała. - Dla ciebie nauczę się wszystkiego. Absolutnie wszystkiego”.

Zabrała się do pracy z pasją, jakiej nigdy wcześniej nie doznała. Nie walczyła dla tłumów, nie walczyła o swoje bezwartościowe życie.

Walczyła, aby się przypodobać Arionowi, walczyła o coś kruchego i najcenniejszego w świecie. Jej wrogami były niezręczność, niecierpliwość, złość. Uczyła się od wszystkich mistrzów w jego warsztatach. Przyglądała

się. Naśladowała. Rzeźbiła w konchach perel, kamieniach zwykłych i szlachetnych. Opanowała sztukę posługiwania się dłutem i świdrem.

Nauczyła się wszystkiego, co było do nauczenia.

W końcu, gdy minęły dwa lata, zaniósła swoje najświetniejsze prace, wyborne i doskonałe, Arionowi. To były grupki bogów i bogiń jak na fryzach świątyni. To były miniaturowe płaskorzeźby doskonałe jak najdoskonalsze dzieła. Zostawiła daleko za sobą granicę między rzemiosłem a sztuką. Arion powiedział jej, że nigdy nie widział takich arcydzieł. Dał jej miłość. Nigdy wcześniej nie zaznała takiego szczęścia.

Potem przyszły straszne dni Wezuwiusza, wybuch wulkanu i śmierć idyllicznego miasta, w którym poznali pełnię szczęścia. Arion uciekł wcześniej na drugą stronę Zatoki Neapolitańskiej. Już wieczorem wyczuł wybuch. Jej obowiązkiem było przeprowadzić ewakuację niewolników z warsztatu. Tylko kilku jej wysłuchało.

A gdy było po wszystkim i powietrze zapełniło się popiołem i trującymi gazami, a morze trupami, gdy nic nie pozostało po Pompejach, przybyła do willi Ariona - tej samej, w której znaleźliśmy się teraz - łkając, tylko z garstką sług, i mówiąc, że go zawiodła. „Nie, moja ukochana - rzekł do niej Arion. - Uratowałaś to, co dla mnie najcenniejsze, uratowałaś swoje życie, gdy myślałem, że Wszystko stracone. Co mogę ci za to dać, moja słodka Petronio?”. I z czasem dał jej krew, którą ona dała mnie. Z czasem uczynił ją nieśmiertelną, tak jak ona uczyniła nieśmiertelnym mnie.

Puściła mnie. Musnąłem wargami jej członek, cofając głowę.

Upadłem na podłogę. Teraz widziałem wszystko nowymi oczami. I czułem, że rany i sińce na moim ciele znikają. Głowa przestała mnie boleć. Siadłem, jakbym budził się ze snu, i spojrzałem w otwarte okno, poza balustradę. Czysty lazur wieczornego nieba zachwycił mnie, urzekł i nie słyszałem głosów w komnacie.

Podszedł Arion. Wziął mnie w ramiona i uniósł, tak jak zrobiła to Petronia, bez wysiłku, po czym wskazał swoją szyję i powiedział:

- Pij.

- Nie, proszę, zaczekaj - szepnąłem z szacunkiem. - Pozwól mi posmakować tego, czego ona mnie nauczyła. Jeśli możesz.

Ona jednak rzuciła się na mnie, zwała uderzeniem na podłogę i kopnęła w żebra.

- Śmieciu! - powiedziała. - Nie waż się tak odzywać do mojego mistrza. Kim ty jesteś, aby smakować to, czego się o mnie dowiedziałeś!

- Petronio! - uspokoił ją Arion. - Dość. - Podniósł mnie. - Moja krew przysporzy ci dodatkowej siły - obiecał. - Weź ją. Jest o wiele starsza od krwi Petronii i nie będziesz do niej tak bardzo przywiązany.

Jej okrucieństwo niemal doprowadziło mnie do płaczu. Kochałem ją nieskończenie dzięki krwi, która omotała mnie, zupełnie mnie omotała, i gdy teraz Arion nakazał mi pić, nie wiedzieć czemu, przeciągnąłem językiem po zębach. Przekonałem się, że moje kły stały się ostrzejsze i dłuższe i wbilem mu je w gardło, tak jak mi polecił, i popłynął nowy strumień obrazów i krwi.

Nie potrafię sobie przypomnieć tych obrazów. Myślę, że dzięki jakiejś

umiejętności zakrył swoje hojne i starsze serce. Myślę, że dał mi krew i jej krzepiącą siłę, nie odsłaniając wszystkich swoich tajemnic. To, co mi przekazał, i tak było niewysłowione w swojej cudowności i ukoїło moją zranioną duszę po tym, jak mnie skarciła Petronia.

Zobaczyłem w nim Ateny. Zobaczyłem sławny Akropol tłoczny i tętniący życiem. Zobaczyłem jaskrawo pomalowane świątynie, tak jak opisywali je moi nauczyciele, nie Grecję, jaką teraz oglądamy, białą i czystą, ale przesyconą niebieskościami, czerwieniami i barwami ciała, ach, cudowną! Zobaczyłem Agorę wypełnioną ludźmi! Zobaczyłem całe miasto rozciągnięte na łagodnych stokach góry. W głowie mi się kręciło od bezcennych wizji, ale nie potrafiłem odgadnąć, gdzie on jest w tym wszystkim. Słyszałem mowę otaczających mnie ludzi, widziałem twarde kamień pod podeszwami sandałów, czułem jego krew bluzgającą we mnie, obmywającą moje serce i duszę.

- Tylko złoczyńcami, moje dziecko - pouczał mnie, gdy krew tętniła. -

Karm się tylko złoczyńcami. Gdy będziesz polował, omijaj niewinne serca, chyba że będziesz sączył tylko łyczki. Wykorzystaj moc, którą dostaniesz ode mnie, aby czytać w głowach i sercach ludzi, i wyszukuj wszędzie złoczyńców i tylko od nich bierz krew.

W końcu odsunął mnie. Zlizalem krew z warg. Westchnąłem. To miało być moje jedyne pożywienie. Wiedziałem o tym. Instyktownie. I chociaż jego krew i krew Petronii smakowały mi niesłychanie, byłem głodny podłych ludzi, gdyż chciałem także ich posmakować.

Jedwabistymi dłońmi pogładził moje czoło i włosy i spojrzal mi w

oczy.

- Tylko złoczyńcami, rozumiesz, piskłę? Och, niewinni przyciągają.

Bezwiednie. I jacy są smakowici. Zapamiętaj jednak moje słowa, przywiodą cię do szaleństwa, bez względu na to, czy wiedziałeś, co robiłeś, czy nie. Poczujesz do nich miłość i nienawiść do siebie samego. Zapamiętaj, na tym polega tragedia Petronii. Ona nie wie, co to niewinność, nie wie, co to sumienie, a przez to i szczęście. I tak kosztuje tylko nędzy i rozpaczy.

- Trzymam się twoich zasad - zaoponowała Petronia.

Słyszałem z bliska jej głos.

- Nie tej - rzekł bez wyrazu Arion.

- Mój wnuku, mój najprawdziwszy wnuku - zawołał mój patriarcha, trawiony swoją nędzą i rozpaczą. - Ty bluźniercza wiédźmo.

- On i tak będzie żył wiecznie - rzekła z powagą Petronia. -

Wybuchnęła śmiechem. - Co więcej mogę zrobić? Co więcej mogę dać?

Odwróciłem się, aby na nią spojrzeć. I przejrzałem na oczy. Jej surowe piękno objawiło mi się z mocą cudu. I wiedziałem, czego dostąpiłem. O historii, pospolitości, zasadach i ograniczeniach przemiany
nie

wiedziałem

nic.

Wiedziałem

jednak,

czego

dostąpiłem.

Nieśmiertelności. Wiedziałem, ale nie potrafiłem objąć konsekwencji

przemiany. Gdzie Bóg? Gdzie moja wiara? Czy cała wieża runęła,

podważona tą potwornością?

Zacząłem odczuwać rozdzierający ból. A może mi się zdawało?

- To umiera w tobie człowiek - uświadomił mi Arion. - Kona tylko

krótką chwilę. Idź ze sługami do kąpieli. Potem cię odzieją i zostaniesz

nauczony, jak polować.

- Tak więc jesteśmy wampirami - powiedziałem. - Jesteśmy legendą. -

Ból był nie do zniesienia. Przede mną pojawił się sługa. Czekał.

- Łowcami krwi - poprawił mnie Arion. - Oddaj mi cześć tymi

słowami, a tym bardziej cię pokocham.

- Dlaczego w ogóle mnie kochasz? - spytałem.

- Jak mógłbym cię nie kochać? - rzekł, kładąc mi dłoń na ramieniu.

Całe życie wierzyłem w niebo i w piekło. Czy niebo spoglądało na tę metamorfozę?

Ogarnęło mnie krańcowe pijackie upojenie, w którym nie żałuje się niczego. Leżałem nagi w kąpieli, wydalając z ciała mroczne płyny. W końcu bóle ustały i opłynęła mnie świeża woda. Człowiek we mnie spotkał swój kres.

Patrzyłem na trójkę sług - Adonisa i dwie dziewczyny o ostrych rysach. Byli albo przerażeni, albo dogłębnie zdumieni.

Gdy myłem się w czystej wodzie, gdy szorowałem się gąbką, to Adonis przyniósł mi mydło, ręcznik, pomógł mi wyjść z kąpieli i włożyć czyste ubranie - ten sam wymyślny strój, który nosili tamci dwaj - czarny smoking, spodnie i biały satynowy golf i wyglądałem jak moi nowi towarzysze, do których miałem teraz dołączyć, a przynajmniej tak to sobie wyobrażałem.

Krew tych młodych sług, krążąca pod skórą, i jej silny zapach w powietrzu obudziły we mnie instynktowny ostry głód. Nie byłem jednym z nich. Nie byłem ich bratem. Nie czuli tego, co ja. Nie wiedzieli tego, co ja.

Przypomniałem

sobie

zalecenia

Ariona.

Tylko

złoczyńcy.

Uświadomiłem sobie, że patrzę w oczy ordynarniejszej z dziewcząt, która najwyraźniej spodziewała się, że zostanę zamordowany, i w tej samej chwili zajrzałem również do jej umysłu; widziałem gniew, gorycz, rozjuszenie. I gdy wpatrywałem się w nią, podczas gdy czuły Adonis poprawiał na mnie ubranie, odezwała się zjadliwym głosem.

- Czemu ty? - spytała ze złością. - Czemu ty zamiast jednej z nas? Kim jesteś, że ciebie wybrała?

- Pssst, nie - szybko przerwał jej chłopak. - Nie zachowuj się tak głupio.

Druga dziewczyna udawała chłód i obojętność, ale czuła to samo.

Czuła się oszukana i wściekła. Obie emanowały nienawiścią i zdałem sobie sprawę, że to mnie złości, i znienawidziłem je, znienawidziłem, bo były gotowe pozbyć się mojego trupa jeszcze tej nocy, traktując to jak uciążliwy obowiązek, nic więcej.

- Pracujemy, czekamy - mówiła bezczelniejsza - a potem ona cię tu sprowadza i wybiera. Czemu?!

- Bądźcie cicho - powtórzył chłopiec. Ułożył już mój golf. Spojrzał mi prosząco w oczy, z podziwem, zachwytem. Chyba niezmiernie się ucieszył, że nie zginąłem. Chyba myślał, że to wspaniale.

- Ilu innych tu sprowadziła? - spytałem.

Nie zdążył odpowiedzieć. Podwójne drzwi do łaźni zamknęły się z hukiem. I zanim dziewczyny lub chłopiec się odwrócili, zamknęły się kolejne drzwi. Teraz pozostało tylko wyjście na taras, a wiedziałem, że za

nim urywa się przepaść.

Odwróciłem się. Ujrzałem Petronię.

- Znakomicie - powiedziała - więc śmierć masz już za sobą i nigdy więcej jej nie poznasz, chyba że sam się na nią zdecydujesz. Wybierz pierwszą ofiarę. I to będzie jedna z tych dwóch. Pośpiesz się. Nie obchodzi mnie, która to będzie. Nie. Obchodzi mnie. Jestem ciekawa. No...!

Dziewczyny jęknęły, wrzasnęły i przytulając się do siebie, cofnęły pod wykładaną marmurem ścianę. Chłopak tylko patrzył na Petronię i ani drgnął. Miałem wrażenie, że czuje głębokie rozczarowanie, ale nie wydał nawet jednego dźwięku.

- Nie możesz tego zrobić - powiedziałem.

- Mogę i zrobię - odparła. - Wybierz jedną z tych dwóch albo ja wybiorę za ciebie. Trudno o prawdziwszych złoczyńców. Gdybyś zginął, wywlokłyby cię stąd w nocy jak wypatroszone ścierwo.

Stała obok mnie. Jej twarz złagodniała. Objęła mnie ramieniem i spojrzała czule. Przemówiła ciepłym głosem, podczas gdy dziewczęta dygotały i mazały się, ogarnięte paniką, a chłopiec stał przyrośnięty do podłogi, bez ruchu.

- Quinn, Quinn, mój uczniu - powiedziała kochającym głosem, który wcześniej tak rzadko gościł w jej ustach. - Chcę, żebyś wyruszył w świat silny i na własnych nogach. Więc przyjmij moją surową lekcję. Czytaj w ich głowach. Wykorzystaj dar zaklęcia i omam je. One budzą twój głód. Tak, tak, to prawda, mój uczniu. Wykorzystaj swoje umiejętności i niech woń ich krwi będzie prowadzącym cię duchem.

Zdałem sobie sprawę, że patrzę na bezczelniej przemawiającą.

Zajrzałem do jej umysłu. Ujrzałem zło, obojętność i bezwzględność wobec ludzkiego stada, egocentryzm służący nijakim, tanim celom. Gdy zbliżyłem się do niej, jej twarz się wygładziła, oczy poszerzyły i straciły wyraz, a gdy położyłem dłoń na jej głowie, zamarła całkowicie. Jej współpracownika w zbrodni odsunęła się i wraz z chłopcem przeszli na drugą stronę łaźni.

Dziewczyna była zdana na moją łaskę i niełaskę, samotna, oszołomiona, posłuszna. Teraz przepelniał ją wyłącznie spokój.

- Pochłoń zło - zachęciła mnie Petronia, stojąc tuż obok jak zły anioł. -

Zjedz je i wchłoń w swoją czystą i wieczystą krew.

Dziewczyna opadła z sił, zachwiała się. Wiotka i rozpalona osunęła się w moje ręce. Głowa opadła jej na ramię. Jej umysł załamał się jak przeciążona łodyga róży. Pocałowałem ją w szyję. Nagle zanurzyłem zęby w ciele i popłynęła gęsta cudowna krew, bardziej słona niż moich wampirzych nauczycieli, o ostrzejszej woni, i z nią potoczyła się historia życia tej dziewczyny, zgnilizny, pospolitości, występku. Ja szukałem tylko smaku krwi. Odrzuciłem obrazy. Moje serce odwróciło się od jej serca. Moje zmysły łowiły tylko smak i zapach gęstej, dojrzałej krwi, po czym Petronia odciągnęła mnie w tył, a dziewczyna leżała u moich stóp, łachman ciała o wielkich pustych oczach, takich pięknych oczach, cała szyja zakrwawiona.

- Rozlałeś krew, no, popatrz - zganila mnie Petronia. - Teraz uklęknij i zbierz wszystko językiem. Wyssij ranę, żeby nic nie zostało.

Uklękłem i uniosłem trupa. Zrobiłem, jak mi kazano.

- Ugryź się w język - poleciała Petronia - i kroplą swojej krwi zalecz ranę, aż zniknie.

Wypełniłem zalecenie ze skupieniem. Drobne punkciki zniknęły na moich oczach, a gdy cofnąłem ręce, trup o bladospinej twarzy bezwładnie osunął się na podłogę.

Wstałem, chwiejąc się na nogach. Znowu czułem się jak pijany.

Najzwyklejsze przedmioty, nawet same ich powierzchnie zdawały się tętnić życiem.

W oszołomieniu wyciągnąłem ręce ku Adonisowi.

- Dziękuję ci za twoją dobroć - powiedziałem.

Był tak wystraszony, że nie potrafił odpowiedzieć. Tylko patrzył na mnie, jakbym wydał mu taki rozkaz, i rozluźnił się dopiero wtedy, gdy się odwróciłem.

Czy wyszedłem z łaźni w towarzystwie Petronii? Czy szliśmy szerokimi schodami? Miałem wrażenie, że jest wieczór, ale światło się nie zmieniło. Wszystko było jak otulone mgłą. Gwiazdy falowały na nocnym niebie, gdy kroczyliśmy osłoniętym tarasem. Słyszałem i czułem woń morza.

Weszliśmy do komnaty, w której Manfred nadal siedział nad szachownicą naprzeciwko Ariona, i uderzyła mnie wspaniałość ich postaci, o wiele znakomitszych od sylwetek dziewcząt i chłopca.

- Więc mamy ten promienisty obraz świata - zamruczałem. -

Wszystkie istoty i rzeczy jawią się nam, jakby trawił je bezszelestny ogień.

- Wiedziałaś, że zrozumiesz - odparła Petronia. - Lubię cię słuchać.

Nigdy nie obawiaj się opisywać tego, co czujesz. Obserwowałam cię przez lata, zanim cię wybrałam - ciebie i twoje duchy. Twój język przyciągnął mnie równie mocno jak uroda.

- Kocham cię - powiedziałem. - Czy tego pragniesz? Roześmiała się cicho i bezradnie. Obejmowała mnie ciepły ramieniem i przez chwilę jej uroda poruszała mnie. Był w niej nawet łagodny majestat. Czując go, nie mogłem jej nie uwielbiać.

Wyszliśmy na taras i spojrzałem na morze. Było w czystych odcieniach zieleni i błękitu. Widziałem to mimo mroku, widziałem, że zapożycza barw od podksiężycowego nieba. I widziałem wysoko gwiazdy; poruszały się tak, jakby chciały mnie uściskać. W oddali maszerowały w dół zbocza białe domy, miasto przycupnęło niebezpiecznie na stoku, wręcz nierealnie. Jeszcze dalej wyrastała góra w śnieżnej czapie.

- Czy pragnę twojej miłości? - powtórzyła moje pytanie. - Nie wiem. Może chciałabym jej na chwilę. Może na zawsze. Skąd mam wiedzieć, czego chcę? Gdybym kiedykolwiek była tego pewna, może osiągnęłabym zadowolenie. Ach, czemu mówię takie kłamstwa? Czy raczej czemu w nie wierzę? Pragnęłam cię od pierwszej chwili, w której cię zobaczyłam.

Wybrałam cię. I tylko na tę noc albo kilka następnych nocy. I postanowiłam, że obdarzę cię siłą, jak ci powiedziałam, a teraz wracamy do Ariona. On sprawi, że znów ogarnie cię głód, prawda? Słodki mistrzu?

- Czy mogę ci powiedzieć o rzeczach, które widziałem we krwi? - spytałem.

- Przekonaj się - odparła swoim nowym, miłym tonem - a jeśli to, co

powiesz, wzbudzi moją wściekłość, to kto wie, co zrobię? Nawet ja tego nie wiem. Co widziałeś we krwi?

- Czy na arenie walczyłaś do śmierci?

- Och, zawsze. Przecież uczyłeś się historii Rzymu, prawda? Były niezliczone kobiety gladiatorki. Ja byłam tylko jedną z najświetniejszych i zawsze faworytką tłumu. Jak już wiesz, byłam bezwzględna. I przeżyłam tamte wszystkie lata dzięki bezwzględności. To było naturalne. Tego oczekiwano. I przyswoiłam sobie tę cechę z szaloną prostotą. -

Uśmiechnęła się szeroko, patrząc na mnie. - To Arion ujarzmił moje serce. To Arion zawrócił mnie z drogi bezwzględności, szyderstwa i zła i nauczył rzeźbić kamee. Och, nie widziałeś tych znakomitych klejnotów, które dla niego wytwarzałam. Arion dał mi rubiny, szmaragdy i wyrzeźbiłam mu kompletne opowieści w konchach muszli, zwycięstwa imperatorów, pochody legionów. Moje dzieła były sławne w całym cesarstwie. Od świtu do nocy garbiłam się nad warsztatem, ubrana jak byle chłopak, z włosami związanymi kawałkiem surowego rzemienia, nie mając przed sobą niczego poza pracą, tą najważniejszą na świecie pracą, nieważne, czy rzeźbiłam w kamieniu czy w złocie. Potem przychodziła noc, a z nią Arion. I wtedy dla niego stawałam się kobietą. Stawałam się kimś delikatnym, godnym, niepospolitym - dla Ariona.

- Co znaczy „godnym”? - spytałem.

- Wiesz, zawsze wiedziałeś.

- Ale co znaczy teraz? Przedtem wiedziałem, co to znaczy, teraz nie wiem. Zabiłem tę ohydłą dziewczynę, tę morderczynię. To nie było

przyswoite. Więc wyjaśnij mi.

- Och, daj spokój, dużo za wcześnie na takie pytania. Musimy zająć się polowaniem. Czeka cię długa noc. Jak ci powiedziałam, nie stwarzam nieudolnych piskląt. Kiedy się rozstaniemy, będziesz bardzo silny.

- Czy również godnym? - spytałem. - Godnym szacunku?

- Postaram się - obiecała. Posmutniała i dodała cicho: - W tym celu rusz głową. Nie mnie naśladować. Naśladowaj tych, którzy są ode mnie lepsi.

Naśladowaj Ariona.

Znów weszliśmy do komnaty. Manfred powstał na powitanie, obejrzał mnie, uściskał i odstąpił dopiero wtedy, gdy objęły mnie kochające ramiona Ariona, którego czarna twarz całkowicie mnie oczarowała. Był niesłychanie szczupły i opiekuńczy - ten osobnik o cudownych rysach i żywej mimice.

- Wyssij go, mój mistrzu - powiedziała Petronia rozkazującym tonem i teraz on wziął mnie w ramiona i przycisnął zęby do mojego gardła, zgodnie z rozkazem Petronii.

Kolejny raz poczułem, że obrazy mojego życia uchodzą ze mnie wraz z krwią. Poczułem znany mi smutek, niewypowiedziany smutek wiecznego rozłączenia z Moną, z moim synem, Jerome'em, ciotką Queen, Nashem, Jasmine, moją ukochaną Jasmine, z moim ukochanym małym Tommym, czułem, jak to wszystko wypływa ze mnie wraz z krwią, ale nie opuszcza mnie na zawsze, tylko się otwiera, jak gorejąca straszliwa rana - jakby ktoś mi mówił: „Umarłeś, Quinn” - i czułem, że Arion wchłania to w siebie, jakby mnie od tego uwalniał, i ogarnęła mnie słabość, i zemdląłem.

Obudziłem się, siedząc w fotelu. Przez chwilę ból był nie do zniesienia; był tak straszliwy, że wydawało się, iż jedyne, co mi pozostaje, to podejść do balustrady i rzucić się w dół, na skały, i naprawdę umrzeć.

Rozsądek podszeptnął mi pytanie, czy taki czyn doprowadziłby mnie do śmierci. Przeniknął mnie niewyobrażalny głód. Nigdy w życiu nie byłem tak głodny i zaspokoić mnie mogła tylko krew. Chciałem krwi Ariona.

Chciałem krwi Petronii. Wpatrywałem się w Manfreda, podczas gdy on odpowiadał mi bystrym spojrzeniem.

- A więc do lekcji - powiedział Arion. Wyciągnął do mnie ramiona. -

Teraz podejdź, przyłóż wargi do mojej szyi i weź ode mnie łyczek, tylko cząstkę tego, czego pragniesz, i nie rozlej kropli, gdy będziesz ją połykał.

Kiedy nauczysz się sączyć łyczki, będziesz mógł się karmić niewinnymi.

Będziesz mógł się nimi łagodnie posilać, nie pochłaniając ich duszy. Po twoich pocałunkach będą tylko oszołomieni.

Natychmiast go posłuchałem. Krew była tak gęsta! I znów rozbłyły słoneczne Ateny! Targało mną rozpaczliwe pożądanie, ale cofnąłem się we właściwym momencie, tak jak mnie pouczył, i językiem zlizalem te kilka kropel, które groziły zabrudzeniem jego białego golfu. Trzymał mnie, dopóki nie odzyskałem władzy w nogach, a potem, zakrywając moje usta swoimi, pocałował mnie. Wcisnął mi język do ust. Wbił w moje kły. Znów popłynęła krew. W głowie mi zawirowało. Zatoczyłem się.

- Czym teraz będzie moje życie? - szepnąłem, gdy się cofnął. -

Ekstazą?

- Ekstazą i opanowaniem - powiedział łagodnie. - Teraz podobnie

napij się z Manfreda. Wezwij swego syna, Manfredzie.

Patriarcha Blackwoodów wyciągnął do mnie ramiona. Podszedłem do niego.

- Chodź, dziecię mojej krwi, dziecię mojego dziedzictwa - powiedział głębokim głosem. - Ukochane dziecię mojej spuścizny. Wypij ze mnie krew.

To Petronia w swojej nikczemności zbudowała dwór Blackwood za swoje złoto, swoje żalosne złoto. Daję ci moją miłość, mój nieszczęśliwy chłopcze!

Daję ci moją krew. Weź ode mnie obraz jedynej czystej istoty, którą kochałem!

- Krótko i zwięźle - powiedziała Petronia, stojąc blisko mnie.

Wbiłem zęby w jego byczy kark, podczas gdy wielka dłoń podtrzymała mnie za ramię. Ale to nie Virginie Lee zobaczyłem, to była Rebeka, koszmar, wisiała na haku, Manfred przeklinał Petronię, podczas gdy ta wyla ze śmiechu, Rebeka udręczona ponad wytrzymałość, ciemna krew, znak śmierci, wylewała się z nagiego torsu, hak tkwił w ciele głęboko, głęboko, chyba aż w sercu. Nagle Rebeka się roześmiała! Stała sama, wytykała mnie palcem, szydziła. Śmiała się głośno.

- Dobry Boże! - krzyknąłem. Odciągnięto mnie w tył. Chwiałem się na nogach.

Patriarcha przyciskał chusteczkę do szyi. Wyglądał niesłychanie żałośnie. Arion trzymał mnie za ramiona.

- Ach, co za ból - poskarżył się starzec. - Czemuś jej szukał, Quinn, czemu tej sekutnicy? Czemu cię ciągnie do takiego stworzenia?

- Opanowania, moje dziecko - powiedział Arion. - Opanowania. Tak,

żebyś mógł przejść przez pokój zatłoczony śmiertelnymi, wybrał tych, których zechcesz, złożył fatalny całus, ale żeby nikt nie miał o niczym pojęcia.

- Czemu Rebeka mi się ukazała? - wyjąkałem. - Z jakiego powodu?

Chciałeś mi pokazać Virginie Lee.

- A jakże, lecz jak mogę ukryć grzech w duszy? - spytał patriarcha. -

Szukałeś jej, znalazłeś ją i posiadłeś.

Usłyszałem w głowie jej syk: „A oni wyją i zapłakują się za tobą w twoim ukochanym dworze. Kiedy wryją twoje imię na nagrobku?”

- Precz ode mnie, nieszczęsny duchu - przekląłem ją. - Więc to ja zapłaciłem życiem za twoje życie. Zostaw mnie.

Nie usłyszałem żadnej odpowiedzi.

Rozpoczęła się moja nauka. Szkolili mnie godzinami, aż potrafiłem sączyć łyżki, ale nie udało mi się napęłnić, i narzekałem na ból, a oni się śmiali, lecz gdy Petronia stawiała się zgryźliwa lub niecierpliwa, Arion zawstydział ją swoją dobrocią.

- Teraz we czworo wybierzemy się na polowanie - zarządził. - A ty poszukasz złoczyńcy, wykorzystując swoją moc czytania w myślach, podczas gdy my będziemy cię strzec.

- To ślub - wyjaśnił basem patriarcha. - Bogaty Amerykanin wydaje w Neapolu swoją córkę. Znajdziesz złoczyńców, gdziekolwiek się odwrócisz. Zwabiasz takiego, pijesz z niego oszczędnie, tak że nikt nie ma o niczym pojęcia, gryziesz się w język i swoją krwią leczysz ranę. Synu, czy jesteś gotów stać się jednym z nas? Do końca?

- Wyobraź to sobie, zanim stąd wyjdziemy - powiedział Arion. - Piją od południa. Przechodzisz między nimi, jakby nigdy nic. Anonimowo. Zostawiasz ofiary w takim stanie, jakby były pijane. Łykasz z niewinnych, ile tylko zechcesz.

Skinąłem głową.

- Tak - odparłem. Byłem spragniony. I miałem płomień w sercu. Całą swoją nieszczęsną duszą pragnąłem być jednym z nich. Byłem jednym z nich!

Nagle Petronia uniosła mnie i cisnęła daleko przez otwarte drzwi, na taras, w noc, i padłem na dół, na kamienistą plażę, i wylądowałem bez hałasu na skałach, stając tuż przy spienionym brzegu morza, nieruchomy i spokojny, rozglądając się wkoło.

Podniosłem wzrok. Jakże była daleko, ledwo widoczna tam, na tarasie, i przyzywała mnie. Usłyszałem szept, jakby mówiła przy moim uchu: „Chodź do mnie, Quinn”. Zapragnąłem w duchu wzlecieć i uniosłem się, szybciej i szybciej, aż zawisłem w powietrzu niedaleko Petronii, po czym przesunąłem się nad balustradą i stanąłem obok niej. Objęła mnie ramieniem, błysnęły czarne oczy, gdy spojrzała na mnie i szepnęła mi do ucha:

- A więc pojmujesz, poruszamy się mocą prędkości, nie czarów. Mam nad tobą pieczę. I nie rozlej kropelki, kiedy będziesz chleptał. Oczekujemy, że spiszesz się na medal.

- Będziemy zabijać? - spytałem. Arion wzruszył ramionami.

- Jeśli poczujesz taką ochotę - odparł. - I jeśli zło dojrzeje do zagłady,

a ty okażesz się zręczny i przebiegły.

Niebieska papierosowa mgła wisiała nad pokojami. Twarze najeżdżały na mnie, jakbym był obiektywem kamery. Wszystkie były piękne. Wszystkie były niedoskonałe. Głosy rozlegały się bez sensu, ogłuszający belkot, myśli tak wielu ludzi też tworzyły niepojęty chaos.

Podłoga zaczęła mi wirować pod stopami. Chciałem się wycofać, ale parłem wciąż przed siebie.

Woń jedzenia budziła mdłości, woń alkoholi była dziwnie kwaśna i obca, jakbym nigdy w życiu ich nie posmakował. Zapach krwi unosił się z każdego centymetra kwadratowego ciała, które na mnie napierały, gdy przedzierałem się przez ten labirynt.

Panna młoda stała pod bujnie zarośniętą pergolą. Patykowata jak miotła czarownicy. Śliczna. Miała suknię z długimi koronkowymi rękawami i paliła papierosa, trzymając go w lewej ręce. Zauważywszy mnie, przyzwała mnie stanowczym gestem, jakbyśmy się znali, i dojrzałem w jej myślach: „Chodź”, ale nie wiedziałem, czego chce.

Nie mogłem oderwać od niej oczu, gdy przepychałem się w jej kierunku. Uwiesiła się mojego ramienia i ruszyliśmy razem, i poczułem silny zapach jej krwi, sunącej żywo pod oliwkową skórą. Zaciągnęła mnie do wielkiej sypialni i zamknęła drzwi na klucz. Jej wielkie, podkrążone czarne oczy patrzyły na mnie prosząco. Rozmazana maskara. Wydęte czerwone usteczka.

- Widziałeś tego drania - pienila się, przeklinała. - W moją noc

poślubną tak mi robi! - Wściekłość wykrzywiła jej twarz. Nie mogła złapać tchu. Zerwała ze mnie smoking i pociągnęła mnie na łóżko. Czarne włosy pouciekały spod wybijanych brylantami grzebieni. - Chodź, już, zrobmy to, szybko, chcę, żeby wylamał te drzwi, niech go szlag, świnię. Złapałem ją za podbródek i odwróciłem ku sobie. Pocałowałem ją w usta. To miało być wszystko? Woń krwi uderzyła mi do głowy. Rzuciłem się jej do gardła. Wbiłem głęboko zęby i trysnęła arteria; krew lała się po ślubnej sukni, gdy się odchyliłem, zaskoczony obfitą fontanną. Zakrztusiła się. Zacisnąłem usta na krwawej krynicy, przeklinając siebie, moją nieporadność, mój głód, mój brak szczęścia. Och, Boże w niebiesiech. Piłem i piłem. Zwisła bezwładnie jak ogarnięta ekstazą, życie uchodziło z niej różańcem niewinnych, banalnych zdarzeń, bez zła, bez uniesień, bez złorzeczeń, bez wiedzy, bez bólu.

Piłem i piłem słoną krew. Była mi panią, ja - jej niewolnikiem. Nie chciałem niczego więcej. Poza tym, żeby ta dziewczyna jakimś sposobem nie umarła, żeby krew nie powalala całej białej sukni, wspaniałej białej sukni.

Jej serce zgasło jak zapalka, jak świeczka. Nie było żadnego sposobu, aby przywrócić je do życia. Obejmowałem ją, potrząsałem. Obudź się. To omyłka. Potworna omyłka. Znów piłem, jak głupiec, dopóki nie stało więcej krwi. Zwinąłem się w kłębek. Jęczałem. Już nie miała w sobie życia, już nie miała w sobie krwi. Cisnąłem ją jak lalkę. Zniszczoną weselną lalkę. Była nieżywa! Wystarczyło popatrzeć na brylanty w rozsypanych włosach.

Ktoś chwycił mnie za włosy i walnął głową o ścianę. Uderzenie było tak mocne, że na moment ośleplem, utraciłem czucie i słuch, a potem w mrugającym świetle znowu zobaczyłem trupa, zsuwającego się z nóg łóżka na podłogę, krew na całej sukni, pięknej koronkowej sukni, jej cudownej białej koronkowej sukni, naszywanej świetlistymi perłami, włosy wysunęły się spod brylantowych grzebieni, przesłodka twarz, zniknęła gniew, zniknęła nienawiść.

To Petronia rzuciła mnie na ścianę, a teraz wywlokła przez okno pod pergolę i znów cisnęła o ścianę. Poczulem krew lejącą się z rozbitej głowy. Szok złagodził ból. Przerzuciła mnie przez barierkę. Spadłem ku morzu. Czulem, że umieram. Pełen niewinnej krwi umierałem. Łkałem i umierałem, a panna młoda, biedna panna młoda nie żyła i zostawiłem ją pokrytą krwią, wszystkie panny młode z dworu Blackwood zdradzone, Ofelia Nieśmiertelna, moja na zawsze nieosiągalna panna młoda, zdradzona, krew na jej białej sukni, Rebeka, wieczna niedoszła panna młoda Manfreda, śmiała się.

Wróciliśmy do palazzo i Petronia biła mnie raz za razem, przeklinając mnie i siebie za to, że mnie stworzyła.

- Imbecyłu, zabiłeś ją. Imbecyłu, ona tylko się puszczała i za to ją zabiłeś! W jaskini zabójców ty zabiłeś ją. Ona tylko się puszczała. Ty głupcze. - Znowu i znowu sypały się ciosy w twarz - czulem ból, ale ból nie zabija - po czym kopła mnie po żebrach. Przyłgnałem do podłogi.

- Powstrzymajcie ją! - zahuczał patriarcha Blackwoodów. -

Powstrzymajcie, powstrzymajcie, powstrzymajcie.

- Zabrałam cię na wesele pełne morderców, a ty zabiłeś pannę młodą!

- Pieniła się. Kopnęła mnie po twarzy. Przewróciłem się na plecy. Kopnęła mnie w krocze. - Głupi, niezdara, pisklak, idiota, niezdara!

- Każcie jej przestać! - zawył starzec.

- A jak rozlałeś tę krew na sukni?! Debil, idiota, głupiec! Jak myślisz, gdzie byłeś? Jak myślisz, gdzie byłeś?!

W końcu Arion oderwał ją ode mnie.

- To był nasz błąd - rzekł. - Zostawiliśmy go samego. Jest za młody.

Powinniśmy z nim być.

Płakała. Tulila się w ramionach Ariona i naprawdę płakała.

Patriarcha łkał.

Ja leżałem na podłodze i marzyłem o śmierci.

Och, Panie, jak mogłem to zrobić? Jak mogłem tak zablądzić? Jak mogłem tak ulec głodowi, że zawiódł mnie ku otchłannej przepaści? Wokół mnie mrok gorszy niż panika, niż niepokój. Panie, oto ból serca. Jednak nie wyrzeknę się tego, czym jestem. Nie wyrzeknę się tego wszystkiego, czym jestem.

I gdzieś bardzo daleko inni mnie szukali. Rebeka miała rację - I

pewnie mówili: „Aligatory go dopadły, to pewne. Biedny Quinn. Nie żyje”.

I nie żyłem.

Przed wschodem słońca Arion zabrał mnie do piwnicy pod domem i wskazał kryptę, w której miałem spać. Wyjaśnił, że słońce po prostu zniszczyłoby takiego młodego wampira jak ja, że nawet gdy osiągnę jego wiek, słoneczne promienie będą wysysać ze mnie siłę i świadomość.

Powiedział mi też, że zgubę może mi przynieść ogień. Ale poza tym nikt i nic.

Uważałem, niewątpliwie niemądrze, że rozumiem jego słowa.

Powiedział, że wszystkie rany, które zadała mi rozwścieczona Petronia, zaleczą się same w ciągu jednego dnia, jako że nie mogą zaszkodzić komuś o mojej mocy, dodał również, iż przyjdzie po mnie, gdy sionce zajdzie, i że mam na niego czekać. „Nie bój się tej wąskiej skrzyni, moje dziecko - zakończył uspokajająco. - Niech stanie się twoją kryjówką. I nie bój się snów. Teraz jesteś nieśmiertelny, wszystkie zmysły masz wyostrzone.

Pogódź się z tym i znajdź w tym radość”.

Tak więc spocząłem w krypcie i przeżyłem potworną grozę, ale nie mogłem zmienić swojej sytuacji, granitowe wieko odcięło mnie od świata i niebawem, cicho łkając, utraciłem przytomność.

Śniłem o Patsy. Pachniała jak wata cukrowa. Jej usta miały smak kandyzowanych jabłuszek. Śniłem, że jestem dzieckiem, siadam na jej kolanach, a ona mnie spycha i w mgnieniu oka staje się dorosły i ją zabijam. Wypijam jej krew. Smakowała jak syrop klonowy. Jej choroby, zły charakter nie mogły mi zaszkodzić. Próbowalem się obudzić. Śniłem w

kółko ten sam sen i raz się obudziłem, trzymając jej trupa, lalkę Barbie, w ramionach. A może to też był sen. Wrzuciłem ją w zielone wody mokradel i ogarnięty grozą patrzyłem, jak opada w głębinę. Przepadła, umarła i wypłynęła krew. Było za późno, aby ją ratować. Pa, Patsy. Rebeka się śmiała. „Śmierć za moją śmierć”. „O, tak - oburzyłem się - wyobrażasz sobie, że ty to wszystko zaplanowałaś”. „Potępienie Quinna”, powiedział ojciec Kevin.

Kiedy otworzyłem oczy, stał przy mnie Arion. Słońce dopiero co zaszło, niebo było jeszcze czerwone, złote światło wypełniało kryptę. Arion ucieszył się, że jestem świadomy. Zaprowadził mnie schodami na taras. Gwiazdy unosiły się na purpurowym niebie. Za chmurami wisiało złoto. To było wspaniałe.

- Niektórzy łowcy krwi budzą się dopiero wtedy, gdy niebo zupełnie ściemnieje - powiedział - i nigdy nie oglądają tego spokojnego majestatu. Widzę, że przestanasz oczy, ale blask nie sprawia ci bólu.

To była prawda i z trudem uświadomiłem sobie, że nigdy więcej nie ujrzę światłości dnia.

Dojrzał zmartwienie na mojej twarzy.

- Nie oglądaj się na nic - powiedział. - Teraz zabiorę cię na polowanie.

Tego wieczoru będziesz moim uczniem.

- A więc sprawiłem jej zawód - rzekłem - i nie chce mieć ze mną więcej do czynienia?

- Nie - odparł, śmiejąc się krótko i szczerze. - Bardzo pragnie cię ujrzeć. Tak się jednak składa, że jest marną nauczycielką. Odstawiłem ją

zatem na boczny tor i powiedziałem, że zabieram cię do miasta na polowanie w kawiarniach i klubach Neapolu.

Tego wieczoru był ubrany swobodnie, w czarną jedwabną koszulę rozpiętą pod szyją, znakomicie skrojoną marynarkę z ciemnoczerwonego jedwabiu i wąskie spodnie.

Zabrał mnie do pokoju, w którym czekał młody śmiertelnik, gotów służyć mi pomocą w doborze podobnej garderoby, którą pośpiesznie przyodziałem. Kolejny raz podziękowałem mu za uprzejmość.

- Gdybym miał pieniądze - powiedziałem - mógłbyś liczyć na hojny napiwek.

Uśmiechnął się do mnie. Poklepałem go po ramieniu.

Wyruszyliśmy po dalszą naukę do kafejek i barów.

Poruszaliśmy się wśród przeróżnych ludzi, sącząc łyczek to z tego, to z tamtego, aż nabrałem w tym wielkiej wprawy, po czym osaczyliśmy w zaułku najstarszej części Neapolu dwóch „wzorcowych morderców” i nasyciliśmy się nimi. Ciała porzuciliśmy, ponieważ zdaniem Ariona w tej okolicy nie miało to znaczenia, ale w przyszłości czasem miałem ukrywać trupy. Na wszelki wypadek podciął im gardła, pozorując zwykłe zabójstwo.

- Kwitnąć bez zabijania - powiedział - ot, cała sztuka. Jeśli zdołasz utrzymać się przy życiu, nie zadając śmierci, przetrwasz. Od czasu do czasu jednak żądza mordy przeważy, zapragniesz płonącego gorzko serca, tak więc nauczyłem cię, jak to robić.

Trwałem w nieustannym upojeniu, zachwycony elegancją Ariona.

Naśladowałem jego wdzięk. Byłem gotów wzorować się na nim we wszystkim. I w dużej mierze pozostał moim wzorcem aż do dziś. Poruszał się z kocią gracją i mówił przyciszonym głosem, budzącym szacunek i lojalność.

Jego skóra była tak czarna, że w światłach kawiarni i barów miała fioletowy odcień, a głęboko osadzone jasnopiwnne oczy pyszniły się brązowymi i zielonymi cętkami. Zęby miał niesłychanie białe, usta drobne, uśmiech szczery i pełen uczucia.

W końcu, po tym jak upolowaliśmy chyba więcej ofiar, niż potrzebowaliśmy, usiedliśmy w cichej kafejce, w której mógł ze mną rozmawiać i udzielać mi nauk, co napawało mnie prawie takim samym zachwytem jak polowanie. Gdy tylko usiadłem spokojnie, gdy tylko ująłem w dłoń filiżankę kawy, której nie mogłem i nie chciałem pić, znów poczułem szok i dostałem gwałtownych dreszczy. Położył rękę na moich dłoniach, a następnie ucałował palce, powtórzył ten gest, po czym cofnął rękę i usiadł wygodnie.

- Postaraj się zgłębić dar, który otrzymałeś - powiedział. - Nie zrzekaj się go w pierwszych latach. Zbyt wielu zginęło w podobnych okolicznościach. Oczywiście, nienawidzisz Petronii za to, że ci go dała. To całkiem naturalne i zgodne z oczekiwaniami. Kiedy cię wyssała, kiedy niemal cię zabiła, ujrzałeś tych, którzy poszli do przed tobą. I odwróciłeś się od nich.

- Skąd wiesz? - spytałem.

- Wyczytałem to w twoim umyśle. Teraz już nie potrafię.

Wymieniliśmy za dużo krwi. Podobnie z nią. Nie daj się jej zwieść. Jest bezlitośnie przebiegła, wiecznie kapryśna i trwale nieszczęśliwa. Bez względu na to, ile jest warta jej miłość, kocha cię i już nie potrafi czytać w twoim umyśle.

- Czy dla ciebie zawsze jest kobietą? Czy kiedykolwiek postrzegasz ją jako mężczyznę?

Roześmiał się.

- Wcześniej dokonała wyboru, że będzie ze mną kobietą. Gdy wieki temu walczyła na arenie, była kobietą. Ci, którzy stawiali jej czoło, byli zdumieni jej muskulaturą i wytrzymałością, ale brali ją za kobietę. Stale zmienia płęć. Tak naprawdę jest i kobietą, i mężczyzną. Nie musimy wszakże teraz o niej rozmawiać. Porozmawiajmy o tobie.

- A cóż takiego można o mnie powiedzieć? - spytałem. - Czy uwikłałem się w to z własnej woli? Nie. Niemniej winie siebie za to, co się stało. Masz rację, widząc raj, odwróciłem się od dziadków. Czy mógłbyś mi teraz wyjaśnić, chociaż lękam się twojej odpowiedzi... czy to, co widziałem, było prawdziwe?

- Nie potrafię odpowiedzieć - rzekł, wdzięcznie wzruszając ramionami. - Nie wiem. Wiem tylko, co widziałeś. Tak samo jest z moimi ofiarami. Często widzą światło rajy i tych, których niegdyś kochali. Tamci ich przyzywają, a wtedy oni wysuwają się z moich objęć, ich duch mnie opuszcza i zostaje tylko martwe ciało.

Ta odpowiedź mnie poruszyła. Siedziałem długo bez słowa.

Machinalnie podniosłem filiżankę, ale odstawiłem ją z powrotem.

Kawiarnia była w połowie pusta. Na ulicy panował gwar i tłok.

Naprzeciwko był nocny klub. Muzyka pulsowała za neonem.

Zastanawiałem się, czy szedłem tą ulicą, kiedy byłem żywy. Nie potrafiłem sobie przypomnieć. Nash i ja wałęsaliśmy się po Neapolu. To było możliwe.

Czy teraz uda mi się jeszcze spotkać Nasha. Czy uda mi się zajrzeć do domu?

- Pozwól, że wrócę do tego, co mówiłem - rzekł Arion. - Nie załamuj się podczas pierwszych lat. To przydarza się zbyt wielu. Wokół czyha wiele niebezpieczeństw. Łatwo ulec rozpacz. Łatwo ulec gorzkiej nienawiści do samego siebie. Łatwo ulec poczuciu, że świat nie należy już do ciebie, chociaż nic nie jest dalsze od prawdy. Wszystko jest twoje i przemijanie czasu jest twoje. I teraz musisz po prostu i zwyczajnie do tego dorosnąć.

- Ile czasu mamy? - spytałem.

To pytanie go zaskoczyło.

- Wieczność - odparł, znów wzruszając ramionami. - Nasze istnienie nie ma żadnych ram. Kiedy dawałem ci krew, starałem się ukryć przed tobą moje życie, ale widziałeś miejsce mojego śmiertelnego szczęścia.

Wiedziałeś, że to były Ateny. Poznałeś Akropol. Natychmiast go rozpoznałeś. Ujrzałeś świątynię Ateny w całej jej wielkości. Nie potrafiłem ukryć przed tobą najzwyczajniejszej wspaniałości tamtej epoki i słońca Aten, tak ostrego, tak gorącego, tak bezlitosnego i tak cudownego. Wchłonąłeś tę wiedzę. I z pewnością musisz wiedzieć, jak długo żyję, jak długo przemierzam ziemię.

- Co daje ci siłę? Co cię podtrzymuje? Z pewnością nie Petronia i nie

patriarcha Blackwoodów.

- Nie oceniał tak pochopnie - rzekł łagodnie. - Którejś nocy w dalekiej przyszłości... jeśli przeżyjesz... będziesz się śmiał, wspominając to pytanie.

Poza tym kocham Petronię i potrafię ją kontrolować. Może się zastanawiasz, dlaczego nie powstrzymałem jej, gdy cię stwarzała jak na to mówimy, i mocą mojego autorytetu nie kazałem jej przestać, gdy cię hańbiła. Musisz zrozumieć, że nie zrobiłem tego, gdyż dawała ci nieśmiertelność. Tak to widzę. - Przerwał, uśmiechnął się lekko i znów pogładził mnie po ręce. Miał ciepły dotyk. - Czy były jakieś inne powody? Szczerze mówiąc, nie wiem - kontynuował. - Może zbyt mocno pragnąłem, aby cię przemieniła. Jesteś taki uroczy. Taki młody. Taki cudowny, od stóp do głów. I pomijając Manfreda, od stuleci nie zrobiła diabelskiej sztuczki, jak niektórzy wśród nas na to mówią. Od stuleci. A uważa, że rośnie w nas żądza i musi zostać rozładowana, tak sprowadza tu kogoś i stwarza z niego łowcę krwi.

- Dziewczyny, które się mną zajmowały, i ten chłopiec... oni mówili, że są inni.

- Ona bawi się innymi, a potem ich niszczy. Słudzy? Co oni wiedzą.

Mówi się im, że to był kandydat do przejęcia wielkich darów, który nie umiał sprostać wymaganiom. To wszystko. Trudno mi ocenić tę dziewczynę. Wiem tyle, że jest głupia i chciwa. Chłopak ma jednak w sobie iskrę. Może Petronia wprowadzi go między nas.

- A czy to zostało zrobione jak należy? - spytałem.

- O, tak, oczywiście, że zostało zrobione jak należy - odpowiedział

takim tonem, jakbym obraził go tym pytaniem - nie bez zwykłej porcji przekleństw i kopniaków, chociaż czasem da się tego uniknąć, ale w zasadzie odbyło się jak należy. Postarałem się, żeby odbyło się jak należy, chociaż mam ci więcej do powiedzenia. - Delikatnie bawił się filiżanką, jakby przelewanie się płynu i jego aromat sprawiały mu przyjemność.

Kawa była bardzo ciemna, gęsta i nie miałem na nią cienia ochoty.

- Oczywiście, obserwuję cię - powiedział. - Kiedy pijesz ze złoczyńców, musisz się tym rozkoszować, nie uchylać się przed złem. Masz szansę stać się równie zły jak twoja ofiara. Idź za jej złem, gdy opróżniasz jej duszę. Zażyj przygody, zagłębiając się w zbrodnię, której z własnej woli sam nigdy byś nie popełnił. Gdy skończysz, wycofaj się, unosząc to, czego się dowiedziałeś, i będziesz znów czysty.

- Czuję wszystko, ale nie czystość - wyznałem.

- W takim razie czuj się przepotężny. Choroba nie może cię tknąć. Ani starość. Każda rana, której doznasz, zagoi się. Zetnij włosy, a odrosną przez noc. Będziesz wiecznie wyglądać tak jak teraz, mój Chrystusie Caravaggia. Pamiętaj, może nas zniszczyć tylko ogień i słońce.

Słuchałem z uwagą, gdy mówił dalej.

- Ognia musisz unikać za wszelką cenę, gdyż twoja krew spłonie i zaznasz straszliwych cierpień. Możesz przeżyć, lecząc się powoli przez stulecia. Słońce nie jest już dla mnie tak mordercze) jeden dzień na słońcu nie może mnie zabić. Dla ciebie wszakże, początkującego pisklęcia, każdy promień może się okazać zabójczy. Nie ulegaj pragnieniu śmierci. Zbyt wiele młodych rzuciło się w jej objęcia, pchanych niecierpliwością i

emocjami ponad miarę.

Uśmiechnąłem się. Wiedziałem, co znaczą te „emocje ponad miarę”.

- Krypta nie będzie ci wiecznie potrzebna - powiedział. - Połączenie krwi mojej i Petronii dało ci siłę, posłużyła ci nawet krew starca.

Wystarczy zamknięty pokój, kryjówka nie dopuszczająca słońca, ale z czasem znajdź sobie schronienie, w którym będziesz mógł spocząć, miejsce, w którym nikt cię nie znajdzie. Gdy będziesz go wypatrywał, pamiętaj, że teraz jesteś dziesięć razy silniejszy od śmiertelnych.

- Dziesięć razy - powtórzyłem zdumiony i zachwycony.

- O, tak. Kiedy piłeś z pięknej panny młodej, pod koniec zламаłeś jej kark. Nawet nie zdawałeś sobie z tego sprawy. To samo zrobiłeś mordercy w zaułku. Złamałeś mu kręgosłup. Musisz się nauczyć ostrożności.

- Jestem unurzany we krwi - wyznałem, patrząc na ręce. Wiedziałem, że nigdy więcej nie spotkam się z Moną, bo taka czarownica jak ona dojrzałaby, jak bardzo są zbrukane krwią.

- Teraz karmisz się śmiertelnymi - zauważył Arion z typowym dla niego wdziękiem. - Taka jest twoja natura. Łowcy krwi istnieli od początków czasu i zapewne jeszcze wcześniej. Stare mity mówią słowem i pismem, że kiedyś mieliśmy między sobą rodziców, z których trysnął pierwotny źródło, przeznaczony nam wszystkim, i że wszystko, co się wydarzyło i wydarza im, dotyczy również nas, tak więc po wieczne czasy należy mieć ich w opiece. Dam ci książki do przeczytania, w których są te opowieści... - Przerwał, rozglądając się po kafejce.

Zastanawiałem się, co widzi. Ja widziałem krew w każdej twarzy.

*Słyszałem krew w każdym głosie. Mogłem siłą woli Wniknąć w myśli
każdego i odbierałem je jak nakładający się Przekaz radiowy.*

*- Na razie powiem, że Matka dźwignęła się z nieprzytomnego snu -
podjął wątek - który trwał tysiące lat, i w szale zniszczyła wiele swoich
dzieciąt. Mordowała na oślep. I dzięki bogom, że nas ominęła. Byłbym
bezzradny wobec jej mocy, bo dysponowała darem umysłu - to jest
niszczenia siłą woli - i darem ognia - to jest palenia siłą woli - i spaliła tych
łowców krwi, których znalazła, a były ich setki. W końcu sama została
zniszczona, a święte jądro - pierwotna krew, od której wszyscy
pochodzimy - przeszło w inne ciało. Gdyby się tak nie stało, wszyscy
zwiądlibyśmy jak kwiecie wyschłej winorośli. Ale korzeń przetrwał
nietknięty.*

- Czy ten ktoś, kto otrzymał jądro czy korzeń, jest bardzo stary?

*- To kobieta - odparł. - Jest wiekowa, tak stara jak Matka, nie
pragnie rządzić, tylko opiekuje się korzeniem. Żyje jako świadek czasu,
daleko od świata i jego kłopotów. Gdy osiąga się taki wiek, gaśnie
łaknienie krwi. Ona już nie musi pić.*

- Kiedy mnie przestanie dręczyć to łaknienie? - spytałem.

Roześmiał się cicho, łagodnie.

*- Nawet nie za tysiąc lat. Chociaż mając moją krew, będziesz mógł
przeżyć wiele nocy, posiłkując się tylko łyżkami albo w ogóle bez niczego.*

*Będziesz cierpieć, ale nie osłabiesz na tyle, aby umrzeć. Cała sztuka
sprowadza się do jednego, pamiętaj. Należy zachować dość sił, aby móc
polować. Nigdy nie opadnij za bardzo z sił. Obiecuj mi, że będziesz o tym*

pamiętał.

- Mój los cię obchodzi?

- Oczywiście. Inaczej nie byłbym tu z tobą. Dałem ci moją krew, czyż

nie? - Roześmiał się, ale bez złośliwości. - Nie wiesz, jakim wielkim darem

jest moja krew. Żyję od tak dawna. Wedle słownictwa naszego gatunku

należę do dzieci mileniów. Uważa się, że moja krew jest zbyt potężna dla

młodych i nierozważnych, ale ja uznałem cię za rozważnego i dlatego ci ją

dałem. Nie zmarnuj jej.

- Czego ode mnie oczekujesz? Wiem, że mam zabijać złych i żadnych

innych, a łyczki sączyć po kryjomu i z gracją, ale czego jeszcze się po mnie

spodziewasz?

- Naprawdę niczego - rzekł. - Idź, gdzie chcesz, rób, na co masz

ochotę. Co daje ci siłę, jak masz żyć, do tego musisz sam dojść.

- Jak ty się tego dowiedziałeś?

- Och, zmuszasz mnie do cofnięcia się tak wiele lat wstecz. Mój pan

był zarazem moim stwórcą, wielki grecki tragiczny, poprzednik i współczesny

Ajschylosa. Był podróżnikiem, zanim osiadł w Atenach, by pisać dla

teatru. Dotarł do Indii, gdzie kupił mnie od człowieka, którego ledwo

pamiętam, a któremu służyłem w łożu i w bibliotece, dzięki czemu

odebrałem staranną edukację. Sprzedał mnie za nie byle jaką cenę

Ateńczykowi. Z nim wróciłem do jego miasta, kopista i kochanek.

Uwielbiałem to. Świat sceny wprawiał mnie w zachwyt. Pracowaliśmy

ciężko nad scenografią, próbowaliśmy z chórem i pojedynczym aktorem,

wprowadzonym przez Tespisa w początkach ówczesnego teatru.

Mój pan pisał sztuki tuzinami - satyry, komedie, tragedie. Pisał ody na cześć sławnych atletów. Pisał długie poematy. Pisał liryki dla własnej przyjemności. Budził mnie w środku nocy, żebym przepisywał lub tylko słuchał. „Obudź się, Arionie, obudź się, nie uwierzysz, co mi tu wyszło!”, powiadał, potrząsając mną i wpychając mi do rąk kubek z wodą. Wiesz, że metrum i rym były wtedy o wiele ważniejsze niż dzisiaj. Był mistrzem formy. Był tak niebywale zręczny, że śmiałem się z podziwu.

Pisał na każde święto, na każdy konkurs, z byle jakiego powodu i zważał na każdy szczegół, nawet procesję poprzedzającą przedstawienie i maski aktorów. To było jego życie. To znaczy, kiedy nie podróżowaliśmy.

Uwielbiał bowiem wyprawy do greckich kolonii, również tam żyjąc teatrem, i to właśnie tu, w Italii, spotkał czarownicę, która dała mu moc.

Mieszkaliśmy wtedy w etruskim mieście, które później stało się

Pompejami, i zajmowaliśmy się przedstawieniem wystawionym podczas święta greckiego boga, Dionizosa.

Nadal pamiętam tę noc, w którą do mnie przyszedł, i jak początkowo nie chciał się zbliżyć, a potem się przytulił i niezdarnie Pił ze mnie, a gdy myślałem, że umrę, gdy byłem pewien, że umrę, dał mi krew w jednym oszalamiającym, straszliwym momencie, rozszlochany, zrozpaczony.

Błagał, abym zrozumiał, że nie wie, co się mu przydarzyło.

Obaj byliśmy neofitami. Jednocześnie staliśmy się dziećmi krwi.

Spalił swoje sztuki co do jednej. Powiedział, że wszystko, co napisał, jest bezwartościowe. Nie należy już do ludzkości. Do końca swojej egzystencji szukał czarowników i wiedźm, którzy znaleźliby jakieś lekarstwo i

uwolnili go od złej krwi. Dokonał aktu samozniszczenia na moich oczach, złożył sam siebie w ofierze, po tym, jak minęło zaledwie dwadzieścia pięć lat. Stałem się sierotą, ale sierotą w pełni sił.

Ja wszakże zawsze byłem zaradną duszyczką i nigdy nie pragnąłem śmierci, nigdy nie kusilo mnie odebranie sobie życia. Widziałem, jak Grecja uległa Rzymowi. Długi czas widywałem dzieła mojego mistrza w księgarniach i na targach - przez stulecia. Widziałem liryki mistrza czytane i studiowane przez rzymskich młodzieńców, a potem ujrzałem narodziny chrześcijaństwa i przepadek tysięcy dzieł - poezji, dramatów, tak, zaginęły nawet sztuki Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa - kroniki, korespondencja - a z nimi przepadło imię mojego mistrza i uratowało się tak nieskończenie mało z tych czasów, w których poznałem tak wiele.

Jestem zadowolony. Pozostałem zaradny i zamożny. Handluję diamentami i perłami. Dar umysłu zapewnia mi bogactwo. Nikogo nie oszukuję. Mój spryt i mądrość są większe niż moje potrzeby. I zawsze trzymam Petronię przy sobie. Uwielbiam towarzystwo Manfreda. Gramy w szachy i w karty, rozmawiamy i przechadzamy się ulicami Neapolu.

Pamiętam bardzo dokładnie noc, w którą go tutaj sprowadziła, przeklinając, że musiała dotrzymać warunków umowy.

Poznali się tu, w Neapolu, ona i on, i nabrała zwyczaju odwiedzać go na bagnach, na których mieszkał w swojej kryjówce. Uznała, że to głusza w sam raz dla niej, że będzie z niej wyruszać na łowy, by wysysać nowoorleańskich włóczęgów, pijaków, szulerów i szumowiny całego Południa. I w końcu wzniósł jej domostwo i wymyślny grobowiec, taki,

jakiego pragnęła, i uwielbiała się ta ukrywać, gdy tylko była na mnie zła albo miała ochotę na coś nowego i szalonego, z dala od Włoch, gdzie wszystko już wydarzyło się sto razy. Z czasem przyrzekła Manfredowi, że da mu krew, bo zdradziła mu, kim jest, i w końcu musiała dotrzymać słowa, tak przynajmniej jej powiedziałem, i zrobiła to, sprowadziła go tutaj, tak, że ci, których kochał, byli gotowi pomyśleć, że zginął na mokradłach. Myślę, że z tobą będzie podobnie. Uznają, że zginąłeś na mokradłach. Czyż nie? Nie odpowiedziałem.

- Dziękuję za wszystko, co mi powiedziałeś - odezwałem się po chwili - za wszystko, czego mnie nauczyłeś. Wobec ciebie jestem nikim. Byłbym głupcem, gdybym powiedział, że w pełni zrozumiałem, co to znaczy mieć twoje lata, twój dystans, twoją cierpliwość. Mogę ci dać tylko moją wdzięczność. Czy mogę zadać ci jeszcze jedno pytanie?

- Oczywiście. Pytaj, o co chcesz. - Uśmiechnął się.

- Przeżyłeś dwa tysiące lat, może raczej trzy - powiedziałem.

Zamyślił się i skinął głową.

- Co w zamian za to dałeś światu? - spytałem.

Patrzył na mnie. Wyraz zamyślenia na jego twarzy nie przyćmił ciepła i serdeczności. W końcu rzekł łagodnie:

- Nic.

- Dlaczego?

- Co miałbym mu dać? - zapytał.

- Nie wiem. Czuję się bliski szaleństwa. Czuję, że jeśli mam żyć wiecznie, to powinienem coś w zamian dać.

- My nie jesteśmy już częścią tego świata, nie rozumiesz?

- Tak - powiedziałem, czując, jak coś dławi mnie w gardle. - Widzę to aż nazbyt wyraźnie.

- Nie zadręczaj się. Pomyśl o tym chwilę. Pomyśl. Masz tyle czasu, ile dusza zapragnie.

Byłem bliski łez. Przełknąłem je.

- Pozwól, że cię zapytam - rzekł. - Kiedy byłeś żywą istotą, czy nie uważałeś, że powinieneś się czymś odwdzięczyć za życie?

- Tak, uważałem.

- Rozumiem. A więc jesteś jak mój dawny mistrz. Ale nie wolno ci iść za jego przykładem! Wyobraź sobie, Quinn, co ja widziałem. I są drobne rzeczy do zrobienia. Okruchy miłości do rozdania.

- Tak ci się wydaje?

- Ja to wiem - powiedział. - Ale chodź, wracajmy do palazzo. Wiem, że Petronia czeka na ciebie.

Parsknąłem krótkim ironicznym śmiechem.

- To prawdziwe pocieszenie.

Gdy wstaliśmy, jeszcze się zatrzymałem i spojrzałem uważnie w wiszące na ścianach lustra. Wyglądałem wystarczająco ludzko, nawet w moich ostro widzących oczach. I nikt w kafejce nie poświęcił nam wiele uwagi, poza jedną przypadkową parą słicznych dziewcząt, które przechodziły obok nas z kawą. Wystarczająco ludzko. Tak. Byłem z tego zadowolony. Byłem z tego ogromnie zadowolony.

Kiedy wróciliśmy do palazzo, co zrobiliśmy zwyczajnie, to znaczy spacerem, dowiedzieliśmy się od młodej służącej, która teraz wręcz odchodziła od zmysłów ze strachu, że Petronia jest w gotowalni i chce mnie widzieć.

Gotowalnia okazała się czarująca. Na wszystkich ścianach wisały lustra, a Petronia siedziała przed wielkim granitowym blatem, zataczającym łuk, na ławie, którą chyba również wykonano z tego samego materiału i zasłano aksamitnymi poduszkami. Młody Adonis czeszący włosy Petronii kończył już pracę.

Ubrała się po męsku, w płowozółtą aksamitną marynarkę, spodnie i białą koszulę z żabotem, pasującą do osiemnastowiecznych strojów, na szyi zawiesiła wielką prostokątną kameę, na której tłoczyły się małe postaci. Obrzeże kamei ozdobiono brylancikami. Włosy zebrała do tyłu i chłopiec splatał je w warkocz. Dwa sznury brylantów opinały jej głowę, której kształt, jak już wspomniałem, idealnie pasował do tego rodzaju prostego uczesania, kolejne dwa sznury brylantów chłopiec wplatał w warkocz.

Ten pokój wychodził na morze, jak wszystkie, które widziałem w tym palazzo, chociaż może nie wspomniałem tego, opisując łaźnię.

Niebo wydawało się fioletowe, pomimo że był środek nocy, i kolejny raz miałem wrażenie, iż gwiazdy się poruszają; więcej, iż niebo zagląda do pokoju. Dosłownie zabrakło mi tchu w piersiach, nie tylko z powodu

gwiazd, ułożonych w niezliczone wzory, ale na widok niebywalej urody Petronii, podkreślonej eleganckim męskim strojem. Z kolei prostotą uczesania wydobywała cudowny kształt swej głowy. Stałem tam długo, wpatrując się w nią, podczas gdy ona odpowiadała mi spojrzeniem, aż młody Adonis rzekł cicho, że warkocz jest zapleciony i spięty diamentową spinką.

Odwróciła się, dając mu niesłychanie hojny napiwek i mówiąc:

- Możesz wyjść się zabawić, dobrze się spisałeś.

Skłonił się i wyszedł tyłem z pokoju, jakby odprawiała go królowa angielska.

- A więc uważasz, że jest piękny, czy tak? - spytała mnie.

- Doprawdy? Nie wiem - odparłem. - Wszystko wydaje mi się czarujące. Jako żywy człowiek byłem entuzjastą. Teraz wszystko doprowadza mnie do szaleńczej euforii.

Uniosła się z zarzuconej poduszkami ławy, podeszła do mnie i wzięła mnie w ramiona.

- Wszystkie rany, które zadałam, zagoiły się. Mam rację?

- Tak, jak najbardziej. Poza tą raną, której nikt nie potrafi wyleczyć, tą, którą sam sobie zadałem, mordując młodą niewinną kobietę na jej weselu. Nikt tego nie wyleczy, czas również. I chyba nawet nie powinien.

Roześmiała się.

- Chodź, przyłączmy się do reszty. Twój dziadek umie tylko jedno - grać w szachy. Był namiętym pokerzystą, gdy go poznałam. Pokonał mnie przy stoliku, uwierzyłbyś?, a tamta Rebeka to też była szczwana

szuka, mówię ci, i nie rozczulaj się tak nad nią, ale muszę ci coś powiedzieć... Miałam zupełnie szaloną noc w związku z tamtą panną młodą.

Niebawem znaleźliśmy się w wielkiej komnacie, w której kącie stała pusta złota klatka. Złowieszczy widok. Wyobraziłem sobie, że siedzi w niej wielki ptak. Ja z pewnością nie przypominałem ptaka. Wyobraziłem sobie Amora zwycięskiego Caravaggia. Czy jego przypominałem?

- Muszę wam opowiedzieć, co się wydarzyło - mówiła dalej Petronia, ściągając uwagę Ariona. - Fantastyczna sprawa. Wiecie, że tatuś i mąż panny młodej to byli zwykli zabójcy i oczywiście ta lalunia o tym wiedziała, więc oszczędź sobie wyrzutów sumienia, Quinn. Dziś w nocy przystali tu swoich czterech uzbrojonych goryli, bravos, jak zwykliśmy ich nazywać, bo chyba nas rozpoznano, i możecie sobie wyobrazić, jaką miałam z nimi pyszną zabawę. Zwykle maltretowanie śmiertelnych nie sprawia mi przyjemności, myśl sobie o tym, co chcesz, Quinn, ale ich było czterech.

- Gdzie są teraz? - spytał Arion. Siedział przy stoliku z patriarchą Blackwoodów, który wlepił wzrok w szachownicę.

Usiadłem między nimi.

Petronia spacerowała w tę i w tę przed nami.

- Przepadli w morzu - wyjaśniła. - We własnym samochodzie, strąconym z urwiska. Normalka. Drobiazg. Ale walka, jaką musiałam tu wcześniej stoczyć, zanim pozbyłam się trupów, to było coś pierwsza klasa.

- Jestem pewien - mruknął z lekkim obrzydzeniem Arion. - I to

sprawiło ci radość.

- Wielką radość. Napiałam się do syta z ostatniego i to było najlepsze.

Nie, cofam. Walka była najlepsza, zabijanie ich, zanim zdążyli wyjąć broń i zrobić wstrętne dziury w moim ciele! To było bosko podniecające. Potem pomyślałam sobie, że powinnam częściej walczyć, samo zabijanie to za mało.

Arion pokręcił głową ze znużeniem.

- Winnaś wyrażać się bardziej elegancko przez wzgląd na twojego pisklaka. Przedstaw mu zasady.

- Jakie zasady? - zapytała zdziwiona. Nadal chodziła po pokoju, od okien po ścienne malowidła. Spoglądała to na komnatę, to na gwiazdy. -

Ach, w porządku. Zasady - powiedziała. - Nigdy nie ujawniaj żadnemu śmiertelnemu, kim jesteś ani kim my jesteśmy. Ta jedna zasada wystarczy? Nigdy nie zabijaj nikogo z naszego gatunku? Wystarczy, Arionie? Więcej chyba nie pamiętam.

- Wiesz, że pamiętasz - rzekł. On również patrzył na szachownicę.

Zrobił ruch królową.

- Zacierasz ślady mordy, tak żeby nie zwrócono na ciebie uwagi, i zawsze, zawsze...! - Zatrzymała się i zawiesiła dramatycznie głos, wskazując na mnie palcem. - Zawsze okazujesz szacunek swojemu stwórcy i mistrzowi, i atak na twojego stwórcę, twojego mistrza, zasługuje na zniszczenie z jego rąk. Co wy na to?

- Wszystko to bardzo pięknie - rzekł głębokim basem starzec, potrząsając zwisającymi policzkami. Ścisnął mnie za ramię i uśmiechnął

się do mnie wielkimi miękkimi ustami. - A teraz przekaz mu przestrogi.

Musi znać przestrogi.

- Jakie znowu...?! - spytała z niesmakiem i szyderstwem Petronia. -

Nie bój się własnego cienia? Nie zachowuj się jak stary dziad, kiedy jesteś nieśmiertelny? Co jeszcze?

- Talamaska, opowiedz mu o Talamasce - rzekł patriarcha,

wskazując mnie ruchem głowy i unosząc ściśnięte usta, tak że wyglądał

jak wielki karp. - Oni dobrze wiedzą, że istniejemy! - Kiwnął głową. - I nie

wolno dać się złapać na ich umizgi. Znasz to wyrażenie, synu? Schlebiają

ci swoim zainteresowaniem, bo tak postępują wobec wszystkich! Umieją

schlebiać na zawołanie. Tobie nigdy jednak nie wolno im ulec. To tajny

zakon mediów i magików, który chce nas dostać w swoje ręce! Chcą nas

zamknąć w swoich zamkach w Europie i badać w swoich laboratoriach jak

szczury!

Odebrało mi mowę. Staralem się oczyścić umysł z myśli o Stirlingu,

ale patriarcha wpatrywał się we mnie badawczo.

- Ach, co widzę, ty już ich poznałeś? Już wprosilili się do twojego życia,

bo widzisz duchy! To bardzo niebezpieczne. Co to jest? Dom przy plantacji?

Nigdy więcej nie powinieneś ryzykować kontaktu z nimi.

- Zerwałem go dawno temu - powiedziałem. - Tak, widziałem duchy. I

pewnie dalej będę je widział.

Arion potrząsnął głową.

- Zjawy nie przychodzą do nas, Quinn - rzekł cicho.

- Tak, to prawda - potwierdziła Petronia, nie przestając chodzić. -

Jeśli kiedyś najdzie cię ochota wrócić do domu, szpiegować tych, których znałeś i kochałeś, przekonasz się, że twój famulus zniknął.

Nic na to nie odpowiedziałem. Patrzyłem na szachownicę. Starzec zaszachował króla Ariona.

- Jakie są jeszcze zasady? - spytałem.

- Nie twórz innych - przestrzegł mnie Arion - bez pozwolenia twojego stwórcy lub najstarszego w grupie, w której żyjesz.

- Chcesz powiedzieć, że mogę stworzyć innych? - zapytałem.

- Oczywiście, że możesz, ale musisz się oprzeć tej pokusie. Jak ci powiedziałem, możesz to uczynić tylko za pozwoleniem Petronii, a tak naprawdę za moim pozwoleniem, jako że przebywasz w moim domu.

Petronia prychnęła z pogardą.

- To może być twoja najgorsza pokusa - ciągnął dalej Arion. - Jesteś wszakże za młody i za słaby, aby dokonać transformacji. Pamiętaj, co mówię. Nie palnij głupstwa. Nie dziel się wiecznością z kimś, kogo mógłbyś zniecierpieć albo nawet znienawidzić.

Skinąłem głową.

Zapadła długa cisza, podczas której Petronia zatrzymała się przy oknie i patrzyła w gwiazdy.

- Jeszcze jedna przestroga - powiedziała. Odwróciła się i spojrzała na mnie. - Jeśli wrócisz na moczary, a któreś nocy zrobisz to, spragniony widoku swojej ukochanej ciotki, tej wielkiej pani, lub z jakiegoś innego zwykłego powodu, niech cię nie skusi polować w Nowym Orleanie.

Talamaska pilnie nas tam wypatruje i chociaż to nieporadni śmiertelnicy,

mogą sprawić krzywdę. Jest jeszcze jedno niebezpieczeństwo. Grozi nam ono ze strony potężnego łowcy krwi, który mówi o sobie „wampir Lestat”. Rządzi Nowym Orleanem i niszczy młodych łowców krwi. Jest bezlitosny, obrazoburczy i egoistyczny do szpiku kości. Napisał o nas książkę, której treść uznano za fikcję, ale spora jej część jest prawdziwa.

Zamilkłem na długo.

Obeszła stół, przysunęła sobie krzesło i obejmując ramieniem Ariona, przyglądała się grze. Arion tylko wielkim wysiłkiem uratował swoją królową, ale zauważyłem, że grozi mu bardzo podstępny manewr, który kończy się matem. Dostrzegalem groźbę, jednak obserwując jego grę i widząc, gdzie patrzy, zdałem sobie sprawę, że jest nieświadomy niebezpieczeństwa,

aż

nagle

patriarcha

Blackwoodów

wykonał

zaskakujący ruch i Arion się odchylił zdumiony, po czym się uśmiechnął i pokręcił głową.

- Rewanż! - zawołał. Zaczął się głośno śmiać. - Żądam rewanżu!

- I będziesz miał rewanż! - odparł starzec, trzęsąc się cały.

Podczas gdy Manfred ustawiał pionki i figury, z wolna podniosłem się z krzesła.

- Niebawem opuszczę was, džentelmeni - oświadczyłem. - Dziękuję za

waszą gościnność i dary.

- O czym ty mówisz? - spytała Petronia.

- Wracam do domu - odrzekłem. - Chcę być z moją rodziną.

- Co to znaczy, że wracasz do domu...?! - wybuchła. - Postradałeś zmysły?

- Nie. I żądam unieważnienia naszej umowy. Samotnia jest moja. Od tej pory jest moją wyłączną własnością. Potrzebuję mauzoleum na kryjówkę dzienną, a reszty na schronienie podczas nocy. Teraz zostawiam was waszym szachowym rozgrywkom i jeszcze raz dziękuję...

Arion wstał.

- Jak się dostaniesz do domu? - spytał łagodnie. - Możesz zapanować nad prawem grawitacji, ale tylko na bardzo krótkich odległościach i poruszając się z wielką prędkością, może większą, niż to sobie wyobrażasz.

Nie pokonasz połowy globu. Potrzebujesz lat, żeby opanować tę umiejętność.

- Zamierzam podróżować jak zwykły śmiertelnik - wyjaśniłem.

- A co będziesz robił, kiedy się tam dostaniesz?! - spytała gwałtownie Petronia, mierząc mnie wzrokiem.

- Będę mieszkał w moim domu, jak zawsze. W moim pokoju, jak zawsze. Będę z moją rodziną, jak zawsze. Tak długo, jak będę mógł. Nie wyrzeknę się ich.

Petronia z wolna powstała z krzesła.

- Nie wiesz, jak udawać człowieka. Nie masz zielonego pojęcia, jak się to robi.

- Ależ mam. Przypatrywałem się, jak ty to robisz, i chociaż sądząc po twoich opowieściach, jesteś wiekowa, to nie zwracałaś na siebie uwagi w pokoju pełnym ludzi. Czemu mnie miałyby to sprawiać trudność? Nie zrezygnuję z życia, które wiodłem.

- Nie zdajesz sobie sprawy, że wtajemniczając tych śmiertelnych w swoje sekrety, narażasz ich na śmierć?

- Będę ich chronił całym sercem. Nie wystraszysz mnie.

- Nie możesz tak po prostu stąd odejść i wrócić do nich, Quinn - zaprotestował łagodnie Arion. - Poza tym, czemu miałbyś to robić? Teraz nie należysz do ludzi.

- Czy muszę prosić o twoje pozwolenie? - odparłem na to, patrząc mu prosto w oczy.

Wzruszył z wdziękiem ramionami, tak jak się tego spodziewałem.

- Nie, nie musisz mnie pytać.

- Mnie nic nie obchodzi, co robisz! - powiedziała Petronia.

Również tej reakcji się spodziewałem.

Uśmiechnąłem się.

- W takim razie Samotnia jest moja? - spytałem.

- Weź ją sobie jako prezent ode mnie - rzekła jadowicie: Spojrzałem na mojego patriarchę.

- Manfredzie, przyjdzie noc, gdy się spotkamy.

- Bądź ostrożny, mój synu - pożegnał mnie. Wyszedłem z wielkiego pokoju, znalazłem imponujące schody i niebawem zostawiłem palazzo za sobą, schodząc wąską wijącą się ścieżką do miasta. Po dwudziestu

minutach wkroczyłem do hotelu Excelsior, w którym zatrzymywaliśmy się trzykrotnie podczas naszych wypraw do Neapolu, i natychmiast podeszedłem do recepcjonisty. Pamiętał mnie i zaraz spytał o ciotkę Queen. - Zostałem napadnięty. Straciłem wszystko - powiedziałem. - Muszę zatelefonować do ciotki na koszt odbiorcy.

Bezwłocznie udostępniono mi telefon i przygotowano apartament.

Słuchawkę podniosła Jasmine. Zaczęła łkać. Kiedy połączyłem się z ciotką, mało nie dostała hysterii.

- Słuchaj - powiedziałem. - Nie mogę tego wyjaśnić, ale jestem teraz w Neapolu, we Włoszech. Potrzebuję paszportu i pieniędzy. - Mówiłem w kółko, że bardzo ją kocham, że wszystko spadło na mnie jak grom z jasnego nieba i że nigdy nie zdołam tego wytłumaczyć, ale teraz przede wszystkim muszę się przespać w porządnym hotelu i jutro rano rozpocznę serię lotów do domu.

W końcu Nash przejął słuchawkę i podał wszystkie potrzebne dane kasjerowi. Zapewniono mi wszelkie możliwe wygody i dowiedziałem się, że następnego dnia otrzymam bilety lotnicze. Wyjaśniłem Nashowi, że będę leciał wyłącznie nocą - z Neapolu do Mediolanu, z Mediolanu do Londynu i stamtąd do Nowego Jorku. Z Nowego Jorku oczywiście wrócę do Nowego Orleanu.

Kiedy zamknąłem drzwi apartamentu i zostałem sam, dopadł mnie prawdziwy szok. Do tej pory moje życie było serią coraz silniejszych lęków, ten zaś okazał się najpotworniejszy ze wszystkich. Cichy, lodowaty i gorszy od paniki. Czulem, jak serce łomocze mi w gardle. Miałem

wrażenie, że nigdy się od niego nie uwolnię, nigdy nie uwolnię się od bólu.

*Tarquin Blackwood nie żył, wiedziałem to doskonale. Wielka część
mojej osoby wciąż jednak istniała i ta część, chociaż oszołomiona
niechcianymi darami, pragnęła tylko być z ciocią Queen, Tommym,
Jasmine*

*i
wszystkimi*

moimi

ukochanymi

bliskimi,

z

moimi

niezastąpionymi i uwielbianymi krewnymi.

*Nie, nie zamierzałem wyrzekać się rodziny. Nie, nie zamierzałem
opuszczać po cichu dworu Blackwood i tych, których tak kochałem! Nie -
nie zamierzałem opuszczać ich bez walki, bez szlachetnego wysiłku.*

Zamierzałem pozostać z nimi najdłużej jak się da.

*Co się tyczy Mony, to nigdy, nigdy więcej nie miałem jej oglądać,
nigdy więcej nie miałem usłyszeć jej głosu w telefonie. Moje zło nie miało
jej dotknąć, mój los miał pozostać jej nieznany. Mój ból nie miał połączyć
się z jej bólem.*

*Minęła godzina, podczas której stałem plecami do drzwi, niezdolny
się poruszyć. Staralem się głęboko oddychać. Staralem się nie zaciskać
dłoni w pięści. Staralem się nie bać. Staralem się nie ulec wściekłości.*

Transformacja dobiegła końca, było po wszystkim. I musiałem egzystować dalej. Musiałem wrócić do domu. Musiałem przeprowadzić wszystko delikatnie, z wielkim przekonaniem i z miłością wobec tych, którzy kochali mnie całym sercem.

W końcu położyłem się na łóżku, ze ściśniętym gardłem i cały drżący. Nagle ogarnęło mnie wyczerpanie i zapadłem w sen śmiertelnika. Nic mi się nie przyśniło. Ani Patsy, ani Rebeka, chociaż wydawało mi się, że znów słyszę śmiech tej ostatniej, ale zupełnie mnie to nie obeszło. Brzask obudził mnie jak chluśnięcie wrzącą wodą.

Natychmiast zaciągnąłem zasłony i firanki i niebawem znalazłem się w słodkiej, chłodnej ciemności. Wczołgałem się pod łóżko i wkrótce znów zasnąłem.

Wieczorem miałem już tymczasowy paszport, pieniądze w kieszeni, nową kartę American Express i bilety na początek podróży. Gdy dotarłem do Londynu, zdałem sobie sprawę, że muszę obrać inną drogę do domu, tak więc zatrzymałem się w Nowej Szkocji, Kanadzie i wreszcie w Newark. Ostatni odcinek podróży miał za cel Nowy Orlean.

Przez cały ten czas ćwiczyłem ze strachem umiejętność pociągania łyżków, chodząc wśród ogromnych tłumów na lotniskach jak wielki kot zamieszkujący mokradła, śledząc taką czy inną ofiarę, zanim przyszedł stosowny moment, ten słodki moment, jednocześnie uwielbiany i znienawidzony. Nie wątpiłem, że w oczach ludzi wyglądam jak śmiertelnik. Nawet przystojny śmiertelnik. I polując, nie popełniałem błędów. Nie zabijałem. Nigdy nie uroniłem ani kropli.

Och, to była męka, przestach i rozkosz, przechadzanie się wśród ludzkich stad, o które mogłem tylko się ocierać. Byłem potworem.

Zatłoczone lotniska stały mi się piekłem, rozległymi dekoracjami jakiegoś egzystencjalnego dramatu. Uzależniłem się jednak od polowania równie szybko jak od krwi.

W końcu zszedłem na płytę lotniska w Nowym Orleanie i ciotka

Queen otworzyła przede mną ramiona, podobnie Nash, moja ukochana Jasmine i mój synek Jerome, którego porwałem w ramiona i ucałowałem, przyciskając mocno do piersi. A potem zobaczyłem Tommy'ego, mojego zdystansowanego

trzynastoletniego

wuja,

którego

uwielbiałem

nieskończenie. Musiałem uściskać Tommy'ego.

Jeśli ktoś z nich wyczuł we mnie coś dziwnego, to i tak wszyscy byli całkowicie podbici moim entuzjazmem. Co się tyczy podróży do Włoch, to obiecałem, że któregoś dnia wszystko opowiem. Oczywiście, wściekali się jak jasna cholera, ale niczego ode mnie nie wyciągnęli.

Gdy wpakowaliśmy się do limuzyny, przekazano mi wieści o Patsy.

AIDS dopadło ją na całego, ale dobrze reagowała na leki. Co jednak przykre, Seymour zaskarżył ją do sądu. Też miał AIDS; jak twierdził, nigdy mu nie powiedziała, że jest chora, i zaraziła go. Nie wiedziałem, co na to powiedzieć. Myślałem o tamtym śnie, koszmarnym śnie. Nie potrafiłem

wyrzucić go z głowy.

- Jak ona się czuje? - spytałem. Powiedzieli, że świetnie.

- Jak wygląda? - spytałem. Powiedzieli, że świetnie.

- Jak kapela? - spytałem. Powiedzieli, że świetnie. Więcej nie pytałem.

Gdy tylko wpadłem do domu, uściskałem Babę Ramonę i

powiedziałem jej, że nie będę więcej z nią spał, bo jestem już duży, a ona na to, że najwyższa pora na taką decyzję, tylko na to czekała. Nie mogła uwierzyć własnym uszom, kiedy odmówiłem zjedzenia jej naleśników.

Kiedy tylko wszedłem do mojego pokoju i zamknąłem drzwi na klucz, wydało mi się, że albo zemdleję, albo oszaleję. Wywiodłem ich w pole.

Wywiodłem ich w pole i znów z nimi byłem. Byłem z nimi, a oni nadal mnie kochali. Rozplakałem się. Płakałem i płakałem. Poszedłem do łazienki i zobaczyłem krew spływającą mi po twarzy, i tak się dowiedziałem, że płaczemy krwawymi łzami. Otarłem łzy chusteczką higieniczną i w końcu przestałem płakać, i wtedy zdałem sobie sprawę, że Goblin jest ze mną.

Siedział w fotelu przed biurkiem, twarzą do mnie i był moim

idealnym duplikatem, z krwią w oczach włącznie i krwawymi łzami ściekającymi po policzkach. Prawie krzyknąłem ze zgrozy, taki był to widok. Serce przestało mi na chwilę bić, a potem znów ruszyło.

Otarłem twarz. Pobiegnę do niego.

- Patrz - powiedziałem - ścieram je, nie widzisz? Ścieram je. Patrz, nie ma ich, nie ma krwi, nie widzisz? - krzychałem, darłem się. Obniżyłem głos.

- Nie widzisz! Nie ma krwi. Otarłem ją. On tylko siedział z krwią w oczach i

ściekającą z policzków. A potem rzucił się na mnie. Rzucił się we mnie.

*Połączył się ze mną i zepchnął na stół, a potem w bok, na łóżko, i nie
potrafiłem go pokonać, był we mnie, połączył się ze mną i czułem go jak
czysty, nieunikniony elektryczny wstrząs, a gdy wyszedł ze mnie, był
ogromny, wypełniony kropelkami krwi. Zemdlałem.*

Znasz więc moją opowieść. Znasz moją największą hańbę, wiesz, że zabiłem niewinną pannę młodą. Wiesz, że Goblin zaczął mnie napastować. Potrafisz sobie wyobrazić, co się działo, gdy już znalazłem się w domu. Wiesz z opowieści, jak bardzo kocham moją rodzinę. Wiesz, jak bardzo moje życie jest splecione z ich życiem.

Przepelniała mnie wielka, straszliwa nienawiść do Petronii, do tego, co mi zrobiła! Z całą zaciekłością wróciłem do mojej ludzkiej egzystencji, mojego śmiertelnego świata, mojego rodzinnego życia, tak mszcząc się za to, co mi uczyniono. Nie wyobrażam sobie innego życia, chyba że przekonałbym się, iż wszyscy mnie podejrzewają i unikają. Nic takiego się jednak nie wydarzyło.

Przeciwnie, byłem potrzebny ludziom i wiedziałem o tym. Moje dziwne zniknięcie boleśnie zraniło ciotkę, Tommy'ego, Jerome'a, a nawet Clema i Babę Ramonę. Załagodziłem sytuację niekończącymi się przeprosinami, chociaż nie mogłem i nie byłem gotowy wyjaśnić, co sprawiło, że zniknąłem. Zrobiłem to, co mogłem - obiecałem, że nigdy więcej nie przepadnę bez słowa, i chociaż stałem się kimś w rodzaju tajemniczego starego kawalera i nocnego marka, chociaż od czasu do czasu znikąłem na noc albo kilka, zawsze wracałem do domu. I nikt nie musiał się o mnie bać. „Quinn przechodzi trudny okres” mówili ze śmiechem. Ale Quinn był niezwykle ruchliwym osobnikiem.

Kazałem zmienić wystrój mojego pokoju, zawiesić ciężkie aksamitne

zasłony, tak aby wyeliminować światło, założyć mocny zamek w drzwiach; dzień jednak spędzam zwykle w mauzoleum na Wyspie Słodkiego Czarta, gdzie czuję się zupełnie bezpiecznie, z dala od wścibskich oczu, jako że tylko ja jeden mogę sam odsunąć płytę, gdy tamtego, dawno minionego, ekscytującego dnia potrzeba było do tego pięciu mężczyzn.

W domu, w którym ciotka jest przyzwyczajona wstawać o trzeciej po południu i urządzać przechadzkę dla zdrowia o szóstej rano, przed pójściem spać, moje zwyczaje uchodzą za normalne, tak przynajmniej wszyscy je przyjmują.

Ciotka ujawniła drobną tajemnicę, którą ukrywała przed nami.

Przyznała się, że naprawdę ma osiemdziesiąt pięć lat, nie osiemdziesiąt.

Jest jednak dziarska, ciekawa życia i umie się cieszyć całym jego bogactwem, o czym się przekonałeś na własne oczy, i każdego wieczoru bryluje w swoim pokoju wraz z Cindy, Jasmine i całym towarzystwem, do którego i ja się zaliczam, zwłaszcza gdy noc jest młoda, jako że zwykle nie wymykam się na moje wyprawy przy księżycu wcześniej niż o północy.

Co się tyczy działalności hotelowej w posiadłości Blackwood, to Jasmine zupełnie się wypompowala, jak to się tutaj mówi, i po prostu nie chciała dalej jej prowadzić. A gdy przeznaczaliśmy jedną z górnych sypialni dla Tommy'ego, drugą zarezerwowaliśmy dla Brittany, kiedy przyjeżdża z wizytą, i oddelegowaliśmy Nasha do starego pokoju dziadka, dla gości pozostał tylko jeden pokój, tak więc uznaliśmy, iż nie ma sensu się bawić w przyjmowanie gości. Tym bardziej że Patsy, której zdrowie całkiem odmówiło posłuszeństwa, zajęła tę ostatnią frontową sypialnię.

*Tak więc czasy, kiedy prowadziliśmy hotelik ze śniadaniem, należą
bezpowrotnie do przeszłości.*

*Ludzie z okolicy nie mogli sobie wyobrazić życia bez wielkich
bożonarodzeniowych bankietów, wielkanocnych przyjęć ogrodowych,
Święta Azalii i możliwości wyprawienia u nas wesela, tak więc Jasmine
dalej zajmuje się urządzeniem tych uroczystości i przewodniczy im z
wielką dumą, chociaż narzeka przy tym, że ludzie pielgrzymują do nas,
jakby była jakąś miejscową świętą.*

*Ostatniego roku trzymałem się z dala, nie mając odwagi uronić łzy,
gdy śpiewano kolędy, ale łkałem w duszy, gdy sopran dwa razy pod rząd
śpiewał tylko dla mnie Cichą noc.*

*Prawem szaleńca zarządziłem również podanie o północy kolacji na
zakończenie Wielkiej Soboty i rozpoczęcie Wielkanocy, gdyż nie mogłem
uczestniczyć w wielkanocnym przyjęciu. Wpadłem również na pomysł
urządzania różnych nocnych imprez dobroczynnych i zbiórek pieniędzy na
szlachetne cele, chociaż ostatnio inne sprawy odciągnęły trochę moją
uwagę od tego typu działalności.*

*Tommy zaskoczył nas wszystkich, prosząc o wysłanie go do szkoły z
internatem w Anglii, nie byle gdzie, bo do Eton, i Nash zabrał go tam i
ułatwił mu zaaklimatyzowanie się, a gdy do nas telefonuje, wszyscy się
zachwycamy jego brytyjskim akcentem i jesteśmy uszczęśliwieni. Bardzo
za nim tęsknię. Niebawem przyjedzie do kraju na wakacje. Ma już
czternaście lat i rośnie jak na drożdżach. Nadal chciałby poprowadzić
ekspedycję, która znajdzie zaginiony kontynent, Atlantyde. Wycinam*

wszystkie artykuły na ten temat i wysyłam mu je pocztą. Nash również.

Terry Sue i jej dzieciom powodzi się dobrze. Niania i gosposia całkiem odmieniły ich życie i teraz biegnie ono gładkim torem. Brittany i reszta radzą sobie w szkole i będą mieli szansę w życiu. Sama Terry Sue jest szczęśliwa. Gdy tylko dostanie swoją pensję, która przychodzi raz na dwa tygodnie, jedzie do hipermarketu i kupuje ubrania i sztuczne kwiaty. Ma cały dom w sztucznych kwiatach. To prawdziwa równikowa dżungla sztucznych kwiatów. Nie ma tam takiego miejsca, w które można by wcisnąć jeszcze jeden sztuczny kwiat. Kiedy przekroczysz próg, Terry Sue zaraz chce cię uszczęśliwić starymi sztucznymi kwiatami, żeby móc kupić nowe sztuczne kwiaty. Przeszła zabieg podwiązania jajników i nie będzie miała więcej dzieci. Charlie, jej wymachujący bronią adorator, w końcu palnął sobie w łeb, po tym jak wpierv zamknął się z całą rodziną, grożąc szeryfowi trzema wielkimi rewolwerami.

Ciotka Queen postanowiła zostać jednoosobową szkołą Terry Sue, która przyjeżdża do niej dwa razy w tygodniu omówić odzieżowe zakupy, a ciotka radzi jej w sprawach manikiuru i układania włosów. Również Brittany stała się ulubienicą ciotki, w związku z czym ma już całą kolekcję lalek.

Jasmine po długiej i ciężkiej walce pozwoliła mi nadać Jerome'owi moje nazwisko i ten nawet mówi mi „tato”, chociaż jej wcale to nie cieszy. Zezwoliła też w końcu na codzienne wożenie go do Nowego Orleanu, gdzie chodzi do katolickiej szkoły pod wezwaniem Trójcy Świętej. Jerome jest bardzo bystry. Ciotka uwielbia czytać mu książki. Nash poświęcił mu wiele

czasu, pomagając w nauce. Jerome wymyśla własne historie i nagrywa je na magnetofon. Są to całe przedstawienia, istny teatr radiowy pełen efektów dźwiękowych.

Czuję się z nim głęboko związany, gdyż jest moim jedynym potomkiem, innego miał nie będę, ale równie mocno kocham Tommy'ego i myślę o tym, co powiedziała mi w Neapolu Petronia, że mogę dokonać godnych szacunku czynów. Nie wiem, czy mówiąc to, myślała o takich rzeczach, jak patronat nad śmiertelnymi, ale ja o tym myślę i czuję, że moja praca dopiero się rozpoczęła. Marzę o patronowaniu jakimś pianiście - wiesz, chodzi o kupowanie partytur, płacenie za nagrania, pomaganie w utrzymaniu i nauce, takie rzeczy. To marzenie, ale realne. Czemu nie.

Odbiegam wszak od głównego tematu. Pozwól, że będę kontynuował.

Tak, epilog.

Przez dziewięć miesięcy Nash i ja czytaliśmy razem Dickensa.

Poświęciliśmy temu zajęciu pierwszą część każdego wieczoru, zanim wybrałem się na łowy i nie groziły mi ataki Goblina. Siedzieliśmy w fotelach przy kominku, w pokoju Nasha, i czytaliśmy głośno na zmianę.

Przerobiliśmy Wielkie nadzieje, Dawida Copperfielda i Magazyn osobliwości. Czytaliśmy również Hamleta, po którym płakałem w tajemnicy, myśląc o Monie, Makbeta, Króla Lira i Otella. Zwykle rozstawaliśmy się o jedenastej.

W te rzadkie dni, w które ciotka zadała sobie gwałt i była w stanie znieść światło dnia, aby jechać na zakupy ubrań lub kamei, Nash jej

towarzyszył. Kiedy indziej oglądał z nią filmy w towarzystwie Jasmine, Cindy i innych ludzi. Nawet Baby Ramony.

Potem wyjechał do Kalifornii, skończyć doktorat, a gdy wróci, znów będzie dotrzymywał towarzystwa ciotce. Ona bardzo za nim tęskni i jak sama ci się zwierzyła, teraz nie ma przy sobie nikogo innego i cierpi z tego powodu.

Patsy radzi sobie, połykając tony lekarstw na AIDS, i trochę i; pracuje ze swoim zespołem. Zawarliśmy z Seymourem ugodę; ii dostał dużą sumę pieniędzy, ale wkrótce po tym zmarł. Patsy i przysięga, że nie zarażała partnerów. Dwaj dawni członkowie kapeli wnieśli przeciwko niej pozew. Wszystko to wyczerpało Patsy. Lubi przebywać w dużym domu, we frontowej sypialni, po drugiej stronie holu. Nie odwiedzam jej często, bo za każdym j razem, gdy wchodzę po tych schodach, dręczy mnie żądza mordy. Każdej nocy. Nawet niechcący widzę jej myśli i wiem, że mogła zarazić AIDS wielu ludzi, bo była niedbała, i dalej by zarażała, tyle że wszyscy już zmądrzeli, wiedzą, czym grozi kontakt z nią. Tak bardzo chciałbym ją zabić, że muszę trzymać się od niej z daleka.

Przejdźmy do innych spraw.

Od pierwszej nocy po powrocie starałem się i staram zwiększyć swoje umiejętności i poznawać swoje moce.

Nie nadużywam telepatii w kontaktach z rodziną i zwykłymi ludźmi, gdyż uważam to za nieprzyzwoite, służy mi tylko podczas łowów. Poza tym jest męcząca, ludzkie myśli są uciążliwe jak hałas.

Podróżowałem w powietrzu, ćwiczyłem szybkość. Kursowałem

między Samotnią a dalekimi tawernami i piwiarniami przy głównych szosach, polując na włóczęgów i złoczyńców lub też wprawiając się w pociąganiu łyczków i sprawdziłem się. Nawet kiedy napiłem się do syta, prawie zawsze zostawiałem ofiarę przy życiu. Zgodnie z zaleceniem Ariona nauczyłem się wchłaniać zło, przyjmować je w siebie w tych ważnych momentach.

Nigdy nie poluję przed północą i oczywiście Goblin napastuje mnie zaraz potem. Zwykle nie wracam do domu, dopóki mnie nie opuści. Nie chcę, aby moja rodzina ucierpiała w jakikolwiek sposób z jego powodu. Czasem jednak zdarza mi się pomylić.

Nie popełniłem żadnego poważnego błędu aż do tej nocy, kiedy to mało nie zabiłem Olivera Stirlinga.

Ataki Goblina stają się coraz gwałtowniejsze, natomiast utraciłem z nim wszelką łączność. W ogóle się do mnie nie odzywa. Chyba uważa, że stając się tym, kim się stałem, popełniłem wielką zdradę i za to każe mi płacić tym, na czym mu zależy - krwią. Nie potrzebuje przy tym ani uczucia, ani rozmowy. Oczywiście, może również uważać, że go zdradziłem, wyjeżdżając na tak długo do Europy. Próbowalem z nim rozmawiać, ale bez rezultatu. Rzadko się pokazuje. Obecnie tylko wtedy, gdy się nakarmię.

W ciągu ostatniego roku, gdy udowodniłem samemu sobie, że mogę polować, że mogę przetrwać, mogę żyć z ciotką, Nashem i Jasmine, mogę być z moim synem, mogę wślizgnąć się do ludzkiego świata każdej nocy mojego życia, a potem zasnąć bez pamięci w moim grobowcu, Goblin stał

się o wiele silniejszy i bestialski, tak więc w końcu przybyłem do ciebie, błagać cię o pomoc i pchany samotnością.

Jak chyba wspomniałem, wiem, że mogę wrócić do Petronii, ale nie chcę. Nie potrzebuję jej lodowatych szyderstw. Nie potrzebuję nawet łagodniejszej obojętności Ariona. Co się tyczy naszego patriarchy, to chociaż z pewnością otworzyłby przede mną serce, wydaje mi się ograniczony z racji swojego dzieciennienia. Co oni mogą wiedzieć o takim duchu jak Goblin? Przybywam z prośbą o pomoc. Poznałeś duchy.

Zaryzykowałem życie, abys mnie wysłuchał.

Jestem przekonany, iż Goblin zagraża nie tylko mnie, ale i innym, przy czym obecnie jestem pewien jednej jego umiejętności - potrafi podróżować ze mną wszędzie, bez względu na odległość od dworu

Blackwood. Przywiązał się do mnie w nowy sposób, może ze względu na krew. Prawdę mówiąc, jestem tego pewien. To dzięki krwi jest bardziej związany ze mną niż z tym miejscem.

Całkiem niewykluczone, że jest granica jego wypraw, ale ja sam nie potrafię się wyrzec Blackwood, w tym sęk. Nie mogę oderwać się od tych, którzy mnie potrzebują. Nie chcę od nich wyjeżdżać. I w konsekwencji muszę walczyć z Goblinem o mój dom i moje życie, jeśli chcę, żeby toczyło się po mojej myśli. I poczuwam się do wielkiej odpowiedzialności za Goblina. Czuję, że go stworzyłem, wykarmiłem i uczyniłem tym, kim jest. Przecież może kogoś skrzywdzić.

Jeszcze jeden szczegół i koniec mojej historii.

Po opuszczeniu Neapolu zetknąłem się z Petronią tylko raz.

Siedziałem w Samotni, wśród tych wszystkich lśniących marmurów i świeczników, rozmarzony, zamyślony, zasepiony, trudno mi dokładnie powiedzieć, w jakim nastroju, przeżywając moją nieszczęsną sytuację i jej niezwykłość, gdy weszła ubrana w biały garnitur z kamizelką, z rozpuszczonymi włosami, obwieszona łańcuchami brylantów i wręczyła mi

twoje

książki,

przyniesione

w

niewielkiej

torbie

z

ciemnoszmaragdowego aksamitu.

- To „Kroniki wampirów” - powiedziała. - Musisz je przeczytać.

Mówiliśmy ci o nich, ale nie wiem, czy słuchałeś. Pamiętaj, nie poluj w Nowym Orleanie.

- Wynoś się stąd, nie cierpię cię, nie znoszę! - krzyknąłem. -

Powiedziałem ci, umowa jest nieważna. To mój dom! - Poderwałem się i zanim zdążyła się zorientować, co jej grozi, uderzyłem ją z całej siły w twarz. Krew bluznęła z ust, z warg rozciętych kłami i zbrukała białą kamizelkę. Petronia dostała szału. Spoliczkowała mnie, nim zdążyłem się zasłonić, powaliła na podłogę i przystąpiła do swojego ulubionego zajęcia, zaczęła mi obrabiać żebra.

- Co za czarujące przywitanie - mówiła, tłukąc mnie noskami

wysokich butów. - Jesteś uosobieniem wdzięcznego dziecka.

*Dźwignąłem się na kolana, niby tak obolały, że zaraz znów upadnę,
po czym nagle się wyprostowałem i złapałem ją za włosy, tak zaplatając
ręce, że nie mogła się ode mnie uwolnić. Cały czas ją przeklinałem.*

*- Którejś nocy zapłacisz mi za wszystko. Odcierpisz każdy
nienawistny cios, odcierpisz to, co mi zrobiłaś, przekleństwo, które na
mnie sprowadziłaś - powtarzałem.*

*Jeździła mi pazurami po twarzy i po głowie, gdy wczepiałem się w jej
loki, i w końcu uwolniła się ode mnie za cenę kilku kępek włosów, które
zostały mi w rękach, cisnęła mnie na podłogę i kopniakiem rzuciła pod
ścianę. Po czym usiadła za biurkiem, ukryła twarz w dłoniach i szlochała.*

Szlochała i szlochała.

*Dźwignąłem się na nogi i podszedłem do niej powoli. Czulem
mrowienie w całym ciele, znak, że rany i siniaki już się goją. Zebrałem z
podłogi kawałki łańcuchów z brylantów, podszedłem do biurka i
położyłem je przed nią.*

Nadal ukrywała twarz w zlanych krwią dłoniach.

- Przepraszam - powiedziałem.

*Wyjęła chusteczkę, otarła twarz i ręce. Spojrzała na mnie, unosząc
wdzięcznym ruchem głowę.*

*- Czemu mnie przepraszasz? - spytała. - To naturalne, że takie
stworzenie jak ty nienawidzi kogoś takiego jak ja. Czemu miałbyś mnie
przepraszać?*

- O co ci chodzi? - spytałem. Oczekiwałem, że w każdej chwili może się na mnie rzucić.

- Kto powinien zostać takimi stworami jak my? Poniżeni, niewolnicy, biedacy, umierający. Ty zaś byłeś księciem, księciem wśród śmiertelnych. A ja się nawet nad tym nie zastanowiłam.

- To prawda.

- A ty tak... zwoździsz głupców? - spytała, zataczając łuk ręką. - Żyjesz ze swoimi ukochanymi śmiertelnikami?

- Tak, jak na razie.

- Niech cię nie kusi, żeby ich przemienić - ostrzegła mnie.

- Nie kusi mnie. Prędzej udam się prosto do piekła, niż to zrobię.

Popatrzyła na brylanty. Nie wiedziałem, co z nimi zrobić.

Rozglądnąłem się po pokoju. Zebrałem już wszystkie. Wzięła je i wsadziła do kieszeni. Włosy miała w nieładzie. Wyjąłem grzebień, pytając gestem, czy pozwoli się uczesać. Przystąpiła na to. Włosy miała gęste i jedwabiste.

W końcu podniosła się do wyjścia. Wzięła mnie w ramiona i ucałowała.

- Nie wchodź w drogę wampirowi Lestatowi - powiedziała. - Raz - dwa spali cię na popiół. A wtedy będę musiała stawić mu czoło, a nie mam na to dość sił.

- Naprawdę?

- Mówiłam ci w Neapolu, przeczytaj te książki - westchnęła. - On pił krew Matki. Trzy dni leżał w piaskach Gobi. Nic go nie zabije. Walka z nim to nie przelewki. I żadna przyjemność. Jeśli nie przekroczysz granic

Nowego Orleanu, nie musisz się nim przejmować. To byłoby haniebne, gdyby taki potężny osobnik jak Lestat wybrał sobie równie młodego przeciwnika jak ty. Nie zaatakuję cię tutaj.

- Dziękuję - powiedziałem.

Ruszyła do drzwi, jakby chciała wyjść z twarzą. Nie wiedziałem, czy zauważyła, że ma zakrwawione ubranie. Nie wiedziałem, czy jej o tym powiedzieć. W końcu zdobyłem się na odwagę.

- Masz krew na ubraniu.

- Po prostu nie możesz wytrzymać, żeby nie zbrukać białego ubrania

- rzekła, ale bez złości. - Pozwól, że o coś cię zapytam. I odpowiedz szczerze albo wcale. Dlaczego od nas odszedłeś?

Zastanawiałem się długą chwilę.

- Chciałem być z ciotką - powiedziałem w końcu. - I z innymi. To było niezależne ode mnie. Już to wiesz.

- Czy nie budziliśmy twojej ciekawości? - zapytała. - Przecież mogłeś mnie poprosić, żebym od czasu do czasu dostarczyła cię do domu. Z pewnością wiesz, że mam wielką moc.

Potrząsnąłem głową.

- Nie mam do ciebie pretensji, że odwracasz się ode mnie -

powiedziała. - Ale odwracać się od kogoś takiego jak Arion? To wydaje mi się zbyt impulsywne.

- Pewnie masz rację, ale na razie muszę tu pozostać. Potem może przeniosę się do Ariona.

Uśmiechnęła się. Wzruszyła ramionami.

- Świetnie. Zostawiam ci Samotnię, mój chłopcze. - I oddaliła się tak szybko, jakby zniknęła. Tak zakończyła się jej jedyna krótka wizyta. I tak kończy się moja opowieść.

Siedzieliśmy w milczeniu, mieliśmy może dwie godziny do brzasku.

Czułem, że przyjrzałem się krytycznie całemu mojemu życiu i chociaż jestem grzesznikiem, to nie zgrzeszyłem, przemilczając cokolwiek.

Wszystko ujawniłem. Zastanawiałem się, czy Goblin jest w pobliżu w takiej czy innej postaci. Zastanawiałem się, czy słuchał.

Lestat, który milczał cały ten czas, odczekał długą chwilę, nadal nie przerywając milczenia.

- Twój epilog był bardzo szczegółowy - przemówił w końcu - ale nie wspomniałeś jednej osoby. Co się stało z Moną Mayfair?

Drgnąłem.

- Nigdy nie dostałem maila ani telefonu od Mony i dzięki za to Bogu.

Jednakże Michael i Rowan dzwonią od czasu do czasu. Cały się trzęsę, kiedy ich słucham. Czy ci obdarzeni czarodziejskimi mocami ludzie potrafią coś wyczuć z mojego głosu? Nie wydaje mi się. Przekazują mi najświeższe wieści. Mona jest w izolacji. Mona ma dializę. Mona nie czuje żadnego bólu.

Jakieś pół roku temu, może wcześniej, dostałem list od Rowan, napisany na komputerze na życzenie Mony, wyjaśniający, że Mona przeszła histerektomię i chce, abym o tym wiedział. „Ukochany Abelardzie, zwalniam cię z wszelkich obietnic”, podyktowała. Wszyscy mieli nadzieję, że operacja poprawi stan Mony, ale tak się nie stało. Coraz częściej potrzebowała dializy. Podawano jej wciąż nowe leki.

W odpowiedzi odwiedziłem wszystkie kwiaciarnie w Nowym

Orleanie i posłałem bukiety, kosze i wazony kwiatów z wyrazami wiecznej miłości, listami predyktowanymi przez telefon. Nie ważyłem się przekazać niczego osobiście. Gdyby Mona wzięła taką rzecz do ręki, wyczułaby tkwiące we mnie zło. Nie mogłem podjąć takiego ryzyka.

Obecnie posyłam jej kwiaty prawie codziennie. Od czasu do czasu nie wytrzymuję i dzwonię. Zawsze słyszę to samo. W tej chwili Mona nie może nikogo przyjąć. Mona powinna być sama.

Wydaje mi się, że tak naprawdę potwornie boję się chwili, w której usłyszę: „Możesz ją odwiedzić”. Nie będę w stanie się oprzeć i nie zdołam oszukać Mony i podczas tych cennych chwil, może naszych bezcennych ostatnich chwil, Mona gotowa poczuć jakiś niepojęty strach, zdać sobie sprawę, że stało się ze mną coś złego. Albo wydam się jej zimny i beznamiętny, chociaż serce będzie mi pękać. Potwornie się tego boję. Boję się całą moją duszą. Najbardziej jednak lękam się innego telefonu - wiadomości, że Mona przegrała swój bój, że odeszła.

Lestat skinął głową. Oparł się na łokciu, włosy miał w lekkim nieładzie, a jego niebieskie oczy patrzyły na mnie z takim samym zrozumieniem jak podczas całej mojej opowieści.

- Jaki według ciebie wypływa wniosek z tej historii? - spytał. - Poza tym, że musimy chronić ciotkę Queen przed wszelką szkodliwą wiedzą o tym, co ci się wydarzyło, i że musimy zniszczyć Goblina?

- Ze miałem bogate życie - powiedziałem. - Sama Petronia to przyznała. I że potraktowała je bezwzględnie. Odebrała je kierowana

kaprysem i brutalnością.

Znów skinął głową.

- Quinn, nieśmiertelność jest jednak darem, bez względu na to, jak jej dostępujemy, musisz pozbyć się nienawiści wobec Petronii. Ona cię niszczy.

- To jak nienawiść wobec Patsy - powiedziałem cicho. - Jej też muszę się pozbyć. Muszę się uporać z wszelką nienawiścią, ale w tej chwili muszę zniszczyć Goblina. Staralem się być wobec niego fair, opowiedziałem, jak bardzo jestem odpowiedzialny za jego kondycję i nawet za to, że chce się na mnie mścić.

- To jest jasne - rzekł - ale nie wiem, czy sam zdołam go powstrzymać. Mogę potrzebować pomocy. Tak, na pewno. I to ze strony krwiopijcy, którego waleczność w starciach z duchami jest legendarna. - Odgarnął włosy z czoła. - Myślę, że uda mi się ją przekonać, żeby zjawiała się z pomocą. Mówię o Merrick Mayfair. Nie zna twojej pięknej Mony, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo, a nawet jeśli kiedyś ją poznała, to teraz nie utrzymuje z nią żadnego kontaktu. Jej znajomość duchów wykracza poza przeciętny stan wiedzy wampirów w tym zakresie. Była potężną czarownicą, zanim stała się wampirem.

- A więc mroczna krew nie odebrała jej panowania nad duchami?

- Nie - powiedział, potrząsając głową. - Merrick to istota niesłychanie bogata duchowo. A poza tym to nieprawda, że duchy nas unikają. Sam powiedziałeś, że jestem medium. Przysięgam na Boga, wolałbym, żebym było inaczej. Jutro wieczór muszę znaleźć Merrick Mayfair. Otrzymała

krew niemal równie niedawno jak ty. Cierpi. Ale myślę, że mogę ją tu sprowadzić, może o pierwszej, drugiej w nocy. Nie wyobrażam sobie, że mogłaby odmówić, ale nie wiadomo. W każdym razie wrócę. Obiecuję ci to.

- Ach, dzięki z całego serca.

- A teraz pozwól mi na małe wyznanie - rzekł z ciepłym, nieodpartym uśmiechem.

- Oczywiście, w czym rzecz? - spytałem.

- Zakochałem się w tobie - wyznał cicho. - Niewykluczone, że jutrzejszej nocy i kolejnej uznasz mnie za utrapienie.

Byłem tak zdumiony, że zabrakło mi słów. Gdybym powiedział, że wyglądał w moich oczach jak bóstwo, to byłoby niedopowiedzenie. Był pociągający, elegancki i całą noc czułem jego magnetyczny urok, gdy wysłuchiwał mojej opowieści. Otworzyłem przed nim serce, jakby nie było między nami żadnych barier.

- Świetnie - rzekł nagle, jakby czytał w moich myślach. - Teraz cię opuszczę i od razu przystąpię do szukania Merrick. Do świtu zostało jeszcze trochę czasu.

Nagły krzyk zaskoczył nas obu. To krzyczała Jasmine, a zaraz potem dołączył do niej jeszcze ktoś.

- Quinn, Quinn, to Goblin! - wołała rozpaczliwie z dołu schodów.

Musiałem zapanować nad sobą i pobiec krokiem śmiertelnika, gdy ruszyłem na dół, mając za sobą Lestata.

Krzyki dobiegały z pokoju ciotki Queen. Słyszałem płacz pielęgniarki. Łkanie Baby Ramony. Jasmine podbiegła do mnie. Złapała

mnie za ramiona i powiedziała:

- To był Goblin, Quinn! Widziałam go!

Przebiegliśmy razem przez hol, ja wciąż się hamując, rozpaczliwie usiłując zachować tempo śmiertelnika. Gdy tylko zobaczyłem ciotkę leżącą na podłodze przy marmurowym stoliku, wiedziałem, że nie żyje.

Wiedziałem to po wyrazie jej oczu. Nie musiałem widzieć krwi ciekącej z rozbitej głowy ani czerwonych śladów na stoliku. Wiedziałem, a gdy spojrzałem na jej stopy, na których miała tylko skarpetki, na jej biedne stopy, zacząłem płakać, zakrywając oczy chusteczką.

Na szyi miała piękną kameę z Meduzą, tarczę tarczy, ale ta tarcza w niczym jej nie pomogła, nie uratowała jej. Była martwa, bez życia.

Odeszła. Ona, jej majestat, jej dobroć odeszły na zawsze.

Cóż pozostało? Obecni wzywali rozpaczliwie pomocy przez telefon.

Wkrótce usłyszeliśmy syrenę pogotowia. Jakie to miało znaczenie?

Ile razy opowiedzieli wszystko przed świtem?

Zdjęła swoje zdradzieckie buty. To dlatego nikt nie trzymał jej pod ramię. Zdjęła te swoje straszne szpilki. To dlatego Jasmine nie wzięła jej pod ramię. Zdjęła te swoje niebezpieczne buty. To dlatego nie było Cindy u jej boku. Podeszła do stolika, rzucić okiem na kamee. Szukała czegoś z myślą o córce Cindy.

Powtarzały to w kółko. Koroner słuchał i szeryf Jeanfreau słuchał, i

Paskudny Henderson słuchał, a Jasmine i Cindy powtarzały, że to Goblin ją pchnął, że to Goblin wirował w powietrzu, Goblin wpadł do pokoju jak miniaturowe tornado i ciotka zawołała raz czy dwa „Goblin!” i wyrzuciła

w górę ramiona, a potem upadła, uderzając głową o marmur.

Cindy i Jasmine to widziały! Widziały ruch powietrza! Wie - działy, co to jest. Słyszały, jak powtórzyła dwa razy: „Goblin!” i upadła, wcześniej stojąc w samych skarpetkach na dywanie, i uderzyła skronią o brzeg marmurowego stoliczka, i nie żyła, zanim przewróciła się na dywan. O

Boże na wysokościach, pomóż mi.

- Więc obie panie powiadacie, że to duch zabił panią McQueen? - spytał koroner.

- Szeryfie, na miłość boską! - zawołałem. - Ona się przewróciła!

Chyba pan nie wierzy, że Cindy albo Jasmine miały z tym coś wspólnego! i tak to się ciągnęło, w kółko i w kółko, aż musiałem wyjść i wziąłem Jasmine na stronę, mówiąc, że ma ustalić wszystko z firmą Lonigan i Synowie z Nowego Orleanu. Czuwanie ma się zacząć o siódmej wieczór, wtedy się zjawię. Powiedziałem jej, że ma zrobić wszystko, aby pochówek był wieczorem. Oczywiście, to sprzeczne ze zwyczajem, ale może wystarczy dobrze zapłacić.

- I na miłość boską - ostrzegłem ją - uważajcie na Goblina.

- Co zamierzasz z nim zrobić, Quinn? - spytała. Trzęsła się i twarz miała spuchniętą od płaczu.

- Zamierzam go zniszczyć, Jasmine. Ale to zajmie jeszcze trochę czasu. Dopóki nie uda mi się z nim rozprawić, strzeżcie się go. Powiedz to wszystkim innym. Niech się pilnują. Rozsadza go siła...

- Nie możesz teraz nas zostawić, Quinn - protestowała.

- Muszę, Jasmine. Zobaczymy się w domu pogrzebowym w Nowym

Orleanie o siódmej.

Była ciężko przerażona i nie miałem o to do niej pretensji. Lestat wysunął się przede mną i łagodnie ujął ją za ramiona, patrząc jej głęboko w oczy.

- Jasmine - rzekł cicho - musimy odszukać kobietę, która może uporać się z Goblinem. To konieczne. Rozumiesz?

Skinęła głową. Nadal płakała i zlizywała łzy z warg, nie mogła jednak oderwać od niego wzroku.

- Trzymaj małego Jerome'a przy sobie - mówił dalej, tonem łagodnym i pełnym perswazji. - Ten stwór chce zniszczyć każdego, kto jest drogi Quinnowi. Zadbaj o to, żeby wszyscy mieli się na baczności. -

Ucałował ją w czoło.

Wyszliśmy cicho.

W końcu Lestat i ja znaleźliśmy się sami na Wyspie Słodkiego Czarta i dałem upust mojej rozpacz, łkając jak dziecko.

- Nie wyobrażam sobie świata bez niej, nie chcę świata bez niej, nienawidzę go całą duszą za to, co zrobił, jak, na Boga, zdobył taką moc, ona była zbyt stara, zbyt krucha, jak możemy zadać mu cierpienie, jak możemy zadać mu takie cierpienie, żeby wolał umrzeć, niż dalej egzystować, czy czeka go jakieś piekło, a jeśli tak, to jak możemy go tam wysłać?

Rzopaczałem tak i rozpaczałem. A potem udaliśmy się na wspólny spoczynek.

O zachodzie słońca wstałem głody i rozbity. Rozumiałem, że muszę się rozstać z Lestatem, aby zająć się moimi obowiązkami w świecie śmiertelnych. On zaś musiał nawiązać kontakt z Merrick Mayfair, by sprawdzić, czy będzie mogła udzielić mi wsparcia.

Gdy tylko znalazłem się we dworze, zdałem sobie sprawę, że zarówno Nash, jak i Tommy też tam są. Tommy leciał cały dzień i część wieczoru z Anglii, a Nash dopiero co przybył z Zachodniego Wybrzeża, o wiele wcześniej, niż zamierzał. Obaj byli niezwykle przybici, mnie ledwo udało się powstrzymać łzy.

Prawdę mówiąc, wcale się ich nie wstydziłem, jedynie lękałem się płakać krwią, tak więc tylko ścisnąłem i całowałem nowo przybyłych, wcześniej zadbawszy o to, aby mieć w pogotowiu lniane chusteczki, po czym prawie nic nie mówiąc, bo co tu było do powiedzenia, wsiedliśmy do luksusowej limuzyny ciotki, by wyruszyć do Lonigana i Synów w Irish Channel - do miejsca, w którym Manfred Blackwood miał swój pierwszy bar.

Kiedy przybyliśmy, tłum zgromadzony na czuwaniu już był ogromny. Patsy stała w otwartych drzwiach, ubrana niezwykle skromnie, w czerń - zdumiewający widok, jako że omijanie pogrzebów było jej specjalnością - i było wyraźnie widać, że płakała.

Podala mi niewielki plik złożonych kartek.

- Kserokopia jej testamentu - powiedziała drżącym głosem. - Dawno

temu poleciała Grady'emu, żeby nie trzymał nas w niepewności. Zostawiła mi dużo. Cholernie miło z jej strony. Grady ma kopię dla ciebie.

Tylko skinąłem głową. Ten hojny gest był jak najbardziej w stylu cioci. Podczas całego wieczoru widziałem, jak Grady wręcza małe pakieciki, między innymi Terry Sue i Nashowi.

Patsy wyszła na papierosa, chyba nie chcąc rozmawiać.

Jasmine, uroczą w niebieskim kostiumie i swojej ulubionej białej bluzce, była tak wyczerpana po całodziennym wybieraniu trumny, grobu i ubrania dla ciotki, że aż było mi jej żal. Ledwo trzymała się na nogach.

- Przywiozłam jej lakier do paznokci - powtórzyła mi trzy razy. -

Pięknie ją przygotowali. Powiedziałam im, żeby starli trochę różu, ale dobrze im wyszło. Naprawdę dobrze. Chcesz ją pochować w tych perłach?

Tu są. - Nie dawała mi spokoju.

Powiedziałem „Tak”.

W końcu Nash wziął ją pod ramię i zaprowadził do jednego z wielu niskich fotelików rozstawionych pod ścianami. Chciałem pocieszyć Tommy'ego, ale byłem tak zdruzgotany i pełen obaw, że rozplaczę się krwawymi łzami, iż nie miałem na to sił. Brittany była blada jak ściana i zrozpaczona.

Ku mojemu zaskoczeniu pojawiała się Rowan Mayfair, krucha i delikatna w eleganckiej sukience; jej jak zawsze prosto obcięte włosy podkreślały wysokie kości policzkowe. U boku miała Michaela Curry'ego, nieco bardziej posiwiałego, niż zapamiętałem go z naszego ostatniego spotkania. Oboje promieniowali niepokojącą energią. Tak, energią

czarowników. Krew mi to podpowiedziała. Oboje ukłonili mi się z szacunkiem, nie podejrzewając niczego, a ja ominąłem ich szerokim łukiem, obawiając się ich mocy. Tylko skinąłem im głową, jakbym był zbyt załamany, aby rozmawiać, co zresztą zgadzało się z prawdą.

Musiałem podejść do trumny, to było nieuniknione. Musiałem zajrzeć do środka. Musiałem. Więc to zrobiłem.

Oto leżała ciocia Queen, otulona przepyszną satyną, ze sznurami pereł na piersi i dużą prostokątną kameą na szyi, której nigdy nie widziałem w jej zbiorze i której przez chwilę nie potrafiłem zidentyfikować. Nagle sobie przypomniałem. Petronia ją nosiła - Petronia miała ją na sobie, gdy widziałem ją ostatni raz w Samotni. I gdy widziałem ją ostatni raz w Neapolu.

Skąd się tu znalazła? Wystarczyło mi podnieść głowę i dowiedziałem się. Oto w nogach trumny stała Petronia, cała na granatowo; swoje cudowne włosy zaczesala do tyłu, smutna i nieszczęśliwa. Znalazła się przy mnie szybko, ruchem błyskawicznym jak mrugnięcie okiem, i zaciskając mi palce na ramieniu, wyjaśniła, że Jasmine pozwoliła jej założyć ciotce tę kameę i jeśli nie mam nic przeciwko temu, powinna tam pozostać.

- Dzięki temu zachowasz jej ulubione skarby - szepnęła mi do ucha - a równocześnie pochowasz ją w czymś godnym jej osoby, czymś, co by się jej podobało.

- Znakomicie. Zgadzam się - powiedziałem.

Petronia zniknęła. Wiedziałem to, poczułem, nie patrząc.

Równocześnie jej obecność wśród tylu śmiertelnych wydała mi się dziwna, i chociaż zdawałem sobie sprawę, że moje zdolności maskowania rosną, to gdy patrzyłem na moją ukochaną ciocię, przepelniały mnie głównie smutek i żal.

Jak ogólnie wiadomo, Lonigan jest znakomitym przedsiębiorcą pogrzebowym, ale doprawdy prześcignął samego siebie, oddając miły, prawie radosny nastrój, którym ciocia Queen tchnęła za życia. Niemal się uśmiechała. Siwe loczki układały się idealnie wokół twarzy. Róż na policzkach położono subtelnie, a koralowego koloru pomadka pasowała jak ulał do reszty makijażu. Sama ciotka byłaby zachwycona. Oczywiście, Jasmine też pomogła umalować ciocię, ale to Lonigan był prawdziwym autorem tego arcydzieła i dzięki niemu dobroć i szlachetność ciotki Queen opromieniały ją jak za życia.

Łososiowa suknia i perły wybrane przez Jasmine były urocze, a w rękach cioci tkwił ten sam różaniec z kryształów, który dostała przy Pierwszej Komunii i wozila ze sobą po wielkim świecie.

Byłem tak przygnębiony, że nie potrafiłem się poruszyć ani przemówić. Zrozpaczony zatęskniłem za towarzystwem Petronii, przyłapując się na tym, że wzrok mam utkwiony w mitologicznym obrazku na kamei - przedstawiającym Hebe, Zeusa i puchar - i krwawe łzy wypełniły mi oczy. Otarłem je z furii.

Potem szybko opuściłem to miejsce. Przepchnąłem się przez zgromadzony tłum, wyszedłem na zewnątrz, czując gorące powietrze wieczoru, i stałem samotnie na rogu chodnika, patrząc w gwiazdy. Nic nie

mogło utulić mojego smutku. Wiedziałem o tym. Miałem go nosić w sobie przez wszystkie noce, aż ten ktoś, kim teraz byłem, przestanie istnieć, aż Quinn Blackwood stanie się kimś lub czymś innym niż obecnie.

Moja chwila samotności trwała nie dłużej niż kilka sekund. Podeszła do mnie Jasmine, mówiąc, że wielu ludzi pragnie wyrazić mi swoje współczucie i waha się to uczynić, gdyż wydaję się bardzo poruszony.

- Nie mogę z nimi rozmawiać, Jasmine, ty musisz zająć moje miejsce - powiedziałem. - Teraz muszę odejść. Wiem, że to brzmi nieprzyjemnie i wychodzę na tchórza w twoich oczach. Nic na to nie poradzę.

- Chodzi o Goblina? - spytała.

- Tak, boję się go - powiedziałem, częściowo kłamiąc, bardziej, aby ją pocieszyć, niż aby ukryć moją hańbę. - O której msza? I gdzie pochówek?

- Msza o ósmej wieczorem u Marii Panny, a potem jedziemy na cmentarz Metairie.

Gdy obejrzałem się na tłum wylewający się na ulicę, zobaczyłem jeszcze jedną postać, której widok wprowadził mnie w zdumienie - oto był Julien Mayfair, w swoim znakomitym szarym garniturze, tym samym, w którym przyjął mnie jakże godnie, częstując gorącą czekoladą. Stał, jakby tylko chciał zaczerpnąć powietrza wraz z innymi żałobnikami, i przyglądał mi się ze spokojem. Wydawał się równie cielesny jak wszyscy pozostali, poza tym, że nieco różnił się kolorem, jakby namalował go inny artysta, oddając jego ubranie, skórę i włosy w nieco ciemniejszych barwach niż reszty postaci. Och, był niezmiernie wyrafinowanym i eleganckim widmem, przybyłym nie wiedzieć skąd. I kto powiedział, że jako

krwiopijca przestanę widzieć moje duchy?

- Ach, tak, to przecież twoja córka - powiedziałem, chociaż dzielił nas spory dystans, a Jasmine przyglądała mi się, nie rozumiejąc.

Skinął mi głową i uśmiechnął się bardzo smutno.

- Co ty pleciesz, szalony paniczku? - spytała Jasmine. - Jesteś tak samo skołowany jak ja?

- Nie wiem, kochanie - odparłem. - Po prostu widzę różne stworzenia.

Jak zawsze. Wygląda na to, że nie tylko żywi wpadli na pogrzeb cioci.

Umarli również. Nie oczekuj, że ci to wyjaśnię. To normalne, gdy się weźmie wszystko pod uwagę, nie uważasz?

Gdy przyglądałem się Julienowi, wyraz jego twarzy ulegał

stopniowej zmianie, wyostrzał się, poważniał i w końcu stał się niemal

gorzki. Poczulem włosy jeżące się na karku. Potrząsnął lekko, ale wyraźnie

głową. Bezgłośnie przekazał mi z oddali: „Nigdy nie poślubiaj mojej ukochanej Mony”.

Wciągnąłem głęboki oddech. Przesłałem mu moc zapewnień, również wyrażonych bezgłośnie.

- Chodź, paniczku - powiedziała Jasmine.

Poczulem jej usta na policzku, a potem silny uścisk palców na

ramieniu. Nie mogłem oderwać oczu od Julienu. Jego twarz łagodniała,

stała się bez wyrazu. Zaczął blaknąć. A potem się rozplynął, w tej samej

chwili, w której Rowan, Michael oraz doktor Winn Mayfair wyszli z

najbliższych drzwi. I kto im teraz towarzyszył, jak nie Oliver Stirling, ten

Stirling, który wiedział, kim jestem, Stirling, którego mało nie zabiłem

poprzedniej nocy, Stirling patrzący na mnie takim wzrokiem, jakby mnie akceptował, choć było to całkowicie niemożliwe, Stirling, którego kochałem jak przyjaciela. Nie mogłem znieść ich badawczych spojrzeń i tym bardziej nie zniósłbym ich dociekliwych pytań. Z ust żadnego z nich. Nie mogłem znieść byle jakiej rozmowy o Monie, jakbym nie pragnął jej całą duszą, jakbym nie wiedział, że nigdy więcej jej nie zobaczę, nawet jeśli sobie wyobrażali, że będzie inaczej, jakbym dopiero co nie widział groźnego widma Julienu. Musiałem szybko się oddalić.

I oddaliłem się szybko.

Tej nocy potrzebowałem wyjątkowej zdobyczy. Moje buty dudniły na rozgrzanych trotuarach. Zostawiłem za sobą wielkie drzewa Garden District. Przeciąłem Avenue. Wiedziałem, dokąd iść.

Miałem ochotę na handlarza narkotykami, mordercę bez skrupułów, znakomity posilek, i wiedziałem, gdzie go znaleźć; mijałem jego drzwi w spokojniejsze noce. Znałem jego obyczaje. Oszczędzałem go na czas zemsty. Oszczędzałem go na tę chwilę.

To był duży piętrowy dom przy Carondelet Street, zapuszczony z zewnątrz i bogaty w środku, z elektronicznymi gadżetami i dywanami od ściany do ściany, jedna wielka cela obłąkańca, który kierował z niej egzekucjami i hurtowymi zakupami narkotyków i nawet skazywał na śmierć dzieci, które nie chciały rozprowadzać drobnicy, polecał wiazać ich tenisówki i przerzucać przez druty elektryczne, by inne wiedziały, jaki los może je spotkać.

Nie obchodziło mnie, co świat o tym pomyśli; wdarłem się do środka i

z zimną krwią zamordowałem jego dwóch zaćpanych, chwiejących się na nogach kompanów, zadając im kilka szybkich ciosów w głowę. On rzucił się po broń. Złapałem go za gardło, złamałem mu kark jak lodygę. Od razu zachłysnąłem się słodkim sokiem jego monstrualnej miłości do samego siebie, trującej rośliny w ogrodzie nienawiści, unoszącego w symbolicznym geście pięść przeciwko każdemu skrytobójcy, wierzącego do ostatniej kropli krwi, że zwycięży, że świadomość go nie zdradzi, aż w końcu popłynęła dusza dziecka, pierwsze modlitwy, obrazy matki i przedszkola, światło słońca i jego serce się zatrzymało, i cofnąłem się, oblizując wargi, nasycony do niemożliwości, zły, pełny.

Wziąłem jego rewolwer, po który sięgał, chcąc mnie zabić, i wziąłem poduszkę z kanapy, przyłożyłem jedno i drugie do jego głowy i umieściłem w niej dwie kule, a potem zrobiłem to samo jego kompanom. W ten sposób podsunąłem koronerowi coś, co było dla niego zrozumiałe, przetarłem broń i zostawiłem ją tam.

Goblin ukazał mi się w przeblysku, oczy pełne krwi, ręce czerwone od krwi, po czym rzucił się przed siebie, jakby chciał złapać mnie za gardło. „Splóń, diable, splóń!”, życzyłem mu w myślach, wysyłając ogień w jego kierunku, gdy mnie otoczył, jakby chciał się ze mną połączyć, i poczułem żar. Palił mnie, moje włosy, ubranie. „Zamordowałeś ciotkę Queen, ty diable, splóń! Splóń, jeśli muszę splonąć z tobą”. Upadłem na podłogę, czy raczej ona rzuciła się ku mnie, zakurzona i zapaskudzona, i rozłożyłem się na cuchnącym dywanie, mając w sobie Goblina, a potem przyszło omdlenie - byliśmy dziećmi, byliśmy niemowlętami, byliśmy w kołysce i

ktoś śpiewał, a Mała Ida powiedziała: „Czy to dziecko nie ma najpiękniejszych kędziorków na świecie”, och, jak słodko było z Małą Idą, móc znów usłyszeć jej głos, jak słodko, jak bezpiecznie. Ciotka Queen puściła siatkowe drzwi i zamknęły się za nią z hukiem. „Ida, kochana, pomóż mi z zapinką. Przysięgam, zgubię te perły!” „Ty diable, ty morderczy duchu, nie spojrzę na nią; nie będę czuł; nie będę widział”.

Byłem z Goblinem, kochałem Goblina i nic więcej się nie liczyło - nawet drobne ranki na całym ciele i uścisk w sercu.

- Daj mi spokój, ty diable! Przysięgam ci, skończę z tobą. Rzucę się z tobą w ogień. Nie myśl, że kłamię!

Uniosłem się na czworaki.

Owinął mnie wiatr, a potem wyleciał przez wylamane drzwi. Szyby w oknach zatrzęśły się i zabrzęczały.

Przepelniała mnie nienawiść tak silna, że czułem jej smak, i nie przypominał krwi.

Goblin przepadł.

Byłem w kryjówce narkotykowego króla, pośród gnijących trupów.

Musiałem się wynieść.

A ciotka Queen była martwa. Była absolutnie martwa. Spoczywała na kremowej satynie, ze sznurami pereł na szyi. Ktoś pamiętał o jej okularach na srebrnym łańcuszku. Jej perfumach Chantilly. Kropelce perfum Chantilly.

Była martwa.

I nie mogłem na to nic poradzić, absolutnie nic.

Nosiłem w sercu szalone marzenie, że Mona pokaże się na mszy żałobnej, ale nic takiego się nie stało, chociaż mszę celebrował ksiądz Kevin Mayfair i chociaż przybyli wszyscy znani mi Mayfairowie - Rowan, Michael i doktor Winn - podobnie jak zjawili się na czuwaniu. Wszyscy promieniali dziwną poświatą, która bardzo mnie niepokoiła. Był również z nimi Oliver Stirling i gdy spotkaliśmy się wzrokiem, skinęli mi uprzejmie głową.

Potężny tłum wypełniał główną nawę kościoła pod wezwaniem Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, tłum, jakiego nigdy nie widziałem podczas zwykłej mszy niedzielnej. Prawdę mówiąc, była po prostu masa ludzi, bo przybyli ci wszyscy McQueenowie, którym nie udało się dojechać wcześniej.

Czułem bezlitosny chłód, patrząc na zamkniętą trumnę leżącą na marach w głównym przejściu, a ponieważ dotarłem do kościoła dopiero po zmroku, nie udało mi się zobaczyć cioci, zanim zamknięto ją na wieki.

Nie byłem skazany na oplakiwanie jej w samotności, bo zarówno Lestat, jak i Merrick Mayfair pojawili się u mego boku, gdy przeszedłem obok Mayfairów i wsunąłem się do ławki zajętej już przez Jasmine, Tommy'ego i Nasha.

Ich przybycie było tak niespodziewane, że przeżyłem wstrząs i Lestat musiał podtrzymać mnie za ramię. Przyciął całkiem krótko włosy i założył niezbyt ciemne okulary przeciwsłoneczne, osłabiające oszalamiający blask

jego opalizujących tęczówek; był ubrany klasycznie w dwurzędową niebieską marynarkę i jaśniejsze bawełniane spodnie.

Merrick Mayfair miała na sobie śnieżnobiałą lnianą szmizjerkę, na

głowie

białą

chustę,

zawiązaną

wokół

szyi

i

duże

okulary

przeciwsloneczne, niemal zakrywające twarz. Byłem jednak pewien, że to

ona, i poczułem zaskoczenie, gdy Oliver Stirling, siedzący za nami,

podszedł i szepnął, że cieszy się na jej widok i ma nadzieję zamienić z nią

później kilka słów. Słyszałem wyraźnie, gdy odparła, że ma wiele spraw

na głowie, ale postara się uczynić zadość jego pragnieniom. Chyba

ucalowała go w oba policzki, ale nie byłem pewien, bo się odwróciła. Wiem

tylko, że dla Stirlinga była to niezwykle ważna chwila.

Ojciec Kevin Mayfair rozpoczął mszę. Nie chodziłem do kościoła od

czasu przemiany i zapomniałem, że ojciec Kevin jest tak bardzo podobny

do mojej rudowłosej Mony. Poczulem bolesną tęsknotę, już patrząc na

niego, gdy przywitał nas wszystkich i gdy odpowiedzieliśmy na jego

powitanie. A potem uświadomiłem sobie, że moja tęsknota za nim nigdy

nie osłabła.

Wygłaszał święte formuły z pełnym przekonaniem. Był kapłanem

Boga i świadomość sakramentu kapłaństwa przenikała go całego.

*Wiedziałem to dzięki krwi, ale nawet jako śmiertelnik nigdy w to nie
wątpiłem.*

*To, że Lestat i Merrick przyklęknęli obok mnie, czynili znak krzyża,
pogrążali się w modlitwie i odpowiadali na słowa kapłana podobnie jak ja,
było dla mnie szokiem - przyjemnym szokiem, jakby szalony świat, w
którym się zagubiłem, potrafił stworzyć własną prężną tkankę łączną.*

*Gdy przyszła pora czytania i wspomnień o cioci, Nash wygłosił
bardzo poważną i celną mowę o duchowej szlachetności zmarłej, której
wyrazem była wieczna troska o innych, a Jasmine stanęła przed ołtarzem i
cała drżąca rzekła, iż ciotka była gwiazdą przewodnią jej życia, po czym
inni ludzie - ledwo mi znani - mówili inne miłe rzeczy. W końcu zapadła
cisza.*

*Pamiętałem żywo, że za życia nie zabrałem głosu na żadnym
pogrzebie, chociaż kochałem Lynelle, dziadka i babunię, ale teraz wstałem
i podszedłem do mikrofonu, tuż za balustradą oddzielającą ołtarz od reszty
kościola. Wydawało się nie do pomyślenia, że będąc tym, kim byłem,
zdołę się na ten czyn, ale nie zabrakło mi sił i nic nie mogło mnie
powstrzymać.*

*Dostosowując głos do mikrofonu, powiedziałem, że ciotka Queen
była najmądrzejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem, i że posiadłszy
prawdziwą mądrość, była obdarzona doskonałym miłosierdziem, a*

przebywając w jej towarzystwie, czuło się promieniowanie dobroci.

Następnie otworzyłem Biblię na Księdze Mądrości i przeczytałem z niej

opis daru mądrości, który moim zdaniem posiadała ciotka.

Mądrość bowiem jest ruchliwsza od wszelkiego ruchu

i przez wszystko przechodzi, i przenika dzięki swej

czystości.

Jest bowiem tchnieniem mocy Bożej

i przezczystym wypływem chwały Wszechmocnego,

dlatego nic skażonego do niej nie przylgnie.

Jest odblaskiem wiecznej światłości,

zwierciadłem bez skaży działania Boga,

obrazem Jego dobroci.

Jedna jest, a wszystko może,

pozostając sobą, wszystko odnawia...

W tym miejscu przerwałem.

- Nie ma doskonalszych słów opisujących ciocię Queen -

powiedziałem. - A to, że żyła pomiędzy nami osiemdziesiąt pięć lat, było

dla nas darem, cennym darem, i skoro śmierć zabrała ją tak nagle,

musimy przyjąć to za łaskę, jeśli mamy pozostać przy zdrowych zmysłach,

myśląc o niej i o tym, jak boleśnie przeżyłaby zniedołężnienie. Odeszła.

Ona, która nie miała dzieci, była matką dla nas wszystkich. Reszta jest

milczeniem.

Następnie - ledwo wierząc, że podszedłem do mównicy, wygłosić te

słowa przed tłumem ludzi podczas mszy żałobnej - już miałem wrócić na

miejsce, gdy nagle wstał Tommy i niespokojnym gestem poprosił mnie, abym jeszcze nie odchodził od mikrofonu.

Podszedł przemówić, bardzo roztrzęsiony, i objął mnie, aby się opanować, a ja położyłem mu dłoń na ramieniu.

- Podarowała mi świat - rzekł. - Podróżowałem z nią. I gdziekolwiek się udaliśmy, od Kalkuty do Asuanu, Rio, Rzymu i Londynu, ofiarowywała mi te miejsca, siłą swoich słów, entuzjazmu, pasji i... i pokazała mi to wszystko, mówiąc, co mogę stworzyć ze swojego życia. Nigdy jej nie zapomnę. I chociaż mam nadzieję, że będę kochał innych ludzi tak, jak ona mnie tego nauczyła, nigdy nie będę kochał nikogo tak, jak ją kochałem. - Podniósł ku mnie wzrok, sygnalizując, że skończył mówić, i przytulił się. Byłem z niego bardzo dumny i zupełnie przestałem myśleć o swoich grzechach. Siadając obok Lestata, trzymałem Tommy'ego za rękę; Lestat ujął moją drugą dłoń.

Kiedy przyszedł czas komunii, wielu ludzi wstało z ławek, by ustawić się w kolejce, i oczywiście Tommy i Jasmine byli między nimi. Kierowany impulsem wstałem i poszedłem za nimi, przyłączając się do reszty.

Przeżyłem absolutny szok, widząc, że to samo zrobili Merrick i Lestat, może idąc za moim przykładem, chociaż niewykluczone, iż zrobiliby to bez względu na wszystko.

Nasza trójka przyjęła Najświętszy Sakrament.

Jak miałem w zwyczaju, wziąłem go do ręki, a potem wsunąłem do ust. Nie wiem, jak oni go przyjęli, ale przyjęli. Jak zawsze poczułem, że rozpuszcza się na języku - moje ciało nie mogło odrzucić tak drobnego

okrucza - i modliłem się do Boga, który zagościł we mnie, aby wybaczył mi wszystko to, czym byłem. Modliłem się, aby zbawił mnie od wszystkiego, czym byłem. Modliłem się, chcąc się dowiedzieć, co muszę uczynić, aby żyć, jeśli jakaś droga postępowania - honorowa, przyzwoita lub moralna - była mi dostępna.

Czy Chrystus był we mnie? Oczywiście. Czemu jeden cud miałby się zakończyć, gdy wydarzył się inny? Czy byłem winny świętokradztwa?

Tak. Ale co ma zrobić morderca? Chciałem, aby Bóg we mnie zagościł. I mój akt skruchy, moje wyrzeczenie się wszystkich grzechów, były chwilowo szczere. Ukląkłem, zamykając oczy, i najdziwniejsze myśli przechodziły mi przez głowę.

Myślałem o tym, że wszechmogący Bóg stał się człowiekiem i że doprawdy był to niezwykle gest! Roztrząsałem to tak, jakbym nigdy wcześniej o tym nie słyszał! I wyglądało na to, że wszechmogący Bóg musiał to uczynić, aby w pełni zrozumieć to, co stworzył, gdyż stworzył człowieka, który potrafił Go dotkliwie obrazić. Jakie to było poplątane. Jakie dziwne. Aniołowie nie obrazili Go tak głęboko. Nie. Ale ludzie tak. Głowę miałem pełną różnych myśli i przez chwilę moje serce było pełne Chrystusa, a moja dusza łkała bezkrwawymi łzami i chociaż przez krótką chwilę czułem się niewinny.

Przechodząc szybko dalej: cmentarz.

Przedsiębiorca pogrzebowy zaopatrzył nas wszystkich w świeczki z papierowymi kołnierzykami, tak aby kapiący wosk nie poparzył nam dłoni. Ksiądz Kevin Mayfair zakończył ceremonię elegancko i z wdziękiem.

Uronił łzę nad ciotką Queen. Wielu ludzi płakało. Terry Sue wcięż łkała.

Cała trumna została zakryta kwiatami. Przeszliśmy obok trumny, ostatni raz dotykając pokrywy. Drzwi do wysokiego granitowego grobowca stały otworem. Po naszym odejściu trumna miała spocząć na jednej z półek.

Patsy wybuchła histerycznym szlochem.

- Jak mogłeś kazać nam przyjść tutaj w nocy! - krzyczała na mnie.

Łzy zalewały jej oczy. - Ty, zawsze ty, Tarquin. Nienawidzę tego miejsca, a ty kazałeś nam przyjść tutaj w nocy. Ty, zawsze ty, Tarquin.

Współczułem jej, że jest tak nieszczęśliwa i że wszyscy się na nią patrzą, nie wiedząc, jak bardzo jest chora i do tego rozchwiejana emocjonalnie.

Baba Ramona starała się ją uspokoić. Merrick Mayfair stała obok mnie, przypatrując się bacznie Patsy. Czuję, że Lestat również się jej przypatruje. Jej zachowanie było poniżające, ale jakie znaczenie w ich oczach miały te wybryki? I dlaczego się zjawiała? Nie przyszła na pogrzeb własnych rodziców. Ale kochała ciotkę Queen. Wszyscy ją kochali.

Tymczasem Baba Ramona skierowała ją do samochodu. Nasz adwokat, Grady Breen, starał się ją ugłaskać i uciszyć.

- Bądź przeklęty, Quinn! - wrzeszczała, gdy wpychano ją do limuzyny. - Niech cię diabli porwą!

Zastanawiałem

się,

czy

przypadkiem

nie

ma

zdolności

jasnowidzenia, że ciska tak idealnie dopasowane przekleństwa.

- Powinniśmy spotkać się dziś w nocy - powiedziała cicho Merrick. -

Twój przyjaciel duch jest niebezpieczny. Wyczuwam jego obecność. Nie pali się pokazać ani mnie, ani Lestatowi. Ale jest tu. Nie ma czasu do stracenia.

- Spotkamy się we dworze? - spytałem.

- Tak, jedź z rodziną - polecił mi Lestat. - Kiedy przyjedziesz, my będziemy na ciebie czekać.

- Twoja matka też tam pojechała - wtrąciła Merrick. - Z tym że chce się wymknąć. Spróbuj ją zatrzymać. Musimy z nią porozmawiać. Powiedz jej, że musimy z nią porozmawiać. Użyj wszystkich dostępnych sposobów, żeby ją zatrzymać.

- Ale dlaczego? - spytałem.

- Kiedy zbierzemy się razem, zrozumiesz.

Czekała na mnie limuzyna oraz Tommy, Patsy, Baba Ramona, Nash, Jasmine i Clem.

Obejrzałem się na trumnę, na personel z domu pogrzebowego i grabarzy, gdy przygotowywali kryptę - czekali, woleli nam oszczędzić widoku kolejnych czynności - po czym zawróciłem, aby zerwać dwie czerwone róże, i podnosząc wzrok, ujrzałem Goblina.

Stał przy samych drzwiach grobowca. Był ubrany tak jak ja, w

czarny garnitur, i włosy też miał takie jak ja, długie, ale uczesane, i wpatrywał się we mnie szalonymi, błyszczącymi oczami, i chociaż był równie cielesny jak ja, to widziałem gęstą krwistą sieć, przenikającą cały jego iluzoryczny obraz. Trwał przez sekundę, może dwie, po czym zniknął jak zdmuchnięty płomyk.

Zadrzałem. Poczulem ruch powierza. Pustkę.

Zabrałem róże i wsiałem do samochodu, po czym ruszyliśmy do dworu Blackwood.

Patsy płakała całą drogę.

- Przez te wszystkie lata nie zbliżyłam się do tego cholernego grobu - powtarzała. - I musieliśmy przyjechać w środku nocy, bo Quinn tak chciał, mały Quinn, jak to świetnie się złożyło, że mały Quinn wpadł na taki pomysł!

- Nikt cię zmuszał - powiedziała Baba Ramona. - A teraz bądź cicho, doprowadzisz się do ciężkiego stanu.

- Niech was szlag trafi, niech was szlag, co wy wiecie o ciężkich stanach?

I tak się to ciągnęło przez całą drogę do domu.

Zanim do niego dotarliśmy, poruszony i nieobecny duchem skruszyłem obydwie róże, tak że zostały po nich tylko niepotrzebne nikomu płatki.

Patsy zajmowała frontową sypialnię, naprzeciwko mojej, i gdy tylko dotarliśmy do domu, Cindy, наша ukochana pielęgniarka, poszła się nią zająć, upewniła się, że wzięła lekarstwa, i podała jej jakiś łagodny środek uspokajający. Niebawem miała na sobie oficjalny nocny strój dworu Blackwood, flanelową koszulę, i nie zamierzała nigdzie wychodzić, chociaż gdy zobaczyła mnie przez próg, idącego do swojego pokoju, wrzasnęła, że to świństwo, że zawlokłem nas wszystkich na cmentarz „o północy”.

Do północy była jeszcze chwila.

Wszyscy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, jakie nam groziło ze strony Goblina. Nie musiałem mówić Jasmine i Clemowi, aby zaopiekowali się Jerome'em, ani upominać Nasha, aby miał oko na Tommy'ego. Wszyscy wiedzieli, co Goblin zrobił cioci Queen. Nawet Patsy uwierzyła w winę Goblina, w związku z czym Baba Ramona była teraz jej towarzyszką i strażniczką.

Nikomu nie było wolno wchodzić samemu po schodach. Nikt nie miał panikować, gdyby popękały szyby. Wszyscy mieli pozostać w domu, parami albo we troje, włącznie ze mną, który gościł „dwoje przyjaciół” w prywatnym salonie.

Czekali na mnie zgodnie z obietnicą. Zebraliśmy się przy stole, Merrick, Lestat i ja. Merrick, wysoka, bardzo szczupła kobieta o skórze barwy migdałów i gęstych ciemnych włosach, zaczęła natychmiast mówić, zdejmując chustę i okulary.

- Ten stwór, ta zjawa, który cię prześladowa, to twój krewny i to

bardzo bliski krewny.

- Jak to możliwe? - spytałem. - Zawsze byłem przekonany, że to duch.

Zjawy mnie prześladowały. One zawsze mówią, kim są. Mają swoją historię, swoje wzorce zachowań.

- Wierz mi, on też ma swoją historię i swoje wzorce zachowań.

- Jakie? - spytałem.

- Nie masz pojęcia? - nacisnęła mnie, patrząc głęboko w oczy, jakbym usiłował coś ukryć sam przed sobą.

- Najmniejszego - odparłem. Rozmawiało mi się z nią swobodnie.

Czułem, że mnie rozumie. - Był ze mną od zawsze, od początku. Przyjąłem, że go stworzyłem. Przyciągnąłem go do siebie z pustki i ukształtowałem na swój obraz. Och, wiem, że jest z czegoś stworzony. Z eteru, cząstek astralnych, jakiejś postaci materii. Z czegoś, tak, z czegoś, co podlega prawom natury. Mona Mayfair kiedyś mi wyjaśniła, że takie duchy mają jądro, jakby serce i układ krążenia, i jak rozumiem, teraz moja krew napędza ten układ i Goblin staje się coraz mocniejszy, im więcej krwi ze mnie wysię, po tym, jak wcześniej się nakarmię. Nigdy natomiast nie miałem wrażenia, żeby był czyimś widmem.

- Widziałam go na cmentarzu - powiedziała. - Tak jak ty.

- Widziałas go koło grobowca mojej rodziny? Kiedy zrywałem róże?

- Jeszcze wcześniej. Był dobrze widoczny. Tarquin, to twój bliźniak.

- Tak, wiem, to mój Doppelgänger w każdym calu.

- Nie, Tarquin, nie o to mi chodziło. To twój brat, bliźniak

jednojąkowy.

- To niemożliwe, Merrick - zaprotestowałem. - Wierz mi, doceniam to, że atakujesz ten problem tak bezpardonowo, ale w tym wypadku nie masz racji. I to z dwóch powodów.

- Jakich mianowicie? - zapytała.

- No cóż, po pierwsze, gdybym miał brata bliźniaka, wiedziałbym o tym. Ktoś by mi o tym powiedział. Co ważniejsze, Goblin pisze prawą ręką, a ja zawsze byłem leworęczny.

- Tarquin, on jest twoim zwierciadlanym odbiciem. Nigdy nie słyszałeś o takich przypadkach? Stara legenda mówi, że każdy mańkut to jeden z dwóch zwierciadlanych bliźniaków, ten, który przeżył, podczas gdy drugi zmarł w łonie. Twój brat bliźniak nie zginął w ten sposób. Tarquin, mam wrażenie, że powinniśmy porozmawiać z Patsy. Myślę, że Patsy chce ci powiedzieć prawdę. Jest zmęczona jej ukrywaniem.

Byłem zbyt wstrząśnięty, aby przemówić. Poprosiłem ich gestem o cierpliwość, po czym wstałem i dałem znak, aby za mną poszli.

Przecieliśmy hol. Drzwi pokoju Patsy były otwarte. Nie miała saloniku tak jak ja, ale to pomieszczenie było przestronne, piękne, z wielkim łóżem, osłoniętym marszczonymi biało - niebieskimi firankami, fotelikami i kanapą. Patsy i Cindy siedziały na kanapie, oglądając telewizję, podczas gdy Baba Ramona wyszywała w jednym z foteli. Głos z telewizora był tak cichy, że chyba wystarczał im sam obraz. Na nasz widok Baba Ramona wstała do wyjścia. Podobnie Cindy.

- A co to za najście? - spytała Patsy. - Hej, Cindy, nie wychodź, póki

nie dasz mi jeszcze jednego zastrzyku. Źle się czuję. A ty, Tarquinie Blackwood, ciągle mnie omijasz. Kiedy umrę, zawleczesz wszystkich na cmentarz Metairie o północy?

- Nie wiem, Patsy - odparłem. - Może tylko cię uduszę i wrzucę do bagna. Czasem marzę, że cię morduję i porzucam trupa na bagnach. Tak mi się marzy. Smakujesz jak wata cukrowa i kandyzowane jabłuszka, a potem osuwasz się głęboko w zieloną wodę.

Roześmiała się i pokręciła głową, patrząc na mnie i moich przyjaciół.

W długiej białej koszuli nocnej wyglądała niepokojąco krucho. A jej jasne, wcześniej tyle razy tapirowane włosy, były wyszczotkowane i zwisały długimi falami, tak że wydawała się młoda. Oczy miała wielkie i metalicznie błyszczące.

- Wariat z ciebie, Tarquinie Blackwood - powiedziała szyderczo. -

Powinieneś zostać utopiony przy urodzeniu. Nawet nie wiesz, jak bardzo cię nienawidzę.

- Ależ, Patsy, nie mówisz tego serio - skarciła ją Cindy. - Wróć i za godzinę dam ci zastrzyk.

- W tej chwili źle się czuję - zaprotestowała Patsy.

- W tej chwili jesteś napita - powiedziała Baba Ramona.

- Czy możemy chwilę z tobą porozmawiać? - rzekł Lestat, dołączając

do słów łagodnie pytający gest. Wskazała mu miejsce obok siebie. Usiadł, kładąc rękę na oparciu kanapy, za plecami Patsy.

- Jasne, miło mi, że mogę porozmawiać z przyjaciółmi Quinna -

powiedziała. - Usiądźcie. Nikt wcześniej nie zaszczycił mnie wizytą. Nash

jest tak nadęty, że przeważnie mówi mi tylko „Dzień dobry, panno

Blackwood”. Jasmine nie znosi mojego widoku. Myśli, że nie wiem, że ten jej czarny bękart to jego robota. A diabła tam. Cała gmina wie. I szasta się, i mówi „To moje dziecko”, jakby go dziewczica zrodziła, macie pojęcie?

Mówię wam, gdyby kto inny był ojcem tego dziecka, nie ty, Quinn, to babrałoby się w błocie na podwórku jak reszta hołoty, ale że to mały Quinn dorwał się do majtek Jasmine, no, to świetnie według ciotki Queen, po prostu świetnie, niech mały bękart rządzi sobie w domu, jakby...

- Daj spokój, Patsy, wyhamuj - upomniałem ją. - Gdyby ktoś zranił uczucia tego dziecka, pierwsza byś się za nim wstawiła.

- Mnie nie zależy na tym, żeby go ranić, Quinn, mnie zależy na tym, żeby zranić ciebie, bo ciebie nienawidzę.

- No to dam ci szansę, żebyś mogła mnie zranić. Wystarczy, że porozmawiasz ze mną i moimi przyjaciółmi.

- Z największą przyjemnością.

Merrick usiadła już na fotelu, który poprzednio zajmowała Baba Ramona, i cały czas uważnie przyglądała się Patsy. Teraz cichym głosem przedstawiła się imieniem i przedstawiła Lestata.

Usiadłem obok Merrick.

Patsy skinęła głową na tę prezentację i rzekła z wyjątkowo szyderczym uśmiechem:

- Jestem matką Tarquina.

- Patsy, czy on miał brata bliźniaka? - spytała Merrick.

Patsy kompletnie zamurowało. Nigdy nie widziałem takiej miny na

jej twarzy. Była całkowicie bez wyrazu, tak, a potem pojawiło się na niej

połączenie głębokiego zdumienia i lęku.

- Cindy, potrzebuję cię, Cindy, boję się! - rozkrzyczała się. - Cindy!

Miotła się na kanapie, aż Lestat zdecydowanym gestem położył

dłoń na jej ramieniu. Wymówił szeptem jej imię. Gdy spojrzała mu w oczy,

przestała histeryzować, jakby ją uleczył.

W drzwiach pojawiła się Cindy z przygotowaną strzykawką.

- Daj spokój, Patsy, sekundka. - Podeszła do niej, usiadła obok i z

zachowaniem pełnej skromności uniosła jej koszulę nocną i dała zastrzyk

uspokajający w biodro, po czym wstała i czekała.

Patsy nadal patrzyła Lestatowi w oczy.

- Rozumiesz - powiedziała. - Był najżałośniejszą, najtragiczniejszą

istotką... - Zadygotała. - Nie wyobrażasz sobie.

Nie odrywając wzroku od Patsy, Lestat powiedział Cindy, że jej

pacjentka już czuje się dobrze.

Patsy opuściła spojrzenie na turecki dywan, jakby nagle

zainteresowały ją jego zawile wzory. Potem spojrzała na mnie.

- Tak bardzo cię nienawidziłam - powiedziała. - Dalej cię nienawidzę.

Zawsze cię nienawidziłam. Ty go zabiłeś.

- Zabiłem go! Jak...? - Byłem oszołomiony.

- Tak - potwierdziła. - Ty to zrobiłeś.

- Co ty mówisz? - spytałem. - Jak mogłem to zrobić? - Chciałem

przejrzeć jej myśli, ale nigdy nie użyłem swojej mocy wobec niej i jakiś

głęboki niesmak powstrzymał mnie również teraz.

- Byłeś taki wielki - mówiła dalej. - Taki zdrowy, taki normalny.

Dziesięć funtów jedenaście uncji. Nawet kości miałeś wielkie. A ten drugi mój maluszek, mój mały Garwain, ważył tylko trzy funty i powiedzieli, że dał ci całą swoją krew, kiedy był u mnie w brzuchu, całą swoją krew. Byłeś jak mały wampir, wyssałeś mu całą krew! To było takie okropne, a on był taki malutki. Miał tylko trzy funty. Och, był najtragiczniejszą, najżałośniejszą istotką, jaką widziałam w życiu.

Zdumienie odebrało mi głos.

Łzy spływały jej po twarzy. Cindy wyjęła czystą chusteczkę higieniczną i otarła je.

- Tak strasznie chciałam go potrzymać, ale mi nie dali - ciągnęła

dalej Patsy. - Powiedzieli, że to bliźniak dawca, tak go nazwali. Bliźniak dawca. Dał wszystko. I był zbyt malutki, żeby przeżyć. Włożyli go do

inkubatora. Nawet nie pozwolili mi go pogłaskać. Siedziałam w tym szpitalu dzień i noc, dzień i noc. A ciotka Queen wciąż do mnie

telefonowała i mówiła: „Dziecko w domu cię potrzebuje!” Jak mogła mówić coś takiego! Jakby ten maluszek w szpitalu mnie nie potrzebował! Jakby to

żałosne stworzonko w szpitalu mnie nie potrzebowało! Chciała, żebym przyjechała do domu i karmiła piersią tego dziesięciofuntowego potwora.

Nie mogłam nawet patrzeć na ciebie! Nie chciałam być z tobą pod jednym dachem! To dlatego się wyprowadziłam do baraku.

Gniewnie otarła łzy. Mówiła cicho. Nie wydaje mi się, aby zwykły

człowiek mógł ją usłyszeć. Nie jestem pewien, czy słyszała ją siedząca obok

Cindy.

- Siedziałam w tym szpitalu dzień i noc - powtórzyła. - Błagałam ich, żeby pozwolili mi dotknąć to maleńkie dzieciątko, i czy wy wiecie, że umarło w tamtej maszynie z tymi wszystkimi rurkami i drutami, i monitorami i wyskakującymi cyframi? Umarło! Tamto malutkie dzieciątko, biedny Garwainek, mój mały rycerzyk, tak go nazwałam, Garwain, mój rycerzyk, i potem pozwolili mi go potrzymać, kiedy umarł, to biedne niemowlę, wzięłam je w ramiona.

Nigdy nie widziałem jej w takim stanie, nigdy nie widziałem, żeby tak płakała, nigdy nie widziałem jej pogrążonej w tak głębokiej żałości.

- I mieliśmy dla niego małą trumienkę, białą - mówiła dalej - a on miał na sobie białą chrzcielną szatkę, cały w niej zginął, moje maleństwo, i pojechaliliśmy na cmentarz Metairie, wszyscy, i ciotka Queen, na miłość boską, czemu, na Boga, cię tam przywiozła, a ty wrzeszczałaś i darłaś się bez ustanku, i znienawidziłam ją za to, że cię przywiozła, a ona wciąż powtarzała, że ty wiesz, że twój brat bliźniak umarł, czujesz to, powinnam wziąć cię na ręce, wyobrażacie sobie, powinnam wziąć cię na ręce, a tam leżał mój Garwainek w malutkiej białej trumience i złożyli go do grobu, a ja kazałam wyryć na nagrobku „Garwain, mój rycerzyk” i on tam teraz spoczywa, w swojej małej trumnie. - Łzy spływały jej po twarzy.

Potrząsnęła głową. - Nie myślcie, że usunęli go, żeby zrobić miejsce na trumny dziadka czy babuni, czy ciotki Queen. Nie, w żadnym razie. Nie usunęli go. - Potrząsnęła głową ze zdecydowaniem. - Jest osiem stanowisk w tym grobowcu i nie ruszyli go. Dopilnowałam tego. I nigdy, nigdy nie wróciłam do tego grobowca, od kiedy go pogrzebaliśmy, aż do dzisiaj, i to

tylko dlatego, że ciotka Queen zostawiła Grady'emu Breenowi czek dla mnie, żebym uczestniczyła w tym jej głupim pochówku. I Grady Breen dał mi cynk. Dał mi ksero jej testamentu, jak wam mówiłam, bo ciotka Queen powiedziała mu, że ma tak zrobić.

To mi dopiero łapówka. W życiu o niczym takim nie słyszałam. A wiedziała, jak się będę tam czuła, wiedziała, to ona kazała mi przysiąc, że nigdy słówka ci nie powiem, nikomu nigdy nie wolno było ci powiedzieć, że wyssałeś

całą

krew

tamtego

dzieciątka,

tamtego

malutkiego

trzyfuntowego dziecka dawcy. Jakby to ciebie trzeba było chronić. Biedny Quinn. Niech Bóg ci to wybaczy, co zrobiłeś, ty cholerny sukinsynu. Nie będziesz wiedział, co to znaczy nienawiść, dopóki nie poznasz całej mojej nienawiści do ciebie.

Łkała w chusteczkę. Cindy była wstrząśnięta. Wstała, szykując się do odejścia, ale Patsy przyciągnęła ją do siebie. Zacisnęła drżące palce na jej ramieniu. Lestat ją objął i trzymał w łagodnym uścisku.

- Garwain - powiedział. - A kiedy Goblin zaczął się pokazywać, nie wydało ci się, że to może być widmo Garwaina?

- Nie - oburzyła się. - Gdyby to było widmo Garwaina, przyszłoby do

mnie, bo go kochałam! Nigdy nie przyszłoby do Quinna! On go zabił! Quinn zabrał Garwainowi całą krew. Goblin pojawił się tylko dlatego, że Tarquin chciał mieć brata bliźniaka, bo wiedział, że powinien go mieć i że go zabił, no więc stworzył Goblina z niczego, przyłożył się do tego całym swoim wariactwem. Był wariatem od początku.

- Nikt nie pomyślał, że to może być widmo tamtego maleństwa? - spytała Merrick.

- Nie - odparła Patsy z takim samym oburzeniem jak wcześniej. -

Garwain, mój rycerzyk, tak zostało napisane na nagrobku. - Podniosła ku mnie wzrok. - Jak ty się darłeś na tamtym pogrzebie! Jak wrzeszczałeś i wrzeszczałeś! Przez cały rok nawet na ciebie nie spojrzałam. Nie mogłam cię znieść. W końcu zdobyłam się na to tylko dlatego, że ciotka Queen mi zapłaciła. Dziadek nie dałby mi pięciu centów. Ciotka Queen płaciła mi przez cały czas, kiedy dorastałeś. To była uczciwa umowa. Nie mów mu o bracie bliźniaku, niech nie ma wyrzutów sumienia z powodu brata, nie mów mu, że go zabił, a ja zadbam o ciebie, i zadbała. - Wzruszyła ramionami. Uniósł brwi i złagodniała nieco na twarzy, ale łzy nadal płynęły jej z oczu. - Ciotka Queen dała mi pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powiedziała. - Nie było tego tyle, ile bym chciała, ale dała mi to na początek, żebym cię uściskała, więc zrobiłam to. Tylko jeden raz. I przekabaciła na swoją stronę dziadka, babunię i wszystkich. To tobą się zajmowali. Nigdy nie wspominaj Quinnowi, że miał mniejszego braciszka, który zmarł. Jakbym nigdy nie miała drugiego syna. Nie mów Quinnowi o Garwainku. Nie mów mu nigdy, że wyssał całą krew tamtego bezradnego

dzieciątka. Nigdy nie wspominaj Quinnowi tamtej strasznej historii, jakby to była tylko moja historia. A teraz wy tu przychodzicie i pytacie mnie, czy miał brata bliźniaka. Chcecie wiedzieć, a ciotka Queen nie żyje i dzięki temu, że Grady dał mi cynk o premii i o tym, co było w jej testamencie, wiem, że to nie ma żadnego związku z tym, co mogłabym wam powiedzieć. Więc teraz wiecie. I chyba teraz rozumiesz. Rozumiesz, dlaczego nienawidziłam cię przez te wszystkie lata. Chyba w końcu możesz sam to sobie wytłumaczyć.

Wstałem. Jeśli o mnie chodziło, to wiedziałem tyle, ile chciałem wiedzieć. I byłem za bardzo wstrząśnięty i wyczerpany, aby przemówić do Patsy. Nienawidziłem jej tak samo jak ona mnie. Nienawidziłem jej tak bardzo, że nie mogłem na nią spojrzeć. Chyba wybąkałem podziękowania i razem z dwójką moich przyjaciół zaczęliśmy się zbierać do odejścia.

- Nie masz mi nic do powiedzenia? - spytała Patsy, kiedy byłem przy drzwiach.

Cindy wyglądała na załamana.

- Co? - spytałem.

- Wyobrażasz sobie, przez co przeszłam? - powiedziała Patsy. -

Miałam szesnaście lat, kiedy to wszystko się wydarzyło.

- Ach, ale teraz nie masz szesnastu lat, to się liczy.

- I umieram - dodała Patsy. - I nigdy, przez całe życie, nikt nie kochał mnie tak, jak ludzie kochają ciebie.

- Wiesz, to prawda - odpowiedziałem - ale obawiam się, że nienawidzę cię tak samo jak ty mnie.

- Och, nie, Quinn, nie - szepnęła Cindy.

- Wynoś się stąd - powiedziała Patsy.

- To właśnie robiłem, tylko mnie zatrzymałaś - rzekłem.

Zanim mogłem się zastanowić nad tym, co usłyszałem, musiałem usłyszeć to również od Baby Ramony i Jasmine, więc zszedłem do kuchni i zastałem je tam z Jerome'em, Tommym i Nashem. Zebrali się przy stole na późną kolację, składającą się z czerwonej fasoli i ryżu i oczywiście zaprosili mnie do towarzystwa.

- Muszę coś wiedzieć - oświadczyłem, nie zajmując miejsca na podsuniętym krześle. - Patsy właśnie mi powiedziała, że miałem brata bliźniaka, który został pochowany na cmentarzu Metairie. Czy to prawda? Nie musiałem czekać na odpowiedź. Widziałem ją na twarzach obecnych i przeczytałem ją w ich myślach. W końcu Baba Ramona powiedziała:

- Patsy nie miała powodu ci tego teraz mówić. Nie miała żadnego powodu. - Uniosła się do wyjścia.

Gestem dałem jej znak, aby usiadła.

- A co się tyczy Goblina... - powiedziałem. - Nigdy nie pomyślałyście, że może być widmem tamtego mojego braciszka, Garwaina? - spytałem.

- No, pomyślałyśmy, ale co by z tego wynikło dobrego, gdybyśmy powiedziały to małemu dziecku, a potem dorastającemu chłopcu, a potem młodemu mężczyźnie, który pojechał sobie do Europy bawić się życiem, podczas gdy Goblin zniknął i nie robił żadnych kłopotów, a w końcu wspaniałemu mężczyźnie, który wrócił do siebie i zastał spokój w domu?

Skinąłem głową.

- Rozumiem. I to był mniejszy bliźniak? Malutki?

- Nie miała powodu zatruwać ci tym wszystkim życia - powiedziała

ostro Jasmine. - Ta dziewczyna zawsze znajdzie sobie wymówkę.

Wymówkę albo kłamstwo. Tylko dlatego wyskoczyła z tym małym

bliźniakiem, żeby wszyscy jej żalowali.

Nash wstał, chcąc wyprowadzić Tommy'ego, ale dałem im znak, żeby

nie przerywali sobie kolacji. Widziałem, że Tommy nadstawia uszu, ale nie

potępiłem tego. Czemu dłużej ukrywać tajemnicę? Nash wydawał się

przejęty, ale też lubił się przejmować.

- I nikt nie współczuje Patsy? - spytałem.

Zapadła ogólna cisza. W końcu odezwała się Baba Ramona:

- Ta Patsy to kanciara. Pewnie, płakała z powodu tamtego

maleństwa. Wiedziała, że ono umrze. Łatwo żałować kogoś, kto nie ma

żadnej szansy, kogoś, kto nie przeżyje tygodnia. Dużo ciężiej jest być

prawdziwą matką. A ciotka Queen współczuła jej i dała jej pieniądze, żeby

mogła założyć zespół. Ale ona nie trzymała się...

- Rozumiem - przerwałem jej. - Chciałem po prostu wiedzieć.

- Ciotka Queen nigdy nie chciała, żebyś się dowiedział - powiedziała

łagodnie Baba Ramona. - Jak mówiłam, nie było potrzeby, żeby ktoś ci to

mówił. Dziadek i babunia też nie chcieli, żebyś się dowiedział. Dziadek

zawsze powtarzał, że najlepiej zapomnieć. Ze to potworne i jeszcze jakieś.

Jak to mówił?

- Groteskowe - odpowiedziała jej Jasmine. - Powiedział, że to

potworne i groteskowe i że ci o tym nie powie.

- Po prostu nigdy nie zdarzyła się dobra okazja, żeby ci o tym

powiedzieć - wyjaśniła Baba Ramona.

- Pewnie, myślałyśmy, że Goblin to widmo twojego brata bliźniaka -

dorzuciła Jasmine - przynajmniej czasem, a czasem nie. I przeważnie wydawało się nam, że to nie ma takiego znaczenia.

Baba Ramona wstała zamieszać w garnku z fasolą. Nałożyła porcję

Tommy'emu. Mój Jerome miał placek brzoskwiniowy na całej twarzy i na talerzu.

- No, a kiedyś przyjechał z Europy - dodała Baba Ramona - to gdyby

Goblin zaczął bardzo rozrabiać, może powiedziałybyśmy ci o tym małym braciszku... wiesz, żeby zrobić jakieś egzorcyzmy. Ale nigdy już nie wspomniałeś o Goblinie.

- A potem zjawił się jak grom z jasnego nieba - rzekła ze ściśniętym gardłem Jasmine - i przewrócił ciotkę Queen. - Zaczęła płakać.

- Tylko nie zaczynaj znowu - rzuciła Baba Ramona.

- To ja jestem winny całego nieszczęścia - oznajmiłem. - To ja go wychowałem i nadałem mu postać. To czy jest widmem, czy duchem, nie ma tu żadnego znaczenia.

- W takim razie to też nie twoja wina - uspokoiła mnie Baba Ramona.

- A teraz musimy się go pozbyć.

Poczułem lekki ruch powietrza. Łopatki wentylatora pod sufitem

zaczęły się obracać, mimo że sam wentylator był wyłączony. Jasmine i

Baba Ramona też poczuły, że nie jesteśmy już sami.

- Trzymajcie się razem - poleciłem - i nie patrzcie na niego ani nie

reagujcie na jego sztuczki. Teraz muszę wyjść i porozmawiać z moimi przyjaciółmi. Muszę z nimi porozmawiać, jak się go pozbyć.

Talerz spadł z szafki i rozbił się na podłodze. Drżąca Jasmine poszła po miotłę. Baba Ramona się przeżegnała. Ja też. Nash objął ramieniem Tommy'ego. Ten wydawał się przejęty. Mały Jerome wcinał ciasto, jakby nic się nie wydarzyło.

Odwróciłem się i wyszedłem z kuchni.

Grał swoją żalobną muzykę na kryształkach żyrandoli.

Baba Ramona minęła mnie pędem, wspinając się na górę i mrucząc, że musi dołączyć do Patsy i Cindy. Słyszałem histeryczny płacz Patsy.

Stałem pod jej drzwiami, słuchając tego płaczu, niezdolny wykrztusić jedną sylabę, zastanawiając się, jakie lekarstwo wstrzyknęła jej Cindy, że nadal czuje się tak marnie, i ogarnęły mnie dreszcze.

Oczywiście, zawsze wiedziałem, że mnie nienawidzi, ale nigdy nie powiedziała tego tak wyraźnie, z takim przekonaniem; nienawiść do samego siebie dopełniła tego koktajlu emocji i przez chwilę niemal nie mogłem tego wszystkiego znieść.

Wszedłem do siebie i zamknąłem drzwi. Lestat i Merrick siedzieli przy stole, dwa eleganckie, wyniosłe stworzenia naprzeciwko siebie.

Usiadłem plecami do drzwi. Natychmiast włączył się komputer. Okiennice zaklekotały. Zafalowały ciężkie aksamitne zasłony. Baldachim nad łóżkiem uniósł się w powiewie.

Merrick wstała i rozejrzała po pokoju. Jej ciemne włosy spływały gęstą masą na plecy. Lestat obserwował ją czujnie.

- Pokaż się, duchu - powiedziała półgłosem. - Chodź, pokaż się tym, którzy mogą cię zobaczyć. - Jej zielone oczy sondowały przestrzeń. Odwróciła się, patrząc na żyrandol, na sufit. - Wiem, że tu jesteś, Goblinie, i znam twoje imię, twoje prawdziwe imię, które nadała ci matka. Natychmiast pękły szyby w najbliższych oknach. Szkło uderzyło o firanki, ale zatrzymało się na nich i upadło na podłogę, rozpadając się z brzękiem na jeszcze mniejsze odłamki. Ciepły oddech nocy wypełnił pokój. - Tchórzowska, głupia sztuczka - powiedziała pod nosem Merrick, jakby szeptała mu do ucha. - Sama też to potrafię. Nie chcesz, żebym nazwała cię po imieniu? Boisz się je usłyszeć? Klawiatura komputera zaczęła pracować jak oszalała. Na ekranie wyrósł bezsensowny napis.

*KAŻMERRICKILESTATOWIWIYJŚĆALBOPOT -
NEWSZYSTKICHWBLACKWOODSZKŁEMNIENA -
WIDZĘCIĘOUINN*

Nagle wielka amorficzna chmura rozłożyła się pod sufitem, koszmarny ludzki kształt utworzony tylko z naczyń krwionośnych, o wielkiej jak rozdartej do krzyku gębie, i cała ta chmura nagle skurczyła się i miotając się, spowila Merrick, oplatała ją mackami i przewróciła na podłogę.

Merrick wyrzuciła w górę ramiona.

- Niech się stanie! - krzyknęła do nas, a potem do Goblina: - Tak, chodź w moje ramiona, niech cię poznam, wejdź we mnie, bądź ze mną, tak, pij moją krew, poznaj mnie, tak, znam cię, tak... - Oczy uciekły jej w

głęb czaszki i leżała jak nieprzytomna.

W końcu, gdy już nie mogłem dłużej tego znieść, podniósł się wiatr pełen krwi, jeszcze raz zakotłował szaleńczo pod sufitem, a potem wyleciał przez rozbite szyby, ciskając kolejne kawałki szkła w firanki i rosząc je krwią, nie oszczędziwszy wcześniej twarzy Merrick, nagich ramion i nóg okrytych siateczką klutych ranek.

Lestat pomógł jej podnieść się na nogi. Pocałował ją w usta i pogładził długie ciemnokasztanowe loki. Pomógł jej usiąść na krześle.

- Chciałem go spalić! - wyznał. - Boże, myślałem, że nie zapanuję nad sobą.

- Ja też - powiedziałem. Wygładziłem białą szmizjerkę Merrick.

Wyjąłem chusteczkę i zacząłem ocierać krwiste ślady, które zostawił na całym jej ciele.

- Nie, za wcześnie na ogień - orzekła. - Musieliśmy się spotkać.

Musiałam być wszystkiego pewna.

- I rzeczywiście jest widmem mojego brata bliźniaka? To prawda? - spytałem.

- Tak, to prawda - powiedziała ze spokojem. Dała znak, żebym przestał ją wycierać. Pocałowała mnie w rękę. - Jest widmem niemowlęcia pochowanego na cmentarzu Metairie, dlatego zawsze tam był najbardziej widoczny - wyjaśniła. - To dlatego nie mogłeś zabrać go ze sobą do Europy.

Lestat mówił mi o tym. Dlatego był przezroczysty i opadł z sił, kiedy pojechałeś do Nowego Jorku. Dlatego był dużo wyraźniejszy, gdy znalazłeś się w Nowym Orleanie. I był tak bardzo wyraźny dziś w nocy przy waszym

rodzinnym grobowcu. Jego szczątki spoczywają tam w środku.

- Tak naprawdę niczego nie rozumie, czyż nie? - spytałem. - Nie wie, skąd pochodzi ani jak naprawdę ma na imię?

- Nie, nie wie - potwierdziła Merrick. Ranki się goiły i odzyskała swój urok. Jej długie, naturalnie falujące włosy były w rozkosznym nieładzie, chociaż zielone oczy pozostały nabiegłe krwią i wydawała się poruszona. - Można mu to jednak uświadomić - mówiła dalej - i to jest nasza najpotężniejsza broń. Bo widmo w przeciwieństwie do samoistnego ducha funkcjonuje dzięki więzi ze swoimi szczątkami, a w przypadku tego widma zerwanie więzi oznacza zupełne zniknięcie. Jest również związane z tobą z racji pokrewieństwa i uważa, że ma prawo do wszystkiego, co tym masz.

- Oczywiście - powiedziałem - och, oczywiście! - Dopiero teraz wszystko do mnie dotarło. - Uważa, że to jego prawo. Byliśmy razem w łonie. - Poczulem bolesny skurcz serca.

- Tak i przez chwilę spróbuj sobie wyobrazić, czym była dla takiego ducha śmierć. Po pierwsze był bliźniakiem, a wiemy, jak oni strasznie cierpią utratę drugiego z pary. Patsy mówi, że płakałeś na jego pogrzebie, że ciotka Queen błagała ją, aby cię pocieszyła. Ciotka Queen wiedziała, że czujesz śmierć Garwaina. No cóż, Garwain również w inkubatorze czuł, że został od ciebie oddzielony, i w chwili śmierci niewątpliwie jego duch się pogubił i chociaż powinien, nie podążył ku Światłości.

- Rozumiem. Dziś po raz pierwszy od wielu miesięcy znów czuję wobec niego litość. Jestem... gotów mu wybaczyć.

- Wybacz samemu sobie - powiedziała ciepło Merrick. Całe jej

zachowanie było przepojone wdziękiem i godnością. Bardzo mi przypominała Olivera Stirlinga. - Kiedy przyniesiono cię na jego pogrzeb - mówiła dalej - kiedy znalazłeś się tam w dniu jego pochówku, ten biedny, żalony, zagubiony duszek znalazł ciebie, swojego żywego brata bliźniaka, Tarquin, i stał się twoim Doppelgänger. Prawdę mówiąc, kimś o wiele silniejszym niż zwykły Doppelgänger. Stał się twoim towarzyszem i kochankiem, prawdziwym bliźniakiem, który czuł, że ma prawo do twojego dziedzictwa.

- Tak i zaczęliśmy długą wspólną podróż - dodałem - dwaj prawdziwi bliźniacy, dwaj prawdziwi bracia. - Zadałem sobie cholerny trud, aby wrócić pamięcią do tamtych czasów, gdy go kochałem. Zastanawiałem się, czy zdołał zajrzeć do mojej duszy i wyczuć wrogość, którą teraz czułem wobec niego, zniewolenie, które ciążyło mi tak bolesnym brzemieniem przez cały ten długi rok, od kiedy Petronia mnie stworzyła - i utratę cioci, nie dającą się opisać utratę cioci Queen.

- A teraz, kiedy dałeś mu mroczną krew - wtrącił z rozdrażnieniem Lestat - chce swojej części.

- Ale to nie cały obraz - powiedziała Merrick, cały czas opanowana.

Spojrzała na mnie uważnie. - Jeśli możesz, opisz mi, jak wyglądają te jego ataki.

Zastanowiłem się chwilę, po czym przemówiłem, wodząc wzrokiem od Merrick do Lestata.

- To jak połączenie, połączenie, którego nie czułem nigdy za życia.

Och, był czasem we mnie. Mona Mayfair powiedziała mi o tym. Kiedy się

kochaliśmy, wyczuła go we mnie. Wiedziała, że tam jest. Mona uważa się za czarownicę, gdyż czuje obecność duchów.

- Kochasz Monę Mayfair? - spytała łagodnie Merrick.

- Bardzo - powiedziałem ze ściśniętym gardłem. - Ale nigdy więcej się nie spotkamy. Spojrzała na mnie raz i wiedziała, kim jestem. Zadałem sobie wiele trudu, aby ominąć Rowan Mayfair podczas czuwania przy zwłokach i podczas mszy. Jej męża, Michaela, też. Oboje są, jak to nazywa Talamaska, czarownikami. Podczas czuwania pojawiło się też widmo Julienu Mayfaira. Ciotka Queen była jego dzieckiem. A ja jestem jego potomkiem.

- Masz w sobie krew Mayfairów? - spytała Merrick. - I widziałeś Julienu?

- Moja słodka, piłem gorącą czekoladę z wujem Julienem w tych czasach, w których mogłem je pić. Częstował mnie kruchymi ciasteczkami na porcelanie, po czym wszystko to zniknęło razem z nim.

Z wielkim pośpiechem opowiedziałem jej całe zdarzenie, w tym historyjkę o masce i pelerynie. Jej usta rozchyliły się w pięknym, szerokim uśmiechu.

- Och, nasz wuj Julien - westchnęła. - Ileż łóżek zostawił za sobą rozkopanych i gorących, co z niego był za mężczyzna! To cud, jeśli ktoś w Nowym Orleanie nie ma jego genów. - Spojrzała na mnie. - Pojawił się we śnie mojej cudownej Nananne, kiedy miałam jedenaście lat, i powiedział jej, żeby wysłała mnie do Talamaski. Stali się moim zbawieniem.

- Och, Boże w niebiesiech - powiedziałem. - Nie masz pojęcia, do czego

się posunąłem wobec Olivera Stirlinga.

- Daj sobie z tym spokój! - przerwał mi Lestat. - Mówię poważnie. To skończone i nie ma co do tego wracać. - Uniósł rękę i zrobił znak krzyża. - W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego odpuszczam ci wszystkie grzechy. Oliver Stirling żyje! Ta sprawa jest zamknięta, póki ja tu jestem mistrzem sabatu.

Merrick wybuchnęła łagodnym, słodkim śmiechem. Jej zielone oczy cudownie błyszczały, podkreślane ciemną cerą.

- Czyżby? Jesteś mistrzem sabatu? - powiedziała, spoglądając zalotnie na Lestata. - Stajesz się mistrzem sabatu automatycznie, gdzie tylko się pojawisz.

Wzruszył ramionami.

- Ależ oczywiście - potwierdził tonem niezwyklej pewności siebie.

- Moglibyśmy na ten temat podyskutować, mój cudownie zarozumiały przyjacielu, ale musimy wykorzystać wyczerpanie Goblina. I musimy wrócić do bieżącej sprawy. Tak więc Goblin jest twoim bliźniakiem, Tarquin, i zamierzałeś właśnie mi opisać, jak się czuleś, kiedy byliście razem. Opisz mi to połączenie.

- To jest dosłownie elektryzujące - wyjaśniłem. - Jakby jego cząsteczki, zakładając, że jest z nich zbudowany...

- Jest - wtrąciła.

- ...łączyły się z moimi i zupełnie tracę równowagę. Tonę we wspomnieniach, których albo jest źródłem, albo ofiarą, nie wiem, ale wracamy do chwil w kołysce albo w kojcu i czuję wobec niego wyłącznie

miłość, jaką z pewnością czułem, będąc niemowlęciem lub raczkującym dzieckiem. Czuję radość i błogość. Nie towarzyszą temu żadne logiczne myśli, jedynie serdeczna miłość.

- Jak długo to trwa?

- Chwile, sekundy - powiedział za mnie Lestat.

- Tak i za każdym razem jest silniejszy niż poprzednio - dodałem. -

Ostatnim razem - kiedy zjawił się zeszłej nocy - poczułem uścisk w sercu i pociął mnie całego, o wiele bardziej niż poprzednio, i wyszedł przez okno, rozbijając całe szkło, podobnie jak dzisiaj. Wcześniej nigdy nie był taki niszczycielski.

- Teraz musi być niszczycielski - powiedziała. - Głupio powiększył materialną część swojej istoty. To, co wcześniej było niemal wyłącznie nagromadzeniem energii, teraz połączyło się ze sporą ilością materii i nie przechodzi przez ściany tak jak wcześniej. Przeciwnie, Goblin musi korzystać z drzwi lubi okien.

- Oczywiście - rzekłem. - Mogę zaświadczyć, że tak jest. Czuję ruch powietrza, czuję, że wychodzi.

Skinęła głową.

- To, że on podlega prawom grawitacji, działa na naszą korzyść, ale ze zjawami zawsze tak jest. Jego dodatkowo krępuje ochota na krew.

Możesz mi powiedzieć coś jeszcze o tym połączeniu?

Zawahałem się, po czym wyznałem:

- Jest bardzo rozkoszne. Jak... jak orgazm. Jak... kontakt z naszymi zdobyczami. Jest jak stopienie się z nimi, tylko znacznie, znacznie

łagodniejsze.

- Łagodniejsze? - spytała. - Czy jesteś zamroczony, kiedy pochłaniasz swoje ofiary?

- Nie, nie - odparłem. - Rozumiem, o co ci chodzi. Tamta przyjemność nie dorównuje jednak temu, co przeżywam z Goblinem. Przyznałbym się, gdyby było inaczej. Czuję zamęt i łagodną rozkosz.

- Znakomicie. Czy chciałbyś mi coś jeszcze powiedzieć? Długo się zastanawiałem.

- Czuję smutek, okropny smutek, bo jest moim bratem, umarłym bratem, pozbawionym własnego życia, poza tym, które ja mu dałem. A teraz wydarzyło się to nieszczęście i nie mogę tak dalej. Myślę... wiem, że powinienem umrzeć razem z nim.

Przyglądała mi się przez chwilę, po czym odezwał się Lestat, który również nie odrywał ode mnie wzroku. Jego francuski akcent był bardzo wyraźny.

- To niekonieczne, Quinn, a poza tym, nawet gdybyś spróbował zabrać go ze sobą do grobu, nie ma gwarancji, że poszedłby za tobą.

- Właśnie - poparła go Merrick. - Równie dobrze mógłby pozwolić ci odejść. Pozostałby tu i napastował kogoś innego. To naturalne, że wybrał ciebie na towarzysza, byłeś jego bratem. Mógłby cię jednak zmienić na kogoś innego. Sam powiedziałeś Lestatowi, że jest bardzo przebiegły i szybko się uczy.

- Nie chcę, żebyś umarł, młodszy braciszku - powiedział Lestat.

- Mistrz sabatu nie chce, żebyś umarł, młodszy braciszku - dodała z

uśmiechem Merrick.

- Co więc robimy? - spytałem. Westchnąłem. - Jaki los czeka

młodsze bracia młodsze bracia?

- Za chwilę to wyjaśnię - podjęła - ale pozwólcie, że wytłumaczę, co się z tobą dzieje podczas tego połączenia. On stapia się nie tylko z twoim ciałem, ale i z duszą, duszą wampira. Według starej opowieści wszyscy jesteśmy potomkami jednego Rodzica, śmiertelnika, w którego wszedł samoistny duch, i do dziś wszyscy jesteśmy częścią tamtego samoistnego ducha, nosząc w naszych nadnaturalnych ciałach nieśmiertelny element, który nas ożywia, budzi w nas łaknienie krwi i sprawia, że ona podtrzymuje nas przy życiu.

- Tak - powiedziałem.

- A więc twój brat demon, sam będąc zjawą, jest blisko spokrewniony z duchami, a gdy się z tobą stapia, to stapia się z duchem, który jest w tobie, i doznaje rozkoszy znacznie silniejszej niż wtedy, gdy byłeś śmiertelnikiem.

- Ach, rozumiem. Oczywiście.

- On tego nie pojmuje. Wampirza krew smakuje mu jak słodki narkotyk i pije ją, smakując nadnaturalność tak długo i tak dogłębnie, jak tylko może, i dopiero gdy jego wytrzymałość osiąga kres, opuszcza cię niewidzialny, osłabły, uśpiony i rozmarzony wyssaną krwią.

- Dokąd się udaje?

- Nie wiem. - Potrząsnęła głową. - Rozciąga się, deformuje i dezorganizuje. Porównaj go do wielkiego morskiego stworzenia,

składającego się głównie z wody, tyle że w jego przypadku jest to powietrze. Rozkoszuje się krwią tak długo, aż ją spożytkuje, podsycając swoją energię. Potem czeka na kolejną okazję, co trwa bardzo długo, podobnie jak musi czekać na kolejne objawienie się lub nawiązanie kontaktu. Rytm życia wszystkich duchów jest podobnie rozwleczony. - Przerwała i przyglądała mi się przez chwilę uważnie, jakby sprawdzając, czy zrozumiałem. Potem mówiła dalej: - Im lepiej go zrozumiesz, tym bardziej ułatwisz nam zadanie, gdy będę się starała odesłać go z ziemskiego królestwa, bo jak mi się wydaje, nie mogę tego uczynić bez twojego pełnego poparcia.

- Masz moje pełne poparcie - powiedziałem. - I bardzo się staram cię zrozumieć.

- Czy jesteś gotów się go wyrzec?

- Zniszcz go! Merrick, on zabił ciocię Queen. Nie cierpię go, pogardzam nim! Nienawidzę go! Nienawidzę samego siebie za to, że kiedykolwiek go karmiłem i zapewniałem mu opiekę! Zdradził łono, które dzieliliśmy!

Przyznała mi rację, kiwając głową.

Łzy napłynęły mi do oczu. Wyjąłem chusteczkę, ale łzy tak bardzo mi nie przeszkadzały. Byłem w towarzystwie istot gotowych przyjąć ich widok bez zdumienia.

- Więc jak się go pozbędziemy? - spytałem. - Jak wyślemy go poza granice ziemskiego królestwa?

- Dowiesz się - obiecała Merrick. - Najpierw pytanie. Kiedy

przybyliśmy tu wieczorem, zauważyłam bardzo stary cmentarzyk przy mokradłach. Lestat powiedział, że należy do ciebie. Powiedział, że widywałeś tam duchy.

- Tak. Tępe duchy, które nie mogą nic ci dać. - Otarłem łzy. Nieco się uspokoiłem.

- Jest tam kilka grobowców, wysokich może na trzy stopy.

- Jeden ma takie rozmiary. Nie wiadomo, kto w nim leży. Litery na płycie są zupełnie wytarte.

- Jaki ma kształt?

- Prostokątny.

- To dobrze. Przygotuj tam wielki stos drewna i węgla, wielkie ognisko. Będziesz potrzebował sporo paliwa. Ogień musi płonąć bardzo

wysoko i utrzymać się przez jakiś czas. Na pozostałym terenie rozstaw

świeczki. Na każdym grobie. Wiesz, o jakie świece mi chodzi, takie grube,

kościelne. - (Kiwnąłem głową). - Ja zapalę świece. Ja zapalę ognisko. Ty

tylko przygotuj jedno i drugie. Możesz kazać swoim pracownikom, żeby się

tym zajęli. Nie ma znaczenia, kto to zrobi.

- Ale na pewno nie życzysz sobie, żeby się tam kręcili - zauważył

Lestat.

- Tak, nie życzę sobie tego. Muszą wyjechać z posiadłości Blackwood.

Wszyscy.

- Co mam im powiedzieć? - spytałem.

- Powiedz im prawdę - rzekła Merrick. - Powiedz im, że będziemy

odprawiać egzorcyzmy, że chcemy pozbyć się Goblina. To niebezpieczny

rytuał. Goblin doprowadzony do furii może zrobić komuś krzywdę.

*- Oczywiście. - Jest jednak pewien problem. Patsy. Patsy może nie
chcieć wyjechać.*

*- Patsy sama ujawniła ci, na czym naprawdę jej zależy - przyszedł mi
z pomocą Lestat. - Masz. - Sięgnął do kieszeni i wyjął gruby plik
tysiąc dolarówek spięty złotą spinką. - Daj jej to. Poślij ją z pielęgniarzką do
dobrego hotelu w Nowym Orleanie.*

- Oczywiście.

*- Baba Ramona dopilnuje jej wyjazdu - rzekła Merrick. - Ty sam
dopilnujesz wyjazdu pozostałych. Wyślij ich do Windsor Court albo do
Ritza. Hotel to dobry pomysł.*

*- Zajmę się tym - obiecałem. - Ale powiedz mi... Jak odprawisz te
egzorcyzmy?*

*- Najlepiej jak potrafię - zapewniła mnie. - Moi kochający przyjaciele,
moja banda kochana nie nazywa mnie czarownicą ot, tak sobie.*

Czułem pragnienie i samotność.

Stałem pod dębem na skraju cmentarza. Patrzyłem na grób, który następnej nocy miał się stać ołtarzem.

Clem wiedział, gdzie narąbać drzewa na ognisko - wybrał stary dąb na samym skraju pastwiska. Jutro miał pociąć go na szczapy piłą łańcuchową; węgiel planował zakupić w Mapleville. Miałem się niczym nie przejmować. A na razie pojechał z resztą.

Wyruszali w radosnych nastrojach. Byli wręcz podekscytowani, pakując się, śmiejąc i gadając. Szybko dopadli limuzyny, niosąc bagaże i hałasując w środku nocy jak nieboskie stworzenia. Tom - my bardzo chciał zostać i obejrzeć egzorcyzmy. W końcu Nash zaprowadził go do samochodu.

Tylko Patsy stawiała opór. Tylko Patsy skłęła mnie i powiedziała, że nie będzie popierać moich egoistycznych planów względem Goblina, tylko Patsy nie ruszyła się z dworu. W końcu odesłałem pielęgniarkę.

- Zajmę się nią - powiedziałem.

I ten moment przyszedł. Kiedy zamknąłem drzwi jej pokoju, zapadła niesamowita cisza.

- Co ty tu robisz? - spytała. - Ty rozpuszczony gówniarzu. W kremowej koszuli nocnej, z blond pejsami opadającymi wzdłuż policzków wyglądała jak mała dziewczynka.

- Wynoś się stąd - powiedziała. - Nie chcę cię tutaj oglądać. Wynocha.

Nie wyjadę z tego domu, choćbyś zrobił nie wiem co, ty mały draniu. - Z jej umysłu trysnął strumień czystej wrogości i zazdrości, czystej nienawiści, którą wyraziła niezwykle dosadnie. - Powiedziałam ci, nie chcę twoich pieniędzy! Nienawidzę cię.

Wtem za nią pokazała się przezroczysta postać Rebeki, mojej dawno nie oglądanej zjawy. Koszmarnej zjawy, mściwej zjawy. Czemu się tam pojawiła? Uśmiechnięta Rebeka w zalotnej koronkowej bluzeczce i długiej taftowej spódnicy. Wyoś się, mściwa zjawo. Czemuś się ośmieliła pokazać? „Życie za moje życie”. Nie będę cię teraz słuchał!

Dopadłem Patsy i złamałem jej kark, zanim zdążyła się przestraszyć.

Zabiłem swoją matkę, własną matkę. Wielkie puste oczy. Szminka.

Nieżywa Patsy. Nie wypilem kropli jej krwi.

Czy ktoś widział mnie, gdy przenosiłem jej trupa przez próg, jak pannę młodą? Nikt prócz Rebeki, mściwej, koszmarnej Rebeki, unoszącej się w powietrzu koło grobu, Rebeki, nikłego oparu, uśmiechniętej, rozradowanej, w ślicznej spódnicy. „Śmierć za moją śmierć”.

Nikt inny nie widział, gdy składałem Patsy w pirodze. Nikt inny nie widział, gdy wypłynąłem z jej bezwładnym ciałem na najgłębsze mokradła. I tam spoczęła, w śluzowatej zielonej wodzie - koniec z Patsy słodką jak wata cukrowa. Koniec z Patsy piękną jak Barbie. Koniec z moją matką.

Nikt oprócz mnie nie czuł powiewu spódnic Rebeki. Nikt oprócz mnie nie słyszał jej głosu:

- Piękna zemsta mi się udała, życie Patsy za moje życie. - Śmiała się.

*- Odejdź ode mnie, szatanie - rzekłem. - Nie uczyniłem tego dla ciebie,
ale dla siebie.*

I zniknęła na zawsze Rebeka, tak jak zniknęła na zawsze Patsy.

*To było tak zaskakujące, nie było widma, nie było Patsy, tylko
pustka na gęstych przerażających mokradłach. Nieżywa matka.*

Aligatory poruszyły się w wodzie. Zjedzcie matkę.

Wróciłem sam na pusty cmentarz.

Minęły godziny.

*I krew mojej matki była na moich dłoniach, chociaż dłonie miałem
czyste. I byłem gotów skłamać, gdybym miał opowiedzieć i jej wyjeździe,
tak jak kłamałem w tylu innych sprawach, Quinn matkobójca, Quinn
morderca łona, które go nosiło, Quinn morderca tak wielu, Quinn
morderca panny młodej, Quinn, który przeniósł swoją matkę przez próg,
Quinn, który wrzucił Patsy z mokradła.*

Zostałem sam w posiadłości Blackwood.

*I wcześniej nigdy, przenigdy tak się nie zdarzyło, abym był sam a
mojej ziemi. I stałem pod dębem, patrząc na grób, na którym miał powstać
ołtarz, i zastanawiałem się, czy uda się przepędzić tego złego stwora,
Goblina, w którego zamienił się mój młodszy braciszek, czy uda się
przepędzić zabójcę cioci w Światłość.*

*Zamknąłem oczy. Pragnienie nie dawało mi spokoju. Był prawie
ranek, nie mogłem więc udać się na polowanie. Nie miałem ż takiej siły
woli. A jutro wieczór jak zdobędę się na ten czyn? Musiałem jednak
zapolować, zanim zaczniemy. Jakim byłem głupcem, że tego nie*

zaplanowałem, nie odsunąłem na bok smutku morderczej nienawiści, nie zrobiłem tego wcześniej.

Czemu ociągałem się przy cmentarzyku? Co chciałem przywołać z pamięci? Gdzie były te niemowy, które gapily się na mnie za moich niewinnych lat, dawno temu? Czemu nie zjawily się teraz przed świtem, gdy niebo różowiało i purpurowiało, aby powiedzieć mi, że należę do świata zmarłych?

Może słońce nie będzie tak bolesne jak ogień. Czy mógłbym przyłożyć się do zniszczenia Goblina ot tak, spacerując w promieniach wschodzącego słońca? Potrzebowałem odwagi. Potrzebowałem siły.

W myślach usłyszałem głos: „Mam to dla ciebie. Chodź w moje objęcia”. Odwróciłem się. To był Lestat. Postuchałem jego rozkazu.

Zbliżyłem się do niego i poczułem uścisk jego ramion. Poczulem jego rękę na głowie. W myślach usłyszałem głos: „Pocałuj mnie, pisklę. Weź, czego ci potrzeba. Moja kolej dawać”.

Naparłem zębami na jego skórę. Ustąpiła, a wrząca krew wypełniła moje usta i napłynęła do gardła. Czulem ją, potężną, boską. Przez długą chwilę przyływ czystej mocy przesłonił wszelkie wizerunki, ale potem uniósł się potop obrazów, żywych, chyżych, rozwibrowanych jak neony, hucząca karuzela życia, kaskada stuleci, wachlarz niebywałych wrażeń i w końcu dżungla miliardów barw i kwiatów i czuły, pulsujący rdzeń jego serca, wyłącznie serca, oddanego mi serca i to był szczyt i kres pragnień, po wieczność, kres i szczyt.

Letnia noc. Słońce nie zaszło przed wpół do siódmej. Spokój zalegał nad posiadłością Blackwood.

Clem wysoko ułożył szczapy wokół grobu, a na wierzch rzucił grubsze polana i węgiel. Świece stały wszędzie.

Merrick przybyła w przecudnej, czarnej bawełnianej sukni z długimi rękawami. Na szyi zawiesiła naszyjnik z czarnych paciorków. Włosy rozpuściła luźno. Miała ze sobą bardzo dużą torebkę pokrytą paciorkami w fantazyjne wzory, z dwoma wielkimi uchami. Postawiła ją ostrożnie obok grobu, przeżegnała się i z szacunkiem położyła dłoń na grobie, który miał być ołtarzem. Zapalniczką zapaliła pierwszą świeczkę. Potem z torby wyjęła cienką świecę i zapaliwszy ją, przeszła do pozostałych świeczek.

Cmentarzyk powoli wypełnił się światłem.

Lestat stał obok, dotykając moich pleców tuż nad pośladkami.

Dygotałem, jakbym marzył.

Cały cmentarz się rozjaśnił. Merrick zapaliła jeszcze kilka rzędów świeczek w kościółku i ruchome światełka wyrosły w oknach. Zupełnie zapomniałem, że Clem ustawił świeczki również tam.

Poczułem chłód trwogi, gdy Merrick uniosła kanister z naftą i polala obficie węgiel i drewno, po czym przytknęła cienką świecę do stosu i cofnęła się. Nigdy nie widziałem równie wielkiego ogniska.

- Chodźcie tu obaj! - krzyknęła. - Bądźcie moimi pomocnikami i powtarzajcie moje słowa. Nieważne, w co wierzyliście do tej pory.

Wierzcie mi teraz. To zdecyduje o wszystkim. I musicie postępować z pełnym przekonaniem. Dzięki temu egzorcyzmy nabiorą mocy.

Oboje przyrzekliśmy jej pełne poparcie.

- Quinn, nie bój się - powiedziała.

Stos płonął i trzeszczał. Cofnąłem się instynktownie, Merrick i Lestat również. Lestat wyraźnie nie cierpiał ognia. Merrick w jakiś sposób wydawała się nim zafascynowana. Za bardzo zafascynowana, pomyślałem, ale co ja wtedy wiedziałem?

- Podaj mi imiona rodziców Garwaina i jego dawniejszych przodków

- poleciała mi Merrick.

- Julien i Grace, Gravier i Alice, Thomas i Rosę, Patsy... To wszyscy.

- Znakomicie. Teraz pamiętajcie, co wam powiedziałam - napomniała nas. Cofnęła się jeszcze dalej, znów sięgnęła do wielkiej dużej torby i wyjęła z niej złoty nóż. Rozcięła sobie przegub i stając przy ognisku, wyciągnęła rękę, by połączyć krwią płomienie.

Po chwili zdesperowany Lestat odciągnął ją od szalejącego ognia.

Zaczerpnęła głośno oddech, jakby się bała, wiedząc, że naraziła się na wielkie niebezpieczeństwo. Potem wyjęła z torby kielich, wręczyła mi go i zadała sobie kolejną głęboką, nierówną ranę. Krew spłynęła do kielicha. Wzięła go ode mnie i chlusnęła krwią w płomienie.

Żar ogniska był teraz straszliwy. Budził we mnie lęk i obrzydzenie.

Nienawidziłem go instynktem łowcy krwi i człowieka. Poczulem ulgę, gdy Merrick odebrała ode mnie kielich.

Nagle odrzuciła w tył głowę i uniosła ramiona, zmuszając nas,

abyśmy się cofnęli i zrobili jej więcej miejsca.

- Panie Boże, któryś stworzył wszystkie istoty - zawołała - widzialne i niewidzialne, przyprowadź do mnie Twojego sługę, Garwaina, gdyż nadal błąka się po ziemskim królestwie i zatracił drogę do Twojej Światłości i Twojej Opieki! Przyprowadź go do mnie, Panie, abym mogła skierować go do Ciebie. Panie, wysłuchaj mojego wołania. Panie, pozwól, aby moje wołanie dotarło pod Twój tron. Wysłuchaj swojej sługi, Merrick. Nie patrz na grzechy moje, ale na moją sprawę! Przyłączcie się teraz do mojego wołania, Lestacie i Tarquinie! Już.

- Wysłuchaj nas, o Panie - powiedziałem natychmiast, słysząc, jak Lestat mruczy podobną modlitwę. - O Panie, wysłuchaj nas. Sprowadź tu Garwaina.

Mimo całego strachu nagle poczułem się wciągnięty w ceremonię i podczas gdy Merrick kontynuowała swoje prośby do Boga, ja i Lestat mruczeliśmy popularniejsze modlitwy.

- Panie, spojrzij z miłosierdziem na Twojego sługę, Garwaina - wołała - który od najwcześniejszego dzieciństwa błąkał się zagubiony między śmiertelnymi, zagubiwszy drogę ku Światłości i niewątpliwie jej spragniony. Panie, wysłuchaj modlitwy naszej. Panie, spojrzij na Garwaina, Panie, przyślij go do nas!

Nagle potężny wiatr przygiął pobliskie dęby i deszcz liści spadł w ognisko, budząc serię trzasków, które wiatr jeszcze bardziej rozmnożył, podnosząc płomienie. Wysoko nad ogniskiem pojawiał się Goblin, mój sobowtór, z czerwonymi oczami odbijającymi blask ognia.

*- Myślisz, że duch nie pozna się na sztuczkach więdźmy, Merrick -
rzekł swoim cichym płaskim głosem, który jednak pokonywał huk ognia.*

*Nie słyszałem go od lat. - Myślisz, że nie wiem, że chcesz mnie zabić,
Merrick? Nienawidzisz mnie, Merrick.*

*Jego postać natychmiast zaczęła blaknąć i jednocześnie się
powiększać, po czym rzucił się z całą mocą na Merrick, ale ta krzyknęła:*

- Płoń, płoń!

*Wszyscy użyliśmy całej naszej mocy, wołając to jedno słowo „płoń!” i
jednocząc swoją energię. Wzleciał nad płomienie, stwór składający się z
miliardów płomyczków. Sparaliżowany cofał się i wyl bezgłośnie w
upiornym pomieszczeniu, po czym zebrał się w sobie, zawirował, stając się
takim samym wiatrem jak poprzednio, po czym znów runął na Merrick.*

*Hałas był nie do zniesienia. Liście biły w nas z mocą huraganu, ogień
skoczył pod samo niebo. Merrick zatoczyła się, ale się nie poddała i
krzyczała cały czas równie głośno:*

*- Płoń, Garwainie, płoń! Płoń, aż staniesz się czystym widmem,
zgodnie z twoim przeznaczeniem! Płoń, aż będziesz mógł wstąpić w
Światłość, zgodnie z wolą Boga, Garwainie!*

*A potem się odwróciła, wyciągnęła z torby niewielki pakunek i
odrzucając w tył białe zawoje, odsłoniła go, ukazując pomarszczonego
trupka dziecka!*

*- To jesteś ty, Garwainie! - zawołała. - To jesteś ty, wyniesiony z
grobu, ciało, które porzuciłeś, gubiąc się, bezsilny i bezradny! To twoje
śmiertelne ciało, ty w dziecięcej postaci, i wydostałeś się z niego, zagubiłeś*

i dryfując, zaczęłaś karmić się Quinnem! Patrz na to maleńkie ciało, to twoje ciało, Goblinie!

- Kłamiesz! - krzyknął, po czym uniósł się po tej stronie ołtarza, tuż przed nami, mój Doppelgänger do ostatniego guzika, i usiłował wyrwać jej z rąk pomarszczone czarne ciało, ale go nie wypuściła i krzyknęła strasznym głosem:

- Jesteś dymem i odbiciem, powietrzem i wolą, grabieżą i grozą! Idź, gdzie Bóg cię pośle! Panie, błagam Cię, zabierz tego sługę, zabierz go zgodnie z wolą Twoją!

Goblin zadygotał. Usiłował się zlać z Merrick. Opierała się mu z całą mocą. Słabł i nikał. Bładł, rozszerzał się i falował w świetle ogniska. Co czuł, smagany płomieniami? Kolejny raz uniósł się w górę, rozłożył jak baldachim.

- Dobry Boże - powiedziałem najgłośniej, jak umiałem - który stworzyłeś Julię, Gravierę, Patsy, zabierz go, zabierz tę sierotę! Grace, Alice, Rosę, przyjdźcie po tego wędrowca, którego los się dokonał. Wspomóżcie nas waszymi błaganiami.

- Tak - krzyknęła Merrick, przyciskając mocno do piersi trupka - Julienne, Gravierze, Thomasie, błagam was, powstańcie z wieczystego spoczynku i zabierzcie to dziecko w Światłość, zabierzcie je!

- Wyrzekam się ciebie, Goblinie, teraz i na wieczność! - zawołałem. - Czynię to przed Bogiem! Przed dziadkiem, przed wszystkimi moimi przodkami, przed aniołami i świętymi! O, Panie, wysłuchaj moich modlitw!

*- O, Panie, wysłuchaj naszego wołania! - błagała Merrick. Uniósł
wysoko niemowlę i na własne oczy zobaczyłem, że żyje! Zobaczyłem jego
poruszające się kończyny, usłyszałem jego kwilenie! Usłyszałem jego
płacz!*

*- Tak, Goblinie! - zawołała. - To twoja dziecięca postać, tak! Wejdź w
tę postać. Wejdź w swoje prawowite ciało! Zaklinam cię, przyjdź, jak ci
rozkazuję.*

*Wysoko nad ogniskiem gigantyczny Goblin zadrżał, przerażający,
osłabły i niepewny, a potem runął w dół, w dół, w płaczące niemowlę.*

Widziałem to. Czulem. I rzekłem w sercu: „Amen, racie, amen”.

*Rozległo się potworne zawodzenie i wiatr znów zamiótł konarami
dębu. Nagle ucichło wszystko poza ogniskiem. Cisza była tak głęboka,
jakby Ziemia przestała się obracać.*

Słyszałem tylko wycie ognia.

*Zdałem sobie sprawę, że leżę na murawie. Niewidzialna siła
przewróciła mnie. Widziałem rozjarzone światło, które jednak nie raniło
mi oczu. Było cudowne i padało na ogień. Jednak tam nawet ono było
bezsilne. Bo w ogniu działo się coś potwornego.*

*Merrick weszła w ogień. Merrick wspięła się na ołtarz, wraz
dzieckiem weszła w ognisko i palili się oboje. Palili się - ginęli bez słowa i
bez nadziei na ratunek - ale w czystej niebiańskiej światłości widziałem
poruszające się postaci, przezroczyste postaci, wychudłą, nie dającą się
pomylić z nikim postać dziadka, a z nim dziecko stawiające pierwsze
kroczki, i była tam również Merrick, Merrick i drobna staruszka i*

zobaczyłem, jak Merrick unosi dłoń, jak na pożegnanie.

*Leżałem sparaliżowany Światłością, jej ogromem i wyraźnym
tchnieniem miłości, będącym częścią jej natury. Chyba płakałem.*

*Potem wielka moc błogosławionej Światłości z wolna osłabła. Jej
ciepło i wspaniałość zniknęły. Poczulem żar nocy. Ziemia znów stała się
samotną planetą.*

*Odzyskałem władzę w kończynach, wstałem i zobaczyłem, że Lestat
wydobył ciało Merrick z ognia. Płakał i usiłował zgasić trawiące ją
płomienie, otulając płonącą postać swoją kurtką.*

- Odeszła na zawsze, widziałem - rzekłem.

*Był jak oszalały. Nie chciał mnie słuchać. W końcu ugasił płomienie,
ale połowa jej twarzy uległa spaleni, większość klatki piersiowej i prawe
ramię. To był straszliwy widok. Lestat rozciął sobie przegub i zlewał gęstą
śluzowatą krwią jej ciało, ale to nic nie dało. Wiedziałem, co chce
osiągnąć. Posiadłem już wiedzę wampirów.*

*- Ona odeszła - powtórzyłem. - Widziałem. Widziałem ją w
Światłości. Machała ręką na pożegnanie.*

Lestat wstał. Otarł z twarzy krwawe łzy i sadzę. Nie przestał płakać.

Kochał ją.

Unieśliśmy jej szczątki i razem złożyliśmy je na oltarzu.

Podsycaliśmy ogień i ciało niebawem zamieniło się w popiół.

Rozrzuciliśmy go. Po ognisku i Merrick zostały tylko ślady.

Wilgotna noc była cicha i spokojna, ciemności zaległy cmentarz.

Lestat płakał.

- Była taka młoda - powiedział. - To zawsze młodzi kończą ze sobą.

*Ulegają czarodziejskiej mocy śmiertelności. Im bardziej się starzejemy,
tym bardziej doceniamy wieczność.*

Lestat nadal był pokryty sadzą. Nie przejmował się tym.

Zadzwoniliśmy do drzwi frontowych Oak Haven i otworzył nam sam Stirling, w grubym pikowanym szlafroku, niezwykle zdumiony widokiem naszej pary - nocnych wędrowców - na progu Ustronia Talamaski.

Oczywiście zaprosił nas do biblioteki. Podziękowaliśmy mu z wdzięcznością i zasiedliśmy w głębokich skórzanych fotelach, wygodnie rozstawionych w całym pomieszczeniu. Stirling powiadomił miłą drobną gospodynię, że nie potrzebujemy niczego, i zostaliśmy sami.

Powoli, łamiącym się głosem Lestat opowiedział Stirlingowi, co wydarzyło się Merrick. Opisał ceremonię, samospalenie Merrick i to, co zobaczył - ozywające niemowlę i Goblina, który się z nim połączył.

A potem ja opowiedziałem Stirlingowi to, co widziałem - Światłość i poruszające się w niej postaci. Lestat nie widział Światłości, ale nie wątpił moim słowom.

- Czy mogę zapisać wasze wypowiedzi? - zapytał Stirling. Wyjął chusteczkę i wysiąkał nos. Dusił w sobie płacz po śmierci Merrick. W końcu dał ujście łzom, a następnie otarł je.

- Dlatego ci to opowiadamy - wyjaśnił Lestat. - Żebyś mógł zamknąć swoje akta poświęcone Merrick Mayfair i wiedział, co się z nią stało. Żeby nie urywały się w pół słowa, bez sensu, a ty, żebyś mógł ją oplakiwać, świadom jej losu. Była łagodną duszyczką. Polowała tylko na złoczyńców. Niewinna krew nigdy nie splamiła jej rąk. Postępowała w sposób bardzo

przemyślany. Nie wiem, czemu wybrała tamtą chwilę.

- Ja chyba wiem - powiedziałem. - Ale nie chcę wysuwać pochopnych wniosków. Wybrała tamtą chwilę, bo nie była samotna. Miała Garwaina.

- A jak ty się czujesz, po tym jak on odszedł? - zapytał Stirling.

- Wolny - odparłem - i mocno poruszony wszystkim, co się wydarzyło. Poruszony tym, że Garwain zabił ciocię Queen. Wiesz, że to jego robota, prawda? Wystraszył ją i upadła. Wszyscy o tym wiedzą.

- Tak - potwierdził Stirling - wiele o tym mówiono podczas czuwania.

Co teraz zrobisz?

- Jestem wstrząśnięty tym, co uczyniła Merrick - wyznałem. -

Merrick uwolniła mnie od Garwaina. Lestat kochał Merrick. Ja kochałem Merrick. Nie wiem, co zrobię ani gdzie się udam. Są ludzie, którzy mnie potrzebują. Zawsze będą ludzie, którzy będą mnie potrzebowali, ludzie, którzy będą się dla mnie liczyć. Jestem zaplątany w ludzkie życie. -

Zamilkłem, myśląc o tym, co uczyniłem Patsy. Rozpaczliwie chciałem się z tego wypowiadać, ale tak bardzo nienawidziłem się za tamten czyn, że nie mogłem powiedzieć nic więcej.

- Dobrze się wyraziłeś - rzekł z goryczą Lestat - „zaplątany w ludzkie życie”.

Stirling skinął głową.

- Czemu nie spytasz, co ja zrobię? - spytał wyniośle Lestat, unosząc brew i puszczając do niego oko.

- Powiedziałbyś mi? - zapytał Stirling, śmiejąc się lekko.

- Oczywiście, że nie - powiedział Lestat. - Jestem wszak zakochany w

Tarquinie, możesz to umieścić w swoich aktach, jeśli chcesz. To nie znaczy,

że uda ci się zastawić na mnie pułapkę w posiadłości Blackwood, i na

pewno pamiętasz, że obiecałeś zostawić Tarquina w spokoju, prawda?

- Jak najbardziej - rzekł Stirling. - Jestem człowiekiem, który

dotrzymuje słowa.

- Mam do ciebie pytanie - odezwałem się nieśmiało. - W ciągu

ostatnich kilku miesięcy rozmawiałem kilka razy z Michaellem Currym i

Rowan Mayfair, ale tylko zbywali mnie ogólnikami. Tak naprawdę nie

mówią mi wiele o Monie, poza tym, że nie może się ze mną spotkać, że

przechodzi jakąś wyjątkową kurację, że jest na oddziale intensywnej

terapii. Mówią, że może umrzeć od byle infekcji. Nawet nie dopuszczają jej

do telefonu...

- Ona umiera - przerwał mi Stirling. Patrzył mi prosto w oczy.

Zamilkliśmy.

- Czemu mu to mówisz? - odezwał się wreszcie Lestat.

Stirling wciąż nie odrywał ode mnie wzroku.

- Bo chce wiedzieć - odparł.

- Znakomicie - rzekł Lestat. - Chodź, braciszku, zapolujemy. Znam

dwóch złoczyńców w Boca Raton, którzy są sami we wspaniałej

nadbrzeżnej rezydencji. To będzie świetna zabawa. Dobranoc, Stirling.

Dobranoc, Talamasko. Chodźmy.

Niebo nadal miało barwę ciemnej lawendy, gdy następnego wieczoru wszedłem do domu. Lestat pozostał na cmentarzu, gdzie modlił się za Merrick albo do Merrick, nie jestem pewien, jak było naprawdę.

Nasza ostatnia łowiecka noc w Boca Raton wspaniale się udała i kolejny raz dał mi w darze swoją przepotężną krew. Byłem w uniesieniu, nieco zamroczony i na swój sposób modliłem się w intencji Mony, rozważając, czy mógłbym się z nią spotkać i porozmawiać; gdybym dotarł do Mayfair Medical i okazał odpowiednią stanowczość, to może siłą jakichś czarów dowiedziałbym się, gdzie ona się znajduje. Ostatnie spotkanie... ostatnia rozmowa.

Nagle Jasmine i Clem podbiegli do mnie u dołu schodów.

- W sypialni masz wariatkę - wysapała Jasmine. - W żaden sposób nie dało się jej zatrzymać, Quinn. To Mona Mayfair, pamiętasz ją? Siedzi tam, Quinn. Przyjechała tu limuzyną pełną kwiatów, Quinn, żywy szkielet, padniesz, jak ją zobaczysz. Quinn, stój, nie mogliśmy jej zatrzymać. Tylko dlatego pomogliśmy jej z tymi kwiatami, że jest strasznie słaba.

- Jasmine, puść mnie! - krzyknąłem. - Ja ją kocham, nie rozumiesz?

- Quinn, z nią jest coś nie w porządku! Uważaj!

Pobiegłem na górę, na tyle szybko, na ile mogłem sobie pozwolić, udając śmiertelnika, wpadłem do sypialni, zatrzasnąłem za sobą drzwi i przekręciłem klucz w zamku.

Uniosła się na powitanie. Żywy szkielet! O, tak! A łóżko było zasłane

kwiatami. Stałem, wstrząśnięty do głębi, wstrząśnięty i niezwykle rad, że ją widzę, tak rad, że mogę do niej podbiec i uściskać jej kruche ciało! Moja Mona, moja krucha, wycieńczona Mona, moja blada i wspaniała Mona, och, mój Boże, nie pozwól mi jej skrzywdzić.

- Kocham cię, moja uwielbiana Ofelio - powiedziałem - moja Ofelio Nieśmiertelna i moja na zawsze...

Och, co to był za widok. Margerytki, cynie i lilie.

- Witaj, Abelardzie - szepnęła. - Przyszłam prosić o ostateczne poświęcenie, przyszłam prosić, pozwól mi tu umrzeć, pozwól mi umrzeć przy tobie, pozwól mi umrzeć tu, nie tam z ich igłami i rurkami, pozwól mi umrzeć w twoim łóżku.

Cofnąłem się. Widziałem zarys jej czaszki pod skórą i barki sterczące pod poplamioną szpitalną koszulką. Tylko gęste rude włosy nie uległy chorobie. Ramiona miała jak gałązki, dłonie jak patyczki. To był upiorny widok. Cierpiała przy każdym oddechu.

- Och, moja kochana, moje słońce, dzięki Bogu, że przyszłaś - powiedziałem - ale czy nie widzisz, co się ze mną stało? Twoje oczy czarownicy tego nie widzą? Już nie jestem człowiekiem. Nie jestem twoim Szlachetnym Abelardem. Nie śpię tam, gdzie mogą mnie dosięgnąć promienie słońca. Spójrz na mnie, Mono, spójrz na mnie. Czy chcesz być tym, kim ja jestem? - Co ja mówię? Oszalałem. Nie mogłem się powstrzymać. - Chcesz być tym, kim ja? - powtórzyłem pytanie. - Bo wtedy nie umrzesz! Będziesz żyła wiecznie dzięki krwi innych. Będziesz nieśmiertelna razem ze mną.

Usłyszałem trzask zamka w drzwiach. Rozgniewałem się, ale zaraz uspokoiłem. To był Lestat. Wszedł do pokoju.

Mona patrzyła zdumiona. Lestat zdjął swoje przeciwsłoneczne okulary i stał pod żyrandolem, jakby rozkoszował się jego światłem.

- Pozwól, że ja zrobię mroczną sztuczkę, Quinn - powiedział. - Dzięki temu będziesz o wiele bliżej swojej księżniczki. Pozwól, że przyprowadzę ją do ciebie siłą mojej krwi, i w ten sposób będziecie mogli przekazywać sobie myśli. Jestem mistrzem nad mistrzami w takich mrocznych sztuczkach,

Quinn. Mono, chcesz poznać nasze sekrety? - Zbliżył się do niej. - Wybieraj, ślicznotko. Którejś nocy zawsze będziesz mogła wybrać Światłość, chérie.

Zapytaj Quinna, jeśli masz wątpliwości. On widział Światłość. Widział na własne oczy Światłość niebios.

Przytuliła się do mnie, podczas gdy on mówił, spacerując po pokoju, tam i z powrotem, opowiadając wiele rzeczy - jak to jest z nami, jakie mamy zasady i przestrogi, jak łamał zasady i przestrogi, to, że silni i wiekowi trwają, a młodzi giną w płomieniach. Mówił i mówił, a ona tuliła się do mnie, moja Ofelia na kwietnym posłaniu, taka wątpła i taka roztrzęsiona, och, moja słodka Ofelia Nieśmiertelna.

- Tak. Chcę - powiedziała.